PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK LIV Tom 213

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1937

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

Bóg i Ojczyzna.

Zwichnięta równowaga warstw spowodowała, że morze życia społecznego uległo wzburzeniu, że piętrzą się groźne fale, które z rykiem przewalają się, pieniąc się na swych szczytach śmiertelną nienawiścią; towarzyszy im wichura ogólnego zamętu, a wśród skłębionych czarnych chmur zapalają się błyskawice, by od czasu do czasu wśród ogłuszającego huku grzmotu uderzyć piorunem we wzburzoną powierzchnię.

W tym ogólnym zamęcie jedni wiedzeni szatańskim instynktem czynią wszystko, by nie tylko nie dopuścić do uspokojenia, ale wręcz przeciwnie wzmóc jeszcze rozszalałe żywioły społeczne, podsycić ową walkę klas, rzekomą podstawę bytu ludzkiego, biczować drgającą powierzchnię, aby z pod niej wydobyć najciemniejsze żywioły ogólnego zniszczenia.

Inni znów, zbłądzeni na bezmiarach tego oceanu, przerażeni tym co się stało, i świadomi tego, że każdej chwili grozi im zagłada, patrzą bezsilnie na ten taniec piekielny i czekają, wierząc tylko w jedną rzecz, że to się raz skończy, że historia świata wykazuje nie jedną burzę, po której znów nastąpiła błoga pogoda, a chcąc zagłuszyć lęk przed przyszłością, opowiadają sobie wspomnienia z dawnych dobrych czasów.

Jeszcze inni nie chcą być bierni, chcą aktywnie pracować nad przywróceniem utraconej równowagi i działają w różny sposób, mniej lub więcej udolnie, z większym lub mniejszym skutkiem. Czasem uda im się zdusić jakąś podnoszącą się falę, ale działając parcjalnie nie potrafią przeszko-

dzić temu, by w innym miejscu podniosła się niespodziewanie. Oto obraz chwili, ciężkiej, nad wyraz ciężkiej, pełnej walki, niepokoju, zgrzytów, łez i krwi. I w tej chwili danym nam jest żyć, żyć myślą o przyszłości.

Ta troska o przyszłość rysuje się głęboką brózdą na czołach wszystkich, bo niema dziś człowieka, który mógłby powiedzieć, że przyszłość jego czy jego najbliższych lub bliskich jest zapewniona, oparta na tych podstawach ludzkiego prawdopodobieństwa, na których XIX wiek nauczył nas ją budować. Z lękiem patrzą w przyszłość i ci, którzy wkroczyli na arenę życia za tych tzw. lepszych czasów, i ci, którzy wkroczyli na nią w chwili gwałtownego przełomu, kiedy ludzkość zmagała się w śmiertelnym boju, i ci, którzy, nie zaznawszy rozkoszy spokojnego życia ani uniesień i cierpień krwawego boju o przyszłość, dziś wstąpić muszą na ciernistą drogę życia. Dręczące wszystkie umysły pytanie: „Co czynić?" wiąże się z przygniatającym przekonaniem, że stawka, jaką gramy w tym życiu, jest własne istnienie, że każdy nasz krok to realna odpowiedź na hamletowskie pytanie: „Być albo nie być". Wiemy tylko tyle, że zakończył się pewien okres w historii życia narodów, okres który zamknął pierwszy strzał, oddany w pamiętnym roku 1914, i wiemy, że z tego ogólnego zamętu i fermentu wykłuwa się nowa forma współżycia i wiemy wreszcie, że nie możemy się biernie przypatrywać temu rodzeniu się przyszłości, bo nie chodzi tu o procesy biologiczne, na który wpływ mają li tylko tajemnicze siły przyrody, ale o procesy społeczne, zależne od świadomego, twórczego wkładu ludzkości.

Nic więc dziwnego, gdy w takim okresie rodzą się z dnia na dzień programy i ideologie, a na każdym kroku zjawiają się lekarze z niezawodnymi receptami na lepszą przyszłość. Jedni radzą i przekonywują, świadomi tego, że przecież sami mogą się mylić, inni rozkazują, wewnętrznie przekonani o swym posłannictwie, które pozwala im nieomylnie wyczuć właściwą drogę.

Jeśli z pewnych wyżyn popatrzymy na to kłębowisko pomysłów i poczynań, to w naszej świadomości zjawiają się w każdym razie dwa przekonania: pierwsze, że nie do pomyślenia jest, aby w tej konkurencji zaleceń pozostawić

kwestię rozstrzygnięcia przyszłości wolnej grze sił, bo „jakie" siły wygrają tą drogą, o tym chyba mówić nie trzeba; — drugie, że nie wolno zapominać o jednej naczelnej zasadzie życia jednostek i społeczeństw; zasada ta brzmi: *primum non nocere,* wpierw nie szkodzić. A więc nie wolno niczego podważać, co bez wątpienia stanowi zdrową część życia społecznego, nie wolno eksperymentować na żywym ciele organizmu ludzkiego, niszczyć coś, czego zastępstwo czy następstwo ma więcej niż problematyczną wartość i nie wolno świadomie walić w gruzy to, co jest, hołdując psychotycznym teoriom mniej lub więcej anarchicznym. Zapewne łatwiej ustalić dewizy niż uświadomić sobie, czy dane konkretne pociągnięcie jest jeszcze zgodne z tą dewizą czy nie, ale nie ulega również wątpliwości, iż zaoszczędzono by ludzkości wiele wstrząsów, gdyby bardziej skrupulatnie przestrzegano ich brzmienia.

Patrząc wokół nas, widzimy, jak bardzo wszystko znajduje się w stadium płynności. Doprawdy trudno o lepszą ilustrację heraklitowskiego *Panta rei* niż współczesna rzeczywistość. W takiej to chwili dusze tych, którzy umieją patrzeć głębiej, mimo woli zwracają się oczyma w tym kierunku, gdzie od wieków głoszono istnienie prawd bezwzględnych, reguł niezmiennych, patrzą wprost w kierunku katolicyzmu, który po przez XX wieków nie ustąpił w swych prawdach ani o jeden krok, ani wtedy, gdy go do tego zmuszano prześladowaniami, ani wtedy, gdy go starano się przekonać, ani wtedy, gdy ukrywszy się w skorupie indyferentyzmu, pozwalano mu łaskawie żyć, czekając aż sam się skończy. Ten absolut katolicyzmu zaczyna być czymś ponętnym, staje się widomym, niewzruszalnym biegunem a tym samym i biegunem magnetycznym. Ludzkość jednak jest zarozumiała, Boski dar rozumu, który dzieli ją od zwierzęcia, winduje na wyższy piedestał, robi z niego bożka i widząc, że trzeba czegoś niezmiennego, chce we własnym rozumie znaleźć absolut. W ten sposób stajemy się świadkami dziwnego zjawiska, jak to „ludzkie" prawdy przyobleka się w szaty nadprzyrodzoności, jak deifikuje się to, co na miano wieczności nie zasługuje. I tu dochodzi i musi dojść do starcia z ideą katolicyzmu, który takiej deifikacji musi

się przeciwstawić, choćby ona nie wiem jak autorytatywnie miała wystąpić. Powstają przez to nieobliczalne szkody, zamiast łącznego zwalczania wspólnego wroga niepotrzebnie ścierają się wzajemnie siły, któreby owocnie mogły być zużyte w innym kierunku.

Żyjemy na wielkiej arenie świata za pośrednictwem organizacji oraz wspólnej więzi etnologicznej. Będąc cząstką świata musimy się wpierw troszczyć o naszą własną ojczyznę. I tu staje odrazu przed nami pytanie: „Co czynić u nas, na naszej polskiej ziemi"?

Nie jest moim zadaniem ustalać programy. Ale uchybilibyśmy ważności naszej wspólnoty, gdybyśmy nad tą kwestią przeszli w zupełności do porządku dziennego.

Ongiś, na pierwszy plan wysuwano sprawę „praw" ludzkich, wierzono, że są one odwieczne, niezmienne, pierwotne, komponowano do tego dowolnego założenia całe teorie i realizowano je, wierząc niezłomnie, że każda inna teoria jest błędna. Przeciwstawiano się Kościołowi katolickiemu w imię wolności, liberalizmu, a katolicy widzieli w liberałach groźnych wrogów idei chrześcijańskiej. *Oh quae mutatio rerum*, chciałoby się dzisiaj wołać. Któż jest dzisiaj bardziej wrogo nastawiony w stosunku do Kościoła jak nie właśnie niektóre ustroje, które hasłu liberalizmu wypowiedziały zdecydowaną wojnę. A rzecz paradoksalna, któż był tym, który w tak niepopularnej dla wszystkiego, co tchnęło „związaniem", chwili głosił niezmiennie pierszeństwo obowiązku przed prawem, któż to przeciwstawiał się doktrynie rzekomo przyrodzonej niczem nieskrępowanej wolności jak nie właśnie Kościół katolicki?

Od tej więc strony „obowiązkowości" przypatrzmy się temu, co czynić nam wypada. Podchodząc do rzeczy w ten sposób, unikamy trudności związanych z wykreśleniem programu, a czynimy to, co nazwałbym ustaleniem limitu, limitu dla wszystkich i we wszystkim.

Może to się wydać zbyt mglistym określeniem, ale wydaje mi się, że program nasz streszczać się musi w dwóch słowach: „Bóg i Ojczyzna". Spróbujmy się choćby trochę wgłębić w znaczenie tych słów, a zobaczymy jak wiele one mówią, jak jasno precyzują nasze obowiązki.

Bóg, to znaczy wiara i religia. Cywilizację naszą zawdzięczamy idei chrześcijańskiej i tej idei musimy pozostać wierni. Byliśmy, jesteśmy i zostaniemy krajem katolickim. Naszej wiary broniliśmy krwią naszego narodu przed wszystkimi atakami ze Wschodu, zdołaliśmy ją uratować przed nowinkarstwem Zachodu bez przelewu krwi braterskiej. Z okrzykiem Jezus! Maryjo! — szliśmy na bój i na śmierć i z tym okrzykiem chcemy iść przez życie.

Polska jest dumna z tego, że idea tolerancyjna znalazła u niej podatny grunt. Nikt nie może zarzucić polskim katolikom, by swój światopogląd chcieli kiedykolwiek szerzyć ogniem i mieczem. Ale i od tych, którzy nie dzielą tych przekonań, katolicyzm musi domagać się, aby nie deptano jego uczuć, nie kpiono sobie z tego, co jest dla niego święte. Na wszelką akcję bezbożniczą słowem, pismem lub czynem nie powinno być miejsca w Polsce! Świat katolicki dziękuje uprzejmie za wszelkie uświadamianie go i wyzwalanie z „przesądów", wiedząc, co się za tym kryje i kto za tym stoi. Ani gwałtem ani podstępem nie zwiększa on swych szeregów, musi się jednak zastrzec przeciwko temu, by płytkim podstępem szerzono demoralizację w jego szeregach, by unikając walnej rozprawy podkopywano się pod jego przednie straże. Z głęboką wdzięcznością przyjmuje do wiadomości fakt, iż miarodajne czynniki, zdając sobie sprawę ze szkodliwości tych poczynań, występują przeciwko nim. Wiedząc, jakie niebezpieczeństwo tkwi w nielegalnej samopomocy, z całą ufnością przekazuje część troski o obronę swych interesów, a tym samym i interesów całego społeczeństwa, w ręce odpowiednich organów.

Bóg to znaczy i etyka chrześcijańska i ona jest integralną częścią naszego narodu. Trzeba być ślepym, aby nie widzieć walorów, jakie ona kryje, trzeba być ślepym albo przewrotnym, aby sądzić, że na jej podstawie można coś zatracić z wartości kulturalnych. Natomiast nie widzi lub nie chce widzieć ten, kto nie spostrzega zgubnych wpływów podkopywania zasad moralnych. Etyka katolicka nie jest wyrazem łatwizny życiowej, ale będąc zakotwiczoną w bezwzględnych prawach Boskich, jest ona zarazem nie dającym się prześcignąć co do wartości cementem w budowie zwar-

tego monolitu społecznego, najczystszym wyrazem ducha społecznego, najjaskrawszym przeciwieństwem anarchicznego egotyzmu. Choć przykazania tej etyki nie zawsze są łatwe do wykonania, chociaż słaba ludzka natura od czasu do czasu nie jest w stanie zdobyć się na siłę potrzebną dla dania posłuchu normom, to jednak społeczeństwo katolickie niezłomnie stoi przy zasadzie, że mniejszym złem jest jedno czy drugie potknięcie się lub nawet upadek, a większym złem podniesienie upadku do godności obowiązującej reguły współżycia ludzkiego.

Historia nie jest w stanie wykazać, aby jakieś społeczeństwo upadało lub upadło z powodu rygorystycznych zasad moralnych, natomiast dostarcza nam licznych przykładów upadku społeczeństw z powodu rozluźnienia obyczajów. To też nowoczesne ustroje autorytatywne muszą, jeśli nie chcą wprost przejąć etyki katolickiej, uciekać się do różnych mniej lub więcej udatnych sposobów dumpingowania społeczeństwa, aby nie dopuścić do ogólnego rozprężenia.

Etyka katolicka, to jakby synteza radykalizmu i konserwatyzmu; radykalizmu, bo obowiązuje ona wszystkich: bogatych i biednych, posiadających i nieposiadających, rządzących i rządzonych, krytykujących i krytykowanych; harmonizując w ten sposób w swych wymogach wszystkie warstwy społeczne; ale jest ona zarazem konserwatywna, gdyż jej przestrzeganie chroni społeczeństwo przed niebezpiecznymi wstrząsami wewnętrznych zaburzeń. Pozbawiona siły prawa i dlatego tak łatwo łamana, ma ona za sobą siłę niezależności od jednorazowego stanowienia ludzkiego, potęgę niezmienności i trwałości poprzez wszystkie konstelacje społeczne i polityczne.

Wypowiadając wojnę wszystkim tym, którzy z otwartą przyłbicą atakują światopogląd katolicki lub krecimi podkopami podważają jego szańce, społeczeństwo katolickie nie może również przyjąć darowizny czy koncesji, przybranej w pozornie tak niewinną szatę, jaką jest hasło, iż światopogląd religijno-moralny to kwestia prywatna. Tym wszystkim którzy w tym kierunku odgrzewają w nowej kształtującej się strukturze społecznej starą liberalistyczną tezę,

odpowiedzieć należy stanowczo, iż się mylą gruntownie, jeśli sądzą, że potrafią ideę katolicką zamknąć w zacisznych murach kościołów. Takie postawienie rzeczy wynika albo ze zupełnego niezrozumienia wierzeń katolickich albo z nieprzychylnego nastawienia do nich, pokrytego płaszczykiem konwencjonalnej tolerancji.

Od blisko 2.000 lat chrystianizm nie uważał się nigdy za zagadnienie prywatne, ale był siłą społeczną o zdecydowanym obliczu i wyraźnych postulatach. I dziś nie ma zamiaru chować się w jakąś skorupę, z tej prostej przyczyny, że, postępując tak, zaprzeczyłby sam sobie, a tego od ruchu, który odegrał taką rolę w historii świata nikt wymagać nie może, pomijając już nawet wszystkie inne względy metafizyczne.

Ojczyzna. Pięknie mówi nasza Konstytucja, że „Państwo Polskie wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie", że „każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa", za spełnienie którego to obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem".

Chyba największy wróg polskiego katolicyzmu nie będzie mu chciał zarzucać, że nie spełnia swych obowiązków wobec Państwa lub że chce się uchylić od tego, co jest nakazem wierności wobec niego.

Ale w Państwie Polskim działają siły destrukcyjne; ongiś występowały bardziej otwarcie, dziś działają bardziej z ukrycia, wciskając się jak wilki w owczej skórze w nasze szeregi. W stosunku do nich istnieje tylko jedno hasło, które głosić trzeba otwarcie słowem i czynem: Walka na śmierć i życie ze wschodnim barbarzyństwem, które godzi w nasz Naród, nasze Państwo i naszą kulturę. Wszelkiej penetracji idei ze Wschodu musi się Polska wewnątrz granic przeciwstawić z całą bezwzględnością, do jakiej upoważnia ją prawo samoobrony. Tej zarazie pobłażać nie można bez względu na to, czy występuje ona otwarcie czy też nawet tylko pod przerażającą formą nadziei, że u nas ta choroba przybrałaby nieco inne formy. Kto stracił wiarę w słuszność walki, ten jest już sam zagrożony, a swą biernością osłabia

ducha obronnego. Pozycję katolicyzmu wzmacnia ten fakt, że prąd ten atakuje nie tylko spoidła społeczne Państwa i Narodu ale godzi również w zasady wiary i etyki katolickiej, bo w ten sposób demonstruje naocznie, iż światopogląd katolicki to zarazem światopogląd Narodu i Państwa Polskiego. Ta idealna harmonia, istniejąca między obowiązkami, jakie katolik winien spełniać wobec Boga, a obowiązkami, jakie ciążą na nim względem Państwa i Narodu, pozwala odeprzeć jako kłamstwo wszelkie usiłowania wynalezienia tu rozdźwięku. Katolicyzm nigdy nie chciał i nie chce walczyć z Państwem, wręcz odwrotnie, chce swymi siłami moralnymi przyczynić się do wzmocnienia potęgi Narodu i Państwa. Myli się ten, kto sądzi, że oddaje usługi ideom społecznym, jeśli odetnie im dopływ z tych skarbów myśli społecznej, jakie kryją się w katolicyźmie nie tylko wyznawanym, ale i praktykowanym. Tak dalece religia katolicka zezwala na wierność idei państwowo-narodowej, że nie kto inny jak właśnie my Polacy musieliśmy i musimy czasami na własnej skórze odczuć, jak zbyt gorliwi patrioci usiłowali i usiłują drogą nacisku religijnego wynaradawiać naszych braci za granicami Polski. — Z całą więc stanowczością trzeba odeprzeć wszelkie próby budowania dla Narodu lub Państwa jakichś konkurencyjnych odrębnych „świątyń", tak jakby te drogie każdemu obywatelowi uczucia nie mogły otrzymać nadprzyrodzonego blasku przed Boskimi ołtarzami. Niebezpieczeństwo tej zarazy idzie od Zachodu, może nie jest u nas takie wielkie, jeśli chodzi o samą ideę, bagatelizować go jednak nie wolno, zbyt łatwo bowiem ulegamy cudzym wpływom. Groźniej przedstawia się sprawa tego, co właściwie jest tylko konsekwencją takiego deo-nacjonalizmu i przejawia się w dziedzinie moralności. Trzeba wciąż podkreślać, iż idea Państwa i Narodu nie dostarcza jakichś bezwzględnych swoistych prawd i praw, które mogą się znaleźć poza kręgiem bezwzględnej etyki chrześcijańskiej a nawet w imię rzekomego dobra społecznego mogą się im przeciwstawić. I tej herezji moralnej należy przeciwdziałać.

Ojczyzna to wspólne dobro wszystkich obywateli. To zarazem pewna idea społeczna. Ojczyzna Polska nie jest

i nie może pyć Ojczyzną jednego stanu czy jednej klasy społecznej. W tej naszej polskiej ojczyźnie musi się czuć dobrze każdy, kto „pracuje", mózgiem czy ręką, nikt nie jest lepszy czy gorszy od drugiego; w miarę ludzkich możliwości musi być osiągnięta sprawiedliwość społeczna. Katolicyzm nie uważa, by walka klas była czymś nieuniknionym i nie chce dominacji jednej klasy, pragnie solidaryzmu, wiedząc, że w wspólności tkwi siła Narodu i Państwa. Katolicyzm byłby rad z tego, gdyby jeden sztandar Rzeczypospolitej Polskiej wystarczył wszystkim synom polskiej ziemi do manifestowania swych przekonań. Gdyby tak polska myśl społeczno-polityczna zdołała rzeczywiście zrealizować zasadę solidarnego współżycia w miejsce wzajemnej walki czy dominacji jednych, Polska zapisałaby się złotymi głoskami w historii świata.

Od tego, kto nie czuje się Polakiem, a mieszka na naszej ziemi, mamy prawo domagać się bezwzględnej lojalności oraz uznania naszych praw jako gospodarzy tych ziem. Nie zapominajmy jednak i o tym, że i nas obowiązuje nakaz powstrzymania się od aktów, których etyka chrześcijańska bezwzględnie usprawiedliwić nie może. Nie jest dewizą katolicyzmu rozwiązywać węzły gordyjskie gwałtownymi cięciami.

Oto cząstka tego, co wyczytać możemy ze słowa Ojczyzna, które wszak etymologicznie łączy się z pojęciem „ojcostwa", podkreślając w ten sposób wagę i czar wzajemnych stosunków między ojcem i dzieckiem.

Matki nam nie brak. Jest nią Ta, którą czcimy jako Dziewicę-Matkę Syna Bożego. Tysiące lat ludzkość czekała na chwilę, w której zjawi się Zbawiciel. Tę tęsknotę wyraża w tak pięknych słowach psalm: *Rorate coeli desuper et nubes pluant iustum, aperiatur terra et germinet Salvatorem.* Ta jedna Kobieta, błogosławiona między niewiastami, miała tę myśl przyoblec w ciało. Pod jej opiekuńcze skrzydła powinniśmy się wszyscy chronić, w tym niezłomnym przekonaniu, że pozwoli Ona przetrwać dziejowy adwent, w którym żyjemy i oglądać narodziny lepszej przyszłości, której Ona patronować będzie jako Królowa Polski.

Zwłaszcza młodzież, która jest przyszłością naszego Narodu, powinna pamiętać i o tym, że nie zawiódł się nikt,

kto zaufał sercu Matczynemu. Ostatnia zbiorowa pielgrzymka na Jasną Górę była oczywistym dowodem, iż te uczucia i przekonania są własnością większości młodzieży akademickiej. Ryngraf Jasnogórski, który niedawno ta sama młodzież zawiesiła w kościołach akademickich, powinna nosić w swoim sercu. Ilekroć stanie na rozstajnych drogach winna wzywać na pomoc ten ryngraf z własnego sumienia, a wtedy Ta, co Jasnej broniła Częstochowy wskaże naszej młodzieży drogę, może nie łatwą, ale pewną, może nie uprzyjemnioną poklaskiem tłumu, ale za to otoczoną nimbem prawdziwych wartości wiecznych, a w refleksie i ziemsko-społecznych. Pochylając swe sztandary w głębokim hołdzie dla Tej, która jest nam wszystkim Matką, która doznała radości i wszystkich smutków macierzyństwa, powinna nasza młodzież ufać i pracować dla dobra całego społeczeństwa, pamiętając, że istnieje tylko jedna forma szlachetnego współzawodnictwa, a nią jest praca, która jest obowiązkiem i największym szczęściem tu na ziemi. Oby młodzież akademicka na ziemiach naszej Ojczyzny pamiętała o benedyktyńskiej maksymie, której zawdzięczamy naszą kulturę: *Ora et labora!*

Prof. dr Władysław Wolter.

Ernest Krieck i pedagogika polityczna.

Reakcja przeciw pedagogicznemu indywidualizmowi, jaka wystąpiła z pocz. bieżącego stulecia, wzrosła na sile w okresie powojennym, kiedy załamywać się począł dotychczasowy system polityczny i gospodarczy społeczeństw europejskich i kryzys ogarnął wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Potęgujące się rozprzężenie wywołało, w niektórych zwłaszcza krajach, szybki odwrót od haseł indywidualizmu i liberalizmu, jako istotnych przyczyn rozkładu, oraz próby zorganizowania rzeczywistości polityczno-społecznej na wręcz odmiennych zasadach. Komunizm, faszyzm, hitleryzm odrzucił bez ogródek dawny ideał swobodnej i niczym nie krępowanej jednostki, a w jego miejsce wysunął postulat bezwzględnego podporządkowania jednostki społeczeństwu i państwu.

Wraz z tą socjalizacją i polityzacją życia zbiorowisk ludzkich ulegać poczęła również zmianie rzeczywistość wychowawcza. Twórcy bowiem nowego porządku usiłowali dla nadania mu trwałości i siły wychować młode pokolenie w duchu swej własnej ideologii polityczno-społecznej. Wprawdzie i pedagogice przedwojennej nie było obce dążenie do uspołecznienia jednostki, odkąd zwłaszcza pod wpływem badań socjologicznych utrwalać się poczęło przekonanie o pierwotności i znaczeniu bytu społecznego, jednakże dopiero kryzys współczesny i rosnące zamieszanie nadały wychowaniu obywatelsko-państwowemu akcenty naglącej konieczności. Odnosi się to przede wszystkim do Niemiec, gdzie ferment i niepokój wewnętrzny powiększała przegrana wojna. To też wyrosły na podłożu powszechnego niezado-

wolenia ruch narodowo-socjalistyczny uznał za rzecz nie cierpiącą zwłoki wychowanie nowego człowieka, ponad interes własny stawiającego wyżej dobro państwa. Polityka szkolna stała się więc integralną częścią polityki rządowej. Nowy typ człowieka politycznego, świadomego celów wspólnych, karnego i bohaterskiego, działającego w myśl wskazań partii państwowej,[1]) wysunięto jako postulat najważniejszy i do pracy nad jego realizacją powołano stworzoną w tym celu organizację młodzieży tzw. *Hitlerjugend,* będącą ekspozyturą partii.

Prekursorem zasad wychowania nacjonalistycznego i najwybitniejszym ich dzisiaj krzewicielem jest rektor akademii pedagogicznej we Frankfurcie nad Menem Ernest Krieck.[2])

Krieck w licznych swoich dziełach opracowuje, rozwija i uzasadnia funkcjonalne pojęcie wychowania. Na pojęciu tym buduje on autonomiczną, „czystą" naukę o wychowaniu, którą nazywa filozofią wychowania. Powstała ona pod wpływem idei Lessinga, Herdera i Hegla, które były pierwszą szkołą Kriecka, i ich panteistycznego idealizmu, wyjaśniającego rozwój historyczny ludzkości urzeczywistnianiem się ducha. Od nich zaczerpnął on tezę o jedności i tożsamości ducha, będącego aktywną i twórczą siłą, przejawiającą się w bycie, o duchowej jedności wspólnoty ludzkiej, rozwijającej się w historii i ucieleśniającej się

[1]) Freyer H.: Von der Volksbildung zur politischen Bildung, *Die Erziehung* 1933, 1; Jastrzębska J.: Współczesne prądy w pedagogii niemieckiej, *Kwartalnik Pedagogiczny* 1933, 318; Sekreta M.: Polityka szkolna Niemiec hitlerowskich, *Chowanna* 1935, 23—38.

[2]) Urodził się on w 1882 r. w Vögisheim pod Müllheim w Badenii. Ukończywszy szkołę realną i seminarium nauczycielskie w Karlsruhe, od r. 1904 do 1924 jest nauczycielem ludowym w Mannheim, gdzie pracując równocześnie nad pogłębieniem swego wykształcenia, daje się niebawem poznać jako poważny myśliciel z szeregu rozpraw, w których z coraz to innych stron roztrząsa zagadnienie wychowawcze. Za swoje wielkie dzieło pt. *Philosophie der Erziehung* (Jena 1922) uzyskuje od fakultetu filoz. w Heidelbergu (Rickert, Jaspers, Hoffmann) doktorat honorowy. W 1924 r. porzuca Krieck służbę nauczycielską, by poświęcić się całkowicie pracy naukowej. W cztery lata później zostaje profesorem wychowania w Akademii Pedag. we Frankfurcie nad Menem. W 1931 r. usunięty z katedry przez socjalistycznego ministra oświaty, obejmuje z powrotem swoje stanowisko po przewrocie hitlerowskim.

w różnych formach życia kulturalnego,[1]) o popędzie do doskonalenia się, stanowiącego istotne podłoże duchowego rozwoju. Podobnie jak oni, zwalcza Krieck materializm i utylitaryzm i pragnie uwewnętrznienia życia przez związanie jednostki z życiem duchowym wspólnoty narodowej. Uważa on, że przywrócenie jedności i harmonii pomiędzy jednostką i wspólnotą, będące istotną funkcją wychowania, jest zarazem urzeczywistnianiem w jednostce jej człowieczeństwa, jest budzeniem w niej prawdziwego życia duchowego, jest wywoływaniem w niej wewnętrznego samowychowywania.

Jest więc owa filozofia wychowania Kriecka w pierwszej fazie jego twórczości, sięgającej do r. 1930, filozofią kultury i na filozofii owej opartą humanistyczną teorią wychowania. W drugiej fazie swojej twórczości wyrzeka się Krieck swego dawnego idealizmu i przerzuca się na stanowisko realizmu. Naród jest dlań teraz przede wszystkim przyrodniczo-historyczną całością życiową, rozwijającą się na tle konkretnych warunków i zadań, wyrażającą zbiorową wolę mocy w jedności państwowej, funkcja wychowania zaś polega na dokonaniu integracji plemienno-narodowej, całkowitym wprzęgnięciu jednostki w organizm narodowy, bezwzględnym jej podporządkowaniu całości państwowej. W ten sposób poprzez socjalizację i nacjonalizację dochodzi Krieck do polityzacji wychowania, dając w ostatnim swoim dziele pt. *Nationalpolitische Erziehung* teoretyczne uzasadnienie ideologii wychowawczej hitleryzmu. Nicią, wiążącą obydwie te fazy twórczości Kriecka, jest idea wychowania narodowego.

I.

Autonomiczna nauka o wychowaniu, która stanowi główny przedmiot rozważań Kriecka zajmuje się badaniem człowieka i jego świata duchowego ze stanowiska idei wychowania. Wychowanie określa Krieck jako „wszelkiego rodzaju kształtowanie czyli kształcenie człowieka, które

[1]) *Philosophie der Erziehung*, Jena 1930, 61.

wypływa z duchowego oddziaływania". [1]) Jest więc ono „zawsze i wszędzie w ludzkości dokonywującą się podstawową funkcją duchową", [2]) tkwiącą korzeniami swymi w nieświadomych pokładach życia wspólnoty. [3]) Wychowanie planowe, świadome, intencjonalne, czyli, jak je Krieck nazywa, nauczanie może jedynie dopełniać i uzupełniać to, co wychowanie funkcjonalne zapoczątkowało. Jest ono wogóle podstawowym warunkiem wszelkiego duchowego bytu i wzrastania. Ów funkcjonalny pierwotnie proces wychowania odbywa się, według Kriecka, w trzech krzyżujących się z sobą warstwach. Tworzą je:

1) nieświadome oddziaływania i wpływy człowieka na człowieka. Stanowią one najbardziej bezpośrednie i najsilniejsze wiązania wspólnoty;

2) stosunki międzyludzkie, będące niezamierzonym mimowolnym wynikiem działań celowych i świadomych;

3) świadome oddziaływania, wypływające z celów, metod, organizacyj i instytucyj wychowawczych. Z nich to właśnie składa się nauczanie w najszerszym tego słowa znaczeniu, będące przedmiotem pedagogiki. [4])

Krieck podkreśla jednakowoż, że wychowanie racjonalne nie odbywa się nigdy samo przez się; łączy się ono zawsze z irracjonalnymi siłami życia, które je podtrzymują i organicznie wiążą z całością wpływów i oddziaływań. W każdej wspólnocie wszystkie te trzy rodzaje czynników wychowawczych splatają się ze sobą, a ich wynikiem jest wprowadzenie młodego pokolenia w życie wspólnoty. Dotychczasowa pedagogika, która jest późnym wytworem kultury, przedstawia się Krieckowi jako zbiór technicznych refleksyj o celach i metodach nauczania, dlatego właśnie pozbawiony należytej podstawy, ponieważ zapoznaje funkcjonalny charakter wychowania i narzuca mu cele, nie zdając sobie sprawy, że cele wychowawcze wyrastają z nieświadomych i bezpośrednich popędów życia. Jednostka ludzka bowiem nie jest bynajmniej czymś samoistnym i całkowitym; istnieje ona

[1]) Op. cit. 175.
[2]) Op. cit. 3.
[3]) *Erziehungsphilosophie*, München 1930, 4.
[4]) *Erziehung u. Entwicklung*, Karlsruhe 1921, 42—44.

tylko jako człon wspólnoty. Rozwój samodzielny jednostki bez wychowawczego oddziaływania i bez jej związku życiowego ze wspólnotą nie jest wogóle możliwy. Człowiekiem konkretnym, osobowością staje się jednostka jedynie w obrębie wspólnoty, wrastając w nią i zrastając się z nią. Istota osobowości: godność i wolność, zdolność do duchowego rozwoju i doskonalenia się polega na możliwości życia w wyższej całości, z całości i dla całości, czyli dla wspólnoty. [1])

Lecz czymże jest wspólnota? Wspólnota nie jest wcale prostą sumą jednostek. Jest ona czymś pierwotniejszym i wyższym, jest organizmem duchowym, ponadindywidualnym, rozwijającym się w różnych postaciach i formach kultury. Mowa, obyczaj, religia, nauka, prawo są historycznymi i kulturo-twórczymi funkcjami „ducha obiektywnego", który jest formą i treścią życia wspólnoty. Jednostka staje się tym swobodniejszą i wyższą osobowością, im bardziej i konkretniej ucieleśnia treść duchową życia wspólnoty, im ściślej czuje się związana z całością tego życia i za to życie odpowiedzialna.

Wychowanie we wszystkich swoich postaciach i stopniach jest funkcją życia wspólnoty i jako takie podlega prawidłowości tegoż życia. Zmierza ono z konieczności do tego, aby wszystkie jednostki wciągnąć w krąg życia wspólnoty i przystosować je do niego, uczynić je do siebie podobnymi typowo, nie znosząc ich swoistej odrębności. Nastawione jest ono zawsze na typ, a nie na indywidualność. Wyraża to Krieck abstrakcyjnie, iż duch subiektywny jest jedynie swoistą postacią ducha obiektywnego. Podstawowym prawem wychowania jest prawo asymilacji. Orzeka ono, iż każde duchowe oddziaływanie poddaje ludzi w swoim zakresie własnemu kierunkowi (Sinn). Prawo to odsłania zarazem biegunowość życia i wzrastania: każda jednostka staje się dzięki ustawicznym wpływom wspólnoty jej typowym członkiem, ale zarazem rośnie i dojrzewa jako samodzielna osobowość, jako odrębna indywidualność.

---

[1]) *Philosophie der Erziehung*, str. 193.

Proces wychowawczy odbywa się, zdaniem Kriecka, w dwojakiej postaci: konserwatywnej (reproduktywnej) i rewolucyjnej (produktywnej). Wychowanie konserwatywne wychodzi z istniejącej formy życiowej i do niej przystosowuje jednostkę, natomiast wychowanie rewolucyjne rozpoczyna swoje działanie wówczas, gdy człowiek, opanowany przez ideę, która jest źródłem i prawem wszelkiego wychowawczego oddziaływania, usiłuje stworzyć przy jej pomocy nowy porządek życiowy i rzeczywistość przyoblec w nowe formy życiowe. Inaczej mówiąc, twórcze samokształcenie jest początkiem wszelkiej kultury i wszelkiego wychowania.[1])

Ale chociaż Krieck przyznaje jednostce prawo do osobowości, przecież drogę do samowychowania upatruje on nie w pielęgnowaniu własnych zainteresowań duchowych i w odosabnianiu się, ale w działaniu we wspólnocie i przystosowaniu się do niej. Toteż przeciwstawia się on wszelkim formom indywidualizmu pedagogicznego, zapoznającego organiczny związek jednostki ze wspólnotą, i odrzuca zarówno pedagogikę, wychodzącą od dziecka, jak i pedagogikę osobowości.

Najważniejszym i najistotniejszym rodzajem wspólnoty jest, według Kriecka, naród. Dzięki pochodzeniu, pokrewieństwu krwi i zewnętrznym warunkom życiowym jest on naturalną, organiczną jednością; dzięki zaś mowie, wychowaniu, publicznej formie życiowej, wspólnym wartościom i celom, wspólnym losom i dziejom jest on duchową wspólnotą. Naród jest wogóle ową żywą totalnością, która obejmuje w sobie wszelkie podstawowe funkcje życia ludzkiego. On jest osią, podstawą i sensem wszelkiego historycznego dziania się, on w tradycji zachowuje świadomość swojej historii, swego stawania się.

Wychowanie rozpatrywane ze stanowiska narodu jest jego duchowym samozachowaniem i rozkrzewianiem poprzez następujące po sobie pokolenia, wśród zmieniających się naturalnych i historycznych warunków życiowych, jest wprowadzeniem młodego pokolenia w ciągłość tradycji i nie-

[1]) Op. cit. 185.

ciągłość stawania się, jest ustawicznie na nowo podejmowanym samourzeczywistnianiem się i odnawianiem.

Wyższą od narodu wspólnotą duchową jest ludzkość;[1]) nie jest ona wprawdzie jeszcze zupełną wspólnotą kulturalną, jednak rozwój historyczny zmierza ku takiej wspólnocie jako swemu celowi. Krieck niejednokrotnie podnosi w swoich dziełach z tej fazy twórczości, że żaden naród nie żyje życiem samowystarczalnym, że wszyscy ludzie nawzajem od siebie zależą; ludzkość jako ogół najwyższych możliwości jest dla narodów i jednostek jedynym sensem życia doczesnego. Dlatego jedynie naród, który ową ideę ludzkości dźwiga, osiąga wraz z nią wszechświatową misję, albowiem sens historii domaga się zorganizowania ludzkości jako jedności, jako ligi narodów.

To dążenie do ludzkości nie wymaga bynajmniej, zdaniem Kriecka, negacji narodowości. Chociaż „duch" istnieje wszędzie ten sam, we wszystkich istotach ludzkich, we wszystkich swych dziełach i wytworach, chociaż każda wspólnota i każdy z jej członków nosi w sobie potencjalnie pełnię ludzkości, jednakże droga do niej prowadzi jedynie poprzez narodowość i wspólnotę narodową.

Od wychowania odróżnia Krieck kształcenie. Kształcenie jako proces (w odróżnieniu od wykształcenia jako wytworu) jest kształtowaniem człowieka przy pomocy wartości kulturalnych. Uzupełnia ono to, co przygotowało wychowanie funkcjonalne, karność, nawyk. Dzięki niemu jednostka osiąga swą dojrzałość, a wspólnota swoją świadomość jedności i wspólny obraz świata. Gdy kształcenie funkcjonalne zmienia się w techniczne, staje się techniką pedagogiczną, występuje na widownię szkoła. Najwyższym celem kształcenia szkolnego jest samodzielne samokształcenie, wewnętrzne doskonalenie się jednostki.

Swoją funkcję kształcącą może szkoła spełnić wtedy tylko, gdy wielość celów przetworzy w jednolity system wartości i w formę jednolitą. Krieck słabą stronę szkoły nowoczesnej w tym upatruje, że nie posiada ona żadnego przewodniego ideału kształcenia, ale stanowi zbiór poszcze-

[1]) *Grundriss der Erziehungswissenschaft*, Leipzig 1927, 13.

gólnych, nieskoordynowanych wartości i środków pożytecznych, pozbawionych dostatecznej kształcącej mocy. Ponadto stoi ona wobec dwóch niebezpieczeństw, grożących wypaczeniem jej sensu: oto albo zbyt podkreśla wzgląd użyteczności, wskutek czego nie spełnia swego właściwego zadania, albo hołdując dogmatowi bezwzględnej samodzielności ucznia, usiłuje być całkiem autonomiczną i wystarczającą sobie formą życia, wskutek czego staje się znowu całkiem obcą życiu; szkoła bowiem i młodzież musi przepracować dobra kulturalne, normy i obiektywne formy życia społecznego i nawiązać do tradycji, jeśli chce znaleźć drogę do własnego celu. Z czystej samodzielności żadna kultura nigdzie nie powstała, ani też żaden rozwój wewnętrzny ku wyższym potrzebom dokonać się nie może. Psychologia może jedynie udoskonalić drogę do celu już wytkniętego, ulepszyć metodę dla danej normy, ale owe cele i normy wyłania życie wspólnoty.

Wszelka skuteczna reforma szkoły powstaje wskutek przemiany i odnowienia się życia duchowego; reforma jest tylko symptomem owych zmian, a nie ich przyczyną. Szkoła nie stwarza życia duchowego, ona je tylko rozszerza i krzewi dalej. Nawet twórcy, wielcy wychowawcy swego narodu (prorocy, poeci, mężowie stanu) wydobywają tylko na światło, uświadamiają i uprzedmiotawiają to, co nieświadomie drzemie pod powierzchnią życia wspólnoty, i w ten sposób pomagają narodowi dojść do świadomości siebie samego.

Tak więc wyjaśnienia wszelkich form i zjawisk życia wspólnoty szuka Krieck w narodzie, on jest rzeczywistością najwyższą, autonomiczną i samowystarczalną, rodzącą podstawowe wartości życiowe i nadającą istotny sens wychowaniu. Ponieważ zaś kształtowanie się wspólnoty narodowej odbywa się przy pomocy kultury, która jest zarazem zasadą historycznego rozwoju narodu, przeto za jedyne środki kształcenia uważać należy n a r o d o w e d o b r a k u l t u r a l n e. Krieck nie przeczy, iż dobór i rozczłonkowanie materiału kształcenia musi być dostosowane do właściwości psychicznych i potrzeb dziecka, musi czynić zadość postulatowi organicznego jego rozwoju, jednakże równocześnie podkre-

śla z naciskiem, iż szkoła służyć winna wspólnocie narodowej i naród powinien być punktem wyjścia i celem jej czynności. [1])

II.

Ten humanistyczno-narodowy pogląd Kriecka na wychowanie przybiera w dziełach jego, powstałych po r. 1930. ton nacjonalistyczno-polityczny; socjologiczny opis ustępuje wówczas coraz częściej miejsca rozważaniom normatywnym, by przejść w końcu w propagandę narodowo-socjalistycznego wychowania. Założenia metafizyczne, przejęte z idealistycznej filozofii niemieckiej, a stanowiące jego pierwotny punkt wyjścia, odpadają jako niewłaściwe, i milknie dawne marzenie o zjednoczeniu ludzkości. Odtąd brzmi już tylko w wywodach Kriecka nuta realistyczna: troska o byt narodowy i jego konkretne, historyczne zadania.

Za błędny uważa teraz Krieck pogląd, który „w potomku królewskim i synu robotnika to samo upatruje człowieczeństwo". [2]) Każdy ma określone miejsce w całości narodowej i w swoim charakterze nie da się pomyśleć bez swego w niej położenia. Swoją prawdziwą wolność i swe zadanie życiowe znajduje jednostka jedynie w zupełnym zespoleniu się z plemienno-narodową wspólnotą, w oddaniu się jej celom, w podporządkowaniu się jej wymaganiom. Ona staje się dla jednostki sensem życia, źródłem-siły, podporą i zbawieniem. Osobowość jest według Kriecka tylko „zmysłem całości, zdolnością do przewodnictwa. Wszelka inna osobowość jest bezwartościowa i zbędna". [3]) Sens życia osobniczego wypełnia się w uczestnictwie w całokształcie zadań narodu. Rozwijanie osobistych uzdolnień w pustą przestrzeń jest nonsensem, ponieważ doprowadziłoby do anarchii i rozkładu wyższej całości życiowej.

Z tym swoistym pojmowaniem istoty osobowości wiąże się u Kriecka pragmatyzm kulturalny, mierzący wartość kultury nie tym, w jakim stopniu urzeczywistnia ona w sobie treść ogólno-ludzką, ale tym, jak wielce służy ca-

[1]) *Staat u. Kultur,* Frankfurt am M. 1928, 27.
[2]) *Nationalpolitische Erziehung,* Leipzig 1934, 63.
[3]) Op. cit. 84, 109.

łości narodowej, ułatwia wypełnienie jej konkretnych zadań, przyczynia się do umocnienia zwartości narodowej. To też idealnemu światowi ducha z jego abstrakcyjnymi wartościami prawdy, dobra i piękna przeciwstawia Krieck realną wspólnotę zadań życiowych, wplecioną w organiczną, czystą rasowo całość narodową, w jedność plemienną z jej celami historycznymi, powstałymi w danej sytuacji życiowej. Przyjmując organiczną strukturę narodu, Krieck przeciwko marksizmowi z jednej, a liberalizmowi z drugiej strony oświadcza się za organicznym socjalizmem wspólnoty narodowej, przywracającym wszystkim jej członkom i dziedzinom życia naturalne prawo odpowiedzialnego uczestnictwa w życiu całości. Rodzina, zawód, szkoła, nauka — wszystkie te dziedziny poddaje on temu samemu prawu: służby narodowej i pielęgnowania wartości rasowych.

Szczególne znaczenie wychowawcze przypisuje Krieck zwłaszcza rodzinie i zawodowi. W rodzinie dziecko nawyka do jej ładu, przyswaja sobie jej wartości, nabiera jej kierunku woli, a uczestnicząc w jej zadaniach, urabia swój charakter i kształtuje sobie swój obraz świata. Należy tylko położyć tamę subiektywizmowi praw swobody, rozprzęgającemu związki rodzinne, i uczynić rodzinę karną i zwartą cząstką organizmu narodowego. Od odrodzenia rodziny uzależnia Krieck skuteczność reformy wychowania w duchu zasady organicznej.

Podobnież zawód, który jest łącznikiem pomiędzy rodziną i narodem, musi być szkołą karności i doboru rasowego i odzwierciedlać w sobie w sposób swoisty wymagania całości narodowej. Zadaniem kształcenia winno być przepojenie całego człowieka życiem wspólnoty narodowej, związanie go z jej sprawami i troskami, wprzęgnięcie go do jej pracy i walki, słowem, dokonanie integracji plemienno-narodowej. Integracja, karność, rygor, porządek jest warunkiem wzrostu narodu i planowego uporządkowania przez państwo wszystkich dziedzin jego życia. Toteż karność czyni Krieck podstawą i zasadą wychowania; dlatego również zwalcza zasadę indywidualizowania w szkole.

Szkoła, która tkwi organicznie w życiu narodu, nie może być zamknięta w sobie, żyć życiem oddzielnym i oder-

wanym, ale musi pozostawać w kontakcie z siłami narodowymi, musi interesować się „sposobami pracy i formami, uczuciami, porządkiem społecznym, charakterem narodu, wartościami rasowymi — słowem, wydarzeniami naturalnymi i historycznymi, jak również zagadnieniami ogólnymi, nałożonymi przez los narodowi". Zasada organicznego wykształcenia wymaga wprawdzie samodzielności w pracy i urabiania siebie samego, ale wymaganie to, wolne od czystego subiektywizmu, kładzie nacisk na czynne ustosunkowanie się do konkretnej sytuacji historycznej i narodowej całości życiowej.

Kultura i wykształcenie powinny zgodnie zmierzać do tego, by wychowywać nowy typ ludzi, gotowych do służby i ofiar, do surowych form i twardego trybu życia, do podporządkowania swych celów zadaniom i potrzebom wspólnoty narodowej, koniecznościom państwowym.

Podporządkowanie i posłuszeństwo przewódcom, waleczność i odwaga, zrozumienie dla całości, bojowość woli i ramienia [1]) — oto w czym upatruje Krieck wychowawcze wartości, konstytuujące zarówno wspólny i obowiązujący porządek państwowy jak i osobowość jednostki. Potępia on i odrzuca encyklopedyzm ogólnego wykształcenia, jak i autonomię nauki, zaznaczając, iż nauka winna być wolna w wynikach swej pracy, ale nie w podejmowaniu zadań do rozwiązania, w kierunkowości swoich zainteresowań. Kultura i polityka winny iść razem ręka w rękę, albowiem wspólne jest ich zadanie: uporządkowanie życia narodowego. [2])

Nacjonalizacja wychowania staje się u Kriecka tożsama z jego polityzacją.

Obok proroka i geniusza trzecim twórcą wartości narodowych jest wojownik, polityk, człowiek rasy, dyscypliny, krwi, mocy i czci, bohater dźwigający na sobie brzemię historii, twórca państwa. Państwo jest zewnętrzną formą życia narodu, organem jego działalności i woli. Bez państwa naród jest prostym tylko materiałem ludzkim, gromadą, sumą, dzięki państwu zaś stwarza sobie potrzebny mu teren pracy,

[1]) Op. cit. 83—84.
[2]) Op. cit. 127.

zdobywa możliwość swego wzrostu i rozwoju. W państwie ucieleśnia się wielkość i wolność narodu. Główne zadanie państwa widzi Krieck w kształtowaniu zbiorowej woli narodu, w organizowaniu życia i wychowania wspólnoty narodowej. Dlatego też wychowanie i polityka są według niego jednym i tym samym: warunkują się one i wspierają nawzajem i w tym współdziałaniu dopiero stwarzają żywą jedność organizmu narodowego. Toteż od decyzji politycznej uzależnia Krieck wszelkie dziedziny życia, podporządkowując wszystkie zadaniom, jakie narzuca narodowi los i potrzeba. Za podstawowe zadanie instytucyj politycznych uważa on zniesienie wszelkiego partykularyzmu, przezwyciężenie wszelkich odśrodkowych dążeń, poddanie jednostek i sił społecznych całości narodowej, organizowanie jednolitej zdobywczej woli zbiorowej.

W ten sposób rozwój myślowy Kriecka doprowadził go w końcu do ideologii narodowo-socjalistycznej, do przeciwstawienia Poczdamu Wejmarowi. Broni on tej ideologii w swoim ostatnim dziele, propaguje ją w piśmie *Das Volk im Werden*. Z licznych uczniów, których wychował, głównie tu Filipa Hoerdta wymienić należy.

W poglądach Kriecka wyraża się najjaskrawiej ów proces polityzacji człowieka i wszelkich stosunków, jaki dokonywuje się w Niemczech współczesnych.[1]) Nowe państwo, „państwo totalne" pragnie zmobilizowania wszelkich sił społecznych w swojej służbie i domaga się politycznego wychowania. Wychowanie obywatelskie już nie wystarcza. „Obywatel" zbyt trąci znienawidzonym liberalizmem.[2]) Posiada on bowiem jeszcze swoją prywatną dziedzinę życia, chronioną przez podstawowe prawa liberalne, podczas gdy „człowiek polityczny" gotów jest do całkowitego oddania się

[1]) „Straszliwym ideałem owej chwili jest — zauważa Alois Fischer (Bildungspolitische Ideen u. Mächte der Gegenwart, *Neue Jahrbücher f. Wissenschaft u. Jugenbildung* 1932, 19) przezwyciężenie ostatniej reszty swobodnego, rzeczowego myślenia i czysto uczuciowego przymierza wszystkich ze wszystkimi w bezwzględnej walce wszystkich ze wszystkimi, w absolutnym zwycięstwie bardziej lub mniej brutalnych instynktów mocy"

[2]) Giese G.: Begriff u. Aufgabe einer politischen Pädagogig, *Neue Jahrb.* 1934, 2. Freyer H.: Von der Volksbildung zur politischen Schulung, *Die Erziehung* 1933, 7.

państwu, do zupełnego poświęcenia nawet swojej prywatnej egzystencji na rzecz całości, do unicestwienia swojej woli w woli przewódcy. Naród nie jest sprawą kształcenia, jest on dziełem woli politycznej, czynu politycznego. Przewództwo i posłuszeństwo stanowi jedyną formę egzystencjalną narodu jako tworu politycznego. „Naród orszakiem wodza" — oto formuła obowiązująca we wszystkich dziedzinach życia. [1])

Toteż w rozważaniach uczniów Kriecka i jego naśladowców „filozofia wychowania" stała się „pedagogiką polityczną". Głosząc, iż dobro narodowo-państwowej społeczności winno być naczelną zasadą wszelkiej działalności, domaga się ona politycznego przeszkolenia, fizycznego i wojskowego przysposobienia celem całkowitego przeobrażenia woli ludzkiej i przygotowania jej do służby państwu. Wychowanie polityczne musi być najważniejszą troską szkoły: ma ona wychować młodzież posłuszną, karną, gotową do oddania i poświęcenia wszystkiego dla obrony wielkości państwowej Niemiec. Dlatego szczególny nacisk kładzie owa pedagogika na nauczanie odpowiednio spreparowanej historii.

Jako bezwzględne narzędzie polityki państwowej pedagogika polityczna lekceważy wartość jednostki, nie dostrzega znaczenia osobowości ludzkiej. Nie jest ona pedagogiką kultury państwowej i kultury społecznej, nie szuka dróg do urzeczywistnienia równowagi pomiędzy państwem a siłami społecznymi, do pogłębienia więzi społecznej i organizacyjnej państwa, ale staje się uświęceniem brutalnych instynktów mocy i tyranii państwowej. Wychowanie polityczne nie dba o to, aby jednostka była osobowością uspołecznioną, świadomą wartości i tradycyj państwowych, gotową do odpowiedzialnej pracy w ramach grupy państwowej, ale przemienia ją w prosty przedmiot fizyczny, poddany i uległy przymusowi państwowemu. Gdy wychowanie obywatelskie zaprawia jednostkę do współdziałania dla dobra ogólnego, budzi w niej świadomość odpowiedzialności społecznej za siebie i grupę, wszczepia w nią ideały i wartości grupy, wychowanie poli-

[1]) Müller K.: Politische Erziehung u. höhere Schule, *Neue Jahrbücher* 1933, 293.

tyczne dąży do zupełnego unicestwienia woli jednostki w woli państwowej. Wartość osobowości uzależnia ono nie od swobodnego i świadomego zmagania się z zadaniami wyrastającymi poza cele jednostkowe, ciasne i ograniczone, ale od bezwzględnego podporządkowania się wymaganiom państwa.

„Nie da się zaprzeczyć, iż osobowość soki czerpie dla swego wzrostu i rozkwitu przede wszystkim z kultury narodowej, z życia wspólnoty duchowej zrodzonej z krwi i potu naszych przodków, błędnym jest atoli pogląd Kriecka, iż wartość kultury narodowej mierzy się wyłącznie jej usługami politycznymi, jej znaczeniem dla integracji grupy społecznej, narodowej czy państwowej. Prawdziwa kultura godzi się łatwo z ogólno-ludzką, gdyż, jak i ta ostatnia, jest pełna i bezinteresowna, kształci i buduje, zespala i wiąże, uczy poświęcenia się i wyrzeczenia, jest tożsama z najgłębszym podłożem osobowości". [1])

Prawdziwa kultura istnieć i rozwijać się może jednak wtedy tylko, jeśli w jednostkach żywą jest wola poświęcenia i bezinteresowności, ciągła dążność do doskonalenia się wewnętrznego, gotowość do stwarzania nowych wartości w twórczym zmaganiu się z zadaniami, jakie narzucają jej warunki ludzkiej rzeczywistości. Toteż nie od biernego podporządkowania się całości plemiennej uzależniać należy — jak to czyni Krieck — wartość osobowości ludzkiej, ale od świadomego, odpowiedzialnego ustosunkowania się człowieka zarówno do siebie jak i do wszystkiego co ludzkie. Wiązanie jednostki mechaniczną siecią zależności, przymusu i groźby musi osłabić jej naturalną skłonność do współpracy i współdziałania i prowadzić ostatecznie do zagłady życia duchowego i zapanowania barbarzyństwa.

---

[1]) Chmaj L.: Spór w pedagogice, *Marchołt*, 1935.

Dr Ludwik Chmaj.

LITERATURA

Krieck E.: *Persönlichkeit u. Kultur*, Heidelberg 1910.
Lessing u. die Erziehung des Menschengeschlechts, Heidelberg 1913
Die deutsche Staatsidee, ihre Geburt aus dem Erziehungs - u. Entwicklungsgedanken, Jena 1917.

Grundriss des neuen Reichs: Volksstaat u. Volkstum, Jena 1919.
Die Revolution der Wissenschaft. Ein Kapitel über Volkserziehung, Jena 1920.
Erziehung und Entwicklung. Vorspiele zur autonomen Pädagogik, Karlsruhe 1921.
Philosophie der Erziehung, Jena 1922, 1930.
Dichtung u. Erziehung, Karlsruhe 1924.
Staat u. Kirche im Kampf um das Bildungswesen, Hamburg 1925.
Menschenformung. Grundzüge der vergleichenden Erziehungswissenschaft, Leipzig 1925.
Grundriss der Erziehungswissenschaft, Leipzig 1927.
Bildungssysteme der Kulturvölker, Leipzig 1927.
Der Staat des deutschen Menschen, Berlin 1928.
Philosophie der Erziehung w Schnassa *Einführung in die Philosophie*, Osterwieck 1928, 341—374.
Die Abhängigkeit der Pädagogik von den Mächten des Soziallebens u. die soziale Funktion der Pädagogik (Nohl-Palat, *Handbuch der Pädagogik* II, Langensalza 1928).
Deutsche Kulturpolitik, Frankfurt am Main 1928.
Musische Erziehung, Wolfenbüttel 1928.
Staat und Kultur, Frankfurt am Main 1928.
Das Naturrecht der Körperschaften auf Erziehung u. Bildung, Berlin 1930.
Geschichte der Bildung, München 1930.
Grundlegende Erziehung, Erfurt 1930.
Erziehungsphilosophie, München 1930.
Die Aufgabe der deutschen Bildung, Darmstadt 1931.
Völkischer Gesamtstaat u. nationale Erziehung, Heidelberg 1931, 1932.
Nationalpolitische Erziehung, Leipzig 1932, 1934. Niedawno dzieło to wyszło w polskim przekładzie O. Wawrzkowicza z wstępem dr Antoniego Ryniewicza (Książnica - Atlas).
Völkisch - politische Anthropologie. I. *Die Wirklichkeit* 1936.
Volk im Werden, pod red. Kriecka.

Hoerdt Ph.: *Vom Sinn der Schule*, Karlsruhe 1924.
Geschichte u. Geschichtsunterricht, Karslruhe 1926.
Muttersprache u. Volkserziehung, Karlsruhe 1926.
Der Durchbruch der Volkheit u. die Schule, Leipzig 1932.

Chmaj L.: Spór w pedagogice, *Marchołt* 1935.

Jastrzębska J.: Współczesne prądy w pedagogii niemieckiej, *Kwart. Pedag.* 1935.

Sekreta M.: Polityka szkolna Niemiec hitlerowskich. *Chowanna* 1935.

Chleb powszedni Skargi.

Przy próbach kreślenia charakterystyki Skargi, nigdy nie będzie momentem zbędnym zwrócić baczniejszą uwagę na tę jego w r. 1568 decyzję przejścia z kleru świeckiego do zakonu oo. Jezuitów.

Zestawmy daty:

Urodzony w r. 1532, ma więc wówczas lat trzydzieści sześć, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1563; pięć lat tylko upłynęło mu w służbie Kościołowi zanim przywdział habit — i jakąż karierę (wyrażając się nieco uproszczonym sposobem) zdobył w hierarchii eklezjastycznej przez te krótkie pięć lat? Probostwo w Rohatynie, jedno ze znaczniejszych w diecezji, kanonia lwowska, kanclerstwo kapituły! Trzydziestosześcio-letni ksiądz, tak pospiesznie kroczący po szczeblach dostojeństw swojego stanu, czy mógłby liczyć na dalsze awanse? Tutaj zdania są podzielone.

Historycy zwracają uwagę, że Skardze, synowi mieszczańskiemu, trudno by było marzyć o infule; są tacy biografowie przyszłego kaznodziei królewskiego, którzy podejrzewają, że z tego to powodu wolał przywdziać suknię zakonną, we wpływach Jezuitów licząc na możliwe wysokie stanowiska. Zwraca się też uwagę, że w Polsce ówczesnej jedyna diecezja Warmijska dawała możność księdzu nie szlacheckiego pochodzenia sięgać po biskupstwo i nawet purpurę kardynalską, jak tego przykładem był Hozjusz. Dobrze, ale czy dla wyjątkowo zdolnego, w młodych latach już obdarzonego kanclerstwem kapitularnym kanonika nie dałoby się wyjednać biskupstwa właśnie warmijskiego? Potrzeba by na to silnej protekcji? Tę miał Skarga: Tęczyńscy, Tarłowie. Nie popełnialiby nadużycia, gdyby protegowali

Skargę: dopominali by się o pastorał dla jednego z najinteligentniejszych i najgorliwszych w wierze księży współczesnych, znakomitego organizatora.

Ale choćby nawet nie było mowy o dalszych wywyższeniach w ramach kleru świeckiego, to czyż już sama kanonia lwowska i kanclerstwo kapituły nie było czymś — w życiowych kategoriach rzecz biorąc — czymś wyższym od rozpoczynania służby zakonnej? Kroiły mu się w przyszłości zaszczyty z poręki zakonu, mówi się, trochę to na naiwność zakrawa, boć Skarga, wstępując do zakonu Jezuitów, wiedział doskonale, że profesi tego zakonu ślubem zobowiązują się do nieprzyjmowania kościelnych godności. Czyżby Skarga nie wiedział, że sam Ignacy Loyola walczył niestrudzenie, a ze skutkiem, by Kanizego uwolnić od biskupstwa wiedeńskiego a Layneza i Franciszka Borgiasza od kardynalskiej purpury? Ale przyjmując nawet i te przypuszczenia za możliwość, to jednak trzeba stwierdzić, że byłyby by to jedynie obietnice, niczym nie zagwarantowane, gdy uzyskane już zaszczyty lwowskie były faktem. Żadne domysły i żadne hipotezy o karierowych impulsach Skargi przy wdziewaniu habitu zakonnego nie zmienią niespornej prawdy, że jeden z wydatniejszych kanoników w swojej kapitule degradował się dobrowolnie, gdy wstępował do nowicjatu oo. Jezuitów, że więc tylko idealistycznych pobudek szukać należy w jego postanowieniu. Nie był Skarga jedynym wówczas księdzem świeckim, którego pociągnęła aureola dzieła św. Ignacego Loyoli, dość tu wspomnieć choćby Stanisława Warszewickiego, ale nikt może tyle, ile Skarga, nie tracił, doczesnym językiem mówiąc, przy zamianie fioletów na habit. Jakże silna, jak głęboka musiała w nim powstać potrzeba wewnętrzna oddania całego swego życia nakazom klasztornym, pokory, ubóstwa.

I jest coś niemal ekstatycznego w jego radości, doznawanej z praktykowania tych rygorów:

Radbych obrócił oczy nam nieprzyjaznych, aby jakim okienkiem wypatrzyli, co się w tym zakonie dzieje. Napatrzyłby się każdy ubóstwa wielkiego, ujrzałby dziwną ku starszym powolność. Żywnostka, suknia i łóżko ubóstwem pokryte, próżnować niema czasu.

Osobiste uzdolnienia wysuwają go później na znaczne stanowiska, ale chyba znamy na tyle Skargę, by to określenie zmienić: na znaczne o b o w i ą z k i. Nie było też w jego życiu takiej godności, któraby go zmusiła do rozstania się z umiłowanym ubóstwem. Jako kaznodzieja Zygmunta III-go, zamieszkały na zamku królewskim, nie tylko mógłby sobie pozwolić, ale nawet, ze względu na konieczności reprezentacyjne, powinien był zaaprobować jakąś wykwintniejszą kwaterę — tymczasem, jak to stwierdza Birkowski:

Ktokolwiek wszedł do komórki jego, dziwował się każdy, iż tak ubogie łóżko, lawatarz, ławki, stoliki nie przybrane widział.

Możnaby przypuścić, że taka spartańskość odpowiadała przyrodzonemu, ludowemu usposobieniu Skargi. Prof. Windakiewicz z okruchów wiadomości, jakie współcześni zachowali o królewskim kaznodziei, wyłuskał szereg wniosków, że Skarga w przed-zakonnych swoich czasach znał się na wystawniejszym życiu, miał nawet „skłonność do Odrodzenia", co i zrozumiałe u dawnego towarzysza paniąt i magnatów. Dopiero więc ten decydujący przełom, który go zaprowadzi do Towarzystwa Jezusowego, przekreśla w nim wszystko, coby przeczyło dosłownemu sensowi prośby: „chleba naszego powszedniego daj nam dziś Panie" — powszedniego chleba, więc tylko tego, co najniezbędniejsze do istnienia tu na ziemi — i nic więcej.

Radość ubóstwa, zdolność do wyrzeczenia się dostatków, niepamięć o sobie — wszystko to tłumaczy się jasno u natur, dalekich od rzeczywistości, albo u ludzi o wątłych impulsach, anemicznych pragnieniach, małej wyobraźni życia — jasno się też to tłumaczy u marzycieli albo u jednostek, skłonnych do abstrakcji, która kryje życie przed ich oczami. Czy to jest jednak portret duchowy autora „Kazań sejmowych"? Wszystkie te cechy stoją w żywej sprzeczności z autentycznym Skargą.

Mózg jak najdalszy od wszelkiej abstrakcyjności. Jego myśl ożywiała się najbardziej przy zetknięciu z dotykalną realnością czy to wiary, czy życiowych zagadnień Kościoła, czy ojczyzny, bliźnich. O tych jego właściwościach nic nam

tak nie da wyobrażenia, jak ów wykład o istocie sakramentów św., zawarty w kazaniu pierwszym o „Siedmiu Sakramentach".

Sakramenta święte — mówi tutaj Skarga:

są jako wiadra, którymi czerpamy wodę zbawienia ze źródła męki, wysług i śmierci Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Znaki sakramentalne, pod którymi Bóg dary łaski swojej daje:

nie są przyrodzone, jako jest dym, po którym się ogień i zorza, po której się wschód słońca i wonia, po której się ziele znaczy, — ale są z woli i z postanowienia, jako gdy kamień dla rozgraniczenia, albo chorągiew dla żołnierza postawią.

Znów gdy chce wytłumaczyć różnicę między niezbędnością chrztu św. a pomocnością innych sakramentów, np. bierzmowania:

Bierzmowanie potrzebne jest nie tyle żeby zbawienie było, ale żeby bezpiecznie było, jako: kto konia ma na drogę, bezpieczniejszy jest do jachania tam, gdzie myśli, choć też pieszo chodzić może.

O stosunku wiary do sakramentów:

Jako do rozniecania ognia suche drwa pomagają, aby ogień gorzał, ale mocy i gorącości ogniowi nie dają, bo moc i gorącość w samym ogniu jest, — tak wiara biorącego Sakrament, Sakramentom mocy nie daje, ale się do pożytku z nich brania, jako suche drwa do ognia, sposobi i przyprawuje.

Z mnogości innych wywodów wyjęte, te kilka przykładów świadczą, że Skarga zupełnie swobodnym się czuł w sferze subtelnych precyzyj teologicznych, ale umysł jego nie spoczął, dopóki ze sfery pojęć oderwanych nie sprowadził ich na grunt przenośni czysto ziemskiej, a wysnutej z analogij jak najbardziej potocznego życia: te wiadra domowe, ten kamień graniczny, znany każdemu słuchaczowi, to ziele, ten ogień na polu ze ścielącym się dymem, zdala oku widzialnym, zanim się jeszcze ogień ujrzy — ta zorza, zwiastunka wschodzącego słońca, ta chorągiew żołnierska, jako rzecz doświadczona przez każdego z ówczesnych Polaków, ten obraz konia zaprzężonego do drogi, ta suchego drwa do ognia użyteczność, którą poświadczy każda ze słuchających

jego kazania gospodyń — wszystko to doskonale codzienne, realne. Czy tylko dla słuchaczów swoich szuka mówca tych porównań z uchwytnej powszedniości? Przeciętna wrażliwość artystyczna wyczuje, że i dla samego siebie Skarga uziemia tu czysto abstrakcyjny element teologiczny — i że dopiero na osnowie jak najbardziej konkretnej poetyzuje mu się i potężnieje to, co dla innych do wielkości dochodzi tylko w ramach Tajemnicy.

Uczuciowość Skargi nie miała nic z egzaltacji. — Nie był pozbawiony zmysłu humoru; w obcowaniu z ludźmi nie umiał się gorszyć wystawniejszymi ich biesiadami czy huczniejszym rozweselaniem się ich przy kielichu. Z ubogiej izdebki swej, z tej „komórki", jak ją nazywa Birkowski, bez zaniepokojenia patrzył na przepychy dworskie, na bogactwa możnych, na uciechy bliźnich. W oczach np. Savonaroli uchodzić by mógł pod tym względem za człowieka świeckiego. — Czy tak było, jak to prof. Windakiewicz o przyjaźniach Skargi twierdzi, że „właściwie nie ludzi kochał, ale idee, które oni w głowie jego przedstawiali", że „przywiązanie jego do ludzi zbliża się raczej do bezosobowej adoracji ich przymiotów" — to sprawa do dyskusji, a zwłaszcza do porozumienia się, czym przyjaźń jest w zasadzie swej moralnej — w każdym razie nie kto inny, lecz właśnie prof. Windakiewicz zestawił obszerną listę ludzi, dla których Skarga czuł serdeczną przyjaźń. Poza tym z zażyłością obracał się pośród mnóstwa osób, wiązały go z nimi ożywione stosunki towarzyskie. Nic nie przemawia za tym, że Skarga nie był typem ludzkim, a w każdym razie daleki był od tych spotykanych nieraz konsekwencyj ascezy, które nas odsuwają od bliźniego. I w tej więc mierze nie było w Skardze nic z przesady — i tu widzimy go, jako jednostkę uczuciowo zrównoważoną, tzw. życiową.

Napróżno byśmy go sobie przedstawiali, jako gatunek psychiczny o takim wysublimowaniu kontemplacyjności, gdzie niema już różnicy między tą kontemplacyjnością, a ...pasywnością. Przeciwnie: Skarga jest doskonałym przykładem aktywności. Jeden z tych, którzy najskuteczniej umieją się modlić czynami swymi. Gdzie Skargę rozkaz władzy zakonnej przeniesie, tam jego pobyt znaczy się roz-

rostem działalności oo. Jezuitów, budową lub odnową świątyń, tworzeniem klasztornych instytucyj. W Wilnie *magna pars fuit* przy przeistoczeniu kolegium w akademię; szkoły jezuickie tworzy w Połocku, Rydze, Warszawie i Krakowie. Z talentem organizacyjnym wykazywał się zresztą nie tylko w tym zakresie, bezpośrednio wiążącym się z zadaniami zakonu; — na tle epoki widzimy go jako jednego z najenergiczniejszych, jeśli nie najenergiczniejszego twórcę rozlicznych urządzeń, które dziś wchodziłyby w dziedzinę Akcji katolickiej, albo nawet przypadałyby w udziale ideom czysto świeckiej pomocy społecznej.

Monumentalna świetność Skargi - pisarza, Skargi, jako poety słowa Bożego — na wtóry plan odsuwa naszej wyobraźni wizerunek Skargi, jako twórcy dzieł życia. A przecież tylko zarejestrować poczet tych dzieł:

Bractwo miłosierdzia, które spełniało to, co potem na Zachodzie rozrośnie się w czyn św. Wincentego à Paulo.

skrzynka św. Mikołaja, towarzystwo pomocy materialnej dla ubogich dziewcząt, głównie dla uchronienia ich przed nierządem;

bractwo św. Łazarza, skrystalizowane potem przez Skargę w czyn stworzenia szpitala dla ubogich;

bank Pobożny, lombard, użyczający pożyczek bezprocentowych pod zastaw, dla wyrywania z rąk lichwiarzy małych warsztatów rękodzielniczych i wogóle ludzi, potrzebujących drobnego kredytu. [1])

To wszystko obmyślił i przemyślił, to wszystko w czyn wprowadził i trwałość działania tym przedsięwzięciom ugruntował. Wzory czerpał z Zachodu Europy, zwłaszcza z Włoch, ale był pierwszym u nas, który te wzory na polskim gruncie realizował, stając się przez to jakby patronem wszystkich późniejszych u nas instytucyj tego typu, współdzielczości nie wyłączając.

Na ewangelicznym uczuciu miłosierdzia wyrastające, silnie zespolone z praktykami kościelnymi — poczynania te

---

[1]) Obszerniejsze rozważania o tej stronie działalności Skargi znajdzie czytelnik w rozprawie ks. J. Szkudelskiego: „Duszpasterstwo społeczne według księdza Piotra Skargi".

noszą jednak na sobie znamię innej jeszcze właściwości Skargi i jego zmysłu praktyczności.

Natychmiast po wprowadzeniu w życie każdego z tych urządzeń, gospodarski syn, rządny Mazur Skarga krząta się koło tego, by idea nie zapadła w nieużytek teorii. Impulsy i uczucia chętnych natychmiast cementuje postanowieniami statutów, gdzie obowiązki członków poddane są wyraźnym rygorom, że tu dla przykładu zacytujemy choćby art. 6. i 7 statutu Bractwa miłosierdzia:

Co tydzień dwa bracia z Bractwa do jednego szpitala w Krakowie i do więzienia iść mają, nawiedzając ubogie i więźnie, przynosząc im naznaczoną jałmużnę świecką i duchową, jeśli z sobą kapłana, któryby ich do dobrego i cierpliwości upominał, mieć mogą. A białegłowy toż też czynić mają, ale nie z powinności ani wszystkie, jeno które chcą, niosąc także z skrzynki ubogich jałmużnę naznaczoną.

Gdy tego potrzeba, persony płci męskiej tego Bractwa, na to naznaczone, powinny stać u kościoła prosząc, jałmużny na takie ubogie, abo też i gdzieindziej na innym miejscu, i u osób, gdzieby była nadzieja pomocy, do domów chodząc, powinny jałmużny prosić.

Poczucie rzeczywistości jeszcze wyraźniej się może odbije w wezwaniach i wołaniach Skargi o założenie „Skrzynki św. Mikołaja" dla ubogich dziewcząt:

Wizytuj, najdziesz dom taki, w którym zostaje wdowa z kilką urodziwych córek, nie masz ich czym odziać, nie masz czym karmić. Co myśli matka za oną nędzę wielką? Córka, mówi, musi myśleć o sobie, abo czystość i wstyd przedać, abo głodem umrzeć. Znajdziesz takich rodziców, co sami córki swe do złego popychają i zaprzedają, drugich niewinne oczy i uszy wszystkiego się złego napatrzą i nasłuchają: przykłady złe i nieuczciwe i najlepszych wzgorszą. Cóż tu czynić? Zabiegać temu, broniąc czystości i grzechu pieniądzmi, opatrzeniem, jałmużną, jeśli rzecz potrzebna, za którą wielka odpłata, większa niśli żebraki karmić.

Na dwa wieki przed usiłowaną teorią kryminologiczną, że przestępstwo czy grzech jest do pewnego stopnia produktem warunków socjalnych, na dwa wieki przed tym wygłasza Skarga tę zasadę w zacytowanym powyżej wezwaniu. Dziś dla nas to aksjomatyczne, co mówi tutaj o nierządzie,

jąko konsekwencji nędzy, ale w wieku XVI-tym brzmiało to może rewelacyjnie i kto wie? — może nawet niejednego gorszyło? — „Skrzynka św. Mikołaja" była powtórzeniem instytucji włoskiej, stworzonej przez kardynała de Torrecremata? Setki innych Polaków do Włoch jeździły i o dziele tym słyszeć mogły — jeden jedyny Skarga włoską instytucję pojął i sens jej zgłębił.

„Pieniądzmi bronić czystości" moralnej — ten ustęp z wezwania Skargi brzmi niemal drastycznie, a w każdym razie — materialistycznie. U tak świetnego stylisty nie mogło to być przejęzyczeniem się; ten twardy zwrot to tylko odwaga wypowiedzenia się bez retorycznych obsłonek. Chcąc być szczerym, Skarga tak to, nie inaczej, musiał napisać.

Gdy go sobie przedstawiamy li tylko jako kaznodzieję, postawionego na ambonie wysoko, między ziemią a niebem, ziemię nawołującego, by się stała godną nieba — wówczas w tym ekstatyku wiary i patriotyzmu trudno nam się doszukać Skargi, który zszedłszy z kazalnicy, dotyka stopą twardej ziemi. Ten drugi Skarga przedstawi nam się zawsze jako umysł, dobrze odmierzający wszelkie możliwości, wolny od ułud, by rzeczywistość mogła przestać być rzeczywistością. Nie znamy bodaj żadnego jego pola działań praktycznych, gdzieby inicjował rzeczy, nie dające się doprowadzić do zwycięskiego końca. Możnaby zaryzykować twierdzenie, że głowa tego posybilisty zdolna była nawet marzyć o sprawach li tylko podatnych do realizacji. Jeden z tych, którzy zamiary mierzą na siły.

Umysł praktyczny, gospodarny, wola w działaniach obrotna, realista — jakże to znowu pogodzić z radością osobistego ubóstwa, z ascetyzmem, o którym tak obrazowo mówi Birkowski? jak taką naturę pogodzić z absolutną niepamięcią o sobie?

Otwiera się ta zagadka nader prostym kluczem:

Skarga należał do ludzi, u których energia do czynu i zdolności do działań budzą się dopiero wtedy, gdy trzeba coś materialnego stworzyć dla bliźnich, nie dla siebie. Jeden z tych, którzy werset Modlitwy Pańskiej pomimo woli zmie-

niają w tekst: „chleba i c h powszedniego daj i m Panie". — Przebiegając oczami spis intytucyj, powołanych przez niego do życia, widzi się, że wszystkie one powstały z troską o najbardziej potrzebujących i najbardziej cierpiących. O głodnych, o wydanych grzechowi przez nędzę, o więźniach, o chorych, o zaplątanych w lichwiarskie szpony. Wreszcie o ludzie pańszczyźnianym, o którego dolę upominał się z siłą, jakiej nie znaleźć u żadnego innego humanitarysty w jego czasach.

Ten to Skarga, synonim aktywnego miłosierdzia, staje się nam przedziwnie bliski w naszej epoce, w latach, które nam z dopustu losów zesłano i w tej „strukturalnej" niemal niedoli materialnej, jaką tyle milionów przeżywa. Gdyby wśród nas dziś żył, napróżno by mu było wykresami ekonomicznymi dowodzić, że miłosierdzie nie przewalczy determinizmu gospodarczego. Nie uwierzył by i czynami by dowiódł, że ma słuszność. Przekonałby nas, że można zmniejszyć nędzę mas, głodowanie i zdziczenie z głodu, jeśli tylko serca ludzkie zechcą być czynniejsze. Nie pojąłby, jak się to dziać może, że śmiercią z nędzy giną jedni, gdy tylu jednak obok wykazuje się nadmiarem chleba powszedniego. Być może przypomniał by wierzącym, że w pacierzu swoim codziennym mówią „chleba n a s z e g o", nie zaś „chleba m o j e g o" powszedniego daj nam Panie.

Adam Grzymała-Siedlecki.

Mocarstwowa rywalizacja śródziemnomorska.

I.

Mniej lub więcej gwałtowne zmiany, występujące już od paru lat w polityce międzynarodowej, zmieniły szczególnie wyraźnie i radykalnie wzajemne ustosunkowanie się mocarstw na Morzu Śródziemnym. Chociaż dopiero konflikt brytyjsko-włoski, wywołany wojną abisyńską, zwrócił uwagę Europy na śródziemnomorską rywalizację wielkich mocarstw, to jednak nie brakło już w okresie powojennym momentów, gdy tendencje polityczne tych państw zaostrzały ich antagonizmy na tym właśnie morzu. Jednak ówczesne dysproporcje ich sił ekonomicznych, politycznych i militarnych pozwalały na łatwiejsze tłumienie tych antagonizmów drogą dyplomatycznych i poufnych porozumień. Zmiany, zachodzące we wzajemnym stosunku sił mocarstwowych na Morzu Śródziemnym, oraz powrót Niemiec i Rosji, jako ważkiego czynnika w politycznych rozgrywkach Europy, zawikłały i wyjaskrawiły wspomnianą rywalizację i wywołały potrzebę rewizji statutu prawnego, politycznego i militarnego, tak samego Śródziemnego Morza, jak i dojść do niego prowadzących.

Chociaż Morze Śródziemne, stające się z biegiem lat coraz ważniejszą drogą morską, odgrywa poważną rolę w systemie gospodarczym całej Europy, to jednak z pośród wielkich mocarstw najbardziej i najwszechstronniej zainteresowanych w możliwościach jego swobodnego i stałego użytkowania są Italia, W. Brytania i Francja.

Od roku 1704, w którym Gibraltar przeszedł w ręce brytyjskie, osiągnęła Wielka Brytania decydujące znaczenie na Morzu Śródziemnym. Okres wojen napoleońskich, pozwalając Anglii na zdobycie Malty, oraz przejściową kilkudziesięcioletnią okupację wysp Jońskich podkreśliły jeszcze bardziej, to rosnące znaczenie. Otwarcie Kanału Sueskiego, skracającego o dziesiątki tysięcy kilometrów morskie połączenie z Indiami i Wschodem, podniosło jeszcze bardziej w oczach brytyjskich wartości Morza Śródziemnego oraz spowodowało, że dla zabezpieczenia swobodnego użytkowania tej drogi zajęła W. Brytania Cypr, Egipt a wreszcie i Palestynę. Sukcesy osiągnięte w wojnie światowej, pozwoliły na wzmożenie się brytyjskich wpływów w Iraku, na opanowanie jego źródeł naftowych i przeprowadzenie naftowego rurociągu ku Haifie, umożliwiającego niezależne zaopatrywanie floty śródziemnomorskiej, jak i wzrost wpływów politycznych i ekonomicznych na całym półwyspie Arabskim. Zdawało się, iż te zdobycze zapewnią na wieczne czasy Brytyjczykom swobodną drogę do ich posiadłości na oceanach Indyjskim i Spokojnym, oraz niepodzielną hegemonię na Morzu Śródziemnym.

Te same jednak połączenia śródziemnomorskie i możność ich stałego użytkowania odgrywają w imperialnym systemie Francji nie mniejszą rolę. Bezpieczeństwo bowiem tych połączeń umożliwia jej gospodarczą eksploatację najbardziej zaludnionych części jej olbrzymiego imperium afrykańskiego. Skąd też tylko istotne i stałe bezpieczeństwo tych dróg komunikacyjnych może jej ułatwić racjonalne zorganizowanie tego imperium, umożliwiając pokojowe i wojenne zaopatrywanie się w surowce i zbyt wyrobów przemysłowych, jak również szybkie i bezpieczne przerzucanie sił kolonialnych na terytoria metropolitalne dla ochrony ich granic. Oczywiście te transporty odbywać się mogą tak samo i drogą atlantycką, jednak jest ona i znacznie dłuższą i mniej bezpieczną, gdyż bardziej wystawioną na ataki krążowników i łodzi podwodnych historycznego przeciwnika ze Wschodu. Jeżeli stan zachodniego odcinka Morza Śródziemnego decyduje o bezpieczeństwie i wyżywieniu Francji, to sytuacja w jego części wschodniej niemniej poważnie może

wpłynąć na bezpieczeństwo połączeń Francji z jej indochińskimi posiadłościami, oraz zadecydować o dostępie do źródeł naftowych Iraku, w $^1/_4$ części swej produkcji należących do Francji, czyniąc całkowicie bezużyteczną jej syryjską gałąź naftociągu.

Droga śródziemnomorska, odgrywająca niewątpliwie bardzo poważną rolę w systemie imperiów, tak francuskiego, jak i brytyjskiego, jest jednak dla nich obu tylko najlepszą z szeregu innych. Dla Italii zaś położonej w samym środku tego morza, nawet choćby nie posiadała żadnej posiadłości kolonialnej, jest ona jedyną drogą, umożliwiającą jej połączenia ze światem, oraz zaopatrywanie się we wszelkiego rodzaju surowce, których obfitością nie odznaczają się jej ojczyste terytoria. Stąd też w ostatnich latach przeszło 80% zagranicznego obrotu towarowego Italii dokonywało się na szlakach morskich a tylko niecałe 20% szło przez trudno dostępną górską granicę lądową. Małe jednak bardzo możliwości ekonomiczne i osiedleńcze dotychczasowych kolonialnych posiadłości Italii, nie tylko że nie pozwalały na zbytnią intensyfikację ich połączeń z metropolią, lecz także nie zaostrzały sprawy ich bezpieczeństwa. Sytuacja radykalnie się zmieniła z chwilą zajęcia przez Italię terytoriów abisyńskich. Całkowite wyzyskanie ich możliwości ekonomicznych i osiedleńczych, nie tylko uczyni niesłychanie ważnym zagadnienie ich połączeń z metropolią, a więc i podniesie w oczach Włochów wartość Kanału Sueskiego, lecz także wytworzy na tych ziemiach ośrodek wpływów politycznych i militarnych, mogących promieniować tak na półwysep Arabski i sąsiednie kraje afrykańskie, jak i na dalsze kraje oceanów Indyjskiego i Pacyfiku.

W sytuacji politycznej i militarnej Morza Śródziemnego zainteresowane są jednak nie tylko te trzy wielkie mocarstwa, z jego wodami i bezpieczeństwem ich użytkowania związane są losy także i innych państw. Kompletna wolność żeglugi na nich, umożliwia prosperowanie handlowej flocie Grecji o przeszło półtora milionowym tonażu, oraz daje możność swobodnych morskich połączeń z całym światem Turcji i Jugosławii, a za pośrednictwem cieśnin czarnomorskich, także Rumunii, Bułgarii i Rosji. Z pośród tych ostat-

nich szczególnie Rosja, po szeregu porażek, poniesionych na dalekim Wschodzie, zaczęła znów zwracać baczniejszą uwagę na tę południowo-morską drogę, dając tego dowody w szeregu swych ostatnich posunięć politycznych. Holandia, zajmująca swą banderą trzecie miejsce w ruchu na Kanale Sueskim, zawdzięcza Morzu Śródziemnemu krótkie i łatwe połączenia ze swymi bogatymi koloniami Indyj. Na tejże drodze śródziemnomorskiej, najbardziej międzynarodowej ze wszystkich istniejących, spotyka się coraz liczniejsze przedstawicielstwa wszystkich bander świata. Młoda polska bandera morska potrafiła też ustalić na tych wodach jedną ze swych regularnych linij i również staje się zainteresowaną w możliwościach korzystania, dzięki połączeniom za pośrednictwem tych wód, z rozbudowujących się rynków Azji bliższej i Afryki. Wreszcie temiż drogami płyną statki, łączące zachodnie wybrzeża Ameryki z krajami oceanu Indyjskiego.

Morze Śródziemne, łącząc się z wodami oceanów za pośrednictwem dwuch tylko wąskich przejść, posiada wszystkie cechy mórz zamkniętych, podporządkowanych w mniejszym lub większym stopniu państwu dzierżącemu klucz od jego bram wyjściowych. Ponieważ jednak jest ono równocześnie także drogą i to coraz intensywniej uczęszczaną, przeto istotna swoboda użytkowania tej drogi uzależniona jest od mocarstw, które potrafią zgromadzić na wodach tego morza potężne siły morskie, zdolne do ewentualnego zamknięcia czy ograniczenia tej drogi. Stąd też ta podwójna charakterystyka Morza Śródziemnego, jako zamkniętego obszaru wód a równocześnie przejścia na inne wody oceanów, wyraźnie się uwypukla w polityce międzynarodowej, usiłującej rozstrzygać jego zagadnienia.

II.

Zachodnim wejściem na Morze Śródziemne władała aż do najnowszych czasów prawie niepodzielnie Wielka Brytania. Potężne naturalne fortyfikacje skał Gibraltaru, szeregiem pięter swych dalekonośnych dział i licznymi eskadrami swej morskiej bazy, mogły łatwo podporządkować brytyjskim żądaniom każdego kto pragnął przepłynąć cieśninę. Rozwój

broni podwodnej oraz lotnictwa znacznie jednak utrudniły zabezpieczenie względnie głębokiego i szerokiego na przeszło 20 km cieśninowego przejścia, jak również uczyniły mniej bezpiecznym i mniej pewnym działanie artylerii nadbrzeżnej. Efektywności brytyjskich poczynań defensywnych w tej wejściowej zonie śródziemnomorskiej stoi na przeszkodzie jeszcze fakt, że przeciwny brzeg cieśniny pozostaje we władaniu obcego mocarstwa, dzięki czemu z pod kontroli brytyjskiej wymyka się pas przybrzeżny, co najmniej trzymilowej szerokości.

Porozumienie brytyjsko-francuskie z 1904 r., dzielące wpływy na kraje śródziemnomorskie pomiędzy Wielką Brytanią i Francją, ustępując tej ostatniej Marokko, zarezerwowało jednak dla Hiszpanii afrykańskie wybrzeże cieśniny. Zastrzeżenie to miało oczywiście na widoku nie tyle zasadę sprawiedliwego podziału kolonij, ile chęć zabezpieczenia się przeciwko ewentualności powstania potężnej pozycji francuskiej na afrykańskim brzegu cieśniny. Sądzono ponadto w Londynie, że osłabienie Hiszpanii, spowodowane tak jeszcze niedawnymi porażkami w walce ze Stanami Zjednoczonymi, tym bardziej ułatwi Wielkiej Brytanii uzależnienie od siebie hiszpańskiej zony cieśninowej. Obliczenia te okazały się po części słuszne. Wydzielenie bowiem strefy hiszpańskiej z francuskiego protektoratu, nie tylko zaostrzyło hiszpańsko-francuskie antagonizmy, lecz również uniemożliwiło zrealizowanie francuskich projektów połączenia ich kolonij z metropolią po przez terytoria Marokka i Hiszpanii. Sytuacja taka zmieniła się jednak znacznie, gdy do grona potęg, decydujących na Morzu Śródziemnym, weszła jako poważna siła także Italia.

O ile oddanie przycieśninowej strefy Marokka w ręce Hiszpanii miało usunąć Francję z tych pobrzeży, o tyle też umiędzynarodowienie Tangeru miało zapewnić Wielkiej Brytanii odpowiednik Gibraltaru na afrykańskim brzegu cieśniny. Jednak nie sama tylko Wielka Brytania zamierzała realizować w Tangerze swe cele. To też, mimo że zona Tangeru jest, na zasadzie konwencji wieczyście zneutralizowaną, a więc objętą zakazem jej zbrojenia oraz przygotowywania na niej ewentualnych wyjściowych operacyj wojen-

nych, od szeregu już lat stała się ona przedmiotem zabiegów rozmaitych mocarstw, usiłujących, przez zdobycie specjalnych na niej praw, zapewnić sobie przewagę militarną w tej części Morza Śródziemnego. Przystąpienie do tej konwencji i zdobycie pewnych praw w Tangerze przez Italię w 1928 r. jeszcze bardziej zaostrzyło dotychczasową rywalizację, domaga się bowiem ona zwiększenia swych uprawnień oraz dostosowania ich do wielkości jej śródziemnomorskich zainteresowań i potrzeb, stanowiących o jej niezależności i możliwościach rozwoju.

Obecne wypadki hiszpańskie, zaogniając ustrojowe i doktrynalne różnice, wyznawanych przez poszczególne mocarstwa Europy zasad społecznych, kryją w sobie jeszcze bardziej ważkie międzynarodowe antagonizmy polityczne, ze zwycięstwem bowiem tej lub innej ideologii hiszpańskiej wiążą się możliwości wzrostu wpływów na hiszpańskim półwyspie tego lub innego mocarstwa. Wyrokiem dziejów Iberyjski bowiem półwysep stał się ośrodkiem rywalizacji śródziemnomorskiej trzech głównych mocarstw tego morza. Już w sierpniu zwracał uwagę *Temps* [1]) na możliwości zaostrzenia się z tego właśnie tytułu tarć francusko-italskich. Nie mniej wyraźnie prasa brytyjska, jak i mężowie stanu Imperium, widzą w wypadkach hiszpańskich dalszy rozwój śródziemnomorskiej rywalizacji italo-brytyjskiej. Najdobitniej wyraził ten pogląd gen. Smuts. [2]) Można sądzić, że opinie te opierają się istotnie na słusznych przesłankach, ponieważ

[1]) *Qui sait si un jour prochain les insurgés ne seront pas maîtres de la capitale et n'y installeront pas un gouvernement durable? Fallait-il que, dans cette hypothèse, la France prenne, aux yeux du nouveau pouvoir, figure d'ennemi? Rien d'inévitable, au contraire, ne lie en Méditerranée occidentale les intérêts de l'Espagne a ceux de l'Italie. Fallait-il donc entre ces deux puissances risquer de créer une entente sentimentale qui aurait pu un jour avoir une pointe dirigée contre les intérêts français en Afrique du Nord?*

[2]) *I look upon the civil war in Spain not only as a most dangerous symptom in itself, but also as, another product of the breakdown of cooperation in the League during the Italo-Abissinian crisis. I am sure that the Spanish bussiness, is closely connected with the Italian business, and the two together have created a situation in the Mediterranean which must necessarily give the greatest concern to all Mediterranean Powers. Not only has the breakdown of the League resulted in the Mediterranean situation, but in a wild armements race.*

również publicyści Italii doskonale oceniają geopolityczne znaczenie Hiszpanii w polityce śródziemnomorskiej, oraz całą wagę zagadnienia obcych wpływów na półwyspie iberyjskim, dla polityki italskiej. Potwierdzenie tego znajdujemy w gruntownym artykule rzymskiej *Politica.* [1])

III.

Jeżeli, jak można sądzić z przebiegu wypadków, sprawy na zachodzie Morza Śródziemnego rozwijają się w myśl założeń polityki italskiej, to na jego wschodzie poczynania brytyjskie zdecydowanie przeważyły nad italskimi. Nowe pakty brytyjsko-egipskie nie zmieniły, jak zresztą i nie mogły zmienić, międzynarodowej sytuacji prawnej kanału Sueskiego, uregulowanej konwencją z 1888 roku, zmieniły jednak one decydująco jego faktyczną sytuację polityczno-militarną. Dotychczasowa militarna brytyjska okupacja Egiptu i zony kanałowej nie posiadała za sobą wyraźnej i formalnej zgody pozostałych państw, dlatego też nieustannie ponawiali Brytyjczycy przyrzeczenia rychłej ich ewakuacji. Przeciągała się ona jednak wbrew wyraźnej literze prawa, wyrażonej w konwencji z 1888 roku. [2]) Nowe umowy brytyjsko-egipskie nie mogły oczywiście zmienić tej klauzuli, wzmocniły one natomiast prawną pozycję Brytanii w stosunku do Egiptu, przez uzyskanie jego dobrowolnej zgody na militarną okupację zony kanałowej, a w stosunku do reszty państw jej pozycję strategiczną, przez zobowiązanie Egiptu do niesienia czynnej pomocy dla obrony tej zony.

Współpraca brytyjsko-egipska, mająca przeciwstawiać się wszystkim przyszłym wojennym próbom zmiany sytuacji w południowo-wschodniej części Śródziemnego Morza, już

---

[1]) *La funzione di Gibilterra, come base navale britannica, e percio interamento subordinata al beneplacito della Spagna. Il possesso delle isole Baleari da altresi alla Spagna la possibilita di esercitare controllo su tutto il Mediterraneo occidentale.*

[2]) *Par application du principe d'égalité en ce qui concerne le libre usage du Canal, principe qui forme l'une des bases du present Traité, qu'aucune d'elles (puissances) ne recherchera d'avantages territoriaux ou commerciaux ni de privilèges dans les arrangements internationaux qui pourront intervenir par rapport au Canal.*

nawet w okresie pokoju obowiązuje Egipt do przeprowadzenia wszelkiego rodzaju prac, mających ułatwić zakwaterowanie w zonie cieśninowej brytyjskich oddziałów lądowych i powietrznych, jak i dokonywania przez nie ewentualnych operacyj wojennych na całym terytorium Egiptu. O ile w okresie pokojowym garnizon brytyjski w zonie kanałowej nie może przekraczać 10.000 żołnierzy, z 400 pilotami, a każde jego zwiększenie będzie wymagało zgody rządu egipskiego, o tyle w okresie wojny Wielka Brytania nie jest związana w tej dziedzinie żadnymi zobowiązaniami, natomiast Egipt, jako wieczysty sprzymierzeniec, winien jest w tym ostatnim wypadku dostarczać jej wszelkiego rodzaju pomocy. Ta pomoc nie może ograniczać się jedynie tylko do współdziałania oddziałów zbrojnych, lub dostaw materialnych, lecz także pociąga za sobą obowiązek postawienia do brytyjskiej dyspozycji całości egipskich baz morskich, lądowych punktów oporu, oraz lotniczych ośrodków wojennych. Niektóre z tych ostatnich pozostają ponadto w rozporządzeniu brytyjskich sił lotniczych nawet w okresie pełnego pokoju.

Konwencja kanałowa z 1888 r., otwierająca kanał do powszechnego użytku całości państw świata, jak i wszystkich bez różnicy statków handlowych i okrętów wojennych, tak w okresie wojny jak i pokoju, wyraźnie zastrzega, że każde z mocarstw sygnatariuszy konwencji może stacjonować w portach Suezu i Port Saidu co najwyżej po dwa okręty wojenne. Respektując niejako te postanowienia konwencji, a być może tylko odpowiadając strategicznym wymaganiom chwili, koncentruje Wielka Brytania morską obronę kanału w strefie dojść do niego. Skąd też, mimo wyraźnych zobowiązań do ewakuacji całości morskich baz Egiptu, zachowuje Wielka Brytania prawo do stacjonowania w przeciągu jeszcze 8 lat jednostek bojowych swej floty w Aleksandrii. Przetwarzając niejako w ten sposób ten port w swą bazę pomocniczą, zamierza ona bronić jednostkami w nim skoncentrowanymi południowego dojścia do kanału. W obronie zaś północnego dojścia rozbudowuje się bazę morską w Haifie, mimo, że przetworzenie tego portu w bazę wojenną, nie zgadza się zbytnio z samym założeniem mandatu, jak i duchem tej

nowej instytucji międzynarodowej. Dalsze zabezpieczenia od napadów obcej floty śródziemnomorskiej dostarczyć ma ponadto nowo zakładana baza morska na Cyprze, której odpowiednikiem na Morzu Czerwonym ma być inny punkt, a kto wie, czy nie zneutralizowany również port Suezu.

IV.

Suez i Gibraltar otwierają drogi Śródziemnego Morza w daleki świat, łącząc jego wody z wodami oceanów. Cieśniny Dardanelów przedłużają te drogi na krótsze znacznie odległości Morza Czarnego. Odcinek to jednak doniosły, gdyż prowadzi do krajów bogatych w naftę, węgiel, żelazo, zboże i inne surowce. Nic też dziwnego, że Dardanele odgrywają w polityce śródziemnomorskiej bardzo ważną rolę. Niedawne obrady konferencji montreańskiej, mającej, uregulować prawne normy ich użytkowania, wyraźnie tego dowiodły.

Konwencja lozańska z 1923 roku, demilitaryzując cieśniny i otwierając je bez zastrzeżeń dla wszystkich statków handlowych, a w pewnych granicach także i dla okrętów wojennych, niewątpliwie największe korzyści miała przynieść Wielkiej Brytanii, jako dysponującej niekwestionowaną przewagą na Morzu Śródziemnym. Gdy jednak przewaga ta stała się wątpliwą, a możliwości innych państw do użytkowania cieśnin przewyższyły możliwe korzyści brytyjskie, zaczęto w Londynie mniejszą wagę przypisywać utrzymaniu demilitaryzacji cieśnin, oraz konserwacji ich lozańskiego statutu. Stale wzrastająca przewaga bandery italskiej w ruchu handlowym na tych wodach, oraz ciągłe cofanie się ongiś bogatego stanu posiadania brytyjskiej bandery jak i doświadczenie przeprowadzone w okresie polityki sankcyjnej, całkowicie przekonały, że trudnym będzie w razie potrzeby zamknąć zdemilitaryzowane cieśniny przed tak rozwiniętym ruchem handlowym, dysponującym ponadto potężną ochroną wojennych baz Dodekanezu i spowodowały przechylność brytyjskich nastrojów dla tureckich tendencyj remilitaryzacyjnych.

Postanowienia nowej konwencji montreańskiej, upoważniające Turcję do remilitaryzacji cieśnin, a w pewnych

okolicznościach nawet i do ich całkowitego zamknięcia przed obcymi państwami, przyniosły teoretycznie największe korzyści Turcji. Przy głębszym jednak zapoznaniu się z jej artykułami, oraz ich analizie w świetle tureckiej rzeczywistości politycznej i militarnej, można dojść do wniosku, że w pierwszym rzędzie korzyści te przypadną jednak w udziale innemu państwu. Turcja stając się bowiem ponownie kluczникiem cieśninowym, a nie dysponując większą siłą, postawiła się niewątpliwie w pozycji bardzo drażliwej. Faktyczna sytuacja wymagać będzię od Turcji oparcia się bądź o jednego bądź o drugiego z ewentualnych przeciwników śródziemnomorskich, bądź też wreszcie poszukiwania pomocy innych mocarstw. Ściśnięta też pomiędzy zbyt narzucającą się przyjaźnią Sowietów, zawsze chętnych do zdobycia kluczowej pozycji w cieśninach, a istotnym czy tylko domniemanym wrogim ustosunkowaniem się Italii, wybór swój z konieczności będzie musiała zatrzymać na Wielkiej Brytanii, w warunkach dzisiejszych najmniej dla jej państwowych interesów niebezpiecznej. W ten sposób, drogą nieco okrężną i być może nie zawsze pewną, zdołała dyplomacja brytyjska opanować również i ten szlak wodny Śródziemnego Morza.

Związek Sowiecki zdobył również w postanowieniach konwencji montreańskiej formalne przywileje, pozwalające mu na wyprowadzanie i wprowadzanie z Morza Czarnego swych okrętów liniowych i łodzi podwodnych, z równoczesnym zakazem wpływania na jego wody takichże jednostek, należących do państw obcych. W momentach jednak krytycznych, przeżywanych przez społeczność międzynarodową, kiedy to możliwości korzystania z tego prawa posiadałyby największą wartość, Turcji przysługuje właśnie, pod tym lub innym pozorem, prawo zamknięcia tej drogi. Stąd, jak sądzimy, nawet i te postanowienia konwencji są raczej korzystne dla Wielkiej Brytanii, gdyż, stając się doradcą Turcji, może ona zawsze decydować o zatrzymaniu lub wypuszczeniu z Morza Czarnego floty sowieckiej, a tym samym i regulować jej zjawienie się w potrzebnej chwili na wskazanym dla brytyjskich interesów odcinku mórz i oceanów Biorąc ponadto pod uwagę, że zamknięcie, lub otwarcie

cieśnin dla niektórych państw uzależnione jest również od uchwał Ligi Narodów, które bywają przeważnie przychylniejsze dla państw, dysponujących w jej łonie liczną klientelą, niż dla państw jej pozbawionych, można wnioskować, że w przyszłych rozgrywkach, dotyczących cieśnin czarnomorskich, Wielka Brytania posiadać będzie rozległą skalę możliwości, poczynając od swej faktycznej przewagi na wodach tej części Śródziemnego Morza, po przez przymusową niejako przyjaźń turecką, aż do zawsze możliwie dla niej przychylnych decyzyj Ligi Narodów.

V.

Jeżeli w międzynarodowej polityce Morza Śródziemnego, regulującej statuty prawne i polityczne dojść na to morze, dwaj główni rywale usiłują zamknąć jedno przed drugim wązkie jego wyloty, to z niemniejszą energią zmierzają one również do wzajemnego uniemożliwienia wszelkich działań wojennych na jego wodach. W polityce tej, tak Italia, jak i Wielka Brytania, wzmacniają z jednej strony swe śródziemnomorskie pozycje strategiczne, z drugiej zaś poszukują sprzymierzeńców, mogących bądź sparaliżować manewry przeciwnika, bądź ułatwić ich własne działania.

Brytyjskie poczynania śródziemnomorskie, zainicjowane porozumieniami asekuracyjnymi z okresu sankcyjnego, zmieniły w okresie późniejszym swą formę, lecz nie swe założenia i swoje cele. Śródziemnomorska podróż króla Wielkiej Brytanii dość wyraźnie zdaje się świadczyć o tym, że usiłowania brytyjskiej dyplomacji wydały w tej dziedzinie pozytywne rezultaty. Niemniej wyraźnym tego potwierdzeniem są również ostatnie konwencje cieśninowe i kanałowe, omówione w poprzednich rozdziałach. Postanowienia ich uzależniają bowiem w istocie użytkowanie, tak cieśnin czarnomorskich, jak i kanału Sueskiego, właściwie tylko od brytyjskich decyzyj.

W świetle tych wschodnio-śródziemnomorskich osiągnięć brytyjskich, nabierają istotnego wyrazu oświadczenia [1])

[1]) *That's so far from there being any prospect of this country abandoning its position, ort its establishments, in the Mediterranean it is the intention of the Government fully to maintain them. This is no new policy, nor does it*

pierwszego lorda admiralicji, wyraźnie przychylającego się do rozwiązań „szkoły śródziemnomorskiej" i zwycięstwa jej nad doktrynalnymi założeniami jej rywalki „szkoły Kap'u". O ile bowiem ta ostatnia, wychodząc z założeń zmienionej sytuacji na Morzu Śródziemnym głosiła potrzebę powierzenia bazom tego morza jedynie tylko zadań defensywnych, a przeniesienia całego ciężaru obrony komunikacyj imperialnych na bazy oceanów Indyjskiego i Atlantyckiego, to szkoła pierwsza domagała się odwrotnie wzmocnienia baz śródziemnomorskich i powierzenia im ochrony brytyjskich komunikacyj wojenno-handlowych na tych wodach. Zwiększenie morskich sił ofensywnych Wielkiej Brytanii na Morzu Śródziemnym, zapowiedziane tym oświadczeniem, nie znaczy bynajmniej zaniedbania obrony komunikacyj dokoła Afryki.[1])

Chociaż przyszłą obronę swych komunikacyj na Śródziemnym Morzu, szczególnie w jego części wschodniej, Italia opierać może przeważnie na własnych siłach, przez rozbudowę baz morskich i lotniczych na wyspach Dodekanezu i terytoriach metropolitalnych, to jednak i ona usiłuje znaleźć sprzymierzeńca, mogącego jej ułatwić wyrównanie brytyjskich osiągnięć. Italo-niemieckie umowy lotnicze oraz długa wizyta szefa wojennego lotnictwa niemieckiego i jego licznego sztabu w Italii, pozwalają przypuszczać, że lotnicze koncesje, udzielone Niemcom na wyspach Dodekanezu, a mające służyć formalnie handlowym celom rozwijających się stosunków Niemiec z bliskim wschodem, posiadają również pewne cele wojskowe. Wojenna obecność powietrznej floty niemieckiej na tych wyspach, mogąc w określonych okolicznościach oddać pewne usługi Italii, nie mniejsze korzyści może przynieść i samym Niemcom, pozwalając im na czuwanie nad siłami flotowemi ich ewentualnego północnego

---

constitute a threat to any foreign Power, or to any legitimate foreign interest; it is merely the continuance of the well-established policy of providing for the maintenance and protection of the essential communications of the Empire.

[1]) Tak bowiem wyraża się *Round Table: In the event of a major war in the Mediterranean, even if the British Commonwealth were not immediately drawn in, much of the commercial traffic passing in peace time through the Suez Canal to and from northern waters would inevitably be diverted round the Cape.*

przeciwnika, gdyby ten, za zgodą Turcji i Brytanii, zapragnął opuścić swe czarnomorskie kryjówki. Italia, sprowadzając dla przeciwwagi brytyjskim osiągnięciom niemieckiego pomocnika na wody Morza Śródziemnego, na Bałkany i do Małej Azji, rozpoczyna niewątpliwie grę bardzo ryzykowną, odświeża bowiem tym samym przedwojenne plany ekspansji na linii Berlin — Bagdad, oraz zwiększa szanse swego własnego konkurenta handlowego, obejmującego już dzisiaj około 20% wymiany jugosłowiańskiej, ponad 40% bułgarskiej i znacznie przekraczającego swym udziałem, udział trzech głównych rywali śródziemnomorskich w handlu Turcji i Grecji.

Odosobnienie Italii na wschodzie Morza Śródziemnego, oraz jej usiłowania sprowadzenia na te wody tak niebezpiecznego sprzymierzeńca, czynią jej sytuację w tej części *Mare nostro* daleko mniej pewną niż w jego części zachodniej, gdzie jej siły lotnicze i morskie, opierając się o własne bazy macierzyste, mogą odegrać daleko poważniejszą rolę, barykadując wąskie przejście tego morza na linii Sycylia — Trypolitania. Na zachodzie też Morza Śródziemnego, jak tego dowiodły dzieje ostatniej dyktatury w Hiszpanii, oraz ostatnie wypadki na półwyspie Iberyjskim, łatwiej jest Italii znaleźć sprzymierzeńca. Potwierdzenie tej opinii znajdujemy również w artykule pisma *Völkischer Beobachter*, omawiającym [1]) to zagadnienie.

W tej coraz bardziej zaogniającej się rywalizacyj śródziemnomorskiej, przeciwstawiającej sobie dwie główne potęgi Europy, sytuacja Italii jest niewątpliwie pod bardzo wieloma względami daleko niebezpieczniejszą, jednak również i śródziemnomorska pozycja brytyjska, brana w całości systemu imperialnego i grożących mu rozmaitych niebezpieczeństw, nie jest znacznie lepszą. Stąd też zrozumiałymi stają się alarmy prasy brytyjskiej i częste podkreślanie przez nią i przez szereg odpowiedzialnych osób konieczności należytej ochrony tych „istotnych dla Imperium dróg komuni-

[1]) *Blickt England heute aufs Mittelmeer, so kann es geradezu einen Strich durch seine blauen Gewässer ziehen. Oestlich dieses Striches liegt Englands Stärke, westlich seine Schwäche, und letzteres um so mehr, nachdem in Spanien der Bürgerkrieg ausgebrochen ist.*

kacyjnych". Słuszną więc, naszym zdaniem, jest opinia, autora cytowanego już artykułu z *Völkischer Beobachter*, który twierdzi, że: „jeśli w Anglii używa się tak dosadnych słów, to znak to niechybny, że mobilizuje się tam opinię publiczną dla obrony życiowego interesu narodu".

W tym tak niebezpiecznym dla całej Europy, rozpętaniu sił, grożących katastrofą przez samą swą dalszą inercję, nie brak z obu stron głosów, nawołujących do umiarkowania i porozumienia. Każdy jednak z nich, co zresztą jest rzeczą zupełnie naturalną, zabarwia się życzeniami i dowodami, mającymi zabezpieczyć interesy jego własnej ojczyzny. Jeden z tych głosów, pochodzący z łam rzymskiej *Politica*, ujmuje to zagadnienie następująco: „Idealnym rozwiązaniem problemu mogłoby być zawarcie paktu śródziemnomorskiego, przedyskutowanego i przyjętego dobrowolnie przez wszystkie potęgi zainteresowane na tym morzu, paktu zredagowanego w formie tak jasnej, by wykluczała ustalenie się jakiejkolwiek hegemonii i zapobiegała ewentualnemu wypaczeniu treści paktu przez mniej lub więcej zgrabnie zamaskowaną a utopijną ideologię".

Roman Piotrowicz.

Przełom w nauce.

Na tle przełomu w kulturze.

Poczynając od wojny światowej przechodzą społeczeństwa zachodnie groźne wstrząsy, wszystko zdaje się być podminowanym, wszystko wali się w gruzy. Walą się w gruzy wszelkie uznane autorytety, wali się gmach prawa, opartego na poszanowaniu jednostki, załamują się coraz wyraźniej próby utworzenia organizacji międzynarodowej na gruncie narastających obłędnie egoizmów narodowych oraz wzmagającego się kultu siły, fałszu i obłudy, a jednocześnie z tym poszczególne państwa wchodzą w swym życiu wewnętrznym na tory fałszywej organizacji, potęgując w dalszym ciągu bezład życia międzynarodowego. Bo wprawdzie w świecie wzrasta coraz więcej zrozumienie potrzeby organizacji, lecz brakuje z jednej strony w życiu międzynarodowym wspólnego języka, zaś z drugiej strony wewnątrz poszczególnych społeczeństw ulega gwałtownej dezorganizacji wszystko, co związane jest z życiem jednostki, a więc etyka indywidualna, pojęcie sprawiedliwości, instytucja małżeństwa i rodziny, a na tym gruncie wzmaga się wszędzie dążenie do upraszczania w celach organizacyjnych metod rządzenia, któreby kompensowały częściowo rozrastający się bezład i dezorganizację życia indywidualnego. To też w świecie rządzi cynicznie i utrzymuje narazie jeszcze pewną organizację nie kto inny jak tylko pieniądz, zaś wewnątrz poszczególnych narodów brutalne grupy potrafiły na gruncie organizacyjnym ująć całkowicie władzę w swoje ręce, czyniąc resztę ludności tylko objektem swych rządów, gdy jednocześnie zawisa nad całym światem straszliwa zmora totalnej wojny. W wojnie tej jedne narody

będą niszczyć wszelkimi dostępnymi środkami już nie same armie, lecz całą ludność przeciwnika łącznie ze starcami, kobietami i dziećmi. Ta wizja wojny totalnej przestaje już nawet razić, wszyscy zaczynają już jakby godzić się podświadomie z tym, by bomby, gazy trujące i bakterie obróciły w perzynę cały świat i zniszczyły całą naszą cywilizację, torując jednocześnie drogę do wytworzenia nowej antychrystycznej organizacji w skali już uniwersalnej. Ludzkość zaczyna już jakby biernie poddawać się fatalnej konieczności ugięcia się przed tą nową organizacją.

Wielu bardzo ludzi nie zdaje sobie jednak, niestety, należycie sprawy z grozy sytuacji współczesnej i z całego tragizmu, w jaki jesteśmy uwikłani, nie rozumie przynajmniej czy nie chce zrozumieć istoty tego tragizmu. To też można spotkać się mimo wszystko często z optymistycznym zdaniem, że czasy nasze stanowią w każdym razie postęp w stosunku do Średniowiecza i do przejawów zła w tej epoce. Olbrzymia jednak różnica pomiędzy Średniowieczem a naszymi czasami polega na tym, że wówczas zło przeciwstawiało się istniejącemu światopoglądowi, że złe postępki były spowodowywane namiętnościami i złą wolą poszczególnych jednostek, natomiast ludzkość chrześcijańska, jako całość nastawiona była w kierunku harmonii z organizacyjnymi prawami bytu, objawionymi nam w chrześcijaństwie; pierwiastek zła nie zagrażał przeto całości, jak to jest obecnie. Pozwolimy tu sobie na pewne porównanie z świata fizycznego. Widzieliśmy, że w myśl wywodów współczesnej nauki istniejące prawa i harmonia w tym świecie opierają się na tym, że atomy dzięki jakiejś nadrzędnej nadanej im orgnizacji oscylując w pewnych granicach, ulegają jednak pewnym stałym prawom i tworzą w wyniku harmonijną całość. Tak też dusze ludzkie muszą również ulegać dobrowolnie jakiejś nadrzędnej organizacji, muszą przede wszystkim uznawać ją, a wówczas pewne oscylacje, pewne odchylania się ich nie będą groźne dla świata jako całości; podstawowa harmonia zostanie wówczas zachowana. Obecnie jednak sprawa przedstawia się inaczej, bo wobec nieuznawania przez ludzkość żadnej nadrzędnej organizacji moralnej następuje ogólna chaotyczna oscylacja, masowa, że się tak wyrażę, dezorganizacja, ogólne rozproszenie

iakości moralnych, co powoduje, że nie tylko już nastawienie poszczególnych jednostek, ale w większym jeszcze stopniu nastawienie poszczególnych zbiorowości przeciwstawia się ogólnym organizacyjnym prawom, ogólnej harmonii ludzkiego bytu.

O Średniowieczu możnaby powiedzieć, że wówczas miało miejsce narastanie energii duchowej, narastanie organizacji, natomiast czasy nowe to okres rozpraszania tej energii, okres wyczerpywania się organizacji duchowej, miejsce której, według niezłomnych praw socjologicznych, będzie musiała zająć organizacja mechaniczna. Organizacja ludzkości w naszych czasach przestaje już coraz więcej być zagadnieniem moralnym, lecz staje się coraz widoczniej tylko zagadnieniem faktu, przed którym schyla obecnie głowę współczesny człowiek w poczuciu swej bezsilności, zaś wobec zupełnego już prawie relatywizmu moralnego naszych czasów żadne fakty nie rażą już ludzi. Faktem jest bolszewizm, faktem są gazy trujące, dla tego też bolszewizm zdobywa w rzeczywistości coraz więcej zwolenników i coraz większe wpływy w świecie, dla tego też nikt w Europie nie występuje szczerze przeciw stosowaniu gazów trujących, bo, wobec zupełnego już zwątpienia w możliwość organizacji świata na podstawach duchowych, trzeba się liczyć z faktami i tylko z faktami. Zwycięży zaś bez wątpienia fakt o najszerszym zasięgu zupełnie bez względu na swoje tło moralne.

W ramach pojęć średniowiecznych nie zmieściło by się w żaden sposób masowe niszczenie ludzi za pomocą bomb, gazów trujących i bakteryj, innymi słowy wojna totalna, jaka zarysowuje się coraz wyraźniej na horyzoncie świata współczesnego. W obecnych warunkach odwrotnie, wojna taka wydaje się, jak to zaznaczyliśmy już poprzednio, czymś wprost nieuniknionym, zaś nieubłagane podświadome parcie ku niej jest, naszym zdaniem, tylko wyrazem narastającego w świecie antychrystycznego stosunku do bytu, podświadomego dążenia do jakiejś zupełnie innej organizacji ludzkości niźli ta, jaką miało jej nadać chrześcijaństwo, to znaczy do organizacji mechanicznej, w której jednostki ludzkie spojone by były między sobą mechanicznie, jak atomy materii w dawnym ujęciu natury.

Ten stan i to podświadome dążenie ludzkości współczesnej nabiera cech tym większego tragizmu, że współczesna myśl naukowa odkrywa, jak widzieliśmy, pewien indeterminizm nawet w świecie zjawisk fizycznych, nawet w świecie atomów materialnej substancji. Nawet te atomy nie wydają się być skute więzami samej tylko ślepej siły mechanicznej, lecz jakby podporządkowują się tylko jakiejś wyższej nadrzędnej organizacji, wówczas gdy ludzkość, odpychając od siebie wyższą transcendentalną organizację, staje się coraz więcej łupem nieubłaganego determinizmu. Stajemy tu przed odwiecznym zagadnieniem wolnej woli, przed pytaniem, czy człowiek posiada mimo wszystko wolną wolę, czy też jest ona wraz z jego losem deterministycznie wyznaczona.

Rzecz jasna, że żaden człowiek nawet najgłębiej wierzący nie może uznać istnienia jakiejś abstrakcyjnej wolnej woli w istocie stworzonej i ograniczonej, jaką jest jednostka ludzka. Taka absolutnie wolna wola, która mogła by się nastawiać w każdym dowolnym kierunku, wydaje się nam wprost czymś absurdalnym, czymś najzupełniej przeciwnym możliwości istnienia świata jako całości. Bo jednostka ludzka musi z natury rzeczy należeć do pewnej organizacji i w ramach tej organizacji musi podporządkowywać się interesom całości. Chodzi tylko o to, czy kierunek danej organizacji będzie zgodny z kierunkiem naszej woli, czy też organizacja będzie przytłaczać i tłumić naszą wolę. W pierwszym przypadku człowiek, będąc członkiem całości, będzie mimo to odczuwał swą wolność, w drugim przypadku natomiast będzie się burzył, albo też ulegnie niewolniczo jarzmu organizacji, która jak wykazuje historia, odnosi zawsze ostateczne zwycięstwo nad jednostką. Sama zaś organizacja świata ludzkiego może być typu uniwersalnego, gdy poszczególne organizacje ulegają jednej najwyższej nadrzędnej organizacji, lub też poszczególne organizacje pozbawione są norm nadrzędnych i ścierają się wrogo z sobą.

Świat antyczny nie posiadał żadnej ogólnej moralnej organizacji, był pozostawiony własnemu biegowi spraw ziemskich, dlatego też uniwersalna organizacja jego mogła dokonywać się tylko drogą faktów, drogą podbojów rzymskich i tworzenia światowego imperium rzymskiego, aż się ujaw-

niła w pełni czasów Mądrość przedwieczna, by dać światu nową organizację, nie mechaniczną typu rzymskiego, która gniotła i miażdżyła jednostkę ludzką, lecz organizację moralną, godną jedynie istoty rozumnej, jaką jest człowiek. Organizacja ta nie miała być w żadnym razie organizacją przymusu, a miała rozwijać się samorzutnie przez dobrowolne dołączanie się jednostek ludzkich, i zdaje się, że zasadnicza wolność człowieka polega na tym przede wszystkim, by wybierać między tą organizacją, czyli organizacją dobrą, a organizacją złą, która może być oparta jedynie na przymusie, obojętnie czy wyłącznie forycznym, czy też jednocześnie sugestywnym, zabijającym w człowieku poczucie własnej woli. Jesteśmy wolni, to znaczy odczuwamy swą wolność — w tym leży, zdaje się, całe sedno rzeczy — o ile obieramy drogę w kierunku dobra czyli praw Boskich, tracimy natomiast swą wolę, stajemy się niejako niewolnikami, gdy obieramy drogę przeciwną tym prawom, drogę dezorganizacji moralnej, która w ostatecznym wyniku prowadzi do organizacji przymusu. Potwierdzają to wyraźnie słowa Zbawiciela o niewoli grzechu.

Dawne ujęcie naukowe XIX wieku skłaniało się do uznania determinizmu nie tylko w świecie fizycznym, ale w świecie ducha również, protestantyzm zaś w swych skrajnych odłamach uznawał nieubłaganą predestynację jednostki, która z góry przeznaczona jest na potępienie lub zbawienie. W ujęciu takim znika ostatecznie pojęcie wolnej woli, natomiast współczesne ujęcie natury idzie w kierunku uznania niezłomnej tezy Kościoła katolickiego, że żaden z dwóch ewentualnych stanów jednostki nie jest z góry predestynowany, że można jedynie w każdej chwili mówić o szansach osiągnięcia jednego lub drugiego z tych stanów, to znaczy zbawienia lub potępienia, i że szanse te są zależne od naszej woli jako czynnika w pewnym stopniu samodzielnego i niezależnego, który sam decyduje czy chce współdziałać z organizacyjnymi prawami świata, czy też się im przeciwstawiać.

Powiedzieliśmy, że świat współczesny i każdy pojedynczy człowiek stają się coraz więcej łupem determinizmu, usiłując wyłamać się z pod organizacyjnych praw bytu, obja-

wionych ludzkości w chrześcijaństwie. Zdaje się, że słowa Zbawiciela: „kto chce zbawić swą duszę, zatraci ją..." nie oznaczają właśnie nic innego, jak niebezpieczeństwo wyłamywania się z pod uległości organizacyjnym moralnym prawom bytu i błogie skutki dobrowolnego ulegania tym prawom. A nigdy, zaiste, wyłamywanie się to nie doszło do takich rozmiarów, jak w czasach naszych! Bo świat antyczny nie znał tych praw, tęsknił jednak za nimi i przeczuwał je podświadomie. Nasze czasy natomiast znają te prawa i świadomie je odrzucają, przez co świat cały zostaje coraz więcej wciągany w krąg nieubłaganego determinizmu, wyrazem którego jest spadające się nań coraz wyraźniej widmo wojny totalnej ze wszystkimi jej nieubłaganymi konsekwencjami.

Stwierdziliśmy poprzednio, że nauka XIX wieku nie miała należytego zrozumienia dla pojęcia organizacji w świecie zjawisk fizycznych jako pewnego czynnika nadrzędnego, bo w myśl ówczesnych poglądów organizacja świata fizycznego tkwiła immanentnie i deterministycznie w nim samym jako wynik nieubłaganego wzajemnego oddziaływania atomów. Niezrozumienie znaczenia organizacji nadrzędnej cechowało również oddawna myśl europejską w odniesieniu do zagadnienia istnienia i współdziałania społeczeństw ludzkich, a bierze ono swój wyraźny początek w tym okresie, gdy Reformacja w imię rzekomej wolności indywidualnej zrywa z organizacją Kościoła katolickiego, który zmierzał do organizowania ludzkości całej.

Po załamaniu się uniwersalnego autorytetu Kościoła, rolę nadrzędnego czynnika w poszczególnych państwach obejmuje władza królewska aż do czasu, gdy rewolucja francuska zadaje śmiertelny cios idei tej władzy. Po czym idea organizacji zbiorowości zaczyna się już opierać nie na idei całości, lecz na wytworzonej drogą analizy abstrakcyjnej jednostce ludzkiej, jako zasadniczej komórce organizmu społecznego. Następuje stopniowe przejście do demokracji, tej w zasadzie najidealniejszej, lecz jednocześnie najtrudniejszej organizacyjnej formy zbiorowości, bo organizacja ta musi opierać się już bezwzględnie na stałych normach moralnych, nie dopuszczających do chaotycznej oscylacji woli

poszczególnych jednostek. Innymi słowy demokracja musi opierać się na osobowości duchowej i jej poszanowaniu, które odnajduje swój wyraz z jednej strony w zaufaniu do niej, z drugiej zaś w poszanowaniu jej zasadniczych praw, a proces analityczny, którego areną był świat europejski od czasów Odrodzenia, prowadził właśnie do uśmiercenia prawdziwej osobowości ludzkiej.

Humanizm przeciwstawił przede wszystkim pierwiastek ludzki pierwiastkowi Boskiemu, wnosząc zasadniczy rozdźwięk do świata chrześcijańskiego, następnie Reformacja obniżyła pierwiastek ludzki w stosunku do Boga, uznając zasadnicze spaczenie natury ludzkiej i bezwartościowość czynów człowieka w dziele jego własnego zbawienia. Prowadziło to w ostatecznym wyniku do odseparowania jednostki od Boga i wywyższenia człowieka ziemskiego, po czym pozostawało już otwarte pole dla liberalizmu, który zrywa ostatecznie z ideą bogo-człowieczeństwa, Boga usuwa gdzieś w zaświaty i rzuca hasło *laissez-faire*'yzmu, to jest prawa jednostki do powodowania się w swym postępowaniu jedynie interesem osobistym bez potrzeby oglądania się na żadne Boskie, czyli nadrzędne normy moralne. Na miejsce moralności chrześcijańskiej czyli bezwzględnej przychodzi moralność burżuazyjna względna, a na miejsce osobowości duchowej, która posiada jednocześnie potrzeby ekonomiczne, zjawia się człowiek wyłącznie materialny *homo oeconomicus*, który zrywa ostatecznie z niebem i stawia na piedestale materię, bogactwo, władzę i używanie. Na takim gruncie znika nie tylko poszanowanie, lecz samo pojęcie osobowości duchowej, a na to miejsce przychodzi kult pomyślności, kult zewnętrznego blasku, chociażby niewątpliwie fałszywego, wreszcie, jako logiczne zakończenie kult faktu samego przez się, zupełnie bez względu na jego tło moralne.

Na tego rodzaju podstawach demokracja europejska nie mogła normalnie się rozwijać, to też gdy po wojnie światowej runęły ostatecznie wszystkie rzeczywiste trony, i świat europejski począł wkraczać na tory czystego ustroju demokratycznego, pozbawionego wszelkiego już czynnika nadrzędnego, ujawnił się w szybkim tempie kryzys ustrojowy w przeważającej części państw europejskich, a na tym

podłożu poczęły tworzyć się prądy, zmierzające do pogrzebania nie tylko już obecnej spaczonej demokracji ale samej idei demokracji, u podstaw której leży pojęcie osobowości praw jednostki. Prądy te odwracają niejako poprzedni analityczny proces, który rozczłonkowywał społeczeństwa na poszczególne indywidua, nie złączone między sobą żadnymi więzami, i nadają mu kierunek, zmierzający do ponownego zcementowania ich w jedną całość drogą sugestywno-mechaniczną. Najszerszy z tych prądów to bolszewizm, który głosi bezwzględną supremację organizacji nad jednostką w imię produkcji i rzekomego sprawiedliwego jej podziału. W prądzie tym zatraca się osobowość nie tylko jednostek ale narodów również, posiada on przeto charakter uniwersalistyczny i antypluralistyczny, a tym samym antychrystyczny. Inne prądy o mniejszym zasięgu posiadają cele naogół lokalne, zmierzając do przywrócenia supremacji organizacji nad jednostką w imię już to państwa już to narodu czy też rasy. Głównymi przedstawicielami tych prądów są faszyzm i hitleryzm.

W obu tych systemach znika zupełnie pojęcie osobowości ludzkiej, oba systemy nie uznają również żadnego nadrzędnego autorytetu moralnego; dla faszyzmu przewodnią ideę stanowi idea państwa, a dla hitleryzmu idea rasy. W faszyzmie i hitleryzmie odnajdujemy jaskrawy przejaw tendencji naszych czasów do uproszczenia metod i sposobów rządzenia drogą usuwania pojęć i idej, które stoją na przeszkodzie temu uproszczeniu, przede wszystkim więc idei praw jednostki. Te same tendencje stwierdziliśmy już poprzednio w łonie nauki współczesnej, gdzie również usuwa się i eliminuje wszelkie pojęcia, które mogą stać na przeszkodzie uproszczeniu i stabilizacji gmachu nauki.

Naogół można stwierdzić, że rzekomy kult państwa i rasy w obu systemach osiąga się drogą sugestii, przy czym rolę hypnotyzerów mas odgrywają z jednej strony Mussolini, a z drugiej Hitler. Bo człowiek normalnie czujący i myślący jeszcze według dawnych kategoryj nie zrozumie po prostu, jak to jest możliwe, by miliony ludzi, a między nimi liczne jednostki, pozostające do niedawna w opozycji względem wszelkiego autorytetu, mogły się szeregować mechanicznie

w jednym kierunku, by zatracały swą własną wolę lub też, ściśle mówiąc, odczuwały wolność woli w tym, by chcieć tego czego chcą wyżej wzmiankowani fałszywi, samozwańczy wodzowie — prorocy. Jest to jednak, w myśl naszych poprzednich wywodów, zjawisko zupełnie naturalne. Chaotyczna oscylacja poszczególnych woli, nie ulegających żadnej nadrzędnej organizacji moralnej, musi prowadzić poprzez dezorganizację do tworzenia się organizacji mechanicznej, która w naszych czasach musi się opierać na sugestii. Niezbędność zaś sugestii wypływa z faktu demokratyzacji pojęć, przez którą przeszła Europa, bo w jednostkach zbiorowych typu wschodniego człowiek ulegał przymusowi naskutek swej wrodzonej bierności i braku pojęć o swoich prawach, natomiast na Zachodzie i w naszych czasach można pozbawić jednostkę wolności tylko w sposób sugestywny, by się jej wydawało, że kajdany, wkładane na nią, nie są wcale kajdanami, lecz tylko dobrowolnym ograniczeniem swych ruchów, by wreszcie pozostawały pozory demokracji czyli raczej równości. Przecież nie inaczej rzecz się miała w Rzymie antycznym, gdzie dopiero Dyoklecjan nadał państwowości rzymskiej formy despotyj wschodnich. Stanęliśmy więc na stanowisku, że faszyzm i hitleryzm opierają swe wewnętrzne rządy na pierwiastku mechaniczno-sugestywnym przy eliminowaniu wszelkiego nadrzędnego autorytetu moralnego, co w praktyce musi doprowadzić do półubóstwienia wodzów tych ruchów. Nie będziemy poza tym zastanawiać się bliżej nad przyczynami, dla czego podobne systemy powstały w pierwszym rzędzie w Italii i Niemczech. Wskażemy tylko na to, że oba te państwa należą do typu nienasyconych, gotujących się do skoków zbrojnych w celu wydarcia innym państwom części ich stanu posiadania, z drugiej zaś strony naród włoski tkwił od wieków duchowo w idei cezaryzmu a w narodzie niemieckim istnieje wrodzona mu mistyka zbiorowości, którą hitleryzm potrafił w odpowiednim czasie podsycić na podłożu porażki Niemiec w wojnie światowej.

Co do stosunków zewnętrznych, to zarówno Italia jak Niemcy nie uznają żadnych norm nadrzędnych i liczą się tylko z faktami, poza tym ani faszyzm, ani hitleryzm nie

zdradzają na razie wyraźnych tendencyj uniwersalistycznych, to znaczy żaden z tych systemów nie zmierza na razie do tego, by stać się faktem ostatecznym na terenie świata, do czego natomiast jawnie i wyraźnie dąży bolszewizm. Mimo to nie można zaprzeczyć, że zarówno w jednym jak drugim systemie drzemią uśpione tendencje uniwersalistyczne, bezsprzecznie silniejsze w hitleryzmie niż w faszyzmie. Bo nie zdążył np. faszyzm uporać się jeszcze z wojną abisyńską, a już ogłaszał światu utworzenie imperium rzymskiego, czyli nawiązywał do uniwersalistycznych tradycyj rzymskich, co zaś do hitleryzmu, to nie jest chyba żadną tajemnicą, że marzy on o podbojach i narzuceniu przynajmniej części świata swego pokoju germańskiego *pax germanica*.

Z tych też, być może, względów hitleryzm przeciwstawia się obecnie bolszewizmowi, jako ruchowi konkurencyjnemu, bo zasadniczej różnicy w ideologii jednego i drugiego systemu odnaleźć nie można, podobnie zresztą rzecz się ma z faszyzmem również. Wszystkie bowiem te trzy systemy odrzucają w zasadzie nadrzędność organizacji moralnej, nadanej światu przez chrześcijaństwo, i wszystkie trzy uznają fakty, to znaczy siłę za podstawę organizacji współżycia, niwelując jednocześnie sugestywno-mechanicznie jednostkę ludzką w ten sposób, by stawała się ona w rezultacie biernym objektem systemu. Różnica polega głównie na metodach sugestii, a przede wszystkim na tym, że bolszewizm zmierza do stania się faktem ostatecznym na terenie historii, przynajmniej w odniesieniu do rasy białej, innymi słowy bolszewizm operuje kategorią ludzkości, wówczas gdy hitleryzm i faszyzm operują kategoriami o mniejszym zasięgu, twierdząc jednocześnie, że tworzą rzekomą zaporę postępom bolszewizmu. Jeżeli jednak ujmiemy bolszewizm z najszerszego punktu widzenia jako fakt amoralny o największym zasięgu, to dla każdego człowieka, pojmującego logikę historii, stanie się zupełnie jasnym, że żadne fakty amoralne o zasięgu mniejszym nie potrafią przełamać bolszewizmu, a mogą raczej ułatwić i utorować mu drogę. Bo musimy wreszcie raz zrozumieć, że obecne wrzenie światowe to proces walki między siłami duchowymi a antyduchowymi czy też antychrystycz-

nymi, dążącymi do ostatecznego sprowadzenia zagadnienia współżycia ludzkości z płaszczyzny moralnej na płaszczyznę faktów, i że nic nie zatrzyma tego procesu w pół drogi, jak tylko uznanie nadrzędności chrześcijańskiej organizacji moralnej. Agonia Ligi Narodów, której obecnie jesteśmy świadkami, stwierdza dobitnie, że organizacja ludzkości w płaszczyźnie moralnej jest wprost niemożliwą bez tego uznania, i że historia w takim wypadku potoczy się dalej nieubłaganie drogą faktów, być może, już ostatecznych, z których się wyłoni mechaniczna stabilizacja świata czyli zakończenie historii w myśl zamierzeń bolszewizmu.

Reasumując powyższe krótkie wywody o stanie świata współczesnego, stwierdzamy przede wszystkim, że w gmachu współżycia ludzkiego istnieje olbrzymia podstawowa luka, wywołana nieuznawaniem przez ludzkość centralnego autorytu moralnego jako czynnika nadrzędnego. Na tym podłożu powstaje zupełny chaos pojęć, wzrastająca elastyczność norm moralnych oraz wzmagające się niczym nieuzasadnione napięcie między jednostkami, klasami i narodami, co prowadzi w rezultacie nieubłaganie do wojny totalnej, jako jedynego możliwego sposobu wyładowania tego napięcia. Na tymże gruncie następuje załamanie się ustrojów, opartych na zasadzie osobowości, i wzmaga się w niesłychany sposób totalizm państwowy, który zmierza do uproszczenia metod rządzenia i stabilizowania stosunków wewnętrznych drogą usuwania i eliminowania pojęć, stojących temu na przeszkodzie, a więc przede wszystkim pojęcia praw jednostki. Zaś ponad tym wszystkim górują tendencje bolszewickie do totalizmu światowego, czyli do stabilizacji ogólnej stosunków ludzkich drogą mechanicznej niwelacji wszelkich form osobowości.

Jeżeli teraz wrócimy do naszego podstawowego zagadnienia, to znaczy związku między przełomem w nauce, a stanem ogólnym świata, to analogie narzucają się same przez się. Więc przede wszystkim upadkowi autorytetów duchowych w sferze ludzkiego współżycia odpowiada w sferze nauki, jeżeli jeszcze nie wyraźny upadek, to w każdym razie groźne zachwianie się autorytatywnej zasady przyczynowości, bez której nauka przestaje być nauką we właściwym tego

słowa znaczeniu, a musi albo zejść na tory mistyki albo też stać się polem i areną dla zupełnie dowolnych sofizmatów i konstrukcyj myślowych. Relatywizmowi moralnemu naszych czasów, wzrastającej elastyczności norm moralnych odpowiada takiż sam relatywizm w świecie nauki, wzrastająca elastyczność pojęć naukowych, zupełnie prawie nieznana w poprzednich czasach, wreszcie w nauce współczesnej stwierdzamy tak samo jak w życiu społecznym tendencje do upraszczania i ułatwiania zagadnień drogą eliminowania pojęć i zasad, które stoją na przeszkodzie pozornemu przynajmniej wykończeniu czyli stabilizowaniu gmachu nauki. Widzieliśmy poza tym, że zarówno w świecie praktyki jak w świecie nauki wzrasta zrozumienie dla znaczenia organizacji, ani tu, ani tam jednak nie możemy jeszcze stwierdzić widomego zwrotu do źródła organizacji zarówno w świecie fizycznym, jak moralnym, do Boga.

Na zakończenie rozważań niniejszych nad wzajemnym zazębianiem się nauki i środowiska chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę na pewną zmianę w światopoglądzie naukowym, którą zaliczyliśmy raczej do dodatnich, mianowicie na zmianę ujęcia zagadnienia przestrzeni i postarać się wyjaśnić, w jakim związku może pozostawać ta zmiana z przemianami, jakie dokonują się obecnie w sferze społeczeństw ludzkich. W tym celu stwierdzamy przede wszystkim, że wszystkie społeczeństwa antyczne i średniowieczne, jako konserwatywne, uznawały skończoność przestrzeni; ziemia zaś była wówczas ośrodkiem świata, a wszystkie ciała niebieskie poruszały się dookoła niej ruchem kołowym. Dopiero wiek XVII stanowi wyraźny przełom w tym zakresie, gdy powstaje nowa mechanika newtonowska z jej koncepcją prostolinijnego ruchu w nieskończoność; na tym gruncie utrwala się istniejąca do ostatnich czasów koncepcja przestrzeni trójwymiarowej i nieskończonej we wszystkich kierunkach. Okres ten, jak już wskazaliśmy poprzednio, zaznacza się w historii świata narastaniem rewolucyjnych sił mieszczańskich zasadniczo antykonserwatywnych, których podstawowe hasło stanowi nieskończony postęp czyli prostolinijny ruch ludzkości w nieskończoność, przede wszystkim zaś narastający w nieskończoność ruch produkcji materialnej.

Zdaje się, że wskazanego faktu nie należy uważać za prosty zbieg okoliczności, należy raczej przypuszczać, że pewne kosmiczne odczucie bytu przejawia się jednocześnie we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia zarówno w sferze myśli, jak praktycznego życia. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że kopernikо-newtonowski światopogląd astronomiczny z jego nieskończoną we wszystkich kierunkach trójwymiarową przestrzenią uważać można za odpowiednik mechaniczno-materialistycznej ideologii mieszczaństwa europejskiego, którego bezsprzecznym spadkobiercą stał się bolszewizm rosyjski. Dlatego też przyjmuje on na razie za swoje wszelkie pojęcia naukowe XVIII i XIX wieków, a w pierwszym rzędzie teorię ewolucji i kopernikо-newtonowski system astronomiczny wraz z związanym z nim ujęciem przestrzeni. Natomiast obecne ujęcie przestrzeni, jakie przeważa w świecie myśli zachodniej, to przestrzeń wielowymiarowa i skończona, chociaż nieograniczona dzięki zakrzywieniu jej w jakimś wyższym wymiarze.

Przecież mamy tu znów wyraźny związek z stanem ludzkości zachodniej, która zda się już zatrzymywać w swym szaleńczym pędzie i która na gruncie zatracenia poczucia wyższych organizacyjnych praw bytu, objawionych w chrześcijaństwie, zda się zmierzać ku jakiejś formie stabilizacji mechanicznej, innymi słowy do konserwatyzmu mechanicznego. A nie przeczy temu bynajmniej fakt, że bolszewizm, jako przedstawiciel konserwatyzmu mechanicznego, trwa, jak wskazaliśmy przed chwilą, przy dawnej koncepcji przestrzeni i odnosi się naogół wrogo do nowych kierunków w nauce Zachodu. Bo bolszewizm rosyjski nie jest jeszcze systemem zakończonym ostatecznie, nie reprezentuje bezruchu, odwrotnie jest on jeszcze w wysokim stopniu aktywny, dążąc do wchłonięcia w orbitę swego wpływu wszystkich zdezorientowanych społeczeństw światowych. Nie może jednak, zgodnie z prawami socjologicznymi, ulegać najmniejszej wątpliwości, że w razie triumfu bolszewizmu w skali światowej, zmieniłby on swe obecne prawowierne ujęcie przestrzeni, jak zmienił już i dopasował do wymogów systemu dawny gruby materializm mieszczański, przemieniając go w hylozoizm, czysty monizm materialistyczny, z bogiem materią

na ołtarzu. Bo wszelki totalny system musi posiadać światopogląd, dający odpowiedzi na wszystkie zagadnienia związane z dostosowaniem systemu do praktyki życia. Na podstawie powyższych wywodów stwierdzamy, że stan nauki współczesnej odzwierciedla w pełni duchowy stan społeczeństw Zachodu. Musimy tu jednak dla uniknięcia nieporozumienia podkreślić jeszcze raz istnienie pewnej dwutorowości w nauce współczesnej, którą poprzednio ujęliśmy pod mianem cech dodatnich i ujemnych. Tylko ujemne cechy reprezentują właściwie, zdaniem naszym, stan nauki współczesnej i wiążą się z ogólnym stanem świata, wówczas gdy cechy dodatnie posiadają charakter raczej mistyczny i reprezentują sobą jakby rzut w przyszłość. Nie są to już właściwe cechy nauki w dotychczasowym znaczeniu tego słowa, jako wydzierania rzekomych tajemnic przyrody, lecz raczej są one zwiastunem zbliżającej się już, być może, przemiany nauki na wiedzę, której celem jest zharmonizowanie duszy ludzkiej z wszechświatem i jego Stwórcą, zrozumienie jedynej prawdy i rzeczywistości, jaką jest Bóg. Ale jest to jeszcze muzyka tajemniczej przyszłości, natomiast stan nauki współczesnej w dotychczasowym znaczeniu tego słowa potwierdza tezę, że badania naukowe nie są właściwie nigdy czymś zupełnie obiektywnym, oderwanym od światopoglądu i całokształtu życia, lecz łączą się z nimi bezpośrednio, są wspólnym wyrazem istniejącego w danej epoce stosunku do bytu i jego odczucia.

W XIX wieku nauka stała na mocnych podstawach wiary w istnienie niezłomnych praw przyrody, opartych na zasadzie przyczynowości, wiary w istnienie porządku naturalnego, który umysł ludzki jest w stanie poznać i zrozumieć, same zaś społeczeństwa europejskie mimo wzmagającego się światopoglądu materialistycznego, kroczyły jakby w kierunku realizowania podstawowych zasad chrześcijańskich w życiu społecznym. Prawa jednostki były na ogół uznawane i szanowane, prawo w ogóle było uznawane jeszcze wszędzie jako podstawa organizacji współżycia ludzkiego. Autorytetowi prawa w dziedzinie społecznej odpowiadał autorytet zasady przyczynowości w dziedzinie nauki.

Gdy stwierdzimy ten fakt, a jednocześnie porównamy stan społeczeństw europejskich w XIX wieku z tym, co się dzieje obecnie w świecie, to zostajemy wprost zniewoleni do uznania oczywistej prawdy, że stan społeczeństw pod wielu względami uznać należy za wytwór poprzedzającego światopoglądu, który wykuwa stopniowo odpowiednie formy bytowania ludzkości, i że formy te występują zawsze z pewnym większym lub mniejszym opóźnieniem w stosunku do okresu największego napięcia danego światopoglądu.

Wiek XIX, wiek wiary w autorytet jednostki, prawa i nauki był bezsprzecznie przygotowany przez poprzednie wieki panowania światopoglądu i ideologii chrześcijańskiej. Nauka XIX wieku to jeszcze spadkobierczyni nauki Kopernika, Keplera, Newtona, którzy wierzyli mocno w Boga i niezłomną organizację i porządek, nadane przez Niego światu, a przeto wierzyli również, że człowiekowi obdarzonemu iskrą ducha Bożego daną jest możność poznania i zrozumienia choćby częściowo tylko, odblasku myśli Bożej w świecie zjawisk świata widomego. Prawa jednostki, ogłoszone światu z końcem XVIII wieku, to również nic innego, jak wytwór i przejaw myśli chrześcijańskiej, ubranej w szatę świecką. Wydaje się nam nawet, że sama wielka rewolucja francuska — sądzę, że nie będzie to źle zrozumiane — była właściwie tylko wytworem spaczonej ideologii chrześcijańkiej, chciała bowiem drogą siły realizować ideały chrześcijańskie, których realizacja jest w istocie uwarunkowana jednak od początku odrodzeniem duchowym człowieka.

Socjalizm wydaje się być ostatnim etapem, ostatnią próbą myślową, urzeczywistnienia ideałów chrześcijańskich bez światopoglądu chrześcijańskiego, a nawet wbrew jemu, zaś wielka rewolucja rosyjska ostatnią chyba rewolucją, która, przesiąknięta już do szpiku kości światopoglądem materialistycznym, posiłkowała się jednak jeszcze początkowo pojęciem praw jednostki, w których imię rzekomo obalała dawny ustrój carski. Należy przeto przypuszczać, że Europa ma już właściwy okres rewolucji poza sobą, to zaś, co przyjdzie po następnej wojnie światowej, nie będzie już rewolucją w dotychczasowym tego słowa znaczeniu, lecz tylko przejawem anarchii, buntem mas przeciw gniotącej je rzeczywi-

stości bez żadnych już haseł wolnościowych, które tracą coraz więcej na sile i sugestywności wobec faktycznego ubezwartościowania jednostki na gruncie monistyczno-materialistycznego światopoglądu czasów najnowszych. Byłby to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, tylko okres przejściowy w jakieś nowe okrutne jarzmo w przyszłym ustroju stabilizowanym według praw logiki historii na miarę już światową.

Jeżeli wiek XIX był przygotowany przez szereg wieków chrześcijańskiego światopoglądu, to nasze znów czasy są bezsprzecznie wytworem panującego nagminnie w tymże wieku światopoglądu materialistycznego, który wytrzebił stopniowo z dusz ludzkich wszelki zapas energii moralnej, zapas wiary nie tylko już w Boga, ale w naukę nawet, która w XIX wieku królowała w świecie zamiast Boga. Teraz właściwie przeciętny człowiek nie wierzy już w nic, nikt nie wie czego chce, istnieje jakby ogólny zanik woli, który daje nadmierną przewagę wszelkim destrukcyjnym prądom o wyraźnej tendencji i wyraźnej woli. Ten obecny stan świata, a przede wszystkim narodów naszej cywilizacji bardzo trafnie określa Guglielmo Ferrero w swej książce pt. *Przemowy do głuchych.* „Chorobą naszej epoki jest to, że nikt właściwie nie wie, czego chce, nikt przeto nie może dojść do jasnych określonych pojęć. W każdym stronnictwie, w każdej warstwie społecznej, w każdym państwie i we wszystkich instytucjach, a rzec można, że z małymi wyjątkami nawet w każdym sumieniu ścierają się z sobą sprzeczne doktryny, dążenia i interesy. Czego chcemy właściwie? Chcemy pokoju i wojny, potęgi i sprawiedliwości, tyranii i swobody, oszczędności i rozrzutności, równowagi budżetowej i deficytu, bezpieczeństwa i przygód. Żadna cywilizacja nie pozostawała w takiej sprzeczności z sobą". Tak jest, ugrzęźliśmy w niesłychanych wprost przeciwieństwach, w fałszu, kłamstwie i obłudzie jak żadna poprzednia cywilizacja, innymi słowy żyjemy w okresie niesłychanej dezorganizacji moralnej, co w rezultacie musi nieubłaganie prowadzić do organizacji opartej na przymusie, proces ten w danej chwili posiada przeto charakter wprost deterministyczny.

Stan nauki współczesnej odzwierciedla doskonale, w myśl poprzednich wywodów, powtarzamy to jeszcze raz, zaznaczony tu ogólny stan świata. Nie ma już określonych, ścisłych pojęć, wszystko jest fluktuacyjne i chwiejne. W badaniach naukowych możemy się posiłkować w miarę potrzeby teorią falową, a gdy ta zawodzi, teorią kwantów, geometrią euklidesową lub nieuklidesową, przypisywać każdorazowo przestrzeni tyle wymiarów, ile tego wymaga uproszczenie danego zagadnienia, mieszać w dziwny sposób pojęcia dawnej fizyki klasycznej z nowymi pojęciami fizyki kwantowej, unicestwiać wreszcie w razie potrzeby samą materialną substancję i czynić z niej ostatecznie jakąś matematyczną fikcję myślową. Słowem możemy obecnie żonglować w nauce tak, jak się żongluje już od dawna w etyce, prawie, polityce, w tym jedynie celu, by ostatecznie coś napozór wychodziło, chociażbyśmy świadomie i zgóry wiedzieli, że wszystko to jest fałszywe.

Obecnie mamy wszystko pozorne, pozorną etykę, pozorną sprawiedliwość, pozorną demokrację, pozorną monarchię, dochodzimy wreszcie do pozornej nauki, i tej pozorności jesteśmy najzupełniej świadomi. Wprawdzie, nauka poprzednich wieków okazała się również w wysokim stopniu pozorną, ale jeżeli popełniano błędy to w dobrej wierze. Nauka XIX wieku usunęła wprawdzie oficjalnie Boga ze świata i w tym jest jej ciężkie przestępstwo, ale wierzyła przynajmniej jeszcze w potęgę pierwiastka ludzkiego. Obecnie pierwiastek ten załamuje się groźnie we wszystkich dziedzinach życia, wykazując tym samym, że świat bez Boga zatraca po prostu wszelkie normalne podstawy istnienia. Potwierdzają się już obecnie w całej pełni słowa Zbawiciela: „beze Mnie nic nie możecie".

Jeżeli rzucimy jeszcze raz wzrokiem wstecz na przebytą w niniejszej rozprawie [1]) drogę myślową, to stanie przed naszymi oczyma przede wszystkim fakt bezsprzecznej dwutorowości, jaka przejawia się w naszych czasach zarówno w organizacji życia społecznego jak w nauce. Bo z jednej

[1]) Obejmuje ona artykuły zamieszczone w *Przeglądzie Powszechnym* w zeszytach październikowym, listopadowym i grudniowym ub. r.

strony widzimy jakby niewątpliwy zwrot ku religii w szerszych kołach społeczeństwa, pragnienie wiary, jako fundamentu i drogowskazu życia, z drugiej jednak strony nie tylko nie możemy stwierdzić, aby organizacja świata posuwała się naprzód zgodnie z wymogami moralności chrześcijańskiej, lecz odwrotnie musimy uznać, że organizacja ta nabiera coraz więcej cech antychrystycznych. W praktyce zwyciężają chwilowo właśnie tendencje antychrystyczne, wówczas gdy w oderwaniu od praktyki życiowej narastają tęsknoty i dążenia religijne. Wydaje się przeto, że w świecie jakby następuje obecnie wyodrębnianie się dwóch organizacyj, jednej duchowej Chrystusowej i drugiej praktycznej ziemskiej, cesarskiej, że się tak wyrażę. Nigdy też może słowa Zbawiciela: „królestwo moje nie jest z tego świata", nie posiadały cech tak realnych i wyrazistych jak w naszych czasach, i należy się obawiać, że rozdźwięk między obu organizacjami będzie raczej wzrastać niż maleć, i że w praktyce życia prądy antychrystyczne będą jeszcze przez dłuższy czas brać górę nad Chrystusowymi.

W nauce współczesnej stwierdzamy również istnienie wyraźnej dwutorowości. Oficjalna jej część kroczy w kierunku uproszczenia gmachu dawnej nauki drogą eliminowania wszystkich pojęć, stojących temu na przeszkodzie, by wobec niemożliwości rozszerzenia fundamentów, stabilizować przynajmniej jako tako to, co się da jeszcze utrzymać. Ten kierunek oficjalnej nauki wiąże się, zdaniem naszym, z ogólnymi tendencjami naszych czasów do stabilizowania całego gmachu współżycia ludzi na fundamentach faktów dokonanych, nie zaś na fundamentach ducha i etyki. Druga natomiast nieoficjalna część nauki kroczy raczej w kierunku mistyki, w kierunku wiedzy duchowej, i ta właśnie część wydaje się być odpowiednikiem tych prądów religijnych, które nurtują obecnie w świecie; ona to właśnie zbliża obecnie naukę czyli raczej wiedzę duchową do religii, przygotowując, być może, grunt do jakiejś wielkiej przemiany świata, która musi jednak nastąpić po czekającej nas w bliższej lub dalszej przyszłości ostatecznej katastrofie.

Inż. Adolf Kliszewicz.

Katolicyzm religią państwową w Polsce.

Pierwszym z pięciu naczelnych postulatów Kongresu Skargowskiego, który odbył się we wrześniu br. w Warszawie, był ten: „Żądamy ustawowego uznania katolicyzmu za religię panującą i państwową w Polsce".

Postulat pierwszorzędnej doniosłości!

Lat temu piętnaście zdegradowano katolicyzm w Polsce. Konstytucja z 17 marca 1921 r., pierwsza konstytucja odrodzonej Polski, przekreśliła tysiącletnią rolę katolicyzmu. Oświadczyła, że nadal nie można uznawać katolicyzmu za religię panującą. Nie pomogło katolicyzmowi i to, że ostatnia konstytucja przedrozbiorowej Polski, Konstytucja Trzeciego Maja, obchodzona corocznie jako główne święto narodowe, postanowiła, że „religią narodową panującą jest i będzie wiara święta rzymsko-katolicka ze wszystkimi jej prawami". Mimo to wszystko, uznano za stosowne wyznaczyć katolicyzmowi stanowisko następujące: „Wyznanie rzymsko-katolickie, będące religią przeważającej większości narodu, zajmuje w państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań".

Jubileusz Skargi był chwilą, która domagała się rewizji w tej sprawie. Skarga był tym opatrznościowym człowiekiem, który znojnym trudem całego życia sprawił, że Polska pozostała katolicką a wiara katolicka panującą religią narodową. Patrząc na państwowość katolicyzmu w Polsce, pisze Skarga:

Na katolickiej wierze... Polska jest zbudowana. Tak stała 600 lat, tak Chrystusa prawego i Jego świętą Ewangelię piastowała..., tak się rozkwitnęła i tak wiele narodów do siebie skupiła, tak nieprzyjaciołom się odejmowała, tak sławy wielkiej u postron-

nych dostawała... Ten stary dąb tak rósł, a wiatr go żaden nie obalił, bo korzeń jego jest Chrystus.

Boi się jednak, czy nie przyjdzie kiedyś zmiana. I tu jawi się cały Skarga. Wszystkie jego groźby prorocze, które dosłownie spełniły się i których słuszność wszyscy uznają, skupiają się w tym miejscu w krótkim ale wymownym zdaniu:

Ruszcież jeno tych fundamentów religii starej a ujrzycie wielkie zarysowanie murów królestwa i ojczyzny waszej; zatem i upadek, obroń Boże! nastąpi.

I jakgdyby przewidywał sytuację z roku 1921, pisze w zakończeniu szóstego kazania sejmowego słowa, które są bardzo głębokie. Szkoda, że twórcy konstytucji z 1921 roku nie przeczytali na początku swoich prac tych słów:

Nie skwapiajcie się na pisanie i rozmnażanie konstytucyj... Lepiej się na nie dobrze rozmyślić, a nimi nie zagęszczać, a praw się boskich i ludzkich dokładać, a potężną im i nieodwłoczną egzekucję dawać, prosząc Pana Boga, aby On oczy wasze oświecił a Ducha świętego zesłał, mówiąc: Zakonodawco nasz Jezu Chryste, rządź Ty sam nas i sprawuj, a z ręki i karności swej nas nie wypuszczaj. Pisz prawa Twe palcem Twoim na sercach naszych, abyśmy Cię i bliźnie nasze dla Ciebie i Rzeczypospolitę naszą uprzejmie miłowali, w prawach naszych czci świętej Twojej i Kościoła Twego i sprawiedliwości świętej ochraniali i wszystkie na dobro ludu twego i pomnożenie pobożności katolickiej pisali i wykonywali.

W tych myślach i słowach Skargi jest taka głębia, że prawnikom ówczesnym nigdy w najśmielszych nawet snach nic podobnego nie powstało w głowie.

Do omówienia całego tego zagadnienia powołany jest w pierwszym rzędzie znakomity referent tego postulatu. Nie wątpimy, że tego zadania podejmie się. Ale ponieważ chodzi tu o odwalenie grobowego kamienia, który od lat piętnastu przygniata w tragicznym stopniu, pierś katolicyzmu, sprawę tę omawiać powinno wielu. Sprawa ta powinna stać się nieodpartym postulatem całego ogółu katolickiego. Trzeba ją ciągle przypominać, ze wszystkich stron oświetlać, umysły i serca rozgrzewać, ażeby, gdy nastąpi wzrost siły katolickiej w kraju, potworna ta zmora zbankrutowanego liberalizmu rozwiała się w nicość.

I.

Bardzo ciekawe są początki tej sprawy.

Jeszcze nie było Polski, była tylko prowizoryczna prusko-austriacka Polska, rok 1917, a już zasadzka była nastawiona. Komisja sejmowo-konstytucyjna Tymczasowej Rady Stanu, po pięciomiesięcznej pracy, ułożyła projekt konstytucji. Jeden z profesorów prawa państwowego, który plan i główną treść projektu podał, uznał za stosowne uchylić rąbek urzędowej tajemnicy i zamieścił krótką notatkę w *Kurierze warszawskim*. Dodajmy, że *Kurier warszawski* nie był jeszcze wówczas tak jednolity i solidny, jak jest dziś. Notatka ta brzmiała:

Olbrzymia większość społeczeństwa polskiego wyznaje religię rzymsko-katolicką. Dlatego konstytucja żąda, aby monarcha i jego rodzina należeli do tego wyznania i ogłasza religię rzymsko-katolicką religią stanu. W tłumaczeniu na języki obce mógłby ten przepis budzić wątpliwość. Religia stanu po niemiecku *Staatsreligion*, po francusku *religion d'Etat*, a więc religia państwowa. Jednakże żadna religia nie może być państwową, bo państwo nie ma religii; religię ma ludność w państwie mieszkająca. Mylnym wnioskom zapobiega konstytucja, umieszczając po słowach — religia rzymsko-katolicka jest religią stanu — dwu kropek, po czym idą słowa: akty religijne towarzyszące uroczystościom państwowym odbywają się według obrządku rzymsko-katolickiego. Przepis o religii stanu ma więc to znaczenie, że, zgodnie z katolickim charakterem większości społeczeństwa, uroczystości państwowe mogą być połączone tylko z obrządkami rzymsko-katolickimi. Przykładem jest koronacja króla, odbyć się ona może tylko w formach religijnych Kościoła rzymsko-katolickiego, co odpowiada naszym dawnym tradycjom i kwestionowane być nie może. Licząc się ze znaczeniem jednej religii, konstytucja nie krzywdzi innych religij, lecz głosi zasadę wolności wyznań i autonomii Kościołów i związków religijnych w państwie.

Czy niesłusznie Skarga pisał:

Nie skwapiajcie się na pisanie i rozmnażanie konstytucyj, — lepiej się na nie dobrze rozmyślić, a nimi nie zagęszczać...

Taki był początek tej kwestii, która w czterech następnych latach przechodziła przez wiele dyskusyj i przemian słownych, ale nie rzeczowych. Istota rzeczy tak w początkowym stadium jak w ostatecznym określeniu konstytucyjnym, była tylko echem liberalizmu XIX wieku.

Jest to wielkie ułatwienie dyskusji, mieć przed sobą konkretnego przeciwnika. Już wówczas, gdy notatka ta w *Kurierze warszawskim* pojawiła się, wystosowaliśmy pod adresem jej autora dorywczy polemiczny wywód. Pytaliśmy się go, jak można tak bezceremonialnie popełnić takie zdanie: „państwo nie ma religii, religię ma ludność w państwie mieszkająca". Dla wykazania przecież fałszu, jaki w tym zdaniu się mieści, wystarczy wstawić w to zdanie, w miejsce słowa „religia" jakieś inne słowo, wyrażające istotny przymiot natury ludzkiej. Wobec jedności duszy ludzkiej, postępowanie takie jest zupełnie słuszne i uprawnione. A więc naprzykład: „państwo nie ma rozumu, rozum ma ludność w państwie mieszkająca" — albo: „państwo nie ma celu i sensu życiowego, cel i sens życiowy ma ludność w państwie mieszkająca". Jeżeli przyjmiemy, że w pojęcie państwa nie wchodzi ludność, to zdania powyższe są słuszne i prawdziwe. Jeżeli zaś każdemu oczywistym jest absurd tych zdań, to znak, że absurdem jest wyłączać ludność z pojęcia państwa, że zatem absurdem jest odmawiać państwu przymiotów istotnych, właściwych duszy ludzkiej, jak rozumu, celu, sensu życiowego, tym samym i religii.

Nie będziemy zatrzymywać się dłużej nad oczywistą bezzasadnością, jaka tkwi w rozdziale ludności od pojęcia państwa. W pewnych abstrakcyjnych ujęciach rozdział taki jest możliwy — sofizmat jednak autora polega na tym, że bierze ideę państwa abstrakcyjnie i łączy ją z konkretnymi funkcjami państwa. W tym tkwi bałamuctwo. Jeżeli ktoś mówi o konkretnych funkcjach państwa, to mówi o państwie konkretnym, którego bez ludności pojąć nie można.

Warto natomiast poświęcić krótką uwagę tej prawdzie, że razem z ludnością wchodzącą w pojęcie państwa, w toż pojęcie wchodzi i religia. W jednostce ludzkiej i w zbiorowisku takich jednostek uznaje autor fakt istnienia religii. Czy nie zastanowiło jednak autora to, że każdy istotny związek tych jednostek staje się zarazem związkiem religijnym — mówimy „istotny" a nie przygodny, naprzykład klub, konsorcjum, zgromadzenie, i tym podobne. Dwie jednostki ludzkie tworzą rodzinę a to, że każda z tych jednostek jest istotą religijną, sprawia, że i rodzina jest związkiem religij-

nym. Używamy zwrotu „rodzina katolicka" i rozumiemy jego znaczenie. Rodzina katolicka, to sakrament małżeństwa, który ją jednoczy, to chrzest dzieci, to wychowanie dzieci w duchu katolickim, to życie całej rodziny podług przepisów wiary. — Z pewnej ilości rodzin powstaje nowy związek, gmina. I znowu rozumiemy, co to znaczy „gmina katolicka". Gmina katolicka to wspólny kościół, wspólne nabożeństwa, wspólny opiekun duchowy, wspólny charakter życia według zasad religii. Jeżeli więc religijny charakter jednostki ludzkiej przechodzi na każdy istotny związek jaki ta jednostka tworzy, to dlaczegoż nie miałby przejść na ten związek, który jest związkiem pewnej ilości gmin, a który nazywa się państwem?

Państwo nie ma mieć religii? Czyż państwo nie jest związkiem jednostek religijnych, rodzin religijnych, gmin religijnych? Czy państwo nie jest wynikiem tej samej dążności, człowiekowi wrodzonej w kierunku uspołecznienia, która tworzy rodzinę i gminę, dążności, którą Bóg jako prawo natury postawił i jako takie w naturę ludzką wszczepił. A jeżeli tak, to jak Bóg jest twórcą natury ludzkiej, wszystkich jej dążności i uzdolnień, tak tym samym jest twórcą wszelkiej istotności, jaką ta natura tworzy, a więc i państwa. Z tego stosunku stworzenia do Stwórcy płynie religia jednostki, rodziny, gminy, a więc także i państwa. Bóg jest Stwórcą, Panem i Dobroczyńcą całego rozumnego stworzenia i od całego rozumnego stworzenia a więc także i od państwa, należy mu się cześć, wdzięczność i służba. Nie tylko cześć ale i służba!

Zdanie, że państwo nie ma religii jest więc przestarzałym sprzętem, wydobytym z lamusa pana Rousseau i oficyn rewolucji francuskiej. Od tych czasów upłynęło jednak wody wiele; doświadczenie życia pouczyło, jaki fałsz i jaka zbrodniczość tkwiły w tej teorii, a mądrość ludzka stwierdziła niejednokrotnie jej bezpodstawność. Taki koryfeusz nauki prawa państwowego, jak protestant i mason Bluntschli, żąda moralnych wartości w podstawach państwa. Pocóż zresztą przykłady obce, gdy mamy rodzime. Konstytucja 3 Maja powstała w dwa lata po rewolucji francuskiej i po ogłoszeniu bezreligijności państwa przez Francję. A choć Francja

była wówczas w Polsce w modzie, choć nie była w modzie religijność, to jednak dokryna francuska nie zawróciła wcale w głowie twórcom Konstytucji 3 Maja, notorycznym libertynom i masonom, którzy w naczelnym artykule postanowili, że religia katolicka jest religią narodową, panującą, a więc panującą i państwową. Zresztą sam Rousseau był na tyle delikatny i pojętny, że gdy mu delegacja polska dała do przeczytania ustawy Konstytucji 3 Maja, nie próbował im cokolwiek zarzucać.

Całą tę kwestję wyświetla rozstrzygająco pod każdym względem myśliciel i autorytet tej miary, co Leon XIII w encyklikach o pochodzeniu państwa i o chrześcijańskim ustroju państw. Encykliki te, jako dokument teologiczny i filozoficzno-prawniczy, są dziełem pierwszorzędnym, otwierającym po okresie liberalizmu nowy okres historii. Dla narodów katolickich są obowiązujące. — Oto jak stawia Leon XIII pogląd chrześcijański przeciw wolnej umowie, kontraktowi społecznemu, Rousseau'a. W encyklice o pochodzeniu władzy państwowej czytamy:

Ci, którzy twierdzą, iż społeczeństwa ludzkie powstały z wolnej umowy, zawartej między obywatelami, z tego źródła wyprowadzają porządek władzy. Mówią że każda jednostka wyrzekła się części swoich praw i że wszyscy poddali się dobrowolnie władzy tego, w którym ześrodkowały się prawa wszystkich. Wielkim atoli błędem ich jest nie wiedzieć, co jest przecież jasnym, że ludzie nie będąc samopas błąkającym się plemieniem, przyszli na świat z przyrodzonym popędem do życia w gromadzie, niezależnie od swej wolnej woli. Zresztą owa umowa, o której szeroko mówią, jest oczywiście zmyśloną i fikcyjną, a gdyby nawet była rzeczywistą, nie wystarczyłaby do nadania władzy politycznej tej siły, godności, stałości, której wymaga bezpieczeństwo państwa i interes ogółu obywateli. Władza zwierzchnia o tyle jedynie posiadać będzie ten urok i moc, o ile Bóg uznany zostanie za jej dostojne i najświętsze źródło.

Więc i w poglądzie chrześcijańskim, gdy mowa że „wszelka władza pochodzi od Boga" nie ma się na myśli jakiegoś widomego aktu bożego, jaki naprzykład był, gdy Chrystus ustanawiał Kościół katolicki, lecz mówi się tylko o prawie przyrodzonym, o tej szczególnej skłonności do łączenia się w społeczność, którą włożył Bóg w naturę ludzką, a która sprawia, że człowiek zaczyna od tworzenia rodziny,

a kończy celem zupełnego zaopatrzenia i obrony życia, na państwie i jego władzy.

To zatem usunięcie Boga od pojęcia władzy ludzkiej, a zastąpienie Go władzą od ludu, jest taką samą kłamliwą lekkomyślnością, jaka istnieje w każdym buntującym się przeciw Bogu niedowiarstwie, w każdym grzechu. Prowadzi też ta lekkomyślność do tego samego kresu, do którego prowadzi każdy grzech, do katastrofy. Chyba dzisiejszy widok rysującego się i rozpadającego świata, który na ruchomym fundamencie władzy bez Boga i państwa bez Boga został zbudowany, aż nadto o tym przekonywa.

I tu dopiero rozumie się szczytność chrześcijańskiego ustroju, zapewniającą i autorytet władzy i poddaństwu szlachetną godność i wolność synów bożych. Wystarczy pomyśleć chwilę nad następującymi słowami św. Pawła: „Niechaj każdy człowiek będzie poddany władzy zwierzchniej, albowiem nie ma władzy, jak tylko dana od Boga; te zaś, które istnieją, przez Boga ustanowione zostały. Tak więc, kto opiera się władzy, opiera się boskiemu nakazowi. A kto tak postępuje, na potępienie się skazuje. Dlatego bądźcie posłuszni nie z obawy przed karą a z obowiązku sumienia".

Jakie ostatnie słowo w tym ustroju? Pisze Leon XIII w encyklice *Immortale Dei:*

Społeczność tak urządzona, powinna oczywiście publiczną czcią zadość czynić wielkim i licznym obowiązkom, które ją z Bogiem łączą. Natura i rozum, jak obowiązują każdego w szczególności do świętej czci Boga, bo od Niego pochodzimy, do Niego dążymy, w Jego ręku jesteśmy, tak ten sam obowiązek kładą na ludzkie społeczności. Albowiem ludzie we wspólny złączeni związek, nie mniej niż każdy z osobna, w Boskiej są mocy; więc nie mniejszą też wdzięczność, jak każdy w szczególności, winno społeczeństwo Bogu, któremu zawdzięcza swój początek, pod którego opieką trwa i niezliczone dobra za jego łaską ustawicznie odbiera.

W dalszym toku obu encyklik Leona XIII rozjaśnione są pełnym światłem wszystkie kwestie związane i z religijnością państwa i z państwowością religii. Czytamy tam, że państwo ma „religię otaczać opieką, przychylnością osłaniać, powagą swą i prawami bronić, a niczego nie ustanawiać i nic nie zarządzać takiego, coby jej nietykalność naruszało".

Czytamy dalej, że państwo katolickie powinno uznać Kościół katolicki za zwierzchność w katolickich sprawach religijnych od państwa niezależną — a w sprawach stykających się z religią powinno Kościół przypuścić do współpracy, uznać jego wpływ na rodzinę, na wychowanie młodzieży, na szkołę, na prawodawstwo itd. Czytamy tam także, że uznanie katolicyzmu za religię państwa nie wiąże się z prześladowaniem innych wyznań, ale z ich tolerancją. Zastanowiwszy się zaś głębiej nad całością obu encyklik, widzi się, że w takim postawieniu kwestii nie chodzi o klerykalizm, ale o istotę rzeczy, że takim jest prawo natury i takim porządek świata, od którego wiernego zachowania zależy dobrobyt i pomyślność ludzkości. Katolicyzm umocniony w swoich prawach jest najsilniejszym filarem państwowości.

II.

Ale o tym w początkach państwa polskiego, gdy powstało już prawdziwe państwo polskie w r. 1918, nie chciano słyszeć. Była w tym nastroju jakaś miłość ojczyzny, pragnąca, by nowe jej podwaliny były jak najdoskonalsze, ale było też i obciążające dziedzictwo wszystkich błędów i herezyj XIX stulecia, dążących do tego, by katolicyzm jeśli nie unicestwić, to przynajmniej usunąć na dalszy plan widowni publicznej. A że Polak najczęściej bywa „papugą narodów", więc razem ze wzruszeniem ramion na jakąkolwiek wzmiankę o katolicyźmie, rozlegały się deklamacje, że należy iść za postępem najwięcej cywilizowanych narodów Zachodu.

Z cytowaną formułą profesora Tymczasowej Rady Stanu uprzątnięto się prędko. Była kłopotliwą. Mówiła za dużo o rodzinie królewskiej, gdy tu tymczasem bardziej uśmiechała się forma rzeczypospolitej. Była za szczerą, za dużo i za otwarcie mówiła o bezreligijności państwa, czym mogła wywołać sprzeciw sfer katolickich. A przede wszystkim była zanadto naiwną. Cały nacisk kładła wyłącznie na obrządkowe formy kościelne przy uroczystościach państwowych, jak gdyby nie przeczuwała nawet, że poza formami obrządkowymi istnieje jeszcze istota katolicyzmu.

Próbowano wstąpić na drogę pośrednią.

Stanowisko państwa polskiego wobec Kościoła katolickiego określono w artykule 114 konstytucji. Poza tym jednak stworzono jeszcze cały szereg artykułów, które odnosząc się do religii w ogóle, odnoszą się tym samym i do Kościoła katolickiego. I tak: artykuł 111 poręcza wszystkim obywatelom wolność sumienia i wyznania. Artykuł 112 określa sposób używania tej wolności. Artykuł 120 uznaje naukę religii za obowiązkową w niższych i średnich zakładach państwowych i samorządowych. Artykuł 102 udostępnia pociechę religijną w zakładach publicznych. Artykuł 116 mówi o uznaniu nowych wyznań. Artykuł 113 określa zasadniczo stosunek państwa do wszystkich uznanych przez państwo związków religijnych, przy czym w sferze wewnętrznej życia religijnego pozostawia wyznaniom zupełną autonomię, w sferze zaś zewnętrznej reguluje tylko kwestię osobowości prawnej.

Na takim tle, odmiennym od fanatyzmu pewnych radykalnych konstytucyj zagranicznych, zarysowują się wyraziściej artykuły 114 i 115, pierwszy z nich mówiący o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, drugi o stosunku państwa do innych wyznań. Artykuły te w pełnym tekście brzmią, jak następuje:

Artykuł 114: Wyznanie rzymsko-katolickie, będące religią przeważającej większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań.

Kościół Rzymsko-Katolicki rządzi się własnymi prawami. Stosunek Państwa do Kościoła będzie określony na podstawie układu ze Stolicą Apostolską, który podlega ratyfikacji przez Sejm.

Artykuł 115 brzmi: Kościoły mniejszości religijnych i inne prawnie uznane związki religijne rządzą się same własnymi ustawami, których uznania Państwo nie odmówi, o ile nie zawierają postanowień, sprzecznych z prawem. Stosunek Państwa do tych kościołów i wyznań będzie ustalany w drodze ustawowej po porozumieniu się z ich prawnymi reprezentantami.

Co zatem w tej konfiguracji oznacza „naczelne stanowisko" katolicyzmu?

Poza galowymi nabożeństwami i obrządkowymi formami kościelnymi przy uroczystościach państwowych, o których wiemy już od prawnika Tymczasowej Rady Stanu,

zdaniem poważnych komentatorów, ma katolicyzm ten przywilej, że ilekroć w ustawach jest mowa o Kościele, religii lub duchowieństwie bez bliższego określenia o jakie wyznanie chodzi, wszędzie należy rozumieć wyznanie rzymsko-katolickie. Inne wyznania muszą dopiero wykazać, że ta ustawa także do nich się odnosi. Tak przynajmniej dysputują komentatorzy.

Ponadto, całkowity stosunek Państwa do Kościoła katolickiego określa układ ze Stolicą Apostolską, konkordat, a zatem umowa międzypaństwowa, w której Stolica Apostolska zajmuje miejsce współrzędnego kontrahenta. Jest to właściwe tylko Kościołowi katolickiemu.

Niektórzy komentatorowie podkreślają słowa: „Kościół rzymsko-katolicki rządzi się własnymi prawami" i wnioskują z nich, że w słowach tych mieści się uznanie Kodeksu prawa kanonicznego. Jednak długoletnia walka przeciw całemu katolickiemu prawu małżeńskiemu, które mieści się przecież w Kodeksie, wystarczająco przekonywa, że wniosku tego nie można brać zbyt poważnie. Bo o cóż właściwie chodzi? Przecież katolicy nie chcą swego prawa małżeńskiego narzucać innym wyznaniom; chcą tylko sami nim się prawnie rządzić.

Jednak i te wyróżnienia coś mówią. Wstrząsają w każdym razie ścisłością prawniczą określenia: „naczelne stanowisko (katolicyzmu) wśród równouprawnionych wyznań. W tym wypadku o ścisłym równouprawnieniu niema mowy.

Wskazuje to na tę walkę, która poza widownią publiczną toczyła się w sumieniach i dyskusjach. Chciano zaświecić i Bogu katolickiemu świecę i innym bogom ogarek.

Ta połowiczność jednak, poza którą krył się duch liberalizmu, jest fortelem obliczonym na krótką metę. Zazwyczaj w takich wypadkach wpada się z jednego zła w drugie, o wiele gorsze. To stało się w istotnym, pełnym, tekście określenia stanowiska katolicyzmu: „Wyznanie rzymsko-katolickie zajmuje w państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań".

Co znaczyć ma „naczelny" wśród „równouprawnionych"?

Wyraz „naczelny" zdawałby się mówić o jakiejś prerogatywie, o jakimś wyższym stopniu wobec otoczenia, a więc

o czymś, co jest sprzecznym z równością i równouprawnieniem. Zestawienie więc dwu tych pojęć w jedno jest łamańcem językowym, bo ucho polskie nie nawykło do syntezy dwu tych wyrazów. Jest także łamańcem logicznym, bo dwa te pojęcia nie schodzą się ściśle z sobą. I tu z nieprzepartą koniecznością narzuca się pamięci zwrot języka łacińskiego: *primus inter pares*, „pierwszy między równymi". Jeżeli określenie to konstytucyjne ma jakiś rozumny sens, to tylko ten.

I tu zaczyna się tragedia.

W wyobraźni wynalazcy tego określenia stała najwidoczniej przy tym wynalazku długa ława, na której zasiedli twórcy religii, reprezentowanych w Polsce. Na pierwszym miejscu siedzi Chrystus, przy nim Mojżesz, potem Mahomet, Budda, Luter, Kalwin, Focjusz, potem założyciele Mariawitów i tak dalej. Wszyscy są równouprawnieni, to jedno tylko, że Chrystus siedzi na pierwszym miejscu.

Otóż na kompozycję tego obrazu żaden katolik zgodzić się nie może. Tylko Chrystus jest Bogiem a tamci inni są tylko ludźmi. Przepaść między Bogiem a ludźmi jest nieskończona i następstwa tej przepaści są wprost nie do objęcia.

Bóstwem Chrystusa katolicyzm stoi, bez niego obraca się w pustkę. Tysiąclecie katolickiego państwa polskiego, którym tak chlubi się i cieszy Skarga, rozwiewa się tym konstytucyjnym określeniem w nicość.

Dla każdej religii trzeba mieć cześć, bo lepsza jest jakakolwiek religia od bezreligijności lub antyreligijności. Tolerancja wolności wyznaniowej jest nieodzowna w każdym uporządkowanym państwie. Jeżeli w pewnych państwach katolickich zdarzały się sprzeczne z tym akty, to było źle. Ale o równouprawnieniu Boga z ludźmi nie może być mowy.

Katolicy, którzy brali jakiś udział w tworzeniu się tej konstytucji byli w bardzo trudnym położeniu. Walczyli, jak długo mogli, potem wobec nieustępliwości przeciwników chcieli jak najwięcej uratować z pogromu. Tłumaczyli sobie z historii konkordatów, że papieże robili różne ustępstwa, nie można jednak zapominać, że działo się to w konkordatach z państwami, w których przeważająca większość ludności była antykatolicką, gdzie przez taki konkordat zyski-

wało się dla katolicyzmu poprawę losu i możliwość jakiegoś działania. Z natury jednak rzeczy, katolicyzm jako religia boska musi dążyć do pełnej swojej afirmacji, bo to się Bogu należy. Tu ludzie, ani nawet papieże, nie mają nic do rozdawania. Obecny papież Pius XI bardzo jasno tę sprawę stawia w encyklice o Chrystusie Królu. Jest nawet w tej encyklice jedno zdanie, które bardzo bliskie jest kwestii, o której tu piszemy. Potępia w tym zdaniu papież te państwa, w których „religia Chrystusowa jest traktowana na równi z fałszywymi religiami i w bezecny sposób na równym stopniu stawiana."

Jedno co mogłoby do pewnego stopnia katolików naszych w tej trudnej sytuacji usprawiedliwiać, to byłaby ufność, że litera konstytucji pozostanie literą a życie potoczy się dawnym łożyskiem. Tymczasem rzeczywistość zawiodła tę ufność.

Nawykiem prawie tysiącletniej tradycji, a niewątpliwie i rozumem politycznym najwyższych czynników, stało się, że koła wozu państwowo-wyznaniowego, choć mocno w tym okresie skrzypiały, jednak nie rozpadły się. Stan taki jednak nie daje żadnej gwarancji na przyszłość. Głównie zaś chodzi o to, że konstytucyjna formuła o równouprawnieniu, jak jest wynikiem ideowego chaosu, tak zarazem do przedłużenia się i utrwalenia tego chaosu skutecznie dopomaga. Kierownicze czynniki mogą w pewnych ważniejszych chwilach dać rozstrzygającą wskazówkę, ale o biegu codziennych spraw a tym samym i duchu jaki w państwie panują stanowią prądy i kierunki, które zależne są od innych czynników. Gdyby konstytucja orzekała, że religia katolicka jest panującą, że państwo jest katolickim, że jako takie religię katolicką otacza opieką, broni powagą swą i prawem i niczego nie zarządza coby jej nietykalność naruszało, zwłaszcza, że w sprawach stykających się z religią przypuszcza Kościół do współpracy, to mgły chaosu musiałyby się z czasem rozwiać. Ale gdy formuła konstytucyjna jest tylko echem mętnego liberalizmu i laicyzmu, to wszyscy błędni rycerze tych kierunków mają wytyczony drogowskaz do swoich romantycznych wypraw. Na religię pozwala im konstytucja patrzeć, jako na dekorację państwowych uroczystości a poza tym jako na sprawę

prywatną każdego obywatela. Niech zatem religie i ich wyznawcy budują sobie królestwo niebieskie, jak się im żywnie podoba, wedle tej czy tamtej recepty wyznaniowej — państwa to wszystko wiele nie obchodzi, bo żadnej religii nie bierze na serio.

Stąd też jesteśmy często świadkami dziwnego zjawiska, że nawet i w tych środowiskach, które powołują się na jakiś związek z rządem, spotykamy się nieraz z atakami na Kościół katolicki. Ileż szczegółów pouczających dostarcza cała ta długoletnia kampania przeciw katolickiemu prawu małżeńskiemu, ileż nieporozumień roiło się naokół kwestii, szkolnej, albo w sprawach konkordatu. Sprawa nowych sekt to nowe ognisko zapalne. A tak dziwnie się składało, że w tym wirze zagadnień oświatowo-religijnych istniał cały szereg ministrów oświaty i wyznań, którzy wcale nie poczuwali się do obowiązku uprzejmości względem Kościoła katolickiego.

Znamienny obraz tego chaosu przedstawia między innymi fakultet teologiczny uniwersytetu warszawskiego. Aż trzy wyznania są tam reprezentowane. W imię górnych haseł patriotycznych wprowadzono najpierw protestantyzm a potem prawosławie. Wówczas społeczeństwo było zaskoczone, dziś jest jasnym, że ten sam skutek można było osiągnąć na innej drodze. A szkoda! Społeczeństwo katolickie nie może patrzeć obojętnie, gdy państwo i uniwersytet stawiają katolicyzm na równi z wyznaniami, które wiara katolicka ogłasza za fałszywe. I czyż konflikt ten nie jest żenujący dla uniwersytetu, który winien być przystanią jednej niewzruszonej prawdy. Niewzruszoną prawdę religijną widziała Polska zawsze tylko na opoce Piotrowej.

Cóż dopiero powiedzieć, gdy te nowe twory fakultetyczne nie zadawalają się wcale cichą pracą w czterech ścianach uczelni. Patrzyliśmy już jak fakultet protestancki rozrzucał ulotne broszurki, które atakowały katolicyzm, ubliżały nawet głowie katolicyzmu. Czytaliśmy tam, że encyklika Piusa X „przechodzi do porządku dziennego nad wszelkimi zabobycami i zagadnieniami nauki współczesnej", że nawet świeccy badacze, jeżeli są wierzącymi katolikami, nie mogą mieć wymaganej przez naukowe badania swobody.

Więcej jeszcze. W fakultecie protestanckim bywa reprezentowany protestancki liberalizm. W publikacjach tego fakultetu czytaliśmy różne wynurzenia i takie nawet, „że najrozmaitsze dowody istnienia Boga w gruncie rzeczy niczego nie dowodzą," że „cała teologia ogranicza się do poznania dziejów religii, z wykluczeniem wszelkiego dogmatyzmu". Z wykluczenia dogmatyzmu wyciągnięty jest bardzo znamienny wniosek, ten mianowicie, że ewangielickiemu fakultetowi nie można przypisywać „duchowego" charakteru, bo zasadniczo nie różni się on od wydziałów świeckich i mógłby zlać się w jedno z wydziałem filozoficznym. Jest to robienie oczka ku szerszej sferze wpływów, ale jest to też podkopywanie podstaw chrystianizmu. Liberalny protestantyzm obalił już wśród swoich wyznawców najbardziej istotne dogmaty chrześcijaństwa.

Mimochodem dodajemy, że nawet to, co miało być jedynym i wyłącznym przywilejem naczelności religii katolickiej, reprezentacja ceremoniału katolickiego przy uroczystościach państwowych, nawet w tym wypadku zaczyna zanikać. Przy pewnych uroczystościach państwowych przedstawiciele trzech fakultetów teologicznych występują obok siebie, jako równorzędni reprezentanci duchownego grona Wszechnicy. Fakt ten miał już swoje dalsze następstwa. Czytaliśmy nie jeden raz, że przedstawicielstwo władzy państwowej brało udział w nabożeństwach żydowskich bóżnic, protestanckich zborów i cerkwi prawosławnych.

Dość chyba dowodów, że ufność pokładana w wystarczalności formuły konstytucyjnej zawiodła.

Wszyscy pragniemy Polski silnej. Nie czas dziś na spory z przed lat. Ale zwłaszcza w tej chwili racja stanu Polski wymaga szczególnej jednomyślności społecznej. Za dwiema granicami państwa znajdują się dwie największe armie Europy, i to armie niedawnych naszych zaborców, którzy nie zawsze umieli ukryć tęsknotę do powrotu niedawno minionych stosunków. W takich momentach trzeba rozpocząć myśleć o silniejszym scementowaniu społeczeństwa, zwłaszcza, gdy zwrócimy uwagę, że na pierwszy plan widowni światowej wystąpił wojujący antyteistyczny bolszewizm. Naj-

prostszy interes państwowy każe pomyśleć o wzmacnianiu religii katolickiej w pierwszym rzędzie.

* * *

Spełniło się w dniach dzisiejszych, na całym dzisiejszym świecie, wieszcze słowo Skargi: „Ruszcież jeno tych fundamentów religii starej a ujrzycie wielkie zarysowanie murów królestwa i ojczyzny waszej; za tym i upadek, obroń Boże! nastąpi".

Tyle już rozsypało się lub rozsypuje w gruzy, ustroje państwowe, trony potężnych państw, panujące kierunki ideowe, systemy filozoficzne, bogactwo państw. Co będzie jutro, nikt nie wie. Nad tym jutrem krąży wciąż jakieś tajemnicze widmo apokaliptyczne, jakaś nowa wojna światowa, jakaś rewolucja światowa. Od wschodniego nieboskłonu idzie na ziemię jakaś potworna przepaść nocy, śmierci i piekła, pięrząca w sobie wśród krwawych błyskawic gruzy wszystkiego, co nosiło na czole stygmat Boga. A miliony oślepłych ludzi wyciągają ku tej przepaści utęsknione ramiona, jakby ku swemu zbawieniu.

Pisarz hinduski Rabindranath Tagore pisze: „Cywilizację europejską czuć już trupem; *iam foetet*". Wielki słowiański myśliciel pisze: „Jesteśmy na przełomie dziejów, jakiego Europa nie oglądała od wielkiej wędrówki narodów. Z krwawej katastrofy wyszło wtenczas cało tylko chrześcijaństwo. Dzisiaj nagromadzone są wszystkie warunki do wywołania podobnej katastrofy. Biada narodom, których przodownicy spostrzegają niebezpieczeństwo a nie kierują wszystkich wysiłków do przeciwdziałania. Czasy dojrzały do rewolucji światowej i jeżeli władcy tego świata i kapitaliści nie uznają praw chrześcijańskich, świat cały zatopi się w oceanie płomieni".

Włoch Papini wskazuje drogę wyjścia: „Królestwo szatana osiągnęło obecnie pełnię dojrzałości — i zbawienie, którego po omacku szukają wszyscy, może być tylko w królestwie Chrystusa". To jest to samo, co mówił i mówi dzisiaj swojej ojczyźnie, swemu upragnionemu państwu katolickiemu, Skarga: „Ten stary dąb tak urósł i żaden wiatr go nie obalił, bo korzeń jego jest Chrystus".

Ks. Jan Pawelski T. J.

Miara człowiecza.

„Człowiek jest miarą wszystkiego", mawiali mędrcy starożytnej Hellady: *anthropos metron panton.* Nie bez słuszności. Wszak i chrześcijańska etyka, szukając normy oceny, które czynności świadome i dobrowolne człowieka należy uważać za dobre moralnie a które za złe, głosi, że te są dobre, które zgadzają się z naturą człowieka rozpatrywaną w swej całości, a złe te wszystkie, które z tak pojętą naturą i jej prawami nie zgadzają się.

Jako pan tego świata człowiek korzysta też z jego dóbr tak, jak to uważa za lepsze dla siebie, uprawia te rośliny i hoduje te zwierzęta, których jemu właśnie potrzeba, cały rozwój techniki, przemysłu i handlu, zmierza do tego, by człowiekowi zapewnić możność życia łatwiejszego i pełniejszego; w stosunkach społecznych i politycznych stara się człowiek utrzymać takie formy życia lub też wprowadzić takie zmiany, jakie uważa za korzystne dla siebie i tej ludzkiej grupy, do której przynależy. Wszędzie człowiek jest miarą wszystkiego.

Niekiedy wyciąga on z tej zasady nieprawidłowe, błędne wnioski. Gotów uważać siebie za miarę najwyższą i ostateczną, jaką jednak wcale nie jest. Dużo też trzeba było czasu i trudu, żeby zrozumiał, że jego wielkie i wspaniałe mieszkanie — glob ziemski — nie jest wcale ośrodkiem wszechświata, lecz tylko mizernym pyłkiem w niezmierzonych przestworzach pośród miliardów słońc, gwiazd, mgławic.

W jednym dziale nie myśli człowiek jednak uchodzić za miarę, mianowicie w samym zakresie miar. Uważa, że takie miary, jak metr, kilogram, litr itp., choć obmyślane i usta-

nowione przez człowieka, nie są czymś tylko całkiem względnym, ale pewnymi wielkościami przedmiotowymi, niezależnymi od oceny człowieka.

Czy jednak tak jest? Czy my naprawdę wiemy coś o rzeczywistej wielkości rzeczy, czy też i tutaj również sprawdza się owa zasada, że *anthropos metron panton?* W odpowiedzi podamy najpierw ciekawe a głębokie refleksje, jakie na ten temat snuje Dr A. Kiesel.[1])

„Siedzieliśmy ze znajomym przy posiłku. Zaczęła się rozmowa od kilku uwag nad wielkością budynia, jaki przed nami znajdował się na półmisku. Wnet zeszła na pomiary w ogóle, oraz na nadzwyczajną dokładność, z jaką dzisiaj możemy przeprowadzać wszystkie pomiary".

„Bez tego przecież" zauważyłem, „byłoby całkiem niemożliwym, by przy budowie np. olbrzymiego, bo kilka kilometrów długiego tunelu, który ma przebić wielki masyw górski, rozpocząć kopanie równocześnie z obu stron góry, i dokładnie w prostej linii zejść się w samym środku".

„Czy wie pan," powiada na to mój przyjaciel, „że mimo całej precyzji dzisiejszych pomiarów, my w gruncie rzeczy nic a nic nie wiemy o rzeczywistej wielkości rzeczy?"

„Proszę tylko nie wymyślać podobnych historyj!"... krzyknąłem.

„Naprawdę, filozofowie"...

„No, naturalnie filozofowie"... mruknąłem pogardliwie i urwałem wiedząc, że bardzo nie lubiał, ilekroć się o nich wyrażałem bez uszanowania.

„Otóż," ciągnął on dalej, „wiadomo, że wszystko mierzymy metrami, względnie miarami, których podstawą i jednostką zasadniczą jest metr? Nieprawdaż?"

Skinąłem przytakująco.

„Jaką wielkość ma metr?"

„Metr jest czterdziestomilionową cząstką obwodu ziemi, jak to można wyczytać w każdym podręczniku," odpowiedziałem.

„A jak wielkim jest obwód ziemi?"

---

[1]) *Die Ausiese,* 8 Jahrgang, Nr 86.

„Czterdzieści milionów metrów oczywiście!" zaśmiałem się. „Czy pan ze mnie żartuje?"

„Przeciwnie, zdaje mi się, że to pan ze mnie kpi."

„Jakto?" — pytam zdziwiony.

„Jakto? To przecież jasne. Powtarza się obecnie coś podobnego do tego, co mi się zdarzyło kilkanaście lat temu, gdy byłem jeszcze młody, bardzo młody. Chciałem się dowiedzieć co to jest barometr. Mieliśmy w domu starą encyklopedię, oprawną w skórę. Nie można jej było porównywać z dzisiejszymi skarbnicami wiadomości, a zresztą rzeczywiście zredagowano ją z niezbyt wielką starannością. Otóż otworzyłem tę księgę. Patrzę pod słowem: barometr. Napisane: patrz: Ciśnienie powietrza. Zaglądam do owego artykułu. Odsyłają mnie do słowa „barometr!"

„Wspaniale!"

„Tak, ale pan robi to samo, co ów wymyślny redaktor. Pytam się pana, jak wielki jest metr, a pan mię odsyła do obwodu ziemi. Gdy zaś pytam, jak wielki jest ów obwód, twierdzi pan, że ma tyle a tyle metrów."

„Nie rozumiem pana. Czego pan właściwie chce?"

„Pragnę wiedzieć, jak długi jest metr".

„Ależ to przecież widać. Krawędź tego stołu np. jak to wiem pozytywnie od czasu zakupu, wynosi dokładnie jeden metr. Tu widzi pan, jak wielki jest metr."

„Więc pan sądzi, że rzeczy są tak wielkie, jak my je widzimy?"

„Oczywiście! czyżby może pan ze swej strony o tym wątpił?" pytam zdziwiony.

„Jeszcze jak! Ale opowiem coś. Pamiętam jeszcze ze szkoły ludowej, jak czytaliśmy jeden bardzo pocieszny wierszyk. Rozmawia w nim dwu wieśniaków. Lecz wcale nie o tym, jak najlepiej nawozić rolę albo wypasać trzodę, lecz — o wielkości słońca. Dlaczegóż by nie? Czemu nie mieliby wyrazić swych zapatrywań i o tym przedmiocie? Otóż jeden z nich utrzymywał, że jest ono tak wielkie jak strusie jajo. Drugi kiwał głową z powątpiewaniem i sądził, że jest znacznie większe, przynajmniej takie jak wóz naładowany sianem. Przyznam się, że co do mnie trzymałem raczej z pierwszym, bo słońce takim mi się mniej więcej wydaje".

— Zamyśliłem się na chwilę. — Po pewnej przerwie rzekłem: „naturalnie, jeśli chodzi o ciała niebieskie, to musimy dla nich zrobić wyjątek. Z powodu niezmiernej odległości wydają się nam takie małe. Atoli tutaj na ziemi widzimy rzeczy dokładnie takimi, jakimi są. To chyba pan przyzna".

„Wcale nie! Proszę popatrzeć na ludzi lub rzeczy, gdy się znajdują w większej odległości. Zdają się całkiem malutkimi!"

„No pewnie, że z odległości wszystko wydaje się nam małe! Ale ja ograniczam moje twierdzenie do tego, że rzeczy nam całkiem bliskie widzimy według ich rzeczywistej wielkości".

„Bliskie, bliskie! Co to znaczy bliskie? Przypuśćmy, że jakiś przedmiot, np. auto, zjawia się nam z daleka i zbliża się do nas. W miarę tego jak odległość między nami a nim zmniejsza się, widzimy go coraz większym. W którymże to miejscu widzimy go w jego rzeczywistej wielkości? Czy z odległości dwudziestu metrów, czy dziesięciu, czy tylko z odległości jednego metra? Czy zegarek kieszonkowy widzimy w jego rzeczywistej wielkości w odległości jednego decymetra czy też dziesięciu metrów?

A w jakiej odległości przedstawia się nam kościół w swych prawdziwych rozmiarach, czy gdy jesteśmy tuż obok niego, czy też gdy odejdziemy sto kroków?"

„No tak, — proszę mi wybaczyć — ale to są puste subtelności!"

„Tak? W takim razie postaram się w inny sposób pokazać panu, że jednak my nie wiemy nic o rzeczywistej i prawdziwej wielkości rzeczy.

Przypuśćmy, że ten dom, w którym obecnie rozmawiamy, skurczył się do jednej setnej swej wielkości, jaką widzimy. Byłby wówczas wysoki na jakie piętnaście do dwudziestu centymetrów, zamiast tyluż metrów, i przedstawiałby się nam jako domek-zabawka, jakie stawiamy dzieciom pod choinkę".

„Oczywiście".

„Otóż przypuśćmy dalej, że to skurczenie się rozmiarów odbyło się w czasie naszego snu, oraz że my sami rów-

nież zostaliśmy zmniejszeni do jednej setnej obecnej wielkości. Ten pokój ma, o ile sądzę, pięć metrów szerokości, siedem długości a półtrzecia wysokości. Jest przeto mniej więcej dwa razy taki wysoki jak pan. Budzi się pan po tych przemianach rozmiarów. Czy zauważyłby pan, że się znajduje w pokoiku o lilipuciej wielkości? Twierdzę stanowczo, że nie! Widziałby się pan w pewnej zamkniętej przestrzeni, która i po owym zmniejszeniu byłaby tak samo dwa razy wyższa niż pan. I gdyby panu przyszło na myśl, aby sprawdzić szerokość i długość pokoju, i wziąłby pan jaki sznurek i przyłożył do boku tego stołu pomniejszonego do jednej setnej części, aby mieć miarę „metra", toby pan sprawdził przy wymiarach, że pokój ten jest pięć razy szerszy a siedem razy dłuższy od tej właśnie krawędzi stołu, jaka miała nam przedstawiać „metr". A ten budyń na stole przedstawiałby się po swym pomniejszeniu do jednej setnej obecnych rozmiarów tak samo wspaniale jak obecnie, choćby wówczas według naszej obecnej oceny miał zaledwo dwa milimetry".

„Jeżeli to wszystko rozważyć spokojnie" — odparłem po dłuższym namyśle, — „to trudno tym wywodom cośkolwiek zarzucić. Po owym pomniejszeniu wszystkiego naprawdę nie zauważyłbym żadnej zmiany".

„Nie wolno by naturalnie było panu podnieść zasłony na oknie i wyglądnąć na zewnątrz. Wtedy bowiem oczywiście zauważyłby pan, że wszystkie przedmioty na zewnątrz domu stały się o wiele większe, niżeśmy je przedtem widzieli. Czyby jednak wówczas pomyślał pan, że t o m y z d o m e m ulegliśmy pomniejszeniu, to bardzo wątpię.

„Ależ rozumie się samo przez się, żebym to spostrzegł!"

„Nie jest to wcale tak pewnym! Widziałby pan oczywiście, że te rzeczy na zewnątrz domu, a więc drzewa, inne domy, góry w oddali itp. są większe, niż były przedtem. Atoli to mogłoby pochodzić i stąd, że w czasie naszego snu one właśnie zwiększyły się sto razy, podczas gdy my z całym domem pozostaliśmy bez zmiany. Co więcej, nawet wówczas gdyby to przypuszczalne kurczenie się odbywało się na jawie, w czasie świadomości, i gdyby okno pozostawało otwarte, nie wiedziałby pan, czy to dom razem z pa-

nem ulega pomniejszeniu, czy też odwrotnie wszystko na zewnątrz zaczyna wzrastać do niebywałych rozmiarów. Nie ma sposobu, ni punktu oparcia, by tę alternatywę rozstrzygnąć.

Idźmy dalej. Proszę sobie wyobrazić, że podczas naszego snu i dom nasz ze wszystkim, co się w nim znajduje i my sami i wszystkie rzeczy na zewnątrz domu, innymi słowy cały świat, uległ takiemu pomniejszeniu do jednej setnej dzisiejszych rozmiarów. Zmniejszyły się rzeczy i ich odległości. Po obudzeniu się nie spostrzeglibyśmy jednak żadnej zmiany"!

„Naturalnie w przypuszczeniu, że przez to pomniejszenie także inne stosunki i warunki fizyczne uległyby odpowiednim zmianom. Wynika to z samego założenia. A więc na przykład przy owym pomniejszeniu ziemi i słońca oraz ich odległości od siebie, zmniejszyłaby się odpowiednio siła przyciągania a zatem i ciężar rzeczy".

„Wtedy oczywiście nie zauważyłbym żadnej zmiany!"

„Wracam tedy do mego pierwszego pytania: jak wielki jest metr? Albo lepiej zapytajmy ogólnie: jaka jest wielkość rzeczy naprawdę i w rzeczywistości?

„To istotnie ciekawe i komiczne zarazem", powiedziałem. „A co o tym uczą wasi filozofowie?"

Mój towarzysz uśmiechnął się teraz z szyderczym triumfem. „Zdaje mi się, że ci „filozofowie" nagle zyskali w pańskiej ocenie, skoro się pan pyta o ich zdanie? Otóż niektórzy myślą nawet, że wogóle przedmioty nie posiadają w rzeczywistości żadnej wielkości".

„Co? Rzeczy nie mają naprawdę posiadać żadnej wielkości? To szaleństwo! To okropne szaleństwo! Jak można wogóle dojść do takich bredni"?

„Myśl ta nie jest wcale taką okropną brednią. Proszę tylko uważać. Przyjmuje się naogół, że ten świat jest ogromnie wielki. Słusznie. Ale proszę sobie jak i przedtem wyobrazić, że ten cały olbrzymi dla nas świat i my sami w nim ulegliśmy skurczeniu. Gdyby tak wszystkie rzeczy oraz ich odległości „zmniejszyły się", nie spostrzeglibyśmy tego wcale, jakeśmy to już powiedzieli. Nawet gdyby się cały zmniejszył do milionowej albo nawet bilionowej czy też trylio-

nowej części swych pierwotnych rozmiarów, widzielibyśmy go jednak takim, jaki się nam dziś wydaje! I gdyby to kurczenie się wzrastało w całości coraz dalej i dalej tak, że cały świat w porównaniu do naszej dzisiejszej miary posiadałby wielkość ziarnka piasku, otoczenie nasze wydawałoby się nam takim jak obecnie". [1])

Proporcje zostałyby mianowicie te same. Zmniejszyłyby się rzeczy oraz ich odległości, ale takiemu samemu zmniejszeniu uległyby wszystkie miary, które przecież wzięto z rzeczy. Nie godzimy się na to, by przedmioty nie miały w rzeczywistości żadnej wielkości. Są one „czymś", a więc muszą też mieć jakieś własności obiektywne. Chodzi tylko o naszą ludzką ocenę wielkości. Kto może podać jakąś bezwzględną miarę, niezależną od rzeczy, jakie właśnie mamy nią mierzyć? Ustanowiliśmy, że ciężar jednego decymetra sześciennego wody przy $+4^0$ C, będzie oznaczał kilogram. Ale ile właściwe waży ten kilogram? Na księżycu ta sama ilość wody ważyłaby tylko dwanaście setnych kilograma, zato na Jowiszu ponad trzy cetnary! Podobnie ciężar atomowy różnych pierwiastków wyrażamy liczbą wskazującą, ile razy atom danego pierwiastka jest cięższy od atomu wodoru, i tak tlen jest 15·88, azot 13·93, węgiel 11·91, żelazo 55·58 razy cięższe niż wodór. Ale jak ciężki jest sam wodór? I czy wszędzie w przestworzach ma on ten sam ciężar? Porównujemy tylko jedne rzeczy z drugimi, i wtedy jedne są większe od drugich, jedne są cięższe od drugich, ale bezwzględnej miary brak. Porównywamy je często z nami samymi, i od naszej wielkości zależy w pewnej mierze ocena ich wielkości czy małości. Gdybyśmy byli dziesięć razy mniejsi, to ziemia cała, wszystkie jej góry, rzeki i morza wydawałyby się nam i byłyby dla nas dziesięć razy większe. I tutaj też człowiek miarą wszystkiego. Co więcej, taki mały lilipucik uważałby się właśnie za coś całkiem normalnego. Kto nas zapewni, że my sami teraz nie jesteśmy liliputami? Czy cały ten świat w oczach jakiejś potężnej, znacznie większej od nas istoty nie wydaje się i nie jest czymś bardzo małym? A wobec Bytu Nieskończonego czy ten wszechświat nie

[1]) Tutaj kończymy refleksje dr Kiesel.

jest rzeczywiście czymś nieskończenie małym — powiedzmy niczym?

Ta całkowita względność, którą wszędzie spotykamy i która jest nieodłączną od wszystkich rzeczy otaczającego nas świata, a na którą może właśnie dlatego tak mało zwracamy uwagi, jest czymś naprawdę zadziwiającym i może u niejednego obudzić odruch sprzeciwu wobec poruszonych tu myśli. Może się niejednemu wydawać, że wobec tej względności walą się nasze konstrukcje świata, ginie sama niezmienna prawda, chwieje się solidna przedmiotowa podstawa naszej oceny rzeczy, a natomiast wchodzi czysto podmiotowa, względna, zmienna, rewolucyjna fantazja, powątpiewanie o wszystkim, jeden wielki znak pytania również względny, jak to wszystko nad czym sam został postawiony.

Próżne obawy i znowu całkiem na miarę człowieka! Niebezpiecznym może być błąd lub choćby sam brak poznania, ale nigdy samo zdanie sobie sprawy, jak się rzecz ma. Cała ta dziwna względność wymiarów i miar naszych ludzkich ziemskich, nie jest bynajmniej zastraszającą. Nie jest ona nawet dziwną dla człowieka myślącego. On musiałby się bardzo dziwić, gdyby było inaczej. Inaczej bowiem nie może być, gdyż ta zasadnicza względność leży w naturze wszystkich rzeczy. Możemy je porównywać z nami lub między sobą i według tego oceniać ich wielkości, ale żadna z nich nie może stać się dla innych wielkością bezwzględnie miarodajną. Żadna bowiem nie może stać się miarą najwyższą, ostateczną, bezwzględnie decydującą.

Miarą taką mógłby być tylko Ten, który z natury swej Niezmienny, jest Pierwowzorem i Przyczyną najwyższą wszystkich „małych i wielkich" rzeczy. Atoli między Nim a tymi względnymi bytami, jakie od Niego wyszły i od Niego zależą, nie ma też wspólnej miary. Między Nieskończonością a skończonością nie może być żadnej wspólnej miary, jest natomiast całkowita niewspółmierność.

Rozważania powyższe nad „miarą człowieczą" rzucają garść światła i na zagadnienie ducha. Trudno nam pojąć istotę, która nie ma materialnych kształtów ni rozmiarów, nie ma wysokości ni szerokości ni długości, istotę, która nie potrzebuje właściwie przebiegać przestrzeni, by się udać

z ziemi w jakieś zaświaty, istotę do której wogóle nasze pojęcia miejsca, przestrzeni, ciężaru itp. nie mają żadnego zastosowania. Otóż widzieliśmy, że wartości tego rodzaju nawet w zastosowaniu do rzeczy materialnych, nie mają wcale cech jakiegoś absolutu, nie należą nawet do czegoś niezmiennego w ich naturze. Wielkość ich jest względna, zależna od porównywania jednych z drugimi. Nawet ocena odległości dwu ciał będzie różna zależnie od samych wielkości tych dwu ciał. Dwa jabłka oddalone od siebie o tysiąc kilometrów są naszym zdaniem bardzo daleko od siebie, ale gdyby ziemia i słońce zbliżyły się wzajemnie na taką odległość, tobyśmy powiedzieli, i słusznie, że się znajdują niesłychanie blisko!

Czy dla ducha odległość między Ameryką i Europą jest mniejsza niż odległość ziemi od księżyca, albo większa niż droga z Burgos do Madrytu? Samo pytanie jest nie do rzeczy, bo wprowadza do zakresu ducha pojęcia i wartości, jakie są mu obce. To tak, jakby kto zapytał, czy melodia krakowiaka ma barwę pomarańczową, lub też chciał mierzyć czyjś rozum na metry albo kilogramy.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Władysław Konopczyński: Dzieje Polski nowożytnej t. I 1506—1648 str XII + 437; t. II 1648—1795. VIII + 459. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Odzyskanie niepodległości stało się silnym bodźcem rozbudowy nauk historycznych. W ciągu tych 17-u lat od wskrzeszenia Polski pchnięto badania historyczne na wielu polach znacznie naprzód. Raz po raz były też podejmowane próby stworzenia nowego, zgodnego z dzisiejszym stanem badań obrazu dziejów Polski. Zawsze jednak, o ile nie szło o przedstawienie popularne, kończyło się na posiekaniu całości dziejów na drobne nieraz części, pisane każda przez innego autora. Zyskiwała na tym niewątpliwie ścisłość historyczna, czytelnik jednak nie zawsze był zadowolony. Zanim zdołał się przyzwyczaić do stylu i sposobu ujęcia jednego autora, już natrafiał na rozdział, pisany przez kogo innego, w sposób niejednokrotnie różniący się silnie od sposobu poprzednika.

Wobec takiego stanu rzeczy z wielką radością przyjmą wszyscy ci, co interesują się historią, — a jest ich o wiele więcej niż się przypuszcza — ukazanie się książki prof. Konopczyńskiego. Autor obdarował naukę polską dziełem monumentalnym, obejmującym zamkniętą do pewnego stopnia całość dziejów Polski od r. 1506—1795, przeznaczonym dla młodzieży uniwersyteckiej i szerokich warstw miłośników naszej przeszłości dziejowej, których nie mogą zadowolić popularne podręczniki.

Prof. Konopczyński znany jest powszechnie jako niepospolity znawca XVIII w., niemniej szereg studiów wydanych przez niego, a obejmujących czasy wcześniejsze, przede wszystkim studium o *liberum veto,* pozwolił mu zapoznać się z ogromem źródeł, odnoszących się do dziejów Polski w XVI i XVII w. Poza tym czerpał autor wiadomości z szegu nieogłoszonych drukiem prac swoich uczniów, korzystał z wskazówek specjalistów do poszczególnych okresów, dzięki temu też daje dzieło prof. Konop-

czyńskiego daleko posuniętą gwarancje ścisłości, stwarzając równocześnie jedyny w swoim rodzaju jednolity obraz dziejów Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Dzieło to nie powstało od jednego rzutu. Dzieje Polski w latach 1648—1773 zostały napisane dawniej i ogłoszone drukiem w roku 1923 w „Historii Politycznej Polski", wydanej przez Akademię Umiejętności. Obecnie uzupełnione nowymi zdobyczami i historią lat od 1773—1795 tworzą one drugi tom dzieła. Tom pierwszy, obejmujący lata od 1506—1648, wraz z obszernym omówieniem ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego Polski został w całości napisany obecnie. Różnicy jednak między częścią dawniej napisaną a stworzoną obecnie nie znać. Sposób ujęcia ten sam, styl prawie że ten sam, całość wreszcie łączy ten sam pogląd autora na naszą przeszłość dziejową.

Specjalna struktura naszej przeszłości dziejowej sprawia, że przy ocenie naszych dziejów pierwsze miejsce zajmuje ocena naszego ustroju politycznego. Od tego, jaki kto ma pogląd na ten ustrój, zależy ocena nie tylko poszczególnych wypadków, władców ale nawet całej naszej przeszłości historycznej. Jakiż jest pogląd autora na ten ustrój? Na końcu pierwszego tomu nazywa go autor, przy ogólnym omówieniu stosunków w Polsce, ustrojem „najtrudniejszym w świecie". „Despotyzm — pisze dalej nawiązując do określeń Monteskiusza — nie wymaga innych cnót, prócz posłuszeństwa; polska wolność żądała rozumu stanu, ofiarności, czujności od setek tysięcy. Tych starczyło w jednym pokoleniu, zabraknie w następnych. Jakikolwiek też nad narodem unosił się „Duch Dziejów Polski", ku czemukolwiek ta „Polska szła", nadludzkich zadań, jakie jej postawił wiek złoty, spełnić, taka jaką była, nie mogła. Od degradacji uratować ją mógłby tylko albo cud władzy, narzucający się wolnym duchom, albo jeszcze większy cud obywatelskiego wychowania". Ustęp ten wymaga uważnego odczytania a jasnym staje się dopiero po wczytaniu się w stronice całej książki. Widzimy wtedy, że autor nie chce potępiać ani parlamentaryzmu, ani wolności w ogóle, nie może jednak uznać za szczęśliwy tej formy parlamentaryzm, który się u nas wyrobił. Wyjście też z tego dylematu, u końca którego był z jednej strony cud a z drugiej degradacja, widzi autor w naprawie a nie w złamaniu istniejącego ustroju. Z takim poglądem, stojącym w środku między krańcowościami szkoły krakowskiej i Chołoniewskiego, przystępuje autor do omówia wewnętrznych dziejów Polski i tragicznej walki *inter maiestatem et libertatem*.

Wobec tego też omawiając dążenia naszych monarchów do wzmocnienia swej władzy, autor rozróżnia strony dobre od stron złych, zarówno też w wielkich ruchach szlacheckich, znanych w historii pod nazwą wojny kokoszej, rokoszów Zebrzydowskiego i Lubomirskiego, konfederacji gołąbskiej i in. umie autor dostrzec

ziarna zdrowe obok złych. Pogląd autora na te zagadnienia przyjmujemy prawie bez zastrzeżeń. Piszemy prawie, bo jednak mielibyśmy pewne wątpliwości, czy nie należałoby w przedstawieniu wojny kokoszej uwzględnić destrukcyjnej roli magnaterii, a w rokoszu Lubomirskiego, zdaniem naszym, należało podkreślić wyraźniej rolę i ideologię szlachty.

Naturalnie, jak z wyżej przytoczonego cytatu wynika, na kapitalne pytanie, czy szlachta dojrzała do tego, by brać udział w rządach i przyjąć odpowiedzialność za losy państwa, autor odpowiada twierdząco! Jakkolwiek tę dojrzałość przyznaje szlachcie tylko w okresie Zygmunta Augusta i najbliższych po jego śmierci dziesięcioleciach. Niemniej jednak wykazuje na kartach swej książki, że nieraz ta szlachta nawet i później posiadała więcej wyczucia dla pewnych spraw niż jej monarchowie. Jasno wynika też z przedstawienia autora, jak w dużym stopniu do tego późniejszego upadku przyczyniła się magnateria, ustalająca w Polsce pod pozorami demokracji oligarchię. Niedość wyraźnie może tylko podkreślono, jaką rolę w tym naruszeniu demokracji odegrały kolosalne fortuny magnackie.

Jasnym jest, że nikt nie może pisać historii Rzeczypospolitej szlacheckiej, nie zająwszy stanowiska wobec katolicyzmu, jako zasadniczej podwaliny naszej kultury, i Kościoła, jako ważnego czynnika w życiu politycznym Polski. Stanowisko prof. Konopczyńskiego wobec tych czynników pełne jest głębokiego zrozumienia ich roli i wartości. Tym samym daleki jest autor od przesadnych zachwytów nad reformacją. Idąc za Brücknerem przyznaje, że ruch ten był powierzchownym i „szerokiego ogółu szlachty, nie mówiąc o chłopach, od wiary praojców nie oderwał". Podkreśla brak spoistości ideowej tego ruchu i niemoc wewnętrzną, ujawniającą się w niemożności stworzenia jednolitego frontu: „Reformacja zanim przegrała, dała widok teologicznej wieży Babel". — „Protestantyzm przegrał — konkluduje — bo nie miał korzeni w masie ludowej, nie górował jako całość polotem ducha ani cnotą chrześcijańską nad katolicyzmem i był z gruntu obcym". Fakt też ostatecznego zwycięstwa katolicyzmu na początku XVII w. zostaje uznany jako moment dodatni dla Polski. Do właściwej miary zostały też zredukowane, pokutujące dotąd po różnych podręcznikach, zarzuty przeciw nietolerancji polskiej kontrreformacji; „kilkanaście tumultów" to był jednak spokój w porównaniu z tym, co przeżywała Francja, Niderlandy, Niemcy". Podobnie życzliwym jest sąd autora odnośnie do unii brzeskiej. „W swoim czasie idea zjednoczenia kościołów była dodatnim pierwiastkiem polskiej myśli państwowej, której zasadniczej trafności nie uchybia ani owo błędne upośledzenie unitów, ani też zaniedbanie innych sposobów na drodze do zespolenia kresów z Koroną". Jeżeli przy tym wszystkim autor podkreśla, że katolicyzm polski obejmował raczej czucie Polaka, nie jego myśl i wolę, jeżeli

stwierdza, że w dziedzinie myśli religijnej byliśmy raczej odbiorcami Zachodu, to stwierdza smutną prawdę.

W osądzie władców i wybitniejszych postaci historycznych napotykamy wreszcie na ten umiar i spokój, jaki daje z jednej strony wszechstronna znajomość źródeł i głębokie zrozumienie ducha czasu, oraz skomplikowanych elementów przeszłości dziejowej. Nie spotkamy tu taniego obrazoburstwa czy brązownictwa, z drugiej jednak strony poszczególne postacie występują nieraz w nowym świetle.

Zdecydowanie przychylnie wypada sąd autora o obu ostatnich Jagiellonach, jakkolwiek autor musi przyznać, że pierwszy, osiadłszy zapóźno na tronie, nie mógł dać narodowi jak tylko resztę energii, a drugi „nie urodził się na lekarza epoki co wyszła ze swoich stawów". Co do Batorego prof. Konopczyński rozwiewa legendę o rzekomym, antydemokratycznym usposobieniu króla, legendę czyniącą tego świetnego wodza pogromcą parlamentaryzmu. Równocześnie jednak podkreśla konflikt, istniejący między zakochanym w sławie, nie mającym czasu na przebudowę państwa królem a narodem, chcącym dalej realizować program reform.

W nowym świetle wychodzi z kart książki prof. Konopczyńskiego Zygmunt III. Król ten, przedstawiony jako ciasny fanatyk, skompromitowany konszachtami z Habsburgami, nieudany naśladowca Filipa II, doczekał się tu obszernej rehabilitacji. Pokazano nam, że jego układy z Wiedniem nie były tak kompromitujące, jak to dotąd przypuszczano, polityka zagraniczna zaś nie tyle wynikiem jego błędów, ile nieszczęsnego zbiegu okoliczności. W działalności jego przed rokoszem widzi autor nie tyle dążność do *absolutum dominium*, jak chęć poprawy istniejącego ustroju. W kwestii wreszcie bodajże najciekawszej z polityki zagranicznej Zygmunta III, mianowicie kwestii naszego stosunku do Moskwy, wypowiada się prof. Konopczyński zdecydowanie przeciw unijnej koncepcji Żółkiewskiego, zwalczanej przez króla, wykazując jej utopijność i nierealność. W sumie werdykt o tym władcy, którego jego wielbiciel Albrecht Radziwiłł nazywa *devotissimus rex* brzmi: „choć orłem nie był, swe rzemiosło króla konstytucyjnego spełniał poprawnie, ...granice państwa rozszerzył, jednolitość religijną ugruntował, żył trzeźwo, przystojnie, kulturalnie, w zgodzie z sumieniem i na poziomie idei swego wieku".

Z wyraźną sympatią odnosi się autor do Władysława IV, musi jednak przyznać, że ten kulturalny i tolerancyjny władca nie dorósł do leczenia stosunków które zastał. Zastrzeżenia pewne mielibyśmy tylko do pewnego stopnia, co do przyznawania przez prof. Konopczyńskiego temu królowi cech geniuszu. Ocena następnych władców pozostała bez zmiany taką, jak w dawnym wydaniu tej części i słusznie, badania bowiem nowsze nie naruszyły charakterystyk, danych przed kilkunastu laty przez autora. Mo-

glibyśmy jedynie żywić lekką pretensję do autora, że nie rozszerzył swej charakterystyki Stanisława Leszczyńskiego, skoro ciekawa ta postać, jak to wykazał Feldman, zasługuje na bliższe omówienie; pewne wreszcie zastrzeżenia moglibyśmy mieć przeciw ciepłemu posłowiu, poświęconemu Janowi Kazimierzowi a umieszczonemu na końcu jego panowania. Kłóci się ono z charakterystyką króla umieszczoną wyżej. Król mógł zdobyć sobie sympatię poddanych w latach potopu, uczynił jednak wszystko w ostatnim ośmioleciu swych rządów, by ją stracić, jeśli zaś rządy jego stały się *initium calamitatis regni*, to była w tym znaczna część jego winy.

Co do postaci głośnych obecnie Barbary i Bony, to odnośnie do pierwszej prof. Konopczyński poszedł całkowicie za Kolankowskim i Pociechą ferując o niej wyrok niekorzystny, w stosunku jednak do drugiej nie przeprowadził autor jej całkowitej rehabilitacji i obok jasnych stron znajduje też i ciemne w postępowaniu tej wielkiej monarchini. Przewija się wreszcie przed naszymi oczyma szereg naszych wielkich mężów stanu i wodzów raz w tradycyjnym raz znowu w nowym oświetleniu, niesposób ich tu po kolei omawiać, zauważymy tylko, że autor korzystając z gruntownych studiów Lepszego, odkrywa słabe strony w wielkim kanclerzu Zamoyskim. Sąd o drugim naszym wielkim polityku Ossolińskim pokrywa się mniej więcej z sądem Kubali.

Poszczególne tomy dzieła zostały podzielone na ustępy, odpowiadające poszczególnym władcom, te zaś na mniejsze rozdziały odpowiadające poszczególnym kwestiom, dzięki temu orientacja w materiale jest bardzo łatwa. Każdy ustęp poprzedza bibliografia, obejmująca jednak tylko literaturę danego okresu. Bibliografia ta jest dość obszerna, uwzględnia nieraz rzeczy nie drukowane lub będące dopiero w druku, niemniej nie jest kompletną. Na końcu każdego tomu umieszcza autor ciekawe uwagi, w których wypowiada swe osobiste poglądy na pewne kwestie lub książki, wreszcie rozprawia się z poszczególnymi autorami. Całość zamyka 36-cio stronicowy indeks osób i miejscowości oraz skorowidz autorów.

W sumie musimy stwierdzić, że dzieje Polski nowożytnej doczekały się pierwszorzędnego opracowania, należałoby życzyć, by i dzieje Polski rozbiorowej doczekały się wreszcie równie pomnikowego dzieła. *Dr W. Czapliński.*

Ks. Józef Pastuszka, dr fil. dr teol., prof. Kat. Uniwersytetu Lub.: Filozofia współczesna, t. II. Lublin 1936. Towarzystwo Naukowe Katol. Uniw. Lubelskiego. Str. 316.

Omawiając tom pierwszy *Filozofii współczesnej* ks. Pastuszki (*Przegl. Powsz.* 1934, t. 202, str. 318) wobec przymiotów tej pracy wyraziliśmy życzenie, by tom drugi jak najprędzej ujrzał światło dzienne. Mamy go przed sobą po dwóch latach. Zawiera

materiał bogaty. Omawia idealizm niemiecki szkoły marburskiej (Cohen) i szkoły badeńskiej (Rickert), idealizm francuski (Lachelier, Hamelin, Brunschvicg), idealizm włoski (Croce, Gentile). Zapoznajemy się kolejno z fenomenologią Husserla i Schelera, z filozofią egzystencjonalną Heideggera, z neopozytywizmem Koła Wiedeńskiego (Schlick, Carnap), z witalizmem Driescha, z filozofią strukturalną Krügera, wreszcie ze współczesną filozofią katolicką, nie ustępującą innym systemom w zakresie prac i ich pozytywnych wyników. Pewno, że trochę z opisów ks. Pastuszki znajdziemy już w wydanych podręcznikach historii filozofii, dał nam jednak o wiele więcej materiału całkiem nowego, a co ważniejsza, opartego na samych dziełach omawianych autorów i to nie w sposób czysto podręcznikowy, lecz prawdziwie magistralny. Nie mamy podobnej syntezy o filozofii współczesnej w naszej literaturze, a ujęcie ks. Pastuszki, przejrzyste jak zawsze, przynosi nam chlubę.

Głębokie są uwagi krytyczne Autora o idealiźmie (str. 99), o fenomenologii (str. 157), o neopozytywiźmie (str. 181). Umie przyznać lojalnie dobre strony systemu danego autora, przestrzegając równocześnie przed jego jednostronnością czy zbyt pospiesznymi wnioskami. Oto przykład (ze str. 161): „Heidegger przeciwstawił się modnemu dziś glorifikowaniu i ubóstwianiu człowieka, a przedstawił go takim, jakim jest w rzeczywistości — z jego nędzą i opuszczeniem metafizycznym, z jego wieczną troską i lękiem, z jego zabiegami koło podtrzymywania istnienia w nieuchronnym pochodzie ku śmierci. Człowiek współczesny, który przeszedł gehennę wojny i niedolę lat powojennych, którego istnienie jest dziś zagrożone z wielu stron i który walkę o byt odczuwa boleśniej, niż ludzie dawnych lat, którego rozwinięta refleksja nauczyła patrzeć na życie bez złudzeń — taki człowiek odczuwa głębiej filozofię względności i nędzę istnienia. Cała problematyka dzisiejszego człowieka znalazła w egzystencjonaliźmie Heideggera swój pełny wyraz". Dodaje jednak Autor: „Przyznając filozofii Heideggera duże walory, nie można jej nie uznać za jednostronną. Człowiek jest ujmowany wyłącznie pod kątem swego stosunku do świata. A przecież tym stosunkiem nie wyczerpuje się jego istota... Człowiek wyodrębnia się od świata i posiada własne cele, ktore są obce przyrodzie... Egzystencjonalizm Heideggera w dotychczasowym sformułowaniu nie rozwiązuje problemu życia i świata. Jest filozofią doczesności i względności. Ogranicza się do subtelnej, wnikliwej analizy stanu faktycznego. Nie niesie pomocy zagrożonemu istnieniu ludzkiemu, nie przekracza granic doczesności, nie sięga ku absolutowi, nie wiąże życia ludzkiego z nieskończonością, a czasu z wiecznością. Pogłębia tylko tragizm człowieka".

W przedstawieniu systemu Husserla zdaje się ks. Pastuszka zaliczać tego fenomenologa do realistów, atoli w swych uwagach

krytycznych (str. 158) zaznacza, że Husserl spowodował tylko odwrót od psychologizmu i relatywizmu ku treści pojęć i niezmiennej wartości prawd: „Epokowy „zwrot ku przedmiotowi", jaki się dokonuje w dzisiejszej filozofii, jest w znacznej mierze dziełem Huserla, choć jego filozofii nie można nazwać realistyczną".

Słuchacze uniwersyteccy, klerycy seminariów, wszyscy, których zajmuje dzisiejszy stan myśli filozoficznej w Polsce i zagranicą, będą wdzięczni ks. Pastuszce za to jego dwutomowe dzieło, owoc żmudnej a bardzo pożytecznej pracy. Pierwszy tom na głównym składzie u Gebethnera i Wolffa w Warszawie, drugi w Uniwersytecie Lubelskim.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Maritain J., Sept leçons sur l'être et les premiers princips de la raison speculative, in 8⁰, èd. Tequi, Paris str. 163.

P. Maritain, profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu, tym dziełem zapoczątkował nowe wydawnictwo dzieł filozoficznych: „Cours et Documents de philosophie", które ma na celu ogłaszać drukiem wykłady profesorów uniwersytetu, posiadające wartość naukową i pedagogiczną, by w ten sposób to, co jest dostępne dla ograniczonego grona słuchaczów, uprzystępnić dla szerszego ogółu publiczności. Tego rodzaju publikacje, zawierające bardzo poważne zagadnienia filozoficzne, wyłożone w przystępnej formie, mają za zadanie przyczynić się do obudzenia myśli filozoficznej i wskazania kierunku badań. Ponadto wydawnictwo to ma zamiar ogłaszać źródła filozoficzne, by w ten sposób dostarczyć narzędzi pracy dla tych, którzy nie zechcą poprzestawać na wykładach i popularyzacji.

Pierwsze dzieło tego wydawnictwa stanowią stenografowane wykłady p. Maritaina w Instytucie Katolickim w Paryżu z r. 1932/33 Autor przejrzał je tylko, nie zmieniając w nich stylu wykładowego; to nam tłumaczy, dlaczego dzieło to cechuje żywość i bezpośredniość wykładu, jak również dlaczego te same myśli, chociaż w innych terminach, są powtarzane wielokrotnie.

P. Maritain, który za pomocą doktryny tomistycznej rozwiązywał liczne zagadnienia religijne, mistyczne, estetyczne, naukowe, polityczne i społeczne, po ogłoszeniu swego dzieła: „Degrès du savoir", przystąpił do wyłożenia tego, co ożywia jego pracę filozoficzną, a mianowicie nauki o bycie i jego pierwszych zasadach spekulatywnych.

Aczkolwiek zagadnienie bytu jest stare, jednak sposób podejścia doń jest zupełnie nowy. Już w pierwszym swoim wykładzie autor po mistrzowsku wskazuje, wyświetlając różnicę między „problemem" a „tajemnicą", że metafizyka z konieczności jest

tradycyjną i wiecznie trwałą. Ponieważ jednak przedmiot jej stanowi tajemnica bytu, musi ona podlegać z konieczności rozwojowi i wynalazczości.

Ze wszystkich wykładów na szczególniejszą uwagę zasługuje drugi z kolei, w którym autor wykazuje, że ani byt spartykularyzowany, ani byt mętny zdrowego rozsądku, ani byt myślowy czyli logiczny, ani pseudobyt Hegla i Kanta, nie mogą stanowić właściwego przedmiotu metafizyki.

Trzeci wykład autor poświęca właściwemu przedmiotowi metafizyki. Tu wielki nacisk kładzie on na bezpośrednią umysłową intuicję bytu, na żywy kontakt duszy z realnością. Przy czym wykazuje niewystarczalność i niebezpieczeństwo konkretnego doświadczenia, bez względu na to, czy to będzie bergsonowskie doświadczenie trwania, czy doświadczenie niepokoju według doktryny Heideggera, czy inne jakieś doświadczenie konkretne. Bowiem do ujęcia bytu jako bytu one nie prowadzą, najwyżej chyba tylko przygotowują podmiot poznawczy do intuicji bytu.

Że byt jako byt stanowi właściwy przedmiot metafizyki, autor to wykazuje za pomocą racjonalnej analizy pojęć, u podstaw których znajduje się pojęcie bytu. Przy czym autor zaznacza, że ta analiza nie zastępuje intuicji, lecz tylko do niej prowadzi. Następnie autor wyjaśnia, na czym polega analogia bytu, wykazuje różnicę między istotą a istnieniem, tłumaczy bogactwo bytu, ujawniające się w jego licznych przymiotach transcendentalnych, wreszcie odsłania dynamiczną naturę bytu, polegającą na tym, że gdzie jest byt, z wyjątkiem P. Boga, tam też jest dążność do wyższej doskonałości, tam jest ruch.

Po wyjaśnieniu trzech stopni abstrakcji autor tłumaczy, w jaki sposób nasz umysł poznaje zasadę tożsamości, racji wystarczającej, przyczynowości celowej i sprawczej, przy czym większy nacisk kładzie na intuicję tych zasad, niż na obronę ich wartości przedmiotowej. Autor kończy swe wykłady rozwiązaniem zagadnienia przypadku.

P. Maritain, jako głęboki myśliciel doby obecnej, odsłaniając przez swe dzieło głębie tajemnicy bytu, wskazując jego odwieczne zasady, przenosi z nadzwyczajną łatwością czytelnika w dziedzinę najwyższej abstrakcji, daje mu zakosztować rzeczy wiecznych i pobudza go w ten sposób do głębokich refleksyj nad potrzebą i wartością metafizyki.

Ks. W. Suszyński

Dwelshauvers G.: L'Etude de la pensée, méthodes et resultats, éd. P. Téquis, Paris 1934, in 8, str. 228—20 fr.

Praca G. Dwelshauversa, Profesora Instytutu Katolickiego w Paryżu, stanowi trzecie dzieło, które ukazało się w zbiorze: Cours et Documents de philosophie".

Autor dzieli swą pracę na dwie części, z których pierwszą poświęca zagadnieniu metod w psychologii, drugą zaś psychologii myśli.

W pierwszej części przedstawiając aktualny stan psychologii autor poddaje ostrej krytyce wszelką metodę, która wychodząc z założeń mechanistycznych usiłuje sprowadzić życie umysłowe do składników z dziedziny fizjologii albo fizyki i przez to samo zaprzecza istnienia psychizmu jako psychizmu. Ponieważ psychologia ma za zadanie badać przede wszystkim całość psychiczną, to co podpada pod świadomość, najlepszą metodą, zdaniem autora, będzie metoda introspekcji, uzupełniona przez metodę porównawczą. Bowiem za pomocą metody introspekcji, opierając się na bezpośredniej pamięci, można dokonywać analizy, rekonstrukcji i opisu zjawisk świadomości nie naruszając jej oryginalności. Przeciwko zarzutowi, że tego rodzaju metoda ma zastosowanie tylko w psychologii jednostki, autor wykazuje, że ona jest metodą psychologii człowieka w ogóle. Jako dowód przytacza prace laboratorium psychologii w Würzburgu i laboratorium przy Instytucie Katolickim w Paryżu. Przy tym autor zaznacza, że metody introspekcji eksperymentalnej czyli usystematyzowanej, która ma za przedmiot przebieg myśli, nie należy mieszać z metafizyczną intuicją duszy i władz (ta ostatnia metoda była propagowana przez Cousina i jako niezgodna ze strukturą umysłową człowieka, pogrążonego w zmysłach, musiała upaść). Comte, który pomieszał te dwie metody, krytykując metodę Cousina, sądził, że obala metodę introspekcji. Ta krytyka Comte'a przyczyniła się głównie do zaniechania metody introspekcji w psychologii. Wysuwając na pierwszy plan metodę introspekcji, autor nie zapomina o istnieniu pewnego automatyzmu w człowieku i dlatego uznaje możliwość zastosowania metody przedmiotowej. Jednak przy posługiwaniu się tą ostatnią należy pamiętać, że automatyzm, że dane psychofizyczne, wreszcie tak zw. „comportement" nie pokrywają się z tym co nazywamy życiem, psychiką.

W drugiej części swej pracy, o wiele obszerniejszej od pierwszej i bardziej oryginalnej, autor rozróżnia plan reprezentatywno-motoryczny czyli plan akcji i plan refleksyjny, w którym idea podlega kontroli rozumu. W wykładach IX, X i XI autor wykazuje, że przedmiotem myśli jest stosunek myślowy. W następnych dwóch rozdziałach, idąc w ślady Jamesa, Bergsona i szkoły „der Gestalt", autor uzasadnia, że synteza myślowa nie powstaje przez zlanie się elementów porządku niższego, lecz wyraża jedność systemu stosunków, jedność struktury. Po obaleniu pojęć „składnika" i „asocjacji składników", za pomocą których pewni psychologowie usiłowali wyjaśnić życie myśli, autor w rozdziale XIV—XIX zastanawia się nad tym, czy człowiek może poznać intuicyjnie swoją duszę. Opierając się na doświadczeniach, czynionych przez siebie w laboratorium, autor oświadcza, że in-

tuicji ducha takiej, o jakiej mówi O. Romeyer, nie dało się skonstatować. Te doświadczenia są potwierdzeniem tradycyjnej tezy tomistycznej.

Według autora, aczkolwiek nie oglądamy intuicyjnie ducha, jednak eksperymentalny ogląd aktywności, możliwości działania i myśli niewyraźnej jest możliwy. Ten ostatni ogląd nie tyle jest oglądem czysto intelektualnym, ile raczej oglądem za pomocą struktury myślowej, mocno zabarwionej uczuciem.

Myśli niewyraźnej autor poświęca rozdziały: XX, XXI i XXII. Podobnie jak James, B. Erdmann i Delacroix, autor stwierdza doświadczalnie za pomocą introspekcji istnienie u wielu osobników, chociaż w niejednakowym stopniu, myśli niewyraźnej, którą cechują te same znamiona; różnica dotyczy tylko obrazów i strony uczuciowej, które towarzyszą myśli. Stąd autor wyciąga wniosek: „Par la pensée les hommes se rapprochent: la raison est une. C'est la sensibilité qui les differencie" (str. 206). W ostatnich dwóch rozdziałach autor potwierdza eksperymentalnie poglądy Bineta i psychologów z Würzburga, że myśl bez obrazu jest możliwa.

Dzieło G. Dwelshauversa cechuje powaga naukowa, nadzwyczajna jasność i umiar w wyrażaniu swych myśli. Przeczytanie takiego dzieła ułatwia zorientowanie się w metodach psychologii doby obecnej i ich wartości.

Ks. W. Suszyński

G. Bardy: La vie spirituelle d'aprés les Péres des trois premiers siécles. Paryż (Blaud et Gay), 1935, 318 str.

Ks. Bardy należy dzisiaj bezsprzecznie do najlepszych znawców starożytności chrześcijańskiej; w niniejszej pracy dał on raz jeszcze tego dowód. Pragnie on tutaj wykazać, „w jaki sposób Kościół znalazł w Chrystusie podstawę życia wewnętrznego swych dzieci" (str. 7).

Autor pomija Nowy Testament i uwzględnia Ojców Apostolskich. Dalej omawia św. Justyna i innych apologetów II w., św. Ireneusza, św. Hipolita, męczenników z Lionu i z Kartaginy, Klemensa z Aleksandrii, Origenesa, św. Cypriana i św. Metodego.

Bardy'emu chodzi o uwypuklenie myśli, którymi żyły pierwsze wieki chrześcijańskie; czyni on to na tle szerokim i uwzględnia właściwie do pewnego stopnia całość ich nauki, o ile ona jest w pewnym związku z ich nauką o życiu wewnętrznym lub też z ich własnym życiem. Dzięki temu zapoznajemy się dokładnie ze środowiskiem a owe dawno minione czasy nabierają dla nas życia i wywierają jakiś nieprzeparty wpływ. Przesuwają się przecież przed nami takie postacie jak św. Ignacego, który z jakimś dziwnym pragnieniem trudnym prawie do zrozumienia, wzdycha za męczeństwem, bo „pragnie on tylko Jezusa", św. Po-

likarpa ucznia apostolskiego, który jako starzec 86-cio letni, męczeńską swą śmiercią potwierdza to, czego nauczał.

W inny niejako klimat wkraczamy u św. Klemensa, papieża; zapoznajemy się z jego asceza, z jego pobożnością i modlitwą. Widzimy żywą wiarę św. Justyna, filozofa, dla którego chrześcijaństwo jest tą filozofią, która jedyną daje prawdę. Przekonywujemy się, że Justyn przy tym nie jest jakimś intelektualistą, zaledwie obznajmionym z prawdami objawionymi, za jakiego nieraz się go przedstawia, lecz że to przede wszystkim chrześcijanin, gorąco przywiązany do swej wiary, dla której też swą krew przelewa. Dalej ukazuje się przed nami sympatyczna sylwetka św. Ireneusza, i zapoznajemy się z bogactwem jego nauki; staje przed nami także św. Hipolit, dziś prawie zapomniany, choć w swoim czasie należał do czołowych przedstawicieli gminy chrześcijańskiej w Rzymie.

Z szczególnym rozrzewnieniem czytamy kartki, poświęcone męczennikom lionskim i kartagińskim, „którzy idą na śmierć pełni pogody i radości, tak że łańcuchy ich wydają się być raczej jakąś ozdobą ślubną" a nie tym, czym są w rzeczywistości. Z jak dziwnym uczuciem czyta się taki opis męczeństwa św. Klaudyny czy św Perpetuy.

Przesuwają się dalej przed nami główni przedstawiciele szkoły aleksandryjskiej Klemens i Origenes i ukazują się nam nie tylko jako uczeni, szukający harmonii pomiędzy wiedzą a wiarą lecz równocześnie jako prawdziwi chrześcijanie szukający przede wszystkim doskonałości. Na koniec wreszcie św. Cyprian, biskup kartagiński, świetny administrator i przy tym mistyk, męczennik, który sam śmierci nie szuka, ale widząc, że jej uniknąć nie zdoła, pragnie ją ponieść w mieście, gdzie jest biskupem, by śmiercią swą umocnić i zbudować swych wiernych.

W pracy widoczna jest gruntowna znajomość pierwszych wieków i głębokie wniknięcie w życie chrześcijan owych czasów. Jakkolwiek czasy się zmieniły i pałace cesarzów prześladowców legły w gruzach, Kościół stoi a wierni żyją wciąż tym, czym żyły tamte wieki: „mnie żyć jak Chrystus".

Książkę ks. Bady'ego należałoby przetłumaczyć na język polski.

Ks. dr Antoni Słomkowski.

F. Antoni Ossendowski; Iskry z pod młota. Powieść współczesna. 1. Kruszenie kamienia, 2. Ogień wykrzesany. Poznań, Bibl. Autorów polskich tom 13—14. Str. 316 i 332.

Z dużą swadą pisarską przedstawia nasz płodny pisarz dzieje i głębokie przemiany psychiczne zdolnego ale cynicznego i nie znającego skrupułów reportera francuskiego z czasów wielkiej wojny. W gruncie rzeczy dobry, bezinteresowny, ludzki

i miłosierny, przemierza on wszystkie fronty bojowe, pod przybranym nazwiskiem udaje się nawet do Niemiec, bywa w Rosji na przyjęciach z Rasputinem, jest świadkiem różnych tragedyj mrożących krew w żyłach. Sam dwukrotnie ciężko ranny wskutek bohaterskiego poświęcenia się dla ratowania innych, z trudem wyleczył się z ciężkiej choroby płuc, i wtedy właśnie wstępuje jako ochotnik i zostaje wkrótce inwalidą pod Verdun. W zetknięciu ze straszliwą nędzą skrwawionej ludzkości przemienia się wewnętrznie na szlachetnego idealistę pełnego poświęceń dla niej. Dookoła tej postaci rozwinął autor dzieje całej wojny europejskiej, w historycznie wiernym skrócie. Bezmyślność wielkiej rzezi i okrucieństwa jej, z których korzystają tylko wielcy dostawcy oraz różne niegodne indiwidua wykazuje, że jeżeli ludzkość zwabiona fałszywymi hasłami, popełniła swą zbrodnię, to powinna ona być ostatnią. Powieść wojenna z hasłem pacyfizmu.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Ign. Chrzanowski: Literatura a Naród. Odczyty, przemówienia, szkice literackie. Lwów, Ossolineum, 1936, str. 424.

Właściwością wszelkich wystąpień Ign. Chrzanowskiego na obchodach, uroczystościach, a także w okazyjnych artykułach, jest to, że wszędzie i zawsze spotykamy się z nim, jako z profesorem literatury polskiej a zarazem gorącym patriotą. Zawsze nam coś przypomni z ulubionych autorów i zawsze nas do czegoś zachęci. Takich występów świeżo wydany tom zawiera kilkadziesiąt. Lubo Chrzanowski porusza się swobodnie po całym obszarze czasowym literatury polskiej od Kochanowskiego i Skargi aż do Sienkiewicza i Prusa, najwięcej mu natchnienia do wystąpień daje nasza poezja romantyczna. Przy każdej sposobności wykazuje jej wartości dla polskiej duszy i dla kultury ogólnoludzkiej, broni jej przed zbytnią trzeźwością realistów. Znamiennym jest dla przemówień (i pism) prof. Chrzanowskiego, że z rozpatrywanych pisarzy i prądów literackich z predylekcją wydobywa pierwiastki religijne i etyczne, oświetla je, podnosi. Zapatrywania prof. Chrzanowskiego nie zawsze są dociągnięte do ścisłej ortodoksyjności katolickiej, czasem zrywa mu się też z ust jakiś zarzut w stronę Kościoła, nad którym możnaby podyskutować. To jednak pewne, że Chrzanowski kulturalne zasługi religii ceni i chętnie je na światło wywołuje. Dlatego lektura jego przemówień nastraja nie tylko do kochania Polski jakiejkolwiek i jakkolwiek, ale do kochania jej w jej wartościach najwyższych, duchowych, Bożych.

Ks. J. Urban T. J.

Notatki bibliograficzne.

A. Cojazzi: Pier Giorno Frassati. Przekład Zofii Kozarynowej. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 311.

Nieraz można się spotkać z najfałszywszą opinią, iż wszyscy święci byli istotami wybranymi, które zdążały do doskonałości swoimi ścieżkami, zdala od ścieżek utartych, nie mając nic wspólnego z naszym życiem i z codziennymi naszymi zajęciami. Opowiadania o „istotach cudownych" wytworzone częstokroć, chociaż nie zawsze, przez poezję ludową, owiane czarem pobożnej legendy, mogą wprawdzie ilustrować życie świętego, lecz bynajmniej nie określają jego prawdziwej sylwetki, nie odtwarzają jego ludzkiej psychiki, a u czytelników wywołują raczej refleks zniechęcenia: „to nie dla mnie". — Otóż Piotr Frassati stanowi właśnie kategoryczne zaprzeczenie tych fałszywych opinii i poglądów na istotę świętości. Młodzieniec nam prawie współczesny, pełen temperamentu i życia, sportowiec i student uniwersytetu, a przy tym autentyczny święty, który, jak można ufać, wnet stanie na ołtarzach. Książkę kreślącą dzieje tej duszy przeczytają wszyscy z satysfakcją i pożytkiem.

Krystyna Saryusz-Zaleska: Karol de Foucauld. Apostoł Sahary. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 126.

Słynną biografię tego bohatera naszych czasów, której autorem jest René Bazin, zna cała Francja. Elegancki i dzielny oficer, badacz Marokka, potem trapista, wreszcie pustelnik Sahary i apostoł Tuaregów — oto etapy życia tego arystokraty i z rodu i z ducha. Książeczka napisana dobrze i barwnie ale oczywiście nie zastąpi obszernego i mistrzowskiego oryginału.

Postacie Świętych Wydawnictwo Księgarni św. Wojciecha.

W popularnej serii pojawiły się nowe żywociki, św. Małgorzaty Marii Alacoque, bł. Salomei, św. Cecylii, św. Mikołaja, św. Ambrożego, św. Ludwiki de Marillac i św. Zofii. Drobne te, dwu-arkuszowe ale estetycznie wydane broszurki mają swój sens i praktyczne zastosowanie głównie w biblioteczkach ludowych, chętnie też przeczyta je młodzież. Udatna popularyzacja hagiografii.

Bolesław Olszewicz: Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego Katowice 1936. Str. 65.

Niniejszy szkic nie daje wprawdzie całkowitego i szczegółowego obrazu początków geografii Śląska, nie uwzględnia najdawniejszych zabytków kartograficznych ziemi śląskiej, do połowy XVI w. zresztą nader skromnych, ale za to syntetycznie i naukowo ściśle ujmuje całokształt tej kwestii, uzupełniając w ten sposób szczęśliwie znane i cenne studium niemieckiego geografa J. Partscha.

Ks. P. de Jaegher T. J.: Jedno z Jezusem. Przekład z francuskiego. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 136.

Maleńki ale ścisły podręcznik chrześcijańskiej mistyki w myśl Pawłowej zasady: „Kto łączy się z Panem, jednym duchem jest." Wszyscy jesteśmy powołani do mistycznego zjednoczenia z Chrystusem, oto zasada na której opiera się autor, zgodnie zresztą z nauką mistyków tej miary co św. Teresa z Avili, św. Jan od Krzyża, św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Jak to zjednoczenie mistyczne z Jezusem należy praktycznie realizować wykazuje autor. Książeczka godna polecenia.

Agnieszka Dobrowolska: Wzory hafciarstwa ludowego na Górnym Śląsku. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1936. Str. 9+21 tablic. Cena 1·50.

Broszura ta podaje po raz pierwszy originalne wzory hafciarstwa ludowego z okolic Górnego Śląska. Wzory wybrała autorka ze zbiorów p. Mendel-Koryłowskiej z Siemianowic i p. Panieńskiej z Goczałkowic. Przedstawiają one motywy rozpowszechnione w powiatach siemianowickim, katowickim oraz pszczyńskim. Niniejsza publikacja przyczyni się do wzbogacenia polskiego hafciarstwa nowymi a szerzej nieznanymi wzorami.

Wydawnictwa gwiazdkowe M. Arcta.

Z prawdziwą przyjemnością bierze się te publikacje do ręki. Już zewnętrzny wygląd działa nadzwyczaj zachęcająco. Doskonale pomyślane i świetnie wykonane barwne okładki, wielka ilość pięknych rysunków w tekście, druk bez zarzutu. W parze z estetyczną szatą idzie żywa, zajmująca i pożyteczna treść poszczególnych książek i książeczek. Toteż nawet osoby dojrzałe przeglądną te piękne karty z pewnym wzruszeniem. Można sobie wyobrazić radość tych szczęśliwych dzieci, którym podobny podarunek umili wiele dni, wzbogaci umysł, uszlachetni serce. Wydawnictwo M. Arcta pamiętało jednak nie tylko o najmniejszych i małych. Książka bowiem M. Saryusz-Stokowskiej: Białe złoto (str. 95) przeznaczona jest właściwie dla starszej młodzieży gimnazjalnej. Z równym też pożytkiem i zadowoleniem przeczytają ją ci z pośród dorosłych, którzy dotychczas nie zapoznali się z całym procesem przerobu bawełny od plantacji aż do wykończenia tkaniny, z najnowszymi w tej dziedzinie wynalazkami i niezwykłą doniosłością tej dziwnej rośliny. Z Dzieckiem morza Marii Buyno-Arctowej (str. 203) i Lolkiem grenadierem Antoniego Gawińskiego przenosimy się w czarowny świat dziesięciolatków, w którym życie błąka się gdzieś na pograniczu bajki i rzeczywistości. Danek i Zbyszek wśród pełnych emocji i niespodzianek przygód dopomagają małej „syrence polskiego morza, której na imię Iga, do obronienia przed chciwością obcego mocarstwa tajemnicy doniosłego dla morskiej potęgi Polski wynalazku polskiego uczo-

nego. Może, jak na powieść dla młodzieży, jedynie samo zakończenie powieści jest za mało efektowne. A. Gawiński przeprowadza małego czytelnika poprzez napoleońską epopeję ucząc go podziwu dla bohaterstwa i entuzjazmu w walce o własną wielkość. A wreszcie z Śpiącą królewną (str. 24) i Kopciuszkiem (str. 32) Jana Marcina wkraczamy w świat bajki. Oprócz przymiotów wymienionych na wstępie z tym zastrzeżeniem, że w tych dwóch broszurkach występują one z szczególną wyrazistością, bajki J. Marcina uderzają nas swym kolorytem nowoczesnym. Zgodzić się musimy, zresztą z całą ochotą, że i R. W. D. uzyskały już prawo obywatelstwa w wirującym kole wieszczek i krasnoludków. Można mieć tylko pretensję do wydawców, że nie uwidocznili tej kochanej marki w rysunkach. Jeśli R. W. D. jest w bajce, czemuż brak jej na bajecznej okładce? Al. Lubicz-Wolska w Kosmatych rączkach (str. 90) daje miłą i pogodną jak kołysanka, opowiastkę. Bajka w guście tradycyjnym, ale dobrym guście. Nie brak i p. K. Makuszyńskiego z p. M. Walentynowiczem „Na nic płacze, na nic krzyki, koniec przygód Fiki-Miki" brzmi groźnie tytuł. Po przejrzeniu tych barwnych kart sądzę jednak, że p. Kornel gotów sobie narobić wrogów, bo nie jedno z milusińskich będzie molestowało mamę, czy naprawdę nie będzie już dalszego zeszytu. Wydawnictwa gwiazdkowe M. Arcta zamyka 6 broszur z serii „Zajmujące czytanki". Zdaje się, że najlepszą z nich jest „Niespodziewany lot" (str. 32) Stefana Łosia. Opowiadanie żywe, charaktery sympatycznych urwisów zamaszyste i porywające. Nie znaczy to jednak, by pozostałe: S. Kossuthówny: Pod gwiaździstym sztandarem, L. Życkiego-Małachowskiego: W państwie podziemnym, A. Darkowskiego: Wielki spływ, F. Burdeckiego: Zbawczy telewizor, Z. Bardówny: Wielka gra (wszystkie po str. 32) ustępowały wspomnianej. Wybór tej lub innej zależy raczej od osobistych sympatyj i upodobań. Wszystkie bowiem mają duże walory i narracyjne i wychowawcze.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności:

Fryderyk Papée: Jan Olbracht. Kraków 1936. Str. 256.

Jan Ptaśnik, Marian Friedberg: Cracovia artificum 1501—1550. Źródła do historii sztuki i cywilizacji w Polsce, t. 5, zeszyt I. Kraków 1936. Str. 304.

Archivum Komisji Prawniczej, t. X. Kraków 1936. Str. L+857.

Ladislaus Strzelecki: De Flavio Capro Nonii auctore. Kraków 1936. Str. 39.

Antoni Śmieszek: Some hypotheses concerning the prehistory of the coptic vowels. Kraków 1936. Str. 63.

Władysław Kotwicz: Les pronoms dans les langues altaïques. Kraków 1936. Str. 80.

Tadeusz Kowalski: Zur semantischen Funktion des Pluralsuffixes -lar, -lär in den Türksprachen. Kraków 1936. Str. 34.

Stanisław Kutrzeba: Akta sejmikowe województwa krakowskiego, t. I 1572—1620. Kraków 1936. Str. XIX+505.

Bulletin international de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres; classe de philologie, classe d'histoire et de philosophie. Cracovie 1926. Str. 60.

Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Polskiej Ak. Um. Tom XLI, (1936) marzec, str. 75—105; kwiecień, str. 107—125; maj, str. 127—153; czerwiec, str. 155—185; lipiec-wrzesień, str. 187—203. Skład gł. w księgarni G. Gebethnera i Wolffa w Krakowie.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha:

St. Miłaszewski: Bunt Absalona. Dramat w 10 odsłonach. Poznań 1936. Str. 209.

M. S. Gillet Z. K.: Kształtowanie charakteru. Poznań 1936. Str. 160.

X. Józef Teodorowicz, arcbp: Od Jahwy do Mesjasza. Poznań 1936. Str. XII+354.

Jacques Maritain: Sztuka i Mądrość. Poznań 1936. Str. 212.

Halszka Szołdrska: W ogniu i w locie. Powieść biograficzna. Poznań 1936. Str. 323.

Wł. J. Grabski: Na krawędzi. Powieść. Poznań 1936. Str. 358.

St. Wojciechowski: Spółdzielnie rolnicze. Poznań 1936. Str. 323.

Ks. dr Władysław Spikowski: Nasz udział we Mszy św. Poznań 1936. Str. 103.

O. Emil Neubert: Mój ideał Jezus, syn Maryi. Poznań 1936. Str. 179.

Nakładem różnych:

Eugeniusz Romer: Polityczny atlas kieszonkowy. Książnica-Atlas. Str. VIII+135.

Ernest Krieck: Wychowanie narodowo-polityczne. Książnica-Atlas. Str. 267.

Jan St. Bystroń: Nazwiska polskie. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa 1936. Str. 334.

Świat i Życie. — Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. T. IV zeszyt 10, kolumna 1393—1590. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa.

Alina Seğeń: Anna. Nakł. Gebethner i Wolff. Warszawa 1936. Str. 503.

Stefan Laszczkiewicz: Sępy. Powieść lotnicza. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1936. Str. 221.

Aleksandra Dawid-Neel: Mipam lama pięciu mądrości. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1936. Str. 302.

Gonzague de Reynold: Portugal. Édition Spes. Paris 1936. Str. 348.

Czesław Leśniewski: Manifest Tow. Demokratycznego Polskiego R. 1836. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska" Warszawa 1936. Str. 102.

Adam Heydel: Myśli o kulturze. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska". Warszawa 1936. Str. 71.

Adam Żółtowski: Descartes. Nakł. Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań 1937. Str. XII+235.

Kornel Makuszyński: Awantura o Basię. Nakł. Gebethner i Wolff. Warszawa 1936. Str. 208.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kryzys dynastyczny w Anglii. — Anglia uczy.

Sprawa abdykacji króla Edwarda VIII straciła już swój posmak sensacji. Tym łatwiej podsumować teraz bilans głębokich i trwałych wniosków, jakie historia zapisze na marginesie tego niecodziennego dramatu. Wprawdzie dzieje angielskich dynastyj i poszczególnych władców obfitowały w silne, nieraz wprost tragiczne momenty; wprawdzie na tronie angielskim zasiadali królowie, których władztwo kończyło się nagle w ponurej tragedii, w atmosferze zbrodni; wypadku jednak dobrowolnej abdykacji króla i to po niespełna rocznym królowaniu, historia angielska dotychczas nie znała. Ostatnie zaś dziesiątki lat dziejów potężnego imperium otoczyły skronie angielskich władców takim nimbem dostojności i powagi, iż zapomniano prawie, że władca tej światowej potęgi może być zwykłym człowiekiem, podkreślmy — człowiekiem słabym... A już chyba najmniej można się tego było spodziewać po uwielbianym przez metropolię i dominia Księciu Walijskim. Nic więc dziwnego, iż dramat tego władcy, ukochanego przez najszersze warstwy angielskiego społeczeństwa, stał się dramatem całego imperium.

Król angielski według zasad konstytucji i mocniejszej od niej tradycji nie rządzi wprawdzie bezpośrednio swym państwem, jest jednak tej władzy źródłem i żywym symbolem, wcielając niejako w swej osobie naród i całe imperium. To też Korona angielska jest czymś więcej niż koroną, więcej niż tradycją i symbolem brytyjskiej potęgi; jest ona faktyczną podporą tego prawie jedynego dziś w świecie społecznego ładu, w którego obrębie i zasięgu łączy się harmo-

nijnie demokratyczna wolność i poszanowanie godności człowieka z nieubłaganą wiernością dla surowych, doświadczeniem wypracowanych zasad. Jeśli zaś chodzi o całokształt imperium to właśnie Korona stanowi tę najgłębszą więź i najmocniejszą klamrę, która spaja odległe kraje i różne ich interesy w harmonijną wiąże całość. Osoba króla może być mniej lub więcej sympatyczną, może być i nienawistną, Koronę jednak otacza cześć i głębokie poszanowanie, bo ona jest właściwie wcieleniem samopoczucia i potęgi narodu. Tę hieratyczną dostojność angielskiego władcy podkreśla jeszcze fakt, iż jest on głową anglikańskiego kościoła, którego całości i suwerenności ma strzec, ale którego prawom sam podlega.

Otóż ta hieratyczność królewskiej godności, podkreślana uroczystymi rytami i ceremoniami religijnymi, podtrzymywana protokułem drobiazgowych przepisów tradycyjnej etykiety dworskiej, krępowała młodego króla. Już jako następca tronu wykazywał on wiele zalet umysłu i serca; odznaczał się charakterem niezależnym, śmiałą inicjatywą, orginalnością poglądów, zamiłowaniami sportowymi, a swym demokratyzmem, wolnym od przesądów kasty, zjednał sobie ogromną popularność w kraju oraz w dominiach. Ale to co uchodziło u Walijskiego Księcia zaczęło razić u króla, któremu nie wolno kaprysem czy zachcianką rugować przewidzianych zasad i przepisów. Na tle niezależnych posunięć młodego króla musiało wcześniej lub później dojść do starć z prawomocnym rządem oraz parlamentem. Do lekceważenia konstytucyjnych i tradycyjnych przepisów dołączyła się nieukrywana przez króla sympatia dla p. Simpson, Amerykanki oraz dwukrotnej rozwódki. Już w czasie ostatniej dyplomatycznej przejażdżki króla po krajach Morza Śródziemnego towarzystwo tej damy i okazywane jej względy stały się przedmiotem skandalu. Kiedy więc nadto wyszło na jaw, że król zamierza na serio swoją przyjaciółkę wprowadzić na tron angielski — rozpętała się burza określona mianem kryzysu konstytucyjnego i dynastycznego.

Król Edward, ulegając zdaje się swym zagranicznym frywolnym doradcom, przecenił swe wpływy i swą popularność i wywołał konflikt nie tylko z rządem, nie tylko z kościołem ale i ze społeczeństwem. W konflikcie tym przegrał a abdykacja była już tylko honorowym rozcięciem zbyt poplątanego węzła.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że za kulisami dynastycznego kryzysu doniosłą rolę odegrały polityczne, społeczne i ustrojowe momenty. Niedyskrecje dziennikarskie usiłowały odsłonić tajemniczą grę, lansowały sensacyjne domysły, snuły mniej lub więcej uzasadnione

hipotezy. Faktem jest jednak, iż sprawa zawarcia małżeństwa z p. Simpson stała się czynnikiem decydującym kryzysu. Król zarządał 27 listopada od premiera Baldwina, by przedłożył parlamentowi projekt tego morganatycznego małżeństwa. Tymczasem parę dni później, 1 grudnia, biskup anglikański z Bradford dr Blunt w śmiałym, publicznym choć dyskretnym wystąpieniu napiętnował prywatne życie młodego władcy, który nie liczy się z dogmatami i przepisami kościoła, którego jest oficjalną głową. Doświadczony premier po naradach i uchwałach gabinetu, stając w obronie angielskiej tradycji przypomniał odważnie swemu suwerenowi jego obowiązki, zwrócił uwagę, iż wprawdzie król może zawrzeć morganatyczne małżeństwo, ale nie godzi mu się deptać kanonów kościoła przez zawarcie małżeństwa z rozwódką, nie wolno mu dawać zgorszenia tak wierzącym wyznawcom anglikańskiego kościoła, jak katolikom Irlandii czy Kanady, bo obowiązkiem jego naczelnym i rozstrzygającym jest dobro narodu i państwa. Te mądre, godnością obywatelską nacechowane rady nie zdołały złamać uporu młodego władzcy. Zasłaniając się nawskróś fałszywą i libertyńską zasadą, iż nikt nie ma prawa wglądać w jego życie prywatne, król Edward przegrał moralnie, musiał więc przegrać także i faktycznie.

W konflikcie króla z anglikańskim kościołem widzimy t r i u m f k a t o l i c k i c h z a s a d. Trudno bowiem zapomnieć, iż anglikanizm narodził się z nierządu króla Henryka VIII. Ten występny i okrutny autokrata, który komnaty królewskie zmazał krwią swych małżonek, który groźbą kościelnej schizmy usiłował wymusić na papieżu sankcje dla swej rozpusty — został obecnie zdezawuowany przez anglikanizm w osobie Edwarda VIII. Wszak według dogmatów anglikanizmu rozwód jest rzeczą dozwoloną i praktykowaną. Wzbranianie więc królowi małżeństwa z rozwódką dwukrotną czy nawet trzykrotną z punktu widzenia protestanckiej doktryny jest oczywistym nonsensem czy samowolą. Jeśli tedy hierachia kościoła anglikańskiego przemówiła mocno przez usta biskupa z Bradford oraz prymasa z Canterbury, potępiając zdecydowanie projekt królewskich zaślubin z rozwódką, to mimo woli i podświadomie złożyła hołd jedynie prawdziwej, bo przez Chrystusa przypomnianej i ogłoszonej zasadzie o nierozerwalności chrześcijańskiego małżeństwa.

Tezę tę sformułował zdecydowanie arcybiskup z Melbourne oświadczając iż: „Kościół rzymsko-katolicki zajmuje dziś w kryzysie konstytucyjnym tę samą postawę jak za czasów Henryka VIII; nie uznaje rozwodu i nie uznaje ponownego małżeństwa osób rozwiedzionych". Za arcybisku-

pem stanęła zwarcie opinia katolików metropolii i dominiów. Ten fakt, iż samowola króla nie zdołała bezkarnie podeptać zasady chrześcijańskiej etyki należy powitać z najwyższym uznaniem. Zamiast szukać pozorów dyspens czy wyjątków kościół anglikański postawił swojemu szefowi twarde lecz jedynie słuszne: *non licet tibi.*

Ale fakt bardziej znamienny, iż obok duchowieństwa stanął solidarnie cały naród, stanęły wszystkie dominia. Z minimalnymi wyjątkami Churchilla i Mosley'a, konserwatyści równie jak liberałowie czy socjaliści wystąpili zgodnie a demonstracyjny wniosek Maxtona za projektem króla spotkał się w izbie z druzgocącą odprawą 403 głosów przeciw 5. Na naiwność więc zakrawa twierdzenie, iż kryzys dynastyczny dojrzał na tle osobistych tarć między premierem a zbyt niezależnym królem. Nie o osobiste względy czy zapatrywania rozgorzała walka! Świadkiem jednomyślność obu izb a jeśli i to nie wystarcza to zaświadczyć może całe społeczeństwo. Z głębokim bólem żegnał naród swego króla; ze łzami i w najwyższym skupieniu wysłuchano pożegnalnej mowy Edwarda, w której po dżentelmeńsku wyznał, iż odchodzi, bo nie czuje się zdolnym do spełnienia swych obowiązków bez pomocy ukochanej przez siebie kobiety. Naród szczerze bolał nad tragedią swego faworyta ale nie ustąpił!

I tu podkreślić trzeba niesłychaną doniosłość zdrowej opinii publicznej. Ta opinia żądała jednomyślnie od swojego króla poszanowania tradycji, szacunku dla religii i etyki, żądała dyscypliny zmysłów i uczucia, podporządkowania życia osobistego służbie dla dobra publicznego. Na tle liberalnych i laicystycznych zasad współczesnej tolerancji wobec deklamacyj masońskich Lig obrońców praw człowieka..., reakcja publicznej opinii potężnego imperium jest zjawiskiem nawskróś pozytywnym, ma swą doniosłą wymowę. Angielskie społeczeństwo orzekło w swym dramatycznym plebiscycie, iż od tych, którzy stanęli na najwyższych szczeblach społecznej hierarchii można, owszem trzeba domagać się wyższej dyscypliny życia i poszanowania moralności. Wysokie stanowisko nie jest bynajmniej związane z dyspensą od etyki, nie jest tytułem do wyuzdanej swobody. To co się potępia jako słabość u zwykłych szarych jednostek staje się zbrodnią w osobach, zajmujących stanowisko naczelne. Nierząd własnego życia nie może się godzić z funkcją rządzenia innymi. Kto pragnie iść drogą moralnej łatwizny, kto nie umie się oprzeć tym czy innym zachciankom, instynktom ten powinien odejść, abdykować — bo mniejsze wyniknie zło ze straty zdolnej ale niemoralnej czy nieopanowanej jednostki, niż ze złego przykładu, który działa

z góry, zaraża i deprawuje masy. — Taki a nie inny jest sens postawy, jaką zajął angielski naród wobec swego króla.

Można Anglii zazdrościć kolonialnego imperium, potężnej floty, olbrzymich bogactw... ale zdaje się nam, że trzeba jej przede wszystkim zazdrościć tej zdrowej opinii publicznej, która stoi czujnie na straży narodowej godności.

I jeszcze jeden moment warto podkreślić na tle angielskiego kryzysu konstytucyjnego. Mamy na myśli zwycięstwo demokracji i uczciwego parlamentaryzmu.

Abdykacja Edwarda VIII, uchroniła brytyjskie imperium przed niebezpiecznym wstrząsem, wykazała równocześnie dowodnie, iż demokracja, której najdoskonalszym w tej chwili wcieleniem jest parlamentaryzm angielski, ma jeszcze wiele do powiedzenia nawet w współczesnych, ustrojowymi kryzysami cechowanych czasach. Jednomyślność obu izb angielskich w tak zasadniczej sprawie jest imponującym zjawiskiem. Tym więcej imponuje solidarność stronnictw. Doradcy królewscy mogli w obecnej dobie dyktatorów oraz systemów totalnych przypuszczać, iż konflikt Korony z konstytucją i parlamentem uda się rostrzygnąć przy pomocy partyjnej gry politycznej. Któż bowiem mógł się spodziewać, iż socjaliści będą przywiązywać wagę do napomnień biskupów, do względów religijnych, czy przepisów wyznaniowej etyki. Otóż te rachuby, jeżeli istniały, to w każdym razie zawiodły na całej linii. Rzadko kiedy szeregi angielskich parlamentarzystów stanęły obok siebie tak karnie i jednomyślnie jak w tym wypadku. Tak pozornie nawskroś demokratyczna próba króla, by podeptać kastowe uprzedzenia i wziąć sobie małżonkę z szarego tłumu, spotkała się z dezaprobatą nie tylko lordów ale i członków Partii Pracy, podobnie jak nie pochwalono samotnej eskapady króla do prowincji gallickiej, w czasie której dokonał inspekcji okręgów objętych strajkiem, rozmawiał poufnie z robotnikami, wglądał w ich postulaty — ale czynił to bez żadnego porozumienia z premierem i nie w towarzystwie odpowiedzialnego ministra. Demokracja stanęła więc na straży ładu, dyskwalifikując arcydemokratyczne, ale sprzeczne z przepisami i tradycyjną praktyką wystąpienia króla. Rozumowano zdaje się dość ściśle, iż od demokratycznego kaprysu nie trudny przeskok do kaprysów dyktatorskich. Poszanowanie prawa, poszanowanie tradycji oto hasła angielskiej demokracji zastosowane z rygorami nawet do osoby suwerena. I może właśnie dlatego tej demokracji i parlamentaryzmowi angielskiemu nie grozi żaden kryzys, gdyż jest to parlamentaryzm pełnej krwi i wysokiej rangi.

Można współczuć z dramatem byłego króla, można litować się nad jego słabością czy podziwiać, jak chcą niektórzy, rycerski gest dżentelmena, który koronę złożył u stóp swojej ukochanej. Dla nas jest jasnym, iż abdykacja Edwarda VIII jest kapitulacją obowiązku wobec egoizmu, — sumienia wobec namiętności — rozumu wobec ślepego uczucia. Tym głębszy zato ogarnia nas podziw, tym szczerszy wyrażamy hołd narodowi, który wzniósłszy się ponad sentymenty stanął na straży etyki i prawa. Anglia uczy!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Otwarcie sejmu. — Rok polityki wewnętrznej. — Dwa autorytety. — Wywiad z prymasem.

Zimowa sesja budżetowa naszych ciał prawodawczych zwołana została pośrod dość skomplikowanych nastrojów wewnętrzno-politycznych. Zorientować się w nich będzie łatwiej, jeżeli zreasumujemy ich najświeższą ewolucję. Była ona znamienna i w niejednym punkcie ważna.

Latem poprzedniego roku znajdował się jeszcze w pełnym biegu „kurs pułkownikowski" prowadzony przez gabinet pana W. Sławka. Ponieważ nowa autorytatywna konstytucja pozostawiła jednak dość jeszcze liberalne uprawnienia sejmowi, było przeto rzeczą jasną, że aby zachować nienaruszonym autorytet władzy rządzącej, należało nowe wybory przeprowadzić albo w powszechnym głosowaniu ale pod presją i z pomocą B. B. W. R.; albo też należało zmienić prawo wyborcze. Zdecydowano się na to drugie, równocześnie „dla sprawiedliwości" rozwiązując B. B. W. R. Reformę wyborczą przeprowadzono bardzo radykalnie, ostro odcinając ciała prawodawcze od mas i partyj, opierając izby na istniejących korporacjach społecznych. Zapomniano, że funkcje i rola tych korporacyj przy istniejącym liberalnym ustroju społecznym była stosunkowo nikła, a w każdym razie słabo skontaktowana z życiem państwa. Wobec zupełnego braku jakiegokolwiek przejścia lub przygotowania w tym kierunku, ani tym mniej równoległych, przekształceń ustrojowych — przeciwnie nawet, przy istniejącym złudzeniu, że można równocześnie korporacjonizować sejm oraz prowadzić życie gospodarcze kraju w starym łożysku liberalizmu, — reforma wyborcza i jej wynik musiały wypaść ułomnie. Sejm nowy okazać się musiał jakościowo dość anemicznym, choć nie w tym stopniu jak mu to suggerowała opozycja zeń wyeliminowana. Owszem wykazał wartościową skłonność do urzeczowienia dyskusji o sprawach państwowych, które poprzednie sejmy powszechnego głosowania traktowały przeważnie pod ką-

tem demagogii lub ideologicznego subiektywizmu. Ale mimo te swoje obiektywne, propaństwowe zalety, sejm musiał pozostać od społeczeństwa naogół odciętym, społeczeństwo zaś z tego powodu było niezadowolone.

Ta sytuacja znacznie się jeszcze skomplikowała na jesieni ub. roku od strony gospodarczej przez katastrofalne położenie rolnictwa i coraz groźniejsze deficyty budżetu państwa. Umysłowość ekonomiczna kół rządzących tak mocno była zrośnięta z liberalizmem, że nie widziano na te niebezpieczeństwa, zwłaszcza budżetowe, innej rady jak tylko jeszcze silniej przykręcić śrubę deflacji. Odpowiednią teorię sformułował płk. Matuszewski. W złagodzonej i praktycznie przystosowanej postaci stała się ona podstawą programu gospodarczego. Ponieważ zaś ten program musiał być dla społeczeństwa dotkliwy i mógł bardziej jeszcze niż reforma zrazić je do państwa i rządzącej nim władzy, przeto dla przeciwwagi zmieniono kurs wewnętrzno-polityczny. Gabinet premiera Kościałkowskiego zwrócił się do społeczeństwa z apelem o wzajemną ufność i współpracę z państwem.

Praktycznie najważniejszym objawem tej reakcji liberalizmu ze strony państwowej była znacznie rozszerzona swoboda prasy. Skorzystała ona z tej swobody żywo. Publicystyka prawicy i lewicy opozycyjnej solidarnie ruszyła do szturmu przeciw obozowi rządzącemu. Argumentowano głównie zagarnięciem „monopolu" władzy, wychodząc zapewne z założenia, że władza jest to rodzaj dobra publicznego, którym należy sprawiedliwie obdzielić możliwie największą ilość obywateli, a zwłaszcza ich przywódców. Nie bez pewnej *Schadenfreude* stwierdzono, że oto „przyszła koza do woza" czyli władza autorytatywna do społeczeństwa, oraz dowodzono, że jeśli rząd pragnie współpracy społeczeństwa to nie ma na to innego sposobu jak tylko dopuścić społeczeństwo do władzy, przede wszystkim przez zmianę ustawy wyborczej.

O ile o tę ustawę chodzi, była w tej argumentacji pewna doza słuszności. Ale w kampanii publicystycznej przebijał również silnie prąd reakcji liberalnej zasadniczo wrogiej państwu autorytatywnemu. Było to przeważnie raczej podświadome. Zasadą ustroju interesowano sie niewiele, głównie zaś kwestią „monopolizacji władzy" przez jedną grupę na niekorzyść innych. *Ote toi que je m'y mette!* tak typowe dla walk partyjnych odgrywało w tej dyskusji rolę b. wielką, a tym bardziej znamienną, że oponenci nie byli w stanie przeciwstawić praktyce rządzących żadnego poważnego, rzeczowego kontrprogramu. Gdyby nastroje tej kampanii prasowej zostały wcielone w czyn, to niewątpliwie strąciły by państwo automatycznie w *status quo ante anno 1926*. To znaczy w sejmowładztwo. Tym samym ponowny szturm opinii przeciwko autorytetowi, czyli wojna narodu z państwem automatycznie przerodziłaby się w nieodłączną od sejmowładztwa poziomą wojnę międzyfrontową lewicy z prawicą. W obliczu potężnych,

monopartyjnych dyktatur sąsiedzkich ta druga forma rozterki jest jeszcze niebezpieczniejsza niźli przeżyty stan „szturmu pionowego", bo trudniejsza do zlikwidowania.

Międzyfrontowa „linia podziału" poczęła się też ostrzej zarysowywać na tle liberalnego kursu gabinetu Kościałkowskiego, i to nawet w obozie rządowym. Wśród opozycji rosła stąd nadzieja liberalnego zwrotu ustrojowego i podtrzymywała międzyfrontową solidarność przeciw osłabionemu, jak się zdawało, autorytetowi. Osiągnięta wiosną br. równowaga budżetowa ułatwiła czynnikom miarodajnym w państwie usunięcie tego pozoru. Władzę objął nowy rząd premiera Składkowskiego, generał Śmigły-Rydz mianowany naczelnym wodzem wszystkich sił zbrojnych, następnie podniesiony został do godności drugiej osoby w państwie po jego prezydencie, a zatem do zwierzchnictwa także w stosunku do gabinetu. Oznaczało to bezpośrednie oparcie rządzącego autorytetu o armię, a więc zarazem jego umocnienie i obiektywizację państwowo-polityczną.

Posunięcie było niewątpliwie wielce doniosłe. Pozostawała jednak otworem piekąca sprawa stosunku państwa do społeczeństwa. Próbowano ją rozwiązać w drodze zbliżenia władzy autorytatywnej do stronnictw opozycyjnych, zwłaszcza ludowego. Próbowano też zorganizować na nowo obóz rządzący. Zadanie okazało się nad wyraz twarde. Zarówno bowiem uczuciowa jak pojęciowa strona psychiki zbiorowej tkwi głęboko w wykształtowanych w ustroju parlamentarnym kategoriach prawicowo-lewicowych. Osłabły one tylko o tyle, o ile reprezentujące je partie znalazły się w stanie chaosu programowego wobec nowej a groźnej rzeczywistości. W podobnym zresztą położeniu znalazła się wobec tej rzeczywistości również władza państwowa, z tą tylko różnicą że musi mieć z natury rzeczy pewien program czysto praktyczny. W takich warunkach trudno wydobywać opinię ze skłóconej atmosfery partyjnej za pomocą propagandy abstrakcyjnego tylko kultu państwa. Brak zatem nowej idei i nowego programu, zdolnego stawić czoło trudnościom przeżywanego przełomu i poprowadzić do stanowczego zeń wyjścia, uniemożliwił dotąd zarówno organizację nowego obozu rządowego, jak odrodzenie stronnictw opozycyjnych. We wszystkich grupach mnożą się na jesieni br. tarcia i rozłamy. Wszelkie usiłowania programotwórcze opadają przy tym stale w szablon prawicowy lub lewicowy a pomysły reform społecznych przeważnie kontaktują z ideologią klasowego radykalizmu. Ten stan rzeczy nie pozostaje bez związku z „linią podziału" na „fronty" zaostrzającą się znów pod wpływem ewolucji ogólno-europejskiej, związanej z wojną w Hiszpanii.

Na takim tle zaznaczyły się jednak również pewne objawy dodatnie. Osłabło wyraźnie napięcie żywiołowej opozycji anty-autorytatywnej, grożącej reakcją sejmowładztwa. W publicystyce odzywają się głosy opamiętania, wzywające by zaprzestać walki

wszystkich ze wszystkimi. Pogłębia się świadomość a nawet podejmowane są inicjatywy w kierunku przebudowy ustroju w duchu korporacjonizmu. Co najważniejsze zaś to, że autorytet władzy państwowej, znalazłszy oparcie materialne w sile zbrojnej, a napotykając wielkie trudności w nawiązaniu kontaktu psychicznego z rządzonymi uznał za właściwe zbliżyć się z równoległym i równorzędnym autorytetem moralnym Kościoła.

Jest to zwrot dotąd tylko dyskretny i nieformalny, niemniej jednak uchwytny. Ujawnił się naprzód latem, gdy w Synodzie Jasnogórskim wziął udział p. min. W. R. i O. P. oraz inni przedstawiciele władzy państwowej. Następnie gdy J. E. ks. Kardynał Legat udzielił osobiście w Warszawie Głowie Państwa Polskiego specjalnego błogosławieństwa Ojca św. Potem w uroczystościach Skargowskich i odsłonięciu przez Pana Prezydenta, w obecności J. Em. Ks. Kardynała Metropolity Warszawskiego, na zamku, tablicy pamiątkowej z wersetem przypominającym obowiązek miłowania „obu Matek" Kościoła i Ojczyzny. Potem jeszcze w udziale J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Polski w uroczystości nadania buławy marszałkowskiej Naczelnemu Wodzowi. Energiczne współdziałanie czynne ma miejsce w ważnym dziele miłości bliźniego i uczuć obywatelskich — pomocy zimowej. Pomijam drobnostki jak pewne, podnoszone przez prasę, zwroty w przemówieniach ministrów, apele do miłości, akcentacja sprawiedliwości społecznej; wszystko oczywiście jeszcze dalekie od tych monumentalnych form, jakie wpływ Wiary przybierał w niektórych aktach państwowych polskiej przeszłości. Sądzę jednak, że z tym ogólnym nastawieniem etycznym dobrze harmonizuje energiczna działalność ministerstwa sprawiedliwości ścigająca nadużycia na drodze sądowej.

W innej dziedzinie godzi się zaznaczyć pewne pokrewieństwo form oraz zasady organizacyjnej projektowanego Obozu Czynu Państwowego z zasadą organizacyjną Akcji Katolickiej. Ostatnia z ogłoszonych w prasie wersyj tego projektu zdaje się już nie posiadać cech obozu politycznego, lecz raczej organizacji społecznej propagującej czynny i pozytywny stosunek obywateli do państwa autorytatywnego, w ramach pewnej hierarchii, podziału kompetencyj i karności. Uderza też w tym projekcie, że jakby w zastępstwie gotowego programu, który podają zazwyczaj stronnictwa polityczne, a którego tam brak, zamierzona organizacja przewiduje raczej formy wysiłku zbiorowego w kierunku wytworzenia takiego programu, mianowicie kluby dyskusyjne, komitety i „główną radę studiów". To by odpowiadało naturze położenia wymagającego głębokiej przebudowy ustrojowej, wobec której wszelkie dotychczasowe ideologie i doktryny partyjne są bezsilne.

Stosunek Kościoła i Państwa do rzeczywistości polskiej nie jest pozbawiony pewnej analogii. Oba autorytety nie są dość ściśle skojarzone z życiem społecznym, gdyż oddzielają je odeń

prądy i pojęcia wytworzone w okresie materialistyczno-liberalnym. Kościół już dawniej rozwinął akcję w celu zbliżenia Wiary do życia, nie tylko zresztą w Polsce i osiągnął w tej mierze pokaźne choć dość nierówne wyniki. Państwo zdaje się skłaniać do naśladowania form tego zbliżenia. Nie osiągnie jednak celu, jeżeli nie stworzy nowych wartości w zakresie kierownictwa życiem społecznym, jeżeli go nie wprowadzi na nowe bezpieczniejsze niż dotąd drogi, jeśli nie wskaże zasadniczych wyjść z tragicznego impasu, w którym się znalazło i państwo i społeczeństwo. Starymi zużytymi ścieżkami liberalnymi wyjść takich znaleźć nie sposób. Podobnie zresztą i katolicyzm „statyczny", dotąd w Polsce przeważający, nie ma widoków na przekształcenie psychiki zbiorowej, lecz musi naprzód dynamizować się religijnie, społecznie i kulturalnie. W każdym razie uznać to trzeba za objaw wysoce dodatni, że ponad schaotyzowanym i walką wszystkich przeciwko wszystkim ogarniętym społeczeństwem zawiązało się w Polsce pewne współdziałanie dwu naczelnych władz publicznych, moralnej i materialnej, nadprzyrodzonej i przyrodzonej, Kościoła i Państwa; lub jak to pięknie określił podczas uroczystości z buławą marszałkowską J. Em. Ks. Kard. Hlond — krzyża i miecza.

Jakżeż na tle całokształtu tych stosunków rozwinęła się sesja sejmowa? Zapowiadano ją niemal burzliwie, bo konserwatyści rozwinęli opozycję przeciw min. rolnictwa a po części też wicepremierowi z powodu aktywizacji reformy rolnej. Nie brakło też skłonności do opozycji ze strony tej części obozu rządzącego, która obecnemu gabinetowi zarzuca zbytni konserwatyzm poczynań i pragnęłaby je uczynić śmielszymi w kierunku już to totalizacji naszego państwa, już wprowadzenia ustroju korporacyjnego. Te bojowe zapowiedzi nie sprawdziły się po zwołaniu sejmu, być może dlatego, że się okazało, iż gabinet i jego ostrożnie powściągliwa polityka odpowiada poglądom czynników miarodajnych.

To też nad nastrojami sejmowymi osiągnęły przewagę przemówienia premiera Składkowskiego i wicepremiera Kwiatkowskiego. Ten ostatni dał wyczerpujący obraz „dobrej koniunktury" oraz stanowczo utrzymał linię polityki gospodarczej rządu pod hasłami jej cierpliwego wykorzystywania. Pośród metod, które do tego celu prowadzić mają, niemałą rolę odgrywa obrona stałości waluty, na którą czyniono zamachy ze strony konserwatystów. Symbolizuje te metody zwłaszcza znany czteroletni „mały plan inwestycyjny".

W publicystyce program ten nie został przyjęty źle, ale spotkał się z zasadniczym zarzutem, że w stosunku do naszej ciężko ułomnej struktury społeczno-gospodarczej oraz międzynarodowych niebezpieczeństw jest stanowczo niewystarczający, niedość szeroki i pospieszny. Z zadowoleniem stwierdzić można, że publicystyka nasza naogół nie uległa „niebezpieczeństwu poprawy

gospodarczej", że nie zasypia gruszek w popiele i nadal interesuje się zagadnieniem bardziej stanowczych sposobów rozwoju naszego życia gospodarczego oraz przekształceń ustrojowych. Trzeba jednak zauważyć, że polityka wykorzystywania koniunktury celem powiększenia poprawy wprawdzie zasadniczo nie wystarcza ale doraźnie się narzuca. Nie tylko bowiem potrzebna jest płynąca stąd ulga, ale także i pewien zysk na czasie, ażeby doczekać się pożyczki francuskiej, także gruntowniej niż dotąd przedyskutować posunięcia radykalniejsze, oraz przygotować do nich opinię. Przedsięwzięte lekkomyślnie posunięcia takie mogłyby się okazać szkodliwe i jeszcze bardziej zabagnić sytuację. Należy więc tylko życzyć, by w tej dyskusji nie ustawano. Zwłaszcza że i międzynarodowy stan rzeczy zdaje się obecnie pewną zwłokę dopuszczać.

W przejściu do spraw międzynarodowych podnieść należy przede wszystkim obszerny wywiad, który J. Em. Ks. Kardynał Prymas udzielił przedstawicielowi znanego austriackiego organu katolickiego *Reichspost*. Wybitnie czynny na widowni europejskiej książę Kościoła ze szczególną siłą podkreślił rozkładowy wpływ komunizmu nie tylko na wewnętrzne życie społeczeństw, lecz także na ich wzajemne między sobą stosunki. Działalność moskiewskiego Kominternu zredukowała niemal do zera znaczenie polsko-sowieckiego paktu o nieagresji, tym samym automatycznie podnosząc wartość analogicznego układu z Niemcami. Knowania we Francji i powstające stąd, choć nieprawdopodobne widmo sowietyzacji tego kraju zagrażają sojuszowi francusko-polskiemu, podobnie jak na ciężką naraził go próbę pakt francusko-sowiecki. Tenże pakt mąci wodę między Francją a Niemcami, jego zaś wariant czesko-sowiecki podobnie siał niezgodę między Czechosłowacją a Polską. Wywiad Ks. Prymasa zdaje się mieć charakter nie tylko opiniujący, lecz nawet czynny, gdyż świetnie został przystosowany do obecnego położenia międzynarodowego i jego tendencyj rozwojowych. Nawiasowo zaznaczmy, że od tej właśnie strony został zaatakowany przez „postępowych" parlamentarzystów i publicystów, jako wkraczający rzekomo w kompetencję państwową. Atak najzupełniej bezpodstawny, bo w sprawach politycznych, związanych z zagadnieniami moralnymi kompetencja jest mieszana, kościelno-państwowa. Kościół ma nie tylko prawo lecz niekiedy nawet obowiązek zabierać w nich głos. Trudno zaś zaprzeczyć, że walka z bolszewizmem posiada doniosłość nie tylko polityczną lecz również moralną. Wywiad działa w kierunku odprężenia polsko-niemieckiego w ramach solidaryzacji Europy przeciwko bolszewizmowi. Odpowiada zatem postawie zajętej przez Niemcy i Włochy, ale z korekturami osiągniętymi w dyplomatycznej grze równowagowej przez mocarstwa zachodnie.

Niemcy przeciągnęły strunę, usiłując pole tej gry rozszeszyć aż do Azji Wschodniej, mianowicie zawierając układ przeciwkomunistyczny z Japonią, czyli zamaskowany z nią sojusz przeciwmoskiewski. To się nie podobało Anglii, która się teraz obawia japońskiej ekspansji, oraz zaniepokoiło Francję, wciąż jeszcze przywiązującą wagę do paktu przeciwniemieckiego z Sowietami. Francja nawiązała kontakt z Ameryką o pomoc gospodarczą w razie wojny z Niemcami. Ameryka oprócz tej pomocy, może także unieruchomić Japonię wobec Moskwy. W ten sposób gra dyplomatyczna rozwinięta została naokoło świata, z wyraźną przewagą Zachodu wobec Niemiec. Ponadto Anglia i Francja jeszcze bardziej zacieśniły swój stosunek, ponawiając wzajemną gwarancję obronną terytoriów własnych i belgijskiego. Włochom zaś ofiarowały wprawdzie nie pakt śródziemnomorski (z francuską pomocą w razie angielskiej agresji) lecz bądź co bądź „dżentelmeńskie porozumienie" z Anglią. To wystarczyło, obok widma Ameryki, ażeby odsunąć Italię od Trzeciej Rrzeszy, która tym samym została odosobniona. Izolacja wywarła w Niemczech wrażenie tak silne, że Hitler pozwolił prezesowi *Reichsbanku* Schachtowi wygłosić we Frankfurcie mowę nieomal płaczliwą o przeludnieniu Niemiec, błagającą zwrotu kolonij. Istotnie nie tylko międzynarodowe położenie Niemiec jest obecnie słabe, ale i stan ich gospodarzy wybitnie zły. „Ogonki" przed sklepami żywnościowymi, zamaskowana sprzedaż kartkowa wiktuałów depopularyzują władzę Hitlera wśród mas i podkopują régime, oparty w wielkiej mierze na demagogii. To też Hitler zdaje się odczuwać potrzebę poparcia moralnego wewnątrz i zewnątrz kraju ze strony katolicyzmu. Konferował w Berchtesgaden z kardynałami monachijskim i kolońskim. Są to okoliczności, które mogą rokować powodzenie programowi „chrystianizacji świata", który podobno omawiany jest w Watykanie, a występuje nie tylko przeciw bolszewickiemu bezbożnictwu, lecz i hitlerowskiemu neopogaństwu. Też same okoliczności mogą również uczynić Niemcy ustępliwszymi wobec Polski w Gdańsku i gdzieindziej. Znamiennie więc wzrasta znaczenie polityczne katolicyzmu i jego równoległość z interesami Polski.

Andrzej Prawdzic

Muzeum Książąt Czartoryskich.

Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie obchodziło w ostatnich miesiącach ub. r. 60-lecie zakończenia przedziwnej odysei swych zbiorów, stałego ich umieszczenia w Krakowie i udostępnienia zarówno dla uczonych jak i szerszej publiczności. Rocznica ta minęła bez uroczystości; półwiecze przeszło przed 10 laty w zupełnej ciszy, nie przypomniane ani przez czasopisma

naukowe, ani przez prasę codzienną. Rosnące w ostatnich latach wreszcie i u nas znaczenie muzealnictwa i bibliotekarstwa zachęca nas do zwrócenia uwagi na tą drugą rocznicę, która zamyka okres dwóch pokoleń, jakie przeszły przez sale wystawowe i pracownie biblioteczne zbiorów ks. Czartoryskich.

Pierwszy ich okres rozpoczął się w r. 1800, kiedy Izabella (Elżbieta) z Flemingów ks. Czartoryska, generałowa Ziem Podolskich, otworzyła w Puławach wybudowaną świeżo na wzór świątyni w Tivoli „Świątynię Pamięci", zwaną później powszechnie Świątynią Sybilli. W srogim upadku ducha narodu, w rozdarciu zaborów, jedynie w zaciszu prywatnego parku i za zasłoną wymuszonej uprzejmości, którą dwór wiedeński starał się pozyskiwać ks. generała, mógł powstać i rozwijać się ten miniaturowy panteon narodowy. Na kolumnach kolistego wnętrza budynku, stojącego na urwistym brzegu Wisły, widniały pomnikowe tarcze znakomitych Polaków, na ścianach — ułożone z dawnej broni panoplie, „trofea" poświęcone pamięci rodzin zasłużonych w wojnach, wreszcie w marmurowych urnach i szkatułach mieściły się relikwie i pamiątki po królach, mężach stanu i uczonych. W 9 lat później stanął opodal świątyni skromniejszy Dom Gotycki, w którym założycielka pomieściła gromadzone od dawna pamiątki po znakomitościach obcych, relikwie o zakroju poetycko-romantycznym i osobliwości z całego niemal świata. Nie brakło tu wszakże okazów polskich, które nie znalazły miejsca w Świątyni Sybilli, lub mniej się nadawały do jej monumentalnego wnętrza. I tu i tam przechowywano też liczne rękopisy, zwłaszcza średniowieczne i rzadkie druki. Obydwa zbiory bywały często odwiedzane przez ludzi różnych stanów z całej Polski, niby przy sposobności składania uszanowania gospodarzom; za czasów Królestwa Kongresowego panowała tu oczywiście większa swoboda.

Równocześnie w jednym ze skrzydeł pałacu puławskiego zgromadził ks. generał Adam Kazimierz Czartoryski bogatą bibliotekę, złożoną z dzieł dawnych i nowszych, którą założył był znacznie wcześniej, bo w ósmym dziesięcioleciu XVIII w.; powiększał ją przy pomocy stosunków z uczonymi polskimi i zagranicznymi. Prawdziwy znawca kilku gałęzi wiedzy, m. i. archeologii, a zwłaszcza piśmiennictwa wschodniego, głównie perskiego, otrzymał dotąd pomnik wdzięczności jedynie w językoznawstwie polskim: Samuel Bogumił Linde nie przez grzeczność tylko dziękował mu za walną pomoc w układaniu „Słownika"; bogate i zdawna porządkowane zbiory biblioteki puławskiej były jedną z podstaw tej do dziś bezcennej pracy. Pod koniec życia mógł ks. generał cieszyć się godnym następcą w staraniach około rozwoju swej biblioteki; syn jego Adam Jerzy powiększył ją znakomicie w r. 1819 nabytkiem zbiorów poryckich po Tadeuszu Czackim, zyskując równocześnie bibliotekarza w osobie Łukasza Gołębiowskiego.

Nie podobna rozwodzić się tu szerzej nad rolą środowiska puławskiego, promieniującego szeroko na Polskę patriotyzmem i wiedzą. Znaczenie tej roli uwydatniono świeżo gruntownie a bezstronnie (A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, III). Wspomnieć tu jednak trzeba, że w działalności wydawniczej tego środowiska niepośledne miejsce zajmowała sama założycielka; jej *Myśli o zakładaniu ogrodów*, kilka wydań popularnej historii polskiej pt. *Pielgrzym w Dobromilu*, wreszcie *Poczet pamiątek zachowanych w Domu Gotyckim* (1828) świadczą dobitnie o tym, że nie chodziło tu o splendor domu, o gromadzenie zbiorów dla mody i oryginalności, lecz o szeroko zakrojoną, cierpliwą działalność patriotyczną, społeczną i kulturalną. Dopomagały ks. generałowej dzieci, zwłaszcza autorka *Malwiny*, ks. Maria Wirtemberska i ks. Adam Jerzy, których obszerne opracowania katalogów Świątyni Sybilli i Domu Gotyckiego, stanowiące rodzaj ilustrowanej zabytkami encyklopedii dziejów polskich i powszechnych, pozostać musiały w rękopisach. Owa działalność sięgająca w najszersze warstwy miała być niebawem wynagrodzona w tragicznych okolicznościach przez lud najbliższej Puławom połaci kraju.

Zbiory puławskie służyły kulturze polskiej przez okres jednego pokolenia. W 31 lat po otwarciu Świątyni Sybilli zaczęła się jedyna w swoim rodzaju 45-letnia ich tułaczka. Konfiskata Puław jako własności skazanego zaocznie na śmierć prezesa Rządu Narodowego, ks. Adama Jerzego Czartoryskiego, nie zastała ich już na miejscu. W ręce Rosjan wpadła tylko niewielka ilość cennych zabytków, których w pośpiechu nie zdołano ukryć (były to m. i. pamiątkowe chorągwie, tzw. głowy wawelskie i kilkadziesiąt rękopisów; dziś rewindykowane z Rosji zdobią one komnaty Wawelu i zbiory Biblioteki Narodowej); część zaginęła zapewne bezpowrotnie. Ogromna większość uratowanych zabytków rozproszyła się, ale nie zginęła z oczu i pamięci właścicieli, ich pomocników oraz licznych, jak się okazało, przyjaciół. Biblioteka rozdzieliła się na dwie główne części: jedną wywieziono do Warszawy, gdzie pozostawała pod pełną poświęcenia i pomysłowości opieką teściowej ks. Adama, ks. Anny z Zamoyskich Sapieżyny; druga wraz z większością zbiorów muzealnych ukryta zawczasu po okolicznych dworach, plebaniach i chatach, wędrowała parę lat przez granicę austriacką do Sieniawy, jedynej już resztki olbrzymiej niegdyś fortuny Czartoryskich. Przewozili te niebezpieczne ładunki z prawdziwym poświęceniem, pod grozą „czynnych" badań rosyjskich chłopi okoliczni; ukrywano je w wozach z drzewem i sianem; kierownikiem tych czynności był oficjalista puławski Karol Druziewicz. — Wiele nazwisk ludzi pomocnych w ratowaniu zbiorów wiadomych było tylko wtajemniczonym; nigdzie nie zapisane przepadły dla wdzięcznej pamięci.

Gdy ucichły tropienia i węszenia, udało się ks. Adamowi Czartoryskiemu wywieść najcenniejszą część zbiorów poza granice kraju i zgromadzić je w Paryżu, gdzie mieściły się w Hotel Lambert, ośrodku emigracji polskiej. Niezmordowana działalność polityczna pozwalała spadkobiercy księstwa generałostwa na wygnaniu roztaczać głównie zachowawczą tylko opiekę nad uratowanym mieniem kulturalnym. Zbiory wzrastały jednak i w tym ciężkim okresie. Nowy ich rozwój rozpoczął się z chwilą, gdy młodszy syn ks. Adama († 1861), Władysław, po ostatecznym upadku powstania styczniowego, którego był dyplomatycznym przedstawicielem na obczyźnie, podjął dziedziczną ideę puławską. Mimo trudności majątkowych, zwiększonych jeszcze wysiłkami w okresie powstania, zaczął — już jako nowoczesny zbieracz — gromadzić i łączyć ze spadkowymi zarówno zabytki sztuki i kultury, jak książki, druki i rękopisy. Po ogłoszeniu konstytucji w Austrii 1867 r., a zwłaszcza po smutnych doświadczeniach wojny francusko-pruskiej i komuny paryskiej, postanowił ks. Władysław wprowadzić w czyn z dawna „pieszczoną myśl" przeniesienia zbiorów do kraju. Najodpowiedniejszym miejscem był oczywiście Kraków, siedziba jednego z dwu spolszczonych właśnie uniwersytetów, Biblioteki Jagiellońskiej, świeżo (1873) założonej Akademii Umiejętności i jej zbiorów, wreszcie ognisko pracy historycznej, któremu przewodził Józef Szujski. W poszukiwaniach pomieszczenia przyszła ks. Władysławowi z pomocą Gmina Miasta, która ofiarowała mu na ten cel w darze nadbudowany kilka lat przed tym dawny arsenał miejski wraz z częścią murów aż po Bramę Floriańską, z dwiema basztami, Stolarską i Ciesielską. Książę dokupił wnet od państwowego Funduszu Religijnego dawny klasztor O. O. Pijarów i nie czekając nawet na ostateczne wyporządzenie obydwu budynków zaczął sprowadzać do nich dawne zbiory puławskie i własne.

Prawdziwie wzruszające jest odczytywanie sprawozdań i listów, które opowiadają o zrastaniu się rozproszonych przed 45 laty zbiorów w nową całość. Książki, dzieła sztuki i pamiątki z Hotel Lambert przybywają do krakowskiego ośrodka częścią przez Kórnik, gdzie parę lat czekały na to w zamku Działyńskich, częścią wprost. Dąży do Krakowa biblioteka Sieniawska, a z nią część zbiorów muzealnych, które tam trzeba było zamurowywać w czasach austriackich rządów policyjnych. Przysyłają wieloletnie depozyty zamki: ks. Sapiehów w Krasiczynie, Zamoyskich w Klemensowie i Kozłówce i ich pałac warszawski, oraz liczni opiekunowie mniejszych całości i pojedynczych zabytków. Przesyłki zza kordonu rosyjskiego musiały iść znowu drogą na pół tajemną, pod nazwiskami obojętnymi dla carskiej żandarmerii. Sztab, który te „osobno maszerujące oddziały" kierował do Krakowa i gromadził w całość, składał się z prof. Józefa Łepkowskiego, dyrektora nowej instytucji, archeologa i historyka sztuki

(† 1894); z Leona Bentkowskiego, tułacza, który wyruszywszy z Madagaskaru nie zdążył już na powstanie 1863 r. i w Paryżu, potem w Kórniku i Krakowie stał się prawą ręką ks. Władysława, jako kustosz zbiorów układając ważne do dziś, olbrzymie prace katalogowe i porządkowe († 1889); z dzielnego ratownika puławskiego, staruszka już Karola Druziewicza, dotychczasowego kustosza zbiorów w Sieniawie († 1879); wreszcie z sekretarza ks. Władysława, Ludomira Gadona († 1908) i młodego jeszcze Bolesława Biskupskiego, długoletniego potem kustosza muzeum († 1921). Dowództwo tych prac spoczywało jednak niepodzielnie w rękach ks. Władysława. Rozproszone zabytki wracały pojedynczo jeszcze w ostatnich latach przed wielką wojną, a pewna ich ilość do dziś dnia nie wróciła do macierzystego zakładu.

Już w ciągu listopada 1876 r. zaczęto korzystać ze zbiorów w Krakowie; przede wszystkim rzucili się do badania ledwie ze skrzyń wyjętych rękopisów historycy z J. Szujskim, F. Piekosińskim, M. Bobrzyńskim i W. Zakrzewskim na czele, wertując i wyzyskując bezcenne dwie setki tomów tek Naruszewicza, korespondencję Hozjusza, dyplomy itd. Z części muzealnej zbiorów najpierw udostępnioną została zbrojownia, zaraz ściągając zwiedzających z całej Polski, licznych zwłaszcza w czasie letnich przejazdów przez Kraków. Z biegiem lat i w miarę środków postępowało wyporządzanie gmachów i otwieranie coraz nowych działów muzeum. Wnet klasztorek popijarski okazał się za szczupły na pomieszczenie zbiorów, wciąż cierpliwie przez ks. Władysława powiększanych zakupami, później wzbogacanych darami i zapisami. Miejsca na rozszerzanie gmachów nie było; za czym wypadło zakupić dom czynszowy po przeciwległej stronie ul. Pijarskiej i połączyć go krytym mostem, na wysokości I piętra nad ulicą, z budynkiem popijarskim. Za tym kupnem poszło dalsze, sąsiedniego domu przy ul. św. Jana; trzeci dom z tejże strony przybył już po śmierci ks. Władysława († 1894), a ostateczne wykończenie połączenia tych nabytków z dawnymi gmachami i urządzenie w nich sal muzealnych nastąpiło już w początkach XX w. W tymże czasie wyporządzono do końca pomieszczenie zbiorów bibliotecznych, zwłaszcza rękopiśmiennych. Skoro mowa o tej działalności budowlanej, warto zaznaczyć, że ks. Władysław równocześnie odnowił, a raczej na nowo ufundował kaplicę Czartoryskich w katedrze wawelskiej (w przyziemiu wieży zegarowej) i kaplicę w Bramie Floriańskiej (na piętrze).

Chcąc zapobiec ponownemu rozproszeniu się zbiorów, które ks. Władysław, jak jego dziadowie, przeznaczył na wieczystą służbę narodowi, postanowił ich odnowiciel utworzyć fundację rodzinną, która w postaci ordynacji Sieniawskiej ks. Czartoryskich nabrała mocy prawnej dopiero w 4 lata po jego śmierci. Przygotowania jednak i trudne pertraktacje z rządem austriackim

przeprowadził w większej części jeszcze ks. Władysław. Syn jego ks. Adam Ludwik, jako pierwszy ordynat, ustanowił obok stałej dotacji dla zbiorów muzealno-bibliotecznych, także corocznie przyznawane stypendium dla kształcącej się młodzieży, zwłaszcza na studia zagraniczne. Przed kilku laty dołączył nadto do Muzeum dwa wielkie działy: obrazów i grafiki, oraz mnóstwo zabytków przemysłu artystycznego, pozostające dotąd w jego prywatnym posiadaniu.

Dzisiejsza działalność Muzeum ks. Czartoryskich nie odbiega, mimo głębokich przemian powojennych, ani na jotę od założeń puławskich i ks. Władysława. Kompetentniejsze pióro omówi ją może na innym miejscu. Wymienimy na zakończenie liczby korzystających ze zbiorów, przeciętne z lat ostatnich: zwiedzających muzeum bywa rocznie około 15.000 (w r. 1935 doszło do 23.000), jak zawsze bezpłatnie; w bibliotece odwiedziny dochodzą do 3.100, ilość wydanych książek do 2.700, rękopisów do 2.500. Ilość uczonych zamiejscowych, w dużej mierze zagranicznych, dla których przeprowadzają poszukiwania urzędnicy muzeum, dochodzi w obydwu częściach zbiorów do 100 na rok.

Zamiast *Quod faustum, felix...* niech posłużą słowa ks. generałowej ze wstępu do „Pocztu pamiątek w Domu Gotyckim": „Daj Boże! aby w przyszłych wiekach wnuki nasze do tych pamiątek sławy, waleczności, patriotyzmu i tylu, niestety! boleści narodowych... mogły dodać pomniki nierozdzielne chwały i szczęścia".

Stefan S. Komornicki

Dwie wystawy prasowe w Rzymie.

Rzadko możemy spotkać się z dwoma zjawiskami, które by były tak jaskrawo ze sobą sprzeczne, a równocześnie które by się tak doskonale uzupełniały i tłumaczyły, jak dwie prasowe wystawy rzymskie: katolicka i komunistyczno-bezbożnicza. Były one nie tylko interesujące, ale przejmowały do głębi, stawały się dla zwiedzającego pewnego rodzaju rewelacją, otwierały szeroko oczy nie tylko zdziwieniem, ale także i przerażeniem.

W Watykanie jeszcze z wiosną u. r. na życzenie Ojca św. Piusa XI została zorganizowana i otwarta Międzynarodowa Wystawa Prasy Katolickiej. Celem jej było oczywiście zobrazowanie całości katolickiego dorobku na polu publicystyki i dziennikarstwa. Urządzono ją w prowizorycznych pawilonach, wzniesionych w Cortile della Pigna, przy czym nie zaniedbano wciągnąć w architektoniczną kompozycję konchy z pinią, stwarzając przez to efektowną perspektywiczną całość. Twórcą wystawy był komitet organizacyjny, w którego skład weszli hr. Della Torre, naczelny redaktor *Osservatore*, I. Fr. Ratti, przewodniczący rady guberna-

torskiej państwa watykańskiego, dr. B. Nogara, dyrektor muzeów papieskich, inż. L. Castelli, dyrektor urządzeń technicznych i gospodarczych Watykanu, ks. dr J. Monti, sekretarz komitetu, oraz architekt mediolański G. Ponti. Dwaj ostatni są właściwymi wykonawcami wystawy, pierwszy organizacji wewnętrznej eksponatów, drugi strony architektoniczno-dekoracyjnej.

Na tej zewnętrznej, plastycznej formie znać bardzo silny wpływ wystawy faszystowskiej z r. 1933, o której pisaliśmy w swoim czasie na łamach *Przeglądu*. Styl rozplanowania i dekoracji wnętrz jest modernistyczny, dość jednak umiarkowany, bez krzyczących, jaskrawych kontrastów, zestawień itd., do czego zresztą przyczynił się w znacznym stopniu brak światła elektrycznego. Górne światło dzienne, przepuszczone przez płótna, zastępujące sufity, daje zawsze oświetlenie stonowane i równomierne. Wogóle strona zewnętrzna wystawy przedstawiała się bardzo dodatnio, a zwłaszcza te jej części, które wyszły, że się tak wyrażę, bezpośrednio z ręki organizatorów.

Są to działy: ogólny i dział misyjny, a prócz nich mamy jeszcze działy narodów i zakonów. Dział ogólny, przypominający takiż dział ogólny na wspaniałej kolońskiej Pressie (Międzynarodowa Wystawa Prasy z 1928 r.), przedstawia w wielkich plastycznych skrótach dzieje dziennikarstwa, przede wszystkim jako środka komunikowania wiadomości, od jego prazawiązków w czasach przedhistorycznych aż po ostatni szczytowy etap, jakim jest wielki dziennik współczesny. Pokazano tam sposoby przesyłania wiadomości, szybkość tego przesyłania, pokazano w rekonstrukcji pracownię mnicha, przepisującego kodeksy i zdobiącego je czarującymi miniaturami, pokazano, także w rekonstrukcji, starą oficynę drukarską, pokazano w licznych wykresach i schematach rozwój światowej prasy, jej wielkość, pokazano wreszcie organizację i sposoby pracy instytucji wydającej wielki dziennik. Kino, zainstalowane w jednej z sal, uzupełniło zestawienia schematyczne interesującym obrazem, przedstawiającym na przykładzie holenderskiego *Maasbode* powstawanie numeru dziennika, oraz życie i pracę tej wielkiej, wspaniałej machiny, jaką jest instytucja wydawnicza.

Z działu ogólnego, poprzez wielką salę reprezentacyjną, ozdobioną dwoma arrasami Rafaela, a przypominającą monumentalne wnętrza wielkich filmów Cecila Milla przechodzimy do działu Narodów. Tutaj prawie wszystkie narody katolickie, czy też mające przynajmniej mniejszości katolickie, rozłożyły swoje stoiska, brak tylko Niemiec hitlerowskich i Rosji sowieckiej, dwu państw tak pozornie dalekich od siebie, a tak w rzeczywistości bliskich przez propagandę pogaństwa i nienawiść programową Kościoła. Wszystkie stoiska pod względem kompozycji i dekoracji utrzymane są mniej więcej jednolicie. W stylu całej wystawy dadzą się wyodrębnić następujące wspólne cechy charakterystyczne:

posługiwanie się formami prostymi, silnymi kontrastami i skrótami, prymitywizm oraz fotomontaże. Nie podobna nam tutaj omawiać wszystkich sal, zaznaczamy tylko ogólne wrażenia, uzupełniając je bardziej szczegółowymi uwagami w odniesieniu do kilku stoisk.

Pierwszeństwo, a gdyby były nagrody, pierwszą nagrodę, dalibyśmy sali holenderskiej. *Holandia docet* — dała ona najpiękniejszą salę, aby swój wspaniały dorobek na polu publicystyki przedstawić na pięknym i efektownym tle. Następne miejsca oddalibyśmy Austrii, Belgii, Anglii, Stanom Zjednoczonym, no i Polsce. Sala nasza jest jedną z najlepszych; nieprzeładowana; eksponaty rozłożono przejrzyście; wspaniały kilim z orłem polskim, panneau dekoracyjne Rosena oraz liczne fotografie, pokazujące piękno Polski, stanowią prawdziwą ozdobę polskiej sali. Nie udała się zato mapa, mająca obrazować nasilenie naszej produkcji wydawniczej, chociaż zdaje się nie z winy polskich organizatorów, efekt jej miał polegać na znakach świetlnych; tym czasem, jak wspomnieliśmy, wystawa nie posiada światła sztucznego. Sala polska posiada jeszcze jedną zaletę, zgrabnie kryje hańbę Polski współczesnej, szalony procent analfabetów oraz biedę polską, wyrażającą się słabym nasileniem czytelnictwa. Niestety, różni nasi przyjaciele, a zwłaszcza ci z zachodu, i południowego zachodu nie zaniedbują żadnej sposobności, by światu przypominać tę hańbę i tę nędzę, jako dowód naszej niższości kulturalnej, a nawet niezdolności do samodzielnego bytu.

Trzeci wielki dział wystawy poświęcono krajom misyjnym, oraz pismom wydawanym dla misyj i na misjach. Sale tego działu są naprawdę wspaniałe pod względem zewnętrznym, dekoracyjnym, oraz pod względem kompozycji eksponatów. W dekoracji zastosowano motywy zaczerpnięte ze stylów architektonicznych krajów misyjnych Afryki, Azji, Oceanii, olbrzymie fotomontaże, efektownie korzystające z powiększeń czy skrótów, względnie powtórzeń jednego i tego samego motywu, szczegółu robią silne wrażenie i znakomicie podkreślają wielki naprawdę wysiłek Kościoła i katolików dla misyj.

Zarówno w dziele misyjnym Kościoła jak i w ogóle w publicystyce katolickiej najbardziej aktywnym czynnikiem są zakony, dlatego też im oddano dział czwarty. W drobnych, nieraz za szczupłych salkach, rozłożyły swój dorobek publicystyczny w licznych eksponatach, wykresach, tablicach statystycznych i fotomontażach zakony wielkie, oraz młode ale bardzo ruchliwe kongregacje. Wedle jednogłośnej opinii sprawozdawców pierwszeństwo dzierży zakon jezuicki; publicystyka należy do tradycyjnego programu jego działalności, współcześnie wydaje on 26 periodyków kulturalnych, takich jak *Przegląd Pow.*, 152 czasopism naukowych z wszystkich dziedzin wiedzy, 77 czasopism misyjnych, 596 czasopism religijnych dla szerokich mas, oraz 261 czasopism

szkolnych, dla wychowanków licznych szkół, przez zakon prowadzonych. Razem w sumie pisma jezuickie liczą 13,340,000 prenumeratorów, a nakład roczny wynosi ponad 142 miliony. Za jezuitami kroczą franciszkanie, salezjanie, dominikanie, misjonarze, oraz niektóre młodsze kongregacje.

Uzupełnieniem niejako tych czterech części są sale dodatkowe, w których przedstawiono nam piśmiennictwo Akcji katolickiej, wielkich związków młodzieży katolickiej, kobiecych i robotniczych, oraz działalność wydawniczą katolickich uniwersytetów.

Ujmując po tym powierzchownym przeglądzie w jeden syntetyczny obraz wewnętrzną niejako treść wystawy, dochodzimy do stwierdzenia kilku wielkiej doniosłości faktów i pewników:

1. Wysiłek katolików oraz zdobyte przez nich wyniki w dziedzinie prasy i publicystyki są olbrzymie. Ich wielkość występuje wyraźnie tam przede wszystkim, gdzie w zestawieniach statystycznych uwzględniono rozwój chronologiczny. Wstrząs moralny, który przeżywa ludzkość, kryzys zasad i poglądów, wzmożona aktywność wrogów religii i Kościoła, wezwania papieży, działalność Akcji katolickiej, oto czynniki, które spotęgowały działalność publicystyczną społeczeństw katolickich. Do walki stanęła prasa i publicystyka katolicka, słusznie nazwana bronią prawdy, *arma veritatis*. Katolicy znajdują się w tym szczęśliwym położeniu, że posiadając prawdę, mają tym samym najpewniejszy zadatek zwycięstwa, pod warunkiem, że będąc sami przekonani o prawdzie dostosują do jej wymagań życie i czyny, i zdobędą się na ofiary, czasem może nawet wielkie, ale konieczne i zbawienne.

2. Bo chociaż dokonano już wiele, to jednak dokonano jeszcze dużo za mało, jeśli się porówna wyniki z potrzebami i wymaganiami chwili, oraz z wynikami i wielkością prasy niekatolickiej. Najsilniejszym czynnikiem kształtującym dusze współczesnego człowieka, urabiającym opinię, wpływającym na losy narodów i ludzkości jest gazeta. I właśnie, niestety, w tej dziedzinie, katolicy są najsłabsi. Dzienniki katolickie w świecie są nieliczne, a te które wychodzą, mają w porównaniu z wielką prasą światową niekatolicką śmiesznie niskie nakłady. Wogóle w wykresach statystycznych wstydliwie zataja się wysokość nakładów dzienników katolickich, względnie rozszerza się bardzo zakres pojęcia katolicki, wciągając na listy gazety sympatyzujące lub tylko nie zwalczające religii i Kościoła. Tak np. uczyniono z prasą polską. Zdumiony byłem katolickością naszej prasy. Nie chcę przytaczać przykładów, by nie wywoływać jałowej polemiki i nie robić złej krwi, ale mocno kiwałem głową nad liberalizmem organizatorów działu polskiego, chociaż z drugiej strony uderzyła mnie niekonsekwencja w anektowaniu dzienników; skoro znalazł się x czy y, to dlaczego nie włączono *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, który nie ma wprawdzie czystej i jasnej przeszłości, ale który przynajmniej obecnie stoi na stanowisku katolickim i nie-

małe usługi oddaje sprawie religii, za co zresztą ze zdumiewającą szybkością traci sympatie pewnych możnych czynników, wśród nich przede wszystkim masonerii i żydostwa.

Istnieje jeden tylko kraj, w którym sprawa dziennika katolickiego osiągnęła poziom idealny. To Holandia! Tam nasycenie, że się tak wyrażę, jest już 100%, dziennik katolicki jest czytany i prenumerowany przez ogół katolików, a oprócz dzienników, wśród których naczelne miejsce zajmuje *Maasbode*, wydawane są liczne tygodniki i miesięczniki, samych pism społecznych, robotniczych, rzemieślniczych, rolniczych etc jest 125 o półmilionowym nakładzie.

Względnie pomyślnie przedstawia się sprawa w Belgii, gdzie na 2,200.000 egz. dziennego nakładu wszystkich gazet, przypada na dzienniki katolickie 935.000 egz. Jakżeż już wprost tragicznie wygląda Polska wobec powyższych cyfr, wcale nie idealnych, bo w Belgii mamy jeszcze 565.000 egz. dziennego nakładu dzienników obojętnych, a 700.000 egz. dzienników wrogich religii i Kościołowi. Oto w Polsce tyle razy liczebniejszej ludnościowo od Belgii dzienna wysokość nakładu wszystkich gazet wynosi o 200 tysięcy mniej niż w Belgii, ileż nam pozostanie na polską większość katolicką, jeżeli od tej mizernej sumy 2 milionów, (dzienny to nakład j e d n e g o z wielu wielkich organów prasy światowej) odejmiemy sumę nakładów prasy mniejszościowej, wrogiej i obojętnej? Jakże ubożuchny duchowo, kulturalnie jest nasz panujący katolicyzm polski, jak mało wartościowym frazesem jest gadanie o mocarstwowości Polski! Każdy milion analfabetów, każdy tysiąc dzieci, nie mogących znaleźć miejsca w szkole i każda setka bezrobotnych nauczycieli przy tym analfabetyzmie, to szyderczy śmiech z naszej mocarstwowości.

Niewesoło przedstawia się sprawa codziennej prasy katolickiej w innych państwach. Wszędzie pierwsze miejsce zajmują dzienniki liberalne, o milionowych nakładach, obok nich coraz częściej, jak to zobaczymy niżej, stają dzienniki wrogie religii i Kościołowi, a dopiero na końcu, czasem szarym idzie codzienna prasa katolicka. W Portugalii 4 dzienniki katolickie liczą aż 30.000 nakładu, Włochy mają ich tylko 5, a sytuację ratuje życzliwy stosunek prasy rządowej do religii i Kościoła, prasy, która jednak nigdy nie zastąpi dziennika katolickiego. W Stanach Zjednoczonych istnieją wprawdzie 134 dzienniki, ale wszystkie razem mają tylko 2,396.000 nakładu: jest to dużo jak na polskie stosunki, ale bardzo mało na amerykańskie.

Szukając przyczyn słabości prasy katolickiej, pierwszą znajdujemy w fakcie, że katolicy nie mogą wydawać dziennika liberalnego, obojętnego; indyferentyzm, liberalizm nie da się pogodzić z zasadami katolickimi, a on właśnie daje giętkość, zdolność wiecznego kompromisu i naginania się do wymagań już nie tylko rozumnych czasu, ale mody, sensacji, ewangelii łatwizny życia itd.

Wniosek z tego prosty, że dziennik katolicki, choćby był prowadzony bardzo kulturalnie, to jednak może liczyć tylko na czytelników katolickich, a nie znajdzie odbiorców wśród różnowierców i wśród mas religijnie obojętnych, szukających łatwej, sensacyjnej lektury, schlebiania tzw. wymaganiom czasu, mody.

Stwierdzając ten fakt, pytamy się po wtóre, dlaczego jednak katolicy nie popierają swej prasy, dlaczego prasa niekatolicka, liberalna, neutralna ma tylu czytelników i prenumeratorów wśród katolików? Przyczyna leży w obojętności katolików, w małym ich uświadomieniu, ale nie tylko, bo sięga głębiej, ma charakter bardziej zasadniczy. W sali angielskiej na Wystawie w wielkim napisie, umieszczonym na ścianie, przyczyna ta została jasno określona. Czytamy tam, że katolicy angielscy nie posiadają wogóle dzienników katolickich, ponieważ katolicy należą do różnych partyj politycznych i wobec tego prenumerują i czytają tylko wielkie organy tych partyj. Nie można lepiej sformułować zasasadniczej trudności, jaką musi przezwyciężyć prasa katolicka. Gdzie istnieje partia katolicka, tam sprawa dziennika katolickiego rozwiązuje się niejako automatycznie, gdzie zaś nie ma partyj katolickich, tam stworzenie i prowadzenie dziennika katolickiego napotyka często na nieprzezwyciężone trudności. Każdy katolik jest równocześnie obywatelem państwa i członkiem czy przynajmniej sympatykiem jakiejś partii, jakiejś klasy i warstwy społecznej. Ta partia, klasa, warstwa jest jego zbiorowym mózgiem, jego światłem, nauczycielem. Biorąc do ręki rano dziennik, pragnie, aby mu on oświetlał zdarzenia w świetle interesów jego partii, warstwy, klasy. Każde zdarzenie z życia narodowego, państwowego, gospodarczego czy międzynarodowego jest dla niego tak długo czymś nieokreślonym, niezdecydowanym, dopóki nie zostanie zdeterminowane przez własny dziennik. Oto właściwa przyczyna, dla której w wielu społeczeństwach katolickich nie istnieje silna prasa katolicka. Dziennik katolicki, który winien być z natury swej ponadpartyjny, ponadklasowy, nie może zadowolić ludzi myślących partyjnie, klasowo, kastowo, stąd staje się jakby zbyteczny, niepotrzebny, bo trudno wymagać od katolików, aby prenumerowali dwa dzienniki, jeden katolicki, drugi partyjno-polityczny. Oto, dlaczego i w Polsce wszystkie próby stworzenia uniwersalnego katolickiego dziennika nie udały się, aż dopiero niesłychanie śmiała inicjatywa jednej organizacji zdobyła się na próbę, której życzymy powodzenia. Ale powstanie *Małego Dziennika* jest tak egzotyczne, tak odmienne od zwykłego biegu spraw i przedsięwzięć ludzkich, że wyżej przedstawionej zasady nie tylko nie burzy ale ją tylko potwierdza.

Słabość codziennej katolickiej prasy jest faktem, który Wystawa watykańska stwierdza ponad wszelką wątpliwość. Usprawiedliwienie angielskich katolików, wyjaśnia nam sprawę, ale jej nie rozwiązuje, bo oto znajdujemy się obecnie w takich

warunkach, w których już katolikom nie mogą wystarczyć pisma neutralne.

Że tak jest, dowodzi druga wystawa rzymska, wystawa bezbożniczo-komunistycznej prasy. Urządzono ją w Papieskim Instytucie Wschodnim. Już przed kilku laty stworzona została tamże centrala, mająca gromadzić materiał dokumentarny do działalności światowej komunizmu i bezbożnictwa. Kierownikiem tej centrali jest ks. Ledit T. J. Posiadając korespondentów i współpracowników po całym świecie, otrzymuje od nich nie tylko relacje, ale przede wszystkim cenny materiał dowodowy w postaci gazet, czasopism, broszur, książek, ilustracyj, wogóle tego wszystkiego, co nazywamy bibułą propagandową, tak legalną jak i nielegalną. Z materiału tego urządzono w czasie obrad Międzynarodowego Kongresu Dziennikarzy Katolickich wystawę prywatną, dostępną ze zrozumiałych powodów tylko dla zaproszonych. Wystawa ta robiła na zwiedzających wrażenie wprost wstrząsające, a uzupełniała znakomicie Wystawę watykańską.

I tak najpierw po pobieżnym przeglądnięciu wszystkich stoisk widziało się jasno, że gdzie katolicyzm najsilniejszy, tam prasa bezbożnicza i komunistyczna jest najsłabsza i odwrotnie. Najjaskrawiej występuje to na przykładzie Holandii z jednej strony, a Hiszpanii z drugiej.

Po wtóre zdarzenia, niezrozumiałe dla przeciętnego Europejczyka, jakich terenem od trzech lat a zwłaszcza od lipca jest Hiszpania, po oglądnięciu działu hiszpańskiego, stają się najzupełniej jasne, zrozumiałe, oczywiste, tak że należałoby się dziwić, gdyby działo się tam inaczej. Przed wybuchem wojny domowej wychodziło w Hiszpanii zupełnie legalnie pism bezbożniczych najróżniejszego rodzaju „tylko" 146; zatruwano dzieci i dorosłych, lud i inteligencję, a potworność sposobów, konceptów, jakimi ośmieszano i poniewierano religię, Kościół, duchowieństwo doszła chyba granic zarówno możliwości jak i satanizmu. Po przeglądnięciu kilku numerów tych pism palenie kościołów, mordowanie księży, katolików itd. staje się z psychologicznej zagadki rzeczą zupełnie oczywistą.

Sądząc po przykładzie Hiszpanii i Meksyku, a równocześnie biorąc pod uwagę nasilenie propagandy komunistycznej i antyreligijnej za najbliższe przewrotu komunistycznego uważamy Francję i Czechy. Po prostu nie można się oprzeć jakiejś dziwnej, trudnej do zaprzeczenia oczywistości. Wprawdzie publicystyka tak polska jak i francuska (np. wywiady Wrzosa z *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*) stara się raczej bagatelizować niebezpieczeństwo i wyklucza możliwość przewrotu, ale dowodzenie tych panów nie wytrzymuje próby wobec przerażających faktów. Oto kilka tylko przykładów. *L'Humanité* naczelny (ale nie jedyny) organ partii komunistycznej bił dziennie w r. 1935 jeszcze tylko 135.000 egz., w styczniu 1936 już 250, a w czerwcu 400 tysięcy.

Inne pismo komunistyczne: *L'Avant Garde*, w r. 1934 miało 10 tysięcy nakładu, a w r. 1936 już 43. W większości państw europejskich i pozaeuropejskich wydawane jest przez Tow. Przyjaciół Sowietów miesięcznik pt. *Rosja dzisiejsza*. Zależnie od kultury kraju, nasilenia propagandy komunistycznej także i forma zewnętrzna tego miesięcznika jest różna, od bardzo skromnej do luksusowej. Wydanie francuskie, mające wspaniałą graficzną szatę, liczyło w r. 1934 niespełna 50 tysięcy nakładu, w połowie 1935 dosięgło już 146 tysięcy. Jeżeli dodamy do tego fakty takie, jak przynależność olbrzymiego procentu nauczycielstwa francuskiego do partii komunistycznej, jak zupełne spoganienie całych departamentów, zarówno ludności wiejskiej jak i robotniczej, to uspokojenia różnych polityków i dziennikarzy nie mogą nas przekonać, tym bardziej, że opierają się na bardzo kruchych podstawach (rentierstwo, przywiązanie do własności prywatnej i wolności osobistej itd.). Te same uwagi nasuwają się także i przy stoisku czechosłowackim.

Nie możemy opisywać szczegółów wszystkich stoisk. Tutaj znowu pragniemy wyciągnąć tylko ogólne wnioski, jakie wystawa ta narzuca z przemożną siłą. Na przykładzie Anglii pokazano nam na instruktywnych tablicach i zestawieniach całą wewnętrzną organizację partii komunistycznej i propagandy komunistycznej w tym kraju. Zdumiewa nas rozległość tej propagandy, jej mistrzowstwo, przejawiające się w obejmowaniu siecią organizacyj, związków wszystkich warstw społecznych, organizacyj zawsze zależnych od naczelnych czynników partii w Anglii, a ostatecznie w Moskwie. Cała propaganda skupia się w 15 naczelnych związkach, których robota ma charakter antykapitalistyczny, antyfaszystowski i pacyfistyczny. Faszyzm i wojna, oto dwa najważniejsze straszaki, którymi Moskwa przeraża i mami flegmatycznego, zakochanego w wolności demokratycznej i pokoju (warunek interesów handlowych) Anglika. Ideologia nawskróś totalna, tyrańska, antydemokratyczna — w Anglii występuje jako obrończyni wolności demokratycznych i pokoju. Obok partii komunistycznej mamy Ligę antyimperium brytyjskiego, Ligę młodych komunistów, Związek młodych pionierów, Towarzystwo Przyjaciół Sowietów, Towarzystwo obrony pracy, Federację sportową robotników angielskich, Ligę wolnomyślicieli angielskich, Związek pacyfistów itd. Organizacje te pracują systemem jaczejek, drobnych komórek, podporządkowywanych naczelnemu kierownictwu w Moskwie.

Zdumiewa nas ogrom propagandy, ogrom wysiłku pracy, kapitałów, szalonej energii jaką Sowiety i ich zwolennicy wkładają w tę swoją destrukcyjną działalność. Dość często słyszy się dziś głosy optymistów, którzy właśnie te kolosalne, dotąd w dziejach świata niespotykane rozmiary propagandy komunistycznej uważają raczej za dowód słabości; poza Rosją, częścią Chin, Meksykiem oraz świeżo Hiszpanią, mimo tak olbrzymich wysił-

ków, nie udało się Sowietom podpalić świata, więc możemy ufać, że go już nie podpalą. Rozumowanie to ma pewne pozory słuszności, ale właśnie Wystawa, którą omawiamy, radykalnie podcina tę słuszność. Raczej trzeba stwierdzić, że komunizm zdobywa coraz większe sukcesy. Likwidowane są skutecznie partie socjalistyczne, a wzmagają się partie komunistyczne. By uchwycić wielkość niebezpieczeństwa w całej jego prawdzie, należy zwrócić uwagę na ogromną przepaść jaka dzieli światopogląd człowieka Zachodu a światopogląd bolszewizmu. Niesie on ze sobą zupełny, najbardziej radykalny przewrót pojęć, podstaw życia indywidualnego, rodzinnego, społecznego i państwowego. W objęcia komunizmu padają bez wielkiej walki wewnętrznej tylko szaleńcy lub ludzie, którzy nie mają nic do stracenia. A właśnie dzisiejszy kryzys gospodarczy oparty na dziwnej nieudolności rządów, wytwarza masowo takich straceńców. By dojść spokojnie, refleksyjnie do komunizmu, trzeba przebyć bardzo długą drogę od wiary w Boga do ateizmu, od kultury zachodniej do wschodniego nihilizmu, od wiary w duchowe wartości do wiary jedynie w materię. I właśnie ta szalona, nie licząca się z niczym propaganda komunizmu pomaga skutecznie ludziom do odbycia tej drogi. Aparat ma pierwszorzędny, fundusze ogromne a metody działania niezrównane. Umie świetnie posługiwać się nawet tymi, którzy szczerze odżegnywują się od komunizmu. Każda niesprawiedliwość społeczna, każdy wyzysk kapitalizmu, zimna nieczułość biurokracji państwowej wobec szarego człowieka, nadmiernie wielkie pensje dygnitarzy, dyrektorów, huczne i wesołe życie warstwy posiadającej, a przede wszystkim wszystkie *faux pas* duchownych wszelkich wyznań, przybliżają zwycięstwo bolszewizmu. To zwycięstwo przygotowują bardzo skutecznie wszyscy apostołowie niewiary, apostołowie łatwizny życia, zwolennicy tzw. reformy obyczajów; na korzyść bolszewizmu pracują wszyscy bałwochwalcy państwa-absolutu, państwa totalnego, wyznawcy szkoły świeckiej, itd. Oni wszyscy stawiają przesłanki, z których wnioski ostateczne, a w pełni logiczne i konsekwentne, wyciągnie w swoim czasie komunizm.

Oglądając i analizując przez długie godziny treść wewnętrzną komunistyczno-bezbożniczej propagandy, do tych właśnie doszedłem wniosków, do nich dochodziły również różne wybitne osobistości, z którymi miałem sposobność rozmawiać. Szczególnie jednak zaskoczeni i zaaferowani byli dyplomaci, posłowie państw, radcy ambasad, itd. Wyznawali sami, że wystawa ta stała się dla nich rewelacją! Zaskoczenie to jest zrozumiałe. My niby wiemy o istnieniu tej propagandy, ale jej upiorna wielkość dopiero w nagromadzeniu i zestawieniu obfitego materiału otrzymuje właściwy i prawdziwy wyraz.

Wszak mamy tu do czynienia z cyframi prawie astronomicznymi, zwłaszcza jeśli idzie o komunistyczną prasę sowiecką.

W Rosji wychodzi dziennie 10.000 dzienników w 86 językach w 37 milionach nakładu. Czasopisma Komsomołu mają 43 miliony nakładu. Antireligioznik 67.000, a Bezbożnik 1,300.000. Klasyków marxismu wypuszczono już 24,300.000 egz.

Niezmiernie interesujące wnioski nasuwają się również przy analizowaniu wewnętrznej treści i form propagandy komunistycznej i bezbożniczej. Wystawione roczniki tych pism oraz licznych ilustracyj propagandowych, agitacyjnych ukazują nam cały system. Na podstawie zebranego na wystawie materiału możnaby napisać osobne studium, a równocześnie zaczerpnąć niejedną praktyczną wskazówkę do walki z bezbożnictwem. Metody tej walki, a przede wszystkim argumenty, czerpane są z obserwacji życia; nasze słabe strony są tam znakomicie wyzyskiwane i w mistrzowskim nieraz naświetleniu i wyolbrzymieniu obracane przeciwko nam.

Pierwszym motywem agitacyjnym, najczęstszym, na wszelkie możliwe sposoby obracanym jest rzekoma przyjaźń religii, a zwłaszcza duchownych z kapitalizmem, jest materializm duchownych, ich chciwość i zdzierstwo. Motyw ten występuje jako podstawowy dogmat i widocznie wywiera wpływ, skoro tak obficie jest używany. Gruby, opasły kapitalista otaczany jest zawsze przez duchownych wszystkich wyznań, najgwałtowniej jednak i najjaskrawiej zwracają się ataki przeciwko księżom katolickim i popom. Na jednym z obrazów widzimy potwornych rozmiarów krzyż, dźwigany przez gromadę nędzarzy, wychudłych, na pół nagich; na skrzyżowaniu ramion siedzi kapitalista i trzyma w rękach końce powroza, niby lejców, którymi kieruje nędzarzami, krzyż dźwigającymi. Na innym z obrazów przedstawiono znowu procesję katolicką; kapłan niesie monstrancję, a za nim, ukryty za szerokimi fałdami kapy, idzie kapitalista i wyciąga chciwie ręce po pieniądze, jakie mu składają klęczący ludzie. Podobnych przykładów spotykamy całe setki.

Drugim źródłem motywów, to nauki przyrodnicze, to pozorne sprzeczności z tymi naukami biblii i poglądów teologów, a zwłaszcza przeciwieństwo między nauką, techniką, zdobyczami pracy człowieka, przyrodą, jako tworem bożym. Wyszydza się modlitwy w czasie burzy, klęsk elementarnych, jako zabobony, niegodne człowieka, a wielbi pomoc, jaką przynosi wiedza i techniki (piorunochrony, szczepienie itd.). Niezmiernie charakterystyczny jest obraz przedstawiający z jednej strony piękny domek, a raczej willę w ogrodzie, wśród kwietników, ścieżek wysypanych złotawym piaskiem, z fontanną, a z drugiej jakiś zakątek dzikiej przyrody, pełen skał, pokracznych, karłowatych drzew, ostów, potworów; pod pierwszym podpisano: tak tworzy człowiek, a pod drugim: a tak Bóg. — Widzimy z tego, jak potrzebne jest dzisiaj szerzenie wśród szerokich warstw znajomości przyrody, jej cudów, jej tajemnic, zdobyczy techniki w oświetleniu chrześcijańskim. Dawno zbite, zapomniane zarzuty wracają i aktuali-

zują się, trzeba więc i publicystyce katolickiej do nich wracać i w nowej formie, w nowym naświetleniu zbijać, wyjaśniać, tłumaczyć.

Słabość chrześcijan, niedoskonałość ich życia, sprzeczność między wiarą a życiem, tak nieraz niepokojąca dusze niepłodność, mała wydajność nauki ewangelicznej, to inny znowu niewyczerpany skarbiec pomysłów agitacyjnych. Jak naprawdę frapujące daje się tutaj ujęcia, niech świadczy jeden choćby tylko przykład. Wielki, agitacyjny afisz o dwu obrazach. Z jednej strony widzimy damę, ubraną elegancko, z bardzo krótką spodniczką, z obnażonymi ramionami, z wielkim dekoltem, wymalowaną, na drugim zaś obrazie inną damę, ubraną bardzo skromnie, bez kokieterii, bez obnażeń; pod pierwszym podpisano: tak ubiera się kobieta religijna, a pod drugim: a tak komsomołka. Płytkość i obłuda tego rodzaju zestawień jest aż nadto oczywista, bo wiadomo, że kult ciała i nagości, zwalczanie przyrodzonego wstydu jest jedną z konsekwencyj materializmu; stoisko hiszpańskie omawianej wystawy miało szereg wydawnictw, poświęconych wyłącznie nowej kulturze ciała, ubóstwionego; a jednak z drugiej strony takie zestawienie działa na masy, ponieważ opiera się na zaobserwowanym fakcie niekonsekwencji życiowej oraz drażniącego działania, jaki wywołuje rozrzutność warstw zamożnych, oraz widok wspaniałych strojów, scen balowych i wielkich przyjęć, przedstawianych w ilustracjach pism, zwłaszcza jeśli idzie o przyjęcia i bale dygnitarzy państwowych.

Czwartą grupę motywów stanowią przedstawienia, obrazujące szczęście, jakie daje wolność od więzów etyki, religii, swoboda życia, błogość wyzwolonego człowieka, słowem szczęście raju bolszewickiego. Tu już bujanie, blaga świeci po prostu triumfy; trudno sobie naprawdę wyobrazić większe zakłamanie, potworniejsze oszustwo, a jednak i te obrazy działają na tych, którzy, nie mając nic, lub nie wiele do stracenia, idą na lep najfantastyczniejszych obietnic.

Tajemnica powodzenia tej propagandy leży w jej formalnych zaletach: płytka, naciągana, sofizmatyczna pełna fałszu treść ujęta i przedstawiona jest w formie frapującej, niesłychanie plastycznej, sugestywnej. Uczyć nam się należy od czerwonych agitatorów zarówno zapału jak i metod działania. Mamy za sobą prawdę; trzeba nam tylko szukać odpowiednio sygestywnych form przedstawiania tej prawdy! Postulat ten winien być stosowany tak w nauczaniu kościelnym, jak i w publicystyce. W tej na pierwszym miejscu! Gazety, czasopisma popularne, a przede wszystkim drobne broszury, kilkukartkowe ulotki, rozrzucane setkami tysięcy, o treści przedstawionej, w sposób ciekawy, ujmujący, frapujący... Oto olbrzymie pole działalności. Wśród bogatego materiału, zebranego na Wystawie, przytłaczającą większość stanowiły broszury, ulotki, afisze, obrazy agitacyjne. Książka jest

dziś droga, na jej zbyt trudno liczyć; ulotka, obrazek agitacyjny wciśnie się tam, gdzie nie dojdzie ani słowo kapłana, ani książka katolicka. W tym kierunku winna iść praca naszych instytucyj wydawniczych, a zwłaszcza Instytutu Akcji katolickiej. A nasi artyści, malarze, rysownicy, graficy znajdą znakomite pole pracy nie tylko korzystnej dla nich finansowo, ale także wielkiej pracy społecznej. Artyści sowieccy nie uważają sobie za ujmę oddanie swych talentów w służbę propagandy bolszewickiej.

Oto szereg refleksyj i wniosków, jakie nasunęły nam dwie rzymskie Wystawy! Znakomita rewia, zdobyczy i braków, siły i słabości! Niebezpieczeństwo, zagrażające dzisiaj państwom i Kościołowi ze strony wojującego komunizmu i bezbożnictwa jest ogromne! Nie optymizm, nie uspokajanie, ale raczej pesymizm jest bardziej uzasadniony. W bagatelizowaniu niebezpieczeństwa nie trudno spostrzec system, a jego aranżerem jest nie kto inny, jak właśnie sam komunizm i sprzyjający mu jeden wielki odłam masonerii. Właśnie z masonerii wyszedł pogląd, powtarzamy przez polityków i ministrów spraw zagranicznych, o nieistnieniu dwu obozów w świecie! Nie chcemy twierdzić, że wszyscy oni świadomie wprowadzają w błąd swoje społeczeństwa; niejeden głosi tę zasadę poprostu z oportunizmu; boi się spojrzeć prawdzie w oczy, więc je zamyka. Tymczasem istnienie dwu wrogich obozów jest faktem! Możemy obozy te różnie nazywać, może kogoś drażnić przeciwstawienie: Chrystus-Antychryst, ale to faktu nie zmieni. Żyjemy w czasach, w których ludzie muszą się decydować i wybierać między obozem Chrystusa a obozem Antychrysta. Publicystyce katolickiej przypada w udziale to wielkie, wzniosłe zadanie pomagania ludziom, aby decydowali się iść tylko za Chrystusem!

Ks. St. Bednarski T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 2 stycznia 1937 r.

Wobec nowej taktyki komunizmu.

I. Nowa taktyka.

Często można spotkać, nawet wśród ludzi dobrze rozumiejących komunizm, takich, którzy wierzą w sukcesy bolszewickie, o których dowiadują się z ust czy pism samych bolszewików. Zapominają przy tym ci łatwowierni, że rzadko gdzie znajdziemy wśród ruchów społeczno-politycznych tyle blagi i samouwielbienia co w boszewiźmie. Komunistyczni sofistycy potrafią swoją dialektyką „przerobić" najpoważniejszą porażkę we wspaniały sukces. Taki manewr opłaca im się, choćby na pewien mniej czy więcej krótki dystans. Później, gdy interesy propagandy już tego nie wymagają, bolszewicy z całą szczerością przyznają, że naprawdę wtedy czy tam ponieśli porażkę lub klęskę. I tak naprzykład znajduję w świeżo wydanej broszurze, *Moskwa czy Rzym?*[1]) nawiasem mówiąc świetnej pracy propagandowo-ideologicznej, potwierdzenie ze strony ks. J. Warszawskiego T. J. słów sprawozdawcy Komitetu Wykonawczego na VII Kongresie Kominternu W. Piecka, że lata od VI do VII Kongresu (1928—1935), stanowią jedno pasmo sukcesów komunizmu. Sytuacja jednak Moskwy nie przedstawia się wcale tak różowo jak twierdzi p. Pieck. Gdyby w istocie komunizm rozwijał się w tych siedmiu latach w kierunku dla siebie pomyślnym, o czym samochwalcy bolszewiccy wciąż głosili światu, to niezrozumiałą byłaby ta radykalna

[1]) J. Warszawski i E. Kosibowicz: *Moskwa czy Rzym?* Wydawnictwo Księży Jezuitów — Warszawa 1937 r.

zmiana taktyki dokonana właśnie na VII Kongresie Kominternu.

Komintern zmienił swą taktykę, zmuszony do tego przez pasmo klęsk i porażek swoich przedsięwzięć, w poczuciu własnej niemocy i izolacji.

Poprzednia (przed VII Kongresem) taktyka Kominternu zbankrutowała. Najwidoczniej bankructwo to ujawniło się w Niemczech, w początkach 1933 roku, gdy na dojście do władzy hitlerowców, Komunistyczna Partia Niemiec, oparta o kolos 6 milionów wyborców, odpowiedziała pełnym paraliżem i brakiem jakiegokolwiek poważniejszego oporu. Ale również i w innych krajach, choć nie w tak dramatycznej skali, taktyka komunistyczna okazała się nie lepszą w skutkach dla idei komunizmu. Każdy znawca ruchu komunistycznego w Polsce wie, że w okresie 1928—1935 wpływy Komunistycznej Partii Polski, kurczyły się w tempie zastraszającym dla Moskwy. Pewne, mniej czy więcej udane ruchawki, jak strajk warszawskich tramwajarzy w 1931 r., strajki łódzkie w 1932—33 i rozruchy chłopskie w środkowej Małopolsce w 1933 roku, były tylko wyjątkami z reguły. Były to raczej odruchy zręcznie wywołane bezpośrednio nie przez komunistów, lecz przez tzw. klasowe związki zawodowe (PPS) czy lewicowe organizacje Stronnictwa Ludowego.

Aby zrozumieć nową taktykę komunizmu wystarczy przeanalizować cztery najbardziej zasadnicze zmiany taktyczne dokonane na VII Kongresie Kominternu.

1. Podstawą zasad starej taktyki Kominternu była s a m o d z i e l n o ś ć ruchu komunistycznego. We wszelkich ruchach masowych komuniści zastrzegli sobie samodzielną i kierowniczą rolę. Uznawali, owszem, potrzebę szukania i zyskiwania s o j u s z n i k ó w dla swojej polityki, ale sojusznicy ci musieli z góry pogodzić się z hegemonią partii komunistycznej. Ta taktyka nazywała się w komunistycznym żargonie partyjnym „taktyką jednolitego frontu z dołu". Miało to oznaczać, że komuniści łączą się tylko z takimi socjalistami czy członkami innych robotniczych i włościańskich organizacyj, którzy godzili się pójść pod komendą komunistów i przeciwstawić się swoim oficjalnym wodzom

organizacyjnym. Była to polityka rozłamowa wobec konkurujących na terenie ruchu klasowego partyj, stojących na prawo od komunistów. Wypływała ta taktyka z przeświadczenia, że wszystkie inne lewicowe partie są tylko agenturami burżuazji w obozie proletariackim, że zadaniem ich jest powstrzymanie rzekomego pędu radykalizacji mas pracujących i zatrzymanie fali radykalizmu w granicach oszukańczej „drobno-mieszczańskiej demokracji". A że komuniści uważali, iż „burżuazja" zmienia formę swojej władzy, w obawie przed rewolucją, z demokratycznej na faszystowską (dyktatorską), wyciągali stąd pozornie logiczny wniosek, że również „lewicowe agentury burżuazji w obozie proletariackim" stały się faszystowskimi.

Szczególnie dotyczyło to socjalistów z II-ej międzynarodówki. Tych komuniści przezwali „socjal-faszystami", co miało oznaczać, że socjaliści będąc w istocie faszystami również jak i ich mocodawcy — kapitaliści — operują tylko zręcznie frazesem socjalnym czy socjalistycznym. Z tego powodu, jak również dla tego, że socjaliści, pochodząc z tego samego pnia i na tym samym działając terenie społecznym, zbliżali się pozornie najbardziej do komunizmu — Kominternokreślił ich jako największych i najpoważniejszych swoich przeciwników! Nic też dziwnego, że gros owej energii polemicznej i... pałkarskiej, nieraz i rowolwerowej wyładowali komuniści w tym okresie, przeciw „socjal-faszystom" typu Welsa w Niemczech, Otto Bauera w Austrii, Niedziałkowskiego i Żuławskiego w Polsce itd. Z ludowców typu zarówno Witosa jak i Róga czy Thugutta uczyniła Kom. Partia Polska „ludowo-faszystów". Z narodowościowych seperatystów, o ile nie zadeklarowali swego pełnego podporządkowania się Moskwie uczyniono „nacjonal-faszystów".

W tej pełnej mitów, sprzecznych z rzeczywistością a kłócącej się ze zdrowym rozsądkiem taktyce, komuniści zaplątali się do tego stopnia, że potrzebny był nie lada wysiłek, by się z tej zgubnej dla nich polityki wyrwać. Zadanie to było tym trudniejsze dla Kominternu, że twórcą całej tej misternej taktyki był sam Stalin, który ma w ZSRR i w Kominternie władzę wodza i to „nieomylnego we

wszystkich absolutnie zagadnieniach"... Potrzebny był wstrząs niemiecki i... dostarczony w porę przez melodramatyczny proces lipski, nowy „sternik Kominternu" Dymitrow, aby zawrócić z tej fatalnej dla komunizmu drogi.

Nowa taktyka, której twórcą i rzecznikiem jest przede wszystkim Dymitrow, a która ma pełną aprobatę Stalina, stawia zupełnie odmiennie sprawę samodzielności i sojuszników komunistycznych. Przyznaje ona otwarcie, że komuniści w krajach kapitalistycznych a według terminologii bolszewickiej znaczy to we wszystkich krajach poza ZSRR, nie mają dość własnych sił, by obalić istniejący ustrój społeczno-polityczny i ustanowić swoją dyktaturę. Co więcej, Komintern zdał sobie jasno sprawę z faktu, iż komuniści poza Rosją nie mają dość własnych sił, by przynajmniej zagrodzić drogę pochodowi odrodzenia narodowego, religijnego i społecznego, dokonywującego się w szeregu krajów mimo i wbrew komunizmowi. To rosnące odrodzenie określono generalnym słowem: faszyzm. Wypadki w Niemczech i w innych krajach a szczególnie w r. 1934 w Austrii i we Francji, przekonały Komintern, że doskonałymi sojusznikami komunizmu w walce z tzw. faszyzmem są nie tylko socjaliści (słówko „socjal-faszyzm" Komitern wyrzucił teraz do lamusa...) ale i wszelakie partie i organizacje liberalno-demokratyczne, radykalno mieszczańskie i inne, mniej lub więcej wolnomyślicielsko-masońskie. Wszystkie te ugrupowania łączy z komunizmem z jednej strony wspólny, a wielki strach przed faszyzmem, z drugiej zaś strony wspólna podstawa ideologiczno-filozoficzna mianowicie światopogląd materialistyczny. Od swoich de facto nowych, acz już wcześniej naturalnych sojuszników czy sprzymierzeńców komuniści nie domagają się teraz otwarcie podporządkowania się dyrektorom Moskwy. Mówią o „uczciwej współpracy" i na pewnym odcinku czasu myślą też dotrzymać uczciwie swoich zobowiązań sojuszniczych. Pozwalają, a niekiedy nawet wyraźnie sobie tego życzą, żeby ich obecni sojusznicy wysunęli się na czoło wspólnej akcji antyfaszystowskiej, świadomie zaś komuniści ograniczają swoją rolę do współpracy czy tylko poparcia. Tą nową taktykę widzimy w Hiszpanii i we Francji.

Zaobserwowaliśmy ją również u nas, w Łodzi, przy wrześniowych wyborach do Rady Miejskiej! Przy nowej taktyce, nazywanej taktyką „jednolitego frontu proletariackiego" (o ile obejmuje tylko komunistów i socjalistów) lub „Antyfaszystowskim Frontem Ludowym" (gdy ogarnia wszystkich antyfaszystów) wychodzi Komintern z założenia, że zarówno socjaliści wraz z swymi wodzami jak i ludowcy, radykali, demokraci itp. szczerze chcą walczyć i walczą z tzw. faszyzmem i reakcją i że walka ta leży na drodze prowadzącej w dalszej konsekwencji do... rewolucji proletariackiej oraz do Światowego Związku Sowieckiego. Ponadto rozumują komuniści zupełnie logicznie, że stworzenie takiego wspólnego, antyfaszystowskiego frontu, będzie ujawnieniem wielkiej prawdy, że jednolity front nie jest mechanicznym tylko dodawaniem do siebie sił partyj robotniczych. „Gdzie dwóch robotników się łączy dla wspólnej sprawy tam staje przy ich boku trzeci, dotąd obojętny i pomaga odbić wrogowi czwartego". [1])

Tam zaś, gdzie oficjalne kierownictwa lewicowych partyj, z jakichkolwiek bądź pobudek, odmawiają otwartej współpracy z komunistami, wskazuje nowa taktyka na chytry środek „konia trojańskiego". Zresztą metoda „konia trojańskiego" stosowana ma być przede wszystkim do masowych organizacyj wyraźnie komunizmowi wrogich, a to w tym celu, aby z wewnątrz rozkładać dane organizacje i wyprowadzić stamtąd zwolenników antyfaszystowskich.

2. Przy zmianie taktyki, Komintern zmienił też niejedno także i w swojej strategii rewolucyjnej. Za kanon tej strategii uważał Komintern w r. 1924 (od V swego Kongresu) — 1935, że w okresie imperializmu — co w teorii leninowskiej oznacza panowanie monopolistycznego kapitału finansowego — rewolucje burżuazyjno-demokratyczne stały się niemożliwością w krajach rozwiniętego kapitalizmu, ponieważ kraje te zachowały pewne formy z okresu feudalizmu

[1]) *Przegląd* — Organ Politbiura KC. KPP. — Nr 2, październik-listopad 1936 r. str. 23. Z artykułu J. Rady (Salomona Jaszuńskiego, syna fabrykanta z Łodzi) pt. „Zwycięstwo jednolitego frontu w Łodzi".

jak monarchię, pozostałości pańszczyzny, współpracę Kościoła z państwem itp. Natomiast możliwe są w tych krajach tylko rewolucje proletariackie, które obok celów socjalistycznych mogą mieć i cele burżuazyjno-demokratyczne z dziedziny likwidacji pozostałości feudalnych. Kanon dawnej strategii kominternu głosił, że rewolucja dokonana przez proletariat (to jest przez komunistów) nie będzie miała etapu demokratycznego, lecz odrazu przyjmie formę dyktatury proletariatu czy też „dyktatury proletariatu i biednego chłopstwa". Demokracja była w programie i w propagandzie komunistycznej traktowana jako jedna z form dyktatury burżuazji odpowiadająca mniej więcej okresowi wolnej konkurencji i liberalistycznej gospodarce. Szczególnie w okresie po wojnie światowej bolszewicy uważali demokrację i demokratyczne złudzenia w masach jako główną zaporę dla pochodu rewolucji proletariackiej. Powoływali się na przykłady Republiki Weimarskiej w Niemczech, Moraczewszczyzny w Polsce itp., które w ich mniemaniu, przyczyniły się do zahamowania pędu rewolucyjnego lat 1917—1918. Stąd znaczna wrogość komunizmu do „demokracji burżuazyjnej" i walka z tą demokracją prowadzona do 1934 r. włącznie.

To stanowisko komunistów odpychało jednak od ich partii demokratów wszelkiego autoramentu, w szczególności socjal-demokratów (u nas PPS), a więc partię współcześnie najbardziej przywiązaną do idei demokratycznych XIX wieku. Otóż VII Kongres Kominternu wprowadził i w tej również dziedzinie radykalne zmiany. Komuniści stali się odtąd bodaj że najkonsekwentniejszymi obrońcami demokracji burżuazyjnej. Odtąd też nazywają swoją dyktaturę w Sowietach, najfałszywiej w świecie, demokracją proletariacką...

Przyczyna tej zmiany jest oczywista. Po pierwsze chodzi im o pozyskanie sobie jako sojuszników tych milionów ludzi, którzy w demokrację jeszcze wierzą. Po drugie doszli do przekonania, że spośród wszelkich ustrojów niesowieckich, ustrój demokratyczno-liberalny daje im najwięcej szans na mobilizowanie własnych sił do przeprowadzenia swojej rewolucji. Po trzecie sztandar domokracji („wolności") to bardzo wygodne hasło w walce z najważniejszym w tej

chwili dla komunizmu wrogiem: z faszyzmem. W obecnej zatem strategii komunistycznej etap demokratyczny jest rzeczą najbardziej realną w dokonywującym się procesie rewolucjonizowania świata. Błędne i dezorjentujące byłoby stanowisko, że przez podjęcie hasła demokracji Kominternwyrzekł się jakoby, choćby na krótki czas, swoich dążeń do światowej rewolucji i światowej dyktatury proletariatu. Nic bardziej mylnego! To tylko jedno więcej ze strategicznych posunięć odpowiadające w wielu krajach wymogom chwili. To tylko nowe podjęcie teorii, która wszechwładnie panowała w komunizmie w latach 1921—1923, podjęcie w innej, znacznie na korzyść komunizmu zmienionej sytuacji.

3. Zasadniczym momentem dla nowej taktyki komunistów jest skoncentrowanie wysiłków w walce z faszyzmem, a przede wszystkim z Niemcami hitlerowskimi. Do r. 1935 rewolucyjne wysiłki Kominternu były do pewnego stopnia rozproszkowane. Mniej wyraźnym był cel natarcia rewolucyjnego. Po klęsce, którą Hitler zadał niemieckiemu i międzynarodowemu komunizmowi, z chwilą gdy Komintern przekonał się, że Hitler jest nieubłaganym wrogiem Związku Sowieckiego — cała nienawiść komunizmu skierowała się przeciwko narodowo-socjalistycznym Niemcom. I na tym przede wszystkim odcinku Komintern znalazł naturalnych sojuszników, w międzynarodowym żydowstwie, masonerii, socjalistach i wogóle w elementach demo-liberalnych. Wszystkie te czynniki serdecznie nienawidzą hitleryzmu, który traktuje je z całą bezwzględnością a nawet z pewnym okrucieństwem. Zbieżność tej zbiorowej nienawiści do faszyzmu, szczególnie zaś do hitleryzmu, jest podstawą ruchu tzw. „Frontów Ludowych". Ta nienawiść przede wszystkim określa i cementuje program wspólnego frontu komunistów, socjalistów i masonów. Tym się tłumaczy m. in. tak pozornie paradoksalne stanowisko, jak gotowość komunistów włoskich pojednania się z faszystami włoskimi, nawet z samym Mussolinim, o ile Włochy zwrócą się w polityce zagranicznej przeciw obecnym Niemcom. W świetle tej taktyki zrozumieć można również gotowość komunistów chińskich do udzielenia pomocy Czang-Kai-Szekowi, o ile ten zwróci się

przeciwko „faszystowsko-imperialistycznej" Japonii, domniemanemu sojusznikowi hitlerowskich Niemiec i naturalnemu wrogowi Rosji Sowieckiej.

Ten moment maskuje też znakomicie wobec wielu szczerych antykomunistów prawdę, że hitleryzm jest zwalczany przez komunizm, tylko jako przeciwnik koniunkturalny, historycznie przejściowy, a że trwałym, najgłębszym, bo ideologicznie skrajnie przeciwstawnym wrogiem komunizmu, któremu Komintern wydał wojnę na śmierć i życie jest — Kościół katolicki, najpotężniejszy bastion religii.

4. Wreszcie czwartym zasadniczym momentem przy zmianie taktyki komunistycznej była polityka Związku Sowieckiego. Wiadomo, że sens sowieckich pięciolatek tkwi wyłącznie w ilościowym i gatunkowym dozbrojeniu ZSRR. Chodzi bowiem o to, by ta twierdza międzynarodowej rewolucji była zdolna nie tylko do obrony przed ewentualną napaścią jakiegoś państwa kapitalistycznego, ale — i to najważniejsze — by mogła przejść od okresu „pieredyszki" do nowej, tym razem solidniej przygotowanej, wojny rewolucyjnej ze zgniłym, kontrrewolucyjnym Zachodem. Zjawienie się na horyzoncie możliwości powstania bloku państw przeciwko Kominternowi, co w konsekwencji oznacza blok przeciw ZSRR, nakazało polityce sowieckiej zmianę kursu polityki zagranicznej, porzucenie „wspaniałej izolacji" od państw Zachodu, a przejście do polityki współpracy z tymi państwami „demokratycznymi", które się również czują zagrożone ze strony powstającego bloku państw antykomunistycznych. Tym się tłumaczy, między innymi, wejście ZSRR do „demokratycznej" Ligi Narodów. Nowa taktyka Kominternu odgrywa tu rolę czynnika pomocniczego wobec zagranicznej polityki Sowietów. Te pozornie dwie polityki rządu sowieckiego i Kominternu, są zresztą jak najściślej sharmonizowane i kierowane są przez ten sam sztab, zgrupowany dokoła osoby Stalina. To też nie podobna zrozumieć sensu nowej taktyki komunistycznej bez dokładnego śledzenia i badania dróg rozwoju polityki rządu sowieckiego. I naodwrót. Jedna bowiem określa drugą. Prymat w tej

dwu-jedynej polityce ma bezwątpienia jedna idea: międzynarodowej czy światowej rewolucji komunistycznej. O tym nie wolno ani na chwilę zapomnieć, o ile się nie chce zejść z realnego i krytycznego toru badań nad taktyką i strategią komunizmu, tego największego wroga naszej cywilizacji.

II. Rozwój i plan nowej taktyki komunistów w Polsce.

W Polsce dotychczas nie zaszło nic takiego co by mogło zadecydować o powstaniu otwartego i oficjalnego „Frontu Ludowego" czy przynajmniej „jednolitego frontu proletariackiego". Ale to nie znaczy, że Kom. Partia Polska nie realizuje swych celów podług recepty nowej taktyki.

Obecni wodzowie KPP, rządzący w tej polskiej agenturze kominternowsko-sowieckiej bez przerwy od połowy 1929 roku, należeli, a po części dotychczas należą, do lewego skrzydła Kominternu i byli najbardziej zaangażowani w propagowaniu i realizowaniu poprzedniej ultra lewej, na samodzielności opartej taktyki. Nic dziwnego, że polskim komunistom nie było łatwo przejść natychmiast na rozkaz na nową taktykę. Przy tym jak wiemy głównym i bezpośrednim sensem nowej taktyki jest, obrona przed faszyzmem, względnie zagrodzenie drogi faszyzmowi w dalszej jego ekspansji. A według twierdzeń KPP faszyzm zwyciężył w Polsce już w maju 1926 roku i to przy pomocy (raczej przy maraźmie) komunistów. Więc cel strategiczny nowej taktyki w Polsce powinien by polegać na rewolucyjnym obaleniu faszystowskiego systemu sanacyjnego. Lecz na taki cel strategiczny nie chcą iść, lub też nie mogą, domniemani i potencjalnie naturalni sojusznicy komunistów przy tworzeniu jednolitego frontu. Nie tu miejsce na przeanalizowanie przyczyn tej niechęci czy niemożności. Wystarczy wskazać na takie dwa ważne zagadnienia, jak sprawę żydowską i sprawę innego „faszyzmu", mianowicie Stronnictwa Narodowego, lub szerzej Obozu Narodowego, by zrozumieć, czemu to potencjalni sojusznicy komuny nie stają się — dla realizacji celu: obalenia sanacji — sojusznikami aktualnymi KPP... Ten cel strategiczny to pierwsza wielka przeszkoda w rozwoju realizacyjnym nowej taktyki komunistów w Polsce.

Następną przeszkodą jest sprawa Moskwy czyli zależność KPP od rządu sowieckiego. Bo nawet najmniej wyrobiony politycznie Polak rozumie, że Komunistyczna Partia Polska jest tylko posłuszną agenturą Moskwy, że to partia, która Moskwy słucha i Moskwie służy, zależąc od niej nie tylko ideologicznie i politycznie, ale również w niemniejszej mierze organizacyjnie i finansowo.

W Polsce stosunek do komunizmu zrósł się ze stosunkiem do Rosji, jako takiej. To jest fakt bezwzględnie pewny. Niechęć (żeby nie powiedziać wrogość) do Moskali, leży nie tylko w tradycji ale we krwi polskiej. Pamięć o najeździe moskiewskim nie wygasła i żyje również w młodym pokoleniu, które przecież ledwie pamięta panowanie czynowników w Polsce czy nawet najazd „czerwonych" w r. 1920. Fakt faktem, że wszystko co trąci Moskwą i wogóle Wschodem, budzi w Polsce chrześcijańsko-łacińskiej instynktowną niechęć i odrazę. Z tym faktem muszą się liczyć nawet ci spośród ewentualnych sojuszników KPP, którzy całą duszą swoją należą raczej do Wschodu, niż do Zachodu. Pamiętajmy przy tym, że polski socjalizm wyrósł w walce z przemocą Moskwy i że nawet Żydzi nie mieli zbyt dużo powodów do zachwycania się przedrewolucyjną Rosją.

Przy tym wogóle zależność od obcych agentur jest w Polsce, zupełnie słusznie, potępiona i to przez wszystkie ugrupowania rdzennie polskie. To nie Francja, gdzie już przed wojną rozwijał się silny sentyment do egzotycznej „szerokodusznej" Rosji, jako sojuszniczki przeciw Niemcom. I chociaż dzisiejsza Rosja jest zupełnie czymś innym niż Rosja dawna, tym niemniej sentyment pozostał, bo po pierwsze pozostał ten sam wspólny przeciwnik (Niemcy), a po drugie we Francji współczesnej mają na razie coraz więcej do powiedzenia sfery umysłowo i ideowo bardzo bliskie duchowi dzisiejszej Rosji.

Polska nie jest również Czechosłowacją (czy raczej Czechami, bo Słowacy jako katolicy inne mają w tym względzie poglądy!), gdzie idee moskiewskiego panslawizmu zapuściły tak głębokie korzenie, że Czesi bratają się z semitosłowianami sowieckimi niemniej ciepło niż dawniej z junkrosłowianami carskimi...

Trzecią z kolei z wielkich przeszkód stojących na drodze KPP przy realizacji jej nowej taktyki to sprawa nielegalności tej partii. Za samo należenie czy współdziałanie z tą partią wywrotową prawo polskie karze względnie surowo (choć bardzo łagodnie w porównaniu z analogicznym prawem sowieckim). Nasi więc socjaliści czy lewicowi ludowcy i z tego względu nie mają zbyt wielkiej ochoty do otwartej czy dającej się łatwo zdemaskować współpracy z komunistami. Więcej nawet, w sferach lewicowo-i centrowo-żydowskich, które w gruncie rzeczy zachwycają się samą ideą Frontu Ludowego, ten wzgląd na wiszący miecz prawa ma decydujący wpływ na pewną ich ostrożność i wstrzemięźliwość w stosunkach z jawnymi komunistami.

Wskazałem na trzy główne przeszkody utrudniające Komunistycznej Partii Polskiej realizację jej nowej taktyki. Stwierdzić jednak trzeba iż komuniści nie szczędzą wysiłków, by i te przeszkody przezwyciężyć. W sprawie pierwszej przeszkody: celu strategicznego, KPP już obecnie wykazuje pewną dozę chęci dostrajania się do poglądów naszych socjalistów, ludowców, masonów i żydów. Przeprowadzona we wrześniu ubiegłego roku akcja wyborcza do Rady Miejskiej w Łodzi, gdzie utworzył się prawdziwy jednolity front socjalistów, komunistów i żydów (włącznie do sfer kapitalistycznych) wskazuje na to, że i komuniści, w konkretnej sytuacji Polski, zwracają się ostrzem swoim przeciw polskiemu, narodowemu „faszyzmowi". I choć stosunki łódzkie nie stały się jeszcze typowymi dla całego kraju, to jednak nie da się zaprzeczyć, że tendencja tam ujawniona ma wszelkie dane po temu, by w najbliższej przyszłości stać się typową dla większej części Polski, czy nawet dla całego kraju. Faktem jest, nawet dla komunistów, coraz oczywistszym że tzw. sanacja nie istnieje w chwili obecnej jako ruch masowy i że nawet pod względem ideologicznym znajduje się w stanie pełnej „dekompozycji" (jak to określił p. pułk. B. Miedziński). Mit o panującym obecnie „faszyźmie" w Polsce, legnie tak samo w gruzy, jak i mit o „socjalfaszyźmie".

Twierdząc więc nadal, że

Jedyne dziś wyjście — to obalenie reżimu sanacyjnego przez front ludowy wspólnymi siłami wszystkich organizacyj antyfaszystowskich i zwołanie Zgromadzenia Ustawodawczego, które zapewni krajowi wolności demokratyczne [1])

komuniści otwierają sobie furtkę do innego, mniej rewolucyjnego rozwiązania. Nie wykluczają możliwości „hiszpańskiej" z lutego 1936 roku, kiedy to drogą wyborów, w okresie rozbicia frontu narodowego, niedawno utworzony front ludowy odniósł zwycięstwo, dając początek krwawej wojnie domowej, trwającej dotąd w Hiszpanii. Przewódca KPP — J. Leński (Julian Leszczyński) formułuje tę możliwość w następujących słowach:

Czy partia nasza wyłącza możliwość rozpisania przez rząd sanacyjny w pewnym stopniu demokratycznych wyborów do Sejmu i Senatu? Podobna możliwość nie jest wykluczona. Zwarty front wszystkich sił demokratycznych i wysokie napięcie walk masowych, zwłaszcza skoordynowany ruch robotników i chłopów mogłyby zmusić panującą klikę do przywrócenia starej ordynacji wyborczej. A wówczas wybory sejmowe postawiłyby na porządku dziennym sprawę demokratycznego rządu, który nie da się pomyśleć bez likwidacji reżimu sanacyjnego. Partia nasza już nieraz oświadczała, że komuniści poparliby taki rząd, realizujący wolę mas ludowych, wyrażoną dobitnie w Nowosielcach i Łodzi, w pochodach chłopskich i w zwycięstwie wyborczym frontu proletariackiego. [2])

Skoro uwzględnimy jeszcze ostatnie wydarzenia w polityce zagranicznej (a szczególnie odnowienie sojuszu polsko-francuskiego i polsko-rumuńskiego) to zauważymy, że rzekoma przepaść celu strategicznego między socjalistami i ludowcami z jednej strony, a komunistami z drugiej, nie jest znów tak wielka... Interesy Moskwy wymagają, by Polska wkluczyła się jak najszybciej do demokratycznego bloku państw antyfaszystowskich, a komunistom chodzi przede wszystkim o rozpętanie walk wewnętrznych dla realizowania swego celu. To jest miarodajne i dlatego KPP już dziś gotowa jest iść na wielki kompromis z PPS i Str. Ludowym,

[1]) *Przegląd.* Październik-listopad 1936 r. Artykuł J. Leńskiego: „Niech kraj rozstrzygnie", str. 5.

[2]) Tamże, str. 11.

z „polską demokracją" (choćby pochodzenia sanacyjnego), z „demokratycznym żydowstwem" i innymi mniejszościami narodowymi.

Przez rozwinięcie hurra-patriotycznej i „niepodległościowej" demagogii i przez inne zaklęcia KPP stara się jak może udowodnić, że wcale nie jest obcą (moskiewską) agenturą. W tej dziedzinie propaganda komunistyczna jeszcze mocno szwankuje, a usiłowanie zrobienia z rządu polskiego, a szczególnie ministra spraw zagranicznych zdrajców narodowych i agentów hitlerowskich, zakrawa na tak zabijającą autorów tych pomysłów śmieszność, że to nikogo nie „bierze". Ale liczyć się należy z tym, że lewicowo-radykalne elementy naszego społeczeństwa w obawie przed odrodzeniem narodowym i tworzącym się powoli ale wyraźnie „Frontem Antykomunistycznym" (co te elementy, utożsamiają z faszyzmem i reakcją społeczną...), zapomną i darują komunistom ich zależność od Moskwy! Trudniej tó będzie zrealizować w Polsce, ale hipoteza ta wcale nie jest wykluczona.

I wreszcie w sprawie nielegalności partii komunistycznej, to KPP gotowa iść na wszelkie kompromisy zewnętrzno-organizacyjne, by nie skompromitować w oczach opinii publicznej i władz policyjno-sądowych, swoich sojuszników, byleby tylko w rzeczywistości istniała wspólna akcja o wspólne doraźne cele. W ruchu klasowych Związków Zawodowych ta współpraca już się w zupełności udała. Umiejętności konspiracyjne komunistów są dość wielkie i potrafią w błąd wprowadzić niejedną organizację i niejeden organ władzy państwowej. Widzimy to naprzykład wyraźnie na odcinku prasowym. Od dłuższego czasu komuniści mają, mimo konfiskat i zakazów, swoje legalne gazety, coraz to nowe i pod coraz inną firmą, ale stale realizujące linię partyjną KPP....

Streszczając się można określić plan nowej taktyki komunistów w Polsce w sposób następujący: dążą oni do osiągnięcia faktycznej współpracy z „obozem demokratycznym" i do przekształcenia go w wyraźny front „antyfaszystowski". W walce przeciw „faszyzmowi" wszelkich odcieni (sanacyjnemu, endeckiemu, klerykalnemu) o demokrację, parlamentaryzm, pacyfizm, tolerancję, niezależność od Watykanu itp. usiłują wywołać wielki ruch mas i walki we-

wnętrzne, które w dalszej konsekwencji muszą doprowadzić (wobec spodziewanego oporu polsko-katolickiego społeczeństwa) do wybuchu rewolucyjnego. Wówczas nastąpi chwila otwartego wkroczenia KPP na arenę polityczną Polski. I wypadki potoczą się na sposób hiszpański czy zgoła rosyjski. Oto linia strategiczna KPP. Tej linii podporządkowana jest cała działalność komunistów u nas. Ta taktyka nie wyklucza wszakże i „samodzielnego" mącenia wody w wywołaniu rozruchów, strajków itp. Ale w przeciwieństwie do poprzedniej taktyki, gdy ta samodzielność była główną linią prowadzącą do rewolucji, w dzisiejszej odgrywa tylko rolę pomocniczą, rolę presji na legalne stronnictwa i ruchy, by poszły w kierunku pożądanym dla KPP.

III. Dwa fronty.

Niebezpieczeństwo komunistyczne nie jest niebezpieczeństwem krajowym, specyficznie polskim, jest to niebezpieczeństwo międzynarodowe. Bolszewizm nie zrezygnował, ani nie może zrezygnować chcąc pozostać sobą, ze swego planu rewolucji międzynarodowej i światowego władztwa. Po względnie długim okresie złudzeń i fałszywych, usypiających poglądów — ten pogląd staje się powszechną i oczywistą prawdą dla wszystkich patrzących realnie na zjawiska społeczno-polityczne.

Już w tej chwili krystalizuje się front ochronny przeciw komunizmowi. Frontem tym zostały w mniejszym czy większym stopniu objęte takie państwa jak Niemcy, Japonia, Włochy, Austria, Węgry, Portugalia, niektóre państwa Ameryki Południowej, narodowa część Hiszpanii. Słabą jedną stroną tego frontu jest 1^0 brak ogólnie uznanej i wspólnej idei pozytywnej, konstruktywnej, któraby scementowała te kraje we wspólnej akcji; 2^0 w formującym się bloku brak szeregu mocarstw tak decydujących jak Anglia, Francja, St. Zjedn. Ameryki Północnej, Polska itp. i 3^0 istnienie wśród państw już zblokowanych szeregu egoistycznych interesów wywołujących nieporozumienia i tarcia. Nie tu jest miejsce i nie moim jest zadaniem pokusić się o wskazanie jak te braki należałoby usunąć. Przed oczami trzeba mieć przynajmniej świadomość tych braków.

Z drugiej strony dużo poczyniono w ostatnich 2—3 latach w kierunku zmontowania frontu państw niby antyfaszystowskich, a naprawdę prosowieckich, probolszewickich. Na czele stoi oczywiście Związek Sowiecki, a obok niego Francja Frontu Ludowego, Czechosłowacja Benesza i Hiszpania Caballera. I tu jednak sprzeczności ideologii i interesów państwowych są wielkie, może nawet większe niż we froncie państw antybolszewickich.

Krystalizacyjny proces tych dwu frontów anty i probolszewickiego na dobre dopiero się rozpoczął i rok bieżący przyniesie nam niewątpliwie dużo nowych zdarzeń idących po tej linii. Nie trudno sobie wyobrazić groźbę zderzenia się tych frontów dla politycznego i społecznego pokoju świata. I moim zdaniem wypadki posunęły się tak daleko, że nie leży już w mocy ludzkiej uniemożliwić ostatecznie wybuch tej katastrofy. Z tym należy się liczyć mniejsza o to czy się to komuś podoba czy nie. Najwyżej można to zderzenie mniej lub więcej opóźnić, odroczyć. Przyszła wojna, której nadejście przewidują dzisiaj bodajże wszyscy, przyjmie najprawdopodobniej postać walki tych dwuch bloków państw czy (co byłoby bardziej pomyślne) dwuch przeciwstawnych idei: bolszewizmu i antybolszewizmu, światopoglądu materialistycznego barbarzyństwa i idealistycznej kultury zachodniej, bezbożnictwa i chrześcijaństwa.

Nie czuję się powołanym pisać o roli Watykanu w tym nadchodzącym (a po części już toczącym się) boju, ale myślę, że dużo, bardzo dużo zależy od słowa, stanowiska i akcji Ojca Świętego, chociaż nie można mieć w tym względzie zbyt wielkich wymagań, gdyż Kościół z natury swej powołany do spraw nadprzyrodzonych nie może wikłać się w sprawy ziemskiej polityki. Nie wyklucza to jednak faktu, że w dziedzinie walki ideologicznej z bolszewizmem Kościół czyni wiele, a może powinien czynić daleko więcej. Wzrok katolików (a nie tylko katolików) skierowany jest na Rzym i stamtąd oczekuje świat nietylko ważkiego hasła, ale i bardzo wytężonej akcji, która choć prawdopodobnie nie zdoła uchronić nas w zupełności przed katastrofą, to jednak może wybuch tej katastrofy opóźnić a rozmiary jej znacznie zmniejszyć.

W Polsce, która w zagadnieniach polityki światowej, zajmuje pozycję raczej wyczekującą, uwarunkowaną naszym położeniem geopolitycznym, krystalizują się również dwa coraz wyraźniej odcinające się od siebie fronty.

Front Sowiecki (nazywany chytrze czy naiwnie „ludowym") montuje się już i ma już pewne sukcesy za sobą, że wskażemy na Łódź, na klasowe (PPS-owskie, ZZZ-owskie itp.) związki zawodowe, na odcinki ruchu młodzieżowego, na część inteligencji polskiej (np. wierzchołki i pewne średnie ogniwa Zw. Nauczycielstwa Polskiego), na częściowe odcinki ruchu chłopskiego (Zamojskie, „Wici", część Małopolski itp.) itd.

Co przeciwstawia się temu frontowi w Polsce? Niestety, musimy z całą otwartością przyznać, że bodaj w żadnej innej dziedzinie życie społeczno polityczne Polski nie wykazuje aż tyle właśnie „dekompozycji". Przy odpowiednim postawieniu sprawy walki z komunizmem i z jej nową taktyką, nie ulega wątpliwości, że conajmniej 80% (o ile nie więcej) polskiego społeczeństwa, gotowe jest do połączenia się w jedną całość w tej właśnie kwestii. Lecz akcja ta rozbija się w znacznej mierze o potworny mur wzajemnych uprzedzeń i antagonizmów drugorzędnej natury. Spory o przeszłość i o osoby, wciąż jeszcze przeważają w polskich sferach antykomunistycznych, nad potrzebną dyskusją o zagadnieniach dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Działalność stronnictw polskich, grup, stowarzyszeń i oddzielnych ludzi przeciw komunizmowi niewątpliwie ostatnio poważnie wzrosła i osiąga coraz bardziej poważny poziom. Ale wszystko to odbywa się bez konsolidacji ideologicznej, w rozproszkowaniu, a często pośród wzajemnej walki konkurencyjnej. Błędne co prawda byłoby mniemanie, że wszystkie organizacje i ośrodki walki z komunizmem muszą koniecznie być połączone w jedną totalną organizację, jak to ma miejsce w Niemczech. Różnorodność organizacyjna może dać lepsze rezultaty niż organizacyjny monopol. Ale wobec grożącej jednolitości elementów prokomunistycznych, musi zaistnieć wzajemne porozumienie i współdziałanie czynników walczących z komunizmem. Porozumienie to, o ile ma dać pozytywne wyniki, opierać się musi o wspólną

ideologię w najbardziej podstawowych sprawach. Wspólna ta ideologia dałaby się zamknąć w formułach: 1. Polska polityka może być tylko polityką narodową, niezależną od obcych czynników. 2. Polska ostać się może przeciw komunizmowi jedynie, jako Polska chrześcijańska, ściślej katolicka. 3. Konieczność stopniowej i gruntownej przebudowy ustroju społecznego na zasadach etyki chrześcijańskiej, sprawiedliwości społecznej i harmonijnego współdziałania wszystkich czynników gospodarki narodowej.

Program walki, który wypłynąłby z takich pozytywnych całości ideologicznych nie byłby już rzeczą trudną do wypracowania i mógłby zostać zrealizowany przez różne polskie organizacje i ośrodki.

Nie zamierzając w niniejszym artykule rozwiązać całego zagadnienia walki z komunizmem, uważam, że jest tu wdzięczne pole do współdziałania czynników państwowych społecznych i politycznych (zarówno narodowców tak ze Str. Narodowego, jak i z obozu Piłusudskiego, a nawet umiarkowanych elementów demokratyczno-ludowych). Akcja Katolicka, łącząca w swoich szeregach najczynniejszą część społecznie aktywnych katolików i przepojona duchem miłości chrześcijańskiej i zgody może na tym właśnie polu wywrzeć wpływ bardzo dodatni.

Chodzi o to by ugruntowała się świadomość aktualnego niebezpieczeństwa komunistycznego, by poznano się dobrze na planach działania komunizmu i by w walce z tym niebezpieczeństwem osiągnięto zgodne współdziałanie wszystkich tych, którym naprawdę i poważnie zależy na gruntownej a skutecznej walce z zarazą komunistycznego rozkładu.

J. Skaliński.

Światłocienie polityki personalnej P.K.P.

Nie trzeba chyba dowodzić pewnika, iż w konstrukcji materialnej podstawy Państwa koleje są jednym z pierwszorzędnych elementów. Poza tym są one źródłem zarobku dla stukilkudziesięciotysięcznej rzeszy pracowników kolejowych, a źródłem egzystencji dla 800—900 tysięcy obywateli; globalna zaś suma wydatków rocznych w budżecie kolejowym niewiele jest niższą od sumy wydatków w budżecie Państwa.

Są to chyba aż nazbyt wystarczające powody, by koleje i ich działalność były przedmiotem czujnej uwagi nie tylko osób, którym powierzono odpowiedzialne zadanie kierownictwa całokształtem lub poszczególnymi działami gospodarki kolejowej, lecz muszą one również podlegać bacznej uwadze całego społeczeństwa.

Przedmiotem tej uwagi nie mogą być tylko alarmujące opinię publiczną kolejowe katastrofy, usterki, lub udogodnienia w rozkładach jazdy, podwyżki lub obniżki wysokości taryf osobowych i towarowych, sporadyczne objawy tych lub innych braków, dotyczących wygody podróżnych. Społeczeństwo powinno się interesować całokształtem kolejowej kwestii, powinno też znać ogólne zasady organizacji i działalności Kolei, oraz zachodzące w nich zmiany.

Wyrazem tej uwagi i połączonej z nią obywatelskiej troski jest niniejszy artykuł, poruszający doniosłą sprawę polityki personalnej na P. K. P.

Organizacja i działalność Kolei, jak zresztą i Wojska, oraz innych podobnych instytucyj może być, nawet przy

dość ścisłej analizie ich organizacyjnych i funkcjonalnych właściwości, traktowana analogicznie jak organizacja i działalność żywego organizmu biologicznego.

Zarówno bowiem organizacja i działalność rzeczonych instytucyj, jak i anatonomia i fizjologia organizmu biologicznego, podlegają podobnym i bardzo zbliżonym prawom. Wynika to nie tylko z charakteru rozpatrywanego zagadnienia, lecz również z podstawowych zasad, jakie wiążą istotne narzędzie i pracę, tym narzędziem wykonywaną.

Należyta działalność organizmu żywego zależna jest od właściwego działania poszczególnych jego komórek i organów; i analogicznie, należyta działalność organizacji Kolei zależna jest od właściwej i sprawnej działalności tak poszczególnych jej pracowników, jak i ich zespołów (organów), którymi kierują jednostki na wyższych i kierowniczych stanowiskach.

To samo prawo doboru naturalnego, które obejmuje całą żywą przyrodę i warunkuje w wysokim stopniu wszelkie zdrowe życie organiczne, warunkuje również zdrowe działanie organizacyj ludzkich.

Uchylenie czy zahamowanie działania tego naturalnego prawa mści się natychmiast lub z pewną zwłoką zarówno tu, jak i tam. Dobór naturalny warunkuje w znacznej mierze zdrowie i egzystencję gromady gatunku i gromady komórek, składających się na jeden złożony organizm biologiczny, jak również gromady jednostek ludzkich, składających się na każdą organizację ludzką.

Ustawy społeczne, wynikające z potrzeb i dążeń ducha ludzkiego, kolidują w pewnej mierze z biologicznym prawem doboru naturalnego i nie pozwalają na bezwzględne stosowanie w organizacjach ludzkich zasad tego prawa. Harmonijne jednak i logiczne uwzględnienie w organizacjach ludzkich zarówno potrzeb ducha (sprawiedliwości społecznej), jak i praw naturalnych (społecznej biologii) umożliwia należyte tych organizacyj funkcjonowanie i rozwój.

W organizacji P. K. P., na różnych szczeblach hierarchii, pracują tysiące osobników, wypełniając w formie jakby komórek, ramy organizacyjne tej instytucji.

Każdy z tych osobników, zanim wejdzie w skład organizacji P. K. P. i zanim zacznie w niej działać, winien przebyć okres przysposobienia się i szkolenia, po czym dopiero może mu być wyznaczona pewna funkcja, początkowo z natury rzeczy skromna i łatwa, zależna od jego uzdolnień i kwalifikacyj. Musi on bowiem stopniowo, w miarę swej pracy, nabywać doświadczenia i znajomości tysiącznych szczegółów w pracy tej niezbędnych, musi z biegiem czasu „zakorzenić się" i „wrosnąć" w organizację i w funkcje P. K. P.

Naturalnym trybem rzeczy każdy z pracowników stara się zdobyć lepsze warunki materialne, dążąc do osiągnięcia wyższego stanowiska, a to przez nakład pracy, pilności i wzbogacenia swych kwalifikacyj.

Z pomiędzy tysięcy ubiegających się o to pracowników nielicznym tylko jednostkom udaje się we współzawodnictwie osiągnąć cel tj. wysunąć się na wyższy szczebel kolejowej hierarchii.

W należycie zmontowanej i zdrowo funkcjonującej organizacji zwycięzcami w tym „naturalnym doborze" są pracownicy rzeczywiście wyróżniający się wybitnie dodatnimi cechami i wartościami nie tylko uzdolnienia ale i sumienności w pracy. W ten sposób, z pomiędzy tysięcy kandydatów znajdujących się na najniższych szczeblach hierarchii i z pomiędzy setek i dziesiątków kandydatów na wyższych szczeblach, wysuwają się na stanowisko wyższe, poważniejsze i bardziej odpowiedzialne — pracownicy najlepsi, wydzieleni do funkcyj czołowych w wyniku współzawodnictwa, którym kieruje prawo „doboru naturalnego".

Tylko ten sposób doboru pracowników gwarantuje należyty rozwój i działalność P. K. P. i każdej fachowej instytucji, a wyeliminowanie lub ograniczenie działania rzeczowego czynnika wywołuje wcześniej lub później ale bezwzględnie i nieuchronnie jak najgorsze skutki.

Kolej w Polsce — to prawie jedyny, jak dotychczas, środek masowego transportu ludzi, materiałów, towarów i sprzętu, co więcej jeden z najpotężniejszych czynników gospodarki i obrony Państwa. Wadliwe funkcjonowanie tego czynnika w czasie pokoju wywołuje niezwłocznie, bardzo

szkodliwe skutki dla gospodarki Państwa, zaś w czasie wojny — grozi katastrofą. Funkcje Kolei sięgają zbyt głęboko i wywierają wpływ zbyt doniosły na całokształt gospodarki i obrony Państwa, by można je podporządkować jakimkolwiek innym zadaniom, lub traktować je jako obiekt pomocniczy, lub uzależniony od względów nie związanych ściśle z bezpośrednimi zadaniami Kolei.

Polityka personalna na P. K. P. musi przeto uwzględniać tylko te warunki, które decydują o postępie i sprawnym funkcjonowaniu Kolei. Wszelkie inne względy i warunki mogą być brane pod uwagę tylko wtedy, gdy nie kolidują z zasadniczymi zadaniami Kolei.

Niestety trzeba stwierdzić z obywatelską troską i zaniepokojeniem, iż stosowana od paru lat na P. K. P. polityka personalna zdaje się stawać w sprzeczności z rzeczoną a tak kardynalną zasadą.

Stanowiska kierownicze, początkowo w biurach personalnych i działach ogólnych, potem coraz szerzej i głębiej — zaczęto obsadzać wojskowymi różnych stopni po bardzo krótkich okresach przygotowania i praktyki, dobierając nadto tych funkcjonariuszy przeważnie według przypadkowych okoliczności.

W ten sposób stanowiska kierownicze P. K. P. obsadzane są w znacznej mierze nie drogą, lata całe trwającego, doboru naturalnego, które gwarantuje zasadę „właściwego człowieka na właściwym miejscu", lecz w drodze mechanicznej transplantacji z organizmu Wojska jednostek tam dla jakichkolwiek względów zbędnych. Względów tych nie mamy zamiaru poddawać głębszej analizie czy krytyce,

Jednostki te, jak komórki żywego organizmu, w ciągu szeregu lat zakorzeniły się i wzrastały w atmosferze, zainteresowaniach i pracach militarnych. Wyrwane z organizmu Wojska i mechanicznie stransplantowane do organizmu Kolei — nie mogą w krótkim czasie, nawet mimo najlepszej chęci i najrzetelniejszych wysiłków, wrość i zakorzenić się w nowym organiźmie, już to z powodu wieku, już też wobec braku koniecznych uzdolnień, lub kwalifikacyj. Stanowią więc w nowym organiźmie element obcy, wywołujący w nim chwilami stany nawet zapalne. Jednostki te zajmując stanowi-

ska kierownicze, związane w działaniu tysiącami organizacyjnych nitek z całością, nie są z organizmem tym związane naturalnymi spójniami, które wytwarza dopiero wieloletnia praktyka, połączona z uzdolnieniem i kwalifikacją. Gdy zaś więź organizacyjna danej jednostki postawionej na stanowisku kierowniczym nie utożsami się z więzią naturalną — wówczas jednostka ta nie ma koniecznego „odczucia" swej funkcji, a praca jej jest zazwyczaj chorobliwą pracą komórki stransplantowanej z organizmu obcego.

Ujemne skutki i braki tej pracy są z natury rzeczy tym większe, im szerszy jest zakres działania i kompetencji danej jednostki. Otóż musimy stwierdzić lojalnie, że opisane zjawisko nosi na P. K. P. charakter masowy, będąc wyrazem wdrożonego systemu polityki personalnej, ujemne zatem skutki, o których mówiliśmy wyżej, obejmują całokształt organizacji i działalności P. K. P., powodując łącznie z innymi jeszcze czynnikami ich postępujący i pogłębiający się rostrój.

Można domyślać się rozmaitych przyczyn zastosowanej na P. K. P. polityki personalnej. Podkreślmy wśród nich tylko dwie, zdaniem naszym, dość decydujące a osłonięte pozorami mniejszej lub większej słuszności.

Jedną z nich jest dążenie do odmłodzenia korpusu oficerskiego i podoficerskiego w Armii, a jednocześnie odciążenie go z jednostek, których kariera wojskowa z tych, lub innych względów jest już praktycznie skończona.

Jednostki te, przechodząc z Wojska do pracy na Kolei, robią miejsce dla nowych, młodszych sił, z których znowu, drogą doboru naturalnego, wysuwają się i pozostają na stałe w Wojsku nieliczne wybitne jednostki; pozostałe — przechodzą na emerytury, lub do służby cywilnej.

W ten sposób zasada doboru naturalnego, zastosowana metodycznie w polityce personalnej Wojska, zapewnia mu niewątpliwie świetne wyniki. Doceniamy pierwszorzędną doniosłość Armii, ale słusznie możemy zapytać, dlaczego uniemożliwia się Kolei stosowanie tej samej zasady w jej polityce personalnej? Skutki zaś tego zahamowania „doboru naturalnego" w kolejnictwie już są widoczne a dadzą się z czasem i to niewątpliwie coraz dotkliwiej we znaki.

A przecież istnieje możność zadośćuczynienia kardynalnej potrzebie i zasadzie doboru naturalnego w polityce personalnej Wojska, bez uszczerbku dla tak poważnego i decydującego czynnika gospodarki i obrony Państwa, jakim jest Kolej. Rozwiązać można ten problem także bez znaczniejszej szkody materialnej dla oficerów i zawodowych podoficerów, opuszczających szeregi Wojska, trzeba tylko rozwiązanie tego zadania oprzeć na prawie obywatela do pracy, według jego przydatności, kwalifikacyj i zasług!

Można się dalej domyślać, iż drugą przyczyną nowej polityki personalnej jest dążenie do obsadzania stanowisk kierowniczych na P. K. P. przez wojskowych w celu sharmonizowania i ułatwienia ścisłej współpracy Wojska z Koleją, tak koniecznej i decydującej w czasie wojny.

Liczne przykłady z okresu Wielkiej Wojny dowodzą jednak, że harmonijna, łatwa a wydatna współpraca Wojska z Koleją najzupełniej jest możliwa i przy cywilnej obsadzie stanowisk kolejowych. Natomiast Koleje, obsadzone na kierowniczych stanowiskach przez wojskowych, będą w swoim zakresie (jak wykazaliśmy wyżej) daleko słabszym partnerem Wojska i wyniki współpracy mogą się okazać bez porównania gorsze od oczekiwanych.

Cel harmonijnej i łatwej współpracy Wojska i Kolei w wypadku wojny da się osiągnąć w całej pełni drogą należycie opracowanej organizacji i przeszkolenia; Koleje zaś nie byłyby wówczas w swej polityce personalnej pozbawione możności stosowania kardynalnych i o jej sprawności decydujących zasad.

Inną, nową zasadą, zastosowaną ostatnio w polityce personalnej na P. K. P., jest wojskowa zasada częstych przesunięć personelu z jednego miejsca służbowego na inne, a to w celu uniknięcia rzekomo szkodliwych skutków „zasiedzenia się", wynikających z wieloletniej pracy na tym samym miejscu.

Zasada słuszna i pożyteczna! Wieloletnie bowiem przebywanie pracownika na jednym miejscu powoduje z czasem utratę a przynajmniej nieżyt spostrzegawczości i krytycyzmu,

oraz brak doświadczalnego materiału porównawczego w zakresie wykonywanej pracy. Jednak charakter tych przesunięć i ich częstotliwość musi być znowu dostosowana do kolejowych warunków pracy.

Zmiana miejsca pracy winna więc zasadniczo następować dopiero wówczas, gdy działanie ujemnych skutków przebywania na jednym miejscu przewyższy a przynajmniej zrównoważy niewątpliwe korzyści, wynikające z faktu, że dany pracownik zajęty dłuższy czas na określonym terenie pracy posiada gruntowną znajomość tego terenu, jego właściwości, stosunków, warunków i ludzi na danym terenie żyjących i działających.

Z charakteru bowiem zadań Kolei (różnych od zadań Wojska) wynika, że Kolej obejmuje i zaspokaja rozległe i głęboko w ogólną gospodarkę Państwa przenikające potrzeby. Kontakt zatem Kolei i związek jej ze społeczeństwem, terenem i warunkami życia musi być ścisły i żywy. Wysoka zmienność i elastyczność rzeczonych warunków, oraz lokalne odrębności wymagają od Kolei i jej personelu, poza ściśle fachowymi umiejętnościami, doskonałej znajomości i wnikliwości w te zjawiska, oraz dokładnego poznania terenu, jego warunków, stosunków i ludzi na danym terenie działających.

Muszą więc pracownicy kolejowi, a przede wszystkim pracownicy na kierowniczych stanowiskach, dla osiągnięcia maximum wyników swej pracy, poświęcić bardzo dużo energii i czasu nie tylko na poznanie obiektu pracy, lecz i jej rozległego terenu, jego właściwości i warunków, oraz na poznanie ludzi i stosunków właściwych danemu terenowi. Jest to fakt niewątpliwy i stwierdzany codziennie przez życie. Otóż zdobycie wszystkich potrzebnych pod tym względem wiadomości pochłania minimum $1\frac{1}{2}$—2 lat bardzo intensywnej i uciążliwej pracy, po czym dopiero pracownik kolejowy na kierowniczym stanowisku może w całej pełni i we wszystkich szczegółach wykonywać należycie swe skomplikowane zadanie.

Wiadomości te, zdobyte przez rzeczonych pracowników, są niezbędnym i bardzo poważnym czynnikiem należytego funkcjonowania całego organizmu Kolei, a w sumie swej — są kapitałem, mającym duże znaczenie w ogólnej

gospodarce Państwa. Znaczenie tego kapitału powiększa jeszcze fakt, że przepisy kolejowe i bardzo liczne szczegóły organizacyjne dalekie są jeszcze od skromnie pojętej precyzji; poza tym zaś spowodowana długotrwałym kryzysem konieczność jak najdalej idącej oszczędności wymaga od pracowników kolejowych przede wszystkim doskonałej znajomości obiektu pracy, terenu, jego warunków, oraz ludzi i stosunków.

Każda zmiana miejsca przez pracownika kolejowego na kierowniczym stanowisku powoduje utratę rzeczonego kapitału nie tylko przez danego pracownika, lecz i przez tego, który na jego miejsce przychodzi. Wyraża się to niezwłocznie (w większości wypadków bardzo dotkliwie) w upadku jakości i wydajności pracy, powodując szkody realne nie tylko dla P. K. P., lecz i dla osób z jej usług korzystających.

Masowe zaś i systematyczne przenoszenie pracowników kolejowych będzie, wobec powyższych niewątpliwych faktów, połączone z systematyczną dezorganizacją działalności P. K. P., oraz ze stratą poważnych wartości, co w ogólnej gospodarce Państwa musi znaleźć swój ujemny wyraz, a to tym bardziej, że dotykają one nie tylko samych pracowników, ale i ich rodzin, będąc bardzo często dla tych ostatnich prawdziwą katastrofą, którą mogłaby usprawiedliwić tylko przyczyna prawdziwej konieczności czy przynajmniej prawdziwego pożytku dla Państwa.

Aczkolwiek więc wieloletnie przebywanie pracownika na jednym miejscu jest, jak to wyżej przyznaliśmy, szkodliwe, to jednak zmiany miejsca pracy winny następować stopniowo z uwzględnieniem indywidualnych właściwości wchodzącego w grę pracownika i jego stanowiska, oraz z zabezpieczeniem możności dla następcy przejęcia od poprzednika wszystkich najniezbędniejszych wiadomości, dotyczących obiektu pracy, jego terenu i warunków. Okres czasu, po którym winna następować zmiana miejsca pracy, jest oczywiście różny i zależy od właściwości stanowisk oraz właściwości indywidualnych pracownika; nie może on być jednak krótszy niż 6—7 lat. Zdobycie bowiem kapitału potrzebnych wiadomości, związanych z obiektem, tere-

nem, warunkami i ludźmi, pochłania $1\frac{1}{2}$—2 lat; na oprocentowanie zatem zdobytego kapitału musi pozostać przynajmniej 4—5 lat. Obliczenia te są na wskróś realne a obalenie ich wymagałoby rzeczowych dowodów. Oczywiście pomijamy całkowicie kwestię nadużyć i niesumienności w pracy, wywody nasze odnoszą się wyłącznie do funkcjonariuszy sumiennych i zdolnych.

Koleje — ten skomplikowany i precyzyjny aparat, mający zaspokajać zmienne w swej elastyczności a wielostronne potrzeby życia zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny — ten ogromny i jeden z najpotężniejszych czynników gospodarki i obrony Państwa, nie może być traktowany w polityce personalnej i to pod grozą niepowetowanych szkód, jako obiekt podrzędny lub pomocniczy.

W polityce personalnej Kolei decydujące znaczenie muszą mieć tylko te względy, które gwarantują postęp i sprawne funkcjonowanie Kolei.

Zastosowane na Kolei od paru lat nowe metody polityki personalnej, metody zapoznające w znacznej mierze doniosłość naturalnego doboru wśród personelu i wprowadzające, jako system, stałe przesunięcia tego personelu z miejsca na miejsce spowodowały już znaczne szkody w funkcjonowaniu Kolei. Stworzenie zaś z tych metod zasady musi doprowadzić do dalszego osłabienia działalności Kolei a nawet do chronicznego rozstroju. Pomyślna koniunktura lub normalny stan gospodarczy mogą chwilowo tuszować objawy tego rozstroju; w okresie jednak próby ogniowej, w niepomyślnych warunkach gospodarczych, a szczególniej w wypadku wojny utajony rozstrój musi wyjść na jaw w całej rozpiętości, zdzierając wszystkie osłonki i służbowe konwenanse.

Rozstrojenie zaś tak precyzyjnej, skomplikowanej i jednocześnie rozległej organizacji, jaką jest Kolej, nie da się łatwo usunąć nawet za cenę najdrastyczniejszych zarządzeń i środków.

Pouczającym i jakże wymownym przykładem są koleje w Sowietach, gdzie dyktatura kolejowa, obdarzona w najdalej idące pełnomocnictwa, w ciągu szeregu lat nie zdołała

dotychczas naprawić raz zdezorganizowanego lekkomyślnie aparatu kolejowego. Nie łatwym bowiem jest zadaniem uzdrowienie organizmu, schorzałego skutkiem zaaplikowania mu setek i tysięcy transplantacyj obcych i własnych komórek, a szczególniej komórek wyższego rzędu. Wymagało by to bowiem zastąpienia ich w ciągu szeregu lat przez komórki wychodowane i dobrane w drodze doboru naturalnego.

Analogia jest zupełna i nie budzi najmniejszej wątpliwości!

Inż. Jan Dąbrowa.

„Poszukiwacze Boga“ u kresu swych dróg.

I.

Znany ogólnie w Europie, a nawet i poza nią, termin rosyjski *bogoiskatielstwo* posiada właściwie podwójne znaczenie. Przede wszystkim określamy tym mianem ściśle umiejscowiony w czasie (ostatnie dziesięciolecia XIX i początek XX w.) prąd literacki, wywodzący się z Dostojewskiego i późnego okresu twórczości tołstojowskiej, a najefektowniej reprezentowany przez trylogię Mereżkowskiego *Chrystus i Antychryst*. Zarazem jednak *bogoiskatielstwo* — w znaczeniu szerszym — to zjawisko niemal ponadczasowe i znacznie głębsze, bo wiążące się z najbardziej wewnętrzną istotą całej rosyjskiej kultury duchowej, a może i całego charakteru narodowego. Pojęte, jako szukanie Boga - Prawdy, jako nieustająca a głęboka potrzeba kontaktu z nadprzyrodzonym, jako typowo religijny stosunek do każdego ogólniejszego, nieraz bardzo błahego lub całkowicie „ziemskiego“ zagadnienia — ujawnia się to rozszerzone *bogoiskatielstwo* nie tylko na całej prawie przestrzeni dziejów rosyjskiej myśli i sztuki; nie tylko na drogach i bezdrożach ekstatycznej i jakże często wynaturzonej pobożności niezliczonych herezyj i sekt; nie tylko w tak epatującej Zachód lub przez tenże Zachód wyszydzanej skłonności każdego Rosjanina, członka rodziny cesarskiej, oficera gwardii czy dorożkarza... do *principjalnych woprosow*, ściśle wypływających z religijnej — lub antyreligijnej, nigdy zaś areligijnej! — dogmatycznej koncepcji bytu i wszechświata. Występuje nadto

bogoiskatielstwo i w religijności *a rebours*, w fanatyźmie i mistyce bezbożnictwa, w typowo rosyjskim umetafizycznieniu racjonalistycznego socjalizmu i materializmu dialektycznego, w religijnym kulcie dla „relikwij" Lenina czy boskiej niemal, bałwochwalczej czci, oddawanej Stalinowi.

Rozumie się, owo *bogoiskatielstwo* na torach bezbożnictwa, owa religijna nieomal żarliwość walczących z religią wyznawców komunizmu, ów charakterystyczny dla ideologii sowieckiej przymus rezygnacji z prawa do osobistego, nawet materialnego, szczęścia na rzecz metafizycznej niemal szczęśliwości przyszłych pokoleń proletariackich — wszystko to typowo rosyjskie i w dużej mierze zupełnie inne, niżby było na Zachodzie — interesuje nas na tym miejscu jedynie jako jaskrawy obraz paradoksalnego odwrócenia religijnej koncepcji świata i właściwego pionu duchowego rosyjskich „poszukiwaczy Boga", których prawdziwe drogi wychodziły przecież zawsze z chrześcijaństwa i z nim ściśle, jak najściślej były związane. I to tak dalece, że niektórzy myśliciele rosyjscy, mając na myśli *bogoiskatielstwo* i nawiązując do słów ewangelicznych „Szukajcie a znajdziecie... kołaczcie, a będzie wam otworzone...", skłonni byli uważać naród rosyjski za przewyższający wszystkie inne pod względem religijności, a literaturę rosyjską za najbardziej chrześcijańską na świecie!

Czy mieli prawo tak twierdzić? Rrzecz to teologów, względnie historyków religii, na tym zaś miejscu podkreślimy tylko fakt, że choć największe arcydzieła świeckiej literatury chrześcijańskiej: *Boska Komedia, Utracony Raj* Miltona i trzecia część *Dziadów* wyszły spod pióra pisarzy nie rosyjskich — poza tym przecież w żadnej literaturze europejskiej nie znajdziemy tak wielkiej ilości autorów świeckich, zajmujących się problemami i tematami religijnymi, jak właśnie w rosyjskiej. Niema prawie wybitniejszego pisarza rosyjskiego (poza jednym może Puszkinem), któryby przynajmniej części swej sławy nie zawdzięczał utworom na tematy religijne. *Bóg* Dierżawina (wiek XVIII), *Demon*, *Anioł* i *Modlitwa* Lermontowa, ostatni okres Gogola — oto najgłośniejsze osiągnięcia artystyczne na tym polu „klasyków" okresu, poprzedzającego właściwe *bogoiskatielstwo*. Po

tym zaś już w ogóle nie ma wybitniejszego myśliciela, poety, powieściopisarza, któryby obojętnie omijał zagadnienia metafizyczno-religijne.

Religijność przecież tych pisarzy zasadniczo się różni od duchowej atmosfery, jaka panuje w dziełach Dantego, Miltona czy Mickiewicza. Tak np. polski poeta, choć walczy z Bogiem w Improwizacji, zanim się przed Nim ukorzy — pojmuje przecież swego Boga i wszystkie zagadnienia religijne ściśle podług nauki Kościoła. Również i dla ślepego Miltona wizja stworzenia świata, upadku szatana i utraty raju pokrywała się dokładnie z wierzeniami presbiteriańskimi. Inaczej u pisarzy rosyjskich. Spragnieni posiadania objektywnej, nieomylnej prawdy religijnej, szukali jej prawie wszyscy poza granicami, zakreślonymi przez teologię i autorytet kościelny — autorytet Cerkwi Prawosławnej; przeciwnie, widzieli w teologii i autorytecie hamulce normalnego rozwoju uczucia religijnego, drogę zaś ku najprawdziwszej Prawdzie Bożej — prawdzie o zagadce życia i śmierci, o sensie i celu istnienia, o nieśmiertelności duszy i świecie nadprzyrodzonym — upatrywali w nieskrępowanych przez żadną dogmatykę ani tradycję, swobodnych indywidualnych poszukiwaniach i dociekaniach metafizyczno-religijnych. Stąd właśnie pochodzenie nazwy *bogoiskatieli* — poszukiwaczy Boga. Był ich istny legion: filozofowie — Konstanty Lentjew, Rozanow, Włodzimierz Sołowjow; poeci — Błok, Sołowjow, Zinaida Gippius, szkoły poetyckie dekadentów, symbolistów, mistyków, niektórzy członkowie szkół akmeistów i imażinistów; moc powieściopisarzy i nowelistów, od Dostojewskiego zaczynając, a kończąc na Andrejewie, Gorgim (tak!) i Nażywinie. W ich zaś ślady szła cała inteligencja rosyjska: „tołstojowcy", nietzscheaniści, czciciele Nirwany, uchrześcijanieni socjal-demokraci i epikurejczycy.

Na przeróżnych drogach szukali i znajdowali swojego Boga, najczęściej zaś błądzili bez końca. Największy wpływ wywarli ci, którzy spomiędzy nich największymi byli artystami, najpotężniejszymi talentami: Dostojewskij i Lew Tołstoj. Autor *Braci Karamazowych, Idioty* oraz *Zbrodni i kary* najbliżej stoi ortodoksyjnego chrześcijaństwa spomiędzy wszystkich *bogoiskatieli:* przeszedłszy w osobach bohaterów

genialnych swych powieści wszystkie najpotworniejsze, najbardziej wstrząsające otchłanie autoanalizy i poszukiwań prawdy — otchłanie niewiary, zwątpień, rozpaczy, niemal szaleństwa — doszedł wreszcie do afirmacji chrześcijańskiej koncepcji Boga, świata i sensu istnienia, w pokorze uchylając czoła przed autorytetem i tradycją prawosławia wraz ze wszystkimi jego skostniałymi nawarstwieniami bizantynizmu. Wielbiąc i głosząc miłość ludzi do Boga i ludzi do ludzi, jako najwyższą rację bytu chrześcijaństwa, nie zdołał przecież wyplenić nienawiści, jaką sam zionął ku katolicyzmowi i jaką przekazał swym epigonom. Najwyższym i najsugestywniejszym wyrazem tej nienawiści jest „Legenda o Wielkim Inkwizytorze" (w *Braciach Karamazowych*), w której Dostojewskij przedstawia Kościół, jako potęgę tak całkowicie skostniałą w formaliźmie i zeświecczoną, że gdyby Chrystus po raz drugi przyszedł na świat, Wielki Inkwizytor, choć prywatnie uwielbiłby Go i do nóg by Mu padł, z urzędu skazałby jednak Go na śmierć, gdyż przyjście Jego i objawienie się na nowo światu zaburzyłoby system, którego Kościół jest twórcą i jedynowładcą, zazdrośnie strzegącym swych praw i związanych z nimi korzyści! „Wielki Inkwizytor" na długie dziesięciolecia stał się punktem wyjścia zasadniczego stosunku *bogoiskatieli* rosyjskich do Kościoła katolickiego; wyjątkiem z tej reguły okazał się jedynie Włodzimierz Sołowjow, filozof i poeta, który zakończył swe „wędrówki w poszukiwaniu Boga" przejściem na katolicyzm.

Inne, niż Dostojewskiego, były drogi Lwa Tołstoja. Twórca *Wojny i pokoju, Anny Kareninej* i *Zmartwychwstania* odegrał w Rosji ogromną rolę swą propagandą zracjonalizowanego chrześcijaństwa. Odrzucając wszystkie dogmaty i wszystko, cokolwiek w chrystianiźmie ma związek ze światem nadprzyrodzonym, Tołstoj przyjmował jedynie moralne nauki Ewangelii, przy czym ten swój „unowocześniony i odfantazjowany (!) ewangelizm" zaostrzał nakazami najsurowszej ascezy, godzącej w samo przedłużenie rodzaju ludzkiego, równie jak walką przeciw własności prywatnej. Nadto gromił wszelką cywilizację, propagując hasło powrotu do natury i wielbiąc prostego człowieka.

Tołstoizm miał wielu wyznawców i entuzjastów: w literaturze najwybitniejszym z nich był Iwan Nażywin. Prawie żaden też z późniejszych „poszukiwaczy Boga" nie zdołał uodpornić się całkowicie na działanie doktryn tołstojowskich. Działanie to przecież było rozmaite: tak np. skrajny ascetyzm, głoszony w *Kreutzerowskiej Sonacie* uczynił nagle popularnymi różne, walczące przemocą z naturalnym popędem sekty; walka z cywilizacją i kult wolnego od wszelkich jej nakazów prostego człowieka był jednym z głównych powodów niesłychanej atrakcyjności gorkijowskiego „bosiaka" — połączony zaś z nietzscheańską (zwalczaną zresztą przez Tołstoja) gloryfikacją „nadczłowieka", któremu wszystko wolno i który stoi „poza dobrem i złem" — zaprowadził niejednego *bogoiskatiela* na drogi, jak najdalsze od chrześcijaństwa, klasyczną zaś a całkowicie już brutalną formę przybrał w „saniniźmie" (od nazwiska bohatera powieści — Sanina) Arcybaszewa.

Szukali też swego Boga pisarze rosyjscy i w Nirwanie buddyjskiej i w bezosobowym kulcie tajemniczych sił niewidzialnych lub przeciwnie w kulcie widzialnej i dotykalnej potężnej matki - przyrody. Inni, największą widzieli prawdę w kornej uległości dla głosu płci; — w związku z tym pozostawała ogromna popularność w Rosji Przybyszewskiego. Inni znów pragnęliby uwierzyć w wędrówkę dusz, a jeszcze inni w szamanizm Ostiaków czy Tunguzów. Tu i ówdzie propagowano kult szatana, a wielki prozaik początków XX wieku, Leonid Andrejew wystąpił z rehabilitacją i apoteozą Judasza. Najbardziej przecież typową dla rosyjskiego *bogoiskatielstwa* drogę — typową, a zarazem wyjątkową, bo najefektowniejszą, najzawilszą i najdłuższą — odbył Dymitr Mereżkowskij. Niema chyba systemu religijnego, filozoficznego czy czysto estetycznego; niema wyznania, herezji czy sekty — takich, gdzieby choć na chwilkę nie zawędrował jego nieukojony duch w ciągu 70 lat życia i prawie pół wieku dociekań metafizycznych i ich artystycznych kształtowań czy to w poezjach, czy w dramacie *(Paweł I)*, w licznych a słynnych powieściach *(Julian Apostata, Leonardo da Vinci, Piotr i Aleksy, Aleksander I, 14 grudnia, Mesjasz)*, wreszcie w traktatach *Tajemnica*

Trzech — Egipt i Babilon, Tajemnica Zachodu, Jezus Nieznany). Czy skończył wreszcie tę drogę? Jeszcze nie, ale zdaje się już być u kresu. Gdzież ów kres? Tam, gdzie i prawie wszystkich innych rosyjskich „poszukiwaczy Boga".

Na progu Nowego Średniowiecza.

II.

Termin „Nowe Średniowiecze" należy dziś już do najbardziej oklepanych, inaczej przecież było przed 11—12 laty, gdy w radośnie podnieconą atmosferę powszechnego optymistycznego upajania się demokratyzmem, pacyfizmem, amerykanizmem, nieograniczonym postępem oraz najrozmaitszymi eksperymentami i nowatorstwami filozoficznymi, kulturalnymi, politycznymi i społecznymi — wdarł się nagle surowy, ponury i trzeźwiący głos rosyjskiego myśliciela, Mikołaja Bierdiajewa, wieszczący bliską zagładę wszystkich ideałów i zdobyczy kultur europejskich z ostatnich trzech wieków; — zagładę, której rozmiary porównać się dadzą jedynie z rozmiarami likwidacji świata antycznego i jego kultury przez barbarzyńców wczesnego średniowiecza. Punkt wyjścia rozważań historiozoficznych Bierdiajewa jest następujący: w epoce renesansu człowiek zbuntował się przeciw autorytetowi religii i na religijnych zasadach opartej, jednolitej polityczno-społecznej, kulturalnej i psychicznej organizacji świata. Uczynił siebie — tj. jednostkę ludzką — centralnym zagadnieniem historii i cywilizacji: cały dalszy rozwój dziejów miał na celu jedynie — tak czy inaczej pojęte — dobro tej jednostki, stąd nazwa humanizmu i humanistycznej epoki historii, która ciągnie się nieprzerwanie 4 już prawie stulecia, obejmując te wszystkie przemiany i przewroty duchowe, cywilizacyjne, społeczne, które zdają się (jak naprzykład renesans i reformacja, oświecenie i rewolucja, romantyzm i materializm, kapitalizm i demokratyzm) zwalczać i przezwyciężać jedna drugą, a w istocie wszystkie jednakowo jednemu służą bóstwu i na nie tylko pracują: pojętemu jako ośrodek wszechświata, wyzwolonemu z wszelkich pęt nakazu i zakazu — człowiekowi.

Otóż — według Bierdiajewa — mimo całego szeregu pozornych zdobyczy, epoka humanistyczna, jej historiozofia

i kultura nie zdały egzaminu; pozostawiony samemu sobie człowiek nie udoskonalił się ani społecznie, ani duchowo; humanizm nie zdołał okiełzać w naturze ludzkiej bestii, która w wojnie światowej pokazała w całej potworności, do czego jest zdolna, właśnie w chwili, gdy cywilizacja humanistyczno-materialistyczna osiągała swe szczyty: na początku w. XX. Humanistyczna koncepcja świata doprowadza go jedynie do chaosu, zupełnie identycznego nieomal z tym, jaki ogarnął świat antyczny u schyłku starożytności. Ludzkości, w pierwszym rzędzie Europie i wytworzonej przez nią kulturze znów grozi barbaryzacja, która spowodować może zupełną zagładę, chyba że człowiek nowoczesny — rozumiejąc wreszcie swą bezsilność i zawodność stworzonej przez się cywilizacji materialnej — znów powróci do religijnej koncepcji świata i kultury, znów podda się autorytetowi, czerpiącemu swą władzę i potęgę z źródła ponadludzkiego — z Boga. Poddanie się temu autorytetowi raz już uratowało ludzkość i cywilizację; ocaliło ją z chaosu poantycznego w epoce średniowiecza, i dla Bierdiajewa ów nawrót do średniowiecznego ducha i średniowiecznej koncepcji świata i człowieka jest czymś nie tylko jedynie pożądanym i zbawiennym, ale czymś, już się realizującym.

Nowe średniowiecze — głosi on — już nadchodzi szybkimi krokami; zbliża się epoka, która znów będzie żarliwie religijna lub antyreligijna, ale nigdy nie areligijna, jaką była epoka humanistyczna.

Owo nowe średniowiecze nie będzie przecież — wedle Bierdiajewa — jakąś statyczną, idealną chrześcijańską „utopią", rządzonym przez prawo Boże spokojnym i szczęśliwym rajem. Nie, będzie to epoka niesłychanie dynamiczna, epoka zaciętej, bezpardonowej walki o panowanie nad światem i nad duszami. Na gruzach bowiem humanistycznej koncepcji dziejów, świata i człowieka wyrosną dwie moce, obie jednakowo antyhumanistyczne i na metafizycznym autorytecie wsparte: teokratyczne państwo chrześcijańskie i satanokratyczne państwo bolszewickie. Bierdiajew wierzy, że przeznaczeniem narodu rosyjskiego jest odegrać jedną z najczynniejszych ról w tych zapasach; sam osobiście rolę tę widzi w pokonaniu bolszewizmu i w jak najpowszechniejszym

i najgłębszym uchrześcijanieniu Rosji i jej ducha. I wierzy, że tak się stanie: dla niego bowiem, tak jak i dla Dostojewskiego, naród rosyjski to najbardziej „bogonośny" naród na świecie. Ale twórca *Braci Karamazowow* bogonośność tę warunkował bezwzględną wiernością dla prawosławia; natomiast autor „Nowego Średniowiecza" w swej dualistycznej koncepcji przyszłego świata przechodzi do porządku nad prawosławiem, jedynie w Kościele katolickim widząc przeciwwagę dla satanistycznego komunizmu.

I tu oto uderza nas ogromne podobieństwo, jakie zachodzi między tą religijną koncepcją, powstającą u progu Nowego Średniowiecza, a potężnym systemem historiozoficznym, stworzonym u wstępu do „starego" średniowiecza. Dualizm bowiem Bierdiajewa niesłychanie się zbliża w głównej swej idei do dualizmu św. Augustyna: tu i tam *Civitas Dei* — państwo Boże, chrześcijańskie i „państwo ciemności" — satanokratyczne!...

Bierdiajew — św. Augustyn — nie jedyna to paralela historiozoficzna między dzisiejszością, a początkami średniowiecza, między wiekiem XX-tym, a V-tym. Czyż bowiem głoszący „zmierzch Europy" Oswald Spengler nie przypomina swym nieubłaganym pesymizmem prezbitra z Marsylii, Salwianusa, który w swym *De gubernatione Dei* pisał nieubłagane Mane, Tekel, Fares dla świata antycznego? I przeciwnie, wierzący w odrodzenie Europy przez chrześcijaństwo, Henryk Massis ze swą *Défense de l'Occident* czyż nie jest dokładną kopią Orozjusza Hiszpana, co w swych *Historiae adversus paganos,* wsparty o historiozofię świętego Augustyna, wyrażał nadzieję, że przecież barbarzyńcy nie zniszczą Romy i jej cywilizacji, o ile tylko oprze się ona o naukę Chrystusa?!

Cały szereg innych analogij dałoby się jeszcze przeprowadzić między naszymi czasami, a przedwiośniem „Starego Średniowiecza" — wiekiem V-tym: analogij z zakresu stosunków politycznych, gospodarczych, kulturalnych. Nawet czołowy sowiecki pisarz Maksym Gorkij i ten też (choć najprawdopodobniej zupełnie nieświadomie) stał się niespodzianie świetną ilustracją nawrotu tego wszystkiego, co się działo przed 15 wiekami. Tak jak na schyłku antyku literat

Marcjan Kapella, przeczuwając barbaryzację i w dużej mierze zagładę kultury starożytnej, celem ratowania z niej dla potomności, co się da, stworzył ogromne wypisy pt. *De nuptiis Mercurii et Philologiae* — tak też i Gorkij, który choć był piewcą reprezentacyjnym rewolucji bolszewickiej, bolał nad walką, jaką bolszewizm wydał „burżuazyjnej" kulturze humanistycznej, ratował, co się da, z tej kultury w monumentalnym swym wydawnictwie przekładów „wielkiej literatury!"

Świadomie zupełnie natomiast podążyli tłumnie za koncepcją „Nowego Średniowiecza" ci spośród rosyjskich poszukiwaczy Boga, którzy ustosunkowali się zdecydowanie wrogo do rewolucji i po przewrocie bolszewickim poszli na emigrację. Atmosfera wygnania, atmosfera „rzek babilońskich" i w tym wypadku, tak samo, jak to miało miejsce z polską Wielką Emigracją — stała się źródłem mesjanizmu narodowo-religijnego. Cała inteligencja rosyjska — ta sama, co u siebie w domu, przed rewolucją wyznawała z jednej strony internacjonalizm i socjalizm czy anarchizm, z drugiej zaś unowocześniony buddyzm, nietzscheanizm czy szamanizm, byle tylko nie chrześcijaństwo — na obczyźnie tłumnie nawraca do patriotyzmu, często do najbardziej reakcyjnego konserwatyzmu, oraz do wiary przodków. Niesłychanie wzrósł u wychodźców autorytet Cerkwi i tradycji — ale to u mas, jednostki zaś ze świata filozoficznego i literackiego — owi klasyczni reprezentanci czy już tylko epigoni *bogoiskatielstwa* — zdają się coraz to bardziej, choć zrazu jeszcze wolno, ostrożnie, niemal niewidocznie, posuwać za Bierdiajewem w jego drodze ku katolicyzmowi.

Rozumie się, nie wszyscy. Drogi niektórych i to bardzo reprezentacyjnych *bogoiskatieli* są wręcz przeciwne. Tak np. wybitny i popularny powieściopisarz Iwan Nażywin, najznakomitszy i najbardziej prawy dziedzic tołstoizmu we współczesnej literaturze rosyjskiej, ukończył swe wędrówki w punkcie całkowitej negacji chrystianizmu, nie tylko jako jedynie prawdziwej religii objawionej, ale nawet jako twórczej siły moralnej i kulturalnej. Dla Tołstoja Chrystus był wprawdzie też tylko człowiekiem, ale człowiekiem — geniuszem, jednym z największych, jakich wydała ludzkość; dla ucznia Tołstoja, Nażywina, twórca chrześcijaństwa to już

nawet nie geniusz, ale bezsilny marzyciel, stworzona zaś przez niego religia to mała i niczym nie wybitna sekta żydowska, której pierwsi głosiciele i wyznawcy to ludzie ani pod względem duchowym, ani moralnym, ani umysłowym niczym specjalnym się nie wyróżniający. Gdy zaś zbieg okoliczności (przewrotność Nerona po spaleniu Rzymu) uczyni ich męczennikami, będą ginąć, sami nie zdając sobie sprawy, w imię czego!... Te swoje tezy przeprowadza Nażywin w trzech swoich — artystycznie zresztą coraz to słabszych — powieściach *Lilie Antinoosa, Ewangelia według Tomasza, Judejczyk* — na przestrzeni przecież owych 1000 zgórą stron czytelnik daremnie próbuje znaleźć choćby cień wyjaśnienia, jakże się to stało (jak to Nażywin sobie wytłumaczy?), że owa pogardzona przezeń sekta żydowska, której — jako swe *Credo* — przeciwstawia apoteozę lukrecjańskiego materialistycznego epikureizmu i sceptycyzmu — jakto, powtarzamy, sekta ta zdołała ogarnąć sobą cały świat i swą nauką i duchem przeobrazić zupełnie całe jego oblicze?!...

Poza Nażywinem przecież wszyscy wybitniejsi emigracyjni *bogoiskatieli* kończą swe drogi afirmacją chrześcijaństwa, i to coraz częściej chrześcijaństwa, identyfikowanego z katolicyzmem raczej, niż z prawosławiem. Coraz głośniejsze są wołania o zjednoczenie kościołów pod jednym naczelnym autorytetem. Wsiewołod Iwanow, autor *Sprawy człowieka,* jest tu przykładem, choć nie najwybitniejszym, ale najbardziej charakterystycznym. M. A. Ałdanow zaś, wielki sceptyk, w swym sceptycyźmie dochodzący nieraz aż do kompletnej negacji wszelkich wartości objektywnych — Ałdanow, znany ze swych sympatyj do masonerii i różokrzyżowców (sympatie te występują zarówno w historyczno-powieściowym cyklu *Myśliciel,* jak i ostatniej książce *Jaskinia*) oświadcza, że „oto sami nie spostrzegliśmy, jak Kościół urósł w jedną z najwybitniejszych i najbardziej pociągających potęg moralnych" i że jest „bezsprzecznie jedną z najczystszych, najbardziej pozytywnych wartości całego dzisiejszego barbaryzującego się świata"!... Wielki przeciwnik bolszewizmu, bezlitosną ironią demaskujący wszystkie ciemne strony rewolucji, Ałdanow wierzył jeszcze w powieści *Ucieczka,* że przecież Zachodnia Europa i jej cywilizacja to

nawet nie geniusz, ale bezsilny marzyciel, stworzona zaś przez niego religia to mała i niczym nie wybitna sekta żydowska, której pierwsi głosiciele i wyznawcy to ludzie ani pod względem duchowym, ani moralnym, ani umysłowym niczym specjalnym się nie wyróżniający. Gdy zaś zbieg okoliczności (przewrotność Nerona po spaleniu Rzymu) uczyni ich męczennikami, będą ginąć, sami nie zdając sobie sprawy, w imię czego!... Te swoje tezy przeprowadza Nażywin w trzech swoich — artystycznie zresztą coraz to słabszych — powieściach *Lilie Antinoosa, Ewangelia według Tomasza, Judejczyk* — na przestrzeni przecież owych 1000 zgórą stron czytelnik daremnie próbuje znaleźć choćby cień wyjaśnienia, jakże się to stało (jak to Nażywin sobie wytłumaczy?), że owa pogardzona przezeń sekta żydowska, której — jako swe *Credo* — przeciwstawia apoteozę lukrecjańskiego materialistycznego epikureizmu i sceptycyzmu — jakto, powtarzamy, sekta ta zdołała ogarnąć sobą cały świat i swą nauką i duchem przeobrazić zupełnie całe jego oblicze?!...

Poza Nażywinem przecież wszyscy wybitniejsi emigracyjni *bogoiskatieli* kończą swe drogi afirmacją chrześcijaństwa, i to coraz częściej chrześcijaństwa, identyfikowanego z katolicyzmem raczej, niż z prawosławiem. Coraz głośniejsze są wołania o zjednoczenie kościołów pod jednym naczelnym autorytetem. Wsiewołod Iwanow, autor *Sprawy człowieka*, jest tu przykładem, choć nie najwybitniejszym, ale najbardziej charakterystycznym. M. A. Ałdanow zaś, wielki sceptyk, w swym sceptycyźmie dochodzący nieraz aż do kompletnej negacji wszelkich wartości objektywnych — Ałdanow, znany ze swych sympatyj do masonerii i różokrzyżowców (sympatie te występują zarówno w historyczno-powieściowym cyklu *Myśliciel*, jak i ostatniej książce *Jaskinia*) oświadcza, że „oto sami nie spostrzegliśmy, jak Kościół urósł w jedną z najwybitniejszych i najbardziej pociągających potęg moralnych" i że jest „bezsprzecznie jedną z najczystszych, najbardziej pozytywnych wartości całego dzisiejszego barbaryzującego się świata"!... Wielki przeciwnik bolszewizmu, bezlitosną ironią demaskujący wszystkie ciemne strony rewolucji, Ałdanow wierzył jeszcze w powieści *Ucieczka*, że przecież Zachodnia Europa i jej cywilizacja to

ciwstawiał „ponurej wierze i ascezie Galilejczyków" antyczny kult piękna ciała; który w *Leonardo da Vinci* miotał się między Chrystusem a Antychrystem, a w *Piotrze i Aleksym*, przeprowadziwszy swego bohatera, mnicha Tychona przez wszystkie wyznania, systemy i sekty, każe mu uwielbić naturę, jako jedyne dotychczasowe prawdziwe objawienie Boże, na które zstąpi niebawem królestwo mistyczne Świętego Ducha — po rewolucji zagłębił się w badaniach mesjanizmów przedchrześcijańskich, w przeprowadzaniu analogij między ofiarą Krzyża, a egipskimi misteriami Ozyrysa i babilońskimi — Tammuza. Oddalił się w ten sposób zrazu od chrześcijaństwa, któremu wyrzucał brak pierwiastka niewieściego w Trójcy świętej — zwrócił się ku śladom religii starokreteńskiej, rzucił się na rekonstruowanie religii Atlantydy *(Tajemnica Zachodu)* i oto wreszcie — u schyłku życia — spieszy ku ewangeliom, których autorytetu, autentyczności i prawdomówności broni z żarliwością i ogromnym talentem apologetycznym. Niemal więc całkowicie nawrócony na chrześcijaństwo, ma w sobie przecież dużo jeszcze typowego „poszukiwacza Boga", który nie zadawalnia się granicami, zakreślonymi przez Kościół, i swego „Jezusa Nieznanego" opiera nie tylko na czterech ewangeliach, ale i na apokryfach. Z każdej przecież strony tej książki widać, jak powoli, to idąc naprzód, to znów cofając się, zdąża ku katolicyzmowi. Na tej to drodze wyprzedzają go własne zainteresowania pisarskie, sięgające obecnie ku szlakowi, wytyczonemu przez 4 wielkie postacie: Pawła, Augustyna, Franciszka z Assyżu, Joanny D'Arc. A czy tak wytyczony szlak nie jest właśnie drogą Kościoła katolickiego?...

O tym zaś, że ten najwybitniejszy „poszukiwacz Boga" przezwyciężył już i ma za sobą dziedzictwo dróg twórcy *bogoiskatielstwa* świadczy takie oto zdanie z *Jezusa Nieznanego:* — Dostojewskij pomstował, iż katolicyzm się zeświecczył... iż papież stał się cesarzem... Ale czyż na Wschodzie nie stało się to samo, co na Zachodzie, tylko odwrotnie: cesarz stał się papieżem! Tego Dostojewskij nie zauważył...

Jakże daleko, bardzo daleko odbiegły dziś drogi *bogoiskatielstwa* od „legendy o Wielkim Inkwizytorze"!

Teodor Parnicki.

Stan zdrowotny naszej młodzieży szkolnej.

Że wśród naszej młodzieży szkolnej musi się znajdować spory odsetek słabo zbudowanych i chorowitych, jest rzeczą zrozumiałą. Ciężkie warunki gospodarcze, a zwłaszcza brak produktów odżywczych i zastępowanie ich szkodliwymi namiastkami, tak pamiętne z okresu wojny światowej i pierwszych lat powojennych, odbiło się ujemnie na zdrowiu wielu dorosłych i nie mogło pozostać bez wpływu na zdrowie ich dzieci. Liczne wypadki gruźlicy, cherlactwa fizycznego, stan podgorączkowy u dość znacznej liczby młodzieży szkół powszechnych i średnich, wszystko to nie dziwiło nikogo. Ubolewano nad tym szczerze, ale uważano smutny ten fakt za zrozumiały — były to „następstwa wojny".

Ostatnich parę lat przyniosło nam jednak inną na tym polu niespodziankę. Wojna światowa minęła już dawno, warunki bytu poprawiły się niedługo po jej ukończeniu, o tyle przynajmniej, że produkty pierwszej potrzeby, których brak najbardziej dawał się odczuwać szerokim warstwom ludności — jak chleb, mleko, tłuszcz, jarzyny — pojawiły się w krótki czas po wojnie. Nadto rozwinięto na szeroką skalę akcję opieki nad matką i dzieckiem, nad sierotami i biedną młodzieżą szkolną, dożywianie dzieci bezrobotnych, dostarczanie im odzieży i miejsca do zabawy i nauki.

Równocześnie zwrócono w programach szkolnych baczną uwagę na wychowanie fizyczne i starano się stworzyć dla

niego jak najlepsze warunki. Gimnastyka, sport, kolonie letnie, wypoczynkowe i lecznicze, półkolonie, obozy wakacyjne, harcerstwo i przysposobienie wojskowe, wszystko to zmierzało do podniesienia nie tylko zdrowia ale i tężyzny fizycznej wśród młodzieży. Mieliśmy więc wszelkie podstawy do sądzenia, że nasza młodzież szkolna i w ogóle młode pokolenie jest coraz zdrowsze i silniejsze. — Tym czasem po tym, co usłyszeliśmy niedawno, zaczyna się w nas budzić obawa, czy nie ulegliśmy złudzeniu?

Odkrycie to jest niedawne, a bliższe jego szczegóły nie dotarły jeszcze do wiadomości szerszych sfer społeczeństwa. Nawet w naszych czasopismach lekarskich zwrócono baczniejszą uwagę na stan zdrowotny młodzieży szkolnej dopiero w roku ubiegłym i to dość skąpo. Wprawdzie opieka lekarska istnieje w wielu szkołach od dawna, lecz zarówno szczupłe jej rozmiary jak, zdaniem lekarzy, wadliwy system zestawiania i opracowywania wyników sprawiły, że ze zdobytego materiału nie zdołano wyciągnąć właściwych wniosków.

Silniejszy rozgłos w prasie znalazła jedynie sprawa stanu zdrowotnego poborowych. Fakt, że komisje poborowe muszą odrzucać spory odsetek niezdatnych do służby wojskowej, nawet w Wielkopolsce, zaalarmował opinię publiczną. Szerokim echem rozeszła się interpelacja posła dra Krawczyńskiego, który dn. 22 stycznia 1936 r., jako sprawozdawca działu służby zdrowia, podniósł na posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej w sprawie budżetu Ministerstwa Opieki Społecznej, że „w ostatnich czasach komisje poborowe muszą odrzucać już prawie połowę powołanych do wojska, jako nie nadających się do służby. W 3 proc. przyczyną jest jaglica, w 7 proc. gruźlica, w 5 proc. wady serca, w 20 proc. zła budowa ciała". [1])

Jeśli chodzi o młodzież uczącą się, sporo światła na jej stan zdrowotny rzuciły, wprowadzone w r. 1932/33, obowiązkowe badania nowowstępujących kandydatów do studiów akademickich. Dzięki niewielkiej stosunkowo ich liczbie można było badania te przeprowadzić dokładniej i uzyskać

[1]) Streszczenie *Gazety Polskiej* z dnia 23 stycznia 1936.

dość przejrzysty pogląd na materiał, jaki z naszych szkół średnich przechodzi do wyższych uczelni.

Zestawienia i opracowania wyników tych badań, jakie zastaliśmy w czasopismach lekarskich, dotyczą pięciu szkół akademickich w Warszawie, Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, oraz uniwersytetu i Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu.[1]) Spośród nowowstępujących na te uczelnie zbadano w r. 1935/36: w stolicy 3.127, w Krakowie 2.412 i w Poznaniu 1.397 osób. Wyniki, o ile chodzi o Warszawę i Poznań, przedstawiają się następująco (p. tabl. 1):

Tabl. 1. Statystyka zdrowotności kandydatów na studia akad.

do kategorii	zaliczono %	
	w Warszawie	w Poznaniu
A: zdrowych	70·6	62·9
B: niezupełnie zdrowych	16·2	32·0
C: wymagających obserwacji (i leczenia)	13·2	5·1

Obraz więc wcale nie pocieszający. Niezależnie od różnic ilościowych kategoryj B i C na obu uczelniach, stwierdzić należy, że mniej więcej $^1/_3$ młodzieży, przechodzącej ze szkół średnich do akademickich, jest niezupełnie zdrowa lub wprost chora. Spośród chorób uderza zwłaszcza:

	Warszawa %	Poznań %
1) gruźlica: wymagająca leczenia	1·2	1·2
„ stałej obserwacji	5·05	3·0
2) schorzenia serca	(?)	8·4

Na zagruźliczenie młodzieży zwrócono głównie uwagę w Krakowie. Na 2.412 kandydatów do studiów uniwersytec-

[1]) Prof. dr T. Janiszewski i dr J. Zdunkiewicz: „Trzecie obowiązkowe badanie lekarskie studentów przyjętych na I rok studiów w 5 wyższych uczelniach akademickich warszawskich w roku 1935/1936". *Lekarz Polski*, 1936 nr 11, str. 210, nr 12, str. 234.

Dr Stanisław Karasiński: „Opieka lekarska nad młodzieżą akademicką w Krakowie" *Nowiny Lekarskie*, 1936 nr 22, str. 699.

Dr Walerian Spychała: „Obowiązkowe badanie lekarskie młodzieży akademickiej nowowstępującej na U. P. w r. 1934/35, oraz na uczelnie poznańskie w r. 1935/36" *Lekarz Polski*, 1936, nr 7—8, str 130.

kich, poddanych badaniu wstępnemu w r. 1935/36, wykazano: 1·45 proc. przypadków gruźlicy czynnej i 7·91 proc. przypadków gruźlicy wymagających obserwacji. Wyniki te oraz dane uniwersyteckiej poradni przeciwgruźliczej świadczą — pisze dr St. Karasiński — że stan zdrowotności tej młodzieży w zakresie schorzeń natury gruźliczej nie jest dobry i „pozostawia wiele do życzenia". Na okrągło 7.000 słuchaczów wyższych uczelni w Krakowie leczy się 8·57 proc. z powodu gruźlicy, a prawdopodobnie rzeczywisty odsetek będzie jeszcze wyższy. W stałej opiece akademickiej poradni przeciwgruźliczej pozostaje tu około 600 studentów; w roku ubiegłym leczono odmą piersiową 19 słuchaczy, klimatycznie 32.

Co jednak daje najwięcej do myślenia, to fakt, stwierdzony przy badaniu nowowstępujących na wyższe studia, że stan ich zdrowotny przedstawia się coraz gorzej. We wspomnianych powyżej pięciu uczelniach warszawskich do kategorii C (wymagających obserwacji lekarskiej) zaliczono w roku: 1933/34 — 11·6, 1934/35 — 12·6, 1935/36 — 13·2 proc. słuchaczów; chorych gruźliczych, wymagających obserwacji (i leczenia) było w r. 1934/35 — 5·0, 1935/36 — 6·25 proc. Na Uniw. Jag. dr Karasiński stwierdza, że odsetek wypadków gruźlicy u młodzieży „wyraźnie wzrósł w latach 1934/35 — 1935/36". Również na Uniw. Poznańskim stwierdzono u nowowstępujących wzrost liczby osób wymagających obserwacji (kategoria C) i ubytek zdrowych (kategoria A), których w r. 1934/35 było 66·7 proc., a w r. 1935/36 — 64·6 proc.

Słuszne zaniepokojenie, jakie wywołały wyniki powyższych badań, kazały skierować baczniejszą uwagę na stan zdrowotny młodzieży szkół średnich (i powszechnych), które dostarczają takiego kontyngentu kandydatów na wyższe studia. Tu bowiem musi tkwić źródło złego, które należy koniecznie wykryć. Niestety pokazało się, że gruntownych w tej dziedzinie opracowań, opartych na dłuższej obserwacji, jest rażąco mało. Spośród opublikowanych w pismach lekarskich wyróżnia się staranna praca, jaką rok temu ogłosił dr med. T. Bok z Milanówka. [1])

---

[1]) Dr med. T. Bok (Milanówek): „Choroby serca młodzieży w wieku szkolnym". *Nowiny Społeczno-Lekarskie,* 1936 nr 4, str. 51.

Myśl autora jest tu jasna, a plan dobrze przeprowadzony. Nie chodzi mu o samo zestawienie, na jakie choroby i w ilu przypadkach zapadała badana przez niego młodzież szkolna — zachorzenia te uważa bowiem za przypadkowe raczej i indywidualne — lecz o danie obrazu jej stanu zdrowotnego i wykazanie wpływu, jaki na niego wywiera szkoła. Za miarodajny, jeśli chodzi o obraz zdrowia młodzieży, uważa stan jej płuc i zwłaszcza serca, na które wymagania, stawiane przez szkołę, wywierają najsilniejszy wpływ. Ono bywa często najlepszym świadectwem ogólnego stanu zdrowia, na nim odbija się głównie wszelkie przemęczenie, fizyczne i umysłowe, a jego stan patologiczny daje najwięcej zastrzeżeń i przeciwwskazań w zakresie ruchu i pracy umysłowej młodzieży.

W artykule swym opiera się dr Bok na systematycznych badaniach, jakie w przeciągu 7 lat, od r. 1928—1934, przeprowadzał w swym gabinecie lekarskim i w ambulatorium szkolnym. Wyniki, do jakich dochodzi, są rzeczywiście godne uwagi. Na 1.666 badanych i obserwowanych wypadków chorobowych młodzieży w wieku od 7—18 lat, zastał 615 wypadków zachorzeń na serce, przejściowych i trwałych. Innymi słowy 30 9 proc. ogółu chorych uczniów, to chorzy na serce, a więc „ogromny odsetek"!

Najliczniejsze oczywiście, zwłaszcza u młodszych, były tam przejściowe niedomagania serca, towarzyszące takim chorobom, jak zapalenie płuc, błonica, płonica, choroby nerek, anemia itd. Mijają one zazwyczaj szczęśliwie, choć niekiedy mogą dać początek stałej wadzie. Obok nich nie brak jednak, i to stosunkowo częstych, trwałych wad serca, przy czym z naciskiem trzeba podkreślić, że liczba ich rośnie w ostatnich latach, wbrew nadziejom, pokładanym w rozwoju wychowania fizycznego i opieki lekarskiej w szkole. Znamienne są pod tym względem dwa zestawienia statystyczne dra Bok'a, które zamieszczamy poniżej (tablica 2 i 3).

Tablica druga podaje naprzód, ile wypadków chorób serca w ogóle (przejściowych i trwałych łącznie) zaobserwowano u młodzieży podług wieku jej życia, od 7—18 lat; w ostatnich jej dwu rubrykach widzimy, ile z tej ogólnej liczby zachorzeń było przypadków trwałej choroby serca.

Np. wśród młodzieży 10-letniej znaleziono 35 przypadków choroby serca, w tej liczbie było 16 przypadków trwałej choroby serca, czyli 45·5 proc. ogólnej liczby zachorzeń.

Tabl. 2. Choroby serca u młodzieży szkół powsz. i średnich.

wiek (lat)	ogólna ilość chorób serca	ilość stałych chorób serca	
		liczby bezwzględne	%
7	28	14	54·0
8	38	15	40·0
9	37	15	40·5
10	35	16	45·5
11	49	19	39·0
12	49	20	41 0
13	47	22	46·0
14	45	24	53·0
15	47	27	57·5
16	64	41	64·5
17	72	56	78 0
18	102	91	86·5

Zamieszczone w tej tablicy cyfry zasługują na dokładniejsze przestudiowanie. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdzamy zwłaszcza przykry fakt, że liczba trwałych chorób serca powiększa się procentowo z wiekiem młodzieży. Podczas gdy na ogólną liczbę 28 chorych siedmioletnich tylko połowa ma stałą wadę serca, to u 16-letnich liczba tych wypadków wzrasta do 64·5 proc., a w następnych latach odsetek ten jest jeszcze większy. Spośród 102 przypadków chorób serca u 18-letnich, zaledwie 11 jest przejściowych, a 91 czyli 86·5 proc. trwałych!

Tabl. 3. Wzrost ilości chorób serca wśród młodzieży szkolnej.

rok	na 100 różnych chorób było stałych chorób serca
1928	1·7
1929	2·3
1930	2·9
1931	3·1
1932	3·8
1933	4·1
1934	5·5

Tablica 3 pokazuje inny, może jeszcze groźniejszy objaw, że w ostatnich latach, wbrew temu, czego należałoby się spodziewać, liczba przypadków chorób serca wśród młodzieży szkolnej rośnie i to silnie. Jeśli na 100 wypadków różnych chorób (nie tylko serca) było w r. 1928 przeciętnie 1·7 przypadków trwałej choroby serca, to w r. 1934 liczba ta wzrosła do 5·5, czyli więcej niż trzykrotnie!

W ogóle, mówi dr Bok, stwierdzić należy: 1) „że stan zdrowia, a w szczególności serca naszej młodzieży szkolnej pogarsza się stale w ciągu ostatnich kilku lat; 2) że pogarsza się on z wiekiem tej młodzieży" (w granicach od 7—18 lat); 3) że „z wiekiem rośnie nie tylko ogólna liczba schorzeń serca wśród młodzieży szkolnej, ale także liczba schorzeń trwałych" i 4) że „te choroby, a w szczególności trwałe, wzrastają nagle w zastraszający sposób od 15-go roku życia".

Badania dr Bok'a dały nam obraz stanu zdrowia młodzieży szkół średnich, o którą nam głównie chodziło, ale równocześnie objęły także wszystkie lata życia młodzieży szkół powszechnych. O ile chodzi o tę ostatnią, cennym uzupełnieniem jest dla nas rozprawa dr med. J. Balickiej z Warszawy.[1]) Będąc przez 17 lat lekarzem szkolnym w kilku szkołach powszechnych warszawskich, miała pod pod swą opieką corocznie przeciętnie 2.500 dzieci, z których około połowa pozostawała pod jej obserwacją przez okres paru lub kilku lat.

Nie będziemy tu wchodzili w szczegółowe zestawienia, jakie podaje p. Balicka. Dotyczą one na ogół jednego roku szkolnego 1932/33, jedna tylko tablica obejmuje nadto trzy lata poprzednie. Ograniczymy się więc do streszczenia wyników jej badań, które nie odbiegają od wyżej podanych i dlatego chyba przedstawiają się mniej groźnie, że autorka miała do czynienia wyłącznie z młodzieżą szkół powszechnych, która podług zestawień dra Bok'a wykazywała również niższy odsetek trwałych wad serca.

Jakież są te wyniki? — Przede wszystkim zaznacza p. Balicka, że zawsze zastanawiała ją duża liczba chorób

---

[1]) J. Balicka (Warszawa): „Szkoła a schorzenia serca u dzieci". *Warszawskie Czasopismo Lekarskie*, 1936 nr 42, str. 720, nr 43, str 740.

serca u dzieci. Na 1.979 dzieci (łącznie zdrowych i chorych) zbadanych w r. 1932/33, stwierdziła: 153 przypadków wad organicznych serca (7·7 proc.) i 204 zmian czynnościowych serca (10·3 proc.), co stanowi odsetek rzeczywiście poważny. Na ogólną zaś liczbę dzieci szkolnych, zbadanych w latach 1929/30—1932/33, znalazła organicznych wad serca 4·5 proc. u 1.159 chłopców chrześc., 7·2 proc. u 3.733 dziewcząt chrześc. i 6·8 proc. u 1.701 dziewcząt żyd.; zaznacza przy tym, że w latach 1931/32 i 1932/33 dał się zauważyć wzrost chorób serca w porównaniu z latami poprzednimi.

Na przytoczeniu zestawionego powyżej materiału, dotyczącego młodzieży od szkół powszechnych do akademickich włącznie, poprzestaniemy. Jest on ilościowo niewielki, ale jego jakość, sumienne opracowanie i zwłaszcza zgodność wyników każą przypuszczać, że stan zdrowotny przeciętnego ogółu młodzieży szkolnej w Polsce nie będzie odbiegał daleko od nakreślonego tu, tak niestety przygnębiającego obrazu.

Młodzież, o której była mowa, pochodzi ze środowiska wielkomiejskiego i podmiejskiego, obejmuje zatem warstwy inteligencji i robotnicze, a po części także wiejskiego (w szkole średniej i w wyższych uczelniach). Czy weźmiemy badania dr Balickiej, rozciągające się na szkoły powszechne, czy dra Bok'a obejmujące szkołę średnią i powszechną, wyniki ich są zgodne w tym, że odsetek chorób serca jest u młodzieży jednych i drugich szkół bardzo wysoki i że, zamiast poprawy, spotykamy się w ostatnich latach z pogorszeniem tego stanu rzeczy. Potwierdzeniem zaś tego są badania nowowstępujących na studia akademickie.

Ten stan rzeczy, a zwłaszcza postępujące z latami jego pogorszenie, powinny zaalarmować całe społeczeństwo i przede wszystkim Władze, nie tylko oświatowe. Zdrowie obywateli to bogactwo i potęga narodu i państwa, to rękojmia jego niepodległości i pomyślnego rozwoju. Wprawdzie w omawianych powyżej zestawieniach jest mowa prawie wyłącznie o chorobach serca, lecz wiadomo, że od stanu serca zawisło zdrowie i zdolność do pracy. Chory na serce nie tylko nie potrafi bronić kraju, ale będzie także lichym pracownikiem, zamiast przysparzać dochodów społeczeństwu,

stanie się raczej ciężarem, na który inni będą musieli pracować.

Trzeba więc co prędzej przystąpić do zbadania — nie tyle stanu zdrowotnego młodzieży i mnożenia tym samym komisyj i papierów — lecz *źródła*, z którego zło płynie. Należy stwierdzić naprzód, jakie czynniki w życiu szkolnym przyczyniają się do wzrostu liczby zachorzeń serca, by móc potem rozwinąć skuteczną akcję nad ich usunięciem lub przynajmniej ograniczeniem.

Pierwsza i najważniejsza część tego zadania — zbadanie czynników chorobotwórczych — należy do lekarzy, zwłaszcza szkolnych. Uwagi i obserwacje rodziców i wychowawców będą tu cenną pomocą i uzupełnieniem. Wyzyskanie tych danych i dalsza akcja będzie rzeczą władz oświatowych i służby zdrowia.

Co się tyczy pierwszego punktu — wyszukania przyczyn zła — trzeba jasno sprecyzować jego zadanie, inaczej cała akcja będzie chybiona i zaznaczy się jedynie nowym zalewem okólników oraz zatruwających życie nauczycielom i wychowawcom statystyk i sprawozdań, najprawdopodobniej praktycznie bezwartościowych.

O cóż więc chodzi? — Przede wszystkim nie o wyszukiwanie i zestawianie wszelkich przyczyn ujemnego stanu zdrowotnego młodzieży szkolnej. Wszyscy już wiedzą, że należą do nich: nędza, kryzys gospodarczy, ciasnota i niedostateczna higiena mieszkań, brak odżywienia i odzieży, w szkole zaś przepełnienie klas i stąd złe powietrze i pył, brak boisk itd. Wszyscy umieją również na pamięć, że „jak się podniesie ogólny stan gospodarczy, to i te niedomagania stopniowo znikną".

Nie byłoby również szczęśliwym wciąganie w obręb badań wszystkich chorób, występujących wśród młodzieży szkolnej. Chorób tych jest bowiem dużo, dochodzenie wszechstronne utrudniłoby więc tylko i co najmniej bardzo opóźniło osiągnięcie jakiegokolwiek realnego wyniku. Badania, jeśli mają być gruntowne i w krótkim czasie doprowadzone pomyślnie do końca — a o pośpiech tu chodzi — muszą się ograniczać do jak najmniejszej liczby chorób.

Co więcej zdaje się, że nawet tę najmniejszą liczbę byłoby dobrze zredukować do tej jednej choroby, która jest rzeczywiście groźną, a przy tym pozostaje w szczególnie bliskim związku z samą szkołą — do chorób serca. Wprawdzie właściwy obraz stanu zdrowotnego młodzieży daje stan jej płuc i serca, ale podczas gdy zły stan płuc ma swe źródło przeważnie w czynnikach pozaszkolnych (silnie panująca u nas gruźlica, nędza mieszkaniowa i gospodarcza, brak urządzeń higienicznych i leczniczych), którym szkoła nie potrafi zaradzić, to w zakresie chorób serca, szkoła może bardzo wiele uczynić, zarówno w celu zapobieżenia im, jak leczenia. Tej zapewne okoliczności należy przypisać, dlaczego ze strony lekarzy tyle uwagi poświęcono w ostatnich czasach chorobom serca wśród młodzieży i ich przyczynom.

Zamiast przytaczać różne zdania, z jakimi spotkaliśmy się na ten temat w literaturze lekarskiej, uczynimy może lepiej, jeśli odwołamy się do opinii znanego nam dra T. Bok'a. Jest ona bowiem logicznie uzasadniona i opiera się na najdłużej i systematycznie prowadzonej obserwacji.

Po przedłożeniu i ogólnej analizie materiału — jaki podaliśmy poprzednio w tablicy 2 i 3 — pyta dr Bok: co może być przyczyną tego „złowrogiego zjawiska", jakim jest tak wysoka i rosnąca w ostatnich latach liczba chorób serca u młodzieży szkół powszechnych i średnich? — I odpowiada:

1) „Nie możemy ryczałtem uzależnić wzrostu ilości schorzeń serca od kryzysu materialnego, a w każdym razie związek ten uznać należy za dość luźny". Złe warunki materialne wpływają bowiem głównie na rozwój gruźlicy i niedokrwistości, a mniej na stan serca. Nadto tablica 3 wykazuje dość silny wzrost trwałych chorób serca już w r. 1929, który nie był jeszcze rokiem kryzysowym, oraz w r. 1930, który nie mógł jeszcze wywrzeć tego rodzaju następstw na narządach krążenia.

2) Także okres pokwitania, wraz z towarzyszącymi mu zmianami, „nie może być ani jedyną, ani nawet poważną przyczyną" stwierdzonego u młodzieży wzrostu zachorzeń na serce. Wpływ taki jest czasem możliwy, są to wszakże najczęściej objawy przejściowe, owszem w wielu wypadkach następuje wtedy nawet poprawa dotychczasowych niedoma-

gań. Po wtóre, okres pokwitania przechodziła młodzież zarówno 1928 jak 1934 roku, a tym czasem wówczas odsetek chorób serca wynosił 1·7 proc. a potem 5·5 proc. (p. tabl. 3).

Wobec tego, powiada dr Bok należy szukać gdzie indziej właściwych przyczyn chorób serca:

3) Pierwsza z nich, to przeciążenie umysłowe, spowodowane stawianiem młodzieży coraz wyższych wymagań, absorbujące jej siły i czas, nie dozwalające na potrzebny odpoczynek i rozrywkę.

„Młodzieniec, pracujący po 6, a czasem i po 7 godzin w szkole, a potem 4—5 godzin w domu (nieraz i 6 g.), obecny na obowiązkowych zebraniach kół naukowych, samorządowych społecznych, bywający również na uroczystościach okolicznościowych — jest bardziej przeciążony pracą umysłową, a często związanym z tym wysiłkiem fizycznym, niż starszy od niego, wykwalifikowany i silniejszy urzędnik".

„Praca młodzieży" w szkole i w domu dla szkoły zabiera jej przeciętnie 11 godzin dziennie (praca w szkole, praca domowa, zebrania); jeżeli do tego się doda 9 godzin snu, $1^1/_2$ na posiłki, 1 godzinę na toaletę, to pozostanie jej przeciętnie $1^1/_2$ godzin na dobę. A przecież w tych $1^1/_2$ godzin mieści się i czas na czytanie obowiązkowych i nieobowiązkowych książek, pism, ewentualnie na lekcje muzyki i obcych języków: a gdzież jeszcze czas dla siebie, swych rozrywek upodobań etc.? — „Kiedyż więc odpoczywa nasza młodzież, szczególnie ta pilna i obowiązkowa? — Niestety... tylko we śnie".

Na podstawie tych danych oświadcza dr Bok: „Ponieważ każda praca, nie tylko fizyczna, ale i umysłowa, wpływa na działalność serca, przeto twierdzę, że przeciążenie umysłowe wpływa wydatnie na wzrost ilości zachorowań na serce wśród młodzieży w wieku szkolnym".

4) Druga przyczyna, to przeciążenie fizyczne, będące następstwem nieroztropnie uprawianego sportu. Kierownicy jego zapominają nieraz, że młodzież szkolna to nie ludzie silni i fizycznie dojrzali, ale „materiał dojrzewający i pod względem zdrowotnym różnorodny", który trzeba dlatego traktować bardzo oględnie, tak co do doboru ćwiczeń, jak złączonego z nim wysiłku.

Ćwiczenia fizyczne, dostosowane do siły i stopniowane, są dla młodzieży pożyteczne i nawet konieczne. Podobnie

sport, traktowany należycie, jest nie tylko miłą rozrywką, ale pomaga do fizycznego i moralnego rozwoju człowieka. Niestety jednak, zauważa dr Bok, młodzież nasza szkolna powoduje się tu nieraz

„ambicją... niewspółmierną z zasobem siły i zdrowia — trenuje, ćwiczy, biega, kopie i skacze bardzo często ponad możność nawet najzdrowszego serca. Młodzieniec, który po 3 godzinnej grze w tenisa, po szaleńczej jeździe na rowerze staje przed nami blady, bez tchu, z tętnem, bijącym zamiast 80 razy — 160 do 180 na minutę — jest kandydatem na pacjenta lekarza chorób nerwowych. Ileż mamy tych serc przetrenowanych, przemęczonych, przerosłych... Na dowód, że właśnie to przemęczenie fizyczne jest często przyczyną schorzeń sercowych", podaje autor kilka przykładów, po czym wnioskuje, że wpływ tych czynników fizycznych na stan serca — nie może ulegać wątpliwości.

„Reasumując — kończy swe uwagi dr Bok — dochodzę do wniosku, że coraz gorszy stan serca naszej młodzieży szkolnej spowodowany jest przede wszystkim nadmiernym wysiłkiem zarówno fizycznym jak i umysłowym. Że zarówno okres pokwitania, będący zresztą zjawiskiem fizjologicznym, jak i srożący się wciąż kryzys materialny — odgrywają w tym procesie dość poślednią rolę; że wymagania fizyczne i umysłowe, stawiane młodemu pokoleniu, hartują tylko pewne, bardziej odporne jednostki, skazując natomiast coraz większą rzeszę młodzieży na smutne życiowe kalectwo. A kalectwo to mścić się będzie na wydajności pracy polskiej, na konsumcji społeczeństwa, jednym słowem — na rozwoju siły i potęgi Polski."

Artykuł dra Bok'a, zamieszczony przed rokiem, nie spotkał się dotychczas z zaprzeczeniem ze strony lekarskiej (w każdym razie nie znalazłem takiego zaprzeczenia), okoliczność tę możemy więc uważać za pewnego rodzaju milczącą zgodę na jego tezę. Owszem, o ile chodzi o wpływ przeciążenia fizycznego przy sportach, mamy sporo innych świadectw, które idą po tej samej linii.

Do lekarzy, którzy tej dziedzinie poświęcili już dużo czasu i pracy, opartej na bogatym materiale doświadczalnym, należy także dr fil. i med. Eleonora Reicher, doc. Uniw. J. P. (Warszawa). Zdaniem jej, powiększenie wymiarów serca

w następstwie silnego uprawiania sportów, jest dziś u młodzieży objawem względnie częstym, który w pewnych granicach może być uważany za wyraz celowego przystosowania się ustroju, ale który już wymaga nadzoru lekarskiego, ponieważ przy większym wysiłku może przejść łatwo w stan patologiczny.

Nie zadawalając się tą ogólną uwagą, która odnosi się zresztą do wszystkich sportowców, ma dr E. Reicher także dość poważne zastrzeżenia pod adresem wychowania fizycznego w szkole dzisiejszej. Zarzuca mu, że „z natury rzeczy standaryzowane, jest (ono) jednakowe dla wszystkich jednostek, uczęszczających do tego samego oddziału czy klasy", co nie pozwala na dostateczne uwzględnienie różnicy płci, wieku, rozwoju i indywidualności fizycznej jednostki. Należy się więc, powiada, „poważnie zastanowić, czy... metody współczesnego wychowania fizycznego są w istocie dobrodziejstwem dla młodzieży" i czy nie należałoby ich lepiej zbadać i celowo przystosować do „potrzeb fizjopatologicznych młodzieży, szczególnie w okresie dojrzewania, cechującym się chwiejnością różnych czynności ustrojowych".[1])

Zarzuty, postawione powyżej naszemu wychowaniu fizycznemu w szkole, spotykają się z potwierdzeniem ze strony wielu lekarzy szkolnych; m. i. dr med. W. Spychała, którego wyniki badań u kandydatów do studiów akademickich w Poznaniu przytoczyliśmy na początku, podnosi, że związek pomiędzy zauważonymi wtedy schorzeniami serca a uprawianiem sportów „nie ulega wątpliwości... Gimnastykę i sport uprawiało systematycznie w gimnazjum 85·2 proc. Prawdopodobnym jest, że schorzenia serca stwierdzone u wstępujących, wynikły z niewystarczającego nadzoru lekarskiego, względnie nadmiernego uprawiania sportu".

Lepsza organizacja wychowania fizycznego w szkole i sportu młodzieży szkolnej, oraz zapewnienie wymaganej przy tym opieki lekarskiej — takie byłyby więc główne postulaty, konieczne, jeśli chcemy, by wychowanie to prowadziło do wy-

[1]) Dr Phil. et Med. Eleonora Reicher: „Zaburzenia krążenia u młodzieży". *Wiedza Lekarska*, 1936 nr 9, str. 245 (jest to dc. dłuższej rozprawy, ciągnącej się przez parę zeszytów tego pisma).

ników pożądanych. Dodajmy, że reforma ta powinna nastąpić szybko, by stwierdzony powyżej niezdrowy proces nie poczynił tym czasem dalszych spustoszeń.

Mówiąc to, dalecy jesteśmy od stawiania jakichkolwiek oskarżeń. Nie chodzi nam o podnoszenie zarzutów ani przeciw kierownikom wychowania fizycznego i sportu, ani przeciw władzom szkolnym lub lekarzom. Chodzi nam jedynie, tak samo jak im, o dobro młodego pokolenia, a z nim Polski!

Przeglądając różne sprawozdania i rozprawy, zdajemy sobie sprawę z dobrej woli i ogromu wysiłków w tym względzie uczynionych, oraz z trudności wszelakiej natury, jakie tu stają na przeszkodzie. Doświadczenia, jakie poczyniono i braki, które znaleziono, mają posłużyć tylko jako wskaźnik dalszej pracy, w celu usunięcia dotychczasowych błędów i dla postępu naprzód. Wykonanie tego programu będzie rzeczą kompetentnych czynników, ponieważ jednak sprawa zdrowia młodzieży obchodzi wszystkich, dobrze będzie, jeśli społeczeństwo zapozna się z tymi zagadnieniami i zechce przyjść z pomocą. Uświadomieniu temu służyć ma obecny artykuł, choć z natury rzeczy nie może rozwinąć wszystkiego i musi się ograniczyć do zagadnień istotnych i nakreślenia ogólnego tylko obrazu. [1])

Jak wynika z dotychczasowych rozważań, jedną z najpilniejszych rzeczy jest zmniejszenie umysłowego i płynącego stąd fizycznego przeciążenia naszej młodzieży szkolnej. Czyż to nie jest rażącym, że po godzinie 3-ej spotyka się na mieście gromady młodzieży, powracającej dopiero do domu z szkoły, w której rozpoczęły naukę o godz. 8-mej, a z domu wyszły może bardzo wcześnie, jeśli mieszkają daleko? Dawniej młodzież opuszczała mury szkolne o godz. 12-tej, a w gimnazjach przeciętnie o 1-ej i wystarczało jej to, była mniej zmęczona, a do studiów uniwersyteckich lepiej przy-

[1]) O samym zagadnieniu sportu i wychowania fizycznego pisałem już dawniej w artykule „Sport dzisiejszy a wychowanie fizyczne" (*Przegląd Powszechny* z grudnia 1930 r. str. 292) i w *Podręczniku Pedagogicznym*, Kraków, wyd. 2, str. 84 n. — Specjalną pracę o tym zagadnieniu napisał prof. dr Eugeniusz Piasecki: *Zarys Teorii Wychowania Fizycznego*, wyd. 2, Lwów 1935.

gotowana. Czy nie możnaby więc zmniejszyć liczby różnych ćwiczeń, często mało-celowych, kół i kółek, bez zbytniej szkody dla wykształcenia, a z wielkim pożytkiem dla zdrowia?

Drugi, nie mniej pilny a ważny punkt, to uregulowanie ćwiczeń fizycznych i sportu młodzieży szkolnej. Sprawa to jednak, przyznajemy najzupełniej, nie łatwa.

Że wychowanie fizyczne i sport mają służyć zdrowiu i rozwojowi tężyzny fizycznej, a pośrednio przyczynić się do wyrobienia różnych zalet duchowych — jak męstwo, siła woli, spostrzegawczość, zdolność szybkiej decyzji — to nie ulega wątpliwości i nie ma tu różnicy zdań. Ażeby jednak ćwiczenia cielesne mogły rzeczywiście stać się pomocą w osiągnięciu tego celu, powinnyby, zdaniem lekarzy, być możliwie indywidualizowane, czyli dostosowane — pod względem doboru, czasu trwania i miary wymagań — do stanu zdrowia jednostki. Tymczasem w szkole, gdzie ćwiczenia są zbiorowe, taka selekcja jest niemożliwa do przeprowadzenia. Pozostaje jedynie droga środkowa: przystosowanie ćwiczeń do miary przeciętnej w danej grupie młodzieży i zwalnianie pewnych osobników, częściowe lub całkowite, od udziału.

Rozwiązanie takie wydaje się prostem i nawet łatwem, ale nie jest nim bynajmniej w praktyce. Dużą trudność stanowi zwłaszcza sprawa zwalniania słabowitych i chorych uczniów, gdyż powinno ono zależeć od wyniku badania lekarskiego, a tego lekarza często nie ma. Nauczycielstwo, wobec nacisku wyższych władz na udział młodzieży w ćwiczeniach fizycznych, boi się tego robić na własną rękę, zwłaszcza że wie, że sporo młodzieży stara się wykrętnie uwolnić od tych zajęć. Kończy się na tym, że zdrowy ale sprytny uczeń zostanie zwolniony, a chory lecz poczciwy ćwiczy z szkodą dla swego zdrowia. Fakt ten można co pewien czas stwierdzić w szpitalu dziecięcym; od dzieci, cierpiących na wadę serca, ze zdumieniem dowiaduję się, że brały udział w ćwiczeniach gimnastycznych i wycieczkach na równi ze zdrowymi. Tu widzi się również, przy wypadkach poważnego schorzenia nerek lub zapalenia stawów, nabytych na forsownych i bez względu na stan odzieży biednych dzieci organizowanych wyprawach, ile to „zdrowia

i tężyzny fizycznej" zdobywa na całe czasem życie nieszczęsna ofiara wychowania fizycznego.

Innego rodzaju i może jeszcze większa trudność tkwi w samej istocie sportu. Wszyscy zgadzają się w tym, że sport wychowawczy nie powinien być nigdy wyczynowym, tj. dążyć do rekordów, które narażają młode organizmy na zbytni i stąd dla serca szkodliwy nieraz wysiłek. Tymczasem młodzież nie posiada tego zrozumienia i choćby nawet powiodło się utrzymać nad nią dostateczny nadzór w szkole, nie podobna prawie dopilnować jej skutecznie, by poza szkołą, w różnych prywatnych czy dorywczych zespołach, nie dała się unieść manii wyczynów. Przychodzi to tym trudniej, że w samej naturze sportu leży idea współzawodnictwa, która stanowi właściwą atrakcję tych ćwiczeń, spotęgowaną jeszcze w umysłach młodzieży przez popisy sportowców zawodowych, olimpiady i prasę. Wiz. Zygmunt Wyrobek, który zastanawia się nad możliwościami organizacyjnymi sportu młodzieży szkolnej, uważa ten problem za szczególnie trudny i sądzi, że choćby się nawet stworzyło koło sportowe najlepiej zorganizowane i rządzące się wcale niesurowym regulaminem, to jednak „nie należy się łudzić... (by ono) mogło zadowolić wszystką młodzież szkolną", zwłaszcza starszą, która lubi uprawiać sport w formie więcej nasilonej z dążeniem do mistrzostw. [1])

Wymienione powyżej trudności, jakkolwiek wielkie, nie są jednak niepokonalne, a przez umiejętne kierownictwo i dostateczną opiekę lekarską będzie można coraz skuteczniej ograniczać szkodliwe ich następstwa. Fachowy kierownik wychowania fizycznego i dobry lekarz potrafią, przy zgodnej współpracy, osiągnąć tu bardzo wiele. Chodzi tylko o ich zdobycie. — Co w tym kierunku zrobiono i co jeszcze pozostaje do zrobienia?

Przygotowanie kadr nauczycieli ćwiczeń fizycznych odbywa się u nas od dłuższego czasu w Państwowym Instytucie Wychowania Fizycznego w Warszawie (Bielany) oraz w Studium Wychowania Fizycznego przy uniwersytecie kra-

---

[1]) Wiz. Zygmunt Wyrobek: „Zarys struktury organizacyjnej sportu w szkole". *Wychowanie Fizyczne*, 1935 nr. 1—2, str. 12.

kowskim i poznańskim. Poza tym urządza się kursa dokształcające. Ogólna liczba tych nauczycieli jest jednak niewielka; od r. 1919—1934 wykształcono 1.308 osób (705 nauczycieli i 603 nauczycielek), mogą więc objąć jedynie szkoły średnie i kierownictwo różnych ośrodków i klubów sportowych. W szkołach powszechnych nauczyciele innych przedmiotów muszą spełniać równocześnie rolę wychowawców fizycznych, o ile zapoznali się z nią podczas studiów nauczycielskich lub na kursach dokształcających. [1])

Przydzielenie do każdej szkoły lekarza, który byłby zarazem higienistą, a w miastach możliwie pediatrą, czuwał systematycznie nad stanem zdrowia młodzieży i nad jej wychowaniem fizycznym, stanowi dziś inną, poważną ze względów finansowych trudność. Stosunkowo najlepiej załatwiono tę sprawę u młodzieży akademickiej, której liczba jest względnie niewielka i która rozporządza w swych instytucjach dość znacznymi funduszami. [2]) Również w szkołach średnich, jako znajdujących się po miastach, samo przydzielenie lekarzy nie napotyka na poważniejsze przeszkody; inna rzecz, że w praktyce opieka lekarska zorganizowana jest tu bardzo niejednolicie.

Najgorzej przedstawia się sprawa opieki lekarskiej nad młodzieżą szkół powszechnych, zwłaszcza po wsiach. I tu jednak, o ile mamy oprzeć się na zdaniu niektórych lekarzy, położenie nie jest rozpaczliwe, należy tylko znaleźć szczęśliwy sposób rozwiązania przydziału lekarzy i materialnej strony przedsięwzięcia. Jak wielka panuje pod tym względem rozbieżność pomysłów, świadczy najlepiej fakt, że projek-

---

[1]) Por. sprawozdanie pt. „Wychowanie fizyczne w szkołach Rzeczypospolitej". *Wychowanie Fizyczne,* r. 1935 nr 1—2 str. 117. — Jest to jeden z rozdziałów obszernego sprawozdania: „Zarys działalności Państwowego Urzędu Wychowania Fiz. i Przysposobienia Wojskowego".

[2]) W sprawie organizacji tej opieki p. Okólnik Min. W. R. i O. P. z dn. 22 grudnia 1932 r., o opiece zdrowotnej nad młodzieżą szkół wyższych. *Dziennik Urzędowy Min. W. R. i O. P.* r. 1933 nr 1 poz. 4. — Sprawa zdrowia młodzieży uniwersyteckiej stała się od niedawna przedmiotem zainteresowania międzynarodowego. W 1933 odbył się w Leysin I, a w r. 1936 w Atenach II Zjazd Międzynarodowy w sprawie ochrony zdrowia studentów. Por. sprawozdanie o nim przez delegata, dra Stan. Karasińskiego w *Nowinach Lekarskich,* r. 1936 nr 21, str 678.

towi dra Bogdanowicza (z r. 1934), który dla zorganizowania opieki lekarskiej nad tą młodzieżą szkolną żąda 9.000 lekarzy i 54 milionów złotych rocznie — przeciwstawia prof. dr W. Gądzikiewicz (Kraków) swój plan, podług którego wystarczy lekarzy $1^1/_2$ tysiąca, a całkowity koszt roczny wyniesie około 6 milionów złotych.[1]) Różnica chyba nie do pogardzenia, zwłaszcza że pierwszy projekt jest w naszych warunkach w ogóle niewykonalny.

Prof. dr Gądzikiewicz wychodzi z założenia, że sprawa zdrowia młodzieży interesuje całe społeczeństwo i państwo, powinna więc zostać zorganizowana w najściślejszej współpracy albo nawet przez samą ogólno-państwową służbę zdrowia, a nie być pozostawioną do uznania władz szkolnych. Oddanie jej władzom szkolnym prowadzi tylko do tego, że z opieki lekarskiej w szkołach „albo się zupełnie rezygnuje albo też podaje się fantastyczne obliczenia" (jak dra Bogdanowicza). Na wypadek, gdyby państwo nie mogło się zdobyć na razie na wspomniane 6 milionów zł na cele opieki lekarskiej nad młodzieżą szkół powszechnych, proponuje prof. G. tymczasowo inne wyjście, przy którym zaoszczędzonoby z tej nawet sumy jeszcze blisko 2 miliony; radzi mianowicie powierzyć funkcję lekarzy szkolnych tym lekarzom okręgowym w Małopolsce i rejonowym w innych dzielnicach Polski, którzy obecnie pracują na prowincji.

W dziale opieki lekarskiej nad młodzieżą szkolną podaje prof. Gądzikiewicz inny jeszcze pożyteczny projekt, mający na celu zepewnienie dostatecznej kontroli nad zdrowotnością młodzieży. Żąda mianowicie gruntownej reformy statystyki chorobowości i sposobu składania sprawozdań przez lekarzy szkolnych.

Dotychczasowa statystyka z ostatniego dziesięciolecia była, jego zdaniem, „zorganizowana fatalnie, a zebrany materiał statystyczny nie nadaje się niestety zupełnie do poważnego opracowania statystycznego i snucia wniosków na przyszłość". Zamiast tej „papierowej roboty, nadmiernego obciążenia i zbędnej pisaniny lekarzy szkolnych", stawia

[1]) Prof. dr W. Gądzikiewicz: „Organizacja nadzoru sanitarnego nad szkołami powszechnymi i rola lekarza powiatowego w tym nadzorze". *Nowiny Społeczno-Lekarskie*, r. 1936 nr 1—2, str. 3.

dlatego postulat prowadzenia statystyki zachorzeń w szkołach powszechnych zgodnie z wymaganiami ogólnej statystyki sanitarnej. — Kto zna nagminne panowanie *morbi statistici* w naszych urzędach i w szkolnictwie, ten do uwag powyższych przyłączy się chyba bez wahania.

Oczywiście właściwą ocenę projektu prof. Gądzikiewicza pozostawiamy kompetentnym czynnikom. Zatrzymaliśmy się jednak nad nim, by podkreślić go jako próbę konkretnego postawienia zagadnienia opieki lekarskiej w ramach wykonalnych, a tym samym mającą widoki wyjścia poza piękne teorie i życzenia.

Wyrażeniem gorącego pragnienia, by na projektach i dobrych chęciach się nie skończyło, zamykamy niniejszy artykuł. Garść faktów w nim zestawionych — choć objęliśmy jeden tylko odcinek, choroby serca — jest już poważnym ostrzeżeniem, by nie zwlekać z poprawą obecnego stanu rzeczy. Gdyby bowiem dotychczasowy proces trwał w dalszym ciągu — przestrzega dr T. Bok — „bliskim byłby już czas, w którym komisje wojskowo-lekarskie musiałyby zwalniać chyba 50 proc. przyszłych obrońców ojczyzny, a ciężar utrzymania i leczenia młodych inwalidów spadłby przytłaczającym kamieniem na barki i tak już ubogiego społeczeństwa".

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Konflikty na Dalekim Wschodzie.

Niedawny wybuch nowej wojny domowej w Chinach Północno-Zachodnich, będącej na pozór zwykłą walką „dwuch marszałków" o władzę, znaczenie i pieniądze oświetla raz jeszcze, w sposób wyraźny, istotny charakter gry politycznej na Dalekim Wschodzie.

Okazało się bowiem, iż poza rywalizacją osobistą jednostek i grup, chodziło tam w pierwszej linii o wywarcie presji na Czang-Kai-Szek'a w kierunku zmiany polityki centralnego rządu Chin na prosowiecką i antyjapońską.

Przypomnijmy krótko ostatnie wypadki.

W sobotę 13-ego grudnia ub. r. rozeszła się nagle po świecie całym wiadomość, że Czang-Kai-Szek padł ofiarą zamachu ze strony marszałka Czang-Hsu-Liang'a, będącego w porozumieniu z chińskimi wojskami komunistycznymi, a zapewne także z Kominternem w Moskwie. Zaskoczony podczas ważnej narady ze swymi generałami, został on otoczony i wzięty w niewolę, mimo oporu swej gwardii. Poległo przy tym kilku generałów, podkomendnych Czang-Kai-Szek'a a szef sztabu generalnego Sien-Ta-Szun zmarł z odniesionych ran. Działo się to w pobliżu miasta Sian-Fu, stolicy prowincji Szen-Si, gdzie też uwięziono Czang-Kai-Szek'a. Ten ostatni przybył niedawno z Nankinu, aby stanąć na czele wojsk rządu centralnego, zgrupowanych w tej części Chin dla walki z armiami paru „czerwonych generałów". Podobno oddziały nankińskie nie okazały dostatecznej chęci walczenia, co właśnie było powodem przyjazdu naczelnego wodza. Mimo to jednak — dywizje nankińskie przeszły na stronę komu-

nistów. Połączył się z nimi ponadto i marszałek Czang-Hsu-Liang, znajdujący się w pobliżu na czele własnej armii. W ten sposób doszło do uwięzienia Czang-Kai-Szek'a i rozgromnienia jego przybocznych oddziałów.

Jednocześnie marszałek Czang-Hsu-Liang sformułował pod adresem rządu w Nankinie szereg postulatów politycznych. Są one bardzo charakterystyczne i rzucają jaskrawe światło na samą genezę konfliktu.

Czang-Kai-Szek'owi oznajmiono bowiem wyraźnie, że może odzyskać wolność, stanowisko, wpływy i znaczenie w Chinach, jeżeli zmieni dotychczasowe podstawy swej polityki, nadając jej wręcz odmienny kierunek: pro-sowiecki, filokomunistyczny i anty-japoński. Warunki te sformułowano z całkowitą jasnością. Wszak w toczących się układach zażądano: przerwania walki z czerwonymi armiami w Chinach; przywrócenia udziału komunistów w Kuomintangu, czyli obozie rządzącym, tak, jak przed 1927 r.; zawarcia sojuszu z Z.S.R.R.; domagano się zbrojnego oporu przeciw Japonii, aż do odebrania Mandżurii; utworzenia rządu obrony narodowej; zwołania konferencji między przywódcami komunistów a reprezentantami rządu w Nankinie, celem ustalenia współpracy i planu działania; zapewnienia wolności słowa, prasy i poglądów; wreszcie amnestii dla wszystkich więźniów poiitycznych.

Wytyczne tak ujętego propramu można więc streścić w następujących zasadniczych postulatach: 1) zerwanie z Japonią; 2) ścisłe związanie się z Rosją Sowiecką; 3) inauguracja poiltyki tzw. frontu ludowego w Chinach.

Inspiracje moskiewskie są tu aż nadto wyraźne. Mimo to jednak — a może właśnie dlatego — źródła sowieckie uporczywie wskazują na Japonię, jako główną inicjatorkę zamachu. Wszystko jednak przemawia za tym, iż jesteśmy świadkami wyraźnej akcji dywersyjnej ze strony Sowietów, wobec zawartego niedawno porozumienia władz japońskich z marszałkiem Czang-Kai-Szek'iem i jego polityki wrogiej komunizmowi. Czynnik rywalizacji między Czang-Hsu-Liang'iem a dyktatorem nankińskim, zarówno jak upadek ducha wśród wojsk rządu centralnego — stał się podatnym gruntem dla agitacji organów Kominternu. Nie żałowano za-

pewne obietnic i złota, a tego rodzaju argumenty są w Chinach jeszcze bardziej skuteczne, niż gdzie indziej.

Rząd centralny zareagował ze swej strony na opisane wypadki w sposób dwojaki: nawiązał rokowania z Czang-Hsu-Liang'iem o uwolnienie swego szefa i rozpoczął represje zbrojne, wysyłając przeciw buntownikom wierne sobie dywizje wojsk nankińskich.

Pertraktacje o wypuszczenie na wolność samego Czang-Kai-Szek'a mają odrębny charakter. Z ramienia Nankinu prowadzą je kolejno: dziennikarz brytyjski, a zarazem doradca rządu centralnego, W. H. Donald, szwagier uwięzionego i znany finansista T. V. Soong, minister finansów H. S. Kung, a wreszcie żona marszałka Czang-Kai-Szek'a. Odleciała ona podobno do Sian-Fu, chcąc być u boku męża. Czang-Hsu-Liang zażądał pierwotnie za uwolnienie marszałka okupu w kwocie 300 milionów dolarów chińskich, wypłacenia podwładnym sobie oddziałom zaległego żołdu, zaopatrzenia ich w broń, amunicję i umundurowanie oraz przeniesienia tychże wojsk do bardziej żyznych okolic, niż złupione przez nie doszczętnie prowincje północno-zachodnie.

Na czele wiernych rządowi wojsk, zbliżających się do Sian-Fu stanął osobiście, minister wojny, gen. Ho-Ying-Czing. Naczelne dowództwo nad armią objął, w zastępstwie uwięzionego wodza, gen. Fen-Yu-Siang, przewodniczący rady wojennej.

Akcja wojskowa rządu centralnego była jednak jedynie osłoną dla prowadzonych bez przerwy rokowań o uwolnienie Czang-Kai-Szek'a. Posuwają się one dość żywo naprzód, wobec stanowiska Anglii, Ameryki i Włoch, które w obawie przed skomunizowaniem Chin, energicznie interweniują u Czang-Hsu-Liang'a, skłaniając go wreszcie do ustępstw. Wobec tak wyraźnego stanowiska mocarstw również i Rosja Sowiecka pośpiesznie wycofuje się z gry, która staje się zbyt ryzykowna.

W takich okolicznościach, 24-ego grudnia ub. r. dochodzi wreszcie do zawarcia ugody, która jest właściwie kapitulacją Czang-Hsu-Liang'a. Ten ostatni oskarża się nawet publicznie, oświadczając swój żal, iż dał się użyć do

buntu i zamachu na wodza narodowego Chin. Mimo wstawiennictwa samego Czang-Kai-Szek'a — przywódcę buntowników skazano na 10 lat więzienia. Według krążących pogłosek czeka go jednak ułaskawienie, pod warunkiem wyjazdu do Europy.

Wygląda to wszystko pozornie na operetkę; o doniosłości jednak wypadków, jakie rozgrywają się właśnie w Chinach północno-wschodnich, świadczą najwymowniej wojskowe przygotowania sąsiadów.

Gorączkowe zbrojenia dokonywane przez Rosję Sowiecką na Dalekim Wschodzie w ciągu ostatnich miesięcy nie są już dla nikogo tajemnicą. Ostatnio doszła nas wiadomość, że gen. Blücher, głównodowodzący armiami Dalekiego Wschodu, wezwany został do Moskwy na parę godzin, poczym odleciał samolotem, powracając z niezwykłym pośpiechem do podległych sobie wojsk. — Z. S. R. R. zatem czuwa.

Rząd japoński, przez usta premiera Hiroty, oświadczył niedwuznacznie, iż nie będzie mógł tolerować bolszewizacji Chin. Równocześnie minister marynarki, admirał Nagano, wydał rozkaz trzymania wszystkich okrętów wojennych w pogotowiu na wypadek dalszego rozprzestrzeniania się komunizmu w Chinach. — Japonia stoi więc z bronią u nogi.

Działalność Czang-Kai-Szek'a, dążącego w czasach ostatnich do konsolidacji Chin w oparciu o współpracę z Japonią i tępiącego wpływy Kominternu na całym terytorium podległym jego władzy — stała się solą w oku czynników rządzących w Moskwie.[1]) Z chwilą bowiem, gdy zrozumiano, że, wobec czasowego załagodzenia stosunków chińsko-japońskich, Japonia może uzyskać zupełną swobodę ruchów na Dalekim Wschodzie — na Kremlu postanowiono działać. Spowodowano więc bunt części armii chińskiej pod hasłem sojuszu z Rosją i odebrania Mandżurii.

W ten sposób przygotowany został nowy konflikt na Dalekim Wschodzie.

---

[1]) Por. Tang-Leang-Li: *Chinas Kampf gegen den Kommunismus* — Szanghai, 1936.

Zamach się jednak nie udał i wybuch nie nastąpił. Mocarstwa zainteresowane w Chinach i mające tendencje pokojowe potrafiły i tym razem jeszcze — zażegnać wojnę domową.

Pomyślne zakończenie rewolty wojskowej w Chinach nie powinno jednak nikogo łudzić co do trwałości obecnego *status quo* w Azji Wschodniej. — Coraz wyraźniej rysuje się hipoteza, iż tylko wojna może przynieść trwałe unormowanie stosunków rosyjsko-japońskich. Interesy obu tych mocarstw nie dadzą się bowiem uzgodnić, ani trwale rozgraniczyć. [1])

Za kulisami wydarzeń chińskich zawsze więc działać będą wpływy i inspiracje obu tych wielkich partnerów zbliżającego się a nieuchronnego konfliktu zbrojnego w Azji.

Czynnikiem decydującym w tym starciu będzie ostatecznie nie dyplomacja ale armia. Rozumieją to doskonale Sowiety a rozumie to także Japonia. Stąd jej gigantyczny wysiłek w kierunku rozwinięcia do maximum militarnej potęgi.

Ludność Japonii wynosi dzisiaj, łącznie z terytorium Korei, Formozy, Sachalinu, Kwantongu, Peskadorów, wysp Karolińskich i archipelagu Marschall'a, zgórą 100 milionów głów. Przyrost naturalny stanowi przy tym około miliona rocznie.

Według obliczeń generała Sato, znanego pisarza wojskowego, państwo japońskie zmobilizować może — na wypadek wojny — 11.900.000 ludzi. Z cyfry tej — 3.800.000 żołnierzy może być użytych na froncie bojowym. [2]) — Kontyngent armi lądowej, podczas pokoju, wynosił w 1934 r. — 235.000 żołnierzy i 19.500 oficerów. Przy tym zgodnie z jednomyślną opinią zagranicznych kół wojskowych — żołnierz japoński jest świetnie wyszkolony i odznacza się nieporównaną wytrzymałością na trudy wojenne.

Według oficjalnych informacyj — dalekich od przesadnego ujęcia liczebności armi — efektywy wojsk lądowych,

[1]) Por. W. Bronowski: *Konflikt Chińsko-Japoński w świetle nowych wydarzeń* — Warszawa, 1933 — str. 37 sq.

[2]) Por. A. Zischka: *Japan in der Welt* — Leipzig, 1936, str. 111 sq.

na stopie pokojowej, obejmują 16 dywizyj, 1 dywizję gwardii, 4 brygady kawalerii i tyleż brygad artylerii ciężkiej. Lotnictwo liczy ponad 1.000 aparatów wywiadowczych, myśliwskich i bombardujących.

Państwo Mandżurskie, złączone ścisłym sojuszem z Japonią, posiada — ze swej strony — przeszło 75.000 armię, złożoną z 27 brygad mieszanych i 7 kawaleryjskich, a każda składa się z dwuch pułków.

W Japonii obowiązuje powinność wojskowa, lecz zaledwie 20% rekrutów, to jest około 100.000 rok rocznie bywa wcielona do służby, trwającej dwa lata. Wiek poborowych określono na lat 20. Po zwolnieniu z szeregów pozostają oni przez 15 lat w rezerwie. Służba w pospolitym ruszeniu obowiązuje natomiast już od 17 r. życia i aż do 40 lat.

Łączną kwotę wydatków na armię i flotę stanowi 46,6% całości budżetu państwowego. Nie jest to cyfra szczególnie rażąca w zestawieniu z sumami wydawanymi na zbrojenia przez inne mocarstwa. Łączna kwota zwyczajnych wydatków budżetowych na potrzeby armii wyniesie w roku 1936/37 — 507,5 milionów yenów. Prócz tego jednak, na przeciąg sześciu najbliższych lat, przewidziany jest kredyt specjalny w ilości 2 miljardów yenów łącznie. [1])

Ofiarność wszystkich warstw społecznych na potrzeby armii jest ogromna. Oto parę przykładów.

W drugiej połowie 1934 roku zakupiono dla armii — wyłącznie z ofiarności publicznej — 165 samolotów, 41 armat, 347 karabinów maszynowych i 31,000 hełmów stalowych dla piechoty. Zdarzył się wreszcie fakt gdzie indziej nie spotykany. Oto liczne grupy podatników zwróciły się do rządu i parlamentu z petycjami o p o d w y ż s z e n i e p o d a t k ó w celem dalszego zasilenia budżetu armii.

Ogromny rozwój przemysłu wojennego Japonii w ciągu ostatnich lat sześciu idzie w parze z ofiarnością publiczną na zwiększenie zbrojeń. Ilość robotników zatrudnionych w wytwórniach lotniczych wzrosła d z i e s i ę c i o k r o t n i e. W fabrykach sprzętu wojennego zainwestowano przeszło

---

[1]) Dane zaczerpnięte z wydawnictwa Ligi Narodów pt. *Annuaire Militaire International* — za rok ubiegły.

2 miliardy yenów stanowiących własność prywatną. Wszystkie potrzeby armii, w zakresie uzbrojenia i zaopatrzenia, mogą być już dzisiaj zaspokojone w kraju.

Szereg przedsiębiorstw zagranicznych, produkujących gazy, sprzęt wojenny i amunicję — jak Rheinmetall, Junkers, I. G. Farben, Krupp i inne — otwiera w Japonii filie swoich fabryk.

Największą jednak bolączką pogotowia wojennego Japonii jest niedostatek surowców, a przede wszystkim węgla i nafty, których znaczne ilości importowane są dziś jeszcze z poza granic Cesarstwa.

I chociaż samowystarczalność na wypadek wojny stanowi cel wytrwałych dążeń czynników wojskowych, rządowych i gospodarczych Japonii, to jednak nie jest ona dotychczas kwestią najbliższej przyszłości. Stanowi to niewątpliwie najżywszą troskę patriotycznych kół oficerskich oraz dowództwa armii.

Zwierzchnikiem bezpośrednim armii i floty jest — wedle konstytucji japońskiej — sam cesarz. Do jego prerogatyw monarszych należy niepodzielnie decyzja co do pokoju i wojny oraz sprawy dotyczące obrony państwa i organizacji sił zbrojnych. Uprawnienia te nie są przy tym nominalne, jak to ma miejsce zazwyczaj wszędzie tam, gdzie głowa państwa jest zarazem najwyższym szefem armii. — Obecny bowiem władca Japonii, J. C. M. Hirohito, posiada gruntowne wykształcenie wojskowe.

Autorytet tego monarchy, potomka w prostej linii stu dwudziestu trzech cesarzy — członków tej samej dynastii, jaka panuje w Japonii od dwudziestu siedmiu stuleci — nie ma sobie równego w żadnym państwie świata. — Osobę cesarza, będącego, w oczach wszystkich synów Nipponu uosobieniem tradycji moralnej narodu, otacza kult powszechny i niezachwiany.

W zakresie zwierzchnictwa wojskowego — bezpośrednio podlega cesarzowi szef sztabu generalnego, oraz najwyższa rada wojenna. Ta ostatnia składa się z szefów sztabu armii i floty, marszałków, generałów i admirałów, mianowanych jej członkami przez cesarza, oraz każdorazowych

ministrów wojny i marynarki. — Stanowisko tych ostatnich zasługuje na szczególną uwagę. — Obaj bowiem kierownicy resortów wojskowych — na mocy postanowienia z 1897 r. — muszą pozostawać w służbie czynnej. Obowiązuje ich więc — w innym stopniu niż ich kolegów z gabinetu — zasada bezwzględnego posłuszeństwa. Zdarzyło się już nawet niejednokrotnie, iż w ważnych sprawach ogólno-państwowych opinia sztabu generalnego sprzeczna ze stanowiskiem rządu, miała decydujące znaczenie. Armia bowiem japońska jest w gruncie rzeczy od rządu niezależna. W jednym tylko wypadku wymaga ona kontaktu z rządem i parlamentem, a to przy uchwalaniu budżetu. — W razie jednak ustąpienia ministra wojny, czy marynarki, na tle zatargu o wysokość kredytów wojennych — można nie znaleźć jego następcy. Żaden bowiem wojskowy w służbie czynnej nie zgodzi się na objęcie teki ministerialnej wbrew interesom wojska. Ogólne zresztą nastroje szerokich warstw narodu japońskiego, ich szacunek i sympatia są wyraźnie po stronie armii, a nie sfer politycznych i parlamentarnych.

Dojrzewa bowiem, już nie od dzisiaj, w opinii japońskiej proces krystalizacji dwóch jaskrawo odgraniczonych obozów. Jeden z nich stanowią partie polityczne, reprezentowane w parlamencie i korzystające z poparcia wielkich ugrupowań gospodarczych. Drugi hołdujący tradycyjnym aspiracjom narodowym i imperialnym — ma swoich przedstawicieli przede wszystkim w szerokich kołach wojskowych.

Cały prawie korpus oficerski w Japonii, podobnie jak i znaczna część opinii publicznej tego kraju, jest zdania, że cesarz, którego osoba otoczona jest czcią powszechną — nie może z całą swobodą pełnić swej misji monarszej. Jest on bowiem skrępowany przez partie polityczne i ściśle z nimi związane koncerny przemysłowe. Ten odłam narodu sądzi poza tym, iż rozwój kapitalizmu, którego przedstawiciele zaczynają wywierać wpływ coraz bardziej wyraźny na życie parlamentarne i prasę, jest powodem groźnej korupcji życia publicznego. — Uważa również merkantylizm i system wielko-kapitalistyczny — za niepożądany import obcego pochodzenia, zagrażający tradycjom życia publicznego i rodzinnego w Japonii. Coraz częściej w opinii sfer wojsko-

wych i ściśle z nimi związanych szerokich warstw narodu zaczyna dominować przekonanie, że pomyślna przyszłość Imperium Wschodzącego Słońca poważnie jest zagrożona skutkiem przenikania do życia jego obywateli „gangreny płynącej z Zachodu."

W myśl tak pojętej idei imperialnej staje do walki z destrukcyjnymi wpływami obcego pochodzenia szereg związków i lig patriotycznych. Największymi wpływami w społeczeństwie rozporządza — wśród tych ostatnich — Związek Rezerwistów Armii i Floty, liczący 53.000 oficerów, 80.000 podoficerów i 2.600.000 żołnierzy. Prowadzi on, obok innych stowarzyszeń tego rodzaju, intensywną propagandę patriotyczną i militarną.

Wszystkie analogiczne grupy głoszą konieczność przywrócenia narodowi właściwego oblicza moralnego i należytej prężności nazewnątrz. Ich aspiracje stanowią ciekawe połączenie dawnego ducha feudalnego i rycerskiego przodków z napływowymi prądami, będącymi dalekim echem haseł Mussoliniego i Hitlera. Fanatycy tego kierunku rekrutują się przeważnie z pośród młodszych oficerów armii lądowej, pochodzących przeważnie ze sfer ludu wiejskiego, który w Japonii cierpi dotkliwą nędzę. Oficerowie ci, pobierający niezwykle niskie gaże z kasy państwowej, nie mogą patrzeć obojętnie na rażący kontrast stopy życiowej, jaki istnieje między nimi a sferami przemysłowymi i bankowymi, mającymi znaczny wpływ na życie parlamentarne i prasę, na rządy w kraju i na bieg spraw publicznych.

Program tych grup, oprócz szeregu rozwiązań problemów socjalnych, zawiera przede wszystkim dążenie do potęgi, wielkości i ekspansji nazewnątrz Imperium Wschodzącego Słońca. Dla osiągnięcia tych celów, pojętych z właściwą Japończykom ofiarnością i zapałem, członkowie związków patriotycznych są zawsze gotowi do najwyższych poświęceń. Wielkość Japonii przesłania im całkowicie widoki szczęścia osobistego, powodzenia w karierze i innych własnych korzyści. Dla niej gotowi są w każdej chwili życie swoje poświęcić... Dali tego zresztą liczne dowody podczas całego szeregu zamachów na niepopularnych w kołach wojskowych, polityków i członków rządu, a ostatnio —

w czasie wielkiej rewolty wojskowej, jaka wybuchła w Tokio w końcu lutego ub. r. Są to idealiści i entuzjaści, walczący z oportunizmem politycznym i gospodarczym — w imię tradycji moralnej, potęgi i wielkości ojczyzny. Hasła, które głoszą, znajdują coraz szerszy oddźwięk w społeczeństwie, coraz głębiej przenikają w świadomość szerokich warstw narodu japońskiego. Tego rodzaju ewolucję poglądów zawdzięczać należy nastrojom kół wojskowych. Armia japońska jest dzisiaj bowiem doniosłym czynnikiem życia publicznego.

Pod jego wpływem cały naród japoński znajduje się ciągle w gotowości bojowej. Ta dyscyplina moralna, oraz stała gotowość do najwyższych poświęceń — jest zresztą dotychczas źródłem wielkości Japonii i nadzieją przyszłych jej losów. To też zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że w obronie swoich zdobyczy Japonia będzie walczyła — z każdym, kto jej stanie na drodze — do ostatniego tchu, do ostatniego żołnierza i ostatniego... yen'a.

Imperium Wschodzącego Słońca napewno nie dozna zawodu ze strony swojej armii.

Jeśli do tego niewątpliwego, jak się nam zdaje, faktu dołączymy walory sojuszu czy porozumienia z Niemcami a świeżo także z Włochami dalej rosnące wpływy japońskie w Chinach, to nie będzie zbyt trudno ocenić finał konfliktu, który dojrzewa na Dalekim Wschodzie.

Witold Bronowski.

Forpoczty nowego ustroju.

Punkty wyjścia.

Z dniem 4 marca br. Franklin Roosevelt wstępuje w nowe czterolecie swych rządów Stanami Zjednocz. A. P.

Poprzednia kadencja prezydialna uczyniła imię jego głośnym jako przodownika światowej walki z kryzysem gospodarczym. Gdzie indziej prowadzono ją również, w rozmaitych warunkach i z rozmaitym powodzeniem, często w skojarzeniu z tak wstrząsającymi przewrotami politycznymi, o jakich w Ameryce nie mogło być mowy. Potężne dyktatury monopartyjne zdolne i zdecydowane przebudować ustrój społeczny, dokładały niepospolitych wysiłków, by opanować rozkład ekonomiczny. Mimo to wyniki przez nie osiągnięte, choć godne uwagi, ustępują swą doświadczalną wartością dziełu Roosevelta. Czy tylko dlatego, że Stany w wyższym stopniu niż kontynentalne państwa europejskie odzyskały, pod jego kierownictwem, dobrobyt?

Powierzchownie patrząc — zapewne tak. Z tej strony jednak można podnieść zarzut, że w tak bogatym kraju i tak rozwiniętym gospodarstwie, jak amerykańskie, było to zadanie łatwiejsze niż w uboższej, a przeludnionej Europie. Stosunek Ameryki do kryzysu był prostszy niż w Starym Świecie, bo prostszą mimo całego ogromu, jest ich budowa społeczna. Ciężar życia nie jątrzy tam w tym stopniu, co po naszej stronie Atlantyku, wielkich zbiorowych namiętności politycznych, kryzys nie kojarzy się tam z żadną fanatyczną ideologią z pod znaku Marxa czy Hitlera. Gospodarstwo kapitalistyczne, w okresie powojennej już *prosperity*,

funkcjonowało tam świetnie. Właśnie dlatego, gdy się załamało, przystąpiono w Ameryce do jego odbudowy szczególnie obiektywnie z tą tylko myślą by opanować klęskę, nie zaś realizować jakiekolwiek doktryny. Dzięki temu praktycznemu obiektywizmowi, to czego tam dokonano sięgnęło dalej i stanowi cenniejszy dorobek od jakiegokolwiek innego materiału doświadczalnego w zakresie dróg, jakimi kryzys zwalczać można, oraz przekształceń do jakich to prowadzi.

Przypomnijmy przede wszystkim co to są Stany Zjednoczone i czym się różnią od krajów europejskich. Obszar równy połowie naszego kontynentu, ludność absolutnie i stosunkowo dwakroć mniej liczna, niebywale wszechstronna zasobność w surowce wytwarzają idealne warunki, ażeby w epoce industrializmu mogła powstać w Ameryce „najczystsza kultura" gospodarki kapitalistycznej. Tym bardziej, że sprzyjały temu niezmiernie również własności psychiczne tego etnicznego spławu najbardziej rzutkich, przedsiębiorczych i praktycznych elementów różnych narodowości, napływających do Ameryki w drodze emigracji. Nie dziw, że dolar, *bussines* i *prosperity* stały się dla tego społeczeństwa najwyższym i niemal wyłącznym impulsem życiowym, że szał materialnego produkcjonizmu święcił tam większe niż gdziekolwiek triumfy, że w tej dziedzinie kroczyła istotnie *America first.*

Obok starej Anglii stanęła też młoda Ameryka wkrótce na czele największych potęg industrialistycznych świata. W szybkim, gwałtownym swym na tej drodze rozwoju wytworzyła jednak, obok wspólnych, także pewne ważkie formy społeczne odmienne, na które należy zwrócić uwagę. Wspólną z Europą cechą stanowił pewien rodzaj automatycznej kolektywizacji procesów wytwórczych, odmianą zaś był fakt, że zrzeszanie w grupy interesów rozpoczęło się w Stanach skądinąd i rozwinęło inaczej niż w Europie. W słabo zaludnionej a zasobnej w dobra przyrodzone Ameryce ekonomiczna walka o byt nie musiała by się stać szczególnie ostrą, gdyby jej nie podżegała szczególnie ostra żądza zysku i bezwzględność w jej zaspokajaniu. Ten moment silniej niż w Europie wysunął na czoło budowy społecznej plutokrację. Zarazem w miarę przyrostu ludności, rozszerzania

konsumcji, technicznego doskonalenia produkcji oraz mnożenia się przedsiębiorstw indywidualnych, konkurencja między nimi stawała się coraz trudniejszą i nie wiodła do celu. Stąd rozwój w dwóch kierunkach: konkurencji nieuczciwej oraz organizacji kartelowej, czyli dyktatury wytwórczości nad spożyciem. Stosunek zorganizowanej produkcji do niezorganizowanej konsumcji stał się naczelnym zagadnieniem społecznym Stanów. Nie stał się zaś nim w tym stopniu co w Europie stosunek klasowy pracodawców do pracobiorców. W Europie przeciwnie, gęste zaludnienie i wielka podaż rąk do pracy wydaje robotnika na łaskę i niełaskę przedsiębiorcy, który skłonny jest przerzucać nań główny ciężar walki konkurencyjnej. Dlatego w Europie w rozwoju grup interesów przodują związki zawodowe pracobiorców, gdy w Ameryce trusty fabrykantów. Jedne zresztą, jak drugie wyłaniają się z zaciętej gospodarczej walki o byt, jako jej formacje bojowe.

Formowanie tych zrzeszeń, zarówno producenckich i kapitalistycznych, jak pracowniczych i konsumenckich, jest samorzutną reakcją obronną, która w łonie gospodarki indywidualistycznej i liberalnej powstaje przeciw wciąż rosnącemu i miażdżącemu jednostkę natężeniu walki konkurencyjnej oraz walki klas. Reakcja ta pociąga w ślad za sobą innne jej formy, zwłaszcza coraz silniejszą ingerencję normatywną władzy państwowej w życie gospodarcze. W Ameryce już od lat dziewięćdziesiątych ub. stulecia ingerencja ta wystąpiła odpornie wobec trustów, broniąc masy konsumenckie przed tyranią wyzysku. W Europie jeszcze wcześniej, w prawodawstwie społecznym niemieckim i angielskim, ingerencja państwa poparła związki robotnicze w ich defensywie klasowej przeciwko groźnym dla mas reperkusjom dzikiej wolnej konkurencji wytwórczej oraz nieograniczonego prawa podaży i popytu w zakresie pracy. W ten sposób na schyłku epoki wielkokapitalistycznej, w okresie przed i powojennego kulminacyjnego natężenia zarówno produkcji jak walki ekonomicznej, osiągnięta została w tej walce pewna równowaga: w Ameryce dzięki sojuszowi państwa z niezorganizowanym spożywcą przeciwko zorganizowanemu wytwórcy, w Europie pomiędzy państwem i związkami zawodowymi

z jednej strony, skartelizowaną zaś wytwórczością z drugiej strony.

Był to już jednak stan wyraźnego przekwitu i automatycznego rozkładu gospodarki indywidualistyczno-liberalnej na rzecz skolektywizowanej oraz normowanej etatystycznie. Proces ten siłą rzeczy został gwałtownie pchnięty naprzód podczas obecnej walki z wielkim kryzysem. Rozszerzył się, pogłębił i zmienił charakter z obronnie przystosowawczego na ofensywnie konstrukcyjny. Jak do tego doszło?

Kryzys i reakcja.

Główna fala nowoczesnej *prosperity* spłynęła na Amerykę z wielkiej wojny. Spowodowała ona niebywały przedtem rozrost aparatu produkcyjnego, przewyższający o wiele zdolność spożywczą wewnętrznego rynku. Silniej niż kiedykolwiek zatem przesunęła punkt ciężkości gospodarki amerykańskiej na obrót międzynarodowy. Ściągnęła do Stanów $^2/_3$ światowego zasobu złota, a ponad to uczyniła Stany generalnym wierzycielem świata, zwłaszcza zwojowanej Europy, do wysokości zawrotnej kwoty kilkunastu miliardów dolarów.

Ameryka pragnęła gorąco tę pomyślność w pełni zrealizować, a więc przede wszystkim utrzymać swą produkcję eksportową w skali zbliżonej do wojennej, a zarazem windykować olbrzymie zaległości zagraniczne. Początkowo sprzyjała temu zamierzeniu światowa „dziura w produkcji" wywołana zniszczeniami wojennymi. Sprawa zaś długów międzynarodowych i odszkodowań niemieckich przybrała postać dwu paktów międzynarodowych: Dawesa z 1924 i Younga z 1931 roku. W międzyczasie Ameryka usiłowała aktywizować gospodarstwo światowe do miary potrzeb swego zbytu, oraz wypłacalności należnych jej sum, za pomocą nowej kilkomiliardowej w dolarach inwestycji kredytowej w Niemczech. Tam więc ładowała głównie uciskający ją coraz dotkliwiej nadmiar wytwarzanego towaru, oraz nie mniej kłopotliwy nadmiar kapitału rentowanego przez tę wytwórczość.

Na takiej procedurze oparła się w lwiej części powojenna światowa „dobra koniunktura". Gospodarcze perspek-

tywy Europy, a zwłaszcza Niemiec oceniła jednak Ameryka zbyt prostolinijnie, po kupiecku. Nie wzięła w rachubę zasadniczej różnicy jaką pomiędzy położeniem Ameryki i Europy wytwarza fakt przeludnienia naszego kontynentu oraz zasadnicze komplikacje polityczne, jakie stąd wypływają. Włożywszy w ciągu paru lat parę miliardów dolarów w niemieckie gospodarstwo narodowe Ameryka przez swego oficjalnego, na podstawie paktu Dawisa, przebywającego w Berlinie obserwatora stwierdzić musiała, iż Niemcy zużytkowały ten kredyt nieprodukcyjnie, bez żadnej poprawy swej wypłacalności. Z rokiem 1929 wstrzymano więc odpływ amerykańskiego kapitału, a w ślad za tym i towarowego nadmiaru do Niemiec. Natychmiast zaostrzył się skutkiem tego w Stanach brak lokat produkcyjnych dla zbywającej gotówki, którą przeto gorączkowo zwrócono do spekulacji giełdowej, śrubując walory przemysłowe do fantastycznej a niczym nie uzasadnionej wysokości. Ponieważ równocześnie Niemcy, pozbawione kredytu, poczęły redukować import na niekorzyść nie tylko Ameryki, przeto światowy rynek zbytu zacieśniał się, a produkcja amerykańska stanęła na progu zastoju i bezrobocia. Stąd wybuchnął jesienią r. 1929 pierwszy potworny krach giełdowy nowojorski, który zniszczył nadmiar fałszywie inwestowanego kapitału w wysokości do 2 miliardów dolarów.

Nie pomógł pakt Younga. Kolejno ujawniała się niewypłacalność niemieckich odszkodowań wojennych, długów między sojuszniczych, oraz niemieckiego długu handlowego; a więc bankructwo Niemiec, głównie na niekorzyść Anglii, a zwłaszcza Ameryki. Stąd dobrze znane objawy światowego kryzysu: zanik handlu międzynarodowego, zastój produkcji, bezrobocie, oraz — reakcja ratownicza w postaci interwencji reglamentacyjnej państw w życie gospodarcze.

W sferoryzowanej krachami giełdowymi Ameryce ucieczka kapitałów z obrotu oraz paraliż produkcji były tym dotkliwsze im potężniej przedtem rozrósł się aparat wytwórczy i kredytowy. „Zamrożeniu" w przeinwestowanym przemyśle i handlu uległa astronomicznie zawrotna kwota 250 miliardów dolarów, przy 50 miliardach rezerwy kapitalistycznej nagromadzonej w bankach i kasach oszczęd-

ności, 45 miliardach dochodu społecznego, oraz 400 miliardach wartości majątku narodowego.

Ten rozpaczliwy stan rzeczy staje się punktem wyjścia akcji naturalnej, na pozór czysto praktycznej, a jednak b. doniosłej ze stanowiska ewolucji ustroju. Prezydent Hoover nawiązuje styczność ze sferami gospodarczymi, celem obrad nad wyprowadzeniem gospodarki z impasu w drodze planowej pozytywnej współpracy gospodarującej społeczności z państwem. Funduje *Reconstruction Finance Corporation*, która ma za zadanie odmrozić kredyt i poruszyć produkcję upłynnieniem około 2 miliardów dolarów. Wysuwa zasadę kontyngentowania produkcji i stosowania jej do siły nabywczej rynku. Zmierza do podniesienia poziomu cen, obniżonych przez kryzys poniżej opłacalności. Zarządzenia Hoovera okazują się niedostateczne, a więc i nieskuteczne. Prezydent odchodzi niosąc na sobie *odium* bezsilności wobec klęski. Następstwo obejmuje Roosevelt.

Podejmuje on akcję Hoovera nie zmieniając jej zasadniczego kierunku. Ale z rozmachem odpowiadającym grozie położenia rozszerza ją i pogłębia. Pobobnie jak Hoover przyjmuje zasadnicze założenie, iż najbardziej s z t y w n y m i nietykalnym elementem gospodarczym powinno być *minimum* egzystencji ludzkiej, a więc przede wszystkim odpowiadający mu poziom płac; poza tym również *minimum* egzystencji państwowej, a więc podatki. Dla obrony tych najsztywniejszych pozycji zdecydował się Roosevelt uelastycznić inne czynniki gospodarki zwłaszcza pieniądz i wydatki publiczne.

Akcja Roosevelta rozwija się kilkoma głównymi szlakami, a mianowicie: 1° Zniżka zewnętrznego kursu dolara, to znaczy zniżka eksportowych cen towaru amerykańskiego. Celem tej zniżki było wyrównanie cen amerykańskich ze zdewaluowanymi wcześniej cenami angielskimi, tym samym za mierzono poprzeć ilościową restaurację wywozu i produkcję wywozową przy równoczesnym efekcie protekcjonistycznym w stosunku do importu. 2° Kroki przeciw tezauryzacyjne i przeciw waloryzacyjne. Odprawomocnienie zobowiązań w złocie. Odzłocenie obiegu pieniężnego i obrotu gospodarczego. Monopolizacja złota w ręku państwa. 3° Zniżka

siły nabywczej dolara wewnątrz kraju czyli zwyżka cen towaru, celem łatwiejszego odmrożenia długów, upłynnienia kredytu i uruchomienia produkcji. 4° Mobilizacja w tym celu na miarę inflacyjną kredytu wewnętrznego przez *Finance Reconstruction Corporation.* 5° Ilościowe ograniczenie produkcji rolnej, przez jej planową reglamentację, celem zamknięcia nożyc cen, rozwartych przez kryzys na niekorzyść rolnictwa w stosunku do przemysłu. Tym samym osiąga się wzrost zbytu wiejskiego na fabrykaty. 6° Reglamentacja produkcji przemysłowej zmierzająca do zwiększenia stanów zatrudnienia, redukcji bezrobocia i wzrostu konsumcji. 7° Bezpośrednia walka z bezrobociem za pomocą robót publicznych. 8° Centralizacja ośrodków dyspozycji finansowej i gospodarczej w rękach rządu.

Te zasadnicze dążności sanacyjne Roosevelta wyraziły się w szeregu aktów prawodawczych i administracyjnych, z których główniejsze dotyczą: 1° Dewaluacji dolara i zniesienia klauzuli złotej zobowiązań. 2° Mobilizacji kredytu przez *Finance Reconstruction Corporation* w wysokości 9 miliardów dolarów w ciągu trzechlecia. 3° Określenia zasad i środków reglamentacji produkcji, oraz utworzenia organów administracyjnych powołanych do jej przeprowadzenia. Spośród tych zasad i organów najważniejsze są, oprócz wspomnianej już korporacji finansowej, NIRA, NRA i AAA.

Ostatnia z nich to *Agricultural Adjustement Administration* czyli urząd regulacji rolnictwa. Zasadniczą osnowę jego działalności stanowiły umowy indywidualne z farmerami, mocą których zobowiązywali się oni do nie obsiewania pewnymi podstawowymi produktami jak pszenica, bawełna, tytoń itp. większych przestrzeni niż to przewidział państwowy plan produkcyjny. W zamian otrzymywali farmerzy poważne bonifikaty pieniężne pochodzące głównie ze specjalnego opodatkowania przemysłu przetwórczego rolnego i handlu rolnego. Handel i przemysł rolny przerzucały oczywiście ten podatek w cenach na konsumenta. Zakres działań AAA był b. szeroki, objął większość producentów rolnych i dał wyniki wręcz świetne, które najdonioślejszą bodaj odegrały rolę w ogólnym odprężeniu gospodarczym osiągniętym w Stanach za Roosevelta. Mianowicie gdy wskaźnik cen

nierolniczych podniósł się około 25%, wskaźnik rolny około 90%. Oczywiście odpowiednio wzmogła się siła nabywcza rolnictwa na towar przemysłowy, zwalczając kryzys ogólny. Dodać tylko trzeba że w tym świetnym wyniku co najmniej połowa zasługi przypada momentowi opatrznościowemu w postaci paroletniego „błogosławieństwa nieurodzaju", które usunęło ciążące na cenach ogromne zapasy zbóż pozostałe z lat urodzajnych.

Najbardziej jednak podstawową i niejako reprezentacyjną dla całej polityki Roosevelta była rozgłośna instytucja NRA *(National Recovery Administration)* czyli urząd odbudowy narodowej, oparty na NIRA *(National Industrial Recovery Act)* czyli ustawie o odbudowie przemysłu narodowego. Ustawa ta dawała prezydentowi prawo układania wespół z przedstawicielami poszczególnych grup przemysłowych i przedsiębiorstw tzw. „kodeksów pracy" albo „kodeksów uczciwej konkurencji". Objęto nimi prawie stuprocentowo cały przemysł amerykański. Kodeksy te zakazywały przede wszystkim pewnych praktyk nieuczciwej konkurencji, warowały pracownikom wolność zrzeszania się i umów zbiorywych o warunki zatrudnienia, oraz zobowiązywały pracodawców do przestrzegania pewnego *minimum* płacy, a *maximum* godzin pracy w ich przedsiębiorstwach. Ogólną tendencją polityki „kodeksowej" NRA było rozpowszechnienie systemu zrzeszeń zawodowych tak pracodawców jak pracobiorców na wszystkie gałęzie produkcji. Równocześnie miał ulec zmianie bojowy charakter, jaki te zrzeszenia miały dotąd, wyłoniwszy się z walk społecznych okresu liberalnego, jako reakcja przeciwko przerostom indywidualizmu. Zrzeszenia te zostały uznane za nadające się do pracy pozytywnej w zakresie społecznego planowania i kontroli produkcji. Polityka NRA starała się ją reglamentować w kierunku stosowania kontyngentów rynkowych do pojemności rynku, oraz prawidłowej kalkulacji cen na podstawie kosztów produkcji, z robocizną i czasem pracy na czele.

Punkt wymieniony ostatnio należał przy tym do najistotniejszych w programie NRA. Stawiano mu za cel walkę z bezrobociem i wzmacnianie siły nabywczej rynku. Kodeksy zobowiązywały wytwórnie do krótszego tygodnia pracy przy

płacy indywidualnej niezmniejszonej (lub też zniżonej słabiej niż by wypadało), a więc przy podwyższonej stopie robocizny. Zmuszało to do rozszerzenia stanów zatrudnienia przy tym samym ilościowym poziomie produkcji, a więc podnosiło jej koszta własne i co za tym idzie ceny. Jednak ponieważ robocizna stanowi tylko pewną część kosztów produkcji, przeto kalkulacyjnie na niej oparty wzrost cen musi być stosunkowo mniejszy. Ponadto w miarę wzrostu spożycia na skutek redukcji bezrobocia, czyli coraz bardziej masowego zbytu i wzrostu produkcji, koszta jej i z tego również tytułu automatycznie maleją. Z czego wynika, że choć skrót czasu pracy i stosunkowe podrożenie robocizny jest pozornie irracjonalne ze stanowiska kalkulacji indywidualistycznej, jednakże w kalkulacji społecznej staje się racjonalnym i opłacalnym. Warunek przy tym niezbędny a zarazem trudność i moment ryzyka przedstawia nieodzowna konieczność zastosowania tej procedury w tak szerokim zakresie narodowego gospodarstwa, ażeby dodatni efekt kalkulacji społecznej mógł przybrać dostatecznie masowy charakter; jedynie bowiem wtedy tylko nie zawiedzie, ujawnić się może i musi. Wszelkie poczynanie indywidualne jest też z góry skazane na dotkliwe fiasko; poza tym konieczny tu jest obfity i tani kredyt obrotowy, lub nawet średnio terminowy, dla podtrzymania kalkulacji wytwórczej, w okresie przejściowo deficytowym, gdy podwyższone koszta produkcji jeszcze nie znajdują pokrycia w podniesionych cenach i masowym zbycie.

Warunki te zostały w Ameryce zapewnione i wynik na wielką skalę przeprowadzonej operacji odpowiadał oczekiwaniom. Przy nieco niższym zarobku robotniczym indywidualnym, stan zatrudnienia w przemyśle podniósł się w ciągu roku o 20%, bezrobocie cofnęło się o 2 miliony głów, ogólna suma wypłat zarobionych wzrosła o 33%, przy czym jej zdolność nabywcza podniosła się także względnie, bo ceny rolne poszły w górę mniej niż płace robotnicze, a ceny przemysłowe, jeszcze mniej od rolnych. Prawda, że to proporcjonalne „równanie w górę" poszczególnych elementów gospodarstwa narodowego może nie rozwinęło by się ilościowo dość potężnie, by móc wypaść tak harmonijnie,

gdyby nie pośredni sukurs innych zarządzeń oraz fali „dobrej koniunktury" napływającej z innych stron. Do ożywienia bowiem przemysłowego przyczynił się niemało wzrost siły nabywczej rolnictwa na skutek działalności A. A. A. oraz „błogosławieństwa nieurodzaju". Przyczynił się również ilościowy odrost eksportu na skutek amerykańskiej dewaluacji oraz światowego spadku cen.

Naogół jednak i łącznie z zaznaczonymi czynnikami natury żywiołowej lub międzynarodowej, planowa sanacja gospodarcza Roosevelta dała wynik zadawalniający. Tak dalece nawet zadowolniła społeczeństwo amerykańskie, iż uznało ono za właściwe położyć kres dalszym przekształceniom ustroju gospodarczego, poprzestać już na osiągniętym częściowym powrocie *prosperity* i powierzyć się ufnie nowej, dodatniej „fali koniunkturalnej". Wyrokami najwyższego trybunału pozbawiona przeto została mocy prawnej zarówno N. R. A. i A. A. A., jako niezgodne z konstytucją amerykańską, bo wkraczające w kompetencję władz stanowych. Prezydent zareagował przeprowadzeniem przez kongres nowej, odpowiednio przerobionej ustawy o „konserwacji roli", oraz innej, zabezpieczającej prawa związków zawodowych robotniczych. Sam jednak zdaje się przychylać do zdania, że skoro „koniunktura powróciła" to należy spauzować z reformami, ażeby ją wyzyskać. W tym celu w przededniu nowego okresu swych rządów prezydent zwraca uwagę znów przede wszystkim na zewnątrz, ku akcji dewaluacyjnej francuskiej, w kierunku liberalizacji i ożywienia handlu międzynarodowego.

Perspektywy.

To czego dokonał Roosevelt w swej pierwszej kadencji prezydialnej zachowuje jednak wysoką wartość doświadczalną i niewątpliwie posłuży za punkt wyjścia dalszej ewolucji ustrojowej: tak w Stanach, gdy skończy się „błogosławieństwo nieurodzaju", lub zawiedzie trwała intensyfikacja obrotu międzynarodowego, jak prędzej może jeszcze, w uginającej się nadal pod kryzysem Europie.

Doświadczenie amerykańskie, dzięki właściwościom tamtejszej budowy gospodarczej, musiało i mogło rozwinąć

się znacznie wszechstronniej od przeciwkryzysowych wysiłków europejskich. Te wysiłki, zwłaszcza monopartyjnych dyktatur, niemieckiej i włoskiej, skoncentrowane zostały na inwestycji w wielkie roboty publiczne wszystkich rezerw kapitału, jakie dany kraj był zdolny nagromadzić. Po czym ukazujące się dno opróżnionych skarbców bankowych i kas oszczędności wygłasza pod adresem tych państw groźne ostrzeżenie, że tak dalej iść nie może.

Rosja etatyzowała biurokratycznie wszelki kapitał i produkcję, że zaś w obu tych dziedzinach znajduje się w ciężkim niedoborze, szamoce się przeto rozpaczliwie między zbrojeniami a przemysłem przetwórczym, obsługującym żywicielkę kraju i armii — wieś. Francja próbowała w ub. roku deflacyjnego „równania w dół" lecz natrafiła na zdecydowany opór wezwanej do bolesnego „zaciśnięcia pasa" ludności i przerzuciła się do nieśmiałej reflacji dewaluacyjnej. Jej wyniku dotąd nie widać, prócz wzmożonej walki klas, która zmierza ze strony proletariatu do równania w górę tj. wzrostu kosztów produkcji i cen. Wymagałoby to odpowiednio rozplanowanej mobilizacji kredytu, a więc co najmniej równie radykalnej metody jaką zastosował Roosevelt. Francja jest przy tym kapitalistycznie dostatecznie zasobna by móc naśladować Amerykę dość dokładnie.

Mocarstwa anglosaskie, Ameryka w szczególności, znalazły się w chwili wybuchu wielkiego kryzysu pod naciskiem klęski nadmiaru kapitału, tak płynnego jak „zamrożonego" w przeinwestowanym powyżej chłonności rynków przemyśle. Odbudowę zainicjowała Ameryka zużywając ten dławiący życie gospodarcze nadmiar w inflacji kredytowej, wzroście cen i w rozwijanym z ich pomocą uruchomieniu obrotu gospodarczego. W obrocie tym, mówiąc nawiasem, roboty, publiczne, jako środek walki z bezrobociem, odgrywały tylko drugorzędną rolę. Osiągnięto w ten sposób wynik dodatni, ale połowiczny, co szczególnie uderza w nadal trwającym, choć zredukowanym zjawisku bezrobocia. Chcąc je opanować całkowicie należałoby w gospodarstwach narodowych rozporządzających nadmierną dla nich zdolnością produkcyjną oraz „bezrobotnymi kapitałami" jeszcze silniej rozwinąć ich zużycie w „równaniu w górę" po przez dalszą redukcję

czasu pracy, a wzrost płac, kosztów produkcji i cen. Albo też należałoby ten kapitał używać na zatrudnienie bezrobotnych przy pracach dotąd niewykonywanych jak te lub owe roboty publiczne. One bowiem również równają ku górze poziom kosztów produkcji, cen i płac — po przez budżet oraz rosnące ciężary publiczne.

Procedura taka okazała się jednak przedwczesną i zbyt radykalną dla silnie jeszcze kapitalistycznej mentalności amerykańskiej. Wymagałaby przy tym równoległego rozwinięcia przełomu ustrojowego w kierunku praktycznego korporacjonizmu oraz jego harmonijnego współdziałania z planującą ekonomicznie władzą państwową. To współdziałanie zaznaczyło się wyraziście w Ameryce, kompletując dotychczasowe korporacje, powstałe w walce klas i pociągając je do konstruktywnego wysiłku w gospodarce planowej. Dalsza w tym kierunku ewolucja wymagałaby dalszej systematycznej dekapitalizacji przez „równanie w górę", dekapitalizacji zresztą tylko przejściowej ponieważ po osiągnięciu równowagi na wyższym poziomie płac, kosztów i cen, kapitalizacja automatycznie by się wznawiała. Przy czym również jednak winna być planowo regulowana, już to przez odpowiednie redukcje wytwórczego wysiłku, już przez odpowiednie inwestycje materialne lub kulturalne. Gospodarcza zdolność do wytwarzania nadmiaru dóbr czy kapitałów, opanowana przez planową regulację produkcji i jej podziału niewątpliwie przestałaby być klęską, a stałaby się błogosławieństwem podnoszącym materialny i kulturalny poziom życia na nieznane dotąd wyżyny.

Taka ewolucja wymagałaby również głębszego niż dotąd uświadomienia oraz przełomu w psychice społeczeństw kapitalistycznych. Wymagałaby systematycznej, a coraz sprawniejszej współpracy korporacyj zawodowych z odpowiednimi organami władzy państwowej w planowej gospodarce narodowej. Ta współpraca zaznaczyła się w Ameryce w postaci na razie jeszcze podświadomej, embrionalnej, przejściowej. Oddała ważną usługę doraźną, ale ustał doraźny ucisk więc i ona znikła. Wymagałaby wreszcie taka ewolucja znacznie silniejszej, bardziej autorytatywnej władzy państwowej niźli istniejąca obecnie w Ameryce. To też na tle polityki Roose-

velta zarysowała się tam wyraźnie potrzeba zmiany starej monteskiuszowskiej konstytucji.

Stany Zjednoczone są wzorową stacją doświadczalną możliwości rozwojowych kapitalizmu. Organicznie wyłonił się z nich embrion korporacjonizmu. Społecznie i psychicznie Francja jest w tym kierunku znacznie mniej zaawansowana, choć posiada po temu możliwości materialne zbliżone. Dlatego popadła obecnie w tragiczną rozterkę wewnętrzną oraz impas gospodarczy, społeczny i polityczny. Liczy tylko na falę koniunktury mającej liberalizować wymianę międzynarodową na życzenie Roosevelta.

Inne państwa kontynentalne znajdują się o tyle jeszcze dalej wstecz niż Francja o ile nie rozporządzają kapitałem, tym mniej zaś jego nadmiarem. Jednak nie jest to szkopuł nie do usunięcia. Ewolucja ku gospodarce korporacyjnej i planowej po przez równanie w górę jest możliwa i konieczna w tych państwach w drodze rozwoju funkcji społecznej pieniądza. O tym już pisałem.

St. Szczutowski.

Ks. Gabriel Baudouin apostoł miłosierdzia Warszawy.

(Z okazji obchodu w dniu 2 grudnia ub. r. dwóchsetnej rocznicy założenia Szpitala Podrzutków w Warszawie).

Dzieje Kościoła w Polsce są również znaczną częścią wielkich dziejów naszego narodu. Nie podobna bowiem zignorować w nich zasług Kościoła dla kultury, nauki i sztuki, oraz jego działalności charytatywnej, pod grozą, że nie zrozumie się tego co jest i tego co było wczoraj w historii naszej.

Dawną i długotrwałą była opieka Kościoła nad biednymi i chorymi w Polsce. Przy każdym prawie znaczniejszym kościele istniały dobroczynne przytułki dla starców, kalek, sierót i chorych, czyli szpitale. Dawali na nie zapisy duchowni i świeccy, zwłaszcza książęta i panowie, później także szlachta i mieszczanie. Nadzór nad szpitalami parafialnymi należał do proboszczów; innymi zaś opiekowali się biskupi, kapituły, bractwa i zakony. Tworzyło u nas wprawdzie i utrzymywało także państwo niektóre szpitale, lecz pozostawały one przeważnie również w zarządzie Kościoła. Od XVI w. począwszy widzimy też wzrastające zainteresowanie się zarządów miejskich szpitalami. Wyrażało się ono przez mianowanie prowizorów, czyli kuratorów tj. administratorów szpitali, którzy wraz z przełożonymi względnie proboszczami, tworzyli ich dyrekcję. Dopiero od r. 1758 datują się starania państwa o rozciągnięcie nad nimi swej opieki. Gdy jednak pierwsza próba się nie powiodła, a późniejsze, wobec nieszczęśliwych wypadków politycznych nie zdołały już objąć całego kraju, pozostały szpitale na ogół aż

do końca dawnej Rzeczypospolitej, a nawet w głąb XIX wieku, w zarządzie Kościoła.

Spośród zgromadzeń religijnych w dawnej Polsce mają duże zasługi w dziejach dobroczynności: Zgromadzenie ks. ks. misjonarzy i zgromadzenie ss. miłosierdzia. Przybyły one z Francji do Warszawy w okresie silnego wpływu francuszczyzny w Polsce, pierwsze w roku 1651, drugie w roku następnym. Przez kilkadziesiąt lat zachowały jeszcze charakter francuski, lecz z biegiem czasu ustępował on siłą rzeczy coraz to bardziej polskiemu. W r. 1717 liczyły już oba zgromadzenia w naszym kraju po 80% Polaków. Przybywali wszakże jeszcze od czasu do czasu misjonarze i ss. miłosierdzia z Francji, aby pracą swą wesprzeć prowincje polskie tychże zgromadzeń. Jednym z misjonarzy — Francuzów, którzy przybyli z początkiem XVIII w. na ziemię naszą, jest również ten, którego pamięć uczciła Warszawa w dniu 2 grudnia ubiegłego roku, a który heroicznym poświęceniem swoim i wielkością dzieła, jakie stworzył, zasłużył sobie na to, że imię jego stało się symbolem miłosierdzia chrześcijańskiego dla stolicy i kraju. Jest nim ks. Gabriel Baudouin.

Wdzięczne wspomnienia i nimb niezwykłej chwały otacza w Polsce po dzień dzisiejszy tego kapłana. W szczególniejszy zaś sposób pamiętała o nim zawsze Warszawa, jakkolwiek i tam tak mało wiedziano o jego osobie, że żył on od dawna już niemal tylko w legendzie. Obecnie, dzięki źródłowym badaniom, znamy lepiej niż kiedykolwiek tę postać. Wnet stanie on też przed nami w całej swej prawdzie dziejowej. Tymczasem zaś przedstawimy w kilku słowach, kim był i co uczynił ks. Baudouin, oraz jak uczciła go ostatnio stolica.

Ks.Gabriel Piotr Baudouin urodził się 3 kwietnia 1689 r. w miasteczku francuskim Avesnes, w obecnym departamencie du Nord. Rodzina, z której wyszedł, należała do drobnomieszczańskich czy rzemieślniczych. Gdy już w rodzinnym swym mieście odebrał pierwsze wykształcenie, a potem odbył tzw. nauki wyzwolone, zapragnął za przykładem swego wuja wstąpić do zakonu kartuzów. Wuj jednak kartuz i rodzina wpłynęli nań, że rychło porzucił tę

myśl i udał się do Paryża, gdzie przyjęto go do korpusu przybocznej gwardii królewskiej, *des gens d'armes*. Niezadowolony z wojska postanowił niebawem wstąpić do stanu duchownego i spośród wielu wybrał Zgromadzenie ks. ks. misjonarzy, do którego pociągała go niezwykle jego działalność charytatywna. Zamiar swój urzeczywistnił 10 IV 1710 r. — W roku 1716 otrzymał tamże święcenia kapłańskie, po czym wysłano go na profesora teologii do seminarium diecezjalnego w Auxerre. Prosząc o zmianę, został w r. 1717 wysłany na stałe do Polski, gdzie zamieszkał przy kościele św. Krzyża w Warszawie. Chwila ta rozpoczyna nową kartę w życiu ks. Baudouina, kartę pełnej chwały jego działalności w Polsce.

Ucząc się języka i przygotowując do pracy parafialnej był ks. Baudouin w seminarium świętokrzyskim profesorem filozofii, potem teologii, dalej dyrektorem *seminarii interni* tzn. seminarzystów ks. ks. misjonarzy, wreszcie prokuratorem powincji i asystentem domu. Równocześnie piastował od r. 1718 urząd dyrektora prowincji polskiej ss. miłosierdzia i był zarazem u nich spowiednikiem ss. Francuzek, a także ss. wizytek francuskich w Warszawie. — Gdy znajomość języka polskiego, który zaledwie w ciągu pięciu lat zdołał dostatecznie opanować, pozwoliła mu pracować na szerszym polu, rzadkie przymioty jego charakteru, znane dotąd tylko zgromadzeniu, zabłysły też w parafii i w mieście. Wykształcenie i pobożność, niezwykła jego wiara, prostota i łagodność ściągały doń coraz więcej osób i to najznakomitszych stolicy, niezachwiana zaś ufność jego w Opatrzność i miłość bliźniego miały niebawem stworzyć dzieła, które nieśmiertelną chwałą okryły jego imię.

Pracując w parafii zwrócił ks. Baudouin uwagę na dochodzące go często wieści o porzucaniu dzieci na ulicach i zaułkach przez biedne czy zwyrodniałe matki. Długo myślał i zastanawiał się, jak temu zaradzić, aż wreszcie za zgodą odnośnych władz duchownych, przystąpił z zapałem do dzieła. Zaczął od zaopiekowania się podrzutkami, które umieszczał za pewnym wynagrodzeniem u różnych kobiet w mieście i okolicy. Równocześnie myślał o tym, by stworzyć specjalny zakład, gdzie mogłyby dzieci już nieco starsze

znaleźć pod okiem ss. miłosierdzia przytułek, dalsze wychowanie i opiekę. W tym celu kupił w r. 1732 przy Krakowskim Przedmieściu plac, między ulicami Oboźną i Kopernika (Aleksandria), na którym wystawił niezwłocznie drewniany szpital. Jeszcze nie zdążyło się dzieło to rozwinąć, gdy ciężkie dla Warszawy bezkrólewie, po śmierci Augusta II, zmieniło w ruinę dom i spowodowało nawet tymczasową likwidację zakładu.

Gdy w r. 1736 minęła burza bezkrólewia, zabrał się ks. Baudouin z nowym zapałem do pracy. Kupił wtedy od Mikołaja Olborskiego, sekretarza królewskiego, nowy murowany dom, wystawiony przezeń poprzedniego roku obok posesji dawnego zakładu i zaopatrzył go w potrzebne sprzęty. Dla spłacenia długu na tej kamienicy otwarł następnie w dniu 1 czerwca księgę składek publicznych „na szpital i fundację podrzutków," a 24 sierpnia rozpoczęło sie w nowym domu przyjmowanie dzieci. Dzieło to, które ks. Baudouin, podobnie jak dawne, nazwał Szpitalem Podrzutków im. Dzieciątka Jezus, mimo zmiany warunków, miejsca i nazwy, istnieje dotąd. Jest nim Dom ks. Boduena przy ul. Nowogrodzkiej (L. 75) w Warszawie.

Chcąc zyskać dla instytucji swej większe znaczenie i prawo przyjmowania zapisów, wystarał się ks. Gabriel Baudouin jeszcze w roku 1736, że biskup poznański Stanisław Hozjusz, do którego jurysdykcji należała wówczas Warszawa, wziął listem z 9 września zakład w swą szczególniejszą opiekę i wezwał wszystkich do ofiarności na ten cel. Odtąd zdobył Szpital Dzieciątka Jezus przy Krakowskim Przedmieściu duży rozgłos w mieście. Szło za tym coraz to większe zainteresowanie się nim; płynęły też z bliska i z daleka a nawet z zagranicy, ofiary i zapisy. Do pierwszych wielkich dobrodziejów szpitala należy Urszula z Bielińskich Czermińska, kasztelanowa małogoska, która darowała mu w r. 1738 wieś Kręczki pod Warszawą, a nadto zapisała testamentem sumę 25,020 złp. — Za Kręczkami poszły w r. 1747 wsie Umiastów i Klimonty, a później dobra, zwane Umiastów-Fałki, które wzięte w zastaw, stały się następnie jego własnością. Poza tym dokupywał ks. Baudouin raz po raz grunty, to w mieście, to na wsi, oraz domy w Warszawie i na Pradze.

Myśląc o tym, by dać dziatkom swym nie tylko utrzymanie i wychowanie, lecz również równouprawnienie z innymi, wyprosił ks. Baudouin u króla, dnia 12 grudnia 1746 r., dla wszystkich bez wyjątku wychowanków Szpitala Podrzutków przywilej, przyznający im prawa dzieci legalnych.

Szukając wobec rosnących potrzeb szpitala nowych funduszów na jego utrzymanie, zwrócił ks. Baudouin w r. 1748 uwagę na możliwość uzyskania znacznych dochodów z urządzania loterii. Nasunęły mu tę myśl głośne podówczas w Warszawie loterie fantowe Karola Rithovey'a, dyrektora Szpitala św. Benona dla Sierót-Chłopców, przy ul. Zakroczymskiej. W sprawie zamierzonej porozumiał się ks. Baudouin ze znanym pijarem, ks. Stan. Konarskim, który myślał również od dłuższego czasu o zdobyciu środków na dokończenie budowy słynnego Collegium Nobilium przy ul. Miodowej. Postanowiono tedy urządzić wielką loterię na rzecz obu instytucji i to nie fantową, ani liczbową, lecz klasową, według wzoru zagranicy. Dnia 8 kwietnia 1748 r. uzyskał ks. Konarski u króla w Dreźnie potrzebny na to przywilej. Już w kilka tygodni później opublikowano go wraz z planem pierwszej loterii klasowej w Polsce. Miała ona trzy klasy. Dyrektorami jej byli wyżej wspomniani kapłani. Loteria ta, urządzona w pałacu biskupów krakowskich przy ul. Miodowej (L. 5), pomimo wszelkich starań spopularyzowania jej, nie powiodła się. Niezrażeni tą próbą przystąpili jeszcze w tymże roku ks. Baudouin i ks. Konarski do urządzenia drugiej loterii, ale już jednoklasowej, na wzór słynnych podówczas loterii paryskich. Mimo ogromnych wysiłków księży organizatorów szła jednak sprzedaż losów i tym razem bardzo trudno, a loteria przyniosła w rezultacie duży deficyt. Jedynie wspaniałomyślność kilku wygrywających uratowała Szpital Podrzutków i Collegium Nobilium od znacznych strat. — Bolesny zawód z loterią skazał ks. Baudouina znów całkowicie na pokorną kwestę na utrzymanie dziatek.

Gdy jednak liczba dzieci, podrzutków i sierót, coraz to bardziej wzrastała, a szpital nie był już w stanie ich pomieścić, zwrócił ks. Baudouin swą troskę na potrzebę innego obszerniejszego domu. W tym celu nabył w r. 1754 od księży misjo-

narzy obszerny grunt, zamknięty dziś ulicami: Świętokrzyską, Marszałkowską, Zgodą, Przeskok, Szpitalną i pl. Napoleona. Zanim jeszcze spisano kontrakt, odbyło się 24 lipca tego roku położenie kamienia węgielnego pod obszerny Szpital Podrzutków im. Dzieciątka Jezus, projektu Antoniego Fontany. Gdy w r. 1757 skończono budowę, przeprowadzono dnia 24 czerwca uroczyście w procesji pensjonariuszy dawnego szpitala przy Krakowskim Przedmieściu do nowego gmachu. Stary zaś został jeszcze poprzednio przez ks. Baudouina sprzedany.

Wobec ogromu nowego Szpitala Dzieciątka Jezus zwrócono wkrótce uwagę, że wielkość jego zabudowań przechodzi istotne zapotrzebowanie podrzutków. Pojawiła się więc wtedy myśl, aby go jeszcze bardziej rozbudować i przekształcić w ogromny szpital, główny i generalny, któryby zdołał przygarnąć całą nędzę miasta. Myśląc nad tym, doszedł ks. Baudouin również do przekonania, że Warszawie potrzeba takiego szpitala. Pod wpływem tych rozważań zaczął się skłaniać do wspomnianej myśli rozbudowy. Z zamiarów swych zwierzył się ks. biskupowi poznańskiemu i ministrom, którzy z kolei przedłożyli tę sprawę i poparli u króla, podsuwając mu przy tym daleko idące projekty, dotyczące szpitalnictwa warszawskiego. Zgodnie z tymi propozycjami wystawił król 20 maja 1758 r. akt erekcji Szpitala Generalnego, zapisawszy mu poprzednio 2000 czerw. zł. rocznego dochodu z żup solnych Wieliczki i Bochni. Wspomniany królewski akt erekcji ma znaczenie wielkie nie tylko dla szpitala, lecz również dla całego kraju, gdyż jest on wstępem do nowego okresu w dziejach szpitalnictwa w Polsce.

Otrzymawszy przywilej i zapis królewski rozpoczął ks. Baudouin jeszcze w r. 1758 rozbudowę Szpitala Podrzutków im. Dzieciątka Jezus, również według planów Antoniego Fontany, w ogromny Szpital Generalny. Budowa trwała sześć lat, czyli do r. 1764. Były to lata największych trudów życia tego apostoła miłosierdzia. W tym czasie stała się jednak i osoba ks. Baudouina i śmiałość jego przedsięwzięcia przedmiotem niezwykłego zainteresowania i ogólnego podziwu. Jest wszakże uderzającym, że poza dochodami z żup solnych nie ma w tych latach wiadomości o znaczniejszych

wpływach kasowych, któreby były mogły pójść na budowę. Pomimo jednak braku środków postępowały prace wciąż naprzód, chociaż często nie było czym wynagrodzić robotników. Liczba ich nie tylko nie malała, lecz owszem jeszcze powiększała się o przybywających z miasta i okolicy, aby bezpłatnie przyczynić się swą pracą do powstania dzieła, którego potrzebę uznawali wszyscy. Zapał kapłana porywał za sobą chwilami tak dalece ogół, że czasem zajętych było do 2000 ludzi przy budowie. W oczach współczesnych dokonywał się po prostu cud miłosierdzia chrześcijańskiego, może jedyny w dziejach Polski.

W czterech pierwszych latach budowy Szpitala Generalnego, czyli do r. 1762 wzniósł ks. Baudouin z projektowanych czterech oddziałów szpitalnych trzy, a mianowicie: dla chorych, żebraków i kalek. W czasie tej budowy wydał król, za staraniem Zgromadzenia ks. ks. misjonarzy i ministrów, dnia 21 maja 1761 r. nowy akt erekcji Szpitala Generalnego. — Dnia 12 września roku następnego dokonał ks. Andrzej Załuski, bp kijowski, uroczystej konsekracji kaplicy szpitalnej, a w dniu 9 grudnia otwarły się podwoje Szpitala Generalnego dla wszystkich.

W tym samym jeszcze roku 1762 przyjął Szpital Generalny nazwę dawnego Domu Podrzutków. Był on zatem w Warszawie znany od początku pod mianem: Szpitala Generalnego im. Dzieciątka Jezus. W tej wspólnej nazwie złączonych zakładów ustąpiło już całkowicie pojęcie dawnego Szpitala Podrzutków pojęciu nowego, powszechnego szpitala.

W r. 1764 dobudował jeszcze ks. Badouin do Szpitala Dzieciątka Jezus oddział dla obłąkanych.

Różnica między starym szpitalem a nowym była nietylko co do zadań, ale i co do liczby w nich mieszkających i budżetu ogromna. Ludność dawnego przytułku wynosząca 79 osób w r. 1736 urosła w r. 1757 do 295, a budżet jego wynosił rocznie od 10—12.000 złp. — W nowym zaś gmachu szpitalnym liczba osób, począwszy od 295 w r. 1757 doszła do 793 w r. 1768, nie licząc prawie drugie tyle dzieci, oddanych w opiekę mamkom. Dochody płynące w znacznej mierze z jałmużny, wynosiły w latach 1757 i 1768:

16.522 i 120.060 złp., a rozchody 16.416 i 137.716 złotych. Czego nie dostawało, wyrównywała stale niesłabnąca troska ks. Baudouina, tego, którego portret zawisł niebawem przy wejściu do szpitala naprzeciw szeregu portretów wielkich jego dobrodziejów. Portret ten przechowuje się obecnie starannie w nowym Szpitalu Dzieciątka Jezus.

Dnia 10 II 1768 r., złożywszy przedtem urząd rektora umarł ks. Baudouin w Szpitalu Generalnym, w centrum wiekopomnego dzieła swego życia. W dwa dni później odbyło się za jego duszę uroczyste nabożeństwo żałobne w kościele św. Krzyża, przy tłumnym udziale duchowieństwa i ludu. Następnie złożono ciało w podziemiach tegoż kościoła. Celebrował i eksportacji dokonał b. bp smoleński ks. Jerzy Hylzen.

Gmachy szpitalne przetrwały w formie pierwotnej do roku 1824, w którym rozpoczęto ich rozbudowę, według planów A. Graffego. W latach 1839 i 1840 przebudowano znów szpital wielkim kosztem z funduszu rządowego. W takim stanie pozostał już do roku 1901, w którym został całkowicie rozebrany, po wzniesieniu obecnego Szpitala Dziec. Jezus. Organizacja pierwotna dawnego szpitala pozostała do 1 V 1839 r., kiedy to administrację jego duchowną zniesiono, a zarząd przelano, w myśl nowego rozporządzenia rządowego, na Radę szczegółową. Siostry miłosierdzia pozostały w szpitalu po dzień dzisiejszy, a ks. ks. misjonarze do r. 1911.

Wielki jałmużnik Warszawy wszedł wcześnie do legendy, wszedł i do poezji polskiej. Mówi o nim jedna z legend, że przypadkowe spotkanie psa niosącego świeże jeszcze szczątki podrzuconego dziecięcia miało ostatecznie wpłynąć na zaopiekowanie się jego tymi nieszczęśliwymi istotami. Inna legenda powiada, że gdy położono fundamenty pod nowy szpital, zjechał raz sam król z wielu panami na miejsce budowy; miało się przytem aż kilkaset tysięcy złotych dostać ks. Bauduinowi. Najbardziej jednak opromieniła jego postać legenda o otrzymanym policzku. Głosi ona, że gdy ks. Baudouin kwestując wszedł do jednego z pałaców warszawskich, zbliżył się do stołu kilku graczy, gdzie widział znaczną sumę pieniędzy i poprosił o jałmużnę dla biednych dzieci. W odpowiedzi na to wymierzył mu wtedy jeden

z graczy policzek. Pokorna jednak postawa kapłana, który przyjąwszy tę zniewagę rzekł: „To dla mnie, a co dla moich sierót?" — zrobiła tak wstrząsające wrażenie na obecnych, że winny nie tylko go przeprosił, ale i on i inni tak hojnie go obdarowali, że z żadnego domu nie wyszedł z większą ofiarą. Wieść o tym rozeszła się szybko po mieście wywołując wszędzie niezwykły podziw dla kapłana.

Warszawa była i jest dotąd pełna wspomnień o ks. Baudouinie. Na terenach poszpitalnych jest dziś ulica jego imienia, jest i dawna kaplica Dziec. Jezus. Jawiła się już kilkakrotnie myśl, by uczcić pomnikiem osobę ks. Baudouina i jego dzieło. Spotykamy się z nią zaraz po jego śmierci, potem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, dalej w r. 1888 i później.

W r. 1936, z okazji zamierzonego obchodu dwóchsetnej rocznicy założenia Szpitala Podrzutków im. Dzieciątka Jezus, pomyślano w stolicy o tym, by spłacić dług dwóch wieków, winny ks. Baudouinowi. Najpierw dokonano w tym czasie dużym kosztem restauracji domu jego imienia (Nowogrodzka 75), przy czym wmurowano w ścianę frontową tego zakładu bronzową tablicę pamiątkową (72 × 57) wykonaną przez artystkę-rzeźbiarkę Janinę Broniewską. Nadto umieszczono nad wejściem do tego domu, na cementowej płycie, napis, który ks. Baudouin umieścić kazał w r. 1757 nad bramą Szpitala Podrzutków: „Oyciec móy y matka moia opuścili mię ale Pan przyjął mię." Płytę tę wykonał, oraz własnoręcznie wykuł na niej wspomniane słowa, inżynier architekt dr Jan Zachwatowicz.

Następnie odbyła się w dniu 2 grudnia ub. r. piękna i podniosła uroczystość w Domu ks. Baudouina. Zaszczycili ją swą obecnością J. Emin. ks. kardynał A. Kakowski, ks. A. Szlagowski, bp sufragan warszawski, p. premier Sławoj-Składkowski i szereg przedstawicieli władz państwowych i samorządowych. Na program złożyły się: uroczysta msza św., celebrowana przez ks. kard. Kakowskiego w kaplicy zakładowej; przemówienie p. prezydenta M. St. Warszawy St. Starzyńskiego; zwiedzenie zakładu pod przewodnictwem dyrektora dra Józefa Lubczyńskiego; przemówienie kuratora Rady opiekuńczej Domu ks. Baudouina p. ministra

K. Tyszki; wreszcie odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci ks. Baudouina przez p. premiera Sławoj-Składkowskiego.

Obok tych uroczystości przygotowywano od dawna inne jeszcze trwałe uczczenie pamięci ks. Baudouina. Postanowiono mianowicie wydać trzy prace naukowe, któreby uwidaczniały w sposób wyczerpujący jego postać, oraz dzieło w przeszłości i teraźniejszości. Pierwszym z projektowanych studiów była monografia ks. Baudouina wraz ze współczesną mu historią jego dzieła. Napisanie jej powierzono autorowi niniejszego artykułu. Praca ta, wykończona w całości, nie zdołała jednak wyjść drukiem przed dniem 2 grudnia ub. r. W najbliższym czasie ukaże się ona pt. „Ks. Gabriel Piotr Baudouin i jego dzieło w latach 1732—1768." Przedmiotem drugiej pracy miała być historia dzieła ks. Baudouina, od śmierci jego po dzień dzisiejszy. Dotąd nie znaleziono jednak nikogo, ktoby chciał podjąć się napisania tak żmudnego studium. Trzecia praca miała wyczerpująco obrazować obecny stan Domu ks. Bauduena, jako kontynuacji dawnego Szpitala Podrzutków im. Dzieciątka Jezus. Dzieło to opracowane zbiorowo, nie zdążyło również pojawić się przed 2 grudnia ub. r. Wkrótce jednak ukaże się na półkach księgarskich pt. „Działalność i organizacja Domu ks. Bauduena w roku jubileuszowym (1736—1936)". Tak więc Polska i jej stolica nie zapomniała o wielkim apostole miłosierdzia, który opuściwszy kraj rodzinny oddał swej nowej ojczyźnie heroiczne, pełne poświęcenia życie.

Ks. Fr. Śmidoda.

Przegląd piśmiennictwa.

Pia Górska: Szary brat (wyd. „Verbum"). — Jarosław Iwaszkiewicz: Młyn nad Utratą, wyd. Gebethner i Wolff. — Melchior Wańkowicz: Na tropach Smętka, wyd. Biblioteka Polska. — John Galsworthy: Za rzeką, przekład Marii Godlewskiej wyd. Rój. — Alina Segeń: Anna, wyd. Gebethner i Wolff. — Pola Gojawiczyńska: Rajska jabłoń, wyd. Rój.

Pia Górska jest typowo osobą o dwóch talentach. Znana malarka okazuje się także znakomitą pisarką. Po ślicznej książce o Józefie Chełmońskim, daje nam dzisiaj równie piękną książkę o Adamie Chmielowskim, powszechnie znanym bracie Albercie, książkę pt. *Szary brat*.

Nie jest to biografia w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz jak zapowiada przedmowa „szereg obrazków na tle rozmów z jego znajomymi, na tle podań, myśli o jego życiu i pracy". Ale z tych obrazków kształtuje się przed nami postać wyrazista, charakterystyczna, żywa i bardzo kompletna tego jedynego w swoim rodzaju człowieka, postać malarza, artysty, cygana, patrioty, powstańca, abnegata, poverella, i zakonnika — postać człowieka, który jak mówi autorka „był może święty"... Pia Górska ze swym spojrzeniem malarki oddaje nam tę dziwną postać z sugestywną plastycznością. Gdy laik patrzy na obraz, gdy się dziwi uchwyconemu na nim życiu, lub podobieństwu portretowanych osób, nie rozumie i nie wie najczęściej, które pociągnięcia pędzla, która plama światła lub cienia, wydobywa z płótna podziwiany efekt. Jest to sekret malarza. A często, właśnie najmniej zauważona, pozornie nic nie znacząca plamka lub kreska, decyduje o barwie i wyrazistości obrazu. Tak samo jest w pisaniu. Czasami właśnie jedno zdawałoby się obojętne i mało ważne słówko, jeden, pozornie nic nie mówiący szczegół, decyduje o wyrazistości książki, o życiu i prawdzie opisywanych postaci. Nieraz jedna, jakby na marginesie zaznaczona scenka, więcej nam mówi o człowieku niż najmędrsze wywody i patetyczne dysertacje. Tajemnicą pisarskiego talentu jest położyć palec na

ten właśnie, a nie inny szczegół, na ten właśnie, a nie inny obrazek. Tę tajemnicę posiada Pia Górska w stopniu najwyższym. Pozwolę sobie przytoczyć jeden przykład tego systemu lekkiej, barwnej anegdoty, ewokującej jakby mimowoli postać brata Alberta w najistotniejszych jego cechach. — Do skromnej albertyńskiej kapliczki w Krakowie przyszła na pasterkę banda półdzikich ulicz ników. Fałszywym a donośnym wyciem, które miało być kolendowaniem, przewiercali uszy obecnych. „Potem — powiada autorka — gdy wszyscy goście opuszczali kaplicę, pełna dystynkcji dama zbliżyła się do tercjarza. — Jakżeż podniosły nastrój panował w czasie nabożeństwa — rzekła spuszczając na czubek nosa koronkową woalkę. Pienia biedaków były wprost wzruszające. Na to stary kpiarz, którym był zawsze Chmielowski, buchnął zdrowym śmiechem. — To nie były pienia — rzekł uradowany — to było zwykłe darcie się włóczęgów z Kazimierza. Ale to nic, proszę pani. Darli się szczerym sercem, a Pan Bóg nie taki przebredny, żeby ich nie chciał wysłuchać. I szary brat pokusztykał wesoło ku swoim dzikusom, podczas gdy dystyngowana pani bardzo się dziwiła". Drobiazg, tak, ale w jakżesz niezrównanie trafny sposób charakteryzuje zarazem i wesołą prostotę brata Alberta i nastroje fałszywego patosu, których niecierpiał. Przyznaję, że dama spuszczająca koronkową woalkę na czubek nosa i wygłaszająca przytem patetyczne frazesy, zostanie dla mnie na zawsze symbolem, pewnego typu mentalności! To są te niedostrzegalne plamki świateł i cieni, którymi tylko wytrawny pisarz, pisarz artysta, umie operować tak skutecznie. Bo takimi własnie cienkimi, prawie niedostrzegalnymi pociągnięciami pióra (może pędzla?) jest pisana cała książka. Z bliska niby nic, a w całości obraz wyrazisty, który choć składa się tylko z fragmentów, obejmuje jednak całość, wielkiego życia i wielkiego człowieka. Ale przedziwny wdzięk tej książki sięga o wiele głębiej jeszcze. Autorka to nie tylko doskonała malarka, to także wierząca i żarliwa katoliczka. To też każdy z tych po malarsku traktowanych fragmentów drga od wewnątrz jakimś ciepłem, jakimś wzruszeniem, każdy ma podkład prawie że mistyczny. Autorkę zachwyca nie tylko zewnętrzna oryginalność malarza-żebraka, zachwyca ją przede wszystkim dusza płonąca Bożą miłością, dusza zdążająca tajemnymi szlakami łaski, tajemniczymi drogami Bożego powołania — ku świętości. I to połączenie głębokich zrozumień religijnych, ze zrozumieniami wielkości i godności sztuki, z wrażliwością na artystyczny i oryginalny kształt tego życia, decyduje o jedynym w swoim rodzaju wdzięku tej prostej, żarliwej, a patetycznej książki. — Książka Pii Górskiej opatrzona jest podtytułem „dla młodzieży". Zastanawiałam się po przeczytaniu jej dlaczego. Czyż książka, która mówi o rzeczach najwyższych w sposób prosty, która świętość nazywa świętością, piękno pięknem, książka, która używa słów naj-

bardziej nam bliskich, książka, która nas interesuje i porusza najwyższe struny naszych dusz ma już być dlatego książką tylko dla młodzieży?

Jeżeli takie bywają książki dla młodzieży, to boję się, że przestaniemy czytywać książki dla dorosłych...

Młyn nad Utratą Jarosława Iwaszkiewicza to jedna z najpiękniejszych książek „sezonu" — może wogóle najpiękniejsza, obie zawarte w niej nowele *Młyn nad Utratą* i *Nauczyciel*, to istne arcydzieło zwartości, precyzji, psychologicznej wnikliwości, plastyki, a przede wszystkim poezji. Ta Iwaszkiewiczowa poezja dyskretna, prosta jakby ukryta, jakby podskórna, nie wybuchająca nigdzie deklamacją ani patosem, a wszędzie obecna, przesycająca wszystko jak powietrze, nagrzewająca wszystko jak słońce — to największy czar jego wielkiego talentu. Jest ona blaskiem, urokiem i życiem każdej jego książki. W tej, występuje w formie jeszcze jakby udoskonalonej, jakby dojrzalszej, jest jeszcze bardziej imamentna życiu, bardziej w nie wtopiona. Poezja i piękno zdają się być elementem tworzonych przez Iwaszkiewicza ludzi, malowanego przezeń świata. Fakt ten jest tu tym bardziej uderzający, że w tych dwóch nowelach Iwaszkiewicz mniej niż gdzie indziej zajmuje się zewnętrznym kształtem życia, bardziej wchodzi w głębokie psychologiczne pokłady ludzkiej duszy. Tragiczne i głębokie te zagadnienia traktuje tak samo, jak zwykł jest traktować każdy przedmiot swej sztuki, traktuje je z doskonałym obiektywizmem i z oddalenia prawie że astronomicznego. Nie zapuszcza się w dysertacje, w komentarze, w tłomaczenia, tylko ciągle i ustawicznie maluje. Zawikłania życia, dramaty psychologiczne wyłaniają się same, jasne i przekonywujące. — Tematy obu nowel są co się nazywa drażliwe i napewno nie „dla młodzieży", ale właśnie tu Iwaszkiewicz daje całą swoją miarę, tu w tych nowelach ilustruje namacalnie tezę, która może nie dość jasno wykładana mogła gorszyć nie jednego, tezę, że pewien stopień artyzmu decyduje sam przez się o tzw. moralności lub niemoralności sztuki. Oczywiście nie w tym sensie, żeby zło uprawniał, lub pojęcie jego znosił, lub w dobro je przemieniał jedynie przez nadanie mu artystycznej szaty, ale w tym sensie, że prawdziwy artysta umie w każdym temacie mówić w sposób nie obrażający niczyich uczuć i wrażliwości, właśnie tak jak to uczynił Iwaszkiewicz. Iwaszkiewicz daje nam typowy przykład, jak doskonałe piękno jest ze swej istoty czyste, jak prześwietlając nawet mało budujące pokłady ludzkiej duszy, może pięknem pozostać, a zostając pięknem w niczym „dobra" nie obraża. Nowele Iwaszkiewicza są doskonałym przykładem uszlachetniającej i umoralniającej roli piękna w życiu, w sztuce, są doskonałym przykładem, jak prawdziwy artysta może połączyć zupełną swobodę z podstawą artystyczną, jak się te dwie pod-

stawy nie tylko sobie nie przeciwstawiają, ale przeciwnie wzajemnie dopełniają.

Książka Melchiora Wańkowicza *Na tropach Smętka*, wybiega „rodzajem" daleko poza to, co zwykliśmy nazywać podróżą. Jest to w formie opowiadań z podróży, a raczej ze sportowej kajakowej wycieczki, obszerna sumienna praca o Prusach Wschodnich, o ich historii, stosunkach ekonomicznych, politycznych, narodowościowych, praca oparta nie tylko na obserwacjach bystrego, spostrzegawczego „kajakowego wygi", ale na dokumentach, badaniach źródłowych, praca poparta elokwencją cyfr i statystyk. Zajmująca ta i ciekawa książka, jest jedną z najsmutniejszych, a raczej najboleśniejszych, jakie zdarzyło mi się od dawna czytać. Te tropy Smętka (legendarnej postaci mazurskiej, żyjącej do dziś w dawnym podaniu, a tak pięknie wywołanej przez Żeromskiego) to tropy systematycznego od wieków tępienia i prześladowania żywiołu polskiego na tej sztucznej enklawie politycznej, jaką z Prus uczynił plebiscyt i traktat wersalski. Mało się tu bowiem zmieniło od czasów krzyżackich. Nawet metody niewielkiej uległy zmianie: po prostu pałka, czasem rewolwer zastąpiły krzyżacki miecz. Wańkowicz nie mówi na wiatr: przytacza fakty, cytuje miejsca, nazwiska, daty, fotografuje dokumenty. A fakty to smutne i oburzające: tu zdemolowano polską szkołę, tam obito na śmierć człowieka, za to, że podczas plebiscytu agitował za Polską, tu bezkarnie zastrzelił człowiek człowieka, Niemiec Polaka, jedynie dlatego, że właśnie był Polakiem. A opowiadania o szykanach, upokorzeniach, prześladowaniach ekonomicznych, wyciągają się w długą litanię krzywdy i niesprawiedliwości. Wszystko czego na miejscu dowiedział się autor, co zbadał „u źródeł" opowiada nam w sposób nie tylko zajmujący, ale i bardzo inteligentny, nie poprzestając na cytowaniu faktów, ale zgłębiając ich przyczyny, dochodząc do ich korzeni. W taki sposób łączy przeróżne problemy, wykazując ich wzajemną współzależność. Widzi i rozumie jak oddziaływują na życie ludzi i charakter ludzi, warunki ich życia, nawet gatunek gleby, na której siedzą. Widzi i w sposób głęboki ujmuje problemy religijne, pokazując, jak różnie od katolicyzmu kształtuje dusze sztywny protestantyzm, jak jest obcy i daleki, jak sztucznie zaszczepiony na mazurskich duszach. Te wszystkie poważne naukowe studia, ciekawe obserwacje, piękne pejsaże przeplata autor fragmentami żartobliwego opowiadania o kajakowej wycieczce, jaką po Prusach odbył wraz z „Sancho-panszem", swą trzynastoletnią córeczką. Z pod poważnego polityka wyłazi tu co chwilę pierwszorzędny humorysta, znany nam zresztą tak sympatycznie ze „Szczenięcych lat". Książka Wańkowicza roi się od doskonałych dowcipów, zabawnych anegdot, śmiesznych powiedzeń. Ach! jakżesz miłą rzeczą jest prawdziwy dowcip, prawdziwy humor, prosty, bez-

pośredni, często dosadny, ale zawsze cienki i kulturalny. Jak dowcip jest zawsze na miejcu, gdy jest w dobrym gatunku! Książka oprócz dowcipami, ozdobiona jest nieskończoną wprost ilością doskonałych fotografii, rysunków, plansz, map i wykresów. Tak jej śliczna szata zewnętrzna, jak bogata, ciekawa treść, sprawiają, że będzie miłą i pożyteczną lekturą dla dorosłych i dla młodzieży.

Niedawno na polskie przez doskonałą tłomaczkę Marię Godlewską, przełożona powieść J. Galsworthy'ego *Za rzeką*, stanowi ostatnią część trylogii, której początkiem były *Dziewczyna czeka* i *Kwiat na pustyni*. Ale choć stanowi „ciąg dalszy", jest jak obie poprzednie, powieścią samoistną, o własnej, niezależnej fabule, z tamtymi tylko „unią personalną" występujących osób złączona. *Za rzeką* jest ostatnią powieścią znakomitego angielskiego pisarza, wydaną o ile się nie mylę, już po jego śmierci. Jest to prawdziwie jego śpiew łabędzi.

Galsworthy, nie będąc na pewno pisarzem genialnym, na miarę Conrada czy Kiplinga, jest jednak pisarzem bardzo dobrym i bardzo kulturalnym. Książki jego są przede wszystkim niezmiernie żywe i zajmujące, fabuła ich zawsze czytelnika przykuwa i pasjonuje. (Nie jest to zaleta modna, wiemy dobrze, że najsławniejsze dziś dzieła beletrystyczne, są w gruncie rzeczy tak na zwykły czytelniczy gust trochę nudne) mają przy tym jakiś wdzięk i urok, miałoby się ochotę powiedzieć, urok dobrego towarzystwa. Bo jedną z niewątpliwych atrakcji, tak wielkiej epopei Forsytów, jak i tej trylogii, jest opisywane środowisko, tam środowisko zamożnej (na nasze stosunki wprost magnackiej) burżuazji Londynu — tu środowiska angielskiej „gentry", angielskiego ziemiaństwa. Krytyka angielska, która widocznie tak samo jak nasza, uważa, że literatura powinna być przede wszystkim czynem społecznym, a że takim jest jedynie wtedy, gdy opisuje życie „człowieka pracy", lub chłopa, źle przyjęła ten łabędzi śpiew Galsworthy'ego. Fakt, że zajmował się malowaniem życia ziemian, był uważany za wstecznictwo, brak zainteresowań głębszych i za mnóstwo równie ujemnych objawów. Ale jeżeli już z literatury ma być wymazany ten odłam życia, dobrze się stało, że uchwycił go jeszcze Galsworthy na swą barwną kliszę, bo choć jest to może temat „niespołeczny", ale jest niewątpliwie wdzięczny i pełen poezji. Pełne poezji są te piękne angielskie zamki, o starej historycznej tradycji, legendzie, piękne ogromne cieniste parki, piękne typy starych dżentelmenów, żyjących tu od pokoleń i od lat, piękne stare meble, stare srebra, piękne stadniny chodujące się na szmaragdowych, wiecznie wilgotnych łąkach. Piękny nawet jest ten zakrzepły tradycjonalizm wrośniętych w ziemię ludzi, tradycjonalizm, który w połączeniu ze świeżością młodości, daje tak wdzięczne typy, jak typ uroczej Dinny. Galsworthy malując

z wielką poezją i wielkim miłosnym wyczuciem ten piękny kształt życia nie przestaje jednak na nim. Właściwie jest on malarzem obyczajów. W ostatniej swej powieści zajmuje się z większym niż gdzie indziej naciskiem, kwestią obyczajową: małżeństwem i rozwodem. W tej przedstawionej tu historii rozwodu, piętnuje Galsworthy całą martwą formalistykę angielskiej moralności, moralności, która straciwszy wszystkie podstawy religijne, a nawet etyczne, zmieniła się w kodeks towarzyskiego „savoir-vivru". Galsworthy, który jest człowiekiem niewierzącym, nie porusza w swoim dziele problemów religijnych, przeciwnie w sposób uderzający przemilcza je i odsuwa, lub traktuje jedynie powierzchownie, znowu ze strony, pewnej tradycjonalnej formy życia. Nie porusza też tych kwestii tutaj. Ale jego „common-sens", zdrowy, praktyczny rozum, ujawnia mu cały właściwie nonsens tego stanu rzeczy, który panuje w Anglii, gdzie rozwód jest uznany i przez religię i przez prawodastwo, a gdzie jest jak najsurowiej ścigany przez opinię. Rezultatem tego fałszywego założenia jest purytanizm powierzchowny, dbający jedynie o pozory. Jaskrawym przykładem tych stosunków jest opisany w *Za rzeką* proces rozwodowy Klary Corven, proces pełen sprzeczności, fałszów, krzywoprzysięstw, depcący wszystkie prawa etyczne, a starający się tylko ocalić pozory. I ta książka Galsworthy'ego, jak prawie wszystkie jest dokumentem kraju i epoki, dokumentem cennym, ciekawym i pouczającym, a przy tym obrazem prześlicznym, może być, już kończącej się wsi angielskiej.

Anna, powieść debiutującej tym tomem Aliny Segeń wzbudziła duże zainteresowanie w krytyce. Opowiada krytyka smutne losy życiowe autorki, podnosi z uznaniem i zdziwieniem, że tak dobrą książkę napisała ekspedientka z magazynu. Uważam, że takie stanowisko krytyki jest niesłuszne. Naprzód zupełnie nie jest powiedziane dlaczego ekspedientka miałaby mieć mniej talentu niż fachowa literatka lub intelektualistka. Nikt nie rodzi się literatem i najczęściej „z fachu" jest naprzód kim innym. I Reymont był „naprzód" krawcem i Conrad marynarzem a nawet zwykłym majtkiem a nikt nie podnosi z uznaniem, że majtek czy krawiec pisali aż tak dobre książki. Chodzi o to, czy książka jest w ogóle dobra, czy jest dobra sama w sobie, bez względu na biografię autora, czy jest dobra w zestawieniu z dziełami prawdziwej literatury, a nie tylko, czy jest dobra jak na książkę krawca, majtka czy ekspedientki. Otóż tak oglądana „Anna" nie wzbudza mego entuzjazmu. Oczywiście stoi na pewnym, nawet dobrym poziomie, jest pisana kulturalnie (a to już bardzo wiele), jest pisana dobrze, zwłaszcza w pierwszej swej części. Ale nie wystarcza „umieć pisać" (choć powtarzam i to już bardzo wiele) trzeba jeszcze mieć co pisać. A pod poprawną formą tej powieści nie widzę w niej nic bardzo ciekawego, nie

mam wrażenia, żeby autorka miała nam do powiedzenia coś ważnego (w każdym razie nie mówi tego w „Annie"). Dobrze zrobione opowiadanie o smutnych losach *Anny* toczy się długo, nużąco i jakby bezcelowo, a opis jej choroby w szpitalu, jest już wprost nieznośny. Autorka umie niewątpliwie życie obserwować, ale, jak dotąd przynajmniej, nie umie mu nadać kształtu własnego, własnej konstrukcji, własnej syntezy. Światopogląd autorki miał się zapewne skrystalizować w końcowych filozoficzno-religijnych dysputach doktora i bohaterki, ale z tych mętnych rozważań o Bogu, przeznaczeniu, losie itd. też niewiele nowego się dowiadujemy.

Czytając *Annę* zastanawiałem się, jak wiele znaczy dla książki, zwłaszcza dla debiutu firma wydawnicza. Temu mniej więcej rok ukazała się inna kobieca powieść, także debiut, „Cienie wieczoru" Zofii Kunickiej. Debiut ten, o ileż ciekawszy, ileż pełniejszy treści wewnętrznej, poezji, sentymentu, przeszedł prawie bez echa. Firma Gebethnera, najstarsza, najpoważniejsza firma polska, poparła „Annę" całą swoją powagą, bo książka wydana przez Gebethnera musi być „czymś". Zwłaszcza ostatnimi laty czyniony przez Gebethnera wybór okazywał się zawsze tak trafny, że już teraz wierzy się mu na kredyt. Napewno nie pomylił się Gebethner i tu, *Anna* mimo braku dla niej entuzjazmu, na wydanie zasługiwała. Jest to próba, ciekawa i obiecująca, ale jednak tylko próba. Autorka pokazała nam że pisać umie, zobaczymy co tym swoim dobrym i opanowanym narzędziem napisać w przyszłości potrafi.

Rajska jabłoń Poli Gojawiczyńskiej to ciąg dalszy „Dziewcząt z Nowolipek", dalszy ciąg w tym znaczeniu, że występują tu te same „dziewczęta" o których życiowej debakli, opowiadało nam tamto dzieło Gojawiczyńskiej, w sposób tak przejmujący. Takie podejmowanie tych samych tematów, czy tylko osób ma swoje niebezpieczeństwa: ekspozycja nie ma już niewątpliwie tej świeżości i tej „niespodziewaności" co wprowadzanie czytelnika w środowisko nowe. Książka taka, wracając do osób znanych, musi niewątpliwie przedstawiać je w innym momencie psychologicznym, w innym ujęciu. Znowu to jest wielkie niebezpieczeństwo umotywowania tej koniecznej przemiany z uwzględnieniem ciągłości. Ale takie wskrzeszania mają też i pewien urok: czytelnik lubi spotykać się ze znajomymi zwłaszcza, gdy tymi znajomymi były postacie tak doskonałe i tak żywe, jak postacie Bronki, Kwiryny, Amelii. Ale ponieważ „Rajska jabłoń", jest nie tylko „ciągiem dalszym", ale także początkiem całości, nie wiemy jeszcze na ile zakrojonej tomów — notujemy tylko jej ukazanie się z obowiązku sprawodawczego (nowa książka Poli Gojawiczyńskiej jest pozycją zbyt ważną, aby ją można przemilczeć). Omówienie jej szersze odkładamy do chwili, gdy będziemy o niej mogli mówić jako o całości.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Mickiewicz Adam: Dzieła Wszystkie. Tom IX. Literatura Słowiańska. Wykłady w Collège de France. Kurs Drugi. Rok 1841—1842. Tekst zrekonstruował, przełożył i opracował Leon Płoszewski. Tom XIII. Listy. Tom Pierwszy, 1817—1831. Opracował Jan Czubek. Wstęp napisał Stefan Kołaczkowski. Warszawa 1935, 1936. Str. 543, 556.

Dwa nowe tomy sejmowego wydania dzieł Mickiewicza rozpoczynają wydawnictwo dwóch ważnych grup twórczości wieszcza. Jedną są wykłady literatury słowiańskiej, drugą listy. Z wykładów został ogłoszony kurs drugi, ów, kończący się zapowiedzią towianizmu, w opracowaniu doskonałego znawcy przedmiotu, jakim jest prof. Leon Płoszewski, wgłębiony od szeregu lat w jego studium. Tekst został zrekonstruowany na podstawie stenogramów, przechowanych w dwóch kopiach w zbiorach rapperswilskich i w Muzeum Ks. Czartoryskich. Pewnych uzupełnień dostarczyło nadto francuskie wydanie tekstu z r. 1849, oraz przekład Wrotnowskiego. Miejsce wstępu zajmuje tymczasowa notatka wydawnicza. Kompletne natomiast są już przypisy, umieszczone szczęśliwie pod tekstem, a nie na końcu, co bardzo ułatwia korzystanie z nich. W przypisach tych pokazał prof. Płoszewski, co umie. Należy podziwiać niezmierną rozciągłość informacyj, obejmujących olbrzymi zakres historii i literatury słowiańszczyzny, odtwarzających stan wiedzy o niej w czasach Mickiewicza, prostujących i uzupełniających jego informacje. Szczególnie cenną partię przypisów, stanowią wyciągi ze współczesnych czasopism, pamiętników i listów, dające poznać oddźwięk, jaki wykłady Mickiewicza wywołały u jego słuchaczy. A jak wiadomo, oddźwięk ten, zupełnie niezwykły, jest integralną częścią zjawiska, któremu na imię Kurs Literatur Słowiańskich Mickiewicza.

Zasługą prof. Płoszewskiego jest nie tylko rekonstrukcja i wszechstronne opracowanie wykładów, ale również nowy ich przekład z języka francuskiego na polski. W przekładzie tym, jak zaznacza tłumacz, szukano odpowiedników frazeologicznych w pismach polskich Mickiewicza i korzystano szeroko ze szczęśliwych wyrażeń Wrotnowskiego. Trudno wdawać się tu w szczegółową ocenę tłumaczenia, nie mając pod ręką tekstu francuskiego stenogramu. Od drukowanego tekstu francuskiego przekład niejednokrotnie odbiega, ale, jak wiadomo, tekst ten odbiega również od autentyku Mickiewicza. O ile można sądzić z porównania z tekstem Wrotnowskiego, zdaje się, że nowy przekład dąży do większej zwięzłości i precyzji. Odpowiedniki frazeologiczne z polskich Mickiewicza wstawiane są istotnie szczęśliwie, jak również i całe zdania z tłumaczenia Wrotnowskiego. Dwa te elementy przekładu harmonizują ze sobą doskonale, bo na stylu Wrotnowskiego wyraźnie zaważył styl twórczy „Pana Tadeusza". Natomiast element trzeci, jakim są samodzielnie ukute okresy

nowoczesnego tłumacza, niezupełnie dobrze przystaje do dwóch poprzednich. Należało unikać — a jest to jedyny zarzut, jaki mogę postawić — wyrażeń zbyt nowoczesnych, należało styl jednak zlekka archaizować. Razi mnie silnie, by przytoczyć jeden przykład, wstawienie do tekstu Mickiewicza takiego sposobu mówienia, jak „w sprawie tej zupełnie nie mogli się wyznać" (str 72), który nie tylko odbiega zupełnie od stylu epoki mickiewiczowskiej, ale nadto ma odcień gwary studenckiej. Możliwe, że wskazanym było zachowanie w szerszym zakresie tekstu Wrotnowskiego, przez co uniknęłoby się takich i tym podobnych nawyczek stylowych. Należy przypuszczać, że tłumacz zechce w dalszym ciągu przekład swój jeszcze zrewidować, by wydanie kursu Mickiewicza wolnym było od najlżejszego pyłku i osiągnęło pod każdym względem tę doskonałość, jaką nadaje mu wzorowe poza tym opracowanie komentarza.

Tom następny, tom listów Mickiewicza, bierze się do ręki niemal ze wzruszeniem. Nie będąc dziełami sztuki, jak listy Słowackiego, przewyższają je mickiewiczowskie tym niezwykłym czarem bezpośredniości, jaki mało która korespondencja posiada, pozwalają zbliżyć się do Mickiewicza — człowieka z całym zaufaniem. Tym większa odpowiedzialność spada na autora wstępu zatytułowanego „Mickiewicz jako człowiek", z podtytułem „Glosy". Nie chcąc widać dźwigać całej pełni tej odpowiedzialności, prof. Kołaczkowski nazwał swą pracę szeregiem aspektów, a nie kompletnym wizerunkiem poety. Przyznać jednak trzeba, że te „aspekty", pisane stylem trudnym, dość mało przystępnym, rzucają światło oryginalne na różne strony psychiki Mickiewicza. Wydobywają z cienia nieoczekiwane efekty, a w sumie dają wizerunek wszechstronny. Za najbardziej istotną zdobycz opracowania można uważać nowe oświetlenie antynomii chrystianizmu i prometeizmu, jako rytmu życia wielkiego twórcy. Rozprawiając się w sposób nieodwołalny z pomniejszycielami Mickiewicza, nie uchronił się jednak autor na odwrót od pewnego przecenienia. Należę do najgorętszych wielbicieli Mickiewicza, a jednak nie ośmieliłabym się powiedzieć, że w nim jest „miara miar człowieczeństwa". Z drugiej strony odczuwam w wizerunku nakreślonym przez prof. Kołaczkowskiego, niedostateczne podkreślenie heroizmu, za mało uwydatnienia religijności heroicznej psyche poety. Mówić tylko o pokorze ks. Piotra, to może nie dosyć. Zresztą sprawa jest niezwykle trudna. Z indywidualności takiej, jak Mickiewicz, każdy zaczerpnie tylko tyle, ile zaczerpnąć jest zdolny, każdy dostrzega te rysy, które jemu odpowiadają. Sądzę, że najbardziej genialne i bezstronne przedstawienie psychiki tak bogatej, nie zadowoliłoby wszystkich. Mimowoli każdy z czytelników, mających swój osobisty stosunek do omawianej postaci, uważałby za jednostronne. Jeżeli jednak zupełny obiektywizm

jest w tym wypadku ideałem, niemożliwym do osiągnięcia, to trzeba przyznać, że świetne studium prof. Kołaczkowskiego zbliża się do tego ideału bardzo znacznie.

Dr Z. Ciechanowska.

Giraud Victor: Paul Bourget. Etude de psychologie contemporaine. Avec une lettre autobiographique de l'auteur du „Disciple". Paris. Bloud et Gay, str. 213.

Jak już sam podtytuł tej pracy wskazuje, autor mniej może bada poszczególne dzieła Bourgeta, jak raczej poprzez twórczość literacką stara się dosięgnąć człowieka, odtworzyć jego psychikę i narysować linię rozwoju. Człowiek ten jednak nie zawisa u Girauda w abstrakcyjnej pustce, ale wyrasta ze współczesnego środowiska. Nastrój tego środowiska, to moment bankructwa determinizmu i zachwianie absolutnej wiary we wszechpotęgę rozumu i wiedzy ludzkiej. Młode ówczesne pokolenie traci już tę pewną siebie intellektualną postawę, jaką mu dał na chwilę determinizm, a jeszcze przesiąknięte płynącym z niej pesymizmem szuka rozpaczliwie jakiegoś ratunku i oparcia. Stąd ten głęboki oddźwięk, jaki znajduje twórczość Bourgeta. Bo, jak nam autor wykazuje, już w pierwszych powieściach Bourgeta, poza realizmem i śmiałością jego obrazów, prześwieca „chrystjanizm immanentny". Wieje z nich rozpaczliwa jałowość i smutek, jaki pozostawia materialistyczne oddanie się namiętnościom. Następny krok Bourgeta, to otwarte zaatakowanie ciasnej filozofii materialistycznej i determinizmu w nauce. To *Le Disciple*, malujący tragiczne konsekwencje tej ciasnoty i zaślepienia współczesnych ludzi nauki. Potem idzie *L'Etape*. To już nie negatywna, destrukcyjna praca, ale pozytywne szukanie czegoś Niepoznawalnego i Doskonałego. Odtąd Bourget zbliża się coraz bardziej już nie tylko do chrześcijańskiego, ale do zupełnie i głęboko katolickiego poglądu na świat (np. w *Le Sens de la mort*).

Ewolucja Bourgeta w tym kierunku absorbuje autora z pewnością najsilniej, ale śledzi on również pilnie i zagadnienia formy i wpływy literackie, próby wypowiedzenia się naprzód w poezji i w krytyce i zapatrywania estetyczne Bourgeta. Przytacza ciekawe autobiograficzne notatki, pozwalające wglądnąć w mechanizm twórczej pracy powieściopisarza. Bada też wszechstronnie szereg innych zjawisk, charakterystycznych dla jego twórczości.

Praca to niezmiernie źródłowa, pedantycznie udokumentowana, na czym cierpi może trochę jej przejrzystość i przysłowiowa francuska lekkość. Autor, który Bourgetem zajmował się już od dawna, opiera się głównie na źródłach autobiograficznych, między innymi na niedrukowanym dotychczas we francuskich wydaniach „Liście autobiograficznym", skierowanym do amerykańskiego wydawcy wyjątków z dzieł Bourgeta.

Poza wspomnianym brakiem przejrzystości i lekkości, monografia Wiktora Giraud jest tu i ówdzie może zamało obiektywna, wynikiem czego jest nie zawsze słuszne apoteozowanie Bourgeta i intensywna, a mało przekonywująca obrona niektórych istotnie i niezaprzeczenie słabych stron jego dzieła. Poza tymi usterkami, raczej dotyczącymi szczegółów, jest to bodaj najważniejsza praca, uwzględniająca w tej mierze całą twórczość autora „Swiętego".

Mgr Maria Bzowska.

Stanislaus von Dunin-Borkowski S. J.: Spinoza Band I: Der junge De Spinoza, II. Aufl, XXIV und s. 634 — Band II: Aus den Tagen Spinozas: Das Entscheidungsjahr 1657; IV und s. 495 — Band III: Aus den Tagen Spinozas: Das neue Leben; IV und s. 444 Münster, i. W., Druck und Verlag der Aschendorffschen Verlagsbuchhandlung, 1933, 1935.

Wybitny znawca współczesnej myśli filozoficznej, Ch. Appuhn, stwierdzał w r. 1917 że Spinoza należy dzisiaj do filozofów najpopularniejszych; ani Descartes ani Leibniz ani Kant nie jest tak czytany jak on. W latach powojennych zyskał Spinoza olbrzymi zastęp nowych entuzjastycznych adeptów w osobie komunistów rosyjskich, którzy widzą w nim ojca marxizmu pioniera ateizmu i materializmu. [1])

Z wyjątkowej doniosłości i aktualności filozofii spinozjańskiej zdał sobie wcześnie sprawę ks. Dunin-Borkowski T. J. i badaniu jej poświęcił całe — rzec można — długie życie. Po ogłoszeniu kilku rozpraw na jej temat wydał w r. 1910 dzieło pt. *Der junge De Spinoza*, które przedrukowane nie dawno stanowi I. tom IV-tomowego dzieła pt. Spinoza. W tomie tym doprowadza autor historię życia Spinozy do pamiętnej chwili, w której został wyklęty ze synagogi żydowskiej.

Tom drugi opisuje szczegółowo przeżycia filozofa w okresie tego przełomowego faktu. Wielu już autorów zajmowało się wprawdzie tym tematem. Atoli zdaniem O. Borkowskiego przeoczyli oni mnóstwo szczegółów zdolnych rzucić niemało światła na genezę filozofii Spinozy (tak ciągle niepewną) oraz na właściwy sens jej zasadniczych dogmatów. Zostawiając na uboczu wszelkie względy literackiej formy i piękna, stara się odtworzyć możliwie najwierniej, najszerzej tło historyczne religijno-kulturalne, na którym występuje jego bohater. A więc rozwodzi się nad nadziejami „mesjanistycznymi" epoki, przepowiedniami wędrownych „proroków" w rodzaju słynnego Comenius'a i Drabika, systemami filozofów arabskich, żydowskich i chrześcijańskich, nad obyczajami „libertynów" (wśród których miał Spinoza najlep-

[1]) A. Deborin: *Spinozismus und Marxismus*, Chron. Spin. t. V, 1927, p. 151.

szych przyjaciół), nad stanem nauk filozoficznych, matematycznych, teologicznych, których dzieła wypełniały ówczesne biblioteki itd.

W tomie III: *Das neue Leben*, które wyszło z druku już po śmierci autora († 1 maja 1934), opisuje nasz historyk z drobiazgowością sobie właściwą życie holenderskie z czasów Spinozy, ruch wolnomyślny epoki, problemy polityczne, zwyczaje domowe, socjalne, religijne, charakter czasopism wówczas wydawanych, itp.

We wszystkich tych tomach uderza czytelnika niezwykły takt i delikatność, z jakimi się autor odnosi do Spinozy, którego przecież idei nie podziela; daje wzór niezrównany prawości i lojalności w krytyce naukowej; nigdzie sarkazmu, nigdzie ironii, nigdzie złośliwości, nigdzie naciągania tez przeciwnika dla ułatwienia sobie triumfu nad nimi, nigdzie chętki zohydzania przeciwnika; wszędzie spokój, samoopanowanie, szczera życzliwość, która tak wszystkich czytelników ks. Borkowskiego ujmuje. Odczuwa się, że chodzi mu wyłącznie o prawdę, którą podaje z miłości: *Veritas in caritate*. Ale tylko w ten sposób potrafił Autor szczęśliwi ominąć Scyllę i Charybdę: nie uległ ślepemu entuzjazmowi dla spinozyzmu i nie dał się porwać fanatyzmowi jego przeciwników. W dziele Spinozy widzi O. Borkowski mnóstwo niedociągnień, niejasności, ba nawet sprzeczności; podkreśla u autora brak zmysłu historycznego, ścisłości w referowaniu autorów, jego autodydaktyzm, operowanie materiałem z drugiej i trzeciej ręki, pomijanie źródeł zasadniczych. Lecz z tym wszystkim nie odmawia mu niezrównanych zdolności syntetycznych, orginalnych ujęć, genialności.

Dzieło ks. Borkowskiego posiada dla historii spinozyzmu niepoślednie znaczenie; pozwoli głębiej wniknąć w labirynt monizmu i od wewnątrz — krytyką imanentną — rozsadzić jego mury; unaoczni bolszewikom, że pokrywanie ich grubego ateizmu i płaskiego materializmu autorytetem Spinozy jest wykoszlawianiem prawdy; apologetom zaś chrześcijańskim podda argumenty idące w sedno rzeczy i skłoni do zaniechanie raz tandety, która od Bayle'a, Fénelon'a po wielu naszych podręcznikach ciągle pokutuje. Jest ono niezbędne dla każdego, kto chce poznać filozofię Spinozy.

Ks. Paweł Siwek T. J.

Wł. Witwicki: Rozmowa o jedności prawdy i dobra. Lwów 1936, 12^0, str. 61.

Prof. Uniw. J. Piłsudskiego w Warszawie, Wł. Witwicki, snuje na tytułowy temat-fikcyjny, a swobodniejszy w toku myśli i doborze słów, dialog; punktem wyjścia stała się pewna prelekcja naukowa o nowych drogach moralności. Prelegent wyraził dezyderat postawienia estetyki moralnej na miejsce etyki, a w następstwie zamiany ocen czynów ludzkich: „dobry" i „zły" — na

„piękny" i „brzydki." W historii etyki występowano, jak wiemy, z takim żądaniem kilka razy.

Prof. Witwicki ma sposobność wypowiedzieć swoje „credo etyczne". Pragnie, aby o sprawach etyki mówiono niekiedy językiem ścisłym i niedwuznacznym. To od strony formalnej. Sądzi ponad to, że, jak w dziedzinie prawdy logicznej znajdujemy określoność i jedność — tak i w zakresie etyki, dzięki sądom tej samej, co i w dziedzinie prawdy, zasady „sprzeczności," spotkamy reguły postępowania niewątpliwe i niezmienne. Więc wyklucza się anarchiczny relatywizm.

Najwyższym probierzem słuszności zasady etycznej jest jej przydatność do urządzania pokojowego współżycia i współpracy ludzkiej. Instynkt społeczny i dobre serce „przecedzone przez sito intellektu" (str. 58), są źródłem nakazów moralnych. System prof. W. — to pewnego rodzaju solidaryzm z domieszką ewolucjonizmu społecznego, bo zakres i wzniosłość zasad etycznych potęguje się z rozwojem ludzkiego instynktu społecznego (str. 60).

I takie koncepcje etyczne były i są wielokrotnie wysuwane — o wiele nawet częściej, niż estetyzm moralny.

Jeżeli jednak przepisy etyczne wyczerpują się według prof. W. w kodeksie zasad, ułatwiających ludziom współżycie i współpracę (str. 56), zapytamy się, czy etyka nie potrzebuje regulować zjawisk życia czysto psychicznego człowieka, które często nie ma sposobności przejawić się na zewnątrz i bezpośrednio ani szkodzi ani pomaga bliźnim? O ile nawet przyjmiemy, że i one moralizują się przez to, że dysponują do dodatnich lub ujemnych społecznie czynów — zawsze przecież czuć będziemy odbieg od jednostkowej godności człowieka i trochę sztuczne szukanie wartości etycznych w zbiorowości. Czy nie będzie lepiej, jeżeli pozostaniemy na gruncie przyrodzonym, opierając etykę na wymaganiach rozumnej natury człowieka? Wtedy wyraźniej określi się jego moralność osobista, wtedy pogłębi się i etyka społeczna, a od najdzie się także, pominięty w etyce społecznej prof. W. stosunek do Boga.

Ewolucjonizm etyczny (str. 60) przyjąć możemy tylko w znaczeniu specjalnym. Nie sądzimy, że ludzkość musiała zbiorowym wysiłkiem zdobywać coraz to nowe, nieznane dotąd prawdy etyczne, tak, jak dorabia się coraz to nowych wynalazków technicznych. Człowiek wyszedł bowiem z ręki Boga ze świadomością pełnego kodeksu moralnego. Ogromna część ludzkości zatraciła go potem. Poraz drugi Chrystus spełnił rolę najdoskonalszego nauczyciela moralności. Tak więc pełny kodeks moralności, znany przynajmniej przez cząstkę ludzkości, zawsze jej towarzyszył. Przyznamy chętnie fakt ewolucji w tym znaczeniu, że świat na ogół z biegiem czasu szlachetnieje.

Tak więc, obok słusznej normatywności i stałości, credo etyczne prof. W. nosi na sobie cechy ewolucjonizmu i po-

zytywizmu socjologicznego z drugiej połowy XIX w. W wiek XX sięga swym lekkim irracjonalizmem (etyka instynktu społecznego i serca).

Ks. Z. Goliński.

Janusz Woliński: Polska i Kościół prawosławny. Zarys historyczny, Lwów, Ossolineum, 1936, str. 151.

Stosunek Polski do Kościoła prawosławnego jest tematem, który posiada znaczenie nie tylko historyczne, ale i wielce praktyczne wobec faktu istnienia czterech milionów wyznawców tego Kościoła w Polsce odrodzonej i wobec potrzeby definitywnego uregulowania ich stanowiska prawnego w państwie. Pewne zaś światło na zagadnienie aktualne może rzucić znajomość przeszłości. Tym względem zapewne powodował się J. Woliński, przystępując do napisania „Zarysu historycznego" stosunków Polski do prawosławia. Z postawionego sobie zadania wywiązał się dobrze, niewielka jego książeczka daje czytelnikowi istotę tego, co trzeba by wyławiać z obszernych naukowych prac. Autor umiał przy wielkiej zwięzłości pracy nie pominąć niczego, co istotnie było ważne w omawianym przedmiocie. Oświetlenie historii prawosławia w Polsce, dane przez autora, można uważać za obiektywne i dlatego książkę tę można polecić wszystkim, interesującym się prawosławiem w Polsce. Ale wkradło się do niej kilka nieścisłości, wymagających sprostowania. Tak na str. 23, mówiąc o przywilejach, nadanych cerkwi ruskiej przez Władysława Warneńczyka w r. 1443, autor rzecz tak przedstawia jakby te przywileje nadane były Kościołowi prawosławnemu, podczas gdy one dane były cerkwi, która na soborze Florenckim zjednoczoną została z Kościołem katolickim. Na str. 34 autor mówi o „sakrze" i „wyświęcaniu" biskupów, jakby to były dwa różne akty podczas gdy jest to jedno i to samo. Na tejże stronie wspomina o prawosławnej diecezji wileńskiej, jakiej w rzeczywistości nie było. Największa może nieścisłość dotyczy stosunku ks. Skargi do obrządków greckich. Podczas gdy K. Chodynicki mniemał, że Skarga z początku był za zachowaniem przez Rusinów obrządku greckiego, a potem zmienił zdanie i unię kościelną pojmował jako jedność nie tylko wiary, ale i obrządków, to J. Woliński wypowiada na str. 50 zdania wręcz przeciwne, mianowicie, że Skarga w swej książce (tj. od początku?) pojmował unię jako bezwzględną jedność wiary, ustroju i liturgii, a dopiero później godził się na zachowanie odrębności liturgicznych przez Rusinów. Otóż ani Chodynicki ani Woliński nie ma racji. Ks. Skarga od początku, tj. od napisania swej książki „O jedności" aż do późnej starości trzymał się tego samego zdania, mianowicie, że unia polega na jedności dogmatycznej i na uznaniu papieża, a równocześnie na zachowaniu odrębnej liturgii i kar-

ności kościelnej. Wykazałem to w *Oriensie* (wrzesień—paźdz. 1936). Na str. 77, wzmiankując o liście Lwa Sapiehy do Józefata Kuncewicza, należało choć jednym zdaniem wspomieć także o udzielonej kanclerzowi odpowiedzi Świętego. Na str. 79: nie kanonizacja Józefata nastąpiła rychło po jego męczeństwie, lecz beatyfikacja; kanonizacji dokonał Pius IX w r. 1867. Te i innych parę pomniejszych usterek nie obniżają wartości książki.

Ks. J. Urban T. J.

F. A. Ossendowski: Huculszczyzna. Wyd. Wegnera, Poznań, 1936 r. Str. 229 in 8^0.

Jest to wielki czyn obywatelski poznańskiej firmy Wegnera, że wydaje opis całej Polski we wspaniałej, luksusowej pod względem typograficznym formie, pod tytułem „Cuda Polski." W ten sposób opisano już polskie morze i Pomorze, Śląsk, Warszawę, Wielkopolskę, Lwów, Wilno, Polesie, Puszcze polskie, obecnie zaś Huculszczyznę, która „jest w modzie".

Autor zwiedził ją kilkakrotnie i opisuje kraj, obyczaje patriarchalne, sztukę ludową, wierzenia, podania i dzieje historyczne tego zakątka naszych wschodnich Karpat, z jego malowniczym ludem. Opisuje na podstawie autopsji i dzieł naukowych, a przeznacza tę książkę dla tych, którzyby nigdy nie zaglądnęli do dzieł ściśle naukowych — dla naszej inteligencji, dla turystów, aby dowiedzieli się czegoś o tych słonecznych Wierzchowinach.

Dowiedzą się też z tej książki, że ten kraj z dawna zasiany gniazdami polskich zamków, że nawet podczas wielkiej wojny lud ten huculi, garnął się chętnie do specjalnego oddziału huculskiego legionowej, „Żelaznej brygady karpackiej", która pod wodzą kpt. Szerauca wielkie przysługi oddała naszej ojczyźnie; dopiero polityka ostatnich czasów poczyna i ten lud psuć — ale dobrze, że A. nie tyka tej kwestii, by nie mącić polityką słonecznego obrazu Huculszczyzny.

Skarby przyrody leśnej, skarby mineralne bardzo wielkie i ten raj dla myśliwych, najpierwsze w Europie tereny myśliwskie na grubego zwierza, są właściwie dotąd mało wyzyskane dla chwały naszej ojczyzny i jej piękna... nawet wśród nas. Książka niniejsza — jeśli ją zechcemy czytać — przyczyni się do tego, a może zachęcić do czytania pięknością formy zewnętrznej, bogactwem ilustracyj, stylu i — rzeczy samej.

Widać, że A. jest tylko podróżnikiem, nie tutejszym człowiekiem i dlatego „tutejszy" człowiek może — w imię dokładności, wyłowić — niektóre tylko — niedociągnięcia, jak np. „cypel Huculszczyzny wciska się w ziemię rumuńską" (str. 7). Ależ ta ziemia nie jest rumuńską — tylko kraj należy do Rumunów; ziemia huculska lub rusnacka, widzi tylko Rumuna strażnika na granicy. Złotodajne rzeki, skąd Rzymianie czerpali drogi kruszec,

leżały w Siedmiogrodzie, a nie na Huculszczyźnie (str. 10). Również za — poezję — należy przyjąć taki zwrot, że z Legionów, które walczyły w Karpatach w r. 1914/5 „uformowano później drugą Brygadę" (str. 35), lub, że „Piłsudski porwał za sobą Hucułów na czyn zbrojny i sławny" (str. 75)...

Także i fotografie jakie podaje autor rzekomo z życia Legionów w Karpatach (str. 34-7) są nieścisłe. Tylko dwie pierwsze są prawdziwe; trzecia z podpisem „dowódca" przedstawia gen. Januszajtisa, ale zdaje mi się, że z czasów, gdy był dowódcą reduty pod Kostiuchnówką, a nie w Karpatach; reszta fotografii pochodzi także z czasów kampanii wołyńskiej — a szkoda, bo są przecież obrazki Karpackiej Brygady i to bardzo charakterystyczne, w rozlicznych albumach i widokówkach i to o bardzo artystycznym wyglądzie.

Rycina na str. 52 nie oddaje cudów gór „w szacie zimowej" tak, jak fotografie inne (na str. 179 i n.). Autor twierdzi, że nikt nie poluje w Bitkowie (str. 46) — a ja wiem, że jest tam prawie tylu myśliwych, ilu inżynierów przy nafcie. Również nie wiem na czym można oprzeć twierdzenie, że Huculi z Turcji brali sobie żony (str. 88) i konie: wiadomo o „bałkanieniu się" Rumunów i Hucułów czyli chodzeniu na Bałkan za rabunkiem, także w dawnych wiekach, ale żeby aż tam żon szukali? Również nie można mówić, że między Czechami i Polską były długie spory przy wytyczaniu granicy (str. 19); na Spiżu i Orawie, tak, ale wszędzie indziej biegnie stara ta sama granica Polski, jak dawniej między Galicją a Węgrami, a dzisiaj między Czechami ew. Rumunią i Polską. Spory toczyły się tutaj o Ruś zakarpacką, do kogoby miała należyć, więc o kraj cały, a nie o granicę Huculszczyzny.

Ks. K. Konopka T. J.

Notatki bibliograficzne.

Ks. Michał Rękas. Msza św. chorych. Nakładem Apostolstwa Chorych. Lwów 1936. Str. 140.

Niestrudzony apostoł chorych, znany ze swych przemówień radiowych i licznych publikacyj przeznaczonych dla dotkniętych chorobą daje w rękę cierpiących praktyczny podręcznik liturgii mszalnej. Książeczka ta napisana z doskonałym znawstwem psychiki chorych otrze niejedną łzę, przyniesie ulgę w niejednej chorobie, wzbudzi dużo dobrych i zbawiennych myśli.

Ks. Michał Rękas: Apostolstwo Chorych w Polsce. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Kat. Poznań. Str. 18.

Broszurka podaje zwięźle przewodnie myśli i główne zasady „Apostolstwa Chorych" dla użytku tych wszystkich, którzy w ja-

kikolwiek sposób mają styczność z chorymi. „Apostolstwo Chorych" jest organizacją w Polsce już dość znaną ale jeszcze niedość rozpowszechnioną. Tymczasem skutki tej pracy są nadzwyczajne, dlatego też broszurkę tę trzebaby rozrzucić w tysiącach egzemplarzy, by krzewić wielką ideę skutecznej pociechy oraz duchowej pomocy dla chorych.

Melchior Wańkowicz: Strzępy Epopei. Wyd. trzecie, powiększone. Warszawa „Rój" 1936. Str. 292.

Strzępem epopei są dzieje nieznanego żołnierza Pasika... Wspaniałym rycerskim rapsodem jest wyprawa i śmierć płk. Mościckiego... Opowieścią budzącą gorycz wstyd i upokorzenie jest „Noc z 21 na 22 maja w 1-szym Korpusie Wschodnim..." Opowiadanie komendanta pancernego pociągu, St. Małagowskiego, wpada miejscami w rytm pieśni rycerskiej. Prostota sięga tu wyżyn wielkiej sztuki... Każde słowo brzmi jak czysty spiż. Każde słowo błyska ogniem i mieczem. — Tak pisał niegdyś Julian Ejsmond o „Strzępach Epopei" Kto przeczyta tę zawsze świeżą choć przeszłość opiewającą książkę, ten powtórzy za Stefanem Żeromskim: „Książkę przeczytałem z najgłębszym wzruszeniem".

„Słowak": Rola Słowaczyzny w militarnym sojuszu Czechów z bolszewicką Rosją. Odbitka z XLVII tomu 1936 miesięcznika „Nasza Przyszłość". Warszawa. Str. 42.

Sojusz Czechosłowacji z Bolszewią jest faktem jak faktem jest rosnący wpływ komunizmu w kraju naszego południowego sąsiada. Autor wykazuje w przekonywujący sposób jaka tragedia narodu słowackiego tai się pod pokrywą tego narzuconego Słowakom sojuszu. Sojusz czesko-bolszewicki zagraża Polsce, Słowakom i Węgrom. Najlepszą przeciwwagą byłby wielki blok antybolszewicki, którego centrum stanowiłaby Polska, Słowaczyzna i Węgry. Blok ten obroniłby Europę i całą jej kulturę przed planami czesko-bolszewickimi. Oto teza niniejszej broszury.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego:

Józef Chałasiński: Szkoła w społeczeństwie amerykańskim. Warszawa 1936, str. 590.

Michał Wiszniewski: Charaktery rozumów ludzkich. Warszawa 1935, str. 213.

Dr Stanisław Skowron: Hormony w psychofizycznym rozwoju człowieka. Warszawa 1936, str. 176.

Nakładem „Naszej Księgarni":

Stanisław Łempicki: Polskie tradycje wychowawcze. Warszawa 1936, str. 256.

Jan Muszkowski: Życie książki. Warszawa 1936, str. 346.
Józef Mirski: Wychowanie i wychowawca. Warszawa 1936, str. 342.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego:

Jan Czekanowski: Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. Katowice 1936, str. 34.
Jerzy Bok: Nauka domowa i wyjątki z agendy. Opracował Wincenty Ogrodziński, Katowice 1936, str. 54.
Ludwik Musioł: Materiały do dziejów wielkich Katowic. Katowice 1936, str. 218.
Karol Piotrowicz: Plany rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec średniowiecza. Katowice 1936, str. 58.

Nakładem Instytutu wydawniczego „Biblioteka Polska":

Bohdan Pawłowicz: W słońcu dalekiego południa. Szkice z podróży. Warszawa 1937, str. 198.
J. Wielawski i W. Winiarz: Gdzie ludzie żyją lat 25. Warszawa 1936, str. 326.
Mieczysław Orłowicz: Ilustrowany przewodnik po Warszawie i okolicy, wyd. 3. Warszawa 1937, str. 170.

Nakładem redakcji „Prosto z Mostu":

Czesław Straszewicz: Gromy z jasnego nieba. Warszawa 1936, str. 236.
Wojciech Wasiutyński: Z duchem czasu. Warszawa 1936. str. 280.

Nakładem Gebethnera i Wolfa:

Kornel Makuszyński: Złamany miecz. Warszawa 1937, str. 254.
Zygmunt Nowakowski: Wytatuowane serca. Warszawa 1936, str. 236.
Ignacy Baliński: Wybór wierszy z lat wielu. Warszawa 1937, str. 280.

Nakładem Wł. Michalaka i S-ki:

Eugeniusz Szermentowski: Historia jednej blagi. Warszawa (bez. daty), str. 220.
Tenże: Karjerowicz. Warszawa (bez daty), str. 244.

Nakładem współdzielni rolniczych i zarobkowo gospodarczych:

Jan Bielecki: Co rolnik osiąga przez współdzielczość. Warszawa 1936, str. 16.
Józef Reizer: Handzlówka — wzorowa wieś współdzielcza. Warszawa 1936, str. 20.

Nakładem różnych:

Ks. Maksymilian Rode: Kazania społeczne. Poznań 1937. Księg św. Wojciecha, str. 190.
Ks. bp Paweł Kubicki: Dwa odczyty. Stanowisko duchowieństwa katolickiego w Królestwie polskim w latach 1860—1915. — O języku rosyjskim w nabożeństwie dodatkowym. Nakładem autora. Sandomierz 1936, str. 470.
Stefan Górniak: Pieniądz czek i weksel. Warszawa 1937. „Książnica Atlas", str. 62.
Samuel Stending: Materializm a poznanie. Warszawa 1936, nakł F. Hoesicka, str. 124.
Bedřich Bridel S. J.: Život sv. Ivana, v Břevnove 1936.
Maciej Szukiewicz: Rymy i Rytmy. Kraków 1936, nakł. Fr. Eberta, str. 142.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rozprzężenie moralne wśród młodzieży. — Konstytucyjna i okólnikowa teoria a praktyka. — Przepisy prawa kościelnego. — Postulat szkoły wyznaniowej.

Nie od dzisiaj rozlegają się w Polsce głosy skargi i głębokiego zatroskania wobec rozprzężenia i demoralizacji, szerzących się zastraszająco wśród szkolnej młodzieży. Nie od dzisiaj narzeka się na kryzys autorytetu rodziców i wychowawców. Coraz powszechniejszym również staje się biadanie nad obniżeniem naukowego poziomu w powszechnym i średnim szkolnictwie.

Skargi te hamowano przez pewien okres oficjalnie a sztucznie, dopatrywano się w nich politycznej opozycji i partyjnej walki z reżimem, stosowano nawet wobec nich mniej lub więcej maskowany terror, zarzucając na bolesną rzeczywistość tiulowe zasłony górnych frazesów o państwowotwórczej szkole, o uspołecznieniu młodzieży, o unowocześnieniu pedagogicznych metod. Usiłowano zakłamać i siebie i drugich. Ale paliatywy te nie odniosły skutku.

Jeszcze przed paru miesiącami, gdy pojawiła się broszura pt.: „Szkoła polska na rozdrożu“, [1]) w której wybitny pedagog krakowski prof. Skoczylas przedstawił w sposób dobitny spostrzeżenia z terenu szkół średnich, oparte na autentycznym materiale faktów, zanalizował wnikliwie przyczyny rosnącego chaosu i naszkicował program naprawy — rozległy się gwałtowne słowa krytyki. Pewien odłam prasy, z *Kurjerem Porannym* na czele, zaatakował namiętnie tę broszurę jako oszczerczy paszkwil, krzywdzący naszą mło-

[1]) Wydawnictwo Księży Jezuitów. Warszawa 1936.

dzież szkolną. Zarzucono autorowi czarny pessymizm, jednostronność, uogólnianie twierdzeń, opartych na zbyt szczupłym materiale faktycznym.

Dziś wszystkim obrońcom obecnego stanu szkoły, idealistom nowych metod wychowawczych można położyć przed oczy świeży okólnik gen. Zamorskiego, który podległym sobie organom policyjnym polecił zwrócenie bacznej uwagi na mnożące się ekscesy młodzieży szkolnej. Dowiedziało się więc społeczeństwo, tym razem chyba już z niepodejrzanego o pessymizm czy partyjne wichrzenie źródła, o licznych występkach szkolnej młodzieży: o nałogowym wałęsaniu się uczniów i uczennic w godzinach szkolnych po podmiejskich parkach, o uczęszczaniu do lokalów zakazanych, o trywialnych zaczepkach ulicznych, o nierządzie, pijaństwie, a nawet narkomanii. — Oczywiście i teraz możemy twierdzić, że nie chodzi o ogół młodzieży szkolnej. Ale widać, iż ekscesy te zaczynają przybierać charakter nagminny, kiedy policja uznała za konieczność zorganizowanie specjalnej opieki nad szkolną młodzieżą.

Komunikat komendy policji warszawskiej ma swą przerażającą wymowę; niestety komunikaty policji innych miast większych z terenu całej Polski dowodzą, iż to rozprzężenie moralne nie jest przywilejem li tylko stolicy.

Wobec tych faktów odważyło się Kuratorium Krakowskie pod koniec ub. r. uderzyć na alarm i wezwać szerokie rzesze rodzicielskie do intensywnej współpracy w doniosłym dziele powstrzymania rosnącego rozkładu i umoralnienia młodzieży. [1]) Kuratorium to wystąpiło z gotowym projektem stworzenia Towarzystwa Ochrony Młodzieży, którego członkowie mają mieć prawo i obowiązek skutecznej ingerencji w wypadkach niewłaściwego zachowania się młodzieży na poza szkolnym terenie. Daleko idące w projekcie prerogatywy członków tego towarzystwa, którzy mogą spowodować nawet interwencję organów bezpieczeństwa, świadczą wymownie, jak szerokie kręgi zatoczyło już zepsucie szerzące się wśród młodzieży. Fragmenty tego zepsucia odsłania sprawozdanie państwowego urzędu zdrowia, które między innymi podaje, iż w jednym tylko roku i to na terenie jednego tylko województwa krakowskiego, z pominięciem samego miasta Krakowa, stwierdzono ponad 90 wypadków poronień wśród dziewcząt szkolnych, zarówno szkół powszechnych jak i średnich w wieku lat 14 do 18, a około 200 wypadków ciężkich schorzeń wenerycznych wśród szkolnej młodzieży. Przy tym sam urząd wyznaje, że zaledwo jedna dziesiąta stwierdzonych wypadków dochodzi do jego

[1]) Dziennik urzędowy Kuratoridm Okr. Szkol. Krak. Str. 274.

wiadomości. [1]) Pomnóżmy jednak odpowiednio choćby tylko te dwie cyfry, z uwzględnieniem innych miast i terenów, a otrzymamy wstrząsający obraz groźnego niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad przyszłością naszego narodu.

Zmobilizowanie policji może mieć swe bolesne uzasadnienie, ale chyba nikt z nas nie uwierzy, że policja zastąpi skutecznie samych wychowawców. Zorganizowanie Towarzystw Ochrony Młodzieży na terenie nie jednego tylko kuratorium ale całej Polski wyda bezwątpienia także dodatnie owoce. Ale członkowie takich towarzystw uzupełniają właściwie, względnie wyręczają taktownie policję. Ich wpływ i ich funkcje nie sięgną do duszy młodzieży.

Dlatego obok mobilizacji policji, obok wzmocnienia dozoru musi się przede wszystkim rozwiązać problem wewnętrznego kryzysu dusz, przywrócić w nich zachwianą czy zburzoną hierarchię wartości, odnowić i zacieśnić hamulce wewnętrzne, jednym słowem wzmocnić istotne podstawy zdrowego, skutecznego wychowania. Wychowanie zaś, jak wiadomo, nie jest tresurą, nie da się więc zamknąć w ramach przepisów i zakazów podchodzących do człowieka z zewnątrz, jest ono przede wszystkim zagadnieniem moralnym, które o wolę indywidualną zaczepia i na woli się wspiera. Cała praca wychowawcza uświadamiająca rozum i pobudzająca uczucie zmierza do wyrobienia w wychowanku silnej i odpornej na zło woli. Tylko bowiem wyrobiona i uodporniona świadomie wola może dążyć do wielkich ideałów, które łączą się zawsze z wielkimi i ciężkimi obowiązkami. Otóż między obowiązkiem, który głosić i wszczepiać musi wychowanie a między popędami egoizmu, wyuzdanej swobody, życiowej łatwizny... rodzą się nieustanne konflikty i starcia. Aby więc te kolizje i przeciwieństwa mogły być szczęśliwie rozwiązane i wyzwolone musi wychowawca dać młodzieży raz na zawsze wystarczający i zawsze skuteczny motyw, któryby skłaniał wolę do podporządkowania się dyscyplinie i podjęcia obowiązków.

Życie i doświadczenie wieków wykazuje dowodnie, że takim najwyższym, zawsze skutecznym i wystarczającym tak psychologicznie jak i moralnie motywem jest prawo Boże, przyrodzone i pozytywne. Tylko bowiem Bóg może skutecznie wiązać wolę i wolność człowieka, ograniczać ją, żądać ofiary z egoizmów i spełnienia obowiązków.

Otóż ten właśnie zasadniczy motyw wysuwa w swej pedagogice katolicki Kościół. I dlatego niemożliwą jest rzeczą rozwiązać trwale i szczęśliwie problem wychowania mło-

[1]) Cfr. art. „SOS. Młodzież w niebezpieczeństwie“ *I. K. C.* 24 grudnia 1936.

dzieży bez współpracy Kościoła. Im wpływ katolickiej etyki będzie silniejszy na umysły i serca młodzieży, tym szybciej zostanie zlikwidowany moralny kryzys współczesnego wychowania.

To też, wobec przerażających statystyk z mnożących się wśród młodzieży szkolnej występków, wobec rosnących w społeczeństwie alarmów tym mocniej należy podkreślić katolicki postulat w kwestii wykształcenia i wychowania szkolnej młodzieży.

Jeżeli zaś chodzi o katolicki postulat w sprawie szkolnej to jest rzeczą wprost oczywistą, iż musi on zdążać po linii nie tylko utrzymania wpływu religii na terenie szkoły w tej formie w jakiej on istnieje, ale powinien nadto żądać efektywnego wzmocnienia tego wpływu i rozszerzenia jego dotychczasowego zasięgu. Tylko bowiem religia i jej nakazy mogą skutecznie sięgnąć w głąb duszy młodzieży, mogą zahamować skutecznie czynniki rozkładu, które nas dziś przerażają, a na ich miejsce wzbudzić szczytne ideały, w których funkcji uszlachetni się charakter, rozwinie umysł oraz wzmocni wolę.

Otóż w ramach tej ogólnej zasady, katolicki postulat może być albo maksymalny, krystalizując się w kategorycznym żądaniu katolickiej szkoły wyznaniowej, która automatycznie ureguluje całokształt zagadnień religijnych i moralnych w szkole, albo też może być bardzo umiarkowany, prawie minimalny, uwzględniający tylko ten lub inny punkt wychowawczego programu.

Jakiż więc postulać należy nam sformułować w imię katolickiego społeczeństwa w Polsce?!

Zdaję sobie doskonale sprawę z faktu, iż wysuwanie postulatu katolickiej wyznaniowej szkoły, cieszącej się pełnią praw i opieki państwa jest hasłem w współczesnej Polsce niepopularnym, prawie utopijnym. — Różne na ten fakt składają się przyczyny.

Wrogiem zasadniczym i nieprzejednanym są oczywiście przede wszystkim nowoczesne prądy bezbożniczo wolnomyślicielskie, zmierzające do zeświecczenia wszystkich dziedzin życia. W dziedzinie wychowania szkolnego wolnomyśliciele nie tylko zwalczają fanatycznie jakiekolwiek wzmocnienie religijnych wpływów, ale usiłują jawnie lub podstępnie usunąć z życia szkolnego wszelkie praktyki religijne a z podręczników szkolnych wymazać imię Boga i Chrystusa. Postępowanie takie motywuje się hasłami równości obywatelskiej i tolerancji, która rzekomo wymaga, by z jednej strony nie zmuszać dzieci w jakikolwiek sposób do religijnych praktyk, z drugiej zaś, by przez podkreślanie elementów wyznaniowych jednej religii nie urażać uczuć czy prze-

konań wyznawców religii innej. Podkreślanie katolicyzmu w szkole, jest zdaniem wolnomyślicieli, krzywdą wyrządzaną żydom, protestantom czy niewierzącym. Nie chodzi więc, uspokajają nas obłudnie, o zwalczanie religii tylko o usunięcie jej z programów i organizacji szkolnej, zostawiając jej całkowitą swobodę w życiu prywatnym. Szkoła państwowa powinna wychowywać typ obywatela jako takiego, musi się zatem troszczyć wyłącznie o wykształcenie umysłowe i wychowanie obywatelskie młodzieży bez względu na jej religijne przekonania i dlatego nie może być wyznaniową. — Tezę tę forsują u nas bezbożnicy i wolnomyśliciele wszystkich odcieni, masoni radykali, socjaliści i komuniści.

Na wszystkie zarzuty tego obozu odpowiadamy twierdzeniem, iż teza radykalizmu, pomijając wszystkie inne względy, jest przede wszystkim sprzeczną z dobrze zrozumiałym interesem państwa.

Dalecy jesteśmy od zapoznawania czy niedoceniania faktu, iż państwo posiada pełne prawo wychowywania sobie nie tylko lojalnych ale w pełni uświadomionych i ofiarnych obywateli. Nie ulega też wątpliwości, iż najpotężniejszym i najskuteczniejszym narzędziem wychowania obywatelskiego jest szkoła. Tym się też tłumaczy dążenie rządów do uczynienia ze szkoły państwowego monopolu. Ale w tej trosce o obywatelskie wychowanie młodzieży nie wolno zapomnieć o samej podstawie wychowania, o owym zasadniczym motywie, który ma wpływać skutecznie na wolę wychowanków, a którego bezwzględną konieczność wykazaliśmy wyżej.

W imię czego tedy pragnie radykalizm i laicyzm nakładać hamulce na wolę młodzieży i skłaniać ją do ofiarnego spełnienia obowiązków obywatelskich? Zapewne w imię frazesów, głoszonych przez etykę świecką, w imię haseł postępu, dobra ogólnego, szczęścia przyszłych pokoleń, mocarstwowości, kultu herosów i ich ideologii! Tymczasem życie udowadnia niezbicie, iż hasła te, choćby najsłuszniejsze, nie sięgają głębi ludzkiej istoty i dlatego załamują się wobec egoizmów, przywiązań i pożądań. Niezliczone defraudacje, zbrodnie i występki, o których nam co dzień donoszą dzienniki, są aż nazbyt wymownym dowodem słabości tych motywów głoszonych przez etykę świecką, o ile nie działa motyw zasadniczy, ten właśnie, który za podstawę owej etyki stawia katolicyzm. Dlatego to min. Grabowski omawiając niedawno w czasie posiedzenia komisji budżetowej zastraszający wzrost przestępczości w Polsce, nie zawahał się wskazać na głównego winowajcę: na kryzys moralno obyczajowy, wynikający z zaniku hamulców moralnych i religijnych. Hamulców tych nie stworzył bezbożniczy radyka-

lizm w życiu ludzi dorosłych, tym bardziej nie stworzy ich na terenie szkoły, w duszach młodzieży. Dlatego wszelkie argumenty domorosłego i importowanego ze Wschodu czy z Zachodu bezbożnictwa nie obalą argumentów za wzmożeniem wpływu religii w naszym szkolnictwie, za stworzeniem szkół wyznaniowych. W bezbożnym radykaliźmie widzimy właśnie te obce agentury, których wywrotową działalność piętnował min. sprawiedliwości p. Grabowski.

Ale obok wojującej falangi zdecydowanych radykałów wolnomyślicieli, dla których wszelka wzmianka o szkole wyznaniowej jest i będzie czerwoną chustą, — nie brak znacznej liczby katolików z imienia, dla których postulat szkoły wyznaniowej wydaje się szkodliwą i niedemokratyczną przesadą.

Czyż bowiem istniejące przepisy państwowe nie regulują dostatecznie tej kwestii? Czyż nie zabezpieczają całkowicie wpływu religii na umysły i serca młodzieży? Czy szkoła wyznaniowa nie stworzy rozdźwięku między obywatelami jednego państwa i nie pogłębi jeszcze i tak już przykrych tarć mniejszościowych? Czy się da w ogóle pogodzić z istniejącą konstytucją i mozolnie wypracowanym ustrojem szkolnym? — Oto wątpliwości, które w sferach polskiej inteligencji są zjawiskiem prawie, że nagminnym.

Istotnie przyznać musimy, że nasza szkoła państwowa, choć z istoty swej międzywyznaniowa, szanuje w zasadzie uczucia i przekonania ogółu dzieci katolickich.

Zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie 118 art. pierwszej konstytucji, zachowanemu i w konstytucji obecnej. Artykuł ten, jak wiadomo, wprowadza obowiązkowość nauki religii we wszystkich szkołach, utrzymywanych w całości lub częściowo przez państwo lub ciała samorządowe, a przeznaczonych dla kształcenia młodzieży poniżej lat 18 u. Kierownictwo i nadzór nauki religii w tych szkołach należy do właściwego związku religijnego, z zastrzeżeniem naczelnego prawa nadzoru dla państwowych władz szkolnych.

Sprawę zaś nauki religii katolickiej normuje, jak wiadomo, art. 13 konkordatu, oddający nadzór nad nauczaniem religii kat. i nad profesorami tej religii biskupom ordynariuszom.

Z tych artykułów Konstytucji i Konkordatu zrodził się znany okólnik min. Bartla z dn. 9 grudnia 1926 r. o praktykach religijnych w szkole. Okólnik ten włącza pewne obowiązkowe praktyki religijne w całość nauczania i wychowania szkolnego, a księży prefektów czyni duszpasterzami młodzieży szkolnej i na nich główną składa odpowiedzialność za życie religijne młodzieży. Powierza im ró-

wnieź troskę o wychowanie moralne, ale już na równi z innymi nauczycielami.

Przyznać trzeba lojalnie, iż te prawa i przepisy zapewniają w pewnej przynajmniej mierze poszanowanie dla wykształcenia i wychowania katolickiego młodzieży. Świadczy o tym między innymi znamienny fakt, iż już niejednokrotnie radykalizm usiłował je obalić a ze specjalną zajadłością walczył i walczy z okólnikiem prem. Bartla. Ministerstwo jednak W. R. i O. P., stojąc na straży prawa, oświadczało zawsze, że pragnie zachować artykuły Konstytucji i Konkordatu. Jeszcze dwa lata temu, na skutek interpelacji sejmowej, oświadczył p. min. Wacław Jędrzejewicz, że „władze szkolne nie dopuściły i nie będą tolerowały naruszenia jednej z naczelnych zasad wychowania, jaką jest poszanowanie uczuć religijnych młodzieży".

To też statut nowego gimnazjum państwowego w § 43 głosi: „Program wychowania winien dać możliwie najwyższe wychowanie religijne i moralne". Statut zaś publicznej szkoły powsz. stanowi w § 59, że program wychowania „powinien zapewnić dzieciom przez wychowanie religijne i moralne... podstawy wychowania". [1])

Nowe programy szkolne podkreślają nadto zasadę t. zw. korelacji przedmiotów, na mocy której mają się one nie tylko nie przeciwstawiać sobie wzajemnie, ale przeciwnie, uzupełniać i dawać jednolity całokształt umysłowi i sercu młodzieży. Dzięki tej zasadzie nie wolno żadną miarą na innych godzinach podważać prawd głoszonych na godzinach religii.

Gdyby zatem zasady te, były w całej pełni i litery i ducha zachowane i realizowane, wówczas wpływ religii na wychowanie i wykształcenie młodzieży byłby może dostatecznie salwowany.

Tymczasem rzeczywistość wykazuje dowodnie, iż pomimo tych obowiązujących przepisów wpływ religii w szkole kurczy się, niekiedy zanika, a rozprzężenie wśród młodzieży rośnie. Wszak symptomy moralnego rozpasania i zdziczenia, na które trzeba reagować aż interwencją policji i tworzeniem specjalnych towarzystw Ochrony, występują przecież w ramach nie jakiejś szkoły fikcyjnej, ale tej opartej na artykułach konstytucji i konkordatu, na okólniku prem. Bartla, na statutach zreorganizowanego programu! Widać zatem, iż to wszystko nie wystarcza i trzeba na gwałt myśleć o środkach ratunku.

Wszak wiemy doskonale o tak licznych konfliktach między nauczycielami religii a nauczycielami innych przed-

[1]) Dziennik Min. W. R. i O. P. 1933, Nr 13, poz. 184, str. 560.

miotów, którzy świadomie i celowo podkopują wpływ religii i nauki prefekta, pomimo wszelkich przepisów o korelacji przedmiotów! Wiemy, iż w gronach profesorów i nauczycieli znajdują się notoryczni ateusze, wolnomyśliciele, fanatycy marksizmu, nie brak nawet mniej lub więcej zdecydowanych wielbicieli komunizmu, jest znaczna liczba żydów, apostatów i bezwyznaniowców, cały szereg nauczycieli żyjących w konkubinacie, prowadzących niemoralne życie, o czym niestety wie doskonale młodzież. Zdarzały się nawet wypadki głośnych nadużyć, defraudacyj czy oszustw u tego czy innego dyrektora gimnazjum lub szkoły. I oto ci wszyscy ludzie mają wpływać na „religijne i moralne wychowanie" młodzieży! Czyż to nie zakrawa na jaskrawy paradoks, by nie użyć mocniejszego słowa.

Czyż to nie są fakty, iż w wyższych klasach gimn. pewni poloniści zmuszają młodzież do lektury dzieł niemoralnych i deprawujących? Czyż cały szereg przyrodników nie przemyca w swych wykładach materializmu i skrajnego ewolucjonizmu rzekomo w imię nauki?

Nie będę szerzej analizował stanowisku Z. N. P. i piętnował radykalizmu i wolnomyślicielstwa znacznego odłamu tej organizacji, której członkowie są przecież wychowawcami naszej młodzieży. Dość już szczegółów na ten temat podawała i podaje prasa. Ale trudno nie wspomnieć o zaciekłej walce zarządu tego stowarzyszenia z duchowieństwem, zwłaszcza w diecezjach śląskiej i łomżyńskiej. Trudno przemilczeć nagonkę na Krucjatę Euch. młodzieży, na sekowanie stowarzyszeń A. K. na terenie szkoły. Do dziś dnia kwestia ta jest nie uregulowana, a akcja Episkopatu natrafia na niedające się rzekomo usunąć przeszkody. Trudno nie wspomnieć o forsowaniu koedukacji, o sporadycznych nadużyciach w zakresie przedwczesnego i brutalnego uświadamiania, o faktycznym nadużywaniu wychowania fizycznego do tępienia poczucia wstydliwości.

A przecież to wszystko dzieje się w ramach dzisiejszego systemu szkolnictwa, pomimo wszelkich przepisów i ustaw doceniających i zapewniających dodatni wpływ religii na umysły i serca młodzieży!

To też dopiero w świetle faktów, zestawionych i rozważonych wszechstronnie, można decydować czy postulat o szkole katolickiej wyznaniowej dla polskiej i katolickiej młodzieży jest utopią i klerykalnym maksymalizmem, czy przeciwnie palącą i bezwzględną koniecznością dla uratowania naszej młodzieży przed rozkładem bezbożnictwa i zgnilizną niemoralności.

Szkoła nasza państwowa jest religijnie i narodościowo mieszana. Obok katolików zasiadają na tej samej ławie

szkolnej żydzi, nieraz w wysokim procencie. Stwierdzono już niejednokrotnie ujemny, często wprost rozkładowy wpływ tego elementu na psychikę i moralność poszczególnych klas i szkół, mimo to w ramach obecnego ustroju szkolnego niema na to zaradczego środka.

Delegacji rodziców w sprawie nauczycieli żydów oświadczył wręcz min. Wacław Jędrzejewicz: „Nasza szkoła państwowa nie jest wyznaniowa — więc mają prawo uczyć w niej i żydzi", a mógł był dodać z równą słusznością, iż mają prawo uczyć w niej ateusze, radykali, wolnomyśliciele, komuniści... Niestety taką samą odpowiedź musiałby dać i obecny minister Oświecenia Publicznego, pomimo realnych wysiłków, jakich nie szczędzi dla usunięcia niedomagań polskiego szkolnictwa.

Gwarancje zatem dawane przez ministerstwo WR i OP nie są wystarczające; zło nie tylko nie maleje ale rośnie. Czy zatem katolicy, którym dobro ich dzieci, dobro społeczeństwa i przyszłość narodu leży na sercu nie mają obowiązku, by domagać się wszelkimi dostępnymi środkami, w szczególności zbiorowym i zorganizowanym wysiłkiem, zastosowania środka radykalnego a jedynie skutecznego, mianowicie: stworzenia szkoły katolickiej dla dzieci katolickich! Nie wolno nam oddawać dzieci katolickich w niepewne ręce i w niepewne otoczenie.

Oto postulat, który może i musi postawić społeczeństwo katolickie świadome swych sił, swych celów i swych obowiązków.

Artykuł 114 pierwszej konstytucji, nietknięty i w konstytucji obecnej, głosi, iż „Kościół rzymsko katolicki rządzi się własnymi prawami". To też warto zapytać, jak wyglądają „własne prawa Kościoła" w zakresie szkolnictwa?

Otóż kanon 1372 nowego prawa nakazuje w parag. 1, iż: „wszystkich wiernych należy tak kształcić od młodości, aby nie tylko nie podawać im czegoś, co się sprzeciwia religii katolickiej albo dobrym obyczajom, lecz by wykształcenie religijne i moralne pierwsze zajmowało miejsce". Stąd też kanon 1374 zabrania posyłać dzieci katolickie do szkół mieszanych tj. takich do których uczęszczają także dzieci niekatolickie. Tylko w braku szkół wyznaniowych czysto katolickich może miejscowy biskup pozwolić na posyłanie dzieci do szkół mieszanych, czyli międzywyznaniowych, ale wtedy ma podać wskazówki, zabezpieczające dzieci katolickie przed utratą wiary czy zepsuciem obyczajów. Nadto kanon 1379 zastrzega, że gdyby gdzie brakło szkół prowadzonych w duchu odpowiadającym wymaganiom wychowania katolickiego, biskupi miejscowi mają zakładać osobne szkoły katolickie, tak ludowe, jak średnie, a nawet uniwer-

syteckie, wierni zaś mają obowiązek w tym im dopomagać. Kanon 1381 postanawia, iż „biskupi miejscowi mają prawo i obowiązek czuwania nad tym, by w jakichkolwiek szkołach ich diecezji nie uczono ani nie czyniono czegoś przeciwnego wierze albo dobrym obyczajom". „Oni też mają prawo potwierdzać nauczycieli i podręczniki do nauki religii, a także usuwać tych nauczycieli, jak i książki, przeciwne religii czy dobrym obyczajom".

Encyklika papieska „o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży" (z 31 grudnia 1929 r.) wchodzi w dalsze jeszcze szczegóły w sprawie szkoły wyznaniowej.

Nie przez to samo, że w szkole udziela się (często bardzo skąpo) nauki religii, staje się ona zgodną z prawami Kościoła i chrześcijańskiej rodziny i godną, by do niej uczęszczali katoliccy uczniowie. By ona była taką, potrzeba, aby całe nauczanie i całe urządzenie szkoły: nauczyciele, programy, podręczniki do wszystkich przedmiotów były przejęte chrześcijańskim duchem, pod macierzyńskim kierunkiem i czujnością Kościoła w ten sposób, żeby religia była prawdziwie podstawą i uwieńczeniem całego wykształcenia, na wszystkich stopniach, nie tylko początkowych, ale i średnich i wyższych. Konieczną jest rzeczą — żeby użyć słów Leona XIII — „by nie tylko w pewnych godzinach wykładało się młodzieży religię, ale aby całe nauczanie tchnęło duchem chrześcijańskiej pobożności". Jeżeli tego braknie, jeśli to święte tchnienie, nie będzie przenikać i rozgrzewać dusz nauczycieli i uczniów, bardzo mały pożytek będzie można zebrać z jakiejkolwiek nauki; przeciwnie często wynikną z tego szkody i to niemałe.

Broniąc zdecywanie szkół wyznaniowych zastrzega się równocześnie papież Pius XI przed modnym dziś zarzutem, że domaganie się szkoły wyznaniowej, to sprawa polityczna:

Wszystko, co wierni robią dla poparcia i obrony katolickiej szkoły dla swych dzieci, jest dziełem na wskróś religijnym i dlatego najpierwszym zadaniem Akcji Katolickiej... Przeto trzeba to usilnie głosić i trzeba, aby to było przez wszystkich dobrze zrozumiane i uznane, że katolicy jakiegokolwiek narodu na świecie, starając się o szkołę katolicką dla swoich dzieci, nie uprawiają jakiejś partyjnej polityki, ale prowadzą dzieło religijne z nakazu sumienia i nie myślą bynajmniej oddzielać swoich dzieci od ciała i ducha narodu, ale owszem wychować je jak najdoskonalej i jak najbardziej korzystnie dla narodowej pomyślności, ponieważ dobry katolik właśnie na mocy katolickiej nauki, jest tym samym najlepszym obywatelem, kochającym swoją ojczyznę i lojalnie poddanym istniejącej władzy państwowej, w jakiejkolwiekby legalnej formie rządu była ona ukonstytuowana.

Z zestawienia choćby tych kilku przepisów prawa kościelnego oraz poleceń i wskazań papieży wynika jasno, iż Kościół nie zwalczając bezwzględnie szkół międzywyznaniowych przechyla się jednak zdecydowanie do systemu szkoły wolnej, wyznaniowej i głosi jej prawa. W tego typu szkołach unika się bowiem mieszania dzieci o różnych wyznaniach, o różnych poglądach religijnych, wynikających tak często z atmosfery rodzinnego domu, łatwiej dobrać grono nauczycielskie, stojące na odpowiednim poziomie nie tylko naukowym ale i religijno-etycznym, łatwiej wreszcie tak w podręcznikach jak i w programie szkolnym uwzględnić w całej pełni odpowiednie wykształcenie i wychowanie religijno-moralne. Z tych właśnie względów, nie nawracając bynajmniej do średniowiecza i nie obstając przy typie szkoły wyłącznie kościelnej, popiera Kościół tym usilniej system szkoły wyznaniowej. System na wskróś nowoczesny, bo przyjmuje on bez zastrzeżeń wszystkie zdobycze nowoczesnej pedagogii, może przyjąć i zwykle przyjmuje program nauczania ustalony przez ministerstwo WR. i OP. godzi się również na inwigilację władz państwowych szkolnych, gdy chce mieć pełne „prawa publiczności", ponad to wszystko jednak dołącza jeszcze odpowiednio zorganizowane i przeprowadzone wykształcenie i wychowanie religijno-moralne.

Formułując tedy katolicki postulat o szkole wyznaniowej, nie możemy zrozumieć w czym miałby on naruszać prawa państwa czy stawać w kolizji z demokratyzmem naszego ustroju, w jaki sposób mógłby krzywdzić te lub inne mniejszości religijne czy narodowościowe? Jedno jest tylko jasne i oczywiste, że system szkoły wyznaniowej staje w kolizji z sektaryzmem i ideałami wolnomyślicielstwa, bo jakkolwiek przewiduje szkoły bezwyznaniowe dla bezwyznaniowców, chroni równocześnie katolicką młodzież przed wpływami bezbożniczego radykalizmu i to właśnie staje się kamieniem obrazy i źródłem inwektyw, ubranych w hasła postępu i troski o rzekomo zagrożone prawa państwa.

Smutnym jest tylko fakt, iż niedość uświadomieni katolicy polscy idą na lep tych właśnie haseł.

Toteż musimy stwierdzić, że katolicy za granicą wyprzedzili znacznie nasze społeczeństwo w walce o katolickie szkolnictwo, choć warunki walki były dla nich daleko mniej korzystne i chociaż konstytucje ich krajów nie stwierdzają faktu, iż religia katolicka jest wyznaniem znacznej większości obywateli kraju.

Wiemy przecież doskonale z jakim nakładem sił i pieniędzy zorganizowali katolicy francuscy wzorowo swe wyznaniowe szkolnictwo. Mimo obecnego kryzysu ekonomicznego, mimo podatków płaconych na laickie szkolnictwo

państwowe, składają katolicy francuscy ponad $^1/_2$ miliarda franków rocznie na swoje, pozbawionych wszelkich praw państwowych, ale zato katolickie szkoły. Szkoły te wychowują około $1^1/_2$ miliona młodych katolików, nie otrzymując ani centima z narodowego budżetu szkolnego. Jest to krzywda oczywista i triumf masońskiej „tolerancji". Tak jest we Francji, natomiast we Włoszech rząd pokrywa $^7/_{10}$ budżetu wyznaniowych szkół katolickich. Belgia ma również swoje wyznaniowe szkolnictwo katolickie a katolicki uniwersytet w Louvain otrzymuje od rządu 3 miliony franków rocznie. Także Anglia, Holandia i Stany Zjednoczone mają swoje szkoły wyznaniowe zorganizowane przez katolickie społeczeństwo a subsydiowane przez rządy. Nawet w hitlerowskich Niemczech utrzymała się w zasadzie i na podstawie konkordatu szkoła wyznaniowa z pełnymi prawami państwowymi.

Wszak art. 23 konkordatu najwyraźniej postanawia iż:

Zapewnia się utrzymanie, względnie tworzenie nowych szkół wyznaniowych (obok między-wyznaniowych). We wszystkich gminach, gdzie rodzice, względnie uprawomocnieni wychowawcy wyrażą taką wolę, stworzone będą katolickie szkoły wyznaniowe.

Typ szkoły wyznaniowej katolickiej przeważa do dziś w Bawarii pomimo terroru hitlerowskiego reżimu. Ostatni zjazd niemieckiego episkopatu w Fuldzie zajmował się głównie kwestią szkół wyznaniowych i metodami oporu przeciw bezbożnym zapędom hitleryzmu na terenie szkolnictwa. Tej kwestii dotyczyły też najświeższe obrady niemieckich biskupów z papieżem Piusem XI, który, mimo ciężkiej choroby, chciał osobiście udzielić swych rad i wskazówek. Odczytany przed dwoma tygodniami we wszystkich kościołach kat. w Niemczech zbiorowy list episkopatu, stawia tę właśnie kwestię na ostrzu miecza i jest zapowiedzią bezwzględnej walki z reżimem, który podstępnie chce zniszczyć szkolnictwo katolickie w Niemczech.

Wobec tych wszystkich faktów jasnym się staje uzasadnienie żądania szkoły wyznaniowej, dokoła którego i w Polsce powinno się skupić solidarnie całe katolickie społeczeństwo ze swą hierarchią na czele.

Możemy i powinniśmy uznać jasne strony polskiego systemu szkolnego, możemy i powinniśmy bronić istniejących przepisów konstytucji, konkordatu i okólników ministerialnych, stojących na straży religijnego wykształcenia i wychowania naszej młodzieży — ale nie możemy zamknąć oczu na rosnące rozprzężenie moralne młodzieży, nie możemy bagatelizować wrogiego nastawienia do religii, jakie przejawia się wśród znacznego odłamu nauczycielstwa, nie

możemy sobie powiedzieć, że dwie godziny tygodniowo nauki religii stworzy nam wykształconych i religijnie uświadomionych katolików.

Z tych wszystkich racyj możemy i musimy mobilizować katolicką opinię publiczną dokoła problemu szkolnego, by przeprowadzić zasadę szkoły wyznaniowej i to nie prywatnej ale publicznej, państwowej, z publicznych utrzymywanej funduszów.

Już w tej chwili istnieje faktycznie ten właśnie typ szkoły na terenie Śląska. Wydaje się zatem wprost śmiesznym twierdzenie, że 20 milionowa rzesza katolików nie potrafi wywalczyć tego, co osiągnięto już na jednym lub drugim odcinku. Trzeba tylko uświadomić sobie konieczność tego postulatu i zrozumieć w świetle dotychczasowych doświadczeń, iż wszystkie inne środki, mające ratować polską katolicką młodzież przed dalszym rozkładem są tylko półśrodkami, które dyktuje lęk, opieszałość lub krótkowzroczny kompromis.

Min. WR i OP prof. Świętosławski w czasie ostatniej dyskusji w komisji budżetowej nie poruszył zupełnie problemów wychowawczych naszej szkoły; ograniczył się do twierdzenia, że w okresie powszechnych zbrojeń, prowadzonych przez wszystkie państwa, młodzież nasza musi róść w świadomości, że nie tylko od dojrzałego społeczeństwa, ale i od jej gorącego patriotyzmu oraz zbrojnej gotowości psychicznej i fizycznej zależy byt niepodległej Rzeczypospolitej.

Twierdzenie na wskróś słuszne, ale nie dotyka ono właściwego problemu wychowania, który polega na rozwiązaniu zagadnienia: na jakich to zasadach moralnych i najgłębszych motywach ma się opierać wychowanie naszej młodzieży a konsekwentnie jej patriotyczne pogotowie i ofiarna miłość ojczyzny?

Z naszej strony jesteśmy głęboko przekonani, że katolik żyjący w pełni według zasad swej religii jest równocześnie jak najlepszym i najbardziej ofiarnym obywatelem państwa, stojącym na straży nie tylko całości granic ale i mocarstwowości jego wpływów i znaczenia. A takich właśnie obywateli wychować może w całej pełni tylko katolicka szkoła wyznaniowa, w której zdrowie ducha stoi również na straży i zdrowia ciała.

To też, właśnie w trosce o przyszłość ojczyzny i jej mocarstwowość formułujemy w imieniu katolickiego społeczeństwa w Polsce postulat o katolicką, wyznaniową a publiczną szkołę.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Polska polityka zagraniczna. — Dyplomacja i demokracja. — Tragedia niemiecko-hiszpańska. — Jednomyślność polsko-francuska. — Naprężenie polskie.

Wcześniej niż na poprzedniej sesji parlamentarnej, bo przed samymi świętami Bożego Narodzenia, wygłosił p. minister Józef Beck w senackiej komisji spraw zagranicznych doroczne sprawozdanie o międzynarodowym położeniu Rzplitej. Przynaglił go do tego większy niż ubiegłymi laty natłok doniosłych wydarzeń oraz szerszy w nich współudział naszego państwa. Współudział był nie tylko szerszy ale i wybitnie ważki, jak to już zresztą nieraz bywało. P. minister jednak podkreślił, iż nie stara się bynajmniej o sztuczny jego rozrost, podobnie jak nie zacieśnia go jakąkolwiek obawą, lecz dostosowuje do zadań i potrzeb naszego kraju oraz społeczności międzynarodowej. Taka jaką była w r. ub. polska polityka zagraniczna opierała się na tych samych co i dawniej zasadach, tą samą kierowana linią polityczną.

Faktów podanych w sprawozdaniu streszczać tu oczywiście nie będę, gdyż znane są dostatecznie z dzienników. Przypomnę tylko te punkty zwrotne, które najwięcej zainteresowały opinię publiczną. Są to: 1^0 nacisk Niemiec na Gdańsk, oraz wynikłe stąd naprężenie stosunku Polski do Niemiec; 2^0 Wymiana odwiedzin wodzów wojsk francuskich i polskich w Warszawie i Paryżu, oraz układ finansowo-militarny i odrodzenie przymierza francusko-polskiego; 3^0 Odwiedziny p. min. Becka w Londynie, oraz solidaryzacja Anglii z odnowionym współdziałaniem francusko-polskim. Zabezpiecza nas ona przed powtórzeniem w „nowym Locarnie" błędu dawnego Locarna z r. 1925, które gwarantowało granicę reńską solidniej niż granice polsko i czesko-niemieckie; 4^0 Odwiedziny rumuńskiego min. spr. zagr. p. Antonescu w Warszawie, oraz ożywienie sojuszu Polski z Rumunią; 5^0 Całokształt określonej tymi zwrotami tzw. „polityki barier" mającej chronić *status quo* Europy przed wybuchem „wojny religijnej" pomiędzy bezbożnictwem i neopogaństwem, komunizmem i hitleryzmem, Rosją i Niemcami. Wreszcie 6^0 niewyjaśniony stosunek Polski do Czechosłowacji.

Te ważne zmiany naogół przychylnie zostały przyjęte przez opinię, nawet opozycyjną. *Exposé* ostatnie uzyskało też po części „lepszą prasę" od poprzednich. Jednak nie bez zastrzeżeń i to takich, które z kolei nasuwają zastrzeżenia. Warto więc przy okazji zdać sobie sprawę z natury stosunku naszego społeczeństwa do zjawisk międzynarodowych, oraz prac naszej dyplomacji. Społeczeństwo interesuje się tymi zjawiskami coraz żywiej, od czasu, gdy poczęły grozić większymi niż dawniej niebezpieczeństwami. Skarży się przeto na tajemniczość działań resortu z ul. Wierzbowej, na niedostateczną informację urzędową, która

sprawia, że o polskiej polityce zagranicznej nieraz wcześniej i więcej dowiedzieć się można z prasy obcej niż rodzimej. Referatom parlamentarnym ministra także się zarzuca operowanie samą tylko powierzchnią zdarzeń, oraz utartymi ogólnikami, bez wglądu w wewnętrzną mechanikę impulsów i perspektywę zamierzeń. Jednym słowem opinia i prasa widziałaby chętnie „dyplomację jawną" zalecaną przez prądy radykalno-demokratyczne, niezadowolona zaś jest z tradycyjnej „dyplomacji tajnej". Utrzymuje, że gdzie indziej tajności tej tak surowo się nie przestrzega.

Są to zarzuty w pewnej mierze nie pozbawione słuszności. Jednak uwzględnić je w praktyce wcale nie tak łatwo, jakby się zdawać mogło. Nie tylko w Polsce, lecz wszędzie stosunek wzajemny dyplomacji i opinii publicznej pozostawia wiele do życzenia. Rozgłośny, powojenno-pacyfistyczny postulat jawności prac dyplomatycznych doprowadził jedynie do pewnego szablonu frazeologii, która odpowiadając sympatiom mas tym skuteczniej służy do maskowania wobec nich rzeczywistych posunięć na szachownicy międzynarodowej. Wprawdzie z reguły chodzi tutaj nie tyle o cele zasadnicze, ile raczej poszczególne i taktyczne, te właśnie jednak nieraz rozstrzygają o osiągalności celów zasadniczych. Szeroka opinia, reprezentowana przez prasę, z celów zasadniczych na ogół zdaje sobie sprawę, ale rzadko rozumie związki taktyczne pomiędzy nimi a wydarzeniami danej chwili. Skłonna więc jest traktować je niejako w oderwaniu od podstaw nie dostrzegając złowrogiej perspektywy następstw jakie pociągnąć musi za sobą zbyt odruchowa postawa zajęta wobec wydarzeń chwili. Szeroka opinia reaguje wobec nich żywiołową prostolinijnością. To niekiedy może być dla dyplomacji taktycznie pożądane i wtedy umie ona wywoływać manifestacyjne ruchy mas, ażeby zaszachować nimi przeciwnika. Ale gdy takie ruchy powstają samorzutnie i narzucają dyplomacji posunięcia niewłaściwe w danych sytuacjach, wtedy wiodą po prostu do klęsk. Najwięcej narażoną jest na to dyplomacja zachodnich mocarstw parlamentarnych, gdyż najsilniej zależy od opinii.

Niezmiernie jaskrawy tego rodzaju wypadek miał miejsce ostatnio na tle zatargu abisyńskiego pomiędzy Anglią i Włochami. Jesienią roku 1935 położenie na teatrze wojny było dla Włoch tak ciężkie, iż zdawało się beznadziejnym. Zaalarmowany widmem przewlekłej wojny, wyniszczenia gospodarczego i przewrotu w Italii dwór kwirynalski wszedł więc w styczność ze spokrewnionym dworem brukselskim. Leopold III wyruszył z misją pojednawczą do swego starszego kuzyna, dobrego króla Jerzego V. Owocem tej monarszej interwencji był projekt kompromisu opracowany przez ówczesnego francuskiego premiera Lavala z ówczesnym angielskim min. spr. zagr. Hoarem. Ów tzw. pakt Laval-Hoare przewidywał faktyczny rozbiór Abisynii pomiędzy Italię a W. Brytanię w ten sposób, że źródła Nilu oraz Abisynia rdzenna, gór-

ska i wschodnia, pozostały by pod panowaniem negusa Haille Selassie przyjmującego protektorat brytyjski. Natomiast Abisynia zachodnia przypadła by w udziale Włochom. Gdy wieść o tym projekcie dotarła przez prasę do szerokiej opinii angielskiej, zerwała się burza. Uznano ów projekt nie tylko za uszczerbek dla interesów imperialnych lecz także za poniżenie honoru Anglii, ponieważ zaangażowała się w obronę niepodległości abisyńskiej za pomocą genewskich sankcyj przeciwko Italii. Zanosiło się na *votum* nieufności konserwatywnej większości parlamentarnej dla konserwatywnego gabinetu Baldwina. Sir Samuel Hoare wyleciał więc z ministerialnego fotela jak z procy, a premier wygłosił przed izbą gmin deklarację w duchu *mea culpa*.

Następstwa jednak tego tak wspaniale liberalnego odruchu opinii angielskiej na terenie polityki międzynarodowej okazały się zgoła odwrotne niż oczekiwano. Dalsze forsowanie kampanii sankcyjnej jak i coraz silniejsze, także militarne, wciągnięcie w tę akcję Francji z jednej strony, patriotyczna zaś niesforność wojsk abisyńskich, które narzuciły negusowi niewłaściwą taktykę z drugiej strony, spowodowała przewagę wojenną Włoch, oraz tak ostry zatarg trzech mocarstw zachodnich między sobą, że nie tylko Abisynia została w całości przez Italię podbita, ale „na dobitkę" wytworzyła się dla Niemiec wymarzona okazja dla... wojskowej reokupacji Nadrenii. Teraz obie zachodnie demokracje wraz z nieszczęśliwym negusem mogły z całą precyzją stwierdzić, że wpadły z deszczu pod rynnę. Jest to najświeższy obraz „inicjatywy ludowej" w stosunkach międzynarodowych, z którą tak ciężkie boje staczać musieli swego czasu Cavour i Bismarck. Innych prawie równie efektownych obrazów dostarcza francuska polityka pacyfistyczna wobec Niemiec od paktu Dawesa w 1924 r. oraz idylli w Thoiry poczynając, a na pakcie Younga w 1931 r. i ewakuacji Nadrenii kończąc.

O przykłady odwrotne nie trudno w najświeższej historii rządów autorytatywnych. Wbrew wszelkim swoim i swego otoczenia osobistym sympatiom śp. marszałek Piłsudski zawarł w 1932 r. pakt nieagresji z Rosją. Zawarł go dlatego, ażeby uzyskać wolną rękę dla stawienia czoła nadciągającej od strony Niemiec grozie hitleryzmu. Gdy Hitler z początkiem r. 1933 doszedł do władzy dyktatorskiej, wówczas Włochy i Anglia poczęły go wraz z Francją kusić do tzw. paktu czterech, ażeby świeży hitlerowski impet agresywny odwrócić od Zachodu a wyładować naprzód na nas a potem na Moskwie. Jakoż Berlin spróbował zamącić na początek wodę między nami a Gdańskiem. Wtedy na Westerplatte w porcie gdańskim wylądował mały oddziałek polskiej piechoty... Ta maleńka demonstracja, wespół z późniejszą polityką bloku wschodniego wystarczyły, by Niemców przekonać, że prostolinijny *Drang nach Osten* może nie tylko nie przynieść im upragnionego sukcesu, lecz przeciwnie — straty. Wtedy pod twardą ręką dyk-

tatora szał odwetowy, który od dziesięciu lat doprowadzał masy niemieckie do istnej furii przeciwpolskiej, jak różdżką czarodziejską tknięty, nagle na długie lata zacichł przynajmniej w swych ostro-manifestacyjnych objawach. Przeciwnie poczęły się zabiegi odprężeniowe. Przyniosły one Niemcom pakt nieagresji z Polską równoległy do polsko-rosyjskiego. Ten pakt dał im swobodę ruchów w innych stronach i dziedzinach, bardzo dla nich cenną. Poświęcając prestiż i utrzymując w pewnej karności swoje popularne sentymenty zyskały Niemcy wiele. Jeżeli zaś z naszego stanowiska nawet za wiele to dlatego głównie, że pacyfistyczne sentymenty ludowe zachodnich demokracyj z bezdenną naiwnością same Niemców uzbroiły, zwracając im Nadrenię.

Nie dziw tedy, że dyplomacja nie ufa naogół opinii, choć czasem się nią posługuje, a czasem jej podlega. W przemówieniach ministrowie nie przepadają za otwartością, zastępują ją raczej frazesem, wolą wyrażać swe myśli raczej między wierszami tak aby wtajemniczeni zrozumieli a inni nie. Tym bardziej tak postępować musi dyplomacja, że publiczne wystąpienia jej kierowników z reguły więcej są adresowane do zagranicznych partnerów gry międzynarodowej, niż do własnych społeczeństw. Najswobodniej przemawiają i najdokładniej informują swą prasę dyplomaci mocarstw parlamentarnych, ale jak widzieliśmy nie zawsze to tym mocarstwom na dobre wychodzi. W najsurowszym kagańcu trzymana jest prasa i opinia mocarstw totalnych. Obywatel sowiecki, niemiecki lub włoski daleko mniej może się z krajowych dzienników dowiedzieć o krajowej polityce zagranicznej niźli np. my wiemy o polityce tych krajów z naszych gazet. W obecnych warunkach jest wogóle rzeczą zrozumiałą, że niezależnie od ustroju w każdym państwie o polityce rodzimej mówi się i informuje powściągliwiej, bardziej subiektywnie, niźli o polityce obcej. My pod tym względem zajmujemy miejsce pośrednie pomiędzy parlamentarnym Zachodem a totalizmami.

Wszystko to razem wzięte dalekie jest oczywiście od ideału, ale nie może ulegać żadnym gwałtownym zmianom w poszczególnych *exposé*, poszczególnych ministrów. Zmianę stopniowo przygotować może i powinna prasa, podnosząc stopień kultury politycznej czytelniczego ogółu. Nieocenioną w tym względzie dał jej wskazówkę nieboszczyk Briand, oświadczając kolegom podczas swego dziennikarskiego jubileuszu, że „najlepszym źródłem informacji dyplomatycznej, jest dobre orientowanie się w położeniu". Zasadniczą jednak zmianę w tych stosunkach spowodować i „dyplomację ujawnić" mógłby tylko b. silny wzrost powszechnego w tej dziedzinie uświadomienia oraz niemniej poważne modyfikacje prądów i nastrojów zbiorowych, a więc głęboka przebudowa kultury duchowej i ogólnej, związana ze zmianą metod i dążeń samej polityki międzynarodowej. Powinno się to stać w obecnym dziejowym przełomie, ale się jeszcze nie stało.

Wracając do zarzutów opinii wobec naszej polityki zagranicznej, wymienić należy ten, który się składa z nagany i z pochwały dotyczącej metod. Gani się, iż polityka ta miała być dotąd zbyt przychylną i ustępliwą wobec Niemiec, a pochwala że się to obecnie częściowo „zmieniło na lepsze". Dodaje przy tym jeden z publicystów, że poprzednio była to polityka „koniunkturalna", a więc raczej przypadkowa, obecnie zaś powraca do zdrowych naturalnych podstaw polskiej racji stanu: oddala się od Niemiec, a zbliża do Francji i Rumunii. Podaje się przy tym w wątpliwość zapewnienie ministra, iż zasada tej polityki pozostała niezmieniona.

Pogląd ten jest powierzchowny. Zasadę obecnej naszej polityki międzynarodowej ustalił marszałek Piłsudski za pomocą paktów dwustronnych, wskazując Polsce rolę czynnika równowagi między Niemcami a Rosją. Ta polityka była nadal kontynuowana po zgonie Marszałka. Pewne jej przechylenie w stronę Niemiec, (obciążone przykrym przymusem pobłażliwości wobec ucisku polskiej mniejszości narodowej w Niemczech) wynikło z zagrożenia przyjętej przez Polskę zasady równowagi przez pakt francusko-sowiecki. Francja pragnęła nim powetować utraconą z własnej, pacyfistycznej winy Nadrenię, Polska jednak tego paktu przyjąć nie mogła, gdyż wprowadzałby on w razie wojny z Niemcami czerwoną armię na ziemie polskie, czyniąc z nich ponownie główny teatr starcia niemiecko-rosyjskiego, jak w latach 1914—1918. Jeżeli obecnie ta polityka polska uległa miłej dla opinii zmianie w kierunku ściślejszej między Niemcami a Rosją równowagi, to stało się tak bynajmniej nie na skutek zmiany zasady, lecz właśnie zmiany koniunktury. Mianowicie na skutek niemieckiej remilitaryzacji Nadrenii, silnego uzbrojenia Niemiec, oraz ich agresywności gdańskiej; co wszystko było znów w wielkiej mierze wynikiem poprzednich reńskich błędów pacyfizmu, oraz zatargu abisyńskiego mocarstw zachodnich. W szczególności wynikło stąd gdańskie zagrożenie Polski, które (po części po przez Ligę Narodów) mocarstwa zachodnie słusznie zrozumiały jako własne i mogące w konsekwencjach z czasem przerzucić się przeciwko tym mocarstwom bezpośrednio, na Zachód. Ponieważ zaś polityka paktu francusko-sowieckiego nie mogła być przez Polskę przyjęta i ponieważ zarówno Niemcy jak Moskwa zagroziły zachodnim mocarstwom pośrednio przez interwencję hiszpańską, przeto stąd z kolei wyłoniła się „polityka barier". To znaczy ochronnego przeciw Niemcom współdziałania Francji, Anglii, Polski i Rumunii, z aspiracją do rozszerzenia tej współpracy w kierunku pozostałych państw środkowo-wschodnich.

To się naszej opinii, nawet opozycyjnej, podoba. Ale niesłusznie upatruje ona w tym zwrocie prosty powrót do przeciwniemieckiej postawy Polski w łonie obozu wersalskiego z czasów Rapallo i niemieckiego rewizjonistycznego naporu na nasze Po-

morze. „Polityka barier" organicznie wyrosła z uznania i rozwinięcia w „oś Warszawa — Bukareszt" zasady równowagi polskiej między Niemcami a Rosją i nie tylko jej nie przeczy, lecz przeciwnie rozbudowuje ją w zasadę równowagi ogólno-europejskiej. Niesłusznie też dziwi dotąd część naszej opinii publicznej nie dość jej zdaniem energiczna postawa Polski wobec niemieckich zakusów na Gdańsk i niemieckich ekscesów przeciw polskiej mniejszości narodowej. Te rzeczy są wprawdzie bardzo przykre ale na razie jeszcze nie dadzą się opanować, albowiem nie są zjawiskiem samoistnym, możliwym do rozwiązania w abstrakcji od ogólnego układu sił w Europie.

„Postawić się" wobec Niemiec natychmiast i na własną rękę nie możemy, choćby dlatego, że oni włożyli w zbrojenia 20 miliardów a my dopiero czekamy na jeden miliard z Francji. W tych warunkach wszelkie odruchowe reakcje podrażnionego uczucia zbiorowego, któreby niedość ostrożnie i cierpliwie wkroczyły w sprawę gdańską mogłyby nas wtrącić albo w najcięższe upokorzenie i stratę, albo w śmiertelnie groźną wojnę. „Postawić się" wobec Niemiec moglibyśmy wprawdzie w oparciu o Rosję Sowiecką, lecz wtedy istotnie trzeba by opuścić zasadę równowagi między Niemcami a Rosją, na rzecz zasady paktu francusko-sowieckiego. To zaś grozi niebezpieczeństwem doraźnym wojny niemiecko-rosyjskiej na naszej ziemi, a w dalszej perspektywie historycznej pogrzebało by wszelką nadzieję na skomasowanie obronne środkowego wschodu według tradycji Jagiellońskiej, oraz wydało by nas na łaskę i niełaskę Moskwy i kominternu. Oto jakie sprawy tutaj wchodzą w grę i dlaczego nie można ich rozstrzygać przy pomocy odruchów uczucia.

Wyjście zasadnicze zarysowuje się jak powiedziałem we wznowieniu idei unijnej Jagiellońskiej. Wyjście trudne bo skomplikowane wrogim wzajemnie stosunkiem Czechosłowacji i Węgier, co znów kojarzy się z naszym stosunkiem do Niemiec, Rosji i Włoch. Dlatego i wobec Czechosłowacji musimy zachować pewną rezerwę, nie wyłączającą zresztą współdziałania wojskowego w razie niebezpieczeństwa ze strony Niemiec. Wyjście zasadnicze, lub inaczej możność „postawienia się" wobec Niemiec, zależy także w wielkiej mierze od dynamiki naszego rozwoju wewnętrznego, zwłaszcza gospodarczego. Daliśmy się w tym względzie zanadto prześcignąć ostatnimi laty Niemcom, a nawet Rosji. W tej dziedzinie nasza polityka państwowa istotnie nie dopisała. Deflacja dotknęła nas ciężko. To należałoby jak najrychlej naprawić.

Szczęściem nasi wielcy sąsiedzi, zgrzytający na siebie zębami, są wprawdzie lepiej uzbrojeni, ale gospodarczo nie mają się od nas lepiej. To budzi nadzieję utrzymania jeszcze doraźnie pokoju. Hitler kontynuuje „flirt" z katolicyzmem z rachubą, że mu lud wyćwiczy w żywnościowej ascezie oraz osłoni masy przed propagandą komunistyczną. W tym celu, w orędziu noworocznym

oddał się ostentacyjnie pod opiekę Opatrzności. Episkopat niemiecki odpowiedział listem pasterskim przyrzekającym pomoc przeciwbolszewicką, ale zastrzegł się przeciw neopogaństwu i traktowaniu Kościoła jako „wroga publicznego Nr 2". Poza tym, aczkolwiek „polityka barier" zarysowała się dopiero potencjonalnie, bo miliard francuski jeszcze do nas nie doszedł, jednak łącznie z niemiecką opresją gospodarczą i tragedią Hiszpanii, odciążyła chwilowo Gdańsk i zwróciła niemiecką ofensywę polityczno-wojskową w inne strony.

Mocarstwa zachodnie wystosowały do Niemiec, Włoch, Rosji i Portugalii propozycję wstrzymania ich interwencji w wojnie hiszpańskiej oraz wspólnej blokady portów hiszpańskich w celu niedopuszczenia dostawy wojsk i materiału wojennego. Wzamian Anglia przyrzekła odstąpić Niemcom zamówienia na maszyny do dominiów, któreby za nie zapłaciły surowcami; przemysł bowiem brytyjski zajęty jest uzbrojeniem. Zrobiono też Niemcom niejasne widoki i na coś więcej, żądając oprócz nieinterwencji w Hiszpanii także zaprzestania zbrojeń. Z Włochami (również za nieinterwencję w Hiszpanii), W. Brytania zawarła śródziemnomorski układ gwarancyjny tzw. *gentleman agreement*.

Tymczasem jednak sprawa ta przybrała wybitnie drastyczny charakter, bo Niemcy chcieliby i finansowo utargować jak najwięcej i zyskać coś politycznie w Hiszpanii. Odpowiedzi zatem Niemiec i Włoch, wypadły dla ententy anglo-francuskiej, kłopotliwie. Zwracały uwagę, że należałoby obsadzić korpusem policyjnym międzynarodowym granicę pirenejską, ażeby nie tylko morzem lecz i lądem nie puszczać kontrabandy; że dalej trzeba zabronić wysyłki ochotników i pieniędzy dla czerwonych z Francji, nie korzystać ze złota hiszpańskiego banku emisyjnego jako zapłaty za materiał wojenny dla czerwonego rządu Walencji. Wreszcie zaś czerwoni sprowokowali Niemcy konfiskując ładunki okrętowe płynące pod ich flagą. Wywołało te retorsje i koncentrację floty niemieckiej na wodach hiszpańskich. Następnie również koncentrację floty angielskiej w Gibraltarze ponieważ Londyn obawia się trwałego usadowienia Niemców w hiszpańskim Marokku. „Nieinterwencja" przybrała w końcu tę osobliwą formę, że ponieważ w Hiszpanii walczy już 15 tysięcy żołnierzy niemieckich, przeto „dla równowagi" w Kadyksie wylądowało 10 tysięcy Włochów... Istotnie może taka dwustronna pomoc dla gen. Franka stanowiłaby najprostszy sposób niedopuszczenia do (częściowej choćby, w Katalonii) komunizacji Hiszpanii, czego także stanowczo żądają Niemcy i Włochy. Równocześnie jednak Niemcy koncentrują się wojskowo na granicy szwajcarskiej dla nacisku na Francję...

Zdaje się, że ta sytuacja nie pozostała bez wpływu na fakt jednomyślności jaką obie izby parlamentu francuskiego uchwaliły kredyt wojskowy dla Polski. Odpowiedzieliśmy uchwałą.

podobną i podziękowaniem na trybunie sejmowej przez p. min. spr. zagr. Pożyczka nie jest zbyt wielka, koło 700 milionów złotych, ale w większej części gotówkowa. Może nas nie tylko trochę podciągnąć wojskowo, lecz także wzmocnić już zapoczątkowane przez koniunkturę odprężenie gospodarcze. Projektuje się przy jej pomocy rozszerzyć „mały plan inwestycyjny". Jej użyteczność gospodarcza zależy od sposobu użycia. Jest ona ważnym ale nie najbardziej zasadniczym zjawiskiem w wewnętrznym życiu Polski na początku r. 1937. Jako wysoce pomyślny objaw zaznaczyć trzeba nawoływania prasowe do zmiany ustroju społecznego i oderwania pieniądza od złota, aczkolwiek nie ze wszystkim co się o tym pisze zgodzić się można.

Zanosi się wreszcie i na doniosłe przegrupowania sił społecznych w sensie zbliżeń prawicy prorządowej z opozycyjną oraz podobnież lewicy. Głowa Państwa i Naczelny Wódz mają wybierać między tymi odłamami. Zaostrza się tedy podział prawicowo-lewicowy w społeczeństwie, a równocześnie dochodzą głuche wieści, że w razie powierzenia rządów prawicy może wybuchnąć na Kresach nowa — akcja dywersyjna w stylu 1923—4 roku. To byłoby niebezpieczne zwłaszcza, iż może się kojarzyć z inną pogłoską pochodzenia niemieckiego, jakoby Moskwa zamierzała zarządzić „próbną" mobilizację zachodnich swych okręgów wojskowych.

Największy czas na przebudowę, oraz na jak najsamodzielniejszy, przodowniczy w niej udział społecznej, reformatorskiej katolickiej myśli i katolickiego czynu.

Andrzej Prawdzic.

Ruch naturalny ludności w ostatnim czterdziestoleciu. (1895—1935)

Jedno z najważniejszych zagadnień demograficznych, a mianowicie ruch naturalny ludności, nie miało dotychczas w Polsce gruntownych opracowań. Zagadnienie to, tak niezbędne dla poznania polityki gospodarczej, aktualne szczególnie dzisiaj, opracował profesor Stefan Szulc w sposób [1]) gruntowny i wszechstronny. To też dzieło profesora Szulca, ujmujące po raz pierwszy całość zagadnień demograficznych w Polsce jest jednocześnie i pracą źródłową, dającą dokładny i wnikliwy obraz stosunków demograficznych w Polsce i podręcznikiem, przedstawiającym

[1]) Zagadnienia demograficzne Polski: Ruch naturalny ludności w latach 1895—1935. Dokładność rejestracji urodzin i zgonów; urodzenia wielorakie. Warszawa, 1936. Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego (Statystyka Polski, Seria C, zeszyt 41).

w zwięzłych skrótach zagadnienia demograficzne od strony teoretycznej. Sam więc charakter dzieła przyczyni się do tego, że polski czytelnik będzie mógł studiować zagadnienia demograficzne na podstawie danych, odnoszących się do Polski. Na 119 tablicach, 9 wykresach i 6 kartogramach zestawiono cyfry charakteryzujące podstawowy materiał statystyczny, przedstawiono ogólny obraz ruchu ludności na ziemiach Polski w ostatnim czterdziestoleciu, rozmieszczono pod względem terytorialnym spółczynniki urodzeń i zgonów, opracowano zagadnienia płodności i śmiertelności w Polsce, wreszcie określono potencjał demograficzny Polski. Wnikliwa analiza tych wszystkich danych, nader ostrożne wnioski wysnute na podstawie cyfr, oraz zestawienia z danymi innych państw europejskich stawiają dzieło prof. Szulca w rzędzie tych prac, bez których ani ekonomista, ani społecznik obejść się nie mogą.

Najogólniejszy obraz zmian ludności w Polsce daje tablica 29. Wynika z niej, że ludność Polski od 1895 do 1935 r. wzrosła o niemal $9^1/_2$ milionów, przy czym przyrost naturalny wynosi około 15 milionów, a strata emigracyjna ponad 5 milionów. Ogólny poziom liczb urodzeń po wojnie jest niższy, aniżeli przed wojną, ale niższy jest też i poziom zgonów, co powoduje, że i przyrost naturalny nie ulega znaczniejszym wahaniom w stosunku do przedwojennego; przy tym przyrost naturalny wyższy jest w województwach wschodnich, niższy zaś w województwach zachodnich. Od roku 1930 zauważyć się daje gwałtowny spadek zarówno urodzeń jak i przyrostu naturalnego, natomiast liczba zgonów wykazuje tylko bardzo nieznaczny spadek. Obraz ten uwypukla autor jeszcze bardziej przez podanie wykresów, odzwierciadlających przyrost naturalny niektórych państw jak np. Szwecji, Francji, Prus, Holandii, ponadto przez zestawienie danych cyfrowych w tabl. 34, odnoszących się do ruchu naturalnego ludności w Anglii, Francji, Holandii, Niemczech, Szwecji i Włoszech. Podczas gdy urodzenia wahały się w tych państwach w 1870/79 r. w ramach od 39 (Niemcy) do 25 (Francja) urodzeń na 1000 ludności, w roku 1933/34 obraz ten zmienia się w sposób zasadniczy. Najwyższą liczbę urodzeń (23,5) na 1000 ludności wykazują Włochy, najniższą (13,7) wykazuje Szwecja. Natomiast przyrost naturalny wynosił 1870/79 w Anglii 13,9; Holandii 11,9; Niemczech 11,8; Szwecji 12,0; we Włoszech 7,3 i Francji 1,3. — W 1933/34 r. najwyższy zatem przyrost ludności (12,1) wykazuje wśród tych krajów Holandia, natomiast Włochy mają tylko 10,0, Niemcy 3,5, Anglia 2.6, Szwecja 2,5, Francja 0,8. Polska posiada przyrost naturalny wyższy niż Holandia, bo 12,7. — Charakterystyczne jest, że przyrost naturalny w dwu państwach, w Holandii i we Włoszech, nie tylko w tym okresie 60 przeszło lat nie zmniejszył się, lecz nawet powiększył, osiągając względnie wysoki poziom.

We wszystkich okresach spółczynniki urodzeń w Polsce należą do najwyższych ze znanych. Poza Rosją Europejską, która przewyższała Polskę pod względem rodności, tylko Węgry, Serbia, Rumunia i Bułgaria osiągnęły spółczynniki równe polskim, inne państwa nigdy nie osiągnęły wartości nawet zbliżonych do polskiej. W r. jednak 1933 sytuacja się zmienia na niekorzyść Polski. Wyższy spółczynnik niż Polska posiadają już obecnie Hiszpania, Portugalia, Grecja, Bułgaria, Rumunia, Jugosławia. Zgadzając się z danymi przedstawionymi przez mjr. Gierowskiego, mjr. dr. W. Lipińskiego i por. St. Chmielowskiego w dziele opracowanym pod kierunkiem gen. Stachowicza pt.: *La Pologne. Sa vie économique et sociale pendant la guerre* tom I. Paryż 1933, oraz opierając się na danych urzędowych niemieckich i austriackich szacuje autor straty w zabitych podczas wojny w zaokrągleniu na 207 tys. w dzielnicach południowych, 120 tys. w dzielnicach zachodnich. Dla dzielnic centralnych i wschodnich szacunek wynosi 60 tysięcy zabitych i zmarłych wojskowych. Na podstawie danych ksiąg stanu cywilnego oraz na podstawie szacunków formułuje autor stosunki demograficzne w okresie wielkiej wojny w sposób następujący.

1) Najmniejszy spadek urodzeń w okresie wojennym ma dzielnica centralna, największy — południowa, przy czym w dzielnicy wschodniej spadek jest większy w początkowym, w zachodniej w końcowym okresie wojny.

2) W dzielnicy zachodniej najniższa liczba urodzeń przypada na rok 1918, w pozostałych na 1917 r. Rok 1918 — z wyjątkiem dzielnicy zachodniej, daje zwyżkę urodzeń. Zwyżka ta jest najsilniejszą w dzielnicy wschodniej. Ogółem dla Polski liczba urodzeń spada w latach najgorszych o 40 do 45% poniżej poziomu 1913 r.

Po przezwyciężeniu olbrzymich trudności, wynikających z tego, że w okresie przedwojennym i w czasie wojny prowadzenie ksiąg stanu cywilnego w rozmaitych dzielnicach Polski było niejednolite, a ponadto różne co do stopnia dokładności, przedstawia autor tablicę urodzeń i zgonów (46,47) według poszczególnych powiatów.

Przed wojną najwyższą rodnością odznaczyły się ziemie wschodnie (Polesie i Wołyń — około 45‰), przeważająca część woj. lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, przylegające do siebie części woj. warszawskiego, łódzkiego i poznańskiego. W okręgach tych występują wyspy o rodności przekraczającej 50‰, a dochodzące (Sieradz) do 54,7‰. Po wojnie te same okręgi są najbardziej bogate w urodzenia, jednakże spółczynniki urodzeń na tych ziemiach wahają się już tylko między 30—35‰, spadając nawet do 25‰, a nie przekraczając bardzo nielicznych przypadkach 40—45‰.

Umieralność w okresie przedwojennym była największa na wschodzie i na południowym wschodzie Polski. Wyjątek stanowił duży obszar obejmujący woj. wileńskie i część nowogródzkiego. Spółczynniki zgonów były tu nieco niższe od 25‰. Wyraźnie odcina się na Polesiu obszar bardzo wysokich spółczynników, gdyż przekraczających znacznie 30‰. Na Wołyniu spółczynniki nie dochodziły do 25‰. Na południu, szczególnie na zachód od Lwowa występują wyspy o bardzo wysokim spółczynniku umieralności, okręgi o wyjątkowo dużej umieralności znajdowały się szczególnie w woj. kieleckim (Sandomierz 33,6‰), na pograniczu woj. warszawskiego, kieleckiego i lubelskiego (30‰), w okolicach Łodzi (Łęczyca 35,3‰, pow. gostyński 31,4‰). Wyjątkowo niskie spółczynniki posiadały powiaty radzyński (19,5‰) puławski (19,4‰).

Po wojnie dużą umieralność znajdujemy przede wszystkim na południu Polski, szczególnie w większej części woj. stanisławowskiego, oraz w okręgu na zachód od Lwowa. Duża jest umieralność na Polesiu i w okręgach południowo-wschodnich, szeroki pas względnie wysokiej umieralności przechodzi przez zachodnią i środkową część woj. centralnych z natężeniem wzrastającym ku północy; do okręgu tego wchodzi również południowo-wschodnia część woj. pomorskiego. Spółczynniki wahają się atoli w granicach poniżej 15‰ dla okręgów o niewysokim spółczynniku umieralności, od 15—20‰ w okręgach o najwyższym spółczynniku umieralności i tylko na zachód od Lwowa i na huculszczyźnie dochodzi do 25‰.

Nad wyraz ciekawym jest rozdział poświęcony płodności. Przez płodność rozumie autor stosunek dzieci urodzonych do liczby kobiet w wieku od 15 do 49 lat. Z tabl. 49 widać, że wahania płodności są o wiele większe, aniżeli wahania udziału kobiet wieku rozrodczego wśród ogółu kobiet. Porównując stosunki polskie z zagranicznymi podkreśla autor nader charakterystyczne zjawisko, że udział urodzeń nieślubnych, w poszczególnych państwach odznacza się dość dużą statecznością i niewielkim tylko ulega zmianom w czasie. Niekiedy konstatujemy pewien wzrost, tu i ówdzie wyraźny spadek, naogół jednak zmiany są mało istotne. Natomiast różnice pomiędzy poszczególnymi państwami są bardzo znaczne, przy czym duża liczba względna urodzeń nieślubnych bynajmniej nie zawsze jest związana z faktem późnego zawierania małżeństw i pozostawania dużej liczby kobiet poza małżeństwem. Irlandia, gdzie w wieku 15—49 lat zamężnych jest tylko 38,5% kobiet, ma bardzo mało urodzeń nieślubnych. Czechy, Saksonia, Francja, gdzie małżeństwa zawierane są stosunkowo wcześnie — bardzo dużo. Zgodność pomiędzy zawieraniem małżeństw, a liczbą urodzeń nieślubnych znajdujemy w Bułgarii (wczesne małżeństwa, prawie niema urodzeń nieślubnych) i w Szwecji (małżeństwa późne, bardzo dużo urodzeń nieślubnych).

Ogólne wyniki dotyczące Polski przedstawiono w tabl. 48—50 porównawczo z innymi państwami oraz 52—54, 55—56 porównawczo według poszczególnych dzielnic.

Z tablic tych widoczna jest niezwykle wysoka płodność małżeńska w Polsce, w r. 1900 najwyższa ze wszystkich państw wymienionych. Od roku 1900 do 1928 płodność całkowita spadła w Polsce o 35% gdy płodność małżeńska zmniejszyła się tylko o 25%, a rodność całkowita o 26%. Autor analizuje następnie płodność według wieku kobiet. O liczbie urodzeń, które następują przy danej płodności, decyduje przede wszystkim ogólna liczba grupy kobiet w wieku od 15—49 lat; przy tym bardzo mała jest przy płodności całkowitej rola roczników poniżej 20 lat i powyżej 45, niewielka między 40 a 45 rokiem życia. Decydującą rolę odgrywają roczniki 20 do 39 lat, a przede wszystkim 20 do 34 lat.

Tablica 76 podaje bardzo ciekawe zestawienie płodności całkowitej według wielu kobiet. Rozejrzenie się w tej tablicy nasuwa następujące uwagi: We wszystkich grupach województw płodność całkowita w grupie wieku 15—19 lat silnie rośnie (wskaźnik w 1907 wynosił 92, 1932 już 142, przy czym w województwach południowych 168). W grupie wieku od 20—24 zaznacza się nieznaczny zresztą wzrost do 1930 r. po czym następuje spadek. We wszystkich wyższych grupach wieku, poczynając od 25 lat, płodność wyraźnie i znacznie spada. Spadek zaczyna się w 1928 r. i przybiera na sile w dwu ostatnich latach. W ostatecznym wyniku spółczynniki płodności są w r. 1932 o kilkanaście do dwudziestu kilku procent niższe aniżeli w 1927/28 r. Odnosi się to do wszystkich grup województw, choć oczywiście nie bez odchyleń. Ogólny spadek płodności od 1927/28 wynosi do r. 1934 — 24% Spadek rodności wyniósł tylko 17%.

W rozdziale o „Umieralności" analizuje autor zagadnienie dokładności rejestracji umieralności niemowląt oraz umieralność w zależności od wieku. Porównując umieralność w Polsce z umieralnością w innych krajach dochodzi autor do wniosku (tabl. 98 i 99), że umieralność w Polsce była w r. 1900 i w 1928 bardzo znaczna w grupach dla niemowlęctwa, dzieciństwa i wczesnej młodości, stosunkowo mała w grupach wyżej 25 i 35 lat. Drugą właściwością demograficzną Polski jest stosunkowo duża umieralność kobiet. Autor szacuje przeciętne trwanie życia przed wojną na 37 lat, w 1927/28 roku trwanie życia mężczyzny na 46, kobiety na 48 lat, w 1935 ponad 50 lat. Odpowiada to stosunkom demograficznym w Holandii i Belgii w ostatnim dziesięcioleciu XIX stulecia, w Niemczech pierwszemu dziesięcioleciu XX wieku, we Francji końcowi XX stulecia.

Autor analizuje następnie spadek umieralności w Polsce niepodległej i na podstawie obserwacji liczb dochodzi do wniosku,

że ogólny spadek umieralności w Polsce wynosi dla grupy od 1—4 lat 28%, od 5—9 roku 33%, dla całej ludności powyżej 10 lat 8%. Mimo bardzo istotnej poprawy umieralności w Polsce w ciągu ostatnich lat poziom spółczynników zgonów według wieku nie przedstawia się w Polsce jeszcze bardzo dodatnio — jeżeli rozpatrywać te spółczynniki na porównawczym tle międzynarodowym. Dodatni obraz otrzymujemy natomiast w zestawieniu z dziedzictwem naszej przeszłości.

Specjalnie ciekawy jest ostatni rozdział pracy prof. Szulca pt. „Potencjał demograficzny Polski". Przez potencjał demograficzny rozumie autor zdolność rozrodczą społeczeństwa, którąby się ujawniła przy danej płodności i umieralności po wyeliminowaniu jakichkolwiek czynników ubocznych. Operując przede wszystkim tzw. spółczynnikiem reprodukcji netto i „spółczynnikiem prawdziwego przyrostu naturalnego" analizuje autor stosunki demograficzne w Europie. Europa wyróżniała się przez długi czas silnie rosnącymi liczbami urodzeń, co spowodowało w stosunku do składu wieku ludności zastojowej [1]) podwyższenie udziału roczników młodych, obniżenie udziału roczników starszych. W tym samym kierunku działało obniżenie się umieralności; gdy w ten sposób powstała ludność wybitnie „młoda", przyszła obniżka płodności, a za nią zmiejszenie się corocznych liczb urodzeń. W społeczeństwach europejskich obniżyła się względna liczebność na razie najmłodszych roczników wieku, mała względna liczebność roczników najstarszych na razie trwa jeszcze. Nadmiernie liczne wobec tego stają się roczniki środkowe. Duża liczebność środkowych roczników wieku podnosi ogólny spółczynnik rodności. Dalszy bieg spraw na najbliższe lata jest nieunikniony, niezależnie od tego jak się nadal będzie rozwijać płodność. Nadmiernie liczne środkowe roczniki wieku będą się starzeć, na ich miejsce wejdą roczniki mniej liczne, wzrośnie liczba starców i tym samym zwiększyć się musi ogólna umieralność. W odniesieniu do stosunków polskich dochodzi autor do przekonania, że Polska znajduje się w obecnej chwili w lepszej sytuacji, aniżeli większość państw europejskich. Z drugiej strony przyrost rzeczywisty, który uwarunkowany jest rzeczywistym składem ludności według wieku i płci wyrażał się w 1900 r. — 16,5‰ w 1927/28 — 8,6 ‰, a w 1934 już tylko 3,6‰.

Rozwój stosunków demograficznych w Polsce zależny jest od dwu czynników: od płodności i umieralności. Spadek umieralności równoważyć będzie jeszcze przez pewien czas spadek płodności, przeto przyrost naturalny wyrażać się będzie w spo-

[1]) Ponadto: Stefan Szulc: Miary przyrostu naturalnego ludności *(Kwartalnik Statystyczny 1930)*; S. Fogelson: Matematyczna teoria ludności *(tamże)*; R. Kuczyński: The Balance of Birthe and Deathe (N-Jork 1928); R. Kuczyński: The Mesurement of Population growth (Londyn 1935); The Decrease of fertility (*Economica* — maj 1935).

sób dodatni, chociażby nawet spadek płodności stawał się jeszcze znaczniejszy.

Przestudiowanie dzieła prof. Szulca rzuci światło na szereg zagadnień nie tylko statystycznych, ale społecznych, ekonomicznych i moralnych. Zagadnienia te postawiono mocno, gdyż oparto je na cyfrach. Na tym materiale należałoby dopiero opracować wnioski z zakresu etyki, formułując problem, czy i o ile spadek urodzeń w Polsce pozostaje w związku z obniżeniem moralności? W każdym razie cyfry są alarmujące.

Prof. E. S.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 30 stycznia 1937 r.

Wielki plan.

Rafy, fale i prądy.

W Polsce próbuje się nareszcie wszcząć coś pozytywnego. Czas po temu najwyższy, bo aż lęk bierze, czy nie za późno. Przede wszystkim ze względu na położenie międzynarodowe, które niemal z tygodnia na tydzień ujawnia coraz groźniejsze konstelacje. Znajdzie je czytelnik zreferowane w rubryce „spraw państwa".[1])

Jeżeli na świecie dzieje się tak źle, to dlatego, że rafy jego struktury gospodarczej okazują się silniejsze od fal koniunktury. Te rafy wyłoniły się w drodze organicznego rozwoju z gospodarki liberalnej, ale zarazem kładą jej nieubłagany kres. Te rafy to nadmierna w stosunku do siły spożywczej świata zdolność produkcyjna zachodnich mocarstw wielko-kapitalistycznych, oraz nadmierny w stosunku do wydajności surowcowej i żywnościowej terytoriów rozrost ludności mocarstw środkowo-europejskich. Do tych raf organicznie wyłonionych z rozwoju gospodarki liberalnej, dołącza się jeszcze trzecia, odwrotna, lecz niemniej niebezpieczna, w postaci zacofania gospodarstw narodowych wschodnio-europejskich w stosunku do liczby ich ludności oraz stopnia rozwoju państw przodujących ekonomicznie.

Rafy powyższe nadaremnie usiłuje światowa gospodarka liberalna opłynąć z pomocą pomyślnych „fal koniunktury". Powstają one ze źródeł wybitnie nienaturalnych, przejściowych, pokrywają rafy tylko częściowo, i szybko mijając obnażają je

[1]) Już po zamknięciu rubryki „Sprawy państwa" nadeszły nowe, jeszcze bardziej niepokojące wieści, których referat musimy odłożyć do następnego zeszytu.

z powrotem jeszcze głębiej. Tak było z falą poprzednią wynikłą z łatania powojennych „dziur w produkcji", a zwłaszcza z władowania olbrzymiego kredytu do Niemiec. Ożywiło to na kilka lat światowy obrót gospodarczy, wytworzyło zatem pozór „dobrej koniunktury", która wszakże z tym większym trzaskiem załamała się w wielkim kryzysie, na skutek niewypłacalności Niemiec. Okazało się, że *prosperity* oparta na darmowym wywozie do Niemiec ma krótki dech. Solidną mogłaby się stać tylko wówczas, gdyby światowe gospodarstwo było zdolne nie tylko eksportować do Niemiec, ale i przyjmować od nich równoważny import. Na to wszakże rynek światowy był i pozostał zbyt ciasnym. Tej rafy strukturalnej usunąć nie zdołano, opłynięto ją tylko częściowo wynurzając się z kryzysu z pomocą nowej pomyślnej „fali koniunktury". Tę falę jednak musiano już wydatnie „nakręcić" odstępstwem od zasad liberalizmu gospodarczego. Dwa inne „filary" na których się ta koniunktura oparła to „błogosławieństwo nieurodzaju" i „wyścig zbrojeń" sprzyjające wzrostowi zapotrzebowania i cen rolnych i przemysłowych. Moment pierwszy „nakręcenia" nosi charakter pozytywny, ale nie został dostatecznie rozwinięty. „Błogosławieństwo nieurodzaju" podobnie jak poprzednie, kryzysowe „klęski urodzaju" ujawniły karkołomną zależność gospodarki liberalnej od kaprysów przyrody. „Wyścig zbrojeń" zaś posiada charakter katastrofalny, bo musi zerwać się gdy wyczerpie ładowane weń środki i musi wtedy spowodować podwójną reakcję niszczącą: ponownego gospodarczego zastoju oraz zużycia olbrzymich mas energii przekształconej w oręż, jako dynamitu, któryby nową wielką wojną mógł rozsadzić rafę braku przestrzeni, albo zgładzić rafę nadmiaru ludności. Coraz ostrzejsze naprężenie międzynarodowe równoległe z wewnętrznym gospodarczym naprężeniem w Niemczech świadczy, że chwila tego wybuchu zbliża się już na dystans bardzo niepokojący. Rafy wykazują przewagę swej rozstrzygającej mocy nad płynącą jeszcze falą koniunkturalną.

Tragedja leży w tym, że zarówno „rafie braku przestrzeni" jak i dwu innym współczesna ludzkość niczego innego przeciwstawić dotąd nie jest zdolna jak tylko właśnie „fale koniunkturalne". Poza tym cała jej energia ska-

nalizowana została w prądy społeczno-polityczne powstałe z odmiennych niźli rafy przyczyn, nic z nimi nie mające wspólnego i zupełnie niezdolne do ich racjonalnego zwalczania. Co więcej, sam fakt istnienia tych raf z trudem dopiero przenika do świadomości społecznej, dotąd jeszcze przez nią niedość rozumiany i doceniany. Ażeby usunąć czy ominąć rafę braku przestrzeni w Europie należałoby sprawiedliwiej i racjonalniej niż dotąd podzielić między państwami obszary globu. Należałoby więc albo przeprowadzić odpowiednią międzynarodową ugodę pokojową, albo międzynarodowo zorganizować celowe rozstrzygnięcie orężne, albo skombinować jedną metodę z drugą. Należałoby zatem wdrożyć planową politykę imperialistyczną. Dziś jednak w świecie powstają przeciwko sobie tylko dwie ślepe, żywiołowe namiętności mas: tych, którym przestrzeni brak, którzy ją muszą zdobyć, oraz tych, co posiadając nadmiar przestrzeni gotowi są swego przywileju wszelkimi, aż do wojny włącznie, środkami bronić. Ażeby opanować drugą rafę, nadprodukcji, należałoby ją ograniczyć i regulować, reformując równocześnie odpowiednio podział dochodu społecznego. Wymagałoby to gruntownego zerwania z gospodarką liberalną i kapitalistyczną, zastąpienia jej gospodarką planową, zorganizowaną korporacyjnie, przekształceń w środkach obrotu gospodarczego i nowych metod ich użycia. Wymagałoby równoległych antyliberalnych przekształceń ustroju politycznego, oraz przestawienia psychiki i obyczajów społecznych wyhodowanych w atmosferze nieokiełznanej walki o byt — na pełen oddania dobru społecznemu solidaryzm.

O tej konieczności zaczyna się już myśleć i mówić, ale dotąd nikt jawnie przebudowy ustroju należycie nie wdrożył, ponieważ na razie można jechać na „fali koniunktury" przynajmniej na Zachodzie. Ażeby wreszcie opanować rafę strukturalną trzeciego typu, wystającą z łona gospodarstw niedorozwiniętych, należałoby zastosować przebudowę społeczną z punktem ciężkości w zastąpieniu kapitalistycznych środków obrotu i kredytu, których takim gospodarstwom brak — innymi środkami i metodami. O tym również zaczyna się dopiero myśleć i mówić, ale świado-

mość społeczna jeszcze tej konieczności nie asymilowała dostatecznie, by ją wcielić w czyn.

Tragedia jak powiedziałem, leży w tym, że wielkie prądy społeczne skądinąd wyrosły niźli rafy, które ludzkości tamują drogę dalszego rozwoju, oraz że do walki z tymi rafami zupełnie się nie nadają. Liberalizm, nacjonalizm, socjalizm z innych wyszły założeń, inne miały dążenia, popodobnie zresztą jak szał produkcjonizmu, żądza zysku i wyzysku, skrajna materializacja obyczajowa, zrodzona w nieokiełznanej walce o byt jednostek i grup.

Rafy polskie.

Tak rzeczy stoją w świecie i nieinaczej dzieje się też w Polsce. Ale napięcie tragedii jest u nas wyższe niż gdziekolwiek bądź. W grę wchodzi nie tylko materialna kwestia życia i śmierci mas ludzkich zagrożonych przez rafy struktury społeczno-gospodarczej, lecz także kwestia bytu lub niebytu politycznego, zagrożonych żywiołowym zderzeniem rozszalałych egoizmów międzynarodowych.

Jesteśmy krajem typu wschodnio-europejskiego o niedorozwiniętym w stosunku do liczby ludności gospodarstwem narodowym. Stoimy w obliczu odmiennych niźli w zachodniej i środkowej Europie raf struktury społeczno-gospodarczej. Są to: 1^0 przeludnienie wsi i niedorozwój miast, czyli przerost prymitywnego rolnictwa, a niedorozwój przemysłu; 2^0 zajęcie drobnego rękodzieła i handlu przez „żywioł obcy"; 3^0 brak kapitałów i środków obrotowych. Te rafy różnią się od zachodnich nie tylko naturą lecz i pochodzeniem. Geopolityka i bieg historii wyznaczyły nam pozycję odśrodkową wobec procesów kształtujących zachodnią gospodarkę kapitalistyczną, wprowadzały zaś z nimi w kontakt raczej zewnętrzny, dysharmonijny i niebezpieczny. Tak było na schyłku XVII stulecia, gdy fale gospodarki pieniężnej poczęły nas dochodzić od strony nie gospodarczych lecz politycznych wpływów Francji, a później mocarstw ościennych, demoralizując nas do stopnia czasów saskich. Tak było później, na schyłku wieku XVIII, gdy do konieczności społecznej wejścia w gospodarkę kapitalistyczną, wcieloną w ustrój liberalny, poczęliśmy się „podciągać" zapóźno. Stąd tragedia spóźnionej

przebudowy ustrojowej 3 maja i upadek państwa. Tak było na schyłku wieku XIX, gdy znów „podciągnęliśmy" się gospodarczo i pozytywistycznie późno i niedostatecznie; niemniej jednak wchłanialiśmy w siebie cały bagaż ideowy materialistycznego liberalizmu, zaszczepiając na naszym gruncie wyrosłe zeń obce prądy społeczne, walki klas i walki ras, socjalizmu i nacjonalizmu.

Tak było wreszcie i wówczas, gdy najniespodziewaniej dla szerokiego ogółu „wybuchła" druga Polska, wskrzeszona w obcej i zabójczej dla siebie atmosferze dotkniętego pierwszym rozkładowym wstrząsem wielkiej wojny świata kapitalistycznego. Ocknęliśmy się w jego łonie jako ostatni nędzarz, bardziej przeto niż ktokolwiek wydani na łup najsroższej walki o byt i rozjuszonych przez nią namiętności społecznych. Z większą niż ktokolwiek furią daliśmy się porwać potężnej fali powojennego szału wolnościowego, który w wieloprzymiotnikowych hyperdemokracjach dał niebywałą swobodę starcia dwu naczelnym prądom bojowym epoki, prądowi walki klas z prądem walki ras. Jej rozgrywka zlikwidowała gdzieindziej ów superliberalizm na rzecz dyktatur monopartyjnych, nacjonalistycznej lub socjalistycznej. Nie stało się to przypadkowo, lecz wynikło z konieczności odporu wobec wynurzających się raf gospodarczych, którym stawić czoła nie był w stanie bezwład państw liberalnych, rozdartych walką wewnętrzną. Odpór ten wymagał jednolitej woli rządzącej i jednolitej postawy duchowej narodów. To im zapewniły dyktatury monopartyjne. Nie zapewniły jednak nowych stanów świadomości i nowych prądów psychiki, niezbędnych do tego, ażeby odkryć nowe drogi społecznego rozwoju, jedynie zdolne opanować grozę „raf". Dlatego totalizmy nie uratowały ginącego świata, lecz przeciwnie objęły nad nim wództwo w drodze ku przepaści.

Nie przypadkowo również lecz celowo zatryumfowały w pewnych krajach jeden lub drugi prąd, walki klas lub walki ras. Kierunek tego tryumfu stanowi wyraz silniejszego danej społeczności zagrożenia przez rafy wewnętrzne lub zewnętrzne. W nasyconej terytorialnie a prymitywnej gospodarczo i społecznie Rosji wództwo objął komunizm, w przeludnionej Italii i Niemczech — nacjonalizm.

W Polsce nie było możliwe ani jedno ani drugie, ponieważ zagrożenie wewnętrzne, społeczne i zewnętrzne, międzynarodowe są jednakowo niebezpieczne i wzajemnie się równoważą. Ponadto obok dwu prądów nowoczesnych, socjalizmu i nacjonalizmu, występuje w naszej budowie społecznej jeszcze inna siła o charakterze specyficznym a pochodzeniu rodzimym i archaicznym. To obóz niepodległościowy oraz element masy chłopskiej. Obóz niepodległościowy wyrósł z tradycji powstań, kultu orężnej walki o byt narodowy, oraz romantycznego heroizmu wolnościowego nie pozbawionego ciągłości z psychiką staroszlachecką. Chłopi mają silne poczucie materialnego interesu swej grupy społecznej, co zbliża ich do klasowców, lecz obyczajowo i psychicznie są konserwatywni, dzięki czemu stanowią zespół o charakterze poniekąd stanowym. Nie jest natomiast ani rodzimą ani w najmniejszej mierze archaiczną, tak samo jak socializm i ultra-nacjonalizm, nowoczesna grupa „burżuazji", czyli kapitalistycznych organizatorów produkcji. Gdzie indziej bardzo potężna, w Polsce ekonomicznie niedorozwiniętej, stosunkowo słaba i mało samodzielna, burżuazja wywiera jednak wpływ doniosły na rzecz konserwacji liberalizmu gospodarczego. To silnie waży na położeniu w czasie, gdy likwidacja liberalizmu staje przed narodem jako problemat bytu lub niebytu.

Z odmętu walki o władzę jaką te prądy i grupy społeczne, skomasowane w prawicę i lewicę, toczyły między sobą w okresie naszego sejmowładztwa, wyszła zwycięsko grupa niepodległościowa. Ilościowo w porównaniu z innymi drobna, ale ważka dynamiką energii i bezwzględności, ideowo najściślej była związana z zagadnieniem bytu państwa jako takiego i orężnej jego obrony. Zwycięstwo tej grupy zatem logicznie odpowiadało naturze położenia Polski, dla której odbudowa państwa stanowi fakt wagi naczelnej; konserwacja zaś i rozwój tego państwa muszą być zapewnione w obliczu zrównoważonych zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych. Inna rzecz, że przewaga tego obozu nosiła charakter doraźnie paradoksalny, na skutek balastu ideologii wolnościowej, którym niepodległościowcy dziedzicznie byli obciążeni. Powstała więc w Polsce nieformalna „kry-

ptodyktatura" liberałów, która wprawdzie autorytatywnie objęła pełnię władzy państwowej, ale nie użyła jej w celu monoideistycznej unifikacji społeczeństwa, przeciwnie tolerowała nadal z jego strony opozycję.

W takim układzie sił i prądów społecznych stanął naród polski w obliczu groźnych raf, który w strukturze gospodarstwa obnażać począł wielki kryzys. W stosunku do tych raf wszystkie te siły i prądy były niemniej obce, bezprzedmiotowe, jak siły i prądy zachodnie wobec raf właściwego tamtym narodom typu. Ani polski nacjonalizm, ani socjalizm, ani chłopi, ani „sfery gospodarcze", ani rządzący obóz legionowy nie mieli i nie mają jasnego pojęcia o tym jak rozwiązać nowe zadania społeczne pomimo, że od ich rozwiązania zależy byt lub niebyt zarówno mas ludowych, jak narodu i państwa. Wszystkie te bowiem grupy i prądy w innych niż obecne powstały warunkach i czym innym się zajmowały. To też przez szereg lat kryzysowych zarówno obóz rządzący i jego państwowa polityka gospodarcza, jak poglądy i programy opozycji dreptały w bezpłodnym konserwatyzmie liberalnym. A rafy rosły i stawały się coraz groźniejsze.

Nastąpił wreszcie w tym stanie rzeczy także pewien kryzys. Tym razem ideowo-polityczny. Poczęto zazdrościć dyktaturom monopartyjnym dynamiki wysiłku, którą w walce z rafami wewnętrznymi lub zewnętrznymi zdołały rozwinąć. Istotnie jest czego zazdrościć, ale nie należy zapominać, że ta dynamika jednak nie wystarczyła, ażeby tamte stotalizowane ze swymi państwami społeczeństwa, wyprowadzić z impasu. Przeciwnie, wiedzie je ku rozwiązaniom wyraźnie destrukcyjnym i rozpaczliwym. Opanowanie bowiem „raf" wymaga nie tylko dynamiki wysiłku zbiorowego, lecz niemniej również świadomości nowych dróg, jakimi go prowadzić należy, oraz odwagi wkroczenia na nie.

„Dekompozycja".

To też niebezpieczeństwo „dekompozycji" totalnie panujących prądów ideowych nie obce jest dziś nawet potężnym dyktaturom monopartyjnym. Groziło Włochom, gdyby nie

były wygrały wojny z Abisynią, a wygrały ją tylko dzięki niedojrzałości ludu i wojska abisyńskiego, które narzuciły negusowi zgubną taktykę. Niebezpieczeństwo „dekompozycji" na rzecz komunizmu zagraża obecnie Niemcom, jeśli nie znajdą choćby doraźnego wyjścia z wewnętrznej opresji gospodarczej w jaką popadły; albo jeśli nie rozsadzą rafy „braku przestrzeni", układem czy orężem. W Rosji przeciwnie wszczyna się już „dekompozycja" rządzącej partii oraz ideologii międzynarodowo-komunistycznej w kierunku jej unarodowienia i upaństwowienia, z siłą zbrojną armii jako ostoją dyktatorskiej władzy. Znamiennym jest przy tym kierunek „dekompozycyjnych" skłonności. W Niemczech niepokojąco wzrosło zagrożenie gospodarczo wewnętrzne, więc Hitler obawia się reakcji komunistycznej. Rosja zaś czuje się zagrożoną możliwością przeciwbolszewickiego bloku europejskiego, więc usiłuje się znacjonalizować.

W Polsce zagrożonej zarówno od wewnątrz jak od zewnątrz, a zachowującej równolegle z rządem autorytatywnym strukturę wielopartyjną, „dekompozycja" objęła zarówno stronnictwa opozycyjne jak obóz rządzący. Rozmnożyły się „linie podziału" głównie, według szablonu prawicowo-lewicowego „dwóch frontów". Jest to szablon dla nas szczególnie niebezpieczny wobec tego, że państwo leży właśnie „na linii podziału" Europy na dwa fronty. Jeśli zaś ta linia się zatrze, to wprawdzie może ułatwić i u nas przewagę frontu prawego, jednak niebezpieczeństwo zewnętrzne w razie zbliżenia Niemiec do Rosji krytycznie się spotęguje. Nasza „dekompozycja" pozostaje zresztą w ścisłym związku z usiłowaniem normalizacji stosunku społeczeństwa do władzy, celem osiągnięcia wydatniejszej dynamiki życia zbiorowego. Rozpad na „fronty" kojarzy się z ich współzawodnictwem o kierunek ideowy przyszłych rządów. Równocześnie zaś ze strony czynników kierowniczych w państwie podejmowane są od ub. roku próby „podciągnięcia" społeczeństwa do współpracy z państwem niejako obiektywnej, obcej ideologiom dotąd panującym. Próby te skrystalizowały się w ostatnim programie ideowym pułk. Koca. Słusznie jednak można mniemać, że i ta próba nie ma wielkich widoków powodzenia wobec tego, iż psychika polityczna społeczeństwa nie wyszła dotąd

poza krąg widzenia tych właśnie demo-liberalnych prądów, prawego i lewego.

Obiektywne zagadnienie „raf", które należy opanować narzucało się wszakże z coraz groźniejszą i bardziej naglącą siłą. Postawa jaką wobec nich zajęła polityka gospodarcza państwa, znajdowała i znajduje się dotąd pod przemożnym wpływem liberalnego konserwatyzmu tzw. sfer gospodarczych i bezwzględnie nie stała na wysokości zadania. W okresie wysokiego natężenia kryzysu upamiętniła się opłakaną metodą deflacji, w obecnym zaś przypływie pomyślniejszej fali koniunkturalnej, usiłuje również wyjechać z impasu przede wszystkim na jej grzbiecie. Korzystanie z tej fali jest wskazane, ale niezmiernie szkodliwym jest złudzenie jakoby to wystarczyć mogło. Z tej prawdy zdawały sobie sprawę przede wszystkim wojskowe koła kierownicze. To też za ich współdziałaniem nastąpiła, a przynajmniej zaprojektowana została pewna dynamizacja naszej państwowej polityki gospodarczej. Zawarta została umowa pożyczkowa z Francją. Obecnie w związku ze spodziewanym jej wykonaniem rozszerzony został „mały plan inwestycyjny", oraz zapowiedziany „plan wielki".

Podciągnięcie.

Wiadomo powszechnie na czym ten plan polega. Zamierzono w ciągu 10 lat zindustrializować Polskę, w szczególności stworzyć centralny okręg przemysłowy dokoła Sandomierza, oparty o siły wodne i gaz ziemny. Cel został wskazany trafnie. Zdolny jest w szerokiej mierze zwalczyć rafy niedorozwoju gospodarczego oraz przeludnienia wsi, a zarazem zapewnić nieodzowny dla obrony wojskowej „potencjał przemysłowy kraju". Projekt ten spotkał się naogół z uznaniem opinii. Zarazem niebezpodstawnie wiązany jest z utworzeniem ponadpartyjnego „obozu czynu państwowego" który by zmobilizował i połączył siły społeczne pod kierownictwem państwa do heroicznego wysiłku dla heroicznego celu.

Groza położenia, wysiłek taki bezwzględnie nakazuje. W publicznej dyskusji prasowej stwierdzono i udowodniono

ponad wszelką oczywistość tak rozpaczliwą dysproporcję między stopniem rozwoju polskiego aparatu wytwórczego, a wzrastającą liczbą ludności, że *expressis verbis* grozi nam stępienie życia mas, oraz takie osłabienie potęgi państwa, które prawie wyłącza możliwość zachowania niepodległości. To też konkretyzacja celu i apel do wspólnego wysiłku przychodzą, jak najbardziej w porę. Mimo to budzą się poważne wątpliwości.

Budzą się przede wszystkim dlatego, że zbyt optymistycznie przerzucono pomost nadziei ponad trzecią rafą struktury polskiego narodowego gospodarstwa — brakiem kapitałów. W stosunku do najbliższej przyszłości do rozszerzonego z 1·8 na 2·4 miliarda złotych małego planu inwestycyjnego rafę tę uda się zapewne opłynąć przy pomocy kredytu francuskiego. Niestety i ta nawet nadzieja nie jest stuprocentowo pewna, bo międzynarodowa koniunktura polityczna komplikuje się dla niej niekorzystnie. Jeżeli nadzieja ta nie zawiedzie, to i tak pomoc francuska w przewidzianej wysokości około 700 milionów złotych, płatnych nie odrazu, może wespół z „falą koniunktury" podciągnąć nas doraźnie nieco wyżej pod względem wojskowym i gospodarczym, ale nie wystarczy bodaj nawet na rozszerzony mały plan, o wielkim już nie mówiąc. Zasadniczy zaś ratunek może przynieść Polsce właśnie tylko ów teoretycznie zaprojektowany plan wielki.

Niebezpodstawnie zatem przyjęto w prasie jego wizję wprawdzie sympatycznie, jako inspirowany wyraz najlepszej woli czynników wojskowych, ale zarazem z pewną dozą sceptycyzmu. Rzeczowo krytykowano raczej konkretniejszy projekt rozszerzenia planu małego, znów niebezpodstawnie wysuwając zarzut, iż wydrenuje on nasze kapitalistyczne ubóstwo z wszelkich, nawet obrotowych zasobów, nieodzownych dla „podciągania" wytwórczości prywatnej. Niebezpodstawnie też zarówno prasa jak i władza państwowa z niepokojem obserwuje rozszerzający się, śladem rolnictwa, zwyżkowy ruch cen. Ten objaw liberalnego automatyzmu nieodłączny od wszelkiej „dobrej koniunktury" niepożądany jest nie tylko przez nas, ale i na nie dość wciąż pojemnym rynku światowym, bo grozi redukcją obrotów międzynarodowych. Polsce jednak grozi ponadto hamowaniem wzrostu obrotu wewnętrznego i zaakcentowaniem braku kapitału. Na

tym tle jak prawdziwy paradoks wygląda wzniesiony przez min. Opieki Społecznej, racjonalny w zasadzie, projekt skrócenia czasu pracy przy niezmienionym zarobku tygodniowym, celem zwalczania bezrobocia w górnictwie węglowym. Bo wszak oznacza to właśnie zwyżkę kosztów produkcji i cen.

Te przykłady trudności powstających już obecnie dają słabe ale właściwe wyobrażenie o tym czego oczekiwać należy w razie gdyby wcielone zostały w czyn zapowiedzi dalszej intensyfikacji naszego życia od strony szerokich planów inwestycyjnych. Zachodzi obawa a nawet pewność, że próby tego rodzaju mogą na kalekie i zatrofizowane nasze gospodarstwo oddziałać pobudzająco jak kamfora, ale tylko po to, by po okresie podnieconej działalności wpędzić je w brak tchu i anemię kapitału oraz w tym cięższą reakcję wsteczną. Nie tylko wielki ale i średni plan inwestycyjny może z tego powodu utknąć i okazać się niewykonalnym.

Nie zapobiegnie temu żadna mobilizacja społecznego wysiłku ani żaden ideowy entuzjazm, czy obiektywnie propaństwowy czy monoideistycznie prawy lub lewy. Tu bowiem zderzy się on z najtwardszą rafą naszej struktury gospodarczej, która nie da się również objechać na koniunkturze czy zagranicznym kredycie. Koniunktura i kredyt międzynarodowy musiałyby się w tym celu wzbić na takie wyżyny długoterminowej trwałości oraz rozkwitowego rozrostu, jakie w obecnym stanie światowego gospodarstwa i światowej polityki są najzupełniej wykluczone; a są wykluczone tak samo i dla tychże przyczyn co i rozrost międzynarodowego obrotu do stopnia zdolnego wchłonąć światowe bezrobocie przy równoczesnym ograniczeniu zbrojeń. Zarówno zachodnie jak polskie rafy struktury gospodarczej są śmiertelnie groźne, ale zarazem niestety nieusuwalne w ramach i środkami ustroju kapitalistycznego. Tylko chwilowo można je opływać na fali koniunktury albo opierać im się „podciąganiem". Korzystać z nich lub stosować je celem doraźnej ulgi wolno i trzeba, ale nie wolno się łudzić oczekiwaniem od nich rzeczywistego ratunku. Nie koniunktura i nie podciągnięcia przynieść go mogą lecz jedynie głęboki przełom u samych podstaw ustroju kapitalistycznego, przełom, który w istocie rzeczy ten ustrój bezpowrotnie zniszczy.

Przełom.

Polska jako jednolite gospodarstwo narodowe, weszła w ustrój kapitalistyczny w dobie jego posuniętego rozkładu, sama znajdując się w jego stadium jeszcze pierwotnym, ale zarazem z liczbą ludności pokrewną państwom przekwitowo-kapitalistycznym. Te dysproporcje wewnętrzne są niemniej potworne od zewnętrznych w porównaniu między nami a wielkimi potęgami gospodarczymi i politycznymi świata. Nie można nawet marzyć o ich wyrównaniu w drodze takiej samej powolnej ewolucji, jaką osiągnęły obecne swoje bogactwo Anglia, Ameryka, Francja lub Niemcy. Nie można o tym marzyć tym bardziej, że właśnie to bogactwo, ten nadmiar dóbr lub przeludnienie, które tam występują, już wprowadziły tamte kraje w stadium zmierzchowe kapitalizmu, już je zmusiły do wstępnych, lecz jakże znamiennych „nakręceń" w metodach kapitalizmu.

W tym stanie rzeczy Polska znalazła się pod szczególnie ostrą presją nieubłaganych konieczności walki o swój byt. One ją wcześniej od krajów późno-kapitalistycznych zmuszają do porzucenia ustroju w obrębie którego nie masz dla niej ratunku! Ci co Polskę politycznie lub ekonomicznie prowadzą, obecny zatem gabinet, oraz „sfery gospodarcze" nie chcą wprawdzie tego widzieć, metodą zagrożonych strusi, chowają głowę w piasek doraźnych podciągnięć koniunkturalnych czy kredytowych. Ale one pomogą tylko oderwać się od „kryzysowego dna" i nabrać pewnego rozpędu. Z impetem tym dotarłszy do pewnego punktu, uderzymy o rafę braku środków obrotowych. Wtedy pozostanie tylko albo załamać rozpęd, ponownie osadzić gospodarstwo narodowe na mieliźnie i zgubić kraj, albo też rozsadzić rafę materiałem wybuchowym. Na wakujące miejsce kapitału dokonanego, wprowadzić kapitał antycypowany. Rozszerzyć i zmodyfikować funkcję społeczną środka obrotowego. Oderwać pieniądz od złota.

Pisze się o tym u nas na szczęście coraz częściej i poważniej oswajając z tą myślą opinię publiczną. Dyskusja jest dość jednostronna, bo liberałowie, od czasu pogrążenia teorii deflacyjnej płk. Matuszewskiego w „możliwych niemożliwościach", zamilkli i wolą wycieczkować na studia fal

koniunktury do Anglii lub Ameryki niźli zapuszczać się w niebezpieczne dżungle obrony złota i wolnego handlu. Na razie wystarcza im opór bierny sfer gospodarczych i rządzących. Opór ten tłumaczy się po części rutyną i obawą o kapitalistyczne stany posiadania, po części zaś oczekiwaniem na pożyczkę francuską, którą radykalne zmiany w polskiej polityce gospodarczej mogły by wypłoszyć. Czyhają zresztą na nią także niebezpieczeństwa międzynarodowo-polityczne. Jeżeli jednak i ona zawiedzie wówczas wypadnie wcześniej założyć minę odzłacającą pod rafę naszej nędzy kapitalistycznej, jeśli nie zawiedzie — nieco później. Sama konieczność wszakże tego heroicznego kroku wydaje się nieuniknioną i lepiej by została przyspieszona. Pożądane jest przy tym ażebyśmy dokładniej niż dotąd zdawali sobie sprawę z ciężaru gatunkowego odzłacającej reformy monetarnej. To już nie podciąganie lecz rewolucja o wręcz zawrotnej perspektywie następstw, stwarzająca dźwignię przełomu ustrojowego. Jedynie taki przełom może ocalić gospodarstwo i państwo polskie.

Dyspozycja ze strony państwa, na rzecz gospodarstwa narodowego, nieograniczonym kapitałem obrotowym pozwalającym pokryć i regulować „równanie w górę" cen wszelkich działów produkcji byłaby po pierwsze jedynie zdolną uruchomić wysiłek zbrojeniowy tak szybko i potężnie, jak tego wymaga obecna sytuacja międzynarodowa. Powtóre, uruchomiłaby wszelką w ogóle produkcję tak potężnie, jak to jest konieczne dla zaspokojenia potrzeb społeczeństwa oraz zatrudnienia bezrobotnych. Po trzecie, ten kolosalny rozwój produkcji narzuci konieczność jej planowania i regulowania celem uniknięcia klęski nadmiaru. Zarazem narzuci odpowiednią organizację spożycia przez odpowiedni podział dochodu społecznego, w postaci odpowiednio kalkulowanego czasu pracy, robocizny, kosztów produkcji i cen. Planować i dysponować dla całego narodowego gospodarstwa musiałby rząd, w obrębie zaś tego planu dyspozycja szczegółowa działów wytwórczych przypadłaby korporacjom zawodowym, sama zaś funkcja wytwórcza i jej kierownictwo lokalne, po dawnemu gospodarstwom indywidualnym. Nieograniczona dyspozycja kapitałem obrotowym ze strony

państwa oddałaby w jego ręce narzędzie tak potężnego wpływu na życie gospodarcze o jakim mowy być nie może przy kapitalizmie. Tego wpływu jednak państwo nie użyłoby w celu etatyzacji, lecz organizacji i naczelnego planowania wytwórczości. W ten sposób organicznie wyłoniłby się z procesów rozwojowych życia nowy ustrój oparty na współdziałaniu autorytatywnej władzy państwowej ze zrzeszeniami zawodowymi. W centralnej radzie korporacyj przejęłyby one częściowo również funkcje prawodawcze izb parlamentarnych obecnego państwa liberalnego. Ustrój korporacyjny obecnych Włoch, Austrii i Portugalii nosi charakter „fasadowy", pokrywając formą korporacyjną nieopanowaną jeszcze kapitalistyczną treść. Ustrój natomiast wcielony w życie mocą odzłacającej dźwigni monetarnej realizowałby korporacjonizm rzeczywisty, niweczył kapitalizm, a nie wprowadził bynajmniej socjalizmu czy etatyzmu. Ustrój ten wymagałby głębokich równoległych przekształceń konstytucji politycznej. Mógłby zaś pomyślnie funkcjonować jedynie w zupełnie odmiennej niźli dotychczasowa atmosferze i kulturze moralnej, które zapewnić jest zdolny tylko renesans katolicyzmu.

Dźwignia odzłacającej reformy monetarnej wprowadzona obecnie w życie społeczne, sama jedna tylko zdolna jest wywołać tak potężny wstrząs materialny i moralny, który wytrącił by społeczeństwo z kołowacizny „dekompozycyjnej". Wstrząs ten postawił by je twarzą w twarz z nową przewrotową rzeczywistością, oderwał od starych nałogów psychiki politycznej. Ta jedynie dźwignia mogłaby też porwać społeczeństwo do obiektywnej współpracy z państwem w obozie wielkiego, heroicznego czynu. I byłaby zdolna wznieść może prędzej niż za 10 lat „centralny okręg przemysłowy".

Nie zdynamizujemy społeczeństwa, nie zcalimy go z państwem w monolit zdobywczego wysiłku, drepcąc utartymi ścieżkami gospodarki mieszczańskiej, którymi dotrzeć można tylko nad brzeg przepaści; ani wyczekując na pożyczkę francuską, niepewną, a po tamtej stronie barykady ustrojowej zbędną. Pierwsza Polska historyczna legła w gruzy, bo moralnie i materialnie nie wytrzymała starcia z powstającym kapitalizmem. Druga Polska odrodzona stanęła znów

w obliczu zagłady, bo niezdolna jest dotrzymać kroku schyłkowemu kapitalizmowi. Trzecia Polska przyszłości, zdobyć ją sobie i światu może tylko zadając kapitalizmowi śmiertelny cios.

Oby ten wielki twórczy dziejowy czyn powołania do życia nowego ustroju i nowej kultury nie nastąpił w analogii z tragicznym wysiłkiem Pierwszej Polski w dn. 3 maja. Oby nie nastąpił za późno.

Druga Polska zburzyła tylko prawosławny sobór, ale świątyni Opatrzności jeszcze nie wzniosła... Ślubu Pierwszej nie wypełniła... Bo przekładała los nędzarza pośród uginających się pod klęską nadmiaru potęg wielkomieszczaństwa.

St. Szczutowski.

Historia przed sądem współczesnej literatury.

I.

Jednym z najbardziej podstawowych elementów kultury i sztuki powojennej jest ich zdecydowany antyhistoryzm, w najlepszym razie ahistoryzm. Szczególnie uwydatnia się to w literaturze pięknej, może w pierwszym rzędzie — w powieściopisarstwie. Czy wobec tego nie należałoby mówić o zupełnym zaniku powieści historycznej, jako odrębnego rodzaju pisarskiego? o braku zainteresowań dla tematów i problemów historycznych zarówno wśród autorów, jak i u krytyki, u elity konsumentów literatury i szerokich rzesz czytelniczych?!.. Do niedawna można było tak mówić w istocie; dziś sytuacja nieco się zmieniła na korzyść owego zdeklasowanego, a przecież ongiś tak wspaniałe święcącego triumfy rodzaju powieściowego. Jedno przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości: stosunek dzisiejszego człowieka, dzisiejszego pisarza, równie jak czytelnika do historii, do przeszłości jest całkowicie inny, niż człowieka przedwojennego, człowieka XIX-towiecznego![1]) Z całą też stanowczością możemy twierdzić, iż oblicze historyzmu w literaturze dzisiejszej, w pierwszym rzędzie — oblicze powieści historycznej,

[1]) Według mniemania wielu historyków i socjologów wiek XIX, pojęty nie jako okres mechanicznie-chronologiczny, ale jako pewna zamknięta w sobie epoka o specjalnie charakterystycznym obliczu polityczno-socjalnym, kulturalno-filozoficznym i ekonomicznym, skończył się w dniu wybuchu wojny w r. 1914.

jej dążeń, upodobań, zainteresowań, form oraz stawianych jej wymagań, prawie nic już nie ma wspólnego z ową „klasyczną powieścią historyczną", stworzoną przez Walter-Scotta, a rozwijaną i doskonaloną przez Dumasa, Manzoniego, Flauberta, Lwa Tołstoja i Sienkiewicza. Tamta bowiem powieść historyczna — dziecię nieodrodne XIX wieku, najgoręcej rozmiłowanego w historii i historyzmie — umarła wraz z nim, przeżywszy jak najdokładniej lat 100. W lipcu 1814 wyszedł pierwszy romans historyczny Walter-Scotta *Waverlay*, budząc nieopisany zachwyt i sukces moralny i materialny, z niczym w owych warunkach życia kulturalnego porównać się nie dający!.. w lipcu zaś 1914 wybucha wojna, która zmieniła oblicze świata i kultury, a wśród wielu swych konsekwencyj na nowe zupełnie tory zwróciła zainteresowania dla przeszłości, a w literaturze — dla historycznych tematów.

Początkowo — zaraz w pierwszych latach po wojnie — powieść historyczna właściwie w ogóle nie istniała, jak prawie nie istniały w żadnej dziedzinie sztuki i kultury (poza fachową naukową historiografią) najmniejsze zainteresowania historyczne. Dlaczego?.. Czemu właściwie należało przypisywać taką zasadniczą zmianę — zmianę na pierwszy rzut oka naprawdę nieoczekiwaną i paradoksalną w ramach kultury zachodnio-europejsko-chrześcijańskiej, która według opinii Schlegla, Nietzschego i wielu innych — sama tylko wśród innych kultur i społeczności ludzkich wyhodowała „szósty zmysł", zmysł historyczny — i która tak niedawno jeszcze — w wieku XIX i to bynajmniej nie tylko w pierwszej jego „romantycznej" połowie, przeżywała najwyższe upajanie się historyzmem we wszystkich swoich dziedzinach?!

Odpowiedzi może być kilka:

Po pierwsze wiek XX przyniósł w postaci wielkiej wojny i rewolucji przemiany i przełomy tak doniosłe, tak gruntowne, jak mało które w stuleciach poprzednich. Stąd lekceważący stosunek pokolenia wojennego i rewolucyjnego do historyzmu: „Nas nie interesuje historia tego, co było przed nami, my sami jesteśmy historią! tworzymy epokę, z którą nic z przeszłości nie da się porównać!" Nastawienie to charakteryzuje kulturę i sztukę sowiecką i rewolucjoni-

zującą — zachodnią; ale w równym stopniu także stotalizowaną sztukę i kulturę włoską, po tym niemiecką — wreszcie ogarnia powoli całą Europę...

Po drugie na czoło najżywotniejszych współczesnych ruchów, zarówno politycznych, socjalnych, jak kulturalno-artystycznych wysunęły się dzisiaj liczne jednostki, a nieraz całe grupy (nierzadko całe masy), pochodzące ze sfer społecznych, poprzednio stojących zdala od właściwego tworzenia historii i wpływania na jej dynamizm, sfer, upośledzonych względnie zdeklasowanych. Dla tych — rozumie się — obojętną, a nieraz i bezwzględnie wrogą jest wszelka tradycja historyczna, a więc i wszelka literatura, opiewająca lub choćby tylko utrwalająca we wspomnieniu — czyny, uczucia i myśli królów, rycerzy, w ogóle przedstawicieli sfer dawniej jedynie uprzywilejowanych, jedynie też przeważnie interesujących artystę, bo jedynie czynnych w tworzeniu dynamizmu dziejów!

Po trzecie wysuwa się twierdzenie, iż nieodłącznym rekwizytem wszelkiego tematu historycznego jest jego koloryt i ornamentyka. Otóż twierdzi się, iż w wieku XX ludzkość osiągnęła już w swym rozwoju okres pełnej dojrzałości, kiedy to jej — jak i każdego pojedynczego człowieka — nie bawi już barwność i bujność gestu i efektu kostiumowo-dekoracyjnego, które oddziaływują tak silnie na wyobraźnię wieku młodzieńczego zarówno jednostki, jak ludzkości całej i jej kultury!

Wreszcie po czwarte, jeśli chodzi specjalnie o literaturę, głównie powieść, zwraca się dziś uwagę na to, iż obok uartystycznionego zdawania sprawy z nagiej prawdy o codziennej rzeczywistości (reportaż), niemal cała reszta zainteresowań pisarzy dzisiejszych kieruje się ku psychologii, ku analizie psychologicznej, nawet psycho-patologicznej.

Jakąż więc wartość dla literatury dzisiejszej, lubującej się w najbardziej skomplikowanych przeżyciach duchowych i pozostającej w nieustannej gonitwie i poszukiwaniu za jakąś nową, dotąd w podświadomości utajoną, nieznaną światu rewelacją psychologiczną, którą poddać należy najsubtelniejszej i najnowocześniejszej analizie i ubrać w odpowiednio nowoczesny kształt artystyczny! — jakąż wartość

(jak dziś powszechnie się twierdzi) posiadać dla niej mogą sprawy, myśli i uczucia ludzi czasów minionych — ludzi, o ileż mniej skomplikowanych od człowieka dzisiejszego, a nierzadko w tej swej niższości dochodzących do postaci całkowitego prymitywu psychicznego i umysłowego?!

Takie są zasadnicze i najbardziej efektowne motywy wyroku, wydanego przez dzisiejszość, a skazującego historyzm w kulturze i sztuce, w pierwszym zaś rzędzie — powieść historyczną na nieuchronną, zdawałoby się, zagładę. Nie jest to pierwszy co prawda na nią wyrok. Podobne mu wyroki ferowali już i Napoleon w słynnej rozmowie z Wielandem, i Goethe i Zola i Nietzsche — rodzaj ten literacki jednak okazywał zawsze niesłychaną żywotność, wbrew wszystkim drwinom, gromom i proroctwom zagłady, względnie haniebnej śmierci samobójczej. Tak też dzieje się dzisiaj. W latach mniej więcej 1919—1928 można było śmiało mówić i pisać o likwidacji powieści historycznej, owszem i mówiło się i pisało. Dziś jednak sprawa przedstawia się inaczej. Zaryzykować moglibyśmy nawet twierdzenie, że powoli, ale nieodparcie zbliża się tej powieści renesans. Lecz, jak powiedzieliśmy na początku, będzie to powieść historyczna zupełnie inna, niż ta, którą stworzył, wyniósł na szczyty artyzmu i zabrał za sobą do grobu wiek XIX. Stulecie nasze bowiem, nie mogąc zmóc żywotności tego rodzaju powieściowego, pozwala mu oddychać i — to z dnia na dzień — oddychać coraz swobodniej, coraz szerzej i głębiej. Czyni to przecież pod pewnymi warunkami, których charakter potwierdza tylko w całej rozciągłości wyrażone na początku zdanie o antyhistoryźmie, względnie ahistoryzmie dzisiejszości.

II.

Powieść historyczną stworzył wiek XIX. Jak to? nie bez pewnej słuszności zapyta ktoś, czyżby przed Walter-Scottem literatura nie poruszała wcale tematów, czerpanych z przeszłości?! Owszem, poruszała je i to bardzo, bardzo często, zarówno w literaturze jeszcze antycznej, w średniowiecznej, jak i nowożytnej, głównie w dramacie, niemniej jednak i w powieści. Poza jednym przecież Szekspirem, całą

ową literaturę na tematy, czerpane z czasów dawnych — i to zarówno teatr antyczny, wielkie eposy renesansowe oraz wspaniałe dramaty Calderona, Corneille'a i Racine'a — jak i wszystkie niezliczone powiastki, powieści i powieścidła o Wojnie Trojańskiej, Aleksandrze Wielkim, rycerzach św. Graala, o Merlinie, Meluzynie i wielu, wielu innych — wszystkie je cechuje kompletny brak zmysłu historycznego, brak odczucia ducha i stylu epoki. W literaturze tej Parys, Achilles, Aleksander, August, król Artus, Merlin czy Cyd nie tylko mówią i myślą kategoriami epoki, w której dana powieść o nich została napisana, ale co więcej, noszą strój i mają obyczaje, ściśle wiążące się z czasem powstania utworu.[1]) I w tym właśnie tkwi rewelacyjność wieku XIX, głównie romantyzmu, że poraz pierwszy, przede wszystkim w twórczości Walter-Scotta, uwydatniona została w literaturze dążność do odtworzenia nie tylko pewnego faktu, który zaszedł kiedyś w przeszłości, ale całej atmosfery, która otaczała bohaterów tego faktu... wszystkich autentycznych okoliczności, jakie mu towarzyszyły... Rzucono się więc po pomoc do archeologii, również pierwsze prawie wówczas stawiającej kroki, pracowano powoli, zagłębiano się w ów autentyczny styl epoki nieśmiało, nieraz po omacku (w pierwszej swej powieści Walter Scott odważył się dać obraz epoki, zaledwie o jedno pokolenie od niego odległej) — ale na tej drodze już się nie zatrzymywano i oto niebawem przed zachwyconymi oczyma czytelników przesuwać się poczęły, pełne charakterystycznych dla swej epoki wyłącznie szczegółów — wizje Anglii purytańskiej i elżbietańskiej, Francji Ludwika XI, wypraw krzyżowych — a potem dochodzić do tego zaczęły z pokolenia na pokolenie coraz efektowniejsze, coraz bardziej sugestywne i coraz to głębiej wnikające w prawdę epoki — obrazy Francji ostatnich Walezych i pierwszych Burbonów, starożytnej Kartaginy, zwalczającej Napoleona Rosji, Rzymu Nerona i Rzymu

[1]) To samo dotyczy zresztą malarstwa: na niektórych obrazach renesansowych „Syn marnotrawny" ma na sobie wenecki strój, czerwone pończochy i szpadę u boku. Prawie w całej zresztą sztuce przed XIX wiekiem styl antyku zaznaczany był jedynie przez gołe kolana mężczyzn i bose stopy kobiet!

papieży, Egiptu faraonów i Babilonu, Indyj przedbuddyjskich, przedhiszpańskiego Meksyku, przedsokratesowych Aten, rozpustnej Aleksandrii i skostniałego w ceremoniale cezaropapistycznym Bizancjum... A wszystko to tworzone w coraz to znakomitszych kształtach artystycznych, nieraz w formie największych arcydzieł epoki.

Owo przebudzenie i pogłębianie nieustanne zmysłu historycznego w literaturze płynęło niewątpliwie z romantycznej niechęci do codzienności, do otaczającej rzeczywistości, z tęsknoty za wszelką egzotyką, a zarazem z idealistycznej wiary w duchową i estetyczną wyższość przeszłości nad zastanym porządkiem rzeczy. Wiara ta miała w ostatecznej perspektywie wizję Raju, względnie Złotego Wieku. Stąd tak namiętne i gwałtowne podkreślenia osobliwości każdej epoki czyli podkreślanie różnicy między tą epoką, a swoją. W rezultacie stanowisko romantyzmu, a potem i całego XIX wieku do przeszłości i wszelkiego tematu historycznego da się sformułować w ten sposób: „Im bardziej ta przeszłość jest inna od otaczającej nas rzeczywistości, im mniej podobna, im dalsza — tym bardziej jest dla nas ponętna, tym ciekawsza i największego godna zainteresowania".

Ale wiek XX — wiek, który mówi, iż tak już jest dojrzały, że nie nęci go żadna egzotyka przeszłości, choćby najbarwniejsza, a nadto z dumą woła, że sam tworzy historię, wspanialszą i potężniejszą, niż cokolwiek dotąd zostało stworzone — ma wręcz przeciwną opinię w tych sprawach od swojego poprzednika. Mówi: „Przeszłość obchodzi nas o tyle tylko, o ile podobna może być do dzisiejszości". Dlatego też pozwala istnieć powieści historycznej o tyle tylko, o ile potrafi ona nadać swemu stosunkowi do przeszłości charakter rewolucyjny, znamionujący ducha dzisiejszości, względnie o ile uda się jej przekonać dzisiejszość o wartości, czy ważności któregoś ze zdarzeń minionych, uwypuklając analogie między tym zdarzeniem, a wypadkami zachodzącymi obecnie. Stąd dwa najbardziej podstawowe elementy dzisiejszej powieści historycznej: rewizjonizm i aktualizacja.

III.

Przyjrzyjmy się tylko współczesnej europejskiej powieści historycznej, co ona właściwie robi z każdym ze swoich tematów: albo rzuca nań „zupełnie nowe światło", albo go aktualizuje. Tego rodzaju podejście jednak, wymagające niesłychanego zmysłu aktualności i umiejętności preparowania „na gorąco", w formie sensacyjnej najmniej nieraz sensacyjnego tematu czy problemu historycznego, wymaga od powieściopisarza kwalifikacyj publicystyczno-reporterskich raczej, niż artystycznych. Stąd też typowo reportażowy charakter większości współczesnych publikacyj historyczno-powieściowych, istotnie znakomicie dogadzający smakowi i upodobaniom epoki, ale zato fatalny częstokroć mający wpływ na poziom artystyczny utworu. Z powojennych powieści historycznych o europejskiej sławie dwie tylko mają na sobie piętno ponadczasowości twórczej, tzn. mają szereg walorów, całkowicie niezależnych od gustów epoki. Jest to *Krystyna, córka Lawransa* skandynawskiej pisarki, Sygrydy Undset i *Żywot Józefa*, Tomasza Manna. Rozumie się, i u tych obojgu twórców da się łatwo odcyfrować ta czy owa charakterystyczna dla dzisiejszości cecha. „Krystyna" to pierwsza próba w wielkiej literaturze światowej spojrzenia na historię, na oblicze pewnej epoki i dynamizm jej dziejów — od strony kobiecej, z punktu widzenia socjologicznych i psychologicznych warunków, przez tę epokę kobiecie narzuconych. Powiedzielibyśmy: z punktu widzenia interesów kobiety, jako indywiduum, oraz cząstki wielkiej grupy zbiorowej... Niewątpliwie jest to echem współczesnych ruchów feministycznych, aktualność przecież problemu stanowi może najwyżej punkt wyjścia książki, nie jest przecież bynajmniej decydującą — jak w tylu innych wypadkach — jeśli chodzi o istotną wartość dzieła, gwarantowaną przez wysoki poziom artystyczny, w pierwszym rzędzie przez ponadczasową — choć i rzuconą na tło, ściśle czasem określone — prawdę i głębię studium duszy kobiecej.

Trylogia Tomasza Manna *(Historie Jakubowe, Józef i jego bracia, Józef w Egipcie)* posiada na sobie również piętno nowoczesności, ale nowoczesności w najlepszym stylu, polegającej na sharmonizowaniu wielkiego talentu epickiego

i zmysłu historycznego autora z całym aparatem nowoczesnej psychologii, archeologii, kosmologii i papirologii! W ujęciu niemieckiego pisarza epoka Izaaka, Ezawa, Labana i Jakuba z synami niczego nie uroniła ze swej patriarchalnej, w najdosłowniejszym znaczeniu, prostoty oraz biblijnej majestatyczności, zarazem przecież została ku nam niesłychanie zbliżoną i odarchaizowaną, choć wcale przez to nie zanachronizowaną.

Rozumie się, poza tymi dwoma wysokiej klasy dziełami znajdziemy niejedną jeszcze powieść historyczną dużej wartości, nieraz sięgającej miary arcydzieła (np. *Piotr Pierwszy* Aleksego Tołstoja.[1]) Wszystkie jednak te powieści w pierwszej mierze zawdzięczają swe powodzenie, rację bytu lub nawet samo swe powstanie wyłącznie momentowi rewizjonizmu, względnie aktualizacji, poza których atrakcyjnością przemyca się na rynek literacki nierzadko nie tylko miernotę artystyczną, ale wręcz tandetę, — jako pierwszorzędną rewelację pisarską chwili!.. Z drugiej przecież strony trzeba być sprawiedliwym i przyznać, że nawet słabsze i bardzo słabe tego rodzaju powieści historyczne spełniają doniosłą rolę samym swym istnieniem, o ile tylko za pomocą zręcznie przeprowadzonych analogij lub sensacyjnych naświetleń budzą zainteresowania dla tematów historycznych u czytelników, krytyki i pisarzy — torując w ten sposób drogę utworom, wysoce artystycznym, ale mniej atrakcyjnym. A to powoli już się robi...

IV.

Nie ma prawie ani jednego współczesnego poważniejszego zagadnienia kulturalno-duchowego, politycznego, społecznego, psychologicznego, nawet ekonomicznego, któreby nie znalazło swego odbicia w powieści historycznej (względnie biograficznej), zręcznie umiejącej w każdym poszczególnym wypadku wydobyć z przeszłości odpowiednio nadający się do aktualizacji temat. Przejdźmy tylko po kolei najgłośniejsze tego rodzaju dzieła, a przekonamy się o słuszności

[1]) Powieść ta szczegółowo była omówiona w zeszycie wrześniowym roku 1934 *Przeglądu* w rubryce „Z literatury rosyjskiej".

tego twierdzenia. Zagadnieniu likwidacji parlamentaryzmu przez dyktaturę poświęcone są powieści Mirka Jellusicha: *Juliusz Cezar* i *Cromwell* — szczególnie ta ostatnia upodabnia sprawę purytańskiego dyktatora do modnej dziś idei mistycznego, już niemal posłannictwa wodza narodu. Jellusich jest sympatykiem dzisiejszego reżimu w Niemczech. *Triumf i tragizm Erazma z Rotterdamu* Stefana Zweiga to apologia integralnego pacyfizmu a *Costellio przeciw Kalwinowi* tegoż autora występuje przeciw fanatyzmowi walki ideowej w imię prawa indywidualnego do krytyki. *Królowe* Zweiga (Maria Antonina, Maria Stuart) to szerokie pole do używającego nowoczesnych metod studium życia erotycznego. *Wojna żydowska* i *Synowie* Feuchtwangera, aktualizując polityczne, kulturalne, międzynarodowe i międzywyznaniowe konflikty w cesarstwie Flawiuszów, stanowią programowe dzieło literackie współczesnego nacjonalizmu żydowskiego. *Myśliciel* Ałdanowa *(9 thermidora, Diabelski most, Spisek, Święta Helena)* z najwybitniejszym może spośród wszystkich tych pisarzy talentem aktualizacyjno-publicystycznym przeprowadza analogię między rewolucją rosyjską a francuską. *Ulica sandalników* Nis Patersena bardzo efektownie — choć chwilami ryzykownie i nie zawsze przekonywująco — uwspółcześnia całe prywatne i publiczne życie codzienne Rzymu za Marka Aureliusza. Pisarze sowieccy z Aleksym Tołstojem na czele ujmują tematy i problemy historyczne z punktu widzenia walki klas i to, rozumie się, pod kątem socjalno-politycznych i ekonomicznych interesów proletariatu. W świetle tak pojętej aktualizacji car Piotr I występuje, jako poprzednik Lenina, jako pierwszy rewolucjonista rosyjski. Emigrant zaś rosyjski Nażywin, w *Judejczyku* aktualizuje — m. in. — zagadnienie wielkiego kapitalizmu we wczesnym Imperium Rzymskim.

W parze z aktualizacją, idzie rewizjonizm, w zupełnie nowym świetle raz poraz ukazując się najwybitniejsze postacie historii. Ta akcja rewizjonistyczna idzie w dwóch kierunkach i dwiema też posługuje się metodami, z których jedna — nazwalibyśmy ją odkrywczą, względnie popularyzacyjno-naukową — wyzyskuje najnowsze odkrycia źródłowe i badania naukowe, naprawdę nieraz rewelacyjne,

druga zaś, intuicyjna, ogranicza się do nowej interpretacji powszechnie i dawno znanych faktów. Z dwu zaś kierunków zasadniczych (każdy z nich posługuje się obydwiema metodami) do niedawna przeważał ten, który zazwyczaj się nazywa „odbronzowianiem". Celem jego była przeważnie sensacja sama w sobie, a główną metodą — ukazywanie wielkich postaci dziejowych w takim świetle, które by ściągało ich z piedestału nadludzkiej niemal już mistycznej, częstokroć istotnie sztucznej wielkości, na poziom nieraz przeciętności lub małości nawet, albo przynajmniej kwestionowało czystość, względnie pełną świadomość pobudek, kierujących ich czynami. W tym celu odsłania się bez żenady a nawet z wyraźnym upodobaniem kompromitujące szczegóły z życia erotycznego, towarzyskiego, politycznego, zakulisowego... Obecnie jednak przeważa drugi kierunek, ideowy. Celem zaś tak pojętego rewizjonizmu jest ukazanie pewnej epoki lub postaci w świetle społeczno-politycznych przekonań autora. Klasycznym przykładem tego kierunku rewizjonistycznego będzie znowu Jellusich; w jego „Cezarze" od dwu tysiącleci okryty hańbą Katylina, dostępuje rehabilitacji, jako zaszczuty przez demokrację parlamentarną szlachetny, ale za słaby pionier idei wodzostwa, natomiast Cycero przedstawiony jest w świetle zdecydowanie ujemnym. Feuchtwangerowi idea nacjonalizmu żydowskiego każe karykaturalnie zniekształcać postać Tytusa i ducha Rzymu, przeciwnie Wigall będzie rehabilitował Nerona, przedstawiając go, jako ofiarę 2000-letniej kampanii oszczerczej semicko-chrześcijańskiej. Emil Ludwig zrobi z Napoleona pierwszego czynnego realizatora pacyfizmu; sowiecki autor Guber ośmieszy rewolucję lipcową, bo to rewolucja mieszczańska; Nis Patersen i Nażywin będą „odbronzowiali" heroizm męczenników chrześcijańskich; Jakub Wasserman pokaże nam zupełnie nowego Kolumba, a Zweig istotę konfliktu między Marią Stuart a Elżbietą przesunie, w myśl teorii Freuda, na płaszczyznę podświadomych motorów życia erotycznego.

W powyżej dokonanym przeglądzie najpopularniejszych powieści historycznych epoki nie może nie uderzyć ogromna przewaga dzieł o charakterze biograficznym. Istotnie, powieść biograficzna, względnie upowieściowana monografia

publicystyczno-historyczna, poświęcona jakiejś jednej wielkiej postaci historycznej, przeważa nad wszystkimi innymi odmianami beletrystyki historycznej. Czemuż mamy tę sytuację przypisać? Sytuacja to naprawdę paradoksalna, bo stawia tak niewątpliwie arystokratyczny i indywidualistyczny rodzaj powieściowy, jak biografia upowieściowana *(la vie romancée)* — w rzędzie najpopularniejszych odmian literackich w naszej przecież tak bardzo antyindywidualistycznej, uniwersalistycznej i kolektywizującej się epoce! I co dziwniejsza, że pierwsze „żywoty romansowe" zaczęły się pojawiać i zyskiwać natychmiastowe powodzenie nieomal zaraz po wojnie, w czasach triumfującego demokratyzmu, na długo przed spopularyzowaniem idei wodzostwa.

Powie ktoś: okazało się, że jest koniunktura na *la vie romancée*, pisarze więc i wydawcy rzucili się na dobrze prosperujący interes. Wyjaśnienie to, co do wielu późniejszych wypadków najsłuszniejsze, nie tłumaczy przecież istoty rzeczy, nie odpowiada na pytanie: co spowodowało tę koniunkturę? Czyż zresztą mogli przewidzieć ją ci pierwsi autorzy powieści biograficznych Maurois, Ludwig, czy przedwojenny jeszcze Strachey?! Najwidoczniej więc albo intuicyjnie przeczuli zbliżającą się epokę odrodzenia kultu wielkiej jednostki: herosa-wodza, — albo też stanowią klasyczny przykład zaniku wszechwładnej poprzednio historiozofii materialistycznej, w najdoskonalszy kształt artystyczny obleczonej przez L. Tołstoja w *Wojnie i pokoju*. Antyindywidualistyczna ta teoria, która głosiła tworzenie dziejów przez nieświadome swej roli wielkie masy, kierowane przez mechaniczne prawa rozwoju, dziś zanika na rzecz odradzającej się historiozofii idealistycznej, wyznającej, iż historia to dzieło wielkich twórczych duchów jednostkowych.

V.

Zdawaćby się mogło, że powieść biograficzna, zajmująca się poszczególnymi indywiduami i całym ich życiem od kolebki do zgonu, będzie stanowiła znakomity teren do analizy psychologicznej, tym bardziej, że przecież zajmuje się jednostkami wybitnymi, a więc wyposażonymi zazwy-

czaj w szczególnie bogate i ciekawe życie duchowe. Dzieje się jednak wręcz przeciwnie. „Żywoty romansowe" celują ogromną ilością coraz to nowych szczegółów i szczególików — sensacyj, plotek, skandalików z za kulis oficjalnego życia wielkiego człowieka; raz poraz też porywają, względnie oburzają karkołomnymi hipotezami; psychologiczna jednak analiza wielkich ludzi przeszłości jest zazwyczaj w świetle tych szczegółów i hipotez bardzo powierzchowna i bardzo banalna. Dlaczego? Czy może z wymienionego uprzednio powodu: pogardy nowoczesnego psychologizmu dla nieskomplikowanego, ba nawet prymitywnego życia wewnętrznego ludzi czasów minionych? Najprawdopodobniej. Czas jednak już najwyższy z przyczyną tą się rozprawić,[1]) jako nieistotną i nie dającą się utrzymać przy głębszym wniknięciu w samą sprawę. Na czym bowiem opieramy tezę o większej złożoności psychicznej dzisiejszego człowieka nad dawniejszym? Na materialistycznej teorii ciągłego a wszechstronnego postępu — teorii, coraz bardziej podważanej przez nowoczesną naukę — oraz na świadectwie samych dawnych epok, na istotnej niezłożoności sposobu mówienia, myślenia i odczuwania, uwydatnionego tylokrotnie w kronikach, notatkach, napisach pomnikowych itd. I oto tu właśnie stajemy w obliczu największego nieporozumienia. O czym bowiem naprawdę świadczą przede wszystkim te niezłożone w swym ujmowaniu przeżyć pomniki przeszłości: naiwne napisy, suche kronikarskie relacje, szablonowe utwory literackie? W pierwszym rzędzie o słabo a nieraz wcale nie rozwiniętej umiejętności w y p o w i a d a n i a swych myśli i uczuć. A w y p o w i a d a n i e i d o z n a w a n i e — to rzeczy całkowicie różne. Czyż posądzimy dziś półinteligenta lub całkowitego analfabetę o niezdolność do odczuwania tych samych pragnień, doznawania tych samych namiętności, co ludzie najbardziej wykształceni? Nie. Tak też rzecz ma się i z tymi, których nieudolność wypowiedzenia się, unieśmiertelniona w kamieniu i na pergaminie, sprymitywizowała w naszej opinii ich psychikę i zwęziła granice ich życia wewnętrz-

[1]) Teza przykładowa: „każdy szofer dzisiejszy inteligentniejszy jest od Dantego!".

nego.[1]) W rezultacie poza *Żywotem Józefa* Manna i niektórymi próbami Zweiga mamy w powieści historycznej naszych dni niezwykle sprymitywizowany i zwężony psychologizm.

VI.

Reportażowość, wierne oddanie rzeczywistości jest jednym z naczelnych haseł współczesnej literatury. Uległa mu i beletrystyka historyczna, w pierwszym rzędzie powieść biograficzna. Ambicją jej jest, by nie tylko każda osoba, każda scena, każda chwila i miejsce zdarzenia były całkowicie autentyczne, ale nadto każda reakcja psychiczna, wreszcie każde słowo. Ten ostatni punkt najwięcej jednak budzi zastrzeżeń i nawet Emil Ludwig, poręczając za autentyczność wszystkiego, co się dzieje w jego „Napoleonie", zrobił zastrzeżenie: „wszystko, prócz dialogów". Ostatnio jednak rosyjski emigracyjny pisarz Prawdin w powieści *Carat wali się w gruzy* ręczy także za historyczną autentyczność wszystkich licznych dialogów. W rezultacie więc powieść historyczna XX wieku dąży do tego, by w formie beletrystycznej, a więc przy pomocy narracji, opisu, dialogu, powieściowej kompozycji — dawać wolny od wszelkiej fikcji reportaż z pewnego wycinku przeszłości, a często nie tylko reportaż, ale całe naukowo-essay'istyczne studium o jedynie artystycznej ekspresji i podskórnym nurcie beletrystycznym. Czy jest to droga właściwa, czy odpowiada powołaniu powieści jako sztuki — to kwestia długiej i specjalnej dyskusji. Aktualne natomiast jest zagadnienie, czy jest to w ogóle ideał do zrealizowania. Dopóki tematem naszym są dzieje względnie niedawne, uwiecznione w licznych i szczegółowych źródłach (prasa, korespondencja pamięt-

[1]) Tak samo dałoby się odparować inne argumenty, którymi szermuje antyhistoryzm dzisiejszy: Europa pocz. XIX wieku w dobie rewolucyjnej i napoleońskiej także napewno, jak i dzisiejsza, odczuwała, że tworzy historię, nieporównaną z niczym przedtem; co więcej, tworzyli i podziwiali powieść historyczną, jak i cały właściwie romantyzm, także „nowi ludzie" ze świeżo podniesionej z upośledzenia sfery mieszczaństwa! A jednak upojenie świeżym zwycięstwem nad feudalizmem nie przeszkadzało burżuazji upajać się wyidealizowaną przeszłością tego feudalizmu.

niki) — autentyzm całkowity jest może do zrealizowania, ale im dalej w głąb wieków, tym trudniej o szczegółowe, a nieraz nawet o autentyczne dane; ułamkowe źródła pozostawiają liczne luki w ciągłości historycznej relacji. W rezultacie albo musi autor luki te wypełniać dziełem wyobraźni twórczej, albo zrezygnować ze stworzenia powieści, ograniczając się do publicystycznego essay'u, jak Jakub Wasserman w książce o Kolumbie *(Don Kichot Oceanu)*, o którym nie miał tyle materiału, co o Stanley'u np. *(Bula Maturi)*, by stworzyć swe drugie arcydzieło biografii o podskórnym nurcie beletrystycznym.

VII.

Powieść historyczna w Polsce Odrodzonej w dużej mierze — na mniejszą co prawda skalę — podziela losy tego rodzaju literackiego w całej Europie. Zupełnie tak samo więc, jak na Zachodzie, da się zauważyć ogromne obniżenie poziomu osiągnięć artystycznych na tym polu, tym jaskrawsze w zestawieniu z epoką poprzednią, która po walter-scottyzmie i sarmatyzmie (Bernatowicz, Kraszewski, Rzewuski, Kaczkowski) weszła na wyżyny o skali europejskiej w całym (z wyjątkiem *Na polu chwały*) dorobku historyczno-powieściowym Sienkiewicza, w *Faraonie* i w *Popiołach*. Dziś do wyżyn tych nie dochodzi ani Choynowski, ani Wołoszynowski, ani nawet najwybitniejsza ze wszystkich Zofia Kossak-Szczucka. Jeśli chodzi o nowoczesne prądy, nadające ton europejskiej dzisiejszej powieści historycznej, to aktulizacja przeszłości odbija się w naszej literaturze względnie najsłabszym echem, a i w rzadkich tych wypadkach nie wypada to zbyt szczęśliwie. Za przykład może posłużyć problem walki o wzmocnienie władzy politycznej *w Czerwonych tarczach* Iwaszkiewicza, stanowiących zarazem wprawdzie bardzo piękną stylizację epoki, ale także, niestety, zupełnie nieudaną próbę zastosowania nowoczesnej analizy psychologicznej do psychiki XII-wiecznej. W zakresie powieści biograficznej, a raczej biografii upowieściowanej znakomitym osiągnięciem artystycznym jest *Oskar Wilde* Parandowskiego, ale niestety, essay to raczej, niż powieść — jakiej u nas właściwie jeszcze się nie uprawiało,

poza jednym, a i to nie całkowicie odpowiadającym kanonom *de la vie romancée,* wyjątkiem: *Słowackim* Wołoszynowskiego. Poza tym większość polskich współczesnych powieści historycznych to wszystko stylizowane, nieraz bardzo udatnie, i — zazwyczaj archaizowane studia obyczajowe czy językowe — raczej niż powieści. Rewizjonizm na wzór pisarzy sowieckich — a więc rewizja dziejów pod kątem walki klas — znalazł swego przedstawiciela w *Kordianie i chamie* L. Kruczkowskiego, powieści o dosyć znacznych walorach artystycznych, ale chybiającej w przeprowadzeniu nawet własnej, klasowej historiozofii na skutek przesadnego zacieśnienia, a zarazem i sfałszowania obrazu epoki. Historiozofia również — tym razem chrześcijańska katolicka — leży u podstaw najwybitniejszej współczesnej polskiej powieści historycznej: *Krzyżowcy* Zofii Kossak. Autorka wprawdzie też nie zawsze konsekwentnie przeprowadza swą historię (np. typowo materialistyczne ujęcie problemu Św. Włóczni), w zasadzie przecież daje sugestywną wizję Kościoła, jako głównego motoru postępu kulturalnego i społecznego — jako obrońcy humanitaryzmu, pierwszego rzecznika emancypacji kobiet i wyrozumiałego przewodnika skłonnej do upadku natury ludzkiej. Niewątpliwie dziedziczka ducha i stylu sztuki sienkiewiczowskiej, nie dorównuje jej jednak Zofia Kossak darem wyobraźni twórczej i talentem kompozycyjnym, choć nieraz oczaruje godną najlepszych ustępów *Quo vadis* plastyką obrazowania. Temat przez autorkę wybrany, jej głęboka erudycja w dziedzinie archeologii i historiografii niepolskiej — po europejsku, intelektualistycznie pojęta historiozofia katolicka, wreszcie wielkiej miary oddech epicki — wskazują, że polska powieść historyczna znów zaczyna dojrzewać do rywalizacji i zarazem współdziałania na tym polu z Zachodem.

Teodor Parnicki.

Drogi Polskiej Partii Socjalistycznej.

W dniach 31. I. — 2. II. 1937 roku odbył się w Radomiu XXIV Kongres partyjny Polskiej Partii Socjalistycznej. Kongres ten odegra w rozwoju tej partii rolę przełomową. Twierdzą tak sami pepesowcy i jest tak moim zdaniem w rzeczywistości. A nie tylko dlatego, że Kongres ten uchwalił nowy program partyjny, ale również z tego powodu, że ostatecznie wyjaśnił drogi rozwojowe po których PPS zamierza kroczyć. Przebieg i uchwały tego Kongresu ustaliły z względnie dużą jasnością i wyrazistością taktykę PPS na najbliższy okres historyczny.

Już z tego choćby względu należy poddać analizie nowe drogi PPS i wysnuć wnioski co do roli tej partii w teraźniejszości i najbliższej przyszłości Polski.

Zachowując zasadniczy krytycyzm w odniesieniu do ruchu socjalistycznego i do PPS, postaram się oprzeć swoje uwagi na możliwym obiektywizmie, w pierwszej linii na sprawozdaniach oficjalnych, ogłoszonych przez PPS.

I. Taktyka PPS.

Nastroje panujące obecnie w PPS oddał, zdaje się szczerze, p. M. Niedziałkowski, pisząc w *Robotniku* w przededniu Kongresu radomskiego:

> Czujemy się dzisiaj silni i zwarci, silniejsi i bardziej zwarci, niż przed paroma laty. Jesteśmy w Polsce czynnikiem dużym. Chcemy stać się czynnikiem decydującym.

Na samym Kongresie panowała atmosfera ofensywna, mniejsza o to czy nastrój ten płynął z głębokiej wiary

w słuszność sprawy czy też był wytworzony sztucznie — z daleka trudno tę kwestię rozstrzygnąć. Prawie każdy z mowców twierdził, że PPS przechodzi z pozycji obronnej do ofensywnej. Zawiodły więc i zdaje się na dość długo, rachuby, politycznych przeciwników PPS z prawa i z lewa, że na Kongresie radomskim dojdzie, o ile nie do otwartego rozłamu, to przynajmniej do gwałtownych walk dwóch kierunków w partii: demokratycznego i tzw. jednolitofrontowego.

Ci, którzy na taki rozłam czy walki wewnętrzne w PPS liczyli, nie wzięli pod uwagę faktu, że socjalizm wszędzie, również w Polsce, znajduje się na silnie zagrożonej pozycji, z jednej strony przez odrodzone masowe ruchy narodowe (które socjaliści, w ślad za komunistami, nazywają generalnie faszystowskimi), a z drugiej strony przez ruch komunistyczny, inspirowany przez czerwoną Moskwę.

Dla obrony zagrożonej pozycji konieczna jest więc jedność przynajmniej zewnętrzna. Przy tym uwzględnić trzeba ważną okoliczność, iż zarówno tzw. faszyzm, jak i komunizm biją socjalistów nie po linii rozłamów wewnętrznych. Wszak u nas w Polsce, narodowcy walczą z PPS jedynie na szerokim froncie ideologiczno-programowym, usiłując co najwyżej wywołać rozdźwięki między polskimi socjalistami a żydami. Jest to zresztą zadanie niewykonalne; świadomego bowiem socjalisty, który przecież nadaje kierunek polityczny partii, nie można „wziąć" na antysemityzm, bo sam socjalizm jako ideologia i interesy polityczne współczesnego ruchu klasowo-socjalistycznego są jak najściślej związane z duchem i interesami żydowskimi.

Komuniści zaś, w myśl swej nowej taktyki, wolą tkwić wewnątrz ruchu socjalistycznego, a szczególnie w kierowanych przez ten ruch związkach zawodowych i zdobywać sobie coraz więcej zwolenników faktycznej z nimi współpracy. Jedynie czynnikom tzw. sanacyjnym mogłoby zależeć na rozbiciu PPS. Ale i tu wyniki byłyby wątpliwe, po nieudanych doświadczeniach z Moraczewskim i Jaworowskim w 1928 roku. Zresztą w czasie, gdy wszystkie bez wyjątku elementy opozycyjne są przekonane, że wstąpiliśmy w okres likwidacji systemu „sanacyjnego", próby

rozłamowe z tej strony byłyby z góry skazane na niepowodzenie.

Siła PPS to nie tylko cyfry ilości członków partyjnych. Zresztą władze kierownicze PPS dyskretnie przemilczają te ilości. Podstawową siłę PPS stanowią klasowe związki zawodowe. Ze słów p. Kwapińskiego, prezesa Komisji Centralnej Kl. Zw. Zaw. i przewodniczącego XXIV Kongresu PPS wynika, że związki te liczą w chwili obecnej 425.000 członków, gdy jeszcze trzy lata temu liczyły tylko 200.000 członków. Przyjmując nawet, że związki te poważnie wzrosły po wejściu do nich komunistów, co dokonało się w okresie 1936 roku oraz, że podana cyfra 425 tysięcy obejmuje również robotników żydowskich, kierowanych głównie przez żydowską partię socjalistyczną „Bund", to przyznać należy, że wobec względnie małej ilości zatrudnionych w Polsce robotników, siła ilościowa jest dość znaczna. Przy tym, jak wykazało dotychczasowe doświadczenie, element robotniczy, zorganizowany w klasowych związkach zawodowych, jest naogół zdyscyplinowany i zazwyczaj bardziej radykalny niż element zorganizowany we właściwej partii socjalistycznej.

W rozważaniach i uchwałach Kongresu przebija wyraźna dążność do nawrotu do koncepcji Centrolewu z r. 1930. Atoli sytuacja zmieniła się w Polsce od tego czasu dość radykalnie. Centrolew stanowił wówczas konglomerat centrowo-lewicowych partii opozycyjnych dążących do obalenia rządów marszałka Piłsudskiego, przez akcję parlamentarną popartą masowym ruchem pozaparlamentarnym.

Obecnie nie ma przede wszystkim rządów śp. Piłsudskiego, a przy władzy są już tylko epigoni Marszałka, którzy — jak to sami przyznają — nie mają, czy nie znaleźli jeszcze, oparcia w masach narodu. Nadto akcja parlamentarna jest dla partyj opozycyjnych dziś niemożliwą, bo partyj tych w ogóle w Sejmie nie ma.

I wreszcie szereg partnerów byłego Centrolewu zupełnie prawie utracił swoje znaczenie wpływowych partyj, że wspomnę o NPR czy Ch. D. Taktyczna zatem koncepcja politycznej akcji wygląda obecnie inaczej:

Kongres, stojąc na stanowisku frontu chłopsko-robotniczego z udziałem PPS i Stronnictwa Ludowego, poleca CKW umacnianie

tego współdziałania mas chłopsko-robotniczych przede wszystkim w akcji za rozwiązaniem Sejmu i nowymi wyborami. [1])

O tym, że PPS zamierza dziś wiązać się wyłącznie czy przede wszystkim ze Stronnictwem Ludowym mówiło wielu mowców na Kongresie. Sojusznik ten wydaje się być realnym i pewnym. Świadczy o tym list kierownika Stronnictwa Ludowego, z podpisem prezesa Rataja i sekretarza naczelnego Grudzińskiego, skierowany do Kongresu PPS, w którym m. in. czytamy:

Jakkolwiek na równi z Wami zdajemy sobie sprawę z tego, iż jako ruchy samodzielne, oparte na odmiennych przesłankach ideologicznych, różnimy się z konieczności w poglądach na wiele zagadnień, to jednak nie zamykamy oczu na fakt, iż są także sprawy równie bliskie Wam i nam, o które walczyć razem nie tylko chcemy, ale i musimy. [2])

Niedawny Kongres Str. Ludowego nakreślił też taktykę zgodną w głównych zarysach z uchwaloną taktyką PPS.

Ale nie tylko ze Str. Lud. chce się PPS łączyć w walce z „faszyzmem" w obronie „demokracji". Jak mówił referent komisji, która opracowała platformę polityczną, a przy tym kierownicza osobistość w CKW PPS p. Zaremba:

Wszystkich, którzy przyjdą na naszą platformę przebudowy społecznej, politycznej, przyjmiemy, żeby zdobyć rząd robotniczo-chłopski. [3])

O k o g o chodzi p. Zarembie widać z poprzednich zdań w tym samym przemówieniu:

Były tutaj zarzuty, że nastawiamy się tylko przeciw endecji, że mniej mówimy o „sanacji". Jest to zrozumiałe. O trupie mówi się mniej. Niektórzy mówią, że całą „sanację" można traktować jako jedną masę reakcyjną. W rzeczywistości tak nie jest.

A drugi mówca p. Zdanowski, sekretarz Komisji Centralnej Kl. Zw. Zawodowych przestrzega, iż

---

[1]) Platforma polityczna XXIV Kongresu PPS — patrz *Robotnik* Nr 37 z 5. II. 1937 r.

[2]) *Robotnik* Nr 32 z 31. I. 1937 r.

[3]) *Robotnik* Nr 36 z 4. II. 1937 r.

...nie należy lekceważyć „sanacji", która ma w swoich rękach aparat administracyjny

i wyciąga wniosek:

Nie wolno upraszczać stosunku do ewentualnych sojuszników i lekceważyć ich. [1])

O ewentualnej przydatności względnie nieprzydatności komunistów jako sojuszników taktycznych PPS mówić będę później.

Za najbliższe więc zadanie taktyczne wytknęli sobie socjaliści likwidację systemu „sanacyjnego" i walkę z „narodowym faszyzmem", co w pojęciu PPS oznacza w pierwszym rzędzie walkę ze Stronnictwem Narodowym. Ciekawe jakimi metodami chcą likwidować ten „system". Wyraźnej na to odpowiedzi udzielił p. Garlicki, kierownik centralnego wydziału młodzieży PPS:

Przewrót to długotrwała wojna domowa. Przeprowadzenie wyborów, to szanse ocalenia kraju przed wojną domową. Ale jeśli egoizm i ślepota rządzących będą tak wielkie, że nie pozwolą na swobodne rozstrzygnięcie przez masy o swoich losach, wtedy klasa robotnicza nie cofnie się przed żadną ewentualnością. [2])

Wyraźnie tu zawartej groźby nie osłabia uchwała taktyczna Kongresu, mocno podkreślająca, że „uczciwe, czyste i demokratyczne wybory" są jedynym wyjściem. Bo, jak znamiennie zaznacza p. adw. Garlicki nawet „przeprowadzenie wyborów" daje tylko s z a n s e ocalenia kraju przed wojną domową, nie zabezpieczając wszakże kraju radykalnie przed taką wojną, tym bardziej w tej niekorzystnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej w jakiej Polska znajduje się obecnie.

Co do tego, że g ł ó w n e u d e r z e n i e ma być skierowane przeciw „narodowemu faszyzmowi" w polityce wewnętrznej i przeciw faszyzmowi, w pierwszym rzędzie hitleryzmowi, w polityce zagranicznej, nie było na Kongresie żadnych różnic zdań.

---

[1]) *Robotnik* Nr 37 z 5. II. 1937 r.

[2]) *Robotnik* Nr 36 z 4. II. 1937 r.

Taktycznie PPS uderza w innych swoich przeciwników o tyle tylko o ile ci popierają głównych w tej chwili jej wrogów. Bije więc PPS w kler katolicki, bo rzekomo jest „endecki" i „prohitlerowski". Wojowniczo też traktuje tych piłsudczyków, którzy wypowiadają się za jednością narodową i wyzwalaniem się od nadmiaru i ujemnych wpływów żydowstwa (grupa legionowa jak posłowie Miedziński, Dudziński, Budzyński, Hoppe i inni) oraz za pokojowym współżyciem z Niemcami (p. minister Beck).

Z planu więc taktycznego PPS wyziera następująca strategia walki: PPS będzie mobilizować masy robotnicze i pracownicze, w sojuszu z masami chłopskimi, zjednoczonymi w Stronnictwie Ludowym, przeciw „narodowemu faszyzmowi" w walce o demokrację i bliżej nieokreśloną przebudowę społeczną. Tym ostatnim frazesem osłania się myśl o przebudowie ustroju w duchu i na założeniach Marksa. Otwarcie bowiem nie można mówić o socjaliźmie, ze względu na antysocjalistycznych włościan, których się pragnie pozyskać. Liczą przy tym wodzowie socjalizmu na dwojakiego rodzaju ułatwienia. Po pierwsze na ułatwienie ze strony tzw. sanacji, ze względu na jej wrogość do tzw. endecji, przede wszystkim zaś ze strony tych sfer sanacji, które piszą się całkowicie na tzw. „demokratyczny front". Po drugie ze strony tych czynników zagranicą, które również widzą w faszyzmie, głównie hitleryzmie, swego najważniejszego wroga. Subiektywnie PPS myśli tu o tzw. państwach demokratycznych jak Francja, Czechosłowacja itp.

Że żydzi zarówno krajowi, jak i rozsiani na całym świecie dają swój placet na taką właśnie strategię walki to rzecz całkowicie jasna, wszak hasła te rozbrzmiewają głośno z łamów prasy żydowskiej tak polskiej jak i żargonowej.

Na tym tle chce PPS wywołać wielki, polityczny ruch masowy, który zmusi obóz rządzący do rozpuszczenia Izb Ustawodawczych i do rozpisania demokratycznych wyborów, w wyniku których partie nowoczesnego Centrolewu doszły by do władzy. Gdyby zaś rząd wyborów takich nie zarządził, wówczas może nastąpić realizacja gróźb p. Garlickiego.

II. Nowy program PPS.

Najważniejszym bezwątpienia wypadkiem XXIV Kongresu PPS było jednomyślne uchwalenie nowego programu partyjnego. [1])

„Nowy program PPS — zapowiada p. Niedziałkowski — będzie — pod względem ideologicznym — punktem wyjścia dla dalszej naszej propagandy masowej". [2]) Jest to dokument, który obok zasad ideologicznych i celów wytycznych polskiego socjalizmu, zawiera balast haseł i żądań natury propagandowo-agitacyjnej. Obok więc „prawd wiary" są również kłamstewka, obliczone na zdobywanie mas.

Po krótce streszczę najistotniejszą treść tego nowego programu PPS.

We wstępie czytamy znamienne wyznanie wiary:

> W łączności z masami pracującymi całego świata Polska Partia Socjalistyczna dąży do utworzenia Polskiej Rzeczypospolitej Socjalistycznej z wszystkich ziem polskich złożonej, złączonej z innymi Republikami Socjalistycznymi węzłami stałego pokoju i ścisłej braterskiej współpracy gospodarczej, politycznej i kulturalnej.

Można zrobić dwie uwagi na marginesie tego wyznania wiary. 1. Do socjalistycznej republiki chce PPS dojść w łączności z masami pracującymi całego świata. Chodzi zatem o klasowy internacjonalizm, stający w rażącej sprzeczności z deklarowaną „samodzielnością polityki PPS". 2. Jak dotąd i chyba na dłuższą przyszłość te „inne Republiki Socjalistyczne" to chyba jedynie — Związek Socjalistycznych Sowieckich Republik, czyli po prostu Rosja bolszewicka. Ładna więc roztacza się perspektywa: „złączenie węzłami" i „ścisłej braterskiej współpracy", bo w tych „węzłach" i „ścisłej braterskości" Polska, nawet socjalistyczna,

---

[1]) Nie rozporządzam niestety ostatecznym tekstem uchwalonego programu. Do dziś dnia (21 lutego) tekst programu PPS nie został ogłoszony. Opieram się więc jedynie na artykułach *Robotnika* z przed Kongresu i po jego zakończeniu, dalej na streszczeniu referatu programowego p. red. Niedziałkowskiego oraz na zgłoszonym przez CKW PPS „Projekcie Programu", który uległ na Kongresie tylko nieznacznym poprawkom.

[2]) *Robotnik* Nr 42 z 9. II. 37 r.

udusić się może i... musiała by się udusić. Taki tylko jest o b i e k t y w n y sens tego programowego wstępu.

Rozdział I programu traktuje o „u p a d k u k a p i t a l i z m u". Mamy tu do czynienia z popularyzacją czy może raczej wulgaryzacją wielokrotnie już wyłożonego stanowiska marksowskiego, m. in. w programie Kominternu z r. 1928, pióra obecnego więźnia bolszewickiego — Bucharina. Negatywna krytyka kapitalizmu jest częściowo słuszna, ale ogranicza się do materialistycznego oświetlenia problemu. Moralne i kulturalne załamanie doby współczesnej ma wynikać z gospodarczego kryzysu. Że może być (i dodajmy od siebie — jest) odwrotnie pozostaje dla marksisty, nawet tak niekonsekwentnego i niedouczonego jak p. Niedziałkowski, rzeczą niepojętą.

Grzeszy przy tym program PPS zbytnią jednostronnością i sztywnością. Przyjmijmy twierdzenie, że kryzys jest strukturalny, ale czy z tego wynika, że w ramach gospodarki prywatnej — co socjaliści niesłusznie utożsamiają i generalizują jako kapitalizm — nie ma już możliwości rozwojowych? I to pisze się w kraju takim, jak Polska, gdzie właściwy twórczy kapitał w ogóle jeszcze nie miał możności pokazania czego potrafi dokonać w dziedzinie gospodarczej! Twierdzi się tak w czasie, gdy mówiąc oględnie, kryzys gospodarczy jest już w stanie częściowej likwidacji, gdy oznaki rekonwalscencji gospodarczej są coraz powszechniejsze i widoczniejsze!

Bodaj że rację miał lewicowo nastrojony PPSowiec p. J. Krzesławski, gdy pisał przed Kongresem:

> Jedyne, co można zarzucić naszemu nowemu programowi, że autorzy jego, zapatrzeni w przeobrażenie się świata, za mało uwagi poświęcają naszej polskiej rzeczywistości. [1])

Słusznie też wzdychał:

> Chciałoby się widzieć więcej analizy polskich stosunków, ujrzeć w przekroju polskie stosunki polityczne, społeczne i gospodarcze. Wszak program jest pisany dla polskiego proletariatu.

Drugi rozdział o „s i ł a c h k l a s o w y c h" kładzie szczególny nacisk na zagadnienie społecznych warstw po-

[1]) *Robotnik* z dn. 24. I. 1937 r.

średnich, na zjawisko stałego bezrobocia i na położenie jakby bez wyjścia młodzieży, która nie znajduje miejsca w produkcji i w życiu twórczym w ogóle.

Analiza sił klasowych jest w przybliżeniu zgodna z rzeczywistością okresu kryzysu gospodarczego. Powstaje pytanie czy program uchwalony w czasie kończącego się kryzysu mógł się zatrzymać przy tak czasowo ograniczonej analizie? Nawet jako narzędzie propagandowe, może w bliskiej przyszłości okazać się zupełnie nieprzydatny. Dalekowidztwem autorzy w każdym razie nie mogą się pochwalić. „Marksowska metoda myślenia", którą się szczyci p. Niedziałkowski [1]) jakoś zupełnie zaciemniła szersze widnokręgi historyczne.

Przy „odkryciu" istnienia klas średnich autor programu p. Niedziałkowski, mimochodem przyznaje się do częściowego bankructwa teorii marksistowskiej. Według Marksa rozwój koncentracyjny kapitalizmu musi doprowadzić do zaniku klas średnich i do pozostawienia na arenie dwóch jeno klas: burżuazji i proletariatu. Życiowa rzeczywistość obaliła tę rzekomą „prawdę", głoszoną w imię „nauki".

Temu ortodoksyjno-marksistowskiemu stanowisku przypisuje p. Niedziałkowski winę, że niemiecka, włoska itp. socjal-demokracje, nie zauważyły klas pośrednich i dały się wyprzedzić faszystom w mobilizacji tych właśnie klas dla realizacji swoich celów. PPS jakoby w porę zauważyła klasy pośrednie i skierowanie energii tych klas w łożysko walki antykapitalistycznej i antyfaszystowskiej ma odtąd stanowić najważniejsze zadanie PPS.

„Kryzys kulturalny", o którym traktuje trzeci rozdział programu, ma być wynikiem bezpośrednim kryzysu społeczno-gospodarczego. Stanowisko dostosowane do poziomu jakiegoś administracyjnego dyrektora teatru. „Ludzie nie chodzą do teatru — bo nie mają pieniędzy. Oto sens kryzysu teatralnego i kryzysu kulturalnego". Że taki poziom rozumowania może wystarczyć w programie partii socjalistycznej świadczy tylko o tym, jak „bogatą i głęboką" jest „marksowska metoda myślenia".

---

[1]) *Robotnik* Nr 43 z 10. II. 1937 r.

W tym rozdziale znajdujemy również taką „prawdę":

Runęło wiele pojęć i pewników etycznych, które uchodziły za fundament moralności współczesnej. Przyczyniły się do tego walnie kierownictwa kościołów chrześcijańskich, gotowe z reguły na wszelki kompromis, byle osiągnąć lub zachować bezpośrednie korzyści materialne. Tak samo postępują kościoły innych wyznań.

Szkoda, że program nie przytacza argumentów i przykładów. Ufajmy, że uczyni to komentarz p. Niedziałkowskiego. Liczba mnoga tych „kościołów chrześcijańskich" i „kościołów" innych wyznań (chodzi chyba o synagogi i meczety?) utrudnia wyjaśnienie tej kwestii.

Żyjemy w Polsce, program to zatem polskiej, z nazwy i większości składu narodowościowego, partii. Przytłaczająca większość Polaków to katolicy. Mowa więc chyba przede wszystkim o Kościele katolickim. Przeszukałem w głowie i sumieniu wszystkie podstawowe „pojęcia i pewniki etyczne" katolicyzmu i jakoś nie mogę znaleźć tych odstępstw czy kompromisów dokonanych przez kierownictwo naszego Kościoła.

A może autorzy myślą np. o etyce małżeńskiej i o stanowisku katolicyzmu co do sakramentalności, czystości, nierozerwalności małżeństwa? Od dwudziestu prawie wieków Kościół nie zmienił ani jednego przecinka w tym podstawowym zagadnieniu, opierając się niezłomnie na zasadach ogłoszonych przez Chrystusa Pana. A ileżby to „bezpośrednich korzyści materialnych" można było uzyskać przez udzielanie rozwodów i wciąż nowych ślubów? Warto, by to sobie socjaliści dokładnie zechcieli obliczyć...

I jeszcze jedno. Należało ten punkt programu uprzednio uzgodnić z „towarzyszem - teologiem" Czapińskim, specem od „walki antyklerykalnej" w PPS. Wszak całe lata walczy ten publicysta z Kościołem katolickim właśnie o to, że katolicyzm jest zbyt konserwatywny, że nie chce iść na kompromisy ze współczesnością itp., a tu nagle program PPS „bije" w kierownictwo Kościoła za kompromisowość etyczną i brak konserwatyzmu. Coś tu nie jest w porządku. Program przecież nie może być jak ten mówca wiecowy, który uderza słowami gdzie popadnie, licząc na głupotę i niepamięć tłumu

bezkrytycznych, bo podnieconych słowami i gestami agitatora, słuchaczy.

Rozdział czwarty rozprawia o „faszyzmie", a więc o głównym wrogu socjalizmu dnia dzisiejszego. Definicja faszyzmu jest prawie w zupełności przepisana z programu Kominternu. Z jednej strony jest to „narzędzie w rękach oligarchii wielko-kapitalistycznej", z drugiej zaś jest wyrazem buntu warstw tzw. pośrednich, buntu bezrobotnych i półbezrobotnych, młodej inteligencji i wszelkich grup zdeklasowanych przeciwko otaczającej rzeczywistości. Znowu występuje tu punkt widzenia wyłącznie klasowy. O jakimś ruchu odrodzeniowym mas w kierunku narodowym i religijnym, o rozczarowaniu się tych mas do zwyrodniałych metod panowania demokratyczno-liberalnych i partyjnego parlamentaryzmu, o samoobronie narodów przeciw zarazie przewrotu komunistycznego, o tęsknocie do wielkiej przebudowy społecznej w kierunku nie socjalistycznym lecz chrześcijańskim, w kierunku powszechnego uwłaszczenia i wielu podobnych zjawiskach nasza PPS nie słyszała albo raczej słyszeć nie chce.

Twierdzi program, że

> Faszyzm reprezentuje najbardziej prymitywną i wulgarną ideologię nacjonalizmu, nienawiści rasowej oraz imperializmu, reprezentuje do setnej potęgi wszelkie objawy okrucieństw, sadyzmu, zdziczenia w życiu kulturalnym gasnącego ustroju.

Przypomina mi się przy tym mowa sowieckiego komisarza ludowego dla spraw zagranicznych Wałłacha-Litwinowa na ostatnim, ósmym Kongresie Sowietów, w której to mowie dał taką charakterystykę faszyzmu, że według trafnej uwagi jednego z polskich dziennikarzy, była ona w 100% charakterystyką bolszewickiego reżimu!

Nie chcę przez to bynajmniej twierdzić, że wszystko, w faszyzmie a tym mniej w hitleryźmie jest w porządku. Ale socjal-demokraci, choćby dla równowagi powinni byli zauważyć, że bolszewizm „reprezentuje do tysięcznej potęgi wszelkie objawy okrucieństw, sadyzmu, zdziczenia" i to nie tylko wobec wrogich sobie ludzi, ale wobec własnych zwolenników, w czymkolwiek nie zgadzających się z kliką panujących oligarchów. To też jedynie chyba na karb ducha

ofensywy panującego w PPS można położyć takie nieostrożne a przynajmniej zbyt wczesne proroctwo:

Katastrofa ideowa i praktyczna faszyzmu jest dzisiaj faktem dokonanym.

Ideowy program, powinien przecież choć troszkę różnić się od ulotki przedwyborczej...

W piątym rozdziale jest mowa o ruchu socjalistycznym. Program twierdzi, iż Polska znalazła się jednak — wbrew własnym interesom życiowym — w orbicie, w łożysku „faszystowskiego" prądu, że „Obóz sanacyjny" stanowi jedną z tych form faszystowskiego panowania. Zaś obóz tzw. narodowy naśladuje niewolniczo idee i sposoby działania hitleryzmu. Wniosek z tych przesłanek jest taki:

Zadanie naczelne PPS polega więc na powstrzymaniu i przełamaniu postępów prądu faszystowskiego w Polsce.

Droga wytyczna przez program prowadzi ruch socjalistyczny po przez przezwyciężenie faszyzmu do demokracji i gospodarki planowej, które swoją drogą poprowadzą Polskę do „szczęśliwej przystani" i celu ostatecznego — do ustroju socjalistycznego. Możnaby tu dodać, iż błogosławieństwo realizacji tego ustroju widzimy w ZSSR.

Szósty rozdział określa „rolę proletariatu", a mianowicie proletariat to „awangarda wszelkich mas ludowych". Czyli innymi słowy sławetna leninowska idea hegemonii proletariatu w ruchu rewolucyjnym. Inteligencja pracująca, włościanie, młodzież itd. mają być kierowani przez „proletariat" w tym celu, żeby walka była konsekwentna i koniecznie doprowadziła do socjalizmu. I podobno niektórzy działacze Str. Ludowego godzą się na tę taktykę, tak przynajmniej zapewniają naiwnych przywódcy PPS. O naczelnym haśle władzy, o „rządzie robotniczo-włościańskim" traktuje VII rozdział programu. Mimo wielokrotnych w programie zaklęć, że demokracja, wolność itp. to istotna droga PPS, znajdujemy w tym rozdziale szermowanie dyktaturą proletariatu. Cytuję projekt programu:

Tylko silna władza państwowa może przełamać skutecznie opór ze strony klas dzisiaj panujących, przełamać ponowne próby

cofnięcia wstecz biegu zdarzeń, zlikwidować szybko skutki rządów faszystowskich tam, gdzie one przed tym istniały.

...Rząd ten po przełamaniu sił reakcji i faszyzmu wszelkimi rozporządzalnymi środkami, nawet gdyby one musiały w okresie przejściowym przybrać charakter czasowej dyktatury...

Rząd ten może powstać tylko w wyniku masowej walki robotników i chłopów oraz przezwyciężenia w masach iluzji, że jakakolwiek siła potrafi w ramach ustroju kapitalistycznego poprawić ich los, bez zupełnego odrzucenia i złamania władzy klas posiadających w Państwie.

Na marginesie tych cytat trzeba zauważyć: 1) Również bolszewicka dyktatura proletariatu jest według zapewnień bolszewików „czasową" (cóż to zresztą w naszym ziemskim życiu nie jest czasowym?). 2) Do „klas posiadających w państwie" należą również włościanie, rzemieślnicy itd., i ich władza więc musi podlegać „zupełnemu odrzuceniu i złamaniu"?

Nie wiem czy Kongres uwzględnił przestrogi chorego przewódcy PPS p. Żuławskiego, który w liście do Kongresu zatytułowanym „Nie wolno zacierać granicy między demokracją, a dyktaturą" pisał:

...ostatnia dyskusja przedkongresowa w prasie przejęła mnie poważną obawą przed powtórzeniem dyskusji i uchwał ostatniego Kongresu [1]) w sprawie dyktatorskiego charakteru rządu robotniczo-chłopskiego, — dyskusji, która wywołała tyle namiętności i sporów.

Uchwała odnośna, podjęta w momencie głębokiego zawodu politycznego i ciężkich ciosów, spadających na Socjalizm, była raczej wyrazem szukania dróg d l a z d o b y c i a s i ł y, a nie wyrazem przekonania o słuszności dyktatorskiego systemu rządzenia...

...Ale mylą się ci, którym się zdaje, że tę pożądaną siłę znajdą w dyktaturze...

...i pod żadnym warunkiem nie wolno stwarzać jakichś sprzecznych samych w sobie koncepcyj o rządach „dyktatorskich", posiadających cechę „zdrowej męskiej demokracji". Albo demokracja i wolność — albo dyktatura i gwałt.

Nie zapominajmy, że nawet komuniści, uznający zasadniczo dyktaturę — chcąc znaleźć siłę — musieli szukać jej w demokratycznym froncie ludowym, wyrzekając się (?) swych zasad dyktatorskich. [2])

---

[1]) W r. 1934; — uw. autora.

[2]) *Robotnik* z dn. 31. I. 1937 r.

Jeszcze wyraźniej sformułował sens tych zastrzeżeń o grożeniu dyktaturą, po dojściu do władzy rządu robotniczo-włościańskiego, cytowany już p. Krzesławski:

Skoro nie można dziś przewidzieć stosunków, jakie panować będą nazajutrz po przewrocie, rozważania na ten temat są zbyteczne dla partii, zmuszonej do nieubłaganej walki z dyktaturą i znajdującej w tej walce oparcie moralne o ideały demokracji, nawet szkodliwe. Dla taktyki politycznej, jaką ma dzisiaj prowadzić partia, taki czy inny stosunek do dyktatury proletariatu nie ma żadnego znaczenia.

Snać ze względów taktycznych starsi i doświadczeńsi przywódcy partyjni radzą nie wspominać o straszaku dyktatury. Powtarzam, iż nie jest mi wiadome czy Kongres w imię tych względów taktycznych zmienił przytoczone miejsce projektu programu.

Dalej (rozdz. VIII) idzie „p l a n p r z e b u d o w y". Mamy tu „obalenie przywilejów klasowych szlachty (?), fabrykantów i bankierów", wywłaszczenie wielkiej własności obszarniczej [1]) na rzecz tych, którzy na niej pracują, to znaczy robotników rolnych; „wywłaszczenie i uspołecznienie wielkich warsztatów pracy i wielkiej własności w miastach"; „złamanie władzy kapitału finansowego" i „przejęcie jego agend przez władzę państwową".

To są cele i zasady socjalistycznego planu przebudowy społecznej.

W dziedzinie finansowo-kredytowej plan ten przewiduje zamaskowaną inflację pieniężną. Wniosek p. Grossa, byłego senatora, o otwartej inflacji i dewaluacji — kongres odrzucił, znowu ze względów taktycznych.

Jest też w tym planie postulat „całkowitego monopolu państwowego w wymianie towarowej i walutowej z innymi państwami".

W dziedzinie rzemiosła, obok postulatu „zachowania samodzielności gospodarczej d r o b n y c h warsztatów mamy ograniczenia przez „dostarczanie surowców", przez uspołeczniony czy upaństwowiony przemysł i regulację zbytu

[1]) Program nie wyjaśnia, czy wywłaszczenie to ma nastąpić z odszkodowaniem czy bez wykupu. — Uw. autora.

„w ramach gospodarki planowej" oraz popieranie spółdzielczości rzemieślniczej zamiast chałupnictwa.

Również handel hurtowny ma zostać uspołeczniony i opanowany przez spółdzielczość a „drobny handel — zostanie wciągnięty do planowego gospodarowania".

Są w tym planie rzecz jasna wszelkie dobrodziejstwa z dziedziny ubezpieczeń społecznych, z hasłem „skrócenia czasu pracy, przynajmniej do 6 godzin dziennie" i to nawet dla robotników rolnych i... służby domowej.

Za pomocą swej gospodarki planowej, powyższego planu przebudowy i „wielkich robót publicznych inwestycyjnych" obiecują sobie socjaliści zupełną likwidację bezrobocia.

W rozdziale IX pt. „Dźwiganie nowej kultury" poza znanymi frazesami o „gwarancji praw człowieka", „człowiek niezależny duchowo", „myśl, pracująca swobodnie" itp. żadnej istotnej i nowej treści nie znajdujemy.

Stały we wszelakich marksistowskich programach rozdział o „wolności sumienia" (rozdział X) stawia tę „wolność, jako najbardziej podstawowe prawo obywatela w Państwie". „Religia — sprawą istotnie osobistą jednostki". Państwo ma wkraczać do spraw życia religijnego, gdy „organizacje religijne, kościoły przede wszystkim, stają się — wbrew swemu powołaniu — narzędziem walk społeczno-politycznych" lub „wkraczają na teren życia społeczno-politycznego".

Dwie naczelne zasady polityki religijnej socjalizmu streszcza program w żądaniach 1) „Oddzielenia Kościoła od Państwa", 2) bezwzględnego odsunięcia się kościołów i stowarzyszeń religijnych od udziału w walce społeczno-politycznej. Wynikałoby stąd, że Kościół nie ma nawet prawa łagodzenia walk między ludźmi, co właśnie stanowi jego powołanie.

Znane i stare rzeczy. Wiemy o co chodzi tym zwolennikom „wolności — najdumniejszego słowa ludzkości".

Rozdział XI traktuje o „ustroju politycznym Państwa". Tu program stawia jako ideał „pełną demokrację polityczną" i ustrój parlamentarny, zbudowany na podstawie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Ciekawe jest stanowisko socjalistów w sprawie sił zbrojnych

państwa. Otóż przyswoili sobie marksowskie i bolszewickie hasło „powszechnego uzbrojenia ludu na zasadach milicyjnych". Czując atoli, że jest to hasło „księżycowe", staje PPS na stanowisku, że zanim to „powszechne uzbrojenie ludu" nastąpi, należy „zapewnić armii wszelkie warunki potrzebne do obrony granic". Chociaż i tu warunkiem tego „zapewnienia" przez socjalistów ma być „najściślejszy związek armii z ludem".

Żądają poza tym socjaliści zniesienia kary śmierci i kary dożywotniego więzienia (dla „faszystów" również?) oraz zaprowadzenia sędziów przysięgłych.

W rozdziale XII o „sprawie narodowościowej" program stawia postulat „autonomii terytorialnej" dla obszarów o zwartej większości tych narodów, które stanowią w całym Państwie mniejszość oraz dla obszarów mieszanych narodowościowo.

Ale to autonomiczne rozkawałkowanie Polski widocznie jest dla PPS niewystarczające, bo jak twierdzi program:

> ...w ustroju socjalistycznym wszelkie spory graniczne między Republikami Socjalistycznymi będą rozstrzygane w drodze samookreślenia ludności bezpośrednio zainteresowanej.

Bolszewicka Moskwa nie życzy sobie niczego innego. Zbieżność PPS ze stanowiskiem KPP jest tu zupełna.

W dziedzinie „oświaty" (rozdz. XIII) mamy ogólne, znane postulaty z czołowym żądaniem „obowiązku powszechnego jednolitego świeckiego nauczania w języku dzieci". [1])

Rozdział ostatni (XIV) „o socjalizmie" obiecuje pełne szczęście całej ludzkości. Podkreśloną też została myśl, że „socjalizm przestał być tylko celem; stał się zadaniem praktycznym". Możnaby powiedzieć, iż „stał się rzeczywistością na jednej szóstej części świata — mianowicie w ZSSR". PPS jednak dlatego tego nie mówi, by nie skompromitować przez to społecznie swego nowonarodzonego programu.

Napisałem na początku rozdziału, że uchwalenie programu było najważniejszym bezwątpienia wypadkiem na

---

[1]) Chodzi chyba o język ojczysty? — Uw. autora.

XXIV Kongresie PPS. Najważniejszym i najmniej udanym. Ten program to świadectwo ubóstwa myślowego prowodyrów PPS, a równocześnie znakomita broń do ideowej walki z... socjalizmem w Polsce.

III. Imponderabilia.

Prasa codzienna zajmowała się ostatnim Kongresem PPS głównie z punktu widzenia tarć wewnętrznych. Jest rzeczą jasną, że takie tarcia były i że istnieją również po Kongresie. Ale obiektywnie należy stwierdzić, że tym razem napięcie walk wewnętrznych jest w PPS mniejsze, niż za lat ubiegłych.

Na podstawie dobrych informacji możemy stwierdzić, że grupa stojąca w opozycji do kierownictwa partyjnego (CKW) liczyła na Kongresie około 20 delegatów z głosem decydującym to znaczy jakieś 6% ogółu delegatów. Ma się rozumieć, że na wybór delegatów wpłynął Sekretariat Generalny (p. Puzak) nie zawsze środkami demokratycznymi. Na czoło tej opozycyjnej grupy, nazywanej również „grupą jednolito-frontową" czy „ludowo frontową", wysunęli się pp. Barlicki, Dubois i Wachowicz.

Przede wszystkim różnica zdań tyczy się stosunku PPS do komunistów.

W sprawozdaniach oficjalnych z Kongresu sprawę tę mocno zretuszowano. Nasamprzód p. Jean Longuet, przedstawiciel II międzynarodówki i francuskich socjalistów, wnuk „samego" Karola Marksa, uspokoił Kongres, który w większości był nastawiony przeciw komunistom, że komuniści nie rządzą we Francji. Stwierdził on:

> Wskutek splotu okoliczności komuniści osiągnęli stosunkowo mocny wpływ na „Front Ludowy", ale nie trzeba wierzyć we wszystkie kłamstwa, które prasa burżuazyjna próbuje wmówić w opinię, że komuniści rządzą nim. Jest odwrotnie. Komuniści przyjęli nasz punkt widzenia, ale nie weszli do Rządu tow. Leona Bluma, który ma za sobą olbrzymią większość całego proletariatu Francji. [1])

Oficjalny sprawozdawca CKW p. Arciszewski stwierdził, że stosunek do komunistów

---

[1]) *Robotnik* Nr 34 z 2. II. 1937 r.

jest... już dzisiaj zupełnie jasny. Nieagresja była jednostronna, przestrzegana tylko przez naszą organizację. Ataki komunistów na Partię nie ustały. [1])

Stąd wniosek, że PPS zerwała „pakt o nieagresji" zawarty w rok przed Kongresem z KPP.

O wyraźnej „konieczności walki z komunizmem" mówił bodaj że jedyny p. Hausner, stary działacz PPS z terenu dawnej Galicji. [2])

P. Pragier, b. więzień brzeski rozróżniał komunistów od Rosji.

Jeśli zastanowimy się nad możliwymi sojusznikami w walce, to na rękach komunistów, które wyciągają się do nas — jest krew. Rzeczywistą fizjonomią tego ruchu jest to, co dzieje się obecnie w Rosji Sowieckiej. Natomiast doceniam Rosję, jako czynnik pokoju. [3])

Rozprawił się mocno z komunistami również p. Garlicki:

Komuniści jako kontrahenci, są mniej warci, niż przypuszczamy. Pokażcie akcję, którą by samodzielnie przeprowadzili. Ich „niepodległościowość" jest zwykłym manewrem, demokracja — maską. [4])

Również były „lewicowiec" i b. więzień brzeski Ciołkosz demaskował komunistów oświadczając:

Ale ani my, ani komuniści nie możemy pozbyć się dziedzictwa dziesiątków lat... A przeszłości esdecko-komunistycznej [5]) myśmy nie zapomnieli i komuniści grają fałszywymi kartami, gdy mówią o swym patriotyźmie. Dopiero co wydali komuniści odezwę, gdzie czytamy: „Niech żyje ZSRR — gwarant niepodległości Polski". Dla nas gwarantem niepodległości jest tylko i jedynie polski lud pracujący. [6])

Delegat OKR Warszawy p. Perzyński oświadczył:

Klasa robotnicza Warszawy nie życzy sobie współdziałania w jakiejkolwiek formie z komunistami, którzy są elementem rozkładowym w ruchu. [7])

---

[1]) *Robotnik* Nr 35 z 3. II. 1937 r.

[2]) *Robotnik* Nr 36 z 4. II. 1937 r.

[3]) Tamże. [4]) Tamże.

[5]) KPP wywodzi się z SDKP i L., która zwalczała ideę niepodległości Polski i istniała w latach 1893—1918.

[6]) *Robotnik* Nr 37 z 5. II. 1937 r. [7]) Tamże.

Inny delegat, działacz związków zawodowych p. Piątek uskarżał się, że

Jesteśmy stale pod ich obstrzałem. Jedynie rozumną polityką jest odgrodzenie się od komunistów. [1])

A wreszcie uchwała taktyczna stwierdza

...słuszność powziętej już poprzednio decyzji, odrzucającej możliwość współpracy PPS z partią komunistyczną. Stosunek komunistów do frontów ludowych w ogóle, a do socjalistów w szczególności pozostał i nadal stosunkiem nieszczerym, nieraz w istocie wrogim. Komuniści stosują wciąż swoje metody dywersji w ruchu socjalistycznym, nie cofając się przed podrywaniem autorytetu organizacyj i kierowników socjalistycznych czy zawodowych. W tych warunkach hasło komunistyczne jednolitego frontu — współpraca z socjalistami wszędzie, tylko nie w Rosji — a w Rosji prześladowania i więzienia i zbiorowy mord dokonywany na socjalistach i opozycji komunistycznej — musi być traktowane, jako frazes, za którym kryje się zamiar rozsadzenia ruchu robotniczego i socjalistycznego i osłabienia go w nadziei, że wówczas podda się on komendzie komunistycznej. [2])

Antykomunistyczne stanowisko Kongresu jest tu dość wyraźne, ale ogranicza się do względów taktycznych. Komunistom szczególnie zaszkodziły słynne moskiewskie procesy „antytrockistowskie". Ma się wrażenie, że socjaliści przerazili się perspektywy znalezienia się w objęciach takich sojuszników. A mimo to, jak przekonywuje nas analiza zasad i programu, PPS obiektywnie i faktycznie przygotowuje teren dla komunizmu w Polsce.

Rzecznicy jednolitego frontu z komunistami występowali na Kongresie, przyjmowani z chłodem a nawet wrogimi wykrzyknikami.

Najgorliwszym zwolennikiem współpracy z komuną okazał się sekretarz OKR PPS w łodzi p. Wachowicz. Z jego hurra-rewolucyjnego przemówienia redakcja *Robotnika* usunęła najjaskrawsze momenty. Ale i to co pozostało mówi wiele:

W obliczu niebezpieczeństwa, ciągłej agitacji endecji, wystąpień ulicznych, prowokowania bratobójstwa, przesiąkania na ulicę

[1]) *Robotnik* Nr 37 z 5. II. br.
[2]) Tamże.

robotniczą powinniśmy podjąć hasło: wszystkie siły socjalizmu, demokracji, postępu do walki z faszyzmem sanacyjno-narodowym tak, jak we Francji partie lewicy i środka wspólny język znalazły, jak wspólnie bronią Madrytu.[1])

A młodzieżowy leader (obok Barlickiego) „lewicowej opozycji", b. więzień brzeski i redaktor prokomunistycznego *Dziennika Popularnego* p. Dubois oświadczył:

W zagadnieniu tzw. jednolitego frontu nie chodzi o zawarcie paktu z komunistami. Ale staje przed nami konieczność rozszerzenia platformy walki na wszystkich wrogów reakcji. Nie można rozproszkowywać sił. Dlatego też nie czas na rozprawę z komunistami. Twórzmy jeden front walki z faszyzmem.[2])

To lewicowe stanowisko opłacił p. Dubois utratą mandatu w Radzie Naczelnej Partii, zadowolnić się musiał wyborem do komisji rewizyjnej, chociaż p. Wachowicz, Barlicki, Próchnik i szereg innych „ludowo-frontowców" wybrani zostali do Rady. Ciosem dla grupy lewicowej jest również nowy statut PPS, do którego przyjęto poprawkę CKW głoszącą, iż

Członkowi PPS nie wolno zakładać, prowadzić, ani też redagować wydawnictwa nie partyjnego. Współpraca w pismach niepartyjnych jest dopuszczalna jedynie za wiedzą i zgodą CKW.

Uderza to bezpośrednio w grupę redagującą *Dziennik Popularny* pp. Muszkatenblita, Natansona i Wojciechowskiego. W dołach członkowskich PPS wpływ grupy „lewicowej" jest o wiele silniejszy niż w górach i na Kongresie, o czym świadczyć może choćby taki fakt, jak rezolucja okręgowej konferencji PPS w Piotrkowie-Trybunalskim, która wypowiedziała się za „szerokim frontem robotniczo-chłopskim" i wyrażała „przeświadczenie, że naporowi nacjonalizmu i antysemityzmu faszystowskiego, idącego z Trzeciej Rzeszy, klasa robotnicza Polski może sprostać tylko w porozumieniu z obecną polityką Francji i Rosji" i że w walce z wojną należy bronić nie tylko „zagrożonej niepodległości Polski", lecz również i „twórczej pracy gospodarczej Rosji Radzieckiej".

---

[1]) *Robotnik* Nr 37 z 5. II. 1937 r.

[2]) Tamże.

A platforma polityczna i uchwały Kongresu zupełnie przemilczały ZSRR, na co codzienna prasa słusznie zwróciła uwagę...

Nowością organizacyjną, powstałą już w 1934 r. ale teraz dopiero przez Kongres usankcjonowaną jest tak zwana „Akcja Socjalistyczna", która „grupuje na terenie każdej organizacji partyjnej członków związanych specjalną dyscypliną nieustannej pracy dla Partii i pozostających w stałej dyspozycji Komitetów Partyjnych".

Mamy tu do czynienia z odrodzeniem „bojówki PPS", zlikwidowanej w 1928 r. po rozłamie Jaworowskiego. Ta „Akcja Socjalistyczna" występowała na ulicach Warszawy i Łodzi przy różnych okazjach jak np. przy walce z ONR, przy obchodzie „Krwawej Środy 1905 r.", przy pogrzebie socjalisty śp. dra Michałowicza, przy wyborach łódzkich we wrześniu r. ub. itd. Ciekawe, że władze oficjalne tolerują tę bojówkę umundurowaną, witającą się bolszewicko-antyfaszystowskim znakiem podniesionej pięści?...

Walczący z powstaniem narodowym „Front Ludowy" Hiszpanii był na Kongresie bardzo gorąco witany. PPS woli nie widzieć, że jej towarzysze na gruncie hiszpańskim, których wita, ci wszyscy Largo Caballero, Alvarez del-Vayo itp. już dawno sa faktycznymi komunistami, zupełnie oficjalnie współpracują z Kominternem i wypowiadają się za połączeniem z Partią Komunistyczną Hiszpanii.[1]) Więcej, codziennie prawie widujemy na łamach oficjalnego organu PPS: *Robotnika* skromną rubrykę zbiórek pieniężnych „Do dyspozycji Komis. Centr. Zw. Zaw. w myśl wezwania z dnia 14. 8. 1936 r." Są to zbiórki pieniężne na rzecz hiszpańskiego „Fołksfrontu" wysyłane, wbrew przepisom dewizowym, z kraju i szkodzące naszej polityce zagranicznej, która w konflikcie hiszpańskim zachowuje ścisłą neutralność.

Po rozwiązaniu w marcu ub. roku organizacji młodzieży przy PPS, byli przywódcy Org. Młodzieży TUR pp. Ludwik Cohn i Stan. Dubois zostali z pracy młodzie-

[1]) Patrz *Rundschau*, organ Kominternu wychodzący w Bazylei. Nr 4 z 29. I. 1937, na str. 154.

żowej wogóle usunięci, gdyż współpracowali z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej.

— — — — — — — — —

Dokładne zapoznanie się z drogami rozwoju PPS i z jej ostatnim Kongresem daje pełne podstawy do wysnucia wniosku, że jako samodzielna siła masowa PPS nie może w chwili obecnej, ani w bliższej przyszłości odegrać roli decydującej w życiu społeczno-politycznym Polski.

Tragedią tej partii jest to, że opiera swą ideologię na zbankrutowanym systemie filozoficzno-socjologicznym, na marksizmie. Bo nie tylko kwestia klas pośrednich świadczy o niespełnieniu się przewidywań marksizmu. To samo da się stwierdzić o wykrytym przez Marksa „prawie ekonomiczno-socjologicznym", według którego rozwój kapitalizmu musi doprowadzić do coraz większego wyzysku pracy, do wymierania w coraz młodszym wieku robotników itp., z czego Marks wyciągnął wniosek o konieczności rewolucji socjalnej, mającej ludzkość uratować przed tą zmorą kapitalistyczną. Dziś statystyka krajów najbardziej kapitalistycznych jak Anglia, Ameryka, Belgia i inne wskazują na proces zupełnie odwrotny. Długowieczność robotników wzrasta.

Lekceważenie prymatu ducha w życiu społecznym zemściło się i na całej konstrukcji materialistyczno-dialektycznej filozofii marsksizmu. Rozwój nauki: fizyki, astronomii, matematyki itp. obala krok za krokiem wszystkie kanony pseudo-nauki marksowskiej, o prymacie materii i stosunków gospodarczych.

Walka klas ustępuje coraz bardziej miejscu jednościom narodowym i religijnym, solidarystycznym i korporacyjnym formom przebudowy społecznej.

W Polsce zaś były, są i mogą być decydującym elementem politycznym narodowcy, piłsudczycy czy ludowcy, ale nigdy socjaliści. Ich rola może być tylko przejściowa, ich drogi to drogi przygotowawcze dla komunizmu, z którym socjalizm ma w swej istocie wspólny światopogląd.

Prawda o tej roli socjalizmu uwidacznia się szczególnie w Polsce, graniczącej na 1200 kilometrach z państwem bolszewickim, mającej z górą 3 miliony żydów i znaczny odse-

tek innych mniejszości narodowych, sąsiadującej z dynamicznym hitleryzmem, wrogą Litwą i Czechosłowacją, chorej na niedorozwój przemysłu i w ogóle życia gospodarczego, skłóconej wewnętrznie przez polityczne targi partyjne.

Zwycięstwo koncepcji PPS w Polsce współczesnej byłoby — bardziej niż w jakimkolwiek innym kraju — zwycięstwem „kiereńszczyzny", po której nastąpić by mogła tylko — bolszewizacja Polski, a więc i utrata niepodległości.

J. Skaliński.

Szlakiem życia i myśli Waleriana Kalinki.

(W pięćdziesięciolecie zgonu — 1886 r.)

Aby pojąć doniosłość zasług ks. Waleriana Kalinki, od którego śmierci ubiegło niedawno równo pół stulecia — trzeba przejść nie tylko etapami jego ziemskiej tułaczki, ale trzeba odbyć pielgrzymkę po szlaku polskiej historii porozbiorowej, zamkniętej dwoma datami: 1826—1886. Te dwie daty: urodzin i zgonu znakomitego autora *Sejmu Czteroletniego* i *Ostatnich lat panowania Stan. Augusta* oznaczają w dziejach rozwoju polskiej myśli politycznej i polskiego dziejopisarstwa amplitudę przeobrażeń, którym odpowiada w dziejach Europy przełom systemu Świętego Przymierza i ery Napoleona III, ery haseł narodowościowych. W historii losów Polski — to Noc Listopadowa, dzieje Wychodztwa, Wiosna Narodów, klęska 63 roku, wreszcie złudne nadzieje lat Wojny Krymskiej i konfliktu na Wschodzie.

Przeżył to wszystko Kalinka i patrzył na to oczyma wnikliwego historyka; dwie trzecie swego życia poświęcił ruchliwej działalności politycznej i publicystycznej, by wreszcie po zakosztowaniu tysiąca przeciwności — dotrzeć do wrót zakonnego życia. Jako kapłan-zmartwychwstaniec stanął w gronie światłych umysłów, prowadzących społeczeństwo ku odrodzeniu duchowemu i państwowemu, a Kościół polski ku przodującej misji na Wschodzie Europy.

Jak kształtował się duch Kalinki poprzez zgiełk rewolucji i haseł wolnościowo-demokratycznych, poprzez ofiarne szukanie koniunktur dla sprawy polskiej w stolicach Europy — od Paryża po Konstantynopol i od Rzymu po

Sztokholm, jak szedł coraz pewniej i coraz jaśniej ku celi klasztornej, by wznieść się na niebywałe wyżyny jasnowidzenia przeszłości — o tym opowiedzieć może samo jego życie i głębia jego myśli.

— — — — — — — — —

Kolebką dzieciństwa Kalinki była miniaturowa republika — „wolne miasto" Kraków, na terenie którego w Bolechowicach, 20 listopada 1826 r. ujrzał światło dzienne. Atmosfera życia publicznego, narzucona wolą państw-kontrahentów Traktatu Wiedeńskiego zarówno w dziedzinie polityki, jak i stosunków społecznych i towarzyskich, wyraźnie zaciążyła nad rozwojem jego umysłowości. Syn sędziego Sądu Najwyższego i sam adept wiedzy prawniczej, student jagiellońskiej Almae Matris, już przy pierwszych krokach aplikantury odczuł w sobie bunt wewnętrzny przeciw prawu, które operując kategoriami legalności, sankcjonowało bezprawie polityczne, dokonane na Rzplitej Polskiej. Mury Wawelu i całego grodu, rezydencji piastowskiej i jagiellońskiej przemówiły doń językiem historii. Żadna z ówczesnych znakomitości prawniczych uniwersytetu krakowskiego nie pociągnęła go tak silnie ku sobie, jak indywidualność Michała Wiszniewskiego, najwybitniejszego podówczas badacza literatury narodowej. Pod jego urokiem kształtowało się w Kalince tak głębokie zamiłowanie do badania przeszłości miasta, iż już jako akademik był świetnym znawcą antycznej architektury Krakowa i porywał się na ostrą krytykę studiów archeologicznych. Z drugiej strony wypadki polityczne, rozgrywające się zarówno w ukryciu: związki karbonarskie i demokratyczno-niepodległościowe, jak i w świetle dnia: walka dwóch obozów w senacie krakowskim — serwilistycznego i opozycji — zaprawiły go do walki zbrojnej. I tu tkwi początek pierwszego, młodzieńczego etapu życia, etapu rewolucyjnego, który kilku jego biografów starało się — nie bez tendencji — pomniejszyć. Dziś, w pięćdziesiąt lat po jego śmierci, możemy temu młodzieńczemu, pełnemu zapału i temperamentu okresowi życia Kalinki, nadać tyle barw świeżości, ile ono posiadało; wspaniała indywidualność nic na tym nie straci, widnokrąg jego przeżyć się poszerzy.

Nie było to rzeczą przypadku, że dwudziestoletni Walerian Kalinka płonął pełnym ogniem wolnościowego porywu 1846 r. Był to rok tragicznego zawodu, ale nie dla dramatycznych efektów stanął młody adept prawa w szeregach rewolucyjnych; należał do sprzysiężenia powstańczego, a po wybuchu stał się jednym z najbliższych współpracowników dyktatora Tyssowskiego. Jako „dyrektor kancelarii rządowej" był odtąd świadkiem wszystkich wydarzeń, powiernikiem tajemnic, jednym z organizatorów Klubu Rewowolucyjnego, a — co ważniejsze — autorem płomiennych proklamacyj. Jego to były słowa na szpaltach powstańczego Dziennika Rządowego:

„...Bracia godzina wolności wybiła! — Już Orzeł Biały rozpostarłszy skrzydła zbawienia, wzniósł się wysoko i urąga dwugłowym potworom, które drżą przed nim na północy i południu. Jako w ciasnym miejscu szczelnie więziony, z szaloną radością wita dech świeżego powietrza, które mu życie powraca — tak my okuci w kajdany sromotne niewoli, z uniesieniem witamy ten błogi dzień, któren nas napawa tchem rajskim, ideałem szczęścia, jakim się tylko poetom kiedykolwiek marzyło, urzeczywistnionym umidłem najlotniejszej fantazji filantropa... Kto wierzy w istnienie Boga, może wierzyć w postęp ludzkości, bo ona nie cofa się nigdy, ale wskazanym raz trybem suwa się naprzód i coraz bardziej zbliża się do osiągnięcia celu, do osiągnięcia Bóstwa. Jest prawo powszechne, któremu ulega zarówno świat fizyczny jak i moralny a tym jest, że każde działanie musi wzbudzić oddziałanie,... postęp wyłania się z całego przebiegu dziejów ludzkości... Walka Polaków jest walką całego świata, walką wolności przeciw niewoli, cywilizacji przeciwko obskurantyzmowi, tolerancji przeciw fanatyzmowi...."

Gdy przyszły dni kapitulacji i rewolucyjny Kraków miał złożyć Prusakom broń nad Przemszą, Walerian wraz z bratem Kazimierzem transportował najważniejsze dokumenty i kasę rządu powstańczego. Na rozkaz dyktatora część papierów spalili bracia w Krzeszowicach, ale ciekawą do zbadania pozostaje nadal kwestia, o którą podejrzywała Komisja Śledcza austriacka 1846 r. Kalinkę, że mianowicie wywiózł najciekawsze dokumenty dyktatury za granicę.

Pobyt na wychodztwie to w znacznym stopniu kontynuacja jeszcze okresu rewolucyjnego. W Belgii pogłębiają

się stosunki z przedstawicielami obozu postępowego, demokratycznego: z Joachimem Lelewelem, Michałem Bakuninem, Lucjanem Siemieńskim. Z drugiej strony wędrówka po archiwach Antwerpii i miast holenderskich: Hagi, Amsterdamu, Lejdy i Utrechtu, dając mu sporą garść dokumentów do historii pokoju oliwskiego — wprowadziła go po raz pierwszy w tajniki dziejów dyplomacji. Jeszcze r. 1848, burzliwa „wiosna ludów" zelektryzuje go swymi hasłami. Wróciwszy do Krakowa kreśli pod znamiennym pseudon. „Włościanina z nad Wisły" z temperamentem publicysty broszurę pt.: *Jaką była dawniej Polska?* To znowu pod kryptonimem „Pęcławskiego" atakuje z namiętnością ten odłam społeczeństwa, który cechował brak patriotyzmu i enerii w działaniu, serwilizm i zacofaństwo.[1]) Staje się członkiem redakcji *Czasu*, który narodził się właśnie za podmuchem nadziei konstytucyjno-autonomicznych, ale gdy tylko organ zachwiał się w swym stosunku do polityki wiedeńskiej — Kalinka ustąpił z grona współpracowników i wyjechał ponownie za granicę.

Zduszenie wulkanicznego wstrząsu na ziemiach polskich spowodowało w nim zasadniczy przełom, wśród którego zrodził się etap drugi życia: praca pod sztandarem ks. Adama Czartoryskiego. Trwała ta praca pełnych lat dwadzieścia aż do porzucenia szat świeckich w r. 1868, ale daleką była ona od powolnego i niesamodzielnego wykonywania wskazań politycznych przywódcy „Hotelu Lambert". Kalinka wypłynął jako jeden z najbystrzejszych publicystów i najczynniejszych działaczy ks. Adama. Jako jego agent dyplomatyczny wyjeżdżał do Rzymu i Sztokholmu, w czasie wojny krymskiej krzątał się u boku gen. Wład. Zamoyskiego w uniformie „kozaka" po Konstantynopolu dla stworzenia legionu polskiego. Z drugiej strony już wtedy wysuwał koncepcję nawracania Bułgarów dla odsunięcia ich od Rosji. Najdonioślejszą jednak w tej epoce jest jego działalność publicystyczna w *Wiadomościach Polskich*, redagowanych wraz z Julianem Klaczką w Paryżu. Pismo to zdobyło sobie opinię najznakomitszego organu prasy emigracyjnej, choć

[1]) *Listy o Krakowie*, 1849.

wychodziło mało co ponad cztery lata (1857—1861). Artykuły Kalinki, kreślone z doskonałą znajomością sytuacji politycznej i ze spokojem wnikliwego obserwatora, nadawały „ton" organowi. Doświadczenia „krwawego roku" i „wiosny narodów" podyktowały mu ostrą krytykę projektu „kadr powstańczych", zamierzonych przez demokratów emigracyjnych, z drugiej strony z niechęcią odnosił się do Aleksandra Wielopolskiego, gdy tenże w r. 1859 konferował z ks. Czartoryskim w Paryżu w sprawie memoriału polskiego na zjazd trzech cesarzy na temat autonomii Królestwa Polskiego. Cały nacisk w polityce naszej kładł Kalinka na Napoleona III i jego rząd. Skromny i cichy, skupiony i bystry umysł Kalinki zmobilizował w tzw. „Biurze" na Quai d'Orléans w Paryżu wszystko i wszystkich do kampanii o zyskanie Europy dla Polski. Śmierć ks. Adama Czartoryskiego, który na łożu boleści podyktował Kalince swój testament polityczny, był tragicznym ciosem w realizacji tej kampanii. Nie był to cios jedyny; nastąpiły po nim zgrzyty jeszcze dotkliwsze: katastrofa r. 1863/4 z załamaniem się Napoleona III w dyplomatycznym sukursie Polsce i klęska Drugiego Cesarstwa w r. 1871. Między jednym faktem a drugim zmienił Kalinka szaty świeckie na duchowne; był to wyraz zewnętrzny duchowej przemiany, którą przeżywał już od lat kilku.

Etap trzeci jego życia, ale nie tylko życia, bo i o niegasnącym żarze działalności — to ośmnaście lat pracy kapłańskiej w szatach zmartwychwstańca, ostatni okres sześćdziesięcioletniego żywota. Wybór Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, na którego cele oddawna zwracał uwagę Kalinka, był znamienną dla jego poglądów decyzją życiową. Decyzja ta nie oznaczała wyłącznie zwrotu w osobistych planach życia. Wejście za furtę klasztorną oznaczało nowy etap w walce z duchowym rozbiciem Wychodztwa, którego źródła leżały w mistycyzmie Towiańskiego i kosmopolityzmie niektórych skrajnych odłamów demokratycznych. Jeszcze silniej od tego zadania, któremu przyświecała solidarność ideowa z „pierwszym jawnym pokutnikiem" Wielkiej Emigracji — Bogdanem Jańskim i pierwszymi żarliwymi zmartwychwstańcami: ks. Piotrem Semeneńką i ks. Hieronimem

Kajsiewiczem — wyrósł w umyśle Kalinki na dziejowym podłożu oparty pogląd o konieczności spełnienia przez Polskę misji cywilizacyjnej. Polska miała wzmocnić katolicyzm na Rusi, by tą bronią osłabić Rosję, to główne — zdaniem Kalinki — źródło niebezpieczeństwa dla nas. W życiu Kalinki jako kapłana zaznaczyły odtąd wielki pochód naprzód nieważne na pozór daty: tymi drobnymi na zewnątrz faktami to przyjęcie święceń kapłańskich w Rzymie 1870, wyjazd na misje w Bułgarii i Arianopolu w 1874—1875, przydzielenie na kapelana do jednego z żeńskich klasztorów w Jarosławiu w r. 1877, wreszcie założenie we Lwowie Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, a przy nim internatu dla młodzieży obrz. grecko-katolickiego od r. 1880.

W ramach tych dat i na terenie tych różnych miejsc, geograficznie rozrzuconych na pograniczu Wschodu i kresów Rzeczypospolitej, tryska duch ks. Waleriana Kalinki najokazalszym bogactwem myśli dziejopisarskiej i w ścisłym z nią związku pracy katolicko-misyjnej. Kiedy podróże na teren bułgarski zaostrzyły w nim postanowienie walki z prawosławiem, za którym szła omotująca Bałkan słowiański polityka panslawizmu, pobyt w Jarosławiu i we Lwowie był cichym, ale konsekwentnym wypełnianiem programu misyjnego. Już jako kapelan SS. Niepokalanego Poczęcia w Jarosławiu wniknął Kalinka tak głęboko w życie kościelne zaboru austriackiego, iż stał się jednym z najdokładniejszych informatorów nuncjusza papieskiego w Wiedniu Jakobini'ego, a tym samym i Ojca św., Leona XIII. Dużo trudu i niezmordowanej cierpliwości wymagała sprawa stworzenia Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego we Lwowie, która wreszcie, w myśl pragnień Kalinki przeobleka się w kształt realny. I tu wszedł znakomity zmartwychwstaniec w wychowawczo-zakonną akcję wobec żywiołu unickiego, którego polityczne dojrzewanie dokonywało się na rozległym rozdrożu od Petersburga po Wiedeń i przechodziło niezwykle doniosłe stadium ewolucji. Tego stadium nie dostrzegało wielu z polityków polskich, stojących nieraz u steru kraju lub też go nie doceniali — ale dostrzegł je i ważność jego docenił kapłan-historyk. By zrealizować

zbliżenie dwu narodowości i skierować ich wspólny front ku Wschodowi, trzeba było sięgnąć do młodzieży, tego najistotniejszego podkładu każdego narodu. Tu głęboko wychowawczy rozum Kalinki, choć na wąskim odcinku jednego internatu, pragnął spełnić swe zadanie. Za główny motyw religijno-wychowawczy posłużyła mu Unia Kościoła greckiego z Rzymem, sprzęgająca przeszłość Rusi z Polską, nie z Moskwą i umacniająca rolę polityczną Polski na Wschodzie fundamentem cywilizacyjnym. Na tych założeniach powstał we Lwowie przy Zgromadzeniu OO. Zmartwychwstańców zakład wychowawczy dla młodzieży grecko-katolickiej. Internat ten miał za zadanie kształcić młodzież w duchu jej narodowości i pielęgnować miłość Rusi, nie żądać i nie nakazywać miłości Polski, ale przez zaszczepienie głębokiego uczucia religijnego osłabić wzrastający już w owych latach antagonizm do bratniej narodowości. Nie narzucono też wychowankom zawodu duchownego, pozostawiając tę sprawę wolnemu wyborowi. Internat ten rozwijał się znakomicie. Myśl o posłanictwie Polski na Wschodzie kazała ks. Kalince poza tym przez kilka lat z rzędu corocznie wyjeżdżać do Francji, by benedyktynowi z Solesmes, ks. Alfonsowi Guepin dopomóc w opracowaniu *Żywotu św. Józefata,* męczeńskiej a bohaterskiej postaci Unii.

Jako kapłan wywierał Kalinka niemały wpływ na swe zakonne i pozakonne otoczenie. Promieniował filantropią i dobrą radą, nawet w sprawach publicznych, do których rozumienia uprawniała go głośna już w okresie lwowskim życia twórczość jego dziejopisarska. Głębokie duchem religijnym, choć nie błyskotliwe stylem były jego kazania, wypowiadanie głównie dla kół kościelnych. Jak był zamiłowany w swej pracy internatowej i ciszy klasztornego życia świadczy fakt, że ofiarowanej mu katedry historii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim po znakomitym Józefie Szujskim nie przyjął i posterunku lwowskiego do śmierci nie opuścił.

W świetle tych etapów i przemian życia bardzo trafne, choć na pozór zbytnią kontrastowością tchnące wydaje się powiedzenie o Kalince Władysława Smoleńskiego, jednego z jego krytyków i to obozu historycznego przeciwnego: że

„łączył w sobie pierwiastki mnicha średniowiecznego, republikanta z doby saskiej, roztropnego reformatora z czasów Stanisława Augusta"...

— — — — — — — — —

We wszystkich atoli fazach życia, świeckiego i duchownego, i w Polsce przebytego i na emigracji, i pod sztandarem demokratycznym i monarchicznym przepracowanego — był ks. Walerian Kalinka przede wszystkim historykiem. Skłonności jego w tym kierunku osłabiły pociąg ku zawodowi prawniczemu, do którego przygotowało go wykształcenie uniwersyteckie. Żywiołowa ciekawość ku archeologicznej przeszłości Krakowa, która podsunęła mu mu temat pierwszej pracy: *Historii pożaru miasta Krakowa* (1850), skreślonego w 24 roku życia, daje już w rezultacie mnóstwo szczegółów, zebranych sumiennie i z wielką gorliwością. Nie było to jednak jeszcze dzieło historyczne, podobnie jak i niedojrzałym owocem był *Żywot Tadeusza Tyszkiewicza* (1853). Ale już *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim,* w tym samym roku, co rzecz o Tyszkiewiczu, opublikowana, zwróciła na jej autora oczy świata intelektualnego, budząc podziw dla jasnej, przejrzystej konstrukcji i ścisłości prawniczego myślenia. Wprawdzie dzisiejszy postęp dyscyplin historycznych, a przede wszystkim dziejów społecznych i gospodarczych pozwoli dojrzeć w wyczerpującej monografii o zaborze austriackim niejedną nieścisłość jak np. w kwestii własności agrarnej, ale pogląd na te sprawy był jeszcze w owym czasie wyłącznie wyrazem politycznych przekonań każdego pisarza, nie zaś problemem, rozstrząsanym z bezwzględnym obiektywizmem naukowym. Do dziś nie jest definitywnie rozstrzygnięta sprawa, czy Kalinka był autorem wszystkich rozdziałów tej książki, ponieważ ujęcie ustroju prawnego przypisywano Juwenalowi Boczkowskiemu, na którą to wersję brak atoli do dzisiaj potwierdzenia. W *Galicji i Krakowie pod zaborem austriackim* dał się poznać przede wszystkim bystry zmysł publicysty i talent obserwowania najdrobniejszych, ale istotnych zmian natury politycznej, które to cechy wystąpiły w kilka lat później tak jasno w artykułach *Wiadomości Polskich*. Za-

równo jednak pierwsze podróże archiwalne po Belgii i Holandii, jak i osobista działalność w obozie arystokratycznym — zbliżyły Kalinkę do historii dyplomatycznej i ustrojowej.

W r. 1868 ukazało się bezwzględnie najznakomitsze dzieło jego pióra: *Ostatnie lata panowania Stan. Augusta.* Krytyka oceniła je jako twór, przerastający swym poziomem, nie tylko literaturę rodzimą, ale i piśmiennictwo niemieckie, a szczególnie dzieła głośnych podówczas piór, jak Janssena i Roepella. Za czołowe zalety „Ostatnich lat" uznano doskonałe przeniknięcie tajników polityki europejskiej XVIII stulecia i odtworzenie jej w barwych żywych i świeżych, niepominięcie żadnego istotnego szczegółu prawdy z odrzuceniem jednak wszelkiej anegdoty, a przede wszystkim mistrzowskie kreślenie portretów działających osób.

Następnym wielkim, acz niedokończonym dziełem Kalinki był *Sejm Czteroletni,* którego trzy tomy ukazały się na przestrzeni ośmiu lat, od 1880 począwszy. Wystąpiły tu przeważnie te same cechy i zalety, co w „Ostatnich latach", ale już rozpiętość czasu powstania tej monografii odbiła się na zwartości budowy i na ścisłości logicznego wiązania. Skłonność do apoteozowania postaci ostatniego monarchy Rzplitej zachwiała wiarę w zupełną bezstronność autora. Któryż jednak z historyków polskich owej doby mógłby był się zdobyć na zupełny obiektywizm? I czy wolni byli od subiektywizmu historycy obcy, osobliwie niemieccy? Kalinka stawiał wysokie wymagania mężom stanu doby rozbiorów. Całą galerię ich konterfektów psychologicznych, kreślonych z wyjątkową plastyką i wiernością, daje w swym dziele: nie tylko więc naszego Stan. Augusta, ale i austriackiego Józefa II i szwedzkiego Gustawa III, dalej polityków, jak Kaunitza, Debolego, Potemkina, Szczęsnego Potockiego, Ksawerego Branickiego, pisarzy, jak Stan. Staszica, Seweryna Rzewuskiego, J. J. Rousseau i in. Nie była to jednak tylko realistyczna galeria typów. Pod językiem historyka krył się szeroki podkład etyczny i mistyczny. Etyka tryskająca silnym strumieniem z poglądu katolickiego i mistycyzm, sublimujący zapatrywanie na zadania cywilizacji, streszczały się w zdaniu: „Kościół jest najprzedniejszą

w społeczeństwie ludzkim instytucją cywilizacyjną i nieustannie świat odmładzającą". Krytyka późniejsza zarzuciła nawet Kalince, iż kierowany swym probierzem etycznym zgeneralizował pogląd na społeczeństwo polskie doby stanisławowskiej zbyt ujemnie, ponieważ — jak mówi znawca tego wieku, Wład. Smoleński — „naród nie był opojem, jak Radziwiłł — wariatem, jak Sołtyk — złodziejem, jak Poniński — nikczemnikiem, jak Branicki..."

Tak starał się Kalinka wykazać, że naród sam jest winien upadku państwa, co dobitnie przebijało już z poprzedniego jego dzieła. W tym samym roku, co *Ostatnie lata panowania Stan. Augusta* — r. 1868 pojawiła się rozgłośna swym znaczeniem *Teka Stańczyka,* ideowo zbliżona do dziejopisarskich wniosków o. zmartwychwstańca. Na oba te twory miała niewątpliwy wpływ katastrofa 1863 r., na której gruzach narodziło się zarówno polityczne ugrupowanie konserwatystów, jak i tzw. „szkoła krakowska" historyków. W nieszczęściu rozbiorów widział Kalinka nie tylko winę społeczeństwa, ale i karę, naznaczoną przez Opatrzność, za obyczaje życia publicznego i prywatnego.

Ostatnim tworem pióra kalinkowego był *Życiorys gen. Chłapowskiego* (1885), niewielkiego wprawdzie wodza doby napoleońskiej czy rewolucji listopadowej, ale postaci jasnej na tle polityki wynarodowienia i ucisku rządu pruskiego wobec Polaków. Geneza tej biografii, wyjaśniona przez samego autora jako „pragnienie naprawienia krzywdy moralnej", wyrządzonej „niesprawiedliwym sądem" o roli Chłapowskiego w powstaniu 1831 r., rzuca znamienne światło na poczucie odpowiedzialności historyka za własne tezy, choćby sprzed laty kilkudziesięciu. Przytem postać Chłapowskiego, którego w Wielkopolsce uważano za chorążego „stronnictwa ultramontanów" i z którego wpływem musiał się liczyć rząd berliński — pociągała bardzo żywo historyka-psychologa.

Walerian Kalinka, jak widać z krótkiego rzutu oka na jego twórczość historiograficzną — stworzył dzieła o bogatej skali rodzaju literackiego i pogłębienia źródłowego: od kronik i mniejszych studiów archiwalnych po obszerne bio-

grafie i kilkutomowe monografie, zawierające w sobie do pewnego bodaj stopnia zarysy syntezy dziejów narodowych. Bogactwo tej skali twórczości, przeplecione bogactwem doświadczeń i trudów, poniesionych w życiu publicznym i arcyciekawa ewolucja od płomiennego rewolucjonizmu do skupionego w historiozoficznej głębi działania kapłana, wychowawcy, dziejopisarza — oto szlak życiowy, w którym Stan. Tarnowski dopatrzył się trafnie *via dolorosa* narodu polskiego. Bo istotnie na tej „drodze bolesnej" tułaczem, a następnie światłym przewodnikiem był Walerian Kalinka od młodości po ostatnie swe dni.

Dr Marian Tyrowicz.

Założenia brytyjskiej polityki imperialnej.

I.

Imperium Brytyjskie, przetwarzając swe formy konstytucyjne i stając się *British Commonwealth of Nations*, [1]) uległo również w ostatnich latach niemniej doniosłym politycznym i gospodarczym przekształceniom. Konstruktywne te przemiany, będące wynikiem gospodarczych i politycznych przesunięć światowych, dając większą swobodę poszczególnym członkom Commonwealth'u i zwiększając ich wpływy na politykę metropolii, przyczyniają się ze swej strony do spotęgowania przemian dokonywujących się w dziedzinie politycznych i gospodarczych stosunków, tak w łonie samego Imperium, jak również i w jego ustosunkowaniu się do świata zewnętrznego. J. Bardoux [2]) podkreślając całą wagę tych przemian, na nie właśnie wskazuje, jako na ten nowy czynnik, specjalnie wiążący polityczne posunięcia brytyjskiej dyplomacji. Dyplomacja ta bowiem związana obecnie ściślej koniecznością obrony rozległych interesów brytyjskich dominiów, szeroko rozrzuconych po świecie, nie

[1]) Patrz art. „Imperium Brytyjskie w nowej fazie rozwoju", *Przegląd Powszechny*, listopad 1936.

[2]) *Une évolution constitutionnelle accroit, sur le terrain diplomatique, à la fois l'indépendance politique et les participations techniques des Dominions. Susceptibilités et inexpériences, méfiances et prétentions sans porter des atteintes irréparables a un légalisme certain, nuisent, au dehors, a l'action du Ministère des Affaires Etrangères et gênent au dedans le fonctionnement de cette societé des Nations Anglo - Saxonnes.* — Bardoux: *L'île et l'Europe*. 1933.

może już własną tylko wolą korygować żądań dominiów, lecz zmuszoną jest z większą niż dawniej uwagą zaspakajać ich wymagania, skłonne, tak do przeceniania własnych potrzeb, jak i do wyolbrzymiania swych ofiar.

Rozwijając w ciągu paru stuleci stan swego posiadania, naród brytyjski dokonywał tego z nadzwyczajnym wyczuciem sytuacji geograficznej i wartości strategicznych zajmowanych punktów globu. W rezultacie tej wiekowej działalności „szereg baz morskich, panujących nad cieśninami o największym światowym znaczeniu, daje flocie brytyjskiej punkty oporu i zaopatrzenia na trzech oceanach". [1])

Posiadanie szeregu takich ośrodków morskiego władania, oddawało też w ręce brytyjskie całą kontrolę ruchu na morzach.

Jeżeli opanowanie tych punktów globu faworyzowało niewątpliwie strategiczną sytuację ich brytyjskich posiadaczy, to jednak całkowite ich wyzyskanie wymagało jeszcze ponadto posiadania potężnej floty wojennej. Dotychczasowa niekwestionowana przewaga floty brytyjskiej oraz jej bazy w ośrodkach kontroli ruchu morskiego były podstawą niepodzielnego prawie panowania Brytyjczyków na morzach i w świecie. Jednak już przedwojenne morskie zbrojenia Niemiec poważnie zachwiały morskim mocarstwem Brytanii. Okres powojenny przyniósł w tej dziedzinie jeszcze dalsze zmiany. Już bowiem na konferencji Waszyngtońskiej zmuszoną została Brytania do przyznania wojenno-morskiego parytetu Stanom Zjednoczonym, a także na formalne przyzwolenie zbliżenia się do tegoż poziomu stanu morskich zbrojeń Japonii, domagającej się ostatnio już całkowitego parytetu z obu mocarstwami anglosaskimi.

Zachwiana w ten sposób morska przewaga wojenna W. Brytanii stawała się tym bardziej wątpliwą, że równolegle do tego zatracała ona i swą dotychczasową supremację handlowo-morską. O ile bowiem w początku wieku bieżącego brytyjska bandera powiewała na przeszło 49% tonażu światowego, to w 1935 obejmowała ona tylko 31,5%. W tymże czasokresie budownictwo statkowe Brytanii

[1]) J. Brunhes: *La géographie de l'histoire.*

spadło z prawie 70% do niecałych 50% budownictwa światowego.

Rozwój broni powietrznej, wprowadzający nowy czynnik do morskiej strategii, będącej dodychczas niepodzielną domeną Wielkiej Brytanii, przyczynił się ze swej strony do utrudnienia międzynarodowej politycznej sytuacji Imperium Brytyjskiego.

Jeżeli prawie niepodzielne wojenne i handlowe panowanie na drogach morskich jeszcze do tak niedawna całkowicie gwarantowało nietykalność Imperium Brytyjskiego, oraz uzależniało od niego losy szeregu innych państw, zaczynających nawiązywać stosunki z krajami zamorskimi, to szereg przywilejów gospodarczych, powstałych w drodze naturalnego rozwoju, dawał mu ponadto inne jeszcze atuty w rozgrywkach międzynarodowych. Rozwój przemysłowy Niemiec i Stanów Zjednoczonych już w okresie przedwojennym poważnie jednak podkopał światową pozycję W. Brytanii. Dzieje powojenne, wprowadzając uprzemysłowienie szeregu krajów Europy oraz innych kontynentów, odebrały towarom brytyjskim te rynki, oraz przyczyniły się ponadto do wzrostu konkurencji na rynkach obcych, dotychczas opanowanych przez brytyjskich dostawców.

Do zmiejszenia brytyjskiego znaczenia gospodarczego przyczyniła się w niemałym stopniu również utrata przez Londyn prymatu na rynku kapitałowym świata oraz zachwianie zaufania do niego.

Otóż te całkowicie zmienione warunki strategii i gospodarstwa światowego spowodowały poważne przesunięcia w działaniu i wadze brytyjskiego czynnika w polityce światowej.

Szereg tych przekształceń spotęgowały jeszcze bardziej zamieszania powstałe w dotychczasowym układzie brytyjskich sił kolonialnych, a zrodzone z coraz bardziej rozwijających się nacjonalizmów ras kolorowych. Nacjonalizmy te, same przez się niezdolne wprawdzie do utworzenia samodzielnego i jednolitego państwa narodowego, tym niemniej wystarczają do wzburzenia spokoju w tych krajach, a tym samym i utrudnienia gospodarczej działalności białego człowieka, tak szczególnie cenionej przez realistyczny umysł brytyjski. Te wrzenia nacjonalistyczne ułatwiają również wydatnie

agitację państw obcych, zmierzających od dawna do rozsadzenia Imperium Brytyjskiego.

Chociaż jednak rodzące się kolorowe nacjonalizmy zwiększają stan niepewności w ramach Commonwealth'u i zmniejszają rentowność gospodarczych poczynań, chociaż potęgują groźbę obcego niebezpieczeństwa, to jednak z drugiej strony przyczyniają się one w pewnej mierze do większego scementowania interesów brytyjskich mieszkańców tych krajów z interesami metropolii. Wszak właśnie potęga metropolii chroni przywileje brytyjskich kolonistów przed pochłonięciem ich przez te kolorowe masy. Poruszając sprawę wzrastającego znaczenia masy murzyńskiej w Afryce Południowej, jak i jej intensywne kształcenie się na modłę europejską,[1]) Montgomery podkreśla właśnie ten moment.

W świetle tych nowych międzynarodowych i imperialnych rzeczywistości, przed Wielką Brytanią, ponoszącą dotychczas główną odpowiedzialność i cały ciężar obrony brytyjskich interesów, piętrzą się więc skomplikowane zagadnienia ustalenia swej polityki międzynarodowej. W polityce tej bowiem winna ona pogodzić ze sobą sprawy, związane z koniecznością zabezpieczenia połączeń metropolii z dominiami, jak i z potrzebą zachowania swych gospodarczych i politycznych pozycji na Dalekim Wschodzie, równocześnie zaś nie może zapominać o tym, że stanowi ona geograficzną część Europy, wiążącą się coraz bardziej z całością kontynentu dzięki rozwojowi lotnictwa i wzrostowi gospodarczej zależności.

II.

Z długiego szeregu zagadnień, wchodzących w krąg specjalnych zainteresowań londyńskiego *Foreign Office,* poza zagadnieniem własnego wyspiarskiego bezpieczeństwa, największą troską Wielkiej Brytanii jest niewątpliwie zadanie

---

[1]) *This development is viewed with great anxiety by the white population, but there is no doubt that their fears are exaggerated. Even though it may be impossible in the long run to prevent native influence in the government of South Afrika, the Europeans need have no fear as long as they have the powerful backing of the Empire.* De Montgomery: *Pax Britannica 1928.*

utrzymania jej połączeń z dominiami i posiadłościami kolonialnymi.

Najważniejsza droga imperialnych komunikacyj biegnie poprzez Morze Śródziemne, skracające o dziesiątki tysięcy kilometrów połączenia metropolii z „perłą brytyjskiej korony" Indiami, jak również z Australią i szeregiem posiadłości na Pacyfiku.

Omówione przed dwoma miesiącami [1]) zagadnienie rywalizacji śródziemnomorskiej, należy uzupełnić stwierdzeniem faktu, że pakt brytyjsko-italski, podpisany w styczniu br., skierował tę rywalizację, ostatnio tak gwałtowną i grożącą poważnymi komplikacjami, na tory bardziej normalnego pokojowego współzawodnictwa. Klauzule bowiem tej umowy, pozbawiając obie strony możliwości dokonania zmian w terytorialnym *status quo* basenu śródziemnomorskiego, zostawiły tak Anglii jak i Włochom prawie całkowicie wolną rękę w staraniach o powiększanie swych wpływów na terytoriach państw śródziemnomorskich. Posunięcia Italii na półwyspie Iberyjskim, następujące natychmiast po podpisaniu deklaracji, jak i oświadczenie Edena w parlamencie brytyjskim w dn. 21. I. br., wyraźnie wskazują, że to współzawodnictwo nie będzie pozbawione ostrych akcentów i zgrzytów. Podreślając w tym oświadczeniu brytyjską decyzję przeciwstawienia się wszelkim zamiarom podporządkowania Hiszpanii wpływom jednego lub kilku nawet mocarstw, rząd W. Brytanii wskazał wyraźnie na niezmienność podstawowych założeń swej polityki śródziemnomorskiej. Stąd też możemy przypuszczać, że mimo nowego paktu, a nawet i możliwości dalszego jeszcze zharmonizowania działań brytyjsko-włoskich, brytyjscy mężowie stanu nie zapomną ani na chwilę o fakcie, że Egipt a z nim i Kanał Suezu wciśnięte zostały w kleszcze afrykańskich posiadłości Italii.

Szlak śródziemnomorski, aczkolwiek ważny, jest jednak tylko odcinkiem wewnętrznej drogi imperialnej, wiodącej do Indii, Australii i na Pacyfik. Solidne usadowienie się morskiej i lotniczej potęgi italskiej na nowozdobytych terytoriach Abisynii nie tylko podniesie walory strategiczne

[1]) *Przegląd Powszechny*, styczeń 1937.

morskiego pobrzeża Erytrei i może zagrozić brytyjskiej drodze na czerwonomorskim odcinku, lecz nadto, rozszerzeniem zaplecza wybrzeży somalijskich i spotęgowaniem znaczenia ich baz, może zakwestionować władztwo brytyjskie na oceanie Indyjskim, uważanym dotychczas pospolicie za wewnętrzne jezioro W. Brytanii.

Tymże brytyjskim drogom oceanu Indyjskiego zagraża dalej prężność gospodarcza i polityczna krainy „Wschodzącego Słońca". Zalewa ona bowiem rynki krajów tego oceanu własnymi towarami, a utrzymując przyjazne stosunki z Siamem, nie tylko projektuje przekopanie kanału przez przesmyk Malakki, mogący odebrać Singapurowi całe jego wojenne i handlowe znaczenie, lecz zarazem kształci oficerów floty siamskiej oraz buduje jej jednostki bojowe.

Ku wodom tegoż oceanu zmierza również nieustannie północny sąsiad Indyj, o którym gen. Mac Munn [1]) b. szef sztabu armii indyjskiej, mówi, że niedźwiedź carski, czy bolszewicki pozostanie zawsze niedźwiedziem, ożywionym tymiż samymi apetytami.

Stały rozwój sił morskich i lotniczych mocarstw, bądź osiadłych tuż przy tej drodze imperialnej, bądź zmuszonych rozmaitymi względami do zmierzania ku niej, poważnie przyczynia się do zaniepokojenia mężów stanu W. Brytanii, pomimo nawet ich szczególnych uzdolnień do koniunkturalnych porozumień z tym lub innym z jej rywali. Całkowicie zmieniony stan faktyczny, wyrażający się przede wszystkim w ciągłym zmniejszaniu się różnicy stanu zbrojnej przewagi pomiędzy W. Brytanią a tymi mocarstwami, domaga się zdecydowanie przeprowadzenia zmian w dotychczasowej polityce brytyjskiej.

To też wobec zupełnie prawdopodobnych możliwości zatarasowania tej lub owej części z wielkiej drogi Imperium, przewidująca polityka Brytanii usiłuje zapewnić sobie wszelkie możliwości użytkowania bodaj określonych i mniej zagrożonych jej odcinków. Stąd też wzmożona działalność brytyjska na półwyspie Arabskim, którego terytoria, ułatwiają obronę Kanału Sueskiego, a zarazem umożliwiają przekopanie nowego, w razie gdyby „samodzielność" Egiptu,

[1]) Mac Munn: *Tempête sur l'Inde.* 1936.

proklamowana ostatnim paktem brytyjsko-egipskim, przyczyniła się do utrudniania użytkowania tego szlaku. Przez tenże półwysep przebiega również główna linia imperialnych komunikacyj lotniczych, jak i linie połączeń lądowych. Te również względy wpływają specjalnie na podniecenie czujności brytyjskiej we wszelkich sprawach, związanych z przemianami w świecie arabskim. Wreszcie, licząc się z możliwością odcięcia wschodniego Śródziemnomorza od jego części zachodniej, przezorna polityka W. Brytanii może oprzeć się na hipotezie użytkowania połączeń lądowo-morskich lub powietrznych, prowadzących przez Bałtyk i cieśniny czarnomorskie.

Zmiejszona pewność stałego i spokojnego użytkowania głównej drogi imperialnej, zmusza Anglików również do przypomnienia sobie starego szlaku Vasco de Gama i pokojowego przygotowania sobie tej drogi na wszelki nieprzewidziany wypadek. Słusznie bowiem zaznacza *Berliner Tageblatt* (5. I. 37), że „jakkolwiek długą i niewygodną może być ta droga do Indyj, lepszą jest w każdym razie niż brak wszelkiej drogi". Stąd też wyłoniła się konieczność ufortyfikowania szeregu baz dla floty, mającej strzec tego morskiego szlaku, jak również potrzeba urządzenia wszelkich instalacyj portowych, umożliwiających użytkowanie tej drogi tak przez statki handlowe jak i okręty wojenne. Stąd również wzrosło z jednej strony znaczenie posiadłości kolonialnych rozsianych na zachodnim wybrzeżu afrykańskim, z drugiej zaś obawa W. Brytanii przed dopuszczeniem na te tereny mocarstw o rozwiniętych siłach morskich.

III.

Jeżeli w polityce na drogach Atlantyku, Śródziemnomorza i Oceanu Indyjskiego, celem W. Brytanii jest zapewnienie bezpieczeństwa swych połączeń z dominiami i posiadłościami kolonialnymi, to w zagadnieniu Pacyfiku i Dalekiego Wschodu, zmierza ona do utrwalenia wszelkiego rodzaju korzyści gospodarczych, płynących z handlowej wymiany z tymi krajami, jak również z różnorodnych koncesyj na ich terytoriach. W tym też skomplikowanym splocie spraw Pacyfiku i Dalekiego Wschodu interesy brytyjskie, bądź

rywalizują, bądź harmonizują się z interesami Japonii, Stanów Zjednoczonych i Rosji.

W długim szeregu lat przyjaznych stosunków z Japonią ułatwiała Brytania krainie „Wschodzącego Słońca" osiągnięcie tak wysokiego jak obecny poziomu mocarstwowego. Rozmach nadany krajowi mikada, zaczynając wyraźnie zagrażać brytyjskiemu stanowi posiadania, zmusił jednak ostatecznie W. Brytanię do wycofania się na konferencji Waszyngtońskiej z dotychczasowego jej aliansu z Japonią. Ultymatywne żądania przedłożone Chinom przez Japonię w 1916 r., wskrzeszone przed paru laty w oficjalnym sformułowaniu azjatyckiej doktryny Monroego, zwróciły baczną uwagę W. Brytanii na te nowe poczynania Japonii.

Źródeł przychylnej względnie postawy W. Brytanii w mandżukoańskich perypetiach Japonii z lat 1931/34, szukać należy w realistycznym umyśle brytyjskim, nakazującym konieczność liczenia się z faktami dokonanymi i z potrzebą skanalizowania wezbranego potoku. Uzasadniając też tę brytyjską postawę, uważa L. S. Amery, [1]) że wskazane jest raczej podzielenie się z Japonią zyskami w eksploatacji Chin, umożliwiając jej większy w tym udział, ponieważ „jest rzeczą nieuniknioną, że w warunkach równoprawnej konkurencji, Japonii musi przypaść lwia część chińskiego handlu". Załatwienie spraw chińskich w porozumieniu z Japonią, może zahamować sowietyzację Azji, zmniejszając tym samym wiszące nad Indiami bolszewickie niebezpieczeństwo, a przeciwstawiając Japonię Rosji i osłabiając oba te mocarstwa w wzmagającej się dzięki temu ich rywalizacji, może oczekiwać W. Brytania wzrostu swych własnych wpływów na tym kontynencie. Przyjazne, a nawet choćby tylko neutralne ustosunkowanie się do poczynań Japonii, powiększa bezpieczeństwo Hong-Kongu, tego brytyjskiego emporium w Azji, będącego niejako zastawem brytyjskiej przychylności w ręku Japonii. Spotęgowanie japońskiej ekspansji, tak uzgodnionej z interesami brytyjskimi, może przyczynić się do zwiększenia antagonizmów amerykańsko-japońskich, a tym samym może podnieść znaczenie mediatorskich usług W. Brytanii.

[1]) L. S. Amery: *The Forward View*. 1935.

Wzrost japońskiej ekspansji na kontynent azjatycki pomniejszy ponadto oczywiście ich zapędy w kierunku mórz południowych, ku wyspom Zundu i Australii.

Ewentualne porozumienie z Japonią, chroniąc politycznie Azję przed destruktywną akcją bolszewizmu, niesie jednak w sobie poważne ryzyko utraty gospodarczej przewagi w eksploatacji tych krajów. Ryzyko to staje się szczególnie wielkim obecnie, gdy konkurencja japońska daje się dotkliwie odczuwać Anglii na rynkach tak jej własnych posiadłości zamorskich, jak i w koloniach obcych, pozostających jednak pod brytyjską hegemonią. Próba brytyjsko-japońskiego porozumienia w eksploatacji Mandżurii, podjęta w 1934 r. przez delegację brytyjskich przemysłowców, przekonała ich jednak, że mimo głoszonej przez Japonię intencji zachowania zasady polityki „drzwi otwartych", w drzwiach tych, jak wyrażają się „Vigilantes", [1]) „natłoczyło się tylu Japończyków, że żaden z cudzoziemców nie może przekroczyć ich progu". Zbyt wyraźnie zsolidaryzowanie polityki brytyjskiej z poczynaniami Japonii, może ponadto narazić Brytanię na przeciwdziałanie Stanów Zjednoczonych, których inicjatywa może z kolei pociągnąć szereg dominiów, w tej lub innej formie związanych ze Stanami, przyczyniając się do zachwiania jedności Imperium.

Biorąc też pod uwagę całość podobnych możliwości, polityka brytyjska na Pacyfiku i kontynencie azjatyckim nie może nigdy zdecydowanie opowiadać się za jakąś wyraźnie określoną koncepcją, lecz musi lawirować pomiędzy zwaśnionymi stronami. W szczególności w swych stosunkach z Rosją, Japonią i Stanami Zjednoczonymi, polityka ta, będzie zawsze wypadkową japońskiej asekuracji politycznej przeciwko penetracji bolszewickiej, oraz rosyjsko-amerykańskiej asekuracji gospodarczej przeciwko zbytniej penetracji japońskiej.

IV.

Zagadnienia Dalekiego Wschodu oraz kwestia wolności komunikacji z poszczególnymi częściami Imperium posiadają podstawowe znaczenie w imperialnej polityce brytyjskiej.

---

[1]) „Vigilantes": *Inquest on peace.* 1935.

Izolacjoniści twierdzą nawet, że są to jedynie poważne jej zagadnienia. Każdy jednak postęp dokonany w dziedzinie lotnictwa czy broni podwodnej, czyniąc z Kanału La Manche zwykły potok rzeczny, który tak łatwo można przekroczyć, coraz bardziej uświadamia wyspiarzy brytyjskich o ich wszechstronnej zależności od Europy. W takich warunkach polityka „świetnego odosobnienia", nigdy wprawdzie ściśle niepraktykowana, lecz mogąca jeszcze znaleźć w czasach minionych jakie takie uzasadnienie teoretyczne, staje się z każdym dniem coraz trudniejszą do przeprowadzenia.

Rozważając stosunek W. Brytanii do kontynentalnej Europy i zalecając umiarkowaną politykę izolacji, Amery we wspomnianej już swej pracy uważa, że posiadłości kolonialne szeregu mocarstw tego kontynentu są w rękach brytyjskich dostatecznym zastawem, usuwającym możliwości konfliktu. Z tychże rozważań byłego ministra kolonij wynika nawet wyraźnie, że agresywne tendencje Rosji i Japonii mogą przyczynić się do zsolidaryzowania kolonialnych systemów Europy kontynentalnej i W. Brytanii.

Na tę solidarność interesów mocarstw, posiadających olbrzymie obszary kolonialne, a szczególnie Brytanii i Francji, wobec rewizjonistycznych zamierzeń Niemiec i Włoch, wskazuje również Montgomery. Solidarność brytyjsko-francuska, wyraźnie zarysowująca się w rozważaniach tego publicysty już w 1928 r., staje się tym bardziej oczywistą dzisiaj, w dobie wzmożonych poczynań ich głównych dynamicznych rywali. Te właśnie poczynania wywołały nie tylko oświadczenie Baldwina, że granice Anglii leżą nad Renem, lecz także i całkowitą zgodność postępowania Francji i Brytanii, chociażby w sprawach hiszpańskich.

Solidarność tę zrodziły jednak nie tylko obawy o całość posiadłości kolonialnych, lub groźba zbytniej gospodarczej dynamiki tych państw, lecz w jeszcze wyższym stopniu powstała ona dzięki przewrotowi, dokonanemu w rozwoju lotnictwa. Dochodząc do wniosku, że chociaż lotnictwo nie jest decydującą bronią tak na polu walki, jak zwłaszcza przeciwko flocie wojennej, uważa jednak *Round Table,* [1])

[1]) *Round Table,* XII. 1936.

że może ono kompletnie zdezorganizować funkcjonowanie ośrodków gospodarczych, a teroryzując ludność całkowicie uniemożliwić obronę kraju; wyraźnie również podkreśla, że gwałtowny rozwój lotnictwa niemieckiego może równocześnie zagrozić Londynowi i Paryżowi. To też nie inne powody jak tylko troska o własne bezbieczeństwo przyczynia się do tego, że W. Brytania zwraca coraz większą uwagę ku wschodowi i północy, skąd, pamiętając o stałych dążeniach Rosji ku wolnemu morzu, oczekuje ona możliwości ataku rosyjskich sił morskich i lotniczych, zainstalowanych w atlantyckich portach Skandynawii. W tym zagadnieniu, tak Montgomery, jak i Amery, mimo zdecydowanej niezgodności ich poglądów na sprawę brytyjskiej polityki w stosunku do Europy, zgodnie uznają poważne znaczenie Skandynawii w brytyjskich posunięciach politycznych. Przypuszczać należy, że te również względy, wzbudziły zainteresowanie W. Brytanii krajami Bałtyku, dostarczającymi jej już obecnie całą masę surowców i żywności, a mogącymi tym bardziej służyć jej swymi dostawami w okresach utrudnienia śródziemnomorskich komunikacyj.

Nowe rzeczywistości, coraz wyraźniej wplatające sprawy brytyjskiego bezpieczeństwa w analogiczne zagadnienia Europy, czynią coraz mniej możliwą politykę „wspaniałego odosobnienia". Możliwości takiej polityki stają się tym mniejsze, że W. Brytania, lokując więcej niż trzecią część swego handlu w Europie, jest bardzo od niej zależną. Jeżeli ta gospodarcza zależność od Europy, uniemożliwia według opinii Montgomery'ego, stosowanie izolacjonistycznej polityki, to przeciw takiej właśnie polityce, tym bardziej zdecydowanie i z tych właśnie względów występuje Willert.[1]) Łącząc własne bezpieczeństwo z nietykalnością krajów na pobrzeżu Kanału, a nawet sięgają w tych zainteresowaniach jeszcze dalej w głąb europejskiego kontynentu, nie chce jednak W. Brytania wiązać się w tych zagadnieniach jakimiś określonymi i ścisłymi zobowiązaniami, ponieważ zawsze jeszcze hołduje zasadzie rozstrzygania tylko spraw konkretnych w wyraźnych momentach ich zaistnienia. Te

[1]) Willert: *The Frontiers of England*, 1935.

podstawowe założenia brytyjskiej polityki europejskiej doskonale ujął Montgomery,[1]) występując przeciw oddzielnym aliansom Anglii z jakąkolwiek grupą europejskich narodów. Byłoby to zdaniem tego publicysty niebezpiecznym angażowaniem brytyjskich sił w określoną akcję, ale w nieokreślonych okolicznościach.

V.

W tak skomplikowanej grze rozmaitych, a niekiedy i bardzo sprzecznych interesów całości Imperium Brytyjskiego i jego części składowych, powzięcie decyzji rozstrzygającej te zagadnienia, oraz ustalającej określone metody działania, nie zależy już obecnie jedynie tylko od woli rządu W. Brytanii. We wszystkich tych sprawach, uzależnianą jest ona bowiem także i od poglądów rządów dominialnych, których uzgadnianie nie staje się z dniem każdym łatwiejsze. Rozdźwięki, powstające przy takich okazjach, nie wychodzą oczywiście zazwyczaj poza mury Foreign Office'ów metropolii i dominiów, a publiczność rzadko tylko ma możność usłyszenia o nich. O tym jednak, że uzgadnianie poglądów dominiów i metropolii na sprawy polityki zagranicznej Imperium nie jest pozbawione wielkich trudności, świadczą najlepiej choćby sprawy Mandżurii i Abisynii, kiedy to nieporozumienia pomiędzy rządem metropolii a rządem niektórych dominiów wywołały ostre akcenty nawet na forum międzynarodowym Ligi Narodów. Niejednokrotnie również i w rozmaitych sprawach, rozstrzyganych przez organa Ligi, delegacje dominiów występowały przeciwko wnioskom, zgłaszanym przez delegację metropolii.

Jeżeli więc polityka W. Brytanii, która musi się liczyć z całością interesów imperialnych i napotyka na coraz większe trudności w ich koordynowaniu, nie zawsze jest zgodną z polityką poszczególnych dominiów i coraz częściej wywołuje publiczne dyskutowanie powstałych z tego powodu rozdźwięków, to nie mniejszych powodów do takich

[1]) *It woulf certainly be a grave mistake for the British Empire, with its world-wide scope, to tie itself to some European nation or group of nations by entering into separate alliances directed against one or several other Powers, or to pledge the British forces to definite action under indefinite circumstances.*

dyskusyj dostarczają nieporozumienia, powstające pomiędzy politycznymi i gospodarczymi tendencjami poszczególnych dominiów. Z nich najbardziej dawne i najbardziej głośne są ciągłe prawie nieporozumienia między Indiami a resztą dominiów, usiłujących szczelnie zamykać swe granice przed imigracją ras kolorowych z przeludnionych terytoriów Indyj. Dotychczasowa izolacjonistyczna polityka związku Południowo-Afrykańskiego, szczęśliwie sytuowanego w tak jeszcze bezpiecznej do niedawna zonie, wyraźnie przeciwstawiała się czynniejszej polityce bardziej eksponowanych dominiów. Ostatnie wypadki w Afryce Wschodniej wznieciły zainteresowania Związku Południowo-Afrykańskiego sprawami bezpieczeństwa imperialnego i tym samym zbliżyły jego poglądy do polityki Związku Australijskiego, nie znalazły jednak one pełnego zrozumienia w Kanadzie. Ściślejsze niewątpliwie zespolenie interesów tej ostatniej z zainteresowaniami Stanów Zjednoczonych, wciągając ją coraz mocniej w orbitę ich polityki, potęguje poważnie rozdźwięki powstające pomiędzy jej posunięciami politycznymi a gospodarczymi i politycznymi celami Australii i N. Zelandii na Pacyfiku i dalekim Wschodzie.

Pomijając już nawet szereg wyraźnych sprzeczności gospodarczych, przeciwstawiających sobie poszczególne części Imperium, a licząc się z samymi tylko przeciwieństwami politycznymi, będziemy musieli stwierdzić poważną wartość oświadczenia, złożonego dn. 25. I. 37 r. w parlamencie Kanady przez jej premiera głoszącego,[1]) że: „Kanada nie może być wciągniętą do wojny, prowadzonej przez innych członków Imperium, z samego tylko faktu przynależenia Kanady do Imperium, oraz że licząc się nawet z interesami całości tego Imperium, uważa ona za najważniejsze zadanie swej polityki zagranicznej przede wszystkim obronę swych własnych interesów". Biorąc pod uwagę fakt, że nie

[1]) *I want to make it quite clear that we will not necessarily become involved in any war into which other parts of the British Empire may enter simply because we are part of the British Empire... Canada's foreign policy, while it would take account of the interests of all those with whom she might be associated, would be based primarily upon what appeared to be the interest of Canada in any situation which presented itself.*

innym zasadom hołduje również i reszta dominiów, szczególnie mniej zagrożonych rozmaitymi niebezpieczeństwami, będziemy musieli stwierdzić całą trudność, mającej się zebrać w maju br. konferencji imperialnej, która w pierwszym rzędzie poświęci swe obrady tym właśnie sprawom. Ponieważ, jak donoi *Times* [1]) (14. I. 37), sprawy gospodarcze Imperium są już dostatecznie szeroko omówione i przygotowane, najważniejszym zadaniem konferencji będzie omówienie zagadnień związanych z bezpieczeństwem Imperium, jego polityką zagraniczną, oraz spraw imperialnych komunikacyj.

Z pośród zagadnień, wiążących brytyjską politykę zagraniczną, specjalnie ze względu na bezpieczeństwo jej posiadłości, zamorskich, na pierwszy plan wysuwają się sprawy stosunków Imperium ze Stanami Zjednoczonymi, stykającymi się z Kanadą na przestrzeni prawie 6,500 kilometrów niczym nie chronionej granicy. O ile dzisiaj powszechnie prawie uważa się w W. Brytanii, że sprawy Kanady, a do pewnego stopnia również i kwestie Pacyfiku, związane z bezpieczeństwem Australii i N. Zelandii, wymagają brytyjsko-amerykańskiego porozumienia, to jednak nie znaczy bynajmniej, że tak w przeszłości, jak i obecnie, brakowało i brakuje powodów do tarć pomiędzy obu anglosaskimi mocarstwami. Stosunki te dostatecznie zcharakteryzował Montgomery [2]) mówiąc, że samo podejrzenie możliwości opanowania Kanady przez Stany Zjednoczone, jest już poważnym powodem, wymagającym specjalnego taktu w ustosunkowaniu się Imperium do Stanów.

Nie mniej drażliwą jest sprawa bezpieczeństwa zamorskich posiadłości, zaludnionych przez zwartą masę wy-

[1]) *This will leave the delegates free to devote their attention largerly to the important problems of Imperial Defence and foreign policy, which will be prominent on the agenda paper, and to many questions arising out of inter-Imperial communications.*

[2]) *The suspicion that Canada will at some future time be drawn so deeply into the sphere of American influence that it will be impossible for her to remain inside the British Empire may be completely groundless, but the mere fact that such a suspicion exists proves that one is here on delicate ground and that greatest tact is required in order to avoid unnecessary friction.*

znawców Mahometa, żywo zawsze reagujących na każde zajście w świecie muzułmańskim. Na to właśnie zagadnienie czuwania nad spokojem przeszło pół setki milionów liczącej masy muzułmanów, jako na sprawę podstawową Imperium, zwraca szczególną uwagę gen. Mac Munn, posiadający w tej dziedzinie przeszło trzydziestoletnią praktykę w Indiach.

Wzmożona w ostatnich latach działalność mocarstw Europy i Azji, znacznie utrudnia zadania brytyjskiej polityki zagranicznej, zmuszonej myśleć równocześnie o coraz mniej pewnym bezpieczeństwie metropolli, jak i o coraz trudniejszym zadaniu utrzymania jedności Imperium. Poświęcając się całkowicie zagadnieniu pierwszemu i zespalając ściślej brytyjskie poczynania ze sprawami Europy, może ona wywołać niezadowolenie dominiów, bardziej skłonnych do przypuszczeń, że naraża się w ten sposób ich bezpieczeństwo; większe natomiast zwrócenie uwagi na zagadnienie zamorskie i doraźne tylko rozwiązywanie spraw europejskich może poważnie zaszkodzić bezpieczeństwu metropolii. Zadanie pogodzenia tych sprzeczności, stojące przed najbliższą konferencją Imperialną nada wielką wagę jej obradom, jak również zadecyduje o przyszłej polityce Imperium, która naszym zdaniem, coraz mniej będzie zdolną do wprowadzenia w życie zasad *splendid isolation*.

Roman Piotrowicz.

Miguel de Unamuno.

(29. IX. 1864 — 31. XII. 1936)

Duchowy wódz młodej Hiszpanii, ten, z którego dziedzictwa czerpią i biorą tak nacjonaliści, do których w chwili decydującej się przyznał, jak i stronnicy lewicy, którzy go długo uważali za swego, a za mniemaną zdradę poczęli potem płacić obelgami — Don Miguel de Unamuno, dożywotni rektor Salamanki umarł. Zabłysnął jeszcze tym, czym był w swej istocie, on, dusza prometejska, mnogokształtna i mnogotwórcza, ujawnił światu swoje istotne oblicze, na którym odbijała się głębia pozaświatów, głębia ducha prahiszpańskiego, odwieczno katolickiego, choć nieraz marszczona podmuchami bolesnej ironii, ściemniana nalotami wątpliwości — i poszedł do ojczyzny, dla której ostatecznie żył.

By skreślić charakterystykę Unamuny wystarczy powiedzieć, że był typowym, doskonałym przedstawicielem i zarazem wcieleniem duszy hiszpańskiej. Anarchista ze smutnej spuścizny, szyderca, który z brutalną rozkoszą własne rany, zadane mu w pogoni za prawdą, wciąż a wciąż rozrywał, człowiek, który gardził każdym przymusem, który jęczał pod niewolą swoich żądz, którym się dał uwikłać i spętać duchowi czasu i przestrzeni, a przecież wyrwał się z rozlicznych więzów i wrócił ku temu, co wieczne i nieprzemijające. Unamuno, to jeden z tych poszukiwaczy Boga, którzy lękając się swego głodu, nie mogą równocześnie zaprzestać namiętnego wołania i namiętnej pogoni za praprzyczyną wszelkiego jestestwa. Długie lata drżał przed nieuchronną śmiercią, która go teraz zabrała, a żył mimo to

prawdą nieśmiertelności; tak jej był pewien, i tak się nią karmił, jak inni pewnością doczesnego życia.

Sam przyznaje: „Jestem człowiekiem pełnym sprzeczności, zapaśnikiem własnego sprzeciwu... człowiekiem, który sercem mówi tak, a rozumem nie uznaje i zaprzecza". Człowiekiem — takby należało dodać — w którym szlachetne serce górę wzięło, a którego rozum, jasny i przenikliwy urodzonego myśliciela i niezrównanego badacza z fałszywej pruderii przed samym sobą dopóty zwlekał z przyznaniem, dopóki oczywistość go nie powaliła.

We wszystkich kwestiach zasadniczych naszego jestestwa brak nam oczywistości, przynajmniej tej w grubomaterialnym ujęciu i żądaniu „głupiego XIX stulecia". I dlatego Unamuno, prawdziwy Hiszpan, poszedł śladami swych ziomków: Ignacego z Loyoli, Teresy wielkiej, Korteza... i dał się porwać prawom intuicji mistycznej, prawom tej logiki, która sięga poza i ponad blichtr doczesnych zjawisk. „Być, wieczyście być! Jam głodny bytu, ja pragnę być, wiecznie istnieć i trwać. Czuję głód Boga. Pożera mnie głód miłości, która wieczna i która uwiecznia". W tych słowach wyraził pierwszą z tych dwóch prawd zasadniczych, na których zbudowany był jego pogląd na świat. A wniosek z niej wyprowadzony tak skrystalizował: „Bóg, za którym głoduje dusza nasza, ten, który ma duszę naszą wyrwać z nicości i przed nią uchronić, ten nieśmiertelność rozdzielający Bóg — On z konieczności wszechmocy panem być musi".

Z tym Bogiem i o tego Boga Unamuno walczył przez dwa pokolenia, prawdziwy *athleta Dei.* Nie pobożnik żaden, który w świętym spokoju odmawia pacierze i przykazania spełnia Pana, ale potomek duchowy z rodu Kierkegaarda i Dostojewskiego, z rodu Papini'ego i Bloy'a, z rodu Kasprowicza i Thompsona, którzy wiarę po ojcach odziedziczoną boleśnie sobie wywalczyć muszą. Ale Unamuno nie byłby prawdziwym synem południa, gdyby przy tym rysie głębokiego tragizmu nie ujawniał równocześnie pewnej słoneczności, gdyby nie posiadał skarbu rodzinnego wesela i humoru. Śród całego *sentimento trágico de la vida,* które mu chrzest swój dało, pozostaje wiecznie uśmiechnięty, żartujący i ochoczy. „Don Miguel ma szczególne upodobanie

do żartów tragicznych", których nigdy tragicznie brać nie należy.

Takim się wszystkim objawiał, którzy się z nim zetknęli w kontakcie przyjaźni. Takim przedstawia go w ostatnim zeszycie *Correspondant*, na kilka dni przed śmiercią Unamuna, francuski hispanolog Abbé Jobit, tak go przedstawia francuska tłumaczka jego pism, M. Pomès, i tak mi przedstawił Unamunę najwybitniejszy jego kolega, katalończyk Eug. d'Ors — i takim go sam poznałem.

Z postaci dostojny Hiszpan, do ostatniego cała prawdziwa stara, dobra krew i rasa, wyrazista twarz, kształtne dłonie i stopy, naturalny wdzięk i elegancja, które przebijały na każdym kroku, mimo całej oryginalności ubrania, w ruchach, mowie i w całej postaci.

Unamuno, jak wiadomo, pochodził z kraju Basków. Urodził się w Bilbao, 1864 r. Świetnie ukończone a gruntowne studia otworzyły przed nim niezwykle wcześnie karierę pierwszorzędnego naukowca. Hellenista i znawca sanskrytu po fachu, był przy tym prawdziwym *uomo universale*, jednym z tych klasyków, z jakimi prawie wyłącznie się stykamy w krajach o kulturze łacińskiej, zapoznany zarówno z teologią jak i filozofią i jej naukami pomocniczymi, z prawem, z historią, z ekonomią społeczną, z psychologią ludów, z estetyką i literaturą. Przy pierwszym występie ujawnił się jako mistrz słowa pisanego i mówionego. W stylu jędrny i pełen wdzięku nie cofał się przed żadnym tematem. Erudycja fachowa i zaciszna *causerie*, tok dramatyczny i głębia refleksyj, miażdżąca polemika polityczna i liryczny pląs w śpiewach o miłości, krzyk do Boga i cyzelerskie odtwarzanie w miniaturze ludzkich błazeństw — to tyleż wnętrznych nurtów jego duszy, którymi władał, kiedy wołała potrzeba. Nagany, których mu nie szczędzono za troskliwie cieniowany styl, okrzyczany jako niejasność, dzielił pospołu z A. Suaresem i Claudelem we Francji, lub z Krausem i Haeckerem w Niemczech. Istnieją przecież ludzie — a jest ich większość, którzy znieść nie mogą lustra kryształowego, bo zawsze czują się bezpieczniej i pewniej widzą w półmroku.

Z książek napisanych przez Unamunę mniej nas obchodzą w tej chwili dzieła fachowe. Więcej za to dzieła, któ-

rymi wsławił się w literaturze ogólno światowej. Wliczyć do nich nasamprzód wypada rozważania nad „życiem Don Quichota i Sanchosa", nad „sentymentem tragicznym życia", nad „agonią chrześcijaństwa", które trudno wcielić w jakąś określoną dziedzinę literatury; dalej dziełko polemiczne przeciwko Alfonsowi XIII, którym Unamuno w niemałej mierze przyczynił się do upadku monarchii; wreszcie przepojone filozofią, powieści i nowele, jak *Mgła, Zwierciadło śmierci, Abel Sánchez*, trzy wzorowe nowele: *Ciocia Tula, Św. Emanuel Bueno, męczennik* oraz dwa utwory sceniczne: *Tamten drugi* i *Brat Juan*, które krótko po wybuchu rewolucji hiszpańskiej tak wielkiego nabrały rozgłosu — oto skromna spuścizna wielkiego człowieka. Wszystkie te dzieła są stosowaną filozofią, przedstawianiem obrazowym zasad na kanwie fikcyjnych wypadków i zdarzeń.

Unamuno bowiem, utalentowany pisarz i poeta, był nade wszystko, i chciał być nauczycielem, wyznawcą, sumieniem. On to przecież cztery dziesiątki lat temu po katastrofie wielkiej przegranej przeciwko Stanom Zjednoczonym żądał i przepowiedział z „tymi z 1898 r." odrodzenie narodowe Hiszpanii. On to bezustannie parł na wejście w siebie, na badanie samego siebie, na prawdę, on domagał się wolności jako warunku do dobrowolnego przyjmowania obowiązku. Zdziczenie i rozwiązłość zwierzęcego anarchizmu potępiał zawsze. W swym uporze bezkompromisowym domagał się prawa całkowitej wolności jako korrelatu i jako kroku wstępnego do przyjęcia na siebie obowiązku i do wciągnięcia się w zdrowo przemyślaną tradycję.

Przeoczył, albo udawał że przeocza, iż droga ta jest przeznaczona i zachowana tylko dla małej garstki tych, co rozumieją; i to było nie tylko tragicznym błędem Unamuny, ale i fatalizmem jego dziejowym, którym bezsprzecznie zaciążył i nad pokoleniem sobie współczesnym i wycisnął piętno klęski na odłamie młodej Hiszpanii. Przez szereg lat, jako przeciwnik nieubłagany chylącego się tronu królewskiego i lekkomyślnej, niepłodnej dyktatury Primo de Rivery, uchodził za przedstawiciela tych kół i prądów, które się w 1931 r. złączyły w Republikę Hiszpańską. Zbieżność czysto zewnętrzna i przypadkowa zrobiła tu wrażenie wewnętrznego związku,

wewnętrznego sharmonizowania się Unamuny z anarchizmem. — Unamuno drwił sobie z reżimu, którego owocem była ruina wielkiej i świetnej przeszłości, a którego symbolem były panie dworskie obdarowane dochodem z przytułków na wystawie barcelońskiej. Gniew jego wywołał reżim, który mu kazał przywitać przejeżdżającą infantkę według reguł nadgniłego ceremoniału i który go za niezachowanie tych ceregieli z katedry usunął. Żal i rozgoryczenie jego wywołał reżim, który zatracał odwieczne wartości katolickiej monarchii, by w operetkowym stylu zabawiać się bigoterią i używaniem. Że tego banitę odwołali z wygnania ludzie lewicy, że bawiąc w Paryżu z nimi przestawać musiał, że zwycięstwu rewolucji zawdzięczał powrót swój do ukochanej ojczyzny — za to wszystko nauki jego winić nie podobna. Swym nieproszonym towarzyszom drogi nie okazywał żadnej sympatii.

Hiszpańską republikę zresztą krytykował już od samego początku. Dla Azany i całego mieszczańskiego dorobkiewiczowstwa miał tylko słowa szydzącej pogardy. A kiedy rozgorzały okrucieństwa wojny domowej, kiedy płonąć poczęły kościoły i pałace, kiedy już nie stało innej drogi ani innego wyjścia nad oświadczenie się za albo przeciw, wtedy on, rektor Salamanki, wypowiedział się za powstaniem narodowym. Za to czerwoni zapłacili mu nieśmiertelną nienawiścią. Ostatnie dni jego życia-bojowania tą łuną się krwawiły. Dostojnego starca i to nie zmyliło. Pozostał sam sobie wierny i wierny narodowi swemu.

Albowiem w tym jednym był spokrewniony z wzorem swoim Don Quichotem, że bez względu na następstwa bronił do upadłego tego, co uznał raz za prawe. Hordom Sanchosów dozwolił plądrować i rabunkiem się cieszyć, dozwolił im wabić się żerem i zwierzęcą rozkoszą, on jednak, giermek wielki z ojczyzny Basków trzymał straż rycerską i stawał na warcie, jako przed nim jego brat, ten z Manchy i jako Don Innigo, nim założył Towarzystwo Jezusowe. On nie wiedział co to wstyd, kiedy odziany w habit wziął w myśl starej tradycji udział w procesji i sakralnym tańcu na cześć Boga i Najśw. Madonny. Nie wiedział co to bojaźń i obawa przed reakcją, bo reakcja każda jest jak wi-

dziadło, a widziadło lękiem napełnia tylko tchórzów. On, rycerz bez skazy i trwogi, dziedzic i herold zastępu tych wszystkich hiszpańskich rycerzy, którzy w obronie Radosnej Nowiny ginęli i zwyciężali, był wcieloną odwagą. *Nader menos que todo un hombre,* był niemniej tylko mężczyzną w każdym calu. Tym tytułem i dedykacją *sapere auso,* temu, który się odważył mądrym być, czcić go będzie cały świat. Przed Bogiem wszelako i przed ojczyzną swoją przekracza próg wieczności jako wierny, długo uważany za marnotrawnego, wreszcie odnaleziony syn zwątpiałej, w ogniach płonącej, z niebezpieczeństwem igrającej, w otchłań się staczającej a przecież bohatersko ku katolicyzmowi się wyzwalającej Hiszpanii.

Dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Kornel Makuszyński: Złamany miecz (wyd. Gebethnera). — Zygmunt Nowakowski: Wytatuowane serca (wyd. Gebethnera). — Kazimierz Warchałowski: Krokodylim szlakiem (wyd. Mortkowicza). — Tadeusz Zieliński: Klechdy Attyckie, seria trzecia i czwarta (wyd. Mortkowicza). — Halszka Szołdrska: W ogniu i w locie, powieść biograficzna (wyd. św. Wojciecha).

Książek dla młodzieży Kornela Makuszyńskiego nawet nie warto chwalić, tak z góry wiadomo, że będą dobre. Ten, kto potrafił w tej dziedzinie stworzyć *Koziołka matołka* postać epiczną, postać już dziś mitologiczną i zakorzenioną w polskiej, powiedzmy pieśni dziecinnej, ma na tym polu nobla. Jego ostatnia książka *Złamany miecz* potwierdza to zaufanie w zupełności. *Złamany miecz* to historia pełna przygód, wzruszeń i humoru. Historia biednego chłopca Adasia Gilewicza, który przygarnięty przez kolegę Wojtka Kropkę, syna stróża nocnego, zabiera potem swoich opiekunów do niespodziewanie odziedziczonej wsi na Litwie. Tam to rozgrywa się główna akcja powieści, opiewająca homeryczne i na homeryczno stylizowane boje dwóch wrogich rodów Gilewiczów i Niemczewskich. Po wielu awanturach, powaśnione rody godzą się i w dalekiej perspektywie widać już wynikłe z tej zgody obowiązkowe małżeństwa. Wszystko to jest pisane z beztroskim humorem, dużą zamaszystością i fantazją. Nie ma wątpliwości, że autor bawił się świetnie pisząc tę książkę. Dzieci, które ją pochłaniają, bawią się także, bawi się nawet recenzent, zadowolony, że raz wkońcu nie potrzebuje grzebać się w „społecznych ramach“ i udręczonych duszach, a tylko śledzić grę dziwacznie i nieprzewidzianie zazębiających się wypadków. Jeżeli chodzi o wartość pedagogiczną tej książki, to jej morał jest doskonale ukryty, nie wypływa na wierzch, nie nudzi i nie zrzędzi, choć oczywiście sławi cnotę i szlachetność. Bardzo jest też miły ładny i pełen dyskretnej poezji sentyment dla wsi, dla lasu, dla wiejskiego życia i dla tradycji. Trzeba przyznać, że Makuszyński nie bardzo się widocznie liczył z wymaganymi dla młodzieży (a i wogóle) tendencjami demokratycznymi, i możliwe

że tzw. „pewne czynniki" miałyby coś „naprzeciw" humorystycznej postaci papy Kropki, ale „genre Bouffe" całej książki doskonale miłego autora rozgrzesza!

Zupełnie różna w swym założeniu, jest książka drugiego asa literatury, piszącego dla młodzieży, *Wytatuowane serca* Zygmunta Nowakowskiego. *Wytatuowane serca* to zbiór nie tyle opowiadań, ile „kawałków" pouczających, zgrabnie w formę powiastek obleczonych. Prawie wszystkie zawarte w tym tomie opowiadania to, jak objaśniają przypisy, ustępy czytanek dla wydawnictw książek szkolnych. Naprawdę podziwiać można, jak autor potrafił uskrzydlić i ożywić te wszystkie tematy z zakresu historii, geografii, archeologii, teatrologii, i wogóle wszystkich kształcących tematów na świecie. Ajschilos i Bartosz Głowacki, wykopaliska kopca Krakusa i węgiel górnośląski przewijają się jako motywy pasjonujących historii. Autor nadał tym ciężkim problemom wagę już nie kogucią ale piórkową, a co ważniejsze jeszcze, ożywił je od wewnątrz miłym i dyskretnym sentymentem.

Ale gdy czytamy te pouczające opowiadania, marzy nam się ciągle coś innego: gdyby tak Nowakowski napisał powieść dla młodzieży, nie taką dydaktyczną, nie taką na zadane przez wydawnictwa szkolne tematy, ale od tak sobie, taką powieść jak mówią chłopi „z dobra woli". Gdy się widzi skarby humoru, pomysłowości i uczuciowości zawarte w tych ściśle oznaczonych co do tematów opowiadaniach przychodzi na myśl, jak pięknie rozwinęłyby się one, gdyby mogły funkcjonować bez przymusu. *Przylądek dobrej nadziei* nie pisany specjalnie dla dzieci, lecz właśnie tak, dla siebie, miał i ma u dzieci powodzenie ogromne. Powiem po cichu, że od czytanek większe. Dzieci nie są takie głupie jak się starszym wydaje: one także, tak jak i my, wolą literaturę niedydaktyczną! Oczywiście i to jest potrzebne, ale myślę że nie nadużyję swoich kompetencji recenzenta, jeśli w imieniu młodzieży „obstaluję" u Nowakowskiego taką właśnie prawdziwą powieść, powieść w której będą ze sobą rozmawiały koperty i jaskółki, w której frunie w powietrze balon z maminej spódnicy zrobiony, i w której będą się działy rzeczy dziwne i nieoczekiwane, niezrozumiałe i tajemnicze jak w teatrze, taką powieść z której się właściwie nie będzie można niczego dowiedzieć i niczego nauczyć, a która tylko wprawi w szybszy ruch małe serduszka, która sprawi, że będą się dzieciom „oczy pociły". O taką powieść bardzo pana Nowakowskiego prosimy: nam sprawi radość, a sam napewno zabawi się doskonale pisząc ją.

Na książce Kazimierza Warchałowskiego *Krokodylim szlakiem* nie jest wcale napisane, że jest to książka dla młodzieży: format jest zupełnie dorosły, rysunki też prawie do-

rosłe. I znam kilka osób, włączając w nie siebie, które zwiedzione pozorami dorosłości do czytania tej książki się zabrały. Oczywiście w toku czytania spostrzegły pomyłkę co do adresu, ale książka była tak ciekawa, że wszyscyśmy ją skończyli... *Krokodylim szlakiem* jest książką robioną wedle najlepszej klasycznej recepty używanej przez Verna, Main Reida i innych podróżników egzotycznych, którzy czarowali nasze dzieciństwo. W głębi dziewiczej amerykańskiej puszczy rozbija się samolot i jego pasażerowie, angielska lady i polski chłopczyk, zostają w pozycji bez wyjścia. Oczywiście wychodzą z niej świetnie. Nie zjadają ich ani jaguary ani krokodyle, ani złośliwe mrówki, ani jadowite węże, które spotykają na każdym kroku. Nie zabijają ich nawet dzicy, choć tu jest z podróżnymi już bardzo niewyraźnie. Szczęśliwie w ostatniej, ale to dosłownie w ostatniej, chwili zjawiają się zbawcze hydroplany i podróżnych ratują. Po drodze możemy się nauczyć historii naturalnej całej Ameryki Południowej. Ale nauka jest tak barwna i ciekawa, że godzimy się na nią chętnie. Bardzo zgrabnie wplata też autor refleksje o polityce kolonialnej, o jej wartości i doniosłości, robi zgrabną i rozumną propagandę za ideą polskiej kolonii. Także i motyw religijny nie jest tu pominięty, przeciwnie przewija się w sposób miły choć dyskretny. Jednym słowem ładna, zajmująca, mądrze patriotyczna i katolicka książka.

Klechdy Attyckie to jakby powieści na tematy starogreckie, na pół mitologiczne, na pół heroiczne, opowiedziane dla młodzieży przez wielkiego filologa Tadeusza Zielińskiego. Jest to jedna z jego prac dawniejszych, świeżo z rosyjskiego na polskie przełożona i ładnie przez Mortkowicza wydana. Czy młodzież więcej się dziś zajmująca sportem, zagadnieniami technicznymi, lub też społecznymi niż kulturą antyczną — w tych opowiadaniach zagustuje — trudno przewidzieć. *Klechdy Attyckie* są pisane (rozumie się samo przez się) z wielką erudycją i wielką kulturą, ale może znakomity uczony nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ten świat, w którym obraca się jak w domu, jest jednak dla nas daleki i mało znany. To też trudno nam nieraz zorjentować się w tym zawiłym splocie genealogii ludzi i bogów, w olbrzymiej attyckiej legendzie i mitologii. Często także „węzeł" danej historii polega na poincie tzw. drażliwej, i choć autor bardzo delikatnie prześlizguje się po nich nieraz właśnie istotny sens jest wskutek tego nieuchwytny. Dlatego przypuszczam, że z większą przyjemnością a nawet korzyścią będą czytać te opowiadania starsi niż młodzież.

W ogniu i w locie Halszki Szołdrskiej jest to historia lotnika Skarżyńskiego, ujęta w formę biograficznej powieści. Autorka prowadzi swego bohatera od lat dziecinnych poprzez

szkoły, poprzez wojenną zawieruchę, poprzez służbę na froncie, potem przez choroby i cierpienia aż do szkoły lotniczej, do której dostaje się z wielkimi trudnościami ze względu na swoje kalectwo (po wojnie została mu niewyleczalna kulawizna) aż do jego sławnego na świat cały samotnego lotu transoceanicznego. Główny nacisk kładzie autorka na niezwykłą siłę charakteru naszego lotnika, który przeszedł nieludzkie męki licznych operacji, aby tylko doprowadzić swoje zdrowie do takiego stanu, by móc służyć ojczyźnie jako żołnierz frontowy, jako lotnik. Jest to książka pełna zapału patriotycznego dla polskiej armii a przede wszystkim dla lotnictwa. Opisuje jego ciężkie początki i jego świetny rozwój. Młodzi entuzjaści „skrzydeł" dużo z niej skorzystają i dużo się dowiedzą. Książka ta jest debiutem młodziutkiej autorki, nosi też wszelkie cechy debiutu: ma jego wady, trochę rozwlekłości, czasem zwykłego patosu, ale ma i zalety: szczery zapał, dużą szlachetność i żywość opowiadania. Nie można wątpić, że młoda autorka „wyrobi się" na siłę bardzo cenną i bardzo wartościową.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Bildungskräfte im Katholizismus der Welt seit dem Ende des Krieges. Unter Mitwirkung von Fachkennern des In-und Auslandes herausgegeben von Prof. Dr Friedrich Schneider, Köln. Freiburg im Breisgau 1936 Herder & Co. Str. XXII+403.

Mnóstwo jest książek na temat: czym jest, co może i powinien zdziałać katolicyzm na polu oświaty i wychowania. Sporo jest również poważnych prac historycznych, które przedstawiają jego dorobek w tej dziedzinie w czasach dawniejszych. Ale brak jest zestawień tego, co uczynił w latach ostatnich. I tę lukę, tak dotkliwą dla każdego katolika, a zwłaszcza dla działacza katolickiego, postanowił wypełnić wydawca wymienionej powyżej pracy, prof. dr Friedrich Schneider z Kolonii, założyciel i długoletni redaktor czasopisma *Internationale Zeitschrift für Erziehungswissenschaft*. Prace przygotowawcze do dzieła, które ukazało się pod koniec ubiegłego roku, rozpoczęły się już przed paru laty. Obok wyszukania odpowiednich współpracowników z różnych krajów, nie mniej trudnym było ustalenie dokładnego programu, aby poszczególne artykuły mogły stworzyć jednolitą całość.

Jak już sam tytuł książki wskazuje, nie myśli i projekty miały stanowić jej treść, lecz zestawienie tego, co już dokonano w pojedynczych krajach, z wyraźnym uwzględnieniem jednak nie tylko różowych ale i ciemnych stron rzeczywistości. Po wtóre, chodziło nie jedynie o stan katolickiej pedagogiki i działalności na terenie szkoły, ale o całokształt wpływów katolicyzmu na oświatę i wychowanie, na kulturę i opinię publiczną, na literaturę i prasę, kino i radio, na organizacje i jednostki. Przegląd zaś

ten — okoliczność ważna ze względu na aktualność dzieła — obejmuje wyłącznie okres powojenny, od r. 1918.

Z trzech głównych części składa się całość.

Pierwsza poświęcona jest zagadnieniom ogólnym. Treściwym rzutem oka na wielką misję wychowawczą Kościoła kat. i jej trudności otwiera książkę Siegfried Behn (Bonn). Jaką rolę w tej misji odegrał Rzym, a więc papieże i Kongregacje rzymskie, zestawia Joseph Schröteler (Düsseldorf-Frankfurt a. M.). Uwagę jego zatrzymuje zwłaszcza nowy *Kodeks Prawa Kościelnego*, który, obok spraw związanych z kształceniem duchowieństwa, wytknął zasadniczą linię polityki szkolnej dla katolików całego świata. Rozszerzeniem i wyjaśnieniem tych zasad była Encyklika Piusa XI o wychowaniu chrześcijańskim i częściowo Encyklika o małżeństwie chrześcijańskim. Praktycznie przeprowadził Kościół te zasady przez zawieranie konkordatów, wydanie przepisów o studiach duchowieństwa i popieraniu katolickiego nauczania.

Druga, najobszerniejsza część dzieła składa się ze sprawozdań z poszczególnych krajów. Dowiadujemy się więc o odrodzeniu ruchu katolickiego w Niemczech, zwłaszcza w organizowaniu młodzieży, oraz na polu pedagogiki i piśmienictwa katolickiego. Trudności ostatnich czasów nie zostały poruszone. W Austrii podkreślono działalność na polu szkoły i organizacyj katolickich szkół, rodziców i nauczycieli. Mająca tylko 41% katolików Szwajcarja posiada uniwersytet kat. we Fryburgu i dość liczne organizacje katolickie. Anglia i Walia (bez Szkocji i Irlandii), choć posiada zaledwie około 2 milionów katolików, szczyci się posiadaniem blisko 1900 szkół powszechnych parafialnych z 400 tys. dzieci i 1378 szkół średnich z 442 tys. młodzieży; podkreślono przy tym, że od 11-go roku życia nie ma już koedukacji. Jako duży brak zaznacza się jednak, że katolicyzm, choć rośnie w siłę wewnętrznie, nie wywiera widocznego wpływu na całość życia narodowego Anglii. Obszernie została przedstawiona działalność Kościoła we Francji, gdzie po wojnie światowej znaczenie jego bardzo wzrosło. Chlubą jej są zwłaszcza liczni wybitni katolicy świeccy, oraz prywatne szkolnictwo, na które katolicy tamtejsi łożą rocznie około 100 mil. franków. We Włoszech pierwsze lata po wojnie przyniosły wzrost wpływów katolicyzmu, ograniczonych dopiero przez przyjście faszyzmu. Na polu oświaty i wychowania pozostał jednak Kościół ważnym czynnikiem, posiada wybitnych uczonych i pisarzy, liczne wydawnictwa, oraz Uniwersytet Katolicki w Mediolanie.

Także z innych części świata znalazło kilka ważniejszych krajów specjalną wzmiankę. Katolicyzm w Stanach Zjedn. Am. Pn. ma po wojnie światowej do zanotowania zarówno zyski jak straty, a na życie publiczne wywiera słaby stosunkowy wpływ. Najwięcej zdziałano tu dla sprawy katolickiego szkolnictwa; katolicy amerykańscy utrzymują tu własnym kosztem 10.428 szkół wszel-

kiej kategorii z ogólną liczbą przeszło $2^1/_2$ mil. uczniów. Szkoły wyższe stoją tu dość słabo, brak jest katolickich uczonych i pisarzy. W Chinach grunt jest podatny do pracy wychowawczej katolickiej, która rozwija się przez szkoły i duszpasterstwo, ale stosunki obecne utrudniają ją bardzo. Dobrze, ale na małą skalę rozwija się katolicka działalność oświatowa i wychowawcza w Indiach, Japonii i na Archipeladu Malajskim; brak jest jednak instytutów i czasopism pedagogicznych, oraz pedagogiki przystosowanej do ludzi Wschodu.

Trzecia, obszerna również część książki omawia niektóre ważniejsze pola pracy katolickiej, oraz wyniki i braki jej w poszczególnych krajach. Kolejno poruszone zostały: ruch organizacyjny młodzieży katolickiej świata, który wzrósł ogromnie w porównaniu ze stanem przedwojennym, a skrępowany został jedynie w państwach totalnych; katolicki ruch zawodowy, uniwersytety katolickie, ruch liturgiczny i charytatywny, udział katolików w rozwoju pedagogiki społecznej i psychologii pedagogicznej.

A jak przedstawia się Polska w świetle tego dzieła? — Pamiętam, jak dwa mniej więcej lata temu prof. Fr. Schneider przysłał i do nas list i szczegółowy kwestionariusz (a zapewne przysłał i innym) z prośbą o wzięcie udziału. Ponieważ chodziło o dzieło poważne, zwróciliśmy się wtedy do sfer uniwersyteckich o artykuł o pedagogice katolickiej w Polsce powojennej, lecz usłyszeliśmy, że takiej nie ma. Z tego punktu wypadło więc zrezygnować, ale pozostało jeszcze dużo rzeczy innych, z działalności oświatowej i wychowawczej, zawodowej, liturgicznej, charytatywnej, wydawniczej, młodzieżowej, którymi możemy się słusznie poszczycić. Niestety, tu pokazało sie znowu, że nie mamy źródeł, któreby to wszystko zestawiały. Nie posiadamy ani tak świetnego wydawnictwa, jak redagowany przez H. Krose T. J. *Kirchliches Handbuch für das katolische Deutschland*, ani choćby popularnego *Almanachu* katolickiej Francji. Wiedząc zaś z własnego doświadczenia, ile kosztuje i jak mało daje próba zebrania informacyj z całego kraju, woleliśmy zrezygnować z pisania, niż dawać obraz cząstkowy i niepewny.

Skończyło się na tym, że ktoś inny przysłał Redakcji dzieła zwięzłe sprawozdanie o Kat. Związku Młodzieży oraz o katolickim na ogół charakterze naszego harcerstwa i Sokoła (str. 242), wzmiankę o Kat. Uniwersytecie w Lublinie (str. 274), o ruchu liturgicznym (str. 295) i dwie małoznaczne notatki w rozdziale o ruchu charytatywnym (str. 315 i 335). Poza tym, zwłaszcza w drugiej, głównej części dzieła, głuche milczenie o Polsce, choć jest mowa o Chinach i Archipelagu Malajskim.

Jest to dobra choć przykra nauka dla nas, katolików Polski. Nie umiemy cenić tych rzeczy, nie potrafiliśmy po tylu latach zdobyć się na zestawienie tego, co mamy. Zadanie to winien podjąć Nacz. Instytut Akcji Kat., bo jemu z pomocą K.A.P., naj-

łatwiej będzie zebrać potrzebne informacje i wydawać jakiś periodyk o stanie i rozwoju katolickich instytucji w kraju. Zaniedbanie dotychczasowe, o ile zaś chodzi o omawianą książkę, możnaby jeszcze naprawić, gdyż prof. Fr. Schneider zapowiada w przedmowie wydanie nowego tomu ze sprawozdaniami z krajów tu nie mymienionych (str. VIII).

Tom obecnie wydany możemy gorąco polecić, jako pierwszą wielką próbę zestawienia działalności Kościoła na polu oświatowym i wychowawczym w latach najnowszych. Są tu bez wątpienia niejedne braki, ale to, co podano, posiada już ogromną wartość dla społeczników, nauczycieli i wychowawców, pisarzy i duszpasterzy, duchownych i świeckich.

Ks. S. Podoleński T. J.

Dr Edmund Kalt — Professor am Priesterseminar in Mainz: Biblische Archäologie. 2. vermehrte Auflage. Mit 23 Bildern auf 8 Tafeln. (8°. XII u. 148S; 8 Tafeln) Freiburg im Breisgau — Herder. Geheftet 2·70 M.; in Leinen 3·80 M.

Dr Edmund Kalt, prof. Sem. Duch. w Moguncji: Archeologia Biblijna. Przekład autoryzowany z niemieckiego. Kraków 1937. Wydawnictwo Koła Biblistów U. J. — zł 4.

Do dobrego zrozumienia historii biblijnej konieczna jest dokładna znajomość nie tylko historii starożytnej, geografii, etnografii, ale trzeba umieć sobie odtworzyć życie codzienne czasów biblijnych. Wtedy dopiero stają się jasne różne szczegóły z Pisma św., dla dzisiejszego człowieka zupełnie niezrozumiałe. Dlatego, zwłaszcza w obecnych czasach, nacechowanych ogromnym wzrostem zainteresowania się Pismem św., z prawdziwą radością witamy drugie, rozszerzone wydanie *Biblische Archäologie* dr. Kalta, które już w pierwszym wydaniu (Herder 1924) spotkało się z tak zasłużonym uznaniem. Wszelkie niedociągnięcia wytknięte I-mu wydaniu, jak np. brak uwzględnienia piśmiennictwa żydowskiego w starożytności, oraz wykopalisk dokonanych w ostatnich czasach na ziemi palestyńskiej, zostały obecnie starannie uzupełnione. W układzie dzieła Autor nie odstępuje od ustalonego schematu, pozwalającego na systematyczne wyczerpanie całokształtu kwestii. Po krótkim naszkicowaniu geografii, świata zwierzęcego i roślinnego, warunków geologicznych i klimatycznych, w 12 rozdziałach zajmuje się ludnością Palestyny. Poczynając od jej pochodzenia omawia najpierw życie prywatne, przy czym szczególnie dokładnie wtajemnicza nas w codzienne zajęcia oraz stosunki rodzinne; następnie przechodzi do nakreślenia stosunków polityczno-państwowych, przedstawiając krótko bieg życia publicznego w różnych okresach historii narodu wybranego, prawo oraz zwyczaje wojenne i pokojowe — a wreszcie obszernie opisuje stosunki reli-

gijne, nie pomijając żadnego okresu ani objawu kultu żydowskiego. — Jako szczególnie dodatnią cechę omawianego dzieła należy podnieść bardzo jasne, przystępne, oraz zupełnie wyczerpujące omówienie tematu, przy niewielkiej objętości, dzięki czemu dzieło dra Kalta z przyjemnością przeczyta nawet niespecjalista. Bogata bibliografia oraz dokładny skorowidz rzeczowy ułatwiają użycie dzieła w pracy.

Z jeszcze większą radością bierzemy do rąk polskie tłumaczenie powyższego dzieła, które usuwa poważną lukę, jaka się nam dawała nieraz odczuć z powodu braku nowszej Archeologii Biblijnej w języku polskim. Dwie bowiem wydane dotychczas Archeologie: ks. M. Godlewskiego (wyd. w r. 1899) oraz ks. Aleksandra Lipińskiego (wyd. w r. 1911) już nie odpowiadały nowoczesnym wymaganiom. — Do tłumaczenia użyto drugiego wydania *Biblische Archäologie* dra E. Kalta, przekładu dokonano dosyć wolnego, część ilustracyjną szczęśliwie uzupełniono mapką Palestyny, prócz tego dodano ilustracje przedstawiające pieczęć stożkową i walcową, oraz fundamenty domów w Jerycho, kilka zaś innych ilustracyj po części zmieniono.

W końcu miło nam wyrazić wdzięczność Kołu Biblistów U. J. za jego ruchliwą działalność oraz czwartą już z rzędu publikację, która walnie przyczyni się do podniesienia poziomu znajomości i zrozumienia Pisma św. w Polsce.

Ks. Adam Kozłowiecki T. J.

Ks. dr Jan Bochenek: Stanisława Hozjusza nauka o Eucharystii. Warszawa, 1936 Nakładem Polskiego Towarzystwa Teologicznego w Warszawie. Uniwersytet — Teologicum. Str. XIV + 163.

Postać wielkiego kardynała Polski, papieskiego legata na soborze trydenckim, wydobyta ongiś z zapomnienia przez ks. prof. Umińskiego, budzi obecnie coraz większe zainteresowanie. Dowodem tego jest trzynasty tomik Warszawskich Studiów Teologicznych, którego Autor, obecnie profesor Seminarium Duchownego w Tarnowie, ujął w krótkim zarysie poglądy tego znakomitego polemisty XVI w. na zagadnienie tak zasadnicze i tak zażarcie dyskutowane w okresie reformacji, jak nauka o Eucharystii. Przedstawienie poglądów samego Hozjusza poprzedza zwięzła charakterystyka prądów heretyckich w pierwszej połowie XVI wieku w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem błędów eucharystycznych w pismach Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Jana Łaskiego. Następnie rozwinięcie nauki Hozjusza o Eucharystii jako sakramencie, a więc o prawdziwej obecności Zbawiciela w Eucharystii, o skutkach i warunkach skuteczności sakramentu Eucharystii, o przyjmowaniu Eucharystii pod dwiema postaciami, wreszcie o Eucharystii jako ofierze, zatem o pojęciu i podziale ofiar,

o mszy św. jako prawdziwej ofierze i o liturgii w języku ojczystym, stanowiącej dotychczas problem aktualny w związku z wzmagającym się ruchem liturgicznym, Na tle tego sporu nieco dziwnie brzmią wywody Hozjusza, podnoszące zalety modlitwy w języku niezrozumiałym przez porównywanie ich z zaklinaniem węży. Te i inne niedociągnięcia argumentacji Hozjusza wytyka autor bez ogródek nie wahając się znowu gdzie indziej wystąpić w jego obronie przed niesłusznymi zarzutami pisarzy protestanckich. W drugiej części swej pracy omawia Autor stosunek Hozjusza do literatury patrystycznej, scholastycznej oraz współczesnej mu polemicznej, w końcu zaś jego wpływ na literaturę teologiczną XVI w. Zasługa Hozjusza, zdaniem Autora, nie leży w ujęciu nowych problemów teologicznych, polega raczej na zorientowaniu się w potrzebach chwili i na bronieniu zagrożonych pozycyj wiary.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Ks. Władysław Kwiatkowski: Sprawa pruskiej reorganizacji seminariów duchownych w Warszawie (1798—1802). Warszawa 1936, str. XIX+178.

Najmniej znany wycinek historii Kościoła katolickiego w Polsce to okres rządów pruskich po ostatnim rozbiorze Rzeczypospolitej na ziemiach, które wtedy przypadły Prusom z miastem stołecznym Warszawą. Można dodać, że i czasy Księstwa Warszawskiego są również mało opracowane. Jeden szczegół z pruskich rządów w stolicy Polski wziął za przedmiot osobnego opracowania ks. Wład. Kwiatkowski, profesor seminarium warszawskiego: stosunek rządu pruskiego do seminariów duchownych, jakie istniały na schyłku 18 stulecia w Warszawie. Stosunek ten scharakteryzował w słowach, stanowiących podtytuł książki: „Karta z dziejów ukrytego prześladowania przez Prusy Kościoła katolickiego w Polsce". Wyraziło się owo „prześladowanie" w usiłowaniach reorganizacji tych zakładów według pomysłów rządu zaborczego. Autor drobiazgowe swoje studium oparł przeważnie na niewyzyskanym dotąd materiale archiwalnym, na podstawie którego nakreślił obraz stanu materialnego i naukowego poziomu dwuch warszawskich seminariów. Trzeba z przykrością wyznać, że konająca Rzeczpospolita pozostawiła sprawę wychowania kleru katolickiego na poziomie bardzo niewystarczającym i że ten stan dostarczał pretekstu rządom zaborczym, a nawet innowierczym do stawiania żądań, które, przynajmniej w części, sam autor nazwał „słusznymi" (str. 153) i w ogóle do ingerencji w sprawy tak wewnętrzne Kościoła, jak edukacja księży.

J. Urban.

Lortal R. professeur au grand séminaire d'Avignon: Eléments de théologie morale sociale. T. I. Morale sociale générale éd. P. Tequi. Paris, in 8⁰. Str. X—204. Fr. 16.

Zamiar do napisania niniejszego dzieła powziął autor pod wpływem zachęty ze strony kard. Verdiera, by w wykładach teologii moralnej więcej uwzględniano zagadnień społecznych. Część wyników swej pracy profesorskiej z roku szkolnego 1933/34 autor ogłosił drukiem, zaznaczając, że to jest tylko zarys, który może być pogłębiony przez czytanie odnośnej literatury, podanej w dopiskach.

We wstępie do swej pracy podaje autor określenie teologii moralnej społecznej, jej podział, źródła, historię, metody i znaczenie. Następnie określa, czym jest społeczeństwo, jaki jest jego początek i cel, jakie są prawa i obowiązki społeczeństw i ich członków; dzieli społeczeństwo na różne gatunki i przedstawia różne prawa i obowiązki społeczne.

W I. części: *Morale sociale générale*, zastanawia się nad poszczególnymi cnotami społecznymi, a mianowicie, nad miłością społeczną, roztropnością, sprawiedliwością, nad cnotami, które w terminologii łacińskiej nazywają *equitas* i *pietas socialis*, nad religią społeczną, uznaniem społecznym, zemstą i prawdomównością społeczną.

W dodatku do I. cz. autor wykazuje rolę społeczną darów Ducha Św. i zastanawia się nad sprawiedliwością rozdzielczą, szacunkiem i posłuszeństwem dla społeczeństwa.

Dzieło Lortala może oddać wielkie usługi nie tylko alumnom seminarium duchownego, lecz i ludziom świeckim, którzy biorą czynny udział w akcji katolickiej.

Ks. W. Suszyński.

Tadeusz Meissner: Dookoła świata na „Darze Pomorza", Książnica - Atlas. 1936, str. 318.

Autor jako zastępca komendanta szkolnego statku odbył na nim podróż naokoło świata od dnia 13 września 1934 do dnia 3 września 1935 r. W pracy, którą ogłosił drukiem, podaje czytelnikowi swe wrażenia i spostrzeżenia, jakie uzbierał nie tylko na ćwiczebnym statku i na burzliwym a niekiedy zdradzieckim morzu, ale przede wszystkim w tych 24 portach do których statek zawijał podczas swej rocznej podróży. Prócz tego autor stara się dać swym spostrzeżeniom tło historyczne, bądź przyrodniczo-geograficzne tak, że praca jego obok bezpośredniości, która wynika z pamiętnikarskiego charakteru poszczególnych opisów, posiada nieco charakteru jeśli nie naukowego, to w każdym razie informacyjnego.

Najsilniej jednak występuje w całej książce zawodowiec-żeglarz, posiadający wielką ambicję patriotyczną i z tego względu praca zyskuje nową wartość: pedagogiczną.

Można przypuszczać, że starsi będą czytali tę wędrówkę „Daru Pomorza" z wielkim zainteresowaniem, ale zdaje nam się, że młodzież, powinna ją czytać z pasją. Jeżeli dodamy, że autor posługuje się techniczną gwarą żeglarską, której znaczenie podaje w specjalnym słowniczku, umieszczonym na końcu dzieła, że dzieło zdobi 39 ilustracji i zdjęć z tej wielkiej podróży i że opatrzone jest 8 rysunkami, pozwalającymy wejść nieco w arkana naszego pięknego żaglowca i sztuki nawigacyjnej a prócz tego mapą, przedstawiającą szlak podróży „D. P." to słusznie chyba możemy przypuszczać, że każdy polski chłopiec, jako tako inteligentny może sobie zrobić ze wspomnień p. Meissnera nie tylko jednorazową ciekawą lekturę, ale podręcznik do studium i marzeń znacznie zdrowszych i więcej wartych, niż wiele innych. I napewno tych czytelników nie zrazi nawet to, że wśród uczniów Daru Pomorza byli tacy, którzy podczas tej romantycznej podróży zdezerterowali ze statku, ani to, że autor struł się solidnie śledziem i przechorował wskutek tego kilka tygodni. A chociaż krytyczniejsi czytelnicy zauważą to, że niektóre ustępy mają wybitnie charakter komplementów pod adresem pewnych osób i że wobec tych przeszło 38.000 mil, jakie statek przebył w 350 dniach, nie przedstawiają zbyt interesującego tematu, to może i w nich da się znaleźć sens pedagogiczny jako zachęta do wdzięczności, uprzejmości, czy nawet lojalności.

R. Moskała T. J.

Władysław Orkan: Czantoria i pozostałe pisma literackie: Warszawa 1936, str. 298. — Z cyklu Wł. Orkan: Dzieła, pod redakcją St. Pigonia.

Do szeregu pism Orkana tak dobrze znanych i tak słusznie podziwianych, dochodzi nowy tom. Prof. Pigoń zebrał w nim skrzętnie fragmenty niedokończonych utworów i prace drobniejsze, wykończone, których autor z niewiadomych względów nie wydał drukiem. Najpiękniejszym fragmentem jest „Czantoria", która miała być powieścią o miłości pasterskiej, pisaną na skutek rozpisania konkursu powieściowego przez wojewodę śląskiego. Ta czwarta część, jaką autor zdołał opracować gada pięknem i smętkiem wzgórz, gdzie się Wisła rodzi i życia, które po nich się snuje, a przede wszystkim gada pięknem języka Orkanowego. Trzy czwarte „Czantorii" pozostało tylko w zwięzłym szkicu. — Wśród innych „pozostałych pism" znajdujemy kilka pereł stylu i treści — skreślonych również na tle życia górskiego, podhalańskiego, i szereg notatek o ludziach i faktach, w których bardziej bezpośrednio daje się poznać autor wraz ze swymi spojrzeniami na ludzi i świat. — Wydawca w „posłowiu" zajął się specjalnie właśnie tą sprawą i na kilku stronach ujął bardzo trafnie wiele mówiący światopogląd piewcy Podhala.

R. M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Tiberiusz Burger: Zbiór kazań dla dzieci. Poznań 1937, str. 170.
Zygmunt Chojecki: Społeczeństwo polskie na Rusi. Warszawa 1937, str. 60.
Jędrzej Giertych: My nowe pokolenie. Wyd. 2. Poznań (bez daty).
S. Jeleński: Woda żywa. Opowieść ewangeliczna, wyd. 2. Poznań (bez daty).
Zofia Kossak: Król trędowaty. Powieść historyczna. Poznań 1937, str. 356.
Tejże: Bursztyny. Nowele. Poznań 1937, str. 410.
Św. Katarzyna ze Sieny: Myśli. Wybrał M. Pachucki. Poznań 1936, str. 273.
Franciszek Mauriac: Pielgrzym. Przekł. J. Dobraczyńskiego. Poznań, (bez daty) str. 102.
France Patorelli: Dostojeństwo choroby. Tłum. Anny Leo. Poznań 1937, str. 204.
Alia Rachmanowa: Fabryka nowych ludzi. Powieść. Poznań, (bez daty) str. 322.
Jan Strzembosz: Pożyczka zagraniczna. Powieść. Poznań 1937, str. 352.
J. Surynowa-Wyczółkowska: Jego kobiety. Powieść. Poznań 1937, str. 230.
Gertruda von le Fort: Papież z ghetta. Powieść. Poznań 1937, str. 254.
Helena Zakrzewska: Płomień na śniegu. Powieść, wyd. 2. Poznań 1937, str 164.

Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie:

Ateneum Wileńskie, rocznik 11. Wilno 1936, str. 982.
Konrad Górski: Stanisław Krzemiński, człowiek i pisarz. Wilno 1936, str. 332.
Rajmund Gostkowski: Kapłani i kapłanki w sztuce kreteńsko-mykeńskiej i greckiej. Wilno 1936, str. 266+LIV tabl.
Abram Melezin: Ze studiów nad demografią Wilna. Wilno 1936, str. 28.
Jean Safarewicz: Etudes de phonétique et de métrique latines. Wilno 1936, str. 130.
Prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk we Wilnie, t. 9—10. Wilno 1936, str. 348+382.
Sprawozdanie ze stanu i działalności Tow. Przyj. Nauk we Wilnie za rok 1935. Wilno 1936, str 46.

Nakładem księgarni S. Seipelt w Łodzi:

Eugeniusz Ajnenkiel: Pierwsze oddziały legionów polskich w Łodzi. Łódź 1934, str. 48.
Stanisław Rachalewski: Baśń i legenda Łodzi. Łódź 1935, str. 184.
Aleksy Rżewski: Szlakami walki i buntu. Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź 1936, str. 206.
Ludwik Stolarzewicz: Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Łódź 1936, str. 394.

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska":

Antoni Aleksandrowicz: Mandżuria. Jej przeszłość, teraźniejszość, kraj i ludzie. Warszawa 1937, str 172.

André Gide: Powrót z ZSRR. Warszawa 1937, str. 110.
Victor Pauchet: Droga do szczęścia. Wychowanie siebie od nowa. Tłum. Em. Jędrzejowiczowa. Warszawa 1937, str. 342.
Wiesław Strzałkowski: Wyjazd na połów. Warszawa (bez daty), str. 54.

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

Wacław Berent: Diogenes w kontuszu. Warszawa (bez daty), str. 280.
Michał Rusinek: Pluton z Dzikiej łąki. Powieść. Warszawa 1937, str. 328.

Nakładem Akcji Katolickiej:

Ks. Walery Jasiński: Światłocienie współczesnej pedagogiki. Poznań (bez daty), str. 60.
Jan Ratyński: O wychowanie nowego człowieka. Płock 1937, str. 92.
Posłannictwo kapłana w współczesnym ruchu katolickim. — Pamiętnik zjazdu asystentów kościelnych akcji katolickiej. Poznań 1936, str. 92.

Nakładem różnych:

Wojciech Świętosławski: W zbiorowej pracy nad rozwojem kultury. Warszawa 1936, nakł. kasy im. Mianowskiego — Instytut popierania nauki, str. 72.
Lusseau et Colomb: Manuel d'études bibliques, tome III, les livres didactiques, Paris, Téqui 1936, str. 360.
List pasterski J. E. ks. Kazimierza Bukraby, bisk. ord. diec. pińskiej, O prawdziwym obliczu bolszewizmu. Pińsk 1937, str. 23.
Lucien Bernacki: La doctrine de l'Eglise chez le Card. Hosius. Paris, Gabalda 1936, str. 284.
Basil Carey: Kapitan Krystyna. Powieść. Warszawa. Wł. Michalak 1937, str. 338.
Wacław Lednicki: Puszkin 1837 — 1937. Kraków, Kasa Mianowskiego 1937, str. 66.
Adrian Divéky: Jan Tomcsányi. Warszawa 1937, str. 12.
Ks. Antoni Liedtke: Historia zakładu N. M. P. Anielskiej w Kościerzynie 1861—1936. Nakładem Dyrekcji tegoż zakładu, Kościerzyn 1936, str. 126.
Ks. Henryk Weryński: Boże ziarna. Wyd 2. Czytania niedzielne. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1937, str. 272.
T. Barski: Akcja Kominternu. Fakty i dokumenty ze Wschodu 1920—1936. Warszawa 1937, str. 47.
H. Wildecki: Niebezpieczeństwo żydowskie. Wyd 4. Poznań 1937. Nakł. „Gryf", str. 80.
Księga pamiątkowa ku uczczeniu dziesięciolecia biskupstwa J. E. ks. bisk. dr. Stanisława W. Okoniewskiego, bisk. chełmińskiego. Wydana przez profesorów sem. duch. w Pelplinie 1936, str. 180.
Adam Stebelski: Teksty źródłowe do dziejów Łodzi 1332—1820. Łódź 1934, str. 46.
Eliza Orzeszkowa: Listy. Tom I. Dwugłosy, oprac. L. Br. Świderski. Warszawa, nakł. Tow. im. Elizy Orzeszkowej, oraz „Biblioteki Polskiej" 1937, str. 526.
Stanislaus von Dunin-Borkowski: Aus den Tagen Spinozas. Geschehnisse, Gestalten, Gedankenwelt, Band IV, Münster in Westf. Aschendorff 1937, str. 588.
Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: Roczniki katolickie na rok 1937. Nakł. autora. Poznań 1937, str. 388.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Deklaracja programowa płk. A. Koca. — Sytuacja na lewicy i prawicy. — Stanowisko Kościoła.

Już od szeregu miesięcy wyczekiwały w różnych nastrojach nie tylko sfery zainteresowane bezpośrednio w politycznej grze ale i szerokie warstwy społeczeństwa na zapowiadane mniej lub więcej przejrzyście utworzenie nowego prorządowego obozu w Polsce. Wprawdzie, pomimo oficjalnego rozwiązania stronnictwa BBWR i wycofania się z czynnej polityki głównych jego twórców, rząd posiadał dość silne oparcie nie tylko w dekretach p. Prezydenta Rzeczypospolitej ale i w obecnym Sejmie, pogrobowcu dawnego stronnictwa — można jednak było wyczuć coraz namacalniej, że podstawa tego oparcia się zwęża przy równoczesnym wzroście wpływu dawnych stronnictw opozycyjnych, tak z lewa jak i z prawa. Sytuacja taka nie mogła przewlekać się zbyt długo, rząd bowiem prawdziwie silny, twórczy musi mieć oparcie i poparcie w szerokich warstwach narodu. A właśnie obecny rząd, występując na arenę publiczną z śmiałymi planami odbudowy gospodarczej, dozbrojenia i wzmocnienia armii, potrzebuje tym bardziej nie tylko aprobaty ale i pomocy całego, wewnętrznie skonsolidowanego społeczeństwa. Konieczność ta rysuje się tym wyraźniej, iż Polska tak od Zachodu jak i od Wschodu sąsiaduje z państwami totalnymi, monopartyjnymi, w których tempo gigantycznych zbrojeń wzrasta, przy rosnącej prężności bojowej.

W takiej sytuacji Polska, dotknięta głębiej niż inne kraje gospodarczym kryzysem, chorująca na przemysłową i handlową anemię, zacofana w dziedzinie motoryzacji i uzbrojenia nie może sobie pozwolić na rozrzutność demokratycznych waśni i sporów wewnętrznych, które, dając złu-

dzenie wolności, prowadzą w istocie do dalszego rozdarcia, niebezpiecznych wstrząsów i tym groźniejszego osłabienia na zewnątrz.

To też już przed paru miesiącami naczelny wódz sił zbrojnych, marszałek Śmigły Rydz zwrócił się do całego narodu z apelem, by troska o obronność kraju i zabezpieczenie ojczyzny przed ewentualnym najazdem stała się osią konsolidacji wewnętrznej. Apel ten mocny, szlachetny a w swej istotnej treści nie podlegający żadnej dyskusji spotkał się z życzliwą aprobatą całego narodu. Ale aprobata nie wystarcza, gdy chodzi o trudny, zbiorowy i ofiarny czyn. Wskazania Naczelnego Wodza musiały się oblec w kształty organizacji, w której suwerenna troska o obronność i zabezpieczenie państwa stała by się równocześnie platformą politycznego porozumienia.

Z tym większym napięciem czekano na ten twórczy a tak doniosły akt w dziedzinie wewnętrznej polityki.

I na tym tle psychologicznego przygotowania i prawdziwej potrzeby wewnętrznej jawi się świeżo ogłoszona deklaracja programowa płk. A. Koca. Występuje on na arenę publicznego życia nie tylko jako bojownik frontowy o niepodległość i obywatel kochający swą ojczyznę, ale również — tak wieść głosi — jako mąż zaufania Naczelnego Wodza.

Wprawdzie przeszłość polityczna płk. Koca tkwi bez reszty w ramach pewnego politycznego kierunku, który nie posiada sympatii tym mniej aprobaty całego narodu, ale żołnierz ten i mąż stanu usiłuje zerwać z tym wszystkim co mogłoby kłócić i „ponad płoty i mury, które w rzeczywistości czy w wyobraźni dotychczas dzieliły" wyciąga rękę do wszystkich, „którzy pragną życie wewnętrzne Polski nastawić na styl i poziom godny wielkiego narodu".

Płk Koc zabrał głos, „posłuszny — jak sam zapewnia — nakazowi patriotycznego obowiązku, mając dobrą wolę służenia jak najlepiej ojczyźnie" i w głębokim poczuciu prawości swej inicjatywy. Wystąpił w słusznym przekonaniu, iż

„Polaków nie stać na chodzenie samopas osobnymi ścieżkami, łączącymi się tylko w pewnych chwilach, od święta". Nie wolno tracić czasu w bezowocnych swarach, gdyż „gdzieindziej od dawna już zarosły trawą dróżki i ścieżki ideowych sobiepanów, a natomiast rozlega się żelazny krok potężnych i zdyscyplinowanych szeregów, prowadzonych jedną wolą ku jednemu celowi".

Takiej jednej suwerennej woli na miarę Mussoliniego, Hitlera czy Stalina Polska nie posiada; tę wolę jednostki musi

zatem zastąpić zbiorowa wola narodu, oparta o jasny, rzetelny i niepodlegający słusznej dyskusji program zjednoczenia.

Czy jednak taki program jest w rzeczywistości polskiej w ogóle możliwy? Czy można rzucić pewne konkretne i wychodzące poza ramy paru ogólników hasła, które by zjednoczyły naprawdę c a ł e społeczeństwo polskie od skrajnej poczynając prawicy do skrajnej lewicy? Zdaje się nam, że taki optymizm byłby równoznaczny z naiwną utopią. To też miraże takiej właśnie utopii nie zmąciły trzeźwego zamiaru p. płk. Koca. W swej deklaracji ideowej zerwał więc zdecydowanie przede wszystkim z teorią szerokiego frontu, który by mógł liczyć na poparcie a przynajmniej neutralność nawet komunizmu.

...żyjemy w okresie przemian gospodarczych i społecznych. Jesteśmy w tej dobrej sytuacji, że nie przechodząc we własnym kraju doświadczeń, okupywanych tak często strumieniami krwi i ruiną kultury, możemy ją osądzić na podstawie cudzych wyników.

Jakakolwiek oderwana od życia lub też jednej grupie a nie całości społeczeństwa służąca doktryna gospodarcza czy społeczna, nie może być dla nas odpowiednia, ani pożyteczna.

Komunizm w założeniach swych, celach i metodach, jest tak obcy duchowi polskiemu, że w Polsce nie ma dla niego miejsca. Polska komunistyczna przestała by być Polską. Przelewaliśmy krew za Polskę, by była wolną i by mogła rozwijać własną kulturę, jako wyraz polskiego ducha i polskiej woli.

Niechaj każde państwo wybiera ustrój taki, jaki uważa dla siebie za najodpowiedniejszy. Myśmy odrzucili komunizm na polach bitew 1919 i 1920 roku. Rozwiązujemy zagadnienia gospodarcze i społeczne, wychodząc z naszej naczelnej idei, którą jest obronna siła i potęga państwa. Cel ten może być osiągnięty nie zniszczeniem tego, co jest pożyteczne, nie metodami rewolucyjnymi, lecz udoskonaleniem istniejących i tworzeniem nowych wartości. Polska musi rozwijać się bez wstrząsów i gwałtów, wprowadzających nasze państwo w groźną sytuację...

Eksperymenty zatem tow. Bluma, koncepcje frontów ludowych zostaną poza granicami naszych paktów, politycznych przymierzy oraz kulturalnych sympatii.

Ale nie tylko jakąkolwiek współpracę z komunizmem wyklucza orędzie p. płk. Koca. Usuwa się ono nadto niedwuznacznie od socjalistycznego marksizmu i jego ideowych założeń.

Zachowując zasady własności prywatnej, jako też przedsiębiorczości prywatnej jednostek, państwo musi mieć prawo wpływu na harmonijny rozwój całokształtu produkcji...

Krzewienie nienawiści klasowej jest obce duchowi polskiemu. Każdy rzetelny pracownik i wykonywujący swe obowiązki w stosunku do państwa jest pełnowartościowym obywatelem. Żadna praca nie poniża — poniża lenistwo i nieróbstwo. Uznając tę zasadę, troską państwa musi być zatrudnienie ludności, by jej w ten sposób umożliwić osiągnięcie pełnej wartości obywatelskiej.

Państwo otacza opieką inicjatywę prywatną i ustala zasady, zapewniające właściwe warunki dla pracy rąk i użyteczności kapitałów.

Rola pozytywna inicjatywy prywatnej i działalności kapitałów kończy się tam, gdzie zaczyna się naruszenie równowagi interesów społecznych lub zubożenie majątku narodowego.

Stosunki między pracodawcą a pracownikiem muszą się pod kontrolą i naciskiem państwa w ten sposób ułożyć, aby zapewnić warsztatom racjonalne warunki produkcji, a rzeszom pracowniczym pewność jutra i stopniowy, ale stały wzrost poziomu życia. Pracodawcy i pracownicy muszą się nauczyć zasiadać przy jednym stole i ułożyć współżycie w rzetelnych ramach realnych możliwości, pamiętając o warsztatach pracy, z którymi nie tylko ich los, ale i byt Polski jest związany.

Przeciwstawiając się każdemu wyzyskowi, państwo musi siebie uważać za jedyny i wyłączny czynnik powołany do regulowania wzajemnych stosunków poszczególnych warstw obywateli. Tak samo musi państwo kategorycznie przeciwstawić się wszelkim próbom podporządkowania naszego życia wewnętrznego nakazom przychodzącym z zewnątrz.

Jest rzeczą wprost oczywistą, iż socjalizm, pod grozą całkowitego rozpadu nie może zrezygnować z „krzewienia nienawiści klasowej", bo nienawiścią tą żyje i działa, a zaciśnięta pięść klasowej zemsty, równie jak krwawy sztandar odwetu jest jego wiernym symbolem. Nie zmieści się również w perspektywach socjalistycznego ustroju „własność prywatna", „prywatna inicjatywa gospodarcza i działalność kapitałów", „zasiadanie pracodawców i pracowników przy jednym stole" i w zgodnym współżyciu. Wszystko to zanadto przypomina hasła społecznego solidaryzmu, które wieszczą zagładę socjalistycznej doktryny, tak jak „kategoryczne przeciwstawienie się państwa wszelkim próbom podporządkowania naszego życia wewnętrznego nakazom przychodzących z zewnątrz" jest bezwzględnym ciosem dla komendy czerwonej międzynarodówki.

Musimy więc podkreślić ogromnie doniosły fakt, iż ani socjalizm, ani syndykalizm, ani wreszcie radykalizm chłopski, liczący na rozgrabienie bez wszelkiego odszkodowania cudzej własności — nie dadzą się pogodzić z literą i z duchem ideowej deklaracji p. płk. Koca.

To też od samego początku prasa socjalistyczna z *Robotnikiem* na czele ustosunkowała się do całości ogłoszonego programu wrogo. Nie można się temu ani dziwić, ani też czego żałować. Socjalizm bowiem w Polsce naszym zdaniem, może odegrać wyłącznie rolę pomostu do komunizmu, jeśli nie celowo to w każdym razie faktycznie.

Stwierdzając te pewniki musimy jednak równocześnie sformułować przypuszczenie, iż ogłoszona deklaracja nie znajdzie życzliwego przyjęcia w szerokich warstwach robotniczych, zorganizowanych przez PPS, owszem spotka się z jawną lub podjazdową walką, której wykładnikiem taktycznym jest w tej chwili przede wszystkim żądanie zmiany konstytucji kwietniowej oraz ogłoszenie nowych wyborów, na nowej opartych ordynacji, które mają zapewnić zwycięstwo „ludowego frontu".

Taka mniej więcej rysuje się sytuacja na lewicy.

Rezygnując słusznie ze współpracy z żywiołami zdecydowanej lewicy, nastawionej klasowo i dążącej do supremacji politycznej jednego tylko odłamu, mógł p. płk Koc liczyć tym pewniej na życzliwość i poparcie reszty polskiego społeczeństwa. Wszak z niemałym zaparciem samego siebie i przy wyraźnej zmianie dotychczasowych poglądów, a przynajmniej dotychczasowego sposobu mówienia, uczynił zdecydowany zwrot na prawo, przyjmując jasno pewne zasady, z którymi przez długie lata borykał się beznadziejnie obóz pomajowy. Niedoceniane, a nawet krzywdzone poczucie narodowe, płynące z głębin ludzkiej natury i będące motorem wielkich poczynań i heroicznych poświęceń przychodzi do głosu i wolnej ekspansji. Era tragicznych pomysłów i beznadziejnych wysiłków, by dumę narodową i narodowe uczucie zastąpić „kultem państwowości" a narodowe wychowanie młodzieży zamienić na „państwowo-twórcze ideały" — minęła, jak można teraz ufać, bezpowrotnie. Wszak stwierdzono niedwuznacznie, iż

...państwo jest jedyną formą prawidłowego i zdrowego bytu narodu. Daje narodowi technikę potęgi i organizację jego wiecznego rozwoju. Nie ma tedy sprzeczności pomiędzy interesem narodu a interesem państwa.

Państwo zatem nie może zastąpić narodu, gdyż jest jedynie f o r m ą jego zdrowego i pełnego bytu, t e c h n i k ą jego potęgi i o r g a n i z a c j ą rozwoju! Naród jest treścią i istotą a państwowość organizacyjną formą; wprowadzanie zatem „kultu państwowości" na miejsce kultu prawdziwych wartości narodu było bezwzględnie ideowym zboczeniem. Po dość mozolnej ewolucji pojęć rozdział narodu od państwa ma się i u nas ku końcowi i tak jak naród rozumie

ogromną doniosłość swego upaństwowienia tak też i państwo dążyć będzie do unarodowienia.

Ta ewolucja zdrowa i zgodna z ludzką naturą nie powinna jednak przynieść uszczerbku innym bratnim nam narodom, objętym ramami naszego państwa. Postulat ten wynikający znowu z prawa natury i poczucia sprawiedliwości z odpowiednimi i uzasadnionymi zastrzeżeniami stwierdza jasno ideowa deklaracja płk. Koca.

Wytyczną naszą w stosunku do mniejszości narodowych jest chęć bratniego współżycia obywatelskiego na tej ziemi, za którą w ciągu wieków przelewaliśmy krew, zakładając ogniska cywilizacji i broniąc ich przed zalewem barbarzyństwa. W historycznych procesach splotły się nasze losy. W nasze współżycie wbijały się kliny interesów obcych dla nas i dla nich. Po latach wspólnej niedoli znaleźliśmy się znowu w ramach jednej Rzeczypospolitej. Zdajemy sobie sprawę z odrębności, stanowiących różnicę między nimi a nami. Uznajemy te odrębności, jak długo n i e g o d z ą w interesy państwa i o ile nie są r o z m y ś l n i e w y z y s k i w a n e dla wznoszenia między nami muru chińskiego i ugruntowania nienawiści.

Jest to nawskróś sprawiedliwe, jakkolwiek tylko ramowe, ujęcie problemu naszych mniejszości narodowych, osiadłych od wieków na naszej ojczystej ziemi.

Nieporównanie trudniejszym jest podejście do zagadnienia napływowej mniejszości żydowskiej. Mniejszość ta, licząca z górą 3 miliony, narastająca nadto napływem zagranicznych, a zbyt gościnnie przyjmowanych przybyszów, stanowi w naszym państwie odrębny naród oraz odrębną kulturalnie, wyznaniowo, społecznie a nawet i politycznie zorganizowaną całość. Mniejszość ta, korzystając w Polsce z praw obywatelskich, pozostaje mimo to pod czujną a troskliwą opieką międzynarodowych organizacyj żydowskich. Znaczny odsetek tej masy (syoniści) wskazuje na Palestynę, jako na właściwą swą ojczyznę, traktując Polskę, jako miejsce chwilowego wygnania, z którego trzeba tylko wydobyć materialne środki do odbudowania palestyńskiej ojczyzny. Inni, akcentując swą narodową odrębność nie myślą wcale o emigrowaniu, a pragnieniem ich jest jedynie jak najszersze uprawnienie żydów w Polsce. To żydzi — narodowcy, świadomi zwolennicy Judeo-Polonii, bojowcy o wolność i odrębność narodową szerokich mas polskiego żydowstwa. A masy te, przeważnie głuche na hasła nielicznych asymilatorów, solidaryzują się w poczuciu swej odrębności od Polaków, w domaganiu się dla siebie pełni praw a nawet pewnych przywilejów, w robieniu krzyku na ucisk czy

krzywdę, przy całkowitej prawie obojętności dla życiowych interesów Polski. Gorzej jeszcze, gdyż w tej żydowskiej masie posiadamy spory odsetek inteligentów proletariatu, który z ogromną łatwością przyjmuje najskrajniejsze hasła a komunizm znajduje w tych szeregach sprytnych i licznych agentów.

Ten element żydowski, rasowo, kulturalnie i wyznaniowo nam obcy jest ciągłym i poważnym źródłem wewnętrznych fermentów i stanowi poważne niebezpieczeństwo dla naszego narodowego a co za tym idzie i państwowego życia.

Jest to jeden z bolesnych, trudnych a bardzo aktualnych problemów, którego doniosłości nikt rozumnie dziś zaprzeczyć nie może.

I oto jak do tego problemu podchodzi programowa deklaracja płk. Koca:

W stosunku do ludności żydowskiej — stanowisko nasze jest następujące: zbyt wysoko cenimy poziom i treść naszego życia kulturalnego, jak również porządek, ład i spokój, bez którego żadne państwo obejść się nie może — abyśmy mogli aprobować akty samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich, uchybiających godności i powadze wielkiego narodu. Zrozumiały natomiast jest instynkt samoobrony kulturalnej i naturalna jest dążność społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej. Tym bardziej jest to zrozumiałe w okresie przez nas przeżywanym, w okresie wstrząsów ekonomicznych i finansowych, gdy jedynie głębokie poczucie obywatelskie, ofiarność w stosunku do państwa i bezkompromisowe związanie z państwem swego życia i mienia mogą mu umożliwić wyjście z tych wstrząsów w stanie nieosłabionym.

Trzeba z żywym uznaniem podkreślić ewolucję poglądów w obozie rządów pomajowych, jaka niewątpliwie nastąpiła i w tym zagadnieniu.

Jest to taktyczne „wyciągnięcie ręki" przede wszystkim do narodowego stronnictwa ponad płoty i mury kwestii żydowskiej.

Płk Koc przypomniał w swym orędziu, iż:

Marszałek Śmigły-Rydz wskazał na ideę obrony państwa, zwracając się do wszystkich, którzy tej idei chcą służyć. Siła obronna państwa, wywodząca się w prostej linii z dobrze zorganizowanego i kierowanego jego życia wewnętrznego jest najbardziej przyrodzoną, a równocześnie najkardynalniejszą ideą, pod którą społeczeństwo powinno się skupić, zapominając o jałowych a demoralizujących sporach, osobistych urazach, porachunkach przeszłości i mędrkującym pieniactwie.

Otóż niepodobna uwierzyć, by dookoła tej „kardynalnej idei obrony państwa" skupił się w Polsce element żydowski. Sam płk Koc zdaje się w to nie wierzyć, gdy akcentuje „instynkt samoobrony kulturalnej i gospodarczej", podkreślając, iż „jedynie głębokie poczucie obywatelskie, ofiarność w stosunku do państwa i bezkompromisowe związanie z państwem swego życia i mienia" mogą nam dać gwarancję przetrwania współczesnych wstrząsów ekonomicznych, społecznych i politycznych. Nie wierzymy, by ogół mieszkającego w Polsce żydostwa posiadał właśnie to głębokie poczucie obywatelskie i tę ofiarność i bezkompromisowe związanie swego życia i mienia z interesami naszej ojczyzny. Nie wierzy w to dziś olbrzymia większość Polaków i na tym właśnie tle rysuje się tak jaskrawo kwestia mniejszości żydowskiej w Polsce.

To też podejście p. płk. Koca do tej zaognionej kwestii nie zadowoliło i nie zadowoli członków jak najszerzej pojętego stronnictwa narodowego a nawet ludowców, bo zbyt jasnym wydaje się twierdzenie, iż „instynkt samoobrony kulturalnej i gospodarczej" narodu wymagać będzie pewnych przynajmniej ograniczeń prawnych w odniesieniu do żydów i to właśnie w imię idei obrony i rozwoju polskiego państwa.

Wierzymy jednak mocno, iż wcześniej lub później do rozumnego porozumienia i w tej kwestii dojść musi i że interes obcego nam rasowo, kulturalnie i wyznaniowo narodu nie rozbije wysiłków, skierowanych w tej chwili do stworzenia wielkiego obozu zjednoczenia narodowego.

P. płk Koc odzywa się w swym orędziu:

> Ożywieni rzetelną intencją zwracamy się do ludzi rzetelnych, chcących pracować dla ojczyzny.

Otóż w tej atmosferze rzetelności, której, jak mocno ufamy, nie zaprzeczy życie, musi się znaleźć sposób pomyślnego dla ojczyzny a zgodnego z prawami natury rozwiązania tego problemu tak żywotnego dla państwa i dla narodu.

A perspektywy pojednania skłóconego dotychczas społeczeństwa są tym jaśniejsze, że wszystkie inne punkty deklaracji programowej p. płk. Koca nie mogą nasuwać żadnej wątpliwości ni budzić żadnych zastrzeżeń w swoim ramowym ujęciu, wyrażają bowiem — jak to podkreślił czołowy publicysta *Kurjera Warszawskiego,* prawdy wprawdzie znane ale wiecznotrwałe.

Równocześnie zaś zniżka w wysokim procencie jedna z największych przeszkód, jaka ciążyła nad rozwojem naszych stosunków wewnętrznych, mianowicie wyniosła eksklu-

zywność obozu piłsudczyków. Ona była główną przyczyną psychicznego napięcia między b. legionistami a społeczeństwem, o nią rozbiła się cała akcja stronnictwa BBWR.

Podział na rządzących i na rządzonych, na elitę i helotów, na uprzywilejowanych i ponoszących same tylko ciężary, na rzekomo wyłącznych budowniczych ojczyzny i obozowe ciury... musi zniknąć bez śladu! Konto przeszłości musi być zamknięte, by tworzyć nową przyszłość zjednoczonymi siłami narodu.

Otóż orędzie p. płk. Koca zdaje się przekreślać definitywnie ten twardy i krzywdzący ekskluzywizm i otwiera ramy nowego Obozu Zjednoczenia dla wszystkich „na całą szerokość zamierzeń i możliwości", z szansą podjęcia się twórczej pracy wszystkich patriotów na równych zasadach i warunkach równych. Fakt ten stanowi „pierwszy wielki wyłom w ciasnocie powojennych stosunków między dwiema generacjami".[1]) Wydaje się nam jednak rzeczą nieodzowną, by w szanse współpracy włączono również i s z a n s e r z ą d z e n i a na równych zasadach; wtedy bowiem i tylko wtedy uwierzy całe społeczeństwo w szczerość zapowiedzi i pełną lojalność programu. W przeciwnym razie, nienaruszalności płotów i murów dzielących dziś społeczeństwo polskie strzec będą nie tylko zawodowi „gracze polityczni" ale i ci wszyscy, którzy z tymi graczami dzielą przekonania na wspólnej oparte ideologii, scalone wspólnym poczuciem krzywdy czy urazy. I nie można będzie niestety powiedzieć, iż gracze ci polityczni strzegą nienaruszalności partyjnych murów i wzmacniają je kolczastymi drutami li tylko „w obronie osobistych lub partyjnych ambicji i interesów", gdyż zarzut ten będą mogli oni nie bez słuszności odwrócić.

Obalenie ekskluzywizmu szczere, rzetelne i konsekwentne stanie się kamieniem węgielnym Zjednoczenia Narodowego.

Podkreśliwszy dodatnie strony ideowego programu p. płk. Koca, wieszczące pomyślną ewolucję pojęć, której wyrazem jest uznanie doniosłości poczucia narodowego, obalenie barier ekskluzywizmu uprzywilejowanego dotychczas obozu przy ideowym odgrodzeniu się od radykalnej lewicy — nie możemy pominąć doniosłego oświadczenia, które dotyczy sprawy religijnej.

W deklaracji programowej p. płk. Koca czytamy następujące słowa:

Naród polski związał się duchowo na progu swego cywilizacyjnego rozwoju z katolickim Kościołem i stwierdził niejedno-

[1]) F. Goetel w *Kurjerze Porannym*.

krotnie przynależność do niego bohaterstwem przelanej krwi. Naród polski, w olbrzymiej większości katolicki, przywiązany jest do swego Kościoła, dlatego Kościół katolicki winien być otoczony należytą opieką. W stosunku do innych wyznań stoimy na stanowisku określonym w konstytucji, a wynikającym z tradycyjnej polskiej tolerancji religijnej.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że obok solidarności narodowej jedność religijna jest najmocniejszym fundamentem rozwoju i potęgi państwa. Kościół katolicki od zarania historii państwa polskiego jest nierozerwalnie związany z dziejami polskiego narodu. Kościół bowiem wychowywał ten naród w ciągu wieków, włączając go w wielką rodzinę kultury zachodniej, przekazywał pokoleniom najlepsze tradycje; przez usta Skargi napominał i groził w dniach partyjnego rozwydrzenia i kultu prywaty a w okresie niewoli stał na straży skarbnicy narodowych pamiątek i krzepił narodowego ducha przed atakami rozpaczy. I dzisiaj rola Kościoła jest niemniej doniosła. Głoszona przezeń etyka jest bowiem gwarantem praworządności, spójnią polskiej rodziny, ostoją sprawiedliwości społecznej, wychowawcą ofiarnych dla ojczyzny obywateli. Jest pewnikiem stwierdzonym doświadczeniem wieków, iż każdy dobry katolik, żyjący według wskazań Chrystusowej nauki jest tym samym najlepszym obywatelem, kochającym ofiarnie swoją ojczyznę. Myśl tę powinni poddać gruntownej, życiowej analizie ci wszyscy, którzy fałszując historię naszego narodu, atakują w wolnomyślicielskiej perfidii religię katolicką i podważają rolę oraz posłannictwo duchowieństwa, zasłaniając się rzekomo dobrem państwa i racją stanu. Tym wszystkim możemy z całą szczerością rzucić w twarz słowa wielkiego Augustyna, którymi on szermował przeciw ówczesnym wrogom katolicyzmu:

Ci co powiadają, że nauka Chrystusowa jest wrogą Rzeczypospolitej, niechże dadzą takich żołnierzy, jakimi każe być swoim wyznawcom nauka Chrystusa; niech dadzą takich poddanych, takich małżonków, takie żony, takich rodziców, takich synów, takich panów, takie sługi, takich sędziów, takich wreszcie urzędników skarbowych i płatników podatków, jakimi nakazuje być chrześcijańska nauka. Jeśli ich dać potrafią, niechże sobie wtedy mówią, że chrystianizm jest wrogiem Rzeczypospolitej, ale też przeciwnie, jeśli ich dać nie zdołają niech mają odwagę nazwać naukę Chrystusową silną ostoją państwa, o ile tylko znajduje ona prawdziwy posłuch.

Nikogo zatem nie zdziwi, iż p. płk Koc podkreślił, zgodnie z historyczną prawdą, doniosłą rolę w dziejach

i w życiu polskiego narodu i że obiektywnie stwierdził przywiązanie olbrzymiej większości narodu do katolickiego Kościoła. Na rzeczywistość tego faktu nie może zamknąć oczu żaden trzeźwy i rzetelny mąż stanu. Logicznym zaś wnioskiem tego stwierdzenia powinno być oparcie całego życia państwowego na katolickich zasadach. Zamiast więc „należytej opieki nad katolickim Kościołem", o której mówi nam deklaracja wolelibyśmy jak najdalej posuniętą i konsekwentną współpracę we wszystkich dziedzinach publicznego życia. Taki bowiem jedynie stosunek zgodnej i życzliwej współpracy może zadowolić naprawdę tę „olbrzymią większość katolicką, przywiązaną do swego Kościoła". — Program tej współpracy nakreślił Leon XIII w swoich encyklikach, rozjaśniając wszystkie kwestie związane z religijnością państwa i z państwowością religii. Czytamy tam, że państwo ma „religię katolicką otaczać opieką, przychylnością osłaniać, powagą swą i prawami bronić, a niczego nie ustanawiać i niczego takiego nie zarządzać, co by naruszało jej nietykalność". Czytamy dalej, że państwo katolickie powinno uznać Kościół katolicki za zwierzchność niezależną od państwa w katolickich sprawach religijnych — a w sprawach stykających się z religią powinno przypuścić Kościół do współpracy, uznać jego wpływ na rodzinę, na wychowanie młodzieży, na szkołę, na prawodawstwo...

Taką też treść pragnęlibyśmy włożyć w te słowa deklaracji, które zapewniając innym wyznaniom na podstawie konstytucji pełną tolerancję, zdają się jakby rozszerzać ramy tejże konstytucji w stosunku do katolickiego Kościoła.

Ale rzeczową egzegezę słów deklaracji da dopiero życie. W ubiegłych latach podkreślaliśmy niejednokrotnie liczne braki i niekonsekwencje, jakie jawiły się w ustosunkowaniu się czynników rządowych do katolickiego Kościoła i głoszonej przez niego religii. Jeżeli chodziło o naczelne władze państwowe, to wszędzie i zawsze podkreślały one swój pozytywny stosunek do Kościoła. Jeżeli jednak chodziło o ludzi, którzy uchodzą lub pragną uchodzić za zbliżonych do rządzącej grupy to działo się często wprost odwrotnie. Ze smutkiem trzeba było niejednokrotnie stwierdzać, iż coraz częściej wysokie i odpowiedzialne stanowiska zajmowali ludzie, co do których żaden katolik nie mógł mieć złudzeń. Jakżeż bowiem żądać od apostatów, rozwodników, jawnych liberałów, by stawali w obronie religijnych wpływów w państwie, w prawodawstwie, w szkole... kiedy oni do tej religii świadomie lub podświadomie siłą faktu musieli się odnosić z niechęcią, pozostając z nią w jawnym konflikcie? I tutaj tkwi nie ostatnia psychologiczna przyczyna zła, które się rozpleniło, bo przykład idący z góry rozkłada i demorali-

zuje. Tego przykładu nie zniwelują ani nie odrobią żadne słowa. „Naród polski, w olbrzymiej większości katolicki i przywiązany do swego Kościoła" ma prawo domagać się, by rządzili nim i kierowali ludzie czystych rąk i czystego sumienia, ludzie przekonań katolickich i katolickiego życia. Wszelka inna postawa wobec najdonioślejszego problemu religijnej jedności, będącej podwaliną narodowego zjednoczenia będzie frazesem, czy politycznym atutem, który wcześniej lub później zdemaskuje życie.

Mamy wrażenie, iż świadomość tych właśnie postulatów przenika powoli najszersze warstwy polskiego społeczeństwa, iż ma już gorących zwolenników wśród młodego zwłaszcza pokolenia.

Czyżby omawiany ustęp deklaracji programowej p. płk. Koca był zwiastunem szczęśliwej i w tym kierunku ewolucji?

— — — — — — — — —

Takie nasunęły się nam uwagi i zastrzeżenia przy rozważaniu całości programowej deklaracji, która według myśli jej twórców ma służyć za wstęp do zorganizowania politycznego obozu. Czy i o ile ta inicjatywa osiągnie swój skutek pokaże nam dopiero przyszłość. Zdaje się nam jednak, że losy jej w wysokiej zawisły mierze od składu osób, które w tej pracy ujmą za ster i czołowe w niej obejmą role. Może tak być nie powinno, ale tak niestety bywa w życiu i z tym psychologicznym faktem należało by się liczyć. Może ta teza dyktuje konieczność pewnych wyrzeczeń i daleko posuniętej ofiarności — ale trzeba pamiętać, iż chodzi i chodzić powinno o dobro narodu i państwa...

W każdym razie, jak nas zapewnia miarodajne oświadczenie, duchowieństwo polskie z Episkopatem na czele, pomne swej szczytnej misji dziejowej, nie szczędzi w odrodzonej Ojczyźnie i nie będzie szczędzić poparcia dla wszelkich rzetelnych wysiłków zmierzających do p r a w d z i w e j konsolidacji, zgody i pokoju w Polsce. W szczególny zaś sposób duchowieństwo katolickie przyczyniać się będzie, aby, stosownie do nakazu chwili, wzrastał duch i siła obronna naszego państwa. Pozostając nadal ponad partiami i walkami stronnictw, duchowieństwo katolickie w dziedzinie pracy obywatelskiej i patriotycznej będzie miało zawsze na względzie dobro całości Rzeczypospolitej.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Warszawa 1. III.

Sprawy Państwa.

Majestat choroby. — Zmiany w Niemczech. — Kampania przemówień. — Próg przełomu. — Zmiany w Rosji. — Groźne widmo.

Radosna wieść nadbiegła z Rzymu. Papież zdrowszy. Przez szereg tygodni wielka chrześcijańska śmierć *in odore sanctitatis* zdawała się już krążyć po wspaniałych komnatach Watykanu. Śmierć przewlekła, ciężka, okrutna, niemniej męczeńska niżli Małej Świętej francuskiej i polskiego Biskupa Polesia, najbliższych nadziemskich przyjaciół Ojca Świętego. W obliczu tej śmierci Pius XI polecił karmelitankom w Lisieux modlić się dla siebie tylko o moc ducha. Prosił i otrzymał. Przed męczeństwem nie cofał się nigdy gdy był młodszy, gdy miał wyruszyć z Warszawy na straconą placówkę moskiewską „bo dla nawrócenia Rosji potrzebna jest kapłańska krew", ani gdy sam jeden spośród obcych dyplomatów wytrwał w Warszawie podczas szturmu bolszewickich hord. Nie ugiął się przed męczeństwem i teraz. Ze czcią, podziwem i miłością spoglądał cały świat na nieustraszonego starca, gdy z każdej przerwy w straszliwym, a tak, zdawało się, beznadziejnym cierpieniu korzystał, by do ostatniego tchu pełnić powinności Sługi Sług Bożych. Jednego dnia wił się w boleści i prawie już konał, by zaraz nazajutrz słuchać sprawozdania kardynała sekretarza stanu i przyjmować na godzinnej konferencji biskupów przybyłych z Niemiec z niepomyślnymi wieściami. Dziś zdaje się, że Miłosierdzie Boże tę gotowość Najwyższego Pasterza, by oddać życie swoje za owce swoje, policzyło mu za wypełnienie ofiary, że pozwoli jeszcze tu, na ziemi, dożyć jeśli nie lat Janowych lub Leonowych, to przynajmniej pierwszych zórz upragnionej chrystianizacji i ocalenia ginącego świata. *Il Papa Polacco* wygląda ich z północnego-wschodu...

Na razie, na arenie międzynarodowej nie widać jeszcze żadnych po temu oznak. Wśród audiencyj udzielonych przez Piusa XI, na łożu ciężkiej choroby na szczególną zasłużyła uwagę ta, którą otrzymali trzej kardynałowie Kolonii, Monachium, Wrocławia, oraz biskup Berlina. Stosunek Kościoła do państwa w Niemczech znowu się naprężył. Hitler nie przestaje wprawdzie wzywać Pana Boga w każdym swym przemówieniu, ale to nie przeszkadza że Goering dąży do państwowego monopolu nauczania i kierownictwa młodzieżą w duchu ideologii rasistowskiej. Konflikt na tym tle między Kościołem a państwem rozwiązano w Italii kompromisem układu Lateraneńskiego. W Niemczech może to być trudniejsze o tyle, że większość ludności wyznaje protestantyzm, ponadto zaś zarysowały się tam przesunięcia u szczytów władzy dyktatorskiej, dla kompromisów również niepomyślne. Względnie pojednawcza postawa Hitlera wobec katolicyzmu zdaje się wypływać z nastrojów rezygnacyjnych, wobec ciężkiego położenia gospodarczego i kojarzy się z nadzieją na

pomoc Kościoła w ćwiczeniu cierpliwości ludowej wobec żywnościowego niedostatku, oraz w obronie przed reakcją komunistyczną. Ale politycznie mniej od Hitlera zużyty Goering jest usposobiony zuchwalej i skłonny nadal do podtrzymywania wysokiego bojowego napięcia dyktatury. Hitler dobrowolnie ustąpił mu już swą władzę właśnie na najtrudniejszym odcinku gospodarczym, powierzył kierownictwo nowego „planu czteroletniego". Mówi się w Niemczech także o kanclerstwie Goeringa i prezydenturze Hitlera, czyli o przekazaniu rzeczywistego dowództwa dyktatorskiego w ręce Goeringa. Szczegół przy tym dekoracyjny i maskujący stanowić by miała formalna zmiana konstytucji z zastąpieniem *Reichstagu* przez radę stanu, korporacyjną, czy po prostu partyjną.

Wyniki czteroletnich rządów Hitlera zdają się wskazywać na potrzebę takiej zmiany osobistej u steru władzy. Pomimo efektownych sukcesów częściowych, Hitler nie zdołał wyprowadzić Niemiec z impasu wewnętrznego ani zewnętrznego. Na wewnątrz wyczerpał program opanowania bezrobocia za pomocą budowy autostrad oraz zajęcia przemysłu zbrojeniami. Okazało się, co z góry było do przewidzenia, że takimi środkami można „nakręcać koniunkturę" tylko do czasu, dopóki starczy rezerw kapitalistycznych w kraju; oraz, że w szczególności tą metodą nie da się usunąć zasadniczego niedoboru żywności i surowców w przeludnionym gospodarstwie narodowym. Wyjście może otworzyć tylko ekspansja na terytoria nowe, surowcowo zasobne, a nieprzeludnione, np. w Rosji lub zamorskich imperiach kolonialnych Zachodu. To też stanowi obecnie zadanie niemieckiej polityki międzynarodowej. Jednak i od tej zewnętrznej strony Hitler nie wyprowadził Niemiec ze ślepego zaułka, choćby w tym stopniu co Mussolini Włochy przez Abisynię. Nie dlatego aby miał być mniej rzutki, lecz dlatego, że zadanie ekspansji Niemiec jest geopolitycznie trudniejsze od włoskiego.

Bądź co bądź faktem jest, że w ostatniej fazie czteroletnich rządów Hitlera Niemcy ponownie znalazły się blisko matni, nie tylko żywnościowo-gospodarczej, lecz i dyplomatycznej. Od jesiennej wizyty min. hr. Ciano w Berlinie oraz mediolańskiej mowy Mussoliniego, za podstawę działania uznano „oś Berlin — Rzym", proklamując hasło antykomunistyczne i wywierając nacisk na mocarstwa zachodnie przez interwencję w Hiszpanii. Celem tej akcji było powściągnąć angielskie, odwetowe za Abisynię, działania na Morzu Śródziemnym przeciwko Włochom, a także skłonić mocarstwa zachodnie do zerwania z Sowietami i pozostawienia Niemcom wolnej ręki na Wschodzie; w zasadzie przeciw Rosji, w praktyce również przeciwko Polsce i Czechosłowacji. Ale Rosja w Hiszpanii stawiała zacięty opór. Wobec tego Hitler spróbował ją zaszachować układem przeciwbolszewickim z Japonią. To posunięcie okazało się raczej fatalne, uruchomiło bowiem

całokształt systemu równowagi na całym obszarze globu i wykazało, że wypada ona na niekorzyść Niemiec. Układ niemiecko-japoński zaniepokoił Anglię możliwością japońskiej przewagi w Chinach, zacieśnił zbliżenie anglo-francuskie i oba mocarstwa zachodnie skłonił do kontaktu z Ameryką, nie tylko w płaszczyźnie gospodarczej lecz i politycznej. Zespół zaś Anglii, Francji, Ameryki i Rosji to wzmocniona koalicja z czasów wielkiej wojny, zdolna obezwładnić zarówno Japonię w Azji, jak „oś Berlin — Rzym" w Europie.

Z tej matni usiłował się Hitler wyswobodzić, gwałtownym odruchem w kierunku hiszpańskiego Marokka, działając na nerwy mocarstwom zachodnim. I tutaj jednak okazał się słabszym i nie mógł zbytnio przeciągać struny, wobec oczywistej przewagi flot angielskiej i francuskiej nad niemiecką i włoską. Dopomógł jednak Mussoliniemu do osiągnięcia śródziemnomorskiego *gentleman agreement* od W. Brytanii, o które Włochy zabiegały ostatnio dość pokornie. Jeszcze pokorniej zmuszone były Niemcy przedstawić w mowie Schachta mocarstwom zachodnim swoją opresję gospodarczą, potrzeby surowcowe oraz rewindykacje kolonialne. Mocarstwa zachodnie dały do zrozumienia, że byłyby skłonne rozważyć przychylnie niemiecką suplikę, naradzić się z Ameryką w sprawie pomocy gospodarczej, ale to wszystko pod warunkiem, żeby się Niemcy przestały zbroić, oraz wespół z Włochami grozić ufundowaniem faszystowskiej Hiszpanii, niebezpiecznej równie dla angielskiego Gibraltaru jak i francuskiego Marokka.

Tego rodzaju pozycja nie była dla Niemiec triumfalną i nie wydawała się dość obiecującą w rokowaniach, pomimo podrzędnych, prestiżowych sukcesów w Lidze Narodów, Gdańsku i Aleksandrecie. To też taki finał czteroletnich rządów Hitlera niemniej silnie przemówił za próbą przekazania niemieckiej polityki zagranicznej w inne ręce, jak impas gospodarczy wewnętrzny za zmianą w kierownictwie „czteroletnim planem", opartym o problematyczną produkcję sztucznych surowców. Goering tedy objął jedno i drugie. Jako generalny pełnomocnik dyktatora i kandydat na przyszłego kanclerza wyruszył do Rzymu, by naprawiać położenie. Przyjęty został ostentacyjnie, jak przystało jego nowej faktycznej godności.

Uradzono z Mussolinim wygrać do reszty atut hiszpański, inaczej jednak niż dotąd. Zaoferowano mocarstwom zachodnim upragnioną przez nie nieinterwencję w Hiszpanii. Równocześnie Mussolini oświadczył w wywiadzie, że hasło przeciwbolszewickiej komasacji Europy dokoła „osi Berlin — Rzym" pozostaje nadal w mocy, oraz że właśnie *gentleman agremeent* anglo-włoski stanowi dogodny pomost do zbliżenia się do tej „osi" — W. Brytanii. Francję Mussolini pominął, zmierzając widocznie do odciągnięcia od niej Anglii, w myśl życzeń niemieckich i w celu reparacji zbliżającego Anglię do Francji wpływu układu niemiecko-

japońskiego. Pominął Francję także i dlatego, bo podobnie jak podczas wojny abisyńskiej, w jesieni 1935 r., zadeklarował zapewne swoje *désintéressement* co do Czechosłowacji. Niemcy wykazały w tym czasie znaczne nią zainteresowanie, upatrując tu kierunek najmniejszego oporu i pożądany dostęp ku Rosji przez Słowaczyznę, którego najsilniej broniła by właśnie Francja.

Porozumienie niemiecko-włoskie oparte na rozdziale sfer wpływu nad Dunajem, wzdłuż granicy czesko-austriacko-węgierskiej wzmacnia pozycję Włoch na Morzu Śródziemnym, Niemiec zaś nad Renem, godzi zatem w interesy zarówno francuskie jak angielskie. To też Anglia odrzuciła propozycję włosko-niemiecką w mowie min. Edena; łącznie zaś z lyońską mową francuskiego premiera Bluma, oba mocarstwa zachodnie dobitnie zamanifestowały swą solidarność wobec Niemiec i Włoch. Blum przy tym pominął Włochy milczeniem, tak iż powstało wrażenie, że niemiecko-włoskiej próbie rozłączenia Anglii od Francji przeciwstawiona została anglo-francuska próba odłączenia Niemiec od Włoch. Replikował z kolei kanclerz Hitler na obchodzie czterolecia swych rządów. Prestiżowo, dla zaspokojenia niemieckiej opinii publicznej, raz jeszcze, po trzykroć zdeptał traktat wersalski w mniej ważnych punktach. Podtrzymał hasło antykomunistyczne, oraz solidarność z Japonią i Włochami, poza tym zajął postawę wyraźnie ugodową tak w sprawie hiszpańskiej, jak ograniczenie zbrojeń; powtórzył też dawne propozycje gwarancji granic na Zachodzie, oraz dwustronnych porozumień pokojowych z sąsiadami wschodnimi, równocześnie podtrzymując rewindykacje kolonialne i gotowość do współpracy gospodarczej. Ostatni wreszcie w tej kampanii przemówień zabrał głos francuski min. spr. zagr. Delbos, podnosząc w mowie Hitlera skłonność „rozbrojeniową" i proponując zwołanie nowej w tej sprawie konferencji międzynarodowej.

Jeśli tę publiczną wymianę zdań między mocarstwami Europy oczyścimy z pacyfistycznej lub nacjonalistycznej frazeologii przeznaczonej na użytek szerokich mas, to treść jej da się zreasumować jak następuje. Mocarstwa zachodnie rozumieją ciężkie położenie gospodarcze Niemiec, rozumieją że ono je popycha do mącenia pokoju w Europie, a w końcu może popchnąć do jego naruszenia. Skłonne są przeto w zasadzie dołożyć starań, ażeby Niemcom dać żyć, pod warunkiem, iż przestaną się zbroić oraz zagrażać Zachodowi w Hiszpanii. Ponad to mocarstwa zachodnie, zwłaszcza Anglia, dały dyskretnie do zrozumienia, iż w razie trwałej ugody z Niemcami, gotowe by były rozluźnić przeciwniemiecki swój kontakt z Moskwą, być może wzamian za niemiecką rezygnację z kontaktu z Japonią i Włochami.

Perspektywa rozluźnienia paktów z Sowietami jest nowa i ważna. Rok bowiem temu, po remilitaryzacji Nadrenii, Hitler wystąpił z pełną zapału mową u stóp katedry kolońskiej okre-

ślając stanowisko i żądania Niemiec w sposób zbliżony do tego, który ostatnio wyłuszczył w Berlinie, choć bardzo płomienny. Żądał od Zachodu wolnej ręki wobec Moskwy, zapewniał pokój w pakcie wielostronnym zachodnim i paktach dwustronnych z sąsiadami wschodnimi, wzywał Europę do politycznej i gospodarczej współpracy. Te propozycje godne były wówczas dyskusji, dlatego zwłaszcza, że mogłaby ona zapobiec fortyfikacji Nadrenii, co szczególnie zagraża skuteczności przymierza francuskiego dla Polski i Czechosłowacji. W ogóle można było wtedy z powodzeniem rozmawiać z Niemcami na temat ich stosunku do bezpośrednich sąsiadów nie tylko zachodnich lecz i wschodnich. Wówczas jednak suwerenna opinia publiczna republiki francuskiej z całą gwałtownością żywiołowego odruchu rzuciła się w objęcia paktu z Sowietami. Dziś dopiero rozmowa nawiązuje się ponownie. Mocarstwa zachodnie w gruncie rzeczy skłaniają się do przyjęcia niemieckiej propozycji z przed roku, jednak w warunkach zmienionych. W Nadrenii zmiana jest wybitnie niekorzystna dla zachodnich, jak i wschodnich sąsiadów Niemiec, gdyż Niemcy ten kraj forsownie fortyfikują. Wyrównywa zaś do pewnego stopnia ten minus bardziej przymusowe niżli przed rokiem położenie gospodarcze Niemiec.

W nim niewątpliwie leży główny węzeł tragedii nie tylko Niemiec lecz Europy i świata. Tragedia polega na tym, że węzeł jest zasadniczo nierozwiązalny w ramach istniejącego podziału terytoriów, zamorskich lub eur-azjatyckich; a także w ramach istniejącego ustroju gospodarstw narodowych i gospodarstwa światowego. Projekty wysuwane w tej mierze przez mocarstwa zachodnie zmierzają przeciwnie, raczej do ochrony istniejących stanów posiadania i urządzeń, z natury rzeczy więc mogą mieć wartość tylko paliatywów. Najoczywiściej taki charakter nosi angielska propozycja, by wobec zajęcia przemysłu brytyjskiego zbrojeniami, Niemcy przejęły tegoroczne zamówienia dominiów na maszyny i inne fabrykaty, przyjmując zapłatę w surowcach. Dalej sięgać się zdaje myśl współdziałania z Ameryką w kierunku tak wielkiej intensyfikacji handlu międzynarodowego, ażeby mógł on wchłonąć wysoki niemiecki eksport przemysłowy i wyrównać go importem do Niemiec niezbędnych dla nich surowców i żywności. Wiąże się ta perspektywa z hasłem zniżki barier celnych, odreglamentowania i liberalizacji handlu światowego. Perspektywa jest oczywiście korzystna dla Niemiec, ponieważ ich narodowe gospodarstwo nie jest samowystarczalne, potrzebuje wysokiego importu, który musi pokrywać równie wysokim wywozem. Koncepcja ta byłaby może również dostępna dla Anglii, gdyż podobnie jak Niemcy nie może ona utrzymać swej nadwyżki ludnościowej, obecnie bezrobotnej, inaczej jak wzmagając produkcję wywozową, przy czym zatrudnienie bezrobotnych rozszerzyłoby spożycie, które mógłby i musiał pokryć odpowiednio wzmożony

przywóz. Natomiast gospodarstwa narodowe wybitnie samowystarczalne, o wytwórczości wszechstronnie rozwiniętej, jak Francja, a zwłaszcza Ameryka, mogłyby wprawdzie zatrudnić swych bezrobotnych wzmagając produkcję eksportową, ale ażeby móc przyjąć równowartościowy przywóz, czyli spotęgować obrót międzynarodowy (i to do miary koniecznej dla utrzymania Niemiec) byłyby zapewne zmuszone ograniczyć odpowiednie działy własnej pracy wytwórczej. Wywozem więc zwalczały by swoje bezrobocie ale przywozem by je wznawiały. Inaczej mówiąc daleko posunięta samowystarczalność nie znosi zbyt silnego rozrostu obrotu gospodarczego zewnętrznego, gdyż mogłoby to zmusić do redukcji obrotu gospodarczego wewnętrznego. Przeciwnie zaś, gospodarstwa niesamowystarczalne muszą przede wszystkim opierać się na obrocie międzynarodowym, albo też tak rozszerzyć swoje podstawy terytorialne i surowcowe, ażeby się stać samowystarczalnymi.

Dlatego to sny zachodnich liberałów gospodarczych, Roosevelta nie wyłączając, o takim spotęgowaniu obrotów międzynarodowych, któreby trwale mogło wchłonąć światowe bezrobocie oraz pokryć niemiecki niedobór surowców i żywności, należy złożyć między bajki. Możliwe są jedynie jakieś paliatywne w tym kierunku próby. Mogłyby one być użyteczne w charakterze czasowej ulgi, gdyby nie to, że tę ulgę Niemcy zapewne by wykorzystały, ażeby uzupełnić swoje zbrojenia, podobno jeszcze nie doprowadzone do wskazanego przez sztab niemiecki *maximum* i *optimum*. Wprawdzie mocarstwa zachodnie dlatego uzależniają współpracę gospodarczą z Niemcami od ograniczenia zbrojeń, ale i tutaj nadzieje są znikome, bo po pierwsze zachodzi wielka trudność należytej kontroli, a powtóre, niemiecka koniunktura gospodarcza opiera się właśnie na zbrojeniach, które zatrudniają znaczną część bezrobotnych. Gdyby więc tę pracę Niemcy wstrzymali, to natychmiast musieliby całą siłą przerzucić się do produkcji pokojowej i wywozowej, możliwość zaś jej wchłonięcia przez gospodarstwo światowe, jak powiedziano, przedstawia się co najmniej problematycznie.

Cóż więc pozostaje? Kredyt międzynarodowy? Gospodarczo uzasadniony, a więc celowy, zapewniony i rentowny może on być tylko o tyle o ile służy montowaniu obcych aparatów wytwórczych, oraz rozwojowi handlu międzynarodowego przez który się procentuje i amortyzuje. Ograniczona jednak możliwość rozwoju tego handlu i tutaj staje na przeszkodzie. Bardzo odstraszająco działa przy tym precedens z olbrzymim kredytem władowanym w Niemcy w latach 1924—30, którego niewypłacalność spowodowała bezpośrednio kryzys gospodarczy powszechny. Gdyby nawet tym razem Niemcy ponownego kredytu nie zmarnotrawili lecz zainwestowali go w rozwój aparatu produkcyjnego krajów Europy środkowo-wschodniej, Bałkanu lub Rosji, to by wprawdzie mogli

spotęgować swój z nimi obrót i stworzyć dla siebie kilkoletni gospodarczy *modus vivendi;* jednak kredytodawcy zachodni mogliby na zwrot tego kapitału liczyć tylko w postaci nadwyżek przywozu towarowego. A to znów wtrąciło by ich z powrotem w bezrobocie albo zmusiło do przeobrażeń ustroju gospodarczego.

Istotę wszystkich tych trudności stanowi fakt, że liberalno-kapitalistyczny system gospodarki przeżył się i nie odpowiada już zmienionym warunkom ani wewnątrz państw, ani w stosunkach międzynarodowych. Wolny handel i wolny międzynarodowy ruch kapitałów funkcjonowały poprawnie tylko do czasu wielkiej wojny, tj. dopóki natężenie produkcji i rozmiar obrotu nie rozrosły się powyżej zdolności spożywczej światowego rynku, co właśnie spowodowało, że Niemcy na nim pomieścić się już nie mogą. Niemiecka kwestia gospodarcza, jak i polityczna rozwiązana być może zasadniczo tylko w drodze rozszerzenia samowystarczalności Niemiec, czyli rozszerzenia ich terytorium.

Dlatego Niemcy żądają, by im zwrócono kolonie. Wśród kontrpropozycyj zachodnich najbliższą właściwego kierunku i godną uwagi jest wysunięta w Lyonie przez Bluma. Premier francuski oświadczył się z gotowością otwarcia kolonij francuskich dla emigracji i eksploatacji niemieckiej. Nawiasem mówiąc to samo zaofiarował nieco wcześniej Polsce, francuski min. kolonij dla celów emigracji żydowskiej. Takie rozwiązanie byłoby w zasadzie trafne. Gdyby np. kilka czy kilkanaście milionów Niemców stopniowo przesiedlić i zagospodarować na jakimś terenie słabo zaludnionym a zdolnym do produkcji surowców i żywności, to z jednej strony osłabłby dla Niemiec europejskich nacisk konieczności importowej i eksportowej, a z drugiej strony nowe środowisko kolonialne wytworzyłoby nową możliwość obrotu wymiennego z macierzą. O ile to środowisko pozostawało by pod zwierzchnością państwową francuską, to obrót miałby charakter międzynarodowy, ale gospodarczo racjonalny. Inna rzecz, że w miarę jakby się to środowisko ilościowo rozrastało i potężniało, prawdopodobnie zaczęło by politycznie ciążyć do swej faktycznej metropolii niemieckiej w Europie; utrzymanie zaś suwerenności francuskiej nad tym środowiskiem stawało by się coraz kłopotliwsze... To też w gruncie rzeczy propozycja Bluma, gdyby rzeczywiście miała być zrealizowana, nie oznaczałaby nic innego, jak początek stadium przejściowego w kierunku rewizji statutu terytorialnego Afryki, czyli redukcji wielkich imperiów kolonialnych zachodnich, na dobro przeludnionej Europy środkowej. To jest wybitnie twórcza, ale i wybitnie rewolucyjna w sensie międzynarodowym droga wyjścia z tragicznych powikłań, z którymi się zmaga współczesny świat.

I w innym jeszcze punkcie kontaktuje ta perspektywa bliżej z wielkim przełomem dziejowym niźli z jazdą na „fali koniunktury" oraz marzeniami o odrodzeniu gospodarki liberalnej,

narodowej czy światowej. Nie dość mieć teren emigracyjny, trzeba jeszcze rozporządzać kapitałem w celu finansowania emigracji na wielką skalę. Tego kapitału mocarstwa zachodnie posiadają wbród. Niemcy już nie, a Polska tym mniej. Kredyt zachodni na te cele jest do pomyślenia, ale przedstawia się problematycznie zarówno pod kątem rentowności jak wypłacalności międzynarodowej czyli „transferu". Żyjemy bowiem w czasach przekwitu i zaniku systemu kapitalistyczno-kredytowego. Jeżeli zaś nie tą drogą miałaby być finansowana emigracja niemiecka, lub polsko-żydowska do kolonij francuskich (albo włoska do Abisynii) to jaką inną? Pozytywną odpowiedź na to pytanie może dać tylko przełom w ustroju wewnętrznym gospodarstw narodowych w kierunku gospodarki związanej, oraz uzupełnienia kredytu opartego na kapitale zaoszczędzonym, przez kredyt antycypowany oparty na rozszerzeniu funkcji społecznej pieniądza.

Układy więc między mocarstwami zachodnimi a Niemcami, postawione szczerzej i rozsądniej niż dotąd miały by wszelkie szanse odkrycia perspektyw ziejących przepastnymi trudnościami natury zasadniczej, a także niebezpieczeństwami taktycznymi, zwłaszcza w sprawie zbrojeń i przy zachodniej mentalności pacyfistycznej. Musiały by być przewlekłe a w wynikach paliatywne i dwuznaczne. To też w prasie niemieckiej z przekąsem pisano, iż zanosi się na nowe targi w rodzaju „wschodniego handlu krowami". Jednak samo dojście tych układów do skutku stało się na razie problematyczne. Wpłynęła na to reakcja obronna, jaka się zarysowała w Rosji przed ew. zerwaniem, za cenę ugody z Niemcami, zawartych z nią przez Zachód przeciwniemieckich paktów obronnych. Liczyła się z tym Rosja już dość dawno, ponadto zaś reakcja wyłoniła się organicznie ze zmian, jakie w Rosji zaszły na skutek długotrwałego naprężenia z Niemcami.

Uzbroiły się po zęby nie tylko Niemcy lecz i Rosja — dla obrony przed nimi. Gospodarczo i politycznie popadła skutkiem tego Rosja w niemniej krytyczną sytuację wewnętrzną niż Niemcy. Musiała wypaczyć swój nowy „plan pięcioletni", musiała znów upośledzić wieś na rzecz ciężkiego przemysłu zbrojeniowego i zakwestionować przez to aprowizację miast. Wzmacniając armię podniosła równocześnie jej znaczenie polityczne w państwie, tym bardziej że państwowa polityka rządzącej partii nie okazała się zdolną zabezpieczyć państwa przed groźnym niebezpieczeństwem zewnętrznym od strony Niemiec. „Czerwona" armia zaś jest usposobiona niechętnie dla partii komunistycznej a przychylnie dla sojuszu z Niemcami — według tradycji Rapalla.

Na takim tle ostatnie procesy moskiewskie pierwszy, drugi i zapowiedziany trzeci, z ich masowymi wyrokami śmierci, oznaczają niewątpliwie systematyczne tępienie rządzącej, ideowej elity komunistycznej w celu zmiany *régime'u*. W jakim sensie, na czyją korzyść? Najprostszym byłoby przypuszczenie porozumienia

między Stalinem a Woroszyłowem. Po wytępieniu dawnego ideowego sztabu Lenina, ogłosił by się Stalin prezydentem, Woroszyłow pozostał by naczelnym wodzem armii, po czym obaj definitywnie usunęli by od władzy partię komunistyczną, dyktaturę oparli by na sile zbrojnej, obecny zaś Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, teoretycznie międzynarodowy i komunistyczny, przekształcili by, dajmy na to, w „narodowo-socjalistyczne" państwo rosyjskie. Wtedy wytrącili by Trzeciej Rzeszy z rąk hasło agitacyjne przeciwkomunistyczne, pod którym usiłuje ona skupić Europę przy „osi Berlin — Rzym" — przeciwko Moskwie. Wtedy mogłaby Rosja pokusić się o odbudowę Rapalla. Same Niemcy Goeringa pierwsze by się z tym do niej zgłosiły, ażeby odnowić dawną taktykę szachowania Zachodu — i nas — właśnie przez Rapallo. Ukłon w tym kierunku już awansowała półurzędowa *Deutsche diplomatisch-politische Korrespondenz.*

Właściwie więcej niż ukłon. Kto wie czy zabójstwo Nawaszina w Paryżu nie zostało dokonane dlatego, że ten wysoki mason wiedział za wiele o już wdrożonym tajnym kontakcie sztabów generalnych Moskwy i Berlina, w szczególności może o Aleksandrecie. Wszak Turcja bez aprobaty Rosji palcem nie ruszy, tutaj zaś narzuciła Francji nowy Gdańsk w najcenniejszym północnym sandżaku Syrii — rzekomo z poduszczenia Niemiec. W każdym bądź razie zupełnie jawnie, od chwili przyjaznego ukłonu *Diplomatische Korrespondenz* pod adresem odkomunizowującej się Moskwy, a zwłaszcza jej armii, prasa niemiecka uderzyła w ton niezmiernie gwałtowny w zakresie żądań kolonialnych. Schacht już nie suplikuje jak jeszcze niedawno, lecz żąda i dowodzi, iż po urzędowym przez Hitlera odrzuceniu w ostatniej mowie artykułu wersalskiego o tzw. winie wojennej Niemiec, należy im się nie tylko zwrot kolonij lecz także wypłaconych, tytułem odszkodowań miliardów. Przydałyby się one oczywiście dla finansowania emigracji. Ten ton nosi już wyraźnie charakter neo-rapalowski i to w bojowym stylu Goeringa. Również nieprzypadkową zdaje się być wzmożona ofensywa powstańców hiszpańskich, popierana czynnie nadal przez Niemcy i Włochy podczas zdobywania Malagi. Nadeszły wieści, jakoby „czerwoni" w Hiszpanii mieli być zdeprymowani materialnie i moralnie z powodu, że Moskwa wycofuje się z ich sprawy. Wreszcie Anglia odpowiada wyraźnie chęcią odroczenia układów z Niemcami, gorączkowym tempem zbrojeń oraz nowym wzmożonym ich programem, manifestacyjnie teraz właśnie wniesionym do parlamentu przez kanclerza skarbu. Wszystko to świadczyć się zdaje, że po niepomyślnym dla Niemiec wyniku ostatniej próby wygrania „osi Berlin — Rzym" Goering błyskawicznie rozwinął próbę przestawienia swej taktyki na Rapallo. Zapewne nie jest to jeszcze zasadniczy zwrot w linii politycznej Niemiec lecz przede wszystkim właśnie próbny manewr taktyczny. Daje on jednak Niemcom wi-

doczną przewagę nad partnerami, bo nowe Rapallo, gdyby istotnie doszło do skutku byłoby dla nich jeszcze niebezpieczniejsze od dawnego. Wszak Niemcy siedzą w Nadrenii a uzbrojone są, podobnie jak Rosja, o wiele potężniej niż przed laty. Wówczas Rosja, atakując mocarstwa zachodnie w Azji przedniej i dalekiej pomagała Niemcom wyzwalać się z pod ich wersalskiej przewagi, obecnie mogłaby pomóc do ofensywy na zamorskie imperia. Gorzkiemi łzami musiałyby wtedy mocarstwa zachodnie opłakiwać absurdalność swej polityki demo-pacyfistycznej. Za dawnego Rapalla polityka ta siliła się, by Niemcy „pozyskać" ustępstwami i zwrócić przeciw Rosji, a po tym, gdy Hitler sam to zaproponował, zawarła przeciw niemu sojusz z Moskwą. W interesie jednak Moskwy leży oczywiście ażeby agresję niemiecką odwrócić od siebie, a zwrócić raczej przeciw Zachodowi.

Zmiany w Rosji, na których się ta perspektywa opiera, nie są jeszcze, podobnie zresztą jak w Niemczech, skrystalizowane. Stalin zdaje się obawiać zbytniego uzależnienia od armii i jej marszałków, stąd tarcia ze sztabem i możliwość posunięcia wypadków po jakiejś linii średniej, między armią a partią. Gdyby jednak faktycznie doszło do nowego *régime'u* w Rosji i odbudowy Rapalla to chcąc je rozbić i osłonić się przed rosyjskim naciskiem przez Turcję na Syrię i Irak, mocarstwa zachodnie musiały by chyba naprawdę dać Niemcom kolonie i kredyty kolonizacyjne. Możeby zresztą wystarczyły kredyty na rozwój handlu niemiecko-rosyjskiego i podźwignięcie gospodarcze obu państw, które by jednak dla Niemiec mogło być tylko tymczasowe i zasadniczo niekorzystne. Zamknęło by ono przed nimi ekspansję kosztem wzmocnionej Rosji, a w następstwie również zakwestionowało drogę do zachodnich imperiów kolonialnych.

Perspektywa zwrotu niemiecko-rosyjskiego przedstawia niezmierną doniosłość także dla Polski. Pewną gospodarczą korzyść mógłby nam ten zwrot przynieść w wypadku haraczu kredytowego ze strony Zachodu na rózwój handlu niemiecko-rosyjskiego, ale to jest mało prawdopodobne. Na pierwszym zaś planie sytuacja obecna stawia znak zapytania nad pożyczką francuską. Jeśli stosunek Zachodu do Niemiec będzie się dalej zaostrzał, to Francja poprze pożyczkę i może ją nawet powiększyć. Za to w razie przewlekłych układów, zwłaszcza zbrojeniowych może ją nawet udaremnić, bo Niemcy jej sobie nie życzą, Francja zaś dążąc do ugody z nimi mogłaby się z nią nie spieszyć, jak nie spieszyła się dotąd. Co do strony politycznej, to wojna na dwa fronty, z Niemcami i Rosją, o tyle by nam nie groziła, że potrzebni bylibyśmy nadal Rosji, jako państwo buforowe wobec niebezpiecznego niemieckiego sprzymierzeńca. Nie byłaby jednak taka wojna wyłączoną w razie gdyby Niemcy i Rosja nie zdołały zgwałcić Zachodu na kredyty i gdyby ostatecznie przyparte zostały gospodarczo do muru — z wyostrzonym mieczem w dłoni.

Gdybyśmy w warunkach nowego Rapalla nadal pozostali słabi, to najprawdopodobniej groziło by nam osłabienie sojuszu ze sterroryzowanym Zachodem i wasalizacja wobec Moskwy.

Przyszłość nasza w obecnym położeniu przedstawia się więc bardzo zagadkowo i groźniej niż kiedykolwiek. Dlatego zmiany wewnętrzne, umożliwiające wzrost siły odporu, także w Polsce nastąpić muszą.

Andrzej Prawdzic.

Lady Caprice w roli detektywa.

Znane są powszechnie, rozsiane po dziennikach „ogłoszenia matrymonialne". Raz jakiś młodzieniec, to znowu człowiek dojrzały, wdowiec „pozna" subtelną, miłą, młodą pannę lub starszą do lat 40 kobietę, kiedy indziej ona „pozna" jego... w celu matrymonialnym. Ten cel, mniejsza na razie czy szczerze zamierzony, stanowi w każdym razie pewną zewnętrzną etykietę legalności tej rubryki ogłoszeń.

Obok niej istnieje wszakże inna jeszcze, zamieszczana w niektórych tylko pismach, rubryka, służąca tzw. korespondencji ogłoszeniowej. On czy ona ogłasza anons, że pragnie wymiany myśli i uczuć, szuka osoby, z którą mógłby dzielić przeżycia, nawiązać bliższy kontakt „duchowy" itd. Prawdziwe nazwisko i adres pozostają naturalnie ukryte, zastępuje je szyfra. Ma to zaręczyć dyskrecję i tym samym ułatwić szczerość.

Głos zabierają tu ludzie wszelkiej kategorii: młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, wykształceni i półinteligenci, mężczyźni udający kobiety i kobiety naśladujące mężczyzn, młodzi przybierający pozę dojrzałych, starzy strojący się w piórka młodości, naiwne dziewczęta święcie przekonane o swym sprycie życiowym i przewrotne kobiety z przypiętymi skrzydłami aniołów, oszuści w roli ludzi uczciwych, zwyrodnialcy w śnieżnej bieli niewinności.

Wszyscy ci zamieszczają anonsy i czekają na zgłoszenia. A te nie zawodzą; przychodzi ich raczej za wiele, niż za mało, tak wielu jest amatorów tej korespondencji. Zachęca ich, prócz sensacji, także świadomość, że są okryci gęstą, nieprzepuszczalną zasłoną, przez którą nie dojrzy ich nikt, chyba że sami zechcą ją uchylić. Odbiorca listu nie widzi piszącego, nie wie nawet czy to jest mężczyzna czy kobieta i wyrabia sobie jego obraz jedynie na podstawie rodzaju i treści pisma, stylu, barwy papieru i perfumu, jakim jest zaprawiony. W wyobraźni jego zarysowuje się postać piszącego, jego rysy i psychika, czasem zgodne z rzeczywistością, ale ileż razy odległe od niej jak niebo od ziemi! Ten, mniej lub więcej fikcyjny, obraz musi jednak wystarczyć i zależnie od ustosunkowania się do niego, a nie do rzeczywistej osoby, snuje się albo rwie dalsza korespondencja.

Tak rodzi się nowy świat marzeń, który niedoświadczonych pociąga swą tajemniczością i daje im złudzenie rzeczywistości, a wszystkim otwiera szeroką swobodę wypowiadania się i nawet działania pod osłoną otaczających ciemności.

Co się jednak dzieje w tych ciemnościach? co piszą ci ludzie? czy jest to tylko niewinna rozrywka, czy też kryje się niebezpieczeństwo i jakie? — Zagadnienie to, w ogólnych swych ramach wprawdzie znane, ale w szczegółach niedostępne, postanowiła rozświetlić Lady Caprice. Program miała ściśle nakreślony. Chciała zbadać: jakie typy prowadzą korespondencję ogłoszeniową, czego w niej szukają i co znajdują, jak działają na siebie osoby biorące w niej udział, czy trafnie i w jaki sposób odczuwają się wzajemnie i jakie płyną stąd konsekwencje?

Należało teraz wejść w to tajemnicze środowisko. Ale jak? Droga do tego zaklętego grodu była jedna tylko, trudna i mozolna. Nie było wszakże wyboru i Lady Caprice — oczywiście pseudonim — zdecydowała się wejść na nią, by poznać ów świat nieznany i wydrzeć mu jego tajemnicę.

Zamieszcza więc ogłoszenia w pismach i przez okres kilku lat prowadzi ożywioną korespondencję, jako jedna więcej osoba „pod szyfrą". Występuje raz w roli kobiety a kiedy indziej mężczyzny, żeby mieć materiał wszechstronny. Poza tym udaje się jej otrzymać od niektórych korespondentów listy innych osób i liczne informacje. Tym sposobem przez ręce jej przesuwają się tysiące listów, które zależnie od treści studiuje lub odrzuca, wybierając z nich wszystko, co mogło dać charakterystykę tego procederu i zaangażowanych w nim osób. Gdy już cel zamierzony osiągnęła, zamyka korespondencję i posyła wszystkim swym partnerom jednobrzmiący telegram: *Finita la Comoedia* — „Książka skończona"!

Książka ta, owoc kilkuletniej pracy, to *Ludzie pod szyfrą.*[1]) Ukazała się pod koniec ubiegłego roku i jest rzeczywiście czymś nowym, a zarazem rewelacyjnym w tej dziedzinie, tym cenniejszym, że w przeważającej części podaje nagi materiał, listy ludzi „pod szyfrą"; uwagi krytyczne i wnioski autorki zajmują tylko niewiele stron.

Czego dowiadujemy się z tej książki?

Przede wszystkim pokazuje się, że w „korespondencji ogłoszeniowej" bierze udział wielka liczba ludzi, którzy reagują żywo na każde niemal nowe ogłoszenie, choćby najbardziej dziwaczne i niedorzecznie brzmiące. Na dwa następujące ogłoszenia: „Wytworna niezależna, ciekawa Pani — pragnie zmienić rodzaj nudów. „Łosoś na zimno" i „Pragnę poznać mężczyznę, głupiego jak kwiat

---

[1]) Lady Caprice: *Ludzie pod szyfrą.* Lwów—Warszawa 1937. Książnica Polska „Leopolia". Str. 272. — Książkę poprzedza przedmowa wybitnego prawnika Ottona Stemina (pseudonim).

lipowy w celu wymiany myśli". „Gwiżdżę" — otrzymała Lady Caprice listy od 170 gentlemanów.

Jacy ludzie biorą udział w tej korespondencji? — Wszelkiej kategorii. Autorka powiada, że miała kilkuset korespondentów, różnego zawodu, wieku i temperamentu, różnego poziomu inteligencji i moralności, przebywających blisko i daleko, prawych i przewrotnych.

Najciekawsza i najważniejsza jednak rzecz, to treść tej korespondencji, jej jawne i ukryte cele, oraz wiążące się z tym możliwości.

Nie da się zaprzeczyć, że biorą w niej udział także ludzie, którzy bądź z powodu swej struktury psychicznej, bądź w następstwie zawodów życiowych przenoszą ten rodzaj obcowania nad zwyczajny, szukają szczerze wymiany myśli, niekiedy pociechy i pomocy duchowej. „Nieżyjąca" papierowa istota wystarcza im, byle dostroiła się do ich duszy. Autorka korespondowała z takimi dłużej i przytacza sporo ich listów. Lecz już w tychże widać, że korespondencja ogłoszeniowa nie jest w stanie nawet tych zaspokoić w pełni, owszem, budzi w nich podejrzliwość i nieufność do ludzi, choćby ci rzeczywiście dobrze im życzyli. Autorka przytacza taki charakterystyczny przykład człowieka inteligentnego, który potrzebował pociechy. Otóż póki korespondowała z nim jak z każdym „wielkim nieznanym", był jej bardzo wdzięczny i prosił o częste pisanie; kiedy jednak zwróciła się do niego szczerze ze słowami serdeczniejszymi, spotkała się wręcz z niezrozumieniem i niedowierzaniem z jego strony.

Nadto stwierdzić należy, że byłoby złudzeniem liczyć na to, że osoby powyższej kategorii poprzestaną na papierowej wymianie myśli. Doświadczenia autorki i przytoczone przez nią listy wykazują, że o ile w drodze listownej nawiąże się nić sympatii, prowadzi ona wcześniej czy później do chęci osobistego zbliżenia się, którego dalszych konsekwencyj nikt przewidzieć nie zdoła. Na oferty takie autorka odpowiadała jasno ale stanowczo, że się nie zgadza, gdyż chodzi jej tylko o psychologiczne studia typów, a nie o znajomości i ludzi. — Ale czy wszystkie kobiety, zwłaszcza młode i niedoświadczone, odmówią również? W to chyba nikt nie uwierzy.

Sytuacja zaś jest tym bardziej niepokojąca, że owych panów „wytwornych", którzy zadawalali się samą wymianą listów z autorką, była znikoma stosunkowo liczba. Pozostali mieli jaśniej określone życzenia. Listy ich zaczynały się zwykle od ogólnikowych frazesów, lecz rychło przechodziły do gorących słów o tęsknocie za miłością, uścisku, pocałunku, potrzebie wymiany fotografii (czasem wyraźnie aktów). Potem następowało konkretne zaproszenie na spotkanie się w umówionym miejscu, z dołączeniem znaków rozpoznawczych, zaproszenie w tych okolicznościach

zbyt przejrzyste, jeśli chodzi o właściwy jego cel. Propozycje takie wychodzą zazwyczaj od mężczyzn, ale nie wyłącznie. Autorka przytacza wyjątek listu 19-letniej, która na anons: „Szukam młodej przyjaciółki", odpowiedziała ofertą zupełnego oddania się, w słowach, których część nie nadaje się w ogóle do powtórzenia.

Takich listów i miejsc, „nie nadających się do powtórzenia", jest w korespondencji ogłoszeniowej dużo, przy czym dodać należy, że biorą w niej udział nie tylko jednostki lekomyślne lub moralnie podupadłe, kobiety i mężczyźni, ale także różni degeneraci i zboczeńcy. Jedni, osłonięci tajemnicą listu znajdują dziką rozkosz w spowiadaniu się z brutalną szczerością z wszelkiego rodzaju przeżyć seksualnych, drudzy służą od razu konkretnymi propozycjami. Ilu ich zaś musi być, świadczy przytoczony przykład, że na ogłoszenie pewnej „wampirzycy", iż poszukuje niewolnika, całkowicie zdanego na łaskę jej kaprysów i rąk, przyszło 497 ofert od ludzi wszystkich sfer; jedni decydowali się na wszystko za pieniądze, lecz około 300 ofert było bezinteresownych i pochodziło od ludzi inteligentnych.

Osobną kategorię ludzi, korzystających z korespondencji ogłoszeniowej, stanowią różni „intryganci ogłoszeniowi", wyzyskiwacze i szantażyści, którzy stworzyli całą nową gałąź wyzysku i przestępstw materialnych i moralnych.

Jednym słowem — powiada autorka — „anonsując, przyszła do przekonania, iż korespondencja ogłoszeniowa jest rzeczą nad wyraz niebezpieczną i z którejkolwiek podejść do niej strony, może przynieść tylko szkodę". Osoby dobre lecz nieoględne „powierzają się — nie żywiąc obaw — typom ujemnym, przeżartym na wskroś kłamstwem, a tragedie wynikłe z tego powodu pociągają za sobą nieraz zastraszające następstwa".

Nie podobna nam podawać tu szczegółów dla uzasadnienia całości tego twierdzenia. O jego słuszności przekona się każdy, kto przeczyta wspomnianą książkę. Podkreślić zaś należy, że autorka nie kieruje się w niej przesadnym uczuciem, nie moralizuje, nie oburza się, ale przedstawia rzecz spokojnie i zupełnie obiektywnie. Być może, że jej książka znajdzie się w rękach ludzi niepowołanych i spełni wówczas podobną rolę jak *Zbiór listów miłosnych* lub *Sto powinszowań*. Ale radzimy każdemu, komu zależy na zdrowiu moralnym społeczeństwa i kto chce wyśledzić źródła trucizny, by przeczytał tę pracę. Odsłoni się przed nim podziemny tajemniczy świat, czyhający na młodzież oraz ludzi naiwnych czy lekkomyślnych, świat tym bardziej niebezpieczny że nęcący a nie przedstawiający na pierwszy rzut oka nic złego.

Książka ta może służyć jako ostrzeżenie i materiał dla wszystkich stowarzyszeń, mających na celu ochronę młodzieży lub moralności publicznej; wskaże im, nad czym czuwać należy i przeciw komu skierować akcję. Polski Komitet Walki z Handlem Ko-

bietami i Dziećmi znajdzie tu jedno więcej pole dla swej działalności. Przede wszystkim byłoby zaś do życzenia, by ten dział, osłaniany dotychczas tajemnicą i korzystający z bezkarności, zwrócił uwagę władz państwowych i by te zechciały zająć się zarówno ludźmi i biurami, tu pośredniczącymi, jak czasopismami, które ogłoszenia takie przyjmują.

Ks. S. Podoleński T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 4 marca 1937 r.

Spis rzeczy tomu 213.

Artykuły:

Str.

W. Wolter: Bóg i Ojczyzna 3
L. Chmaj: Ernest Krieck i pedagogika polityczna 13
A. Grzymała-Siedlecki: Chleb powszedni Skargi . . . 28
R. Piotrowicz: Mocarstwowa rywalizacja śródziemnomorska 37
A. Kliszewicz: Przełom w nauce 51
J. Pawelski: Katolicyzm religią państwową w Polsce . . . 69
B. Bojułka: Miara człowiecza 84
J. Skaliński: Wobec nowej taktyki komunizmu 137
J. Dąbrowa: Światłocienie polityki personalnej P. K. P. . . 154
T. Parnicki: „Poszukiwacze Boga" u kresu swych dróg . 164
S. Podoleński: Stan zdrowotny naszej młodzieży szkolnej 176
W. Bronowski: Konflikty na Dalekim Wschodzie 195
S. Szczutowski: Forpoczty nowego ustroju 203
F. Śmidoda: Ks. Gabriel Baudouin apostoł miłosierdzia Warszawy 218
S. Szczutowski: Wielki plan 273
T. Parnicki: Historia przed sądem współczesnej literatury 288
J. Skaliński: Drogi Polskiej Partii Socjalistycznej 303
M. Tyrowicz: Szlakiem życia i myśli Waleriana Kalinki . 326
R. Piotrowicz: Założenia brytyjskiej polityki imperialnej 337
Otto Forst Battaglia: Miguel de Unamuno 352

Przegląd piśmiennictwa.

Str.

Władysław Konopczyński: Dzieje Polski nowożytnej t. I. 1506—1648 (Dr W. Czapliński) 93
Ks. Józef Pastuszka: Filozofia współczesna, t. II. (Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.) 97
Maritain J.: Sept leçons sur l'être et les premiers princips de la raison spéculative. (Ks. W. Suszyński) 99

Str.

Dwelshauvers G.: L'Etude de la pensée, méthodes et résultats. (Ks. W. Suszyński) 100

G. Bardy: La vie spirituelle d'aprés les Péres des trois premiers siècles (Ks. dr Antoni Słomkowski) 102

F. Antoni Ossendowski: Iskry z pod młota (Ks. Bronisław Bojułka T. J.) 103

Ign. Chrzanowski: Literatura a Naród (Ks. J. Urban T. J.) 104

Pia Górska: Szary brat. — Jarosław Iwaszkiewicz: Młyn nad Utratą. — Melchior Wańkowicz: Na tropach Smętka. — John Galsworthy: Za rzeką, przekład Marii Godlewskiej. — Alina Segeń: Anna. — Pola Gojawiczyńska: Rajska jabłoń. (Zofia Starowieyska-Morstinowa) 228

Mickiewicz Adam: Dzieła wszystkie (Dr Z. Ciechanowska) 235

Giraud Victor: Paul Bourget (Mgr Maria Bzowska) . . 237

Stanislaus von Dunin-Borkowski S. J.: Spinoza (Ks. Paweł Siwek T. J.) 238

Wł. Witwicki: Rozmowa o jedności prawdy i dobra (Ks. Z. Goliński) 239

Janusz Woliński: Polska i Kościół prawosławny (Ks. Jan Urban T. J.) 241

F. A. Ossendowski: Huculszczyzna (Ks. K. Konopka T. J.) 242

Kornel Makuszyński: Złamany miecz. — Zygmunt Nowakowski: Wytatuowane serca. — Kazimierz Warchałowski: Krokodylim szlakiem. — Tadeusz Zieliński: Klechdy Attyckie. — Halszka Szołdrska: W ogniu i w locie. (Zofia Starowieyska-Morstinowa) . 358

Bildungskräfte im Katholizismus der Welt seit dem Ende des Krieges. (Ks. S. Podoleński T. J.) 361

Dr Edmund Kalt: Biblische Archäologie. (Ks. Adam Kozłowiecki T. J.) 364

Ks. dr Jan Bochenek: Stanisława Hozjusza nauka o Eucharystii (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 365

Ks. Władysław Kwiatkowski: Sprawa pruskiej reorganizacji seminariów duchownych w Warszawie. (J. Urban) 366

Lortal R.: Eléments de théologie morale sociale (Ks. W. Suszyński) 367

Tadeusz Meissner: Dookoła świata na „Darze Pomorza" (Ks. R. Moskała T. J.) 367

Wł. Orkan: Czantoria i pozostałe pisma literackie (R. M.) . 368

Notatki bibliograficzne 105, 243

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Styczeń: Kryzys dynastyczny w Anglii. — Anglia uczy (Ks. E. Kosibowicz T. J.) 109

Str.

Luty: Rozprzężenie moralne wśród młodzieży. — Konstytucyjna i okólnikowa teoria a praktyka. — Przepisy prawa kościelnego. — Postulat szkoły wyznaniowej (Ks. E. Kosibowicz T. J.) 246

Marzec: Deklaracja programowa płk. A. Koca. — Sytuacja na lewicy i prawicy. — Stanowisko Kościoła (Ks. E. Kosibowicz T. J.) 372

Sprawy państwa:

Styczeń: Otwarcie sejmu. — Rok polityki wewnętrznej. — Dwa autorytety. — Wywiad z prymasem (Andrzej Prawdzic) 114

Luty: Polska polityka zagraniczna. — Dyplomacja i demokracja. — Tragedia niemiecko-hiszpańska. — Jednomyślność polsko-francuska. — Naprężenie polskie (Andrzej Prawdzic) . . . 259

Marzec: Majestat choroby — Zmiany w Niemczech. — Kampania przemówień. — Próg przełomu. — Zmiany w Rosji. — Groźne widmo (Andrzej Prawdzic) 384

Muzeum Książąt Czartoryskich (S. Komornicki) 120

Dwie wystawy prasowe w Rzymie (Ks. S. Bednarski T. J.) 125

Ruch naturalny ludności w ostatnim czterdziestoleciu (1895—1935) (Prof. E. S.) 266

Lady Caprice w roli detektywa (Ks. S. Podoleński T. J.) 395